

stef  
penney

# czułość wilków



Powieść *Czulość wilków* od wielu miesięcy okupuje  
czołówkę brytyjskich list bestsellerów.

Pokryte śniegiem pustkowia Kanady tworzą tło niczym  
z powieści Jacka Londona, a bląkające się sfory wilków są  
niejako motywem przewodnim. Dlatego formuła powieści  
wykracza daleko poza konwencję kryminału, zapraszając  
czytelnika do świata zapomnianej kultury rdzennych  
Amerykanów i świata burzliwej, namiętnej miłości.

„Pelen napięcia thriller stworzony z wyczuciem i ogromną deli-  
katnością”.

*The Observer*

„Doskonała mieszanka suspensu i historii plus elementy przygodowej  
powieści w starym, dobrym stylu”.

*The Times (London)*

„Fascynująca, pełna napięcia przygoda, która okaże się doskonałą odmianą  
dla czytelników klasycznych kryminałów”.

*The Sunday (London)*

ISBN: 978-83-7508-067-4



9 788375 080674

Cena detaliczna: 32,00 zł

**stef  
penney**

# **czułość wilków**

Z języka angielskiego przełożyła Bogumiła Nawrot



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

---

Copyright © STEF PENNEY 2006

The moral right of Stef Penney to be identified as the author of this work has been asserted in accordance with the Copyright, Design and Patents Act, 1988.

Originally entitled: TENDERNESS OF WOLVES

Published by arrangement with Quercus publishing PLC (UK)

Copyright © 2008 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2008 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczowska Ko-  
rekta: Radosław Ragan, Mariusz Kulan

Projekt okładki: Sonia Draga Group  
Zdjęcia na okładce: CORBIS

ISBN: 978-83-7508-067-4

Dystrybucja:  
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
Tel.022/72130 00  
e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl)  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Sprzedaż wysyłkowa:  
[www.merlin.com.pl](http://www.merlin.com.pl)  
[www.empik.com](http://www.empik.com)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.  
pi. Grunwaldzki 8- 10,40-950 Katowice  
tel. (32) 782 64 77, fax (32) 253 77 28  
e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)  
[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

Skład i łamanie: DT Studio s.c.  
[biuro@dtstudio.pl](mailto:biuro@dtstudio.pl); Tel. (032) 720 28 78

Katowice 2008. Wydanie I  
Druk: Drukarnia Lega, Opole

Rodzicom

## Zniknięcie

Ostatni raz widziałam Laurenta Jammeta w sklepie Scotta. Stał z martwym wilkiem przerzuconym przez ramię. Poszłam po igły, a on zgłosił się po nagrodę. Scott nalegał, by przynoszono mu całe zewłoki, bo raz okantował go pewien Jankes, który jednego dnia przyniósł same uszy i odebrał nagrodę, jakiś czas później dostarczył łapy, by zainkasować kolejnego dolara, a na koniec zgłosił się z ogonem. Ponieważ była zima, kolejno okazywane fragmenty zwierzęcia wyglądały na całkiem świeże, ale oszustwo, ku niezadowoleniu Scotta, stało się tajemnicą poliszynela. Pierwsze więc, co ujrzałam po wejściu do sklepu, to łeb wilka. Z wykrzywionego grymasem pyska zwisał jęzor. Mimo woli się wzdrygnęłam. Scott wrzasnęła na Jammeta, ten zaś przeprosił mnie gorąco; nie dało się na niego gniewać, taki był czarujący, a na dodatek kulał. Zewłok zabrano na zaplecze i kiedy kręciłam się po sklepie, mężczyźni zaczęli się sprzeczać o zjedzoną przez mole skórę wiszącą w drzwiach. Zdaje się, że Jammet żartobliwie zaproponował, by Scott zastąpił ją nową. Pod nią widniał napis: „Canis lupus (samiec), pierwszy wilk schwytyany w mieście Caulfield, 11 lutego 1860 roku”. Te słowa dużo mówią o Johnie Scotcie, pozującym na człowieka wykształconego. Miał wysokie mniemanie o sobie i przyjmował pobożne życzenia za prawdę. Albowiem z całą pewnością nie był to pierwszy schwytyany tutaj wilk i właściwie nie istnieje coś takiego, jak miasto Caulfield, chociaż on gorąco by tego pragnął, bo wtedy powołano by radę miejską, a on mógłby zostać burmistrzem.

- Poza tym to samica, do tego bardzo mała. Samce mają ciemniejszy kołnierz i są większe.

Jammet wiedział, co mówi, bo schwytał więcej wilków niż ktokolwiek ze znanych mi osób. Uśmiechnął się, by dać do zrozumienia, że nie chce nikogo obrazić. Scott z byle powodu czuł się jednak urażony, więc i teraz się obruszył.

- Wnoszę z tego, że pamięta pan lepiej ode mnie, panie Jammet?

Jammet wzruszył ramionami. Ponieważ nie mieszkał tutaj w 1860 roku i ponieważ, w przeciwieństwie do nas wszystkich, był Francuzem, musiał się mieć na baczności. Właśnie wtedy podeszłam do lady.

- Według mnie była to samica, panie Scott. Człowiek, który przyniósł zwierzę, powiedział, że wilczki wyły przez całą noc. Wyraźnie to pamiętam.

I to, jak Scott powiesił zewłok za tylne łapy przed sklepem, by każdy mógł się na niego gapić. Nigdy wcześniej nie widziałam wilka i byłam zaskoczona, że jest taki mały. Wisiał z nosem skierowanym ku ziemi, z oczami zamkniętymi jakby ze wstydu. Mężczyźni popkpiwali z zewłoka, a dzieciaki chichotały, podpuszczając się nawzajem, które z nich się odważy wsadzić mu rękę do pyska. Stawały obok niego dla hecy.

Scott zwrócił na mnie swoje małe, niebieskie oczka, trudno powiedzieć, czy dotknięty do żywego tym, że wzięłam stronę obco krajowca, czy też zwyczajnie oburzony.

- I proszę sobie przypomnieć, co go spotkało. - Doktor Wade, mężczyzna, który przyniósł łup, utonął następnego wiosny. Scott wyraźnie dawał do zrozumienia, że ten fakt dobitnie potwierdza, iż doktor Wade nie był ekspertem w tych sprawach.

- No, cóż... - Jammet wzruszył ramionami i mrugnął do mnie. Ależ bezczelność!

Sama nie wiem, jak to się stało - chyba Scott pierwszy o tym napomknął - że zaczęliśmy dyskutować o tamtych biedaczkach; zawsze tak się kończyły wszelkie rozmowy o wilkach. Chociaż na świecie jest dużo nieszczęśliwych niewiast (sama znam ich wiele), w naszych

stronach mianem biedaczek określano zawsze tylko dwie dziewczyny: siostry Seton, które wiele lat temu zniknęły w niewyjaśnionych okolicznościach. Przez kilka minut trwała przyjemna i jałowa wymiana zdań, niespodziewanie przerwana dźwiękiem dzwonka, kiedy do sklepu weszła pani Knox. Udaliśmy pochłoniętych guzikami leżącymi na ladzie. Laurent Jammet wziął swojego dolara, ukłonił się mnie i pani Knox, po czym wyszedł. Dzwonek, zawieszony na metalowej sprężynie, brzęczał jeszcze długo po jego wyjściu.

Nie było w tym wszystkim nic szczególnego. Wtedy widziałam go po raz ostatni.

Laurent Jammet był naszym najbliższym sąsiadem. Ale mimo to jego życie stanowiło dla nas zagadkę. Intrygowało mnie, jak poluje na wilki ze swoją chorą nogą, aż ktoś mi powiedział, że używa jako przynęty jeleniego mięsa nafaszerowanego strychniną. Cała sztuka polega na tym, w jaki sposób podążać śladem zwierzęcia, nim padnie. Chociaż według mnie nie można czegoś takiego nazwać polowaniem. Wiem, że wilki nauczyły się trzymać poza zasięgiem kul z winchestera, więc nie mogą być zupełnie głupie. Widocznie jednak nie są na tyle mądre, by nauczyć się nie ufać darmowemu poczęstunkowi. Poza tym cóż jest godnego podziwu w podążaniu za stworzeniem skazanym na zagładę? Ale nie tylko z tego względu Jammet był człowiekiem nietuzinkowym: ciekawość budziły jego długie wyprawy w dalekie strony; odwiedziny śniadych, małomównych nieznanomych; i przypadki zdumiewającej rozrzutności, co kłóciło się z wyglądem jego nędznej chałupy. Wiedzieliśmy, że Jammet przybył z Quebecu. Wiedzieliśmy, że jest katolikiem, chociaż nie chodził często do kościoła ani do spowiedzi (co prawda mógł to robić podczas swoich długich nieobecności). Wobec wszystkich uprzejmy i zawsze pogodny, nie miał bliskich przyjaciół i zachowywał pewien dystans. Był również - nie boję się tego powiedzieć - przystojny ze swymi niemal czarnymi włosami i oczami, a rysy jego twarzy sprawiały wrażenie, jakby dopiero co przestał się uśmiechać albo za chwilę miał się uśmiechnąć. Wszystkie kobiety traktował jednakowo szarmancko, ale jakoś nie



wzbudzał zazdrości ani u nich, ani u ich mężów. Nie był zonaty i nie zdradzał skłonności do zmiany tego stanu rzeczy. Przekonałam się jednak, że niektórzy mężczyźni są szczęśliwsi, kiedy żyją samotnie, szczególnie gdy są bałaganiarzami i nie prowadzą uregulowanego trybu życia.

Zdarzają się ludzie, budzący swego rodzaju niewinną zazdrość. Zaliczał się do nich Jammet, bo był leniwy i beztroski, pozornie szedł przez życie, nie zaharowując się. Uważałam go za szczęściarza, ponieważ zdawał się nie przejmować tym, od czego nam wszystkim przybywa siwych włosów. Nie był siwy, ale wiele przeżył, chociaż na ogół rzadko opowiadał o swojej przeszłości. Zapewne wyobrażał sobie również, że ma przed sobą przyszłość, ale się mylił. Liczył sobie może ze czterdzieści lat. I nigdy nie będzie ich miał więcej.

Jest czwartkowy ranek w połowie listopada, jakieś dwa tygodnie po tamtym spotkaniu w sklepie. Wychodzę z domu w okropnym nastroju, idę, starannie szykując przemowę. Najprawdopodobniej powtarzam ją sobie na głos - to jedno z wielu dziwnych przyzwyczajzeń, których łatwo nabierają osoby żyjące na odludziu. Droga - właściwie szereg zagłębień pozostawionych przez kopyta zwierząt i koła wozów - biegnie wzdłuż rzeki, w tym miejscu tworzącej kilka niskich wodospadów. Kępy mchów pod brzożami błyszczą szmaragdowo w promieniach słońca. Opadłe liście, ścięte nocnym przymrozkiem, chrzęszczą pod moimi nogami, szepcząc o nadchodzącej zimie. Niebo jest tak błękitne, że aż bołą oczy. Idę szybko, nie kryjąc gniewu, z wysoko podniesioną głową. Prawdopodobnie sprawiam przez to wrażenie radosnej.

Chata Jammeta stoi w pewnej odległości od rzeki, pośród bujnych chwastów zastępujących ogród. Upływ czasu sprawił, że ściany z nieokorowanych bali wyblakły, przybierając szary kolor, więc chata bardziej przypomina żywe stworzenie niż budowlę”. Pochodzi z minionej epoki: rolę drzwi pełni kozła skóra rozciągnięta na drewnianej ramie, w oknach zamiast szyb jest natłuszczony pergamin. Zimą musi być w niej okropnie zimno. Kobiety z Dove River nieczęsto się tu

pojawiają, sama nie zaglądałam tu od miesiący, ale przeszukałam już wszystkie inne miejsca.

Z komina nie unosi się dym świadczący o tym, że ktoś jest w środku, ale drzwi są uchylone; na koźlej skórze widać plamy pozostawione przez uwalane ziemią ręce. Wołam, a potem pukam w ścianę. Nikt mi nie odpowiada, więc zaglądam do środka i kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do półmroku, widzę Jammeta. Jest w domu i jak zwykle o tej porze dnia śpi na swoim łóżku. Zamierzam odejść, uznawszy, że nie ma sensu go budzić, ale powodowana złością zostaję. Ostatecznie nie po to szłam taki kawał drogi, by wrócić z niczym.

- Panie Jammet? - Mam wrażenie, że mój głos jest irytująco radosny. - Panie Jammet, przepraszam, że pana niepokoję, ale muszę zapytać...

Laurent Jammet śpi w najlepsze. Wokół szyi ma czerwony fular, który zawiązuje na polowanie, żeby inni myśliwi nie wzięli go za niedźwiedzia i go nie zastrzelili. Jedna noga w brudnej skarpetce wystaje poza łóżko. Czerwony fular leży na stole... Chwytam się framugi drzwi. Jeszcze przed chwilą wszystko wyglądało normalnie, nagle zaszła radykalna zmiana: muchy krążą, szykując się do uczyty; Jammet nie ma na szyi czerwonego fularu, nie może mieć, bo fular leży na stole, a to oznacza...

- O, nie - mówię i aż się wzdragam na dźwięk własnego głosu w panującej w chacie ciszy. - Nie.

Trzymam się drzwi, żeby nie uciec, chociaż w chwilę później uświadamiam sobie, że nie jestem zdolna do najmniejszego ruchu, nawet gdyby miało od tego zależeć moje życie.

Czerwona smuga wokół jego szyi to krew, która wypłynęła z rany i wsiąkła w materac. Oddycham głośno, jakbym biegła. W tej chwili najważniejszą rzeczą na świecie jest framuga drzwi. Gdyby nie ona, nie wiem, co bym zrobiła.

Fular nie spełnił swojej roli. Nie uchronił Jammeta przed śmiercią.

Wcale nie twierdzę, że jestem wyjątkowo odważna; prawdę mówiąc, już dawno temu przestałam wierzyć w jakiekolwiek swoje wyjątkowe zalety. Jestem jednak zdumiona, że rozglądałam się po chacie

z takim opanowaniem. Pierwsza myśl, jaka mi przychodzi do głowy, to że Jammet sam odebrał sobie życie. Ale niczego nie trzyma w dłoniach, a koło posłania nie widać żadnej broni. Jedna ręka zwisa mu z łóżka. Nawet mi nie przyszło do głowy, żeby się bać. Nie mam cienia wątpliwości, że ten, co to zrobił, nie ukrywa się w pobliżu - w chacie nie ma żywej duszy. Nawet człowiek na łóżku jest bez życia. To tylko cielesna powłoka mężczyzny, znanego z pogody ducha, bałaganiarstwa, wprawy w strzelaniu, rozrzutności i pewnej rezerwy.

Jest jeszcze coś, czego nie mogę nie dostrzec, bo jego twarz jest lekko odwrócona tyłem. Nie chcę tego dopuścić do świadomości, ale na próżno. To potwierdzenie faktu, z którym już niechętnie się pogodziłam - śmierć Laurenta Jammeta bynajmniej nie stanowi kolejnej z wielu historii, na zawsze pozostających zagadkami. To nie wypadek ani samobójstwo. Został oskalpowany.

W końcu, chociaż prawdopodobnie minęło zaledwie kilka sekund, wychodzę i zamykam za sobą drzwi. Od razu czuję się lepiej. Chociaż do wieczora i jeszcze przez kilka następnych dni boli mnie prawa ręka, bo tak kurczowo uczepliłam się drewnianej framugi drzwi, jakbym próbowała ją zagniać niczym ciasto.

Mieszkamy w Dove River, na północnym brzegu zatoki Georgian. Razem z mężem wyemigrowaliśmy z gór Szkocji kilkanaście lat temu, jak tyłu innych. W ciągu zaledwie kilku lat półtora miliona ludzi przybyło do Ameryki Północnej, ale chociaż to taka pokaźna liczba, chociaż tak się tłoczyliśmy w ładowniach statków, iż trudno było sobie wyobrazić, że w Nowym Świecie będzie dość miejsca dla wszystkich przybyszów, rozlaliśmy się z nabrzeży Halifaxu i Montrealu jak dopływy rzeki i rozjechaliśmy się w różne strony. Pustkowia nas wchłonęły, wciąż spragnione nowych ludzi. Karczowaliśmy lasy, a swoim siedzibom nadawaliśmy nazwy od ptaków i innych zwierząt z tych stron albo obdarzaliśmy je nazwami rodzinnych miejscowości przez sentyment do ojczyzny, chociaż ona potraktowała nas po macoszemu. To tylko dowód, że z niczym nie potrafimy się rozstać. Wszystko zabieramy ze sobą, czy tego chcemy, czy nie.

Kilkanaście lat temu rozciągała się tu puszcza. Na północ od nas znajdują się złe ziemie, podmokłe lub kamieniste, gdzie nie chcą rosnąć nawet wierzby i sosny. Ale nad rzeką gleby są urodzajne, okoliczne lasy mają kolor ciemnozielony, prawie czarny, przesycona ostrym zapachem cisza zdaje się głęboka i nieskończona jak niebo w górze. Na ten widok wybuchnęłam płaczem. Kiedy kariolka, która nas tu przywiozła, odjechała z turkotem, nie mogłam odpędzić od siebie myśli, że bez względu na to, jak głośno będę krzyczeć, odpowie mi jedynie wiatr. Jeśli jednak chcieliśmy znaleźć ciszę i spokój, to nam się to udało. Mój mąż spokojnie czekał, aż przejdzie mi atak hysterii, a potem oświadczył z poważną miną:

- Nie ma tu nic większego od Boga.

Całkiem prawdopodobne. Jeśli ktoś wierzy w takie rzeczy.

Z czasem przywykłam do ciszy i tak przejrzystego powietrza, że wszystko zdawało się tu mieć ostrzejsze kontury i wyrazistsze barwy niż w rodzinnych stronach. Nawet to polubiłam. I nadałam temu miejscu nazwę, ponieważ nikt nie słyszał, by już się jakoś nazywało. Dove River.

Ja też jestem sentymentalna.

Po nas przybyli kolejni. Potem John Scott wybudował w pobliżu ujścia rzeki młyn zbożowy. Ponieważ wydał na niego kawał grosza i ponieważ rozciągał się stamtąd taki ładny widok na zatokę, postanowił w nim zamieszkać. I tak zaczęła się moda na osiedlanie się nad wodą, niezrozumiała dla tych z nas, którzy zamieszkali w górze rzeki, by uciec przed szalejącymi sztormami, kiedy zatoka zdaje się przemieniać w groźny ocean, pragnący wyrzucić z powrotem ziemię, tak bezczelnie przez nas zasiedloną. Ale Caulfield (kolejny przykład sentymentalizmu; Scott pochodzi z Dumfriesshire), w przeciwieństwie do Dove River, szybko się rozrosło z uwagi na obfitość pła-skich terenów i stosunkowo rzadszy las oraz dlatego, że Scott otworzył sklep, który czynił życie na tym odludziu znacznie łatwiejszym. Teraz mieszka tam ponad sto osób - osobliwa mieszanina Szkotów i Jankesów. No i Laurent Jammet, chociaż on to już nie. Prawdopo-

dobnie nigdy by tutaj nie osiadł, gdyby nie wziął kawałka ziemi, którego nikt nie chciał.

Cztery lata temu kupił gospodarstwo w sąsiedztwie naszego. Przez jakiś czas ziemia leżała odłogiem. Jej poprzedni właściciel, doktor Wade, Szkot, przybył do Dove River w poszukiwaniu taniej ziemi z dala od tych, którzy wiecznie go osądzali - miał w Toronto zamożną siostrę i szwagra. Ludzie mówili na niego „doktor”, chociaż jak się okazało, wcale nie był lekarzem, tylko kulturalnym dżentelmenem, który nie znalazł w Nowym Świecie miejsca, gdzie doceniono by jego rozliczne, lecz nieokreślone talenty. Niestety, Dove River nie stanowiło pod tym względem wyjątku, jakiego szukał. Jak przekonało się wielu ludzi, uprawa roli to wolny, ale niezawodny sposób na utratę majątku, zdrowia i ducha. Praca była zbyt ciężka jak na człowieka w jego wieku, poza tym nie miał do niej serca. Plony okazały się kiepskie, świnie uciekły do lasu, dach chaty spłonął. Pewnego razu doktor Wade poślizgnął się na skale, tworzącej naturalne moło przed jego chatą, i jakiś czas później znaleziono jego zwłoki w miejscu, gdzie woda tworzyła głęboki wir poniżej urwiska Koński Łeb (nazwanego tak, z niebanalnym kanadyjskim brakiem wyobraźni, ze względu na podobieństwo do końskiego łba). Zdaniem niektórych było to szczęśliwe wybawienie od wszystkich jego ziemskich trosk. Inni uważali to za tragedię - mały, lokalny dramat, jakich wiele się tu rozgrywa. Ja widziałam to inaczej. Wade pił, jak większość mężczyzn. Pewnego wieczoru, gdy zabrakło mu pieniędzy, a whisky się skończyła, kiedy nie miał już nic do roboty na tym świecie, udał się nad rzekę i spoglądał na wartko płynącą zimną, czarną wodę. Wyobrażam sobie, że spojrzął na niebo, po raz ostatni posłuchał drwiącego, obojętnego głosu lasu, poczuł zew wezbranej wody i zdał się na jej nieskończoną łaskę.

Później zaczęto szeptać w okolicy, że ta ziemia przynosi pecha. Była jednak tania, Jammet zaś nie należał do przejmujących się plotkami, chociaż może powinien. Dawniej był traperem, zatrudnionym przez Kompanię, ale wpadł pod czółno, kiedy przeciągał je przez jakieś bystrza. W wyniku wypadku okulał i Kompania wypłaciła mu odszkodowanie. Sprawiał wrażenie zadowolonego z tego, co mu się

przytrafiło, bo dzięki temu dostał dość pieniędzy, by kupić na własność kawałek ziemi. Lubił opowiadać, jaki jest leniwy, i rzeczywiście nie wykonywał prac polowych, których większość gospodarzy nie mogła uniknąć. Sprzedał większą część ziemi Wade'a i żył z drobnego handlu oraz nagród za wilki. Każdej wiosny z północnego zachodu przybywali w czółnach, wypełnionych towarem, ciemnoskórzy mężczyźni. Uważali, że świetnie prowadzi się z nim interesy.

Pół godziny później pukam do drzwi największego domu w Caulfield. Prostuję palce prawej dłoni, czekając na reakcję, bo zeszywniały mi i przypominają szpony.

Pan Knox ma niezdrową, szarą cerę, która przywodzi na myśl sole na niestrawność; jest wysoki i chudy, ma ostre rysy twarzy i sprawia wrażenie, jakby zamierzał raz na zawsze rozprawić się z niegodziwcami - bardzo przydatna cecha u sędziego pokoju. Nagle czuję się tak pusta w środku, jakbym od tygodnia nic nie jadła.

- Ach, pani Ross... Cóż za niespodziewana wizyta...

Prawdę powiedziawszy, wygląda przede wszystkim na wielce zaniepokojonego moim widokiem. Może na wszystkich tak patrzy, ale odnoszę wrażenie, że wie o mnie więcej, niżbym sobie tego życzyła, i dlatego nie widzi we mnie odpowiedniego towarzystwa dla swoich córek.

- Panie Knox... Obawiam się, że nie przynoszę dobrej wieści. Wydarzył się... okropny wypadek.

Wyczuwając wielką sensację, po chwili pojawia się pani Knox; mówię im, co widziałam w chacie nad rzeką. Pani Knox zaciska palce na złotym krzyżyku, który ma na szyi. Jej mąż przyjmuje wiadomość ze spokojem, ale w pewnej chwili się odwraca, a kiedy znów na mnie patrzy, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że zrobił to, by przybrać odpowiedni wyraz twarzy - poważny, surowy, oficjalny i tak dalej. Pani Knox siedzi obok mnie i gładzi moją dłoń, a ja staram się z całych sił, żeby nie wyrwać ręki.

- I pomyśleć, że ostatni raz widziałam go wtedy w sklepie. Wyglądał tak...

Kiwam potakująco głową, przypomniawszy sobie, jak nagle na jej widok wszyscy umilkliśmy, jakbyśmy coś zbroili. Powtórzywszy kilkakrotnie, jak bardzo mi współczuje, i udzieliwszy mi rady na skołatane nerwy, wychodzi pospiesznie, by w odpowiedni sposób (czyli bardziej szczegółowo, niż zrobiłaby to w obecności męża) poinformować o wszystkim dwie córki. Knox wysyła umyślnego do Fort Edgar, by Kompania przysłała tu swoich ludzi. Zostawia mnie, żebym mogła podziwiać widok, a po powrocie oznajmia, że wezwał Johna Scotta (który poza tym, że jest właścicielem sklepu i młyna zbożowego, ma również kilka magazynów i sporo ziemi), by razem z nim udał się do chaty i zabezpieczył ją przed „nieproszonymi gośćmi” do czasu przybycia przedstawicieli Kompanii. Właśnie takich słów użył i wyczuwam w nich pewną przyganę. Nie, żeby miał do mnie pretensje o to, że znalazłam zwłoki, ale na pewno żałuje, że żona zwykłego farmera skaląła miejsce zbrodni, nim on zdołał popisać się swoimi ponadprzeciętnymi umiejętnościami. Ale wyczuwam w nim jeszcze coś poza dezaprobatą - podniecenie. Dostrzega szansę zabłyśnięcia w dramacie znacznie bardziej porywającym niż większość wydarzeń rozgrywających się na tym odludziu - przeprowadzi śledztwo. Podejrzewam, że zabiera ze sobą Scotta, by wyglądało to bardziej oficjalnie i by mieć świadka swego geniuszu. Poza tym Scott z uwagi na swój wiek i majątek doda splendoru jego osobie. Nie chodzi mu na pewno o jego inteligencję - Scott jest żywym dowodem na to, że ludzie bogaci niekoniecznie są lepsi albo mądrzejsi od nas.

Jedziemy w górę rzeki dwukółką Knoxa. Jammet mieszkał niedaleko od nas, więc muszą mnie zabrać, a ponieważ najpierw dotarliśmy do chaty Francuza, proponuję, że pójdę z nimi. Knox marszczy brwi z ojcowską troską.

- Musi być pani wyczerpana po dokonaniu takiego wstrząsającego odkrycia. Nalegam, by udała się pani do domu i odpoczęła.

- I bez pani zobaczymy to, co pani widziała - dodaje Scott. I więcej, daje do zrozumienia.

Odwracam się od Scotta - z niektórymi ludźmi nie ma sensu się sprzeczać - i spoglądam na surowy profil pana Knoxa. Uświadamiam

sobie, że sędzia czuje się dotknięty tym, że moja kobieca natura dopuszcza myśl o ponownym obejrzeniu takich okropieństw. Czuję jednak, jak narasta we mnie niezgoda na jego arbitralne założenie, że on i tylko on wyciągnie właściwe wnioski. A może zwyczajnie nie lubię, jak mi się mówi, co mam robić. Oświadczam, że mogę im powiedzieć, czy coś się zmieniło, odkąd ostatni raz tu byłam, i muszą mi przyznać rację. W przeciwnym razie chyba musieliby mnie zaciągnąć siłą do mojego domu i zamknąć mnie w nim na klucz.

Jesienna aura jest łagodna, ale kiedy Knox otwiera drzwi, czuję słaby zapach rozkładających się zwłok. Nie poczułam go poprzednio. Sędzia wchodzi do środka, oddychając przez usta, i przykładą palce do ręki Jammeta. Widzę, jak się waha, gdzie go dotknąć. Oświadcza, że trup jest już zimny. Mężczyźni mówią przyciszonymi głosami, niemal szeptem. Rozumiem ich - głośna rozmowa świadczyłaby o braku szacunku w obliczu śmierci. Scott wyciąga kajet i zapisuje w nim słowa Knoxa, opisującego ułożenie zwłok, temperaturę pieca, rozmieszczenie przedmiotów w izbie. Potem przez pewien czas Knox stoi bezczynnie, chociaż udaje, że całkowicie panuje nad sytuacją. Z zainteresowaniem się temu przyglądam. Na zakurzonej podłodze widać ślady butów, ale nigdzie nie ma żadnego przedmiotu, który by tu nie pasował, nie mówiąc już o broni. Jediną wskazówką co do sprawcy zbrodni jest ta okropna rana na głowie Jammeta. To z pewnością jakiś wyjęty spod prawa Indianin, oświadcza Knox. Scott się z nim zgadza: żaden biały nie jest zdolny do takiego barbarzyńskiego czynu. Przypominam sobie spuchniętą, sinofioletową twarz jego żony zesłej zimy. Kobieta utrzymywała, że się poślizgnęła na oblodzonej drodze, chociaż wszyscy znali prawdę.

Mężczyźni udają się na górę, do drugiej izby. Zgaduję, gdzie są, na podstawie skrzywienia desek pod ich nogami i pyłu, który wylatuje szparami i jest widoczny pod światło. Opada na ciało Jammeta, pokrywa jego policzki niczym płatki śniegu. Drobinke spadają również na jego otwarte oczy. Nie mogę oderwać od tego wzroku. Mam ochotę podejść i zetrzeć je, ostro zwrócić uwagę mężczyznom, że zacierają ślady, ale nic nie robię. Nie mogę się zdobyć na to by dotknąć zmarłego.



- Od wielu dni nikt nie wchodził na górę, warstwa kurzu była nienaruszona - oświadcza Knox, kiedy zeszli na dół i strzepują kurz ze spodni chusteczkami do nosa. Sędzia przyniósł z góry czyste prześcieradło. Rozkłada je, wzbijając w powietrze więcej kurzu, którego drobinki wirują w izbie niczym rój pszczoł. Okrywa zwłoki na łóżku.

- Dzięki temu nie zlecą się muchy - mówi, zadowolony z siebie, chociaż każdy głupi wie, że to nieprawda.

Uznawszy, że nie możemy - a raczej oni nie mogą - zrobić nic więcej, wychodzimy. Knox zabezpiecza drzwi kawałkiem drutu i odrobiną laku. Przyznaję, acz niechętnie, że robi to na mnie wrażenie.

**W**raz z nastaniem chłódów Andrew Knox boleśnie uświadamia sobie swój wiek. Już od kilku lat każdej jesieni zaczynają go boleć stawy i dokuczają mu przez całą zimę, bez względu na to, iloma warstwami flaneli i wełny je owinie. Musi chodzić ostrożnie, by wytrzymać rozdzierający ból kości biodrowych. Każdej kolejnej jesieni ból pojawia się odrobinę wcześniej.

Ale dziś ogarnęło go dziwne znużenie. Tłumaczy sobie, że to zrozumiałe - zabójstwo wstrząsa każdym. Lecz to coś więcej. W dziejach obu osad nigdy jeszcze nikogo nie zamordowano. Przyjechaliśmy tutaj, by uciec od tego wszystkiego, myśli; mieliśmy to zostawić za sobą, wyprowadzając się z miasta. A tu coś takiego... Brutalne, ohydne zabójstwo, jak te z południa Stanów. Naturalnie w ciągu kilku ostatnich lat parę osób zmarło ze starości, w wyniku chorób czy nieszczęśliwych wypadków, nie wspominając tych dwóch biedaczek... Ale nikomu nie poderżnięto gardła, kiedy zupełnie bezbronny leżał w łóżku. Nie daje mu spokoju to, że ofiara była bez butów, w samych skarpetkach.

Po obiedzie czyta notatki Scotta, starając się nie stracić cierpliwości: „Piec ma metr wysokości i pół metra głębokości, jest lekko ciepły w dotyku”. Przypuszcza, że może się to przydać. Zakładając, że w chwili śmierci ofiary w palenisku buzował ogień, trzeba trzydziestu sześciu godzin, by zgasł. A więc do zbrodni mogło dojść poprzedniego dnia. Chyba że ogień już zaczął zagasać, kiedy Jammeta spotkał tragiczny koniec. W takim razie zbrodni dokonano by w nocy. Niewykluczone jednak, że stało się to poprzedniej nocy. Podczas dzisiejszych oględzin domu niewiele ustalili. Nie znaleźli śladów walki,

krwawość była tylko na łóżku, na którym widocznie leżał w chwili, kiedy go zaatakowano. Zastanawiali się na głos, czy ktoś czegoś szukał w izbie, ale panował w niej taki bałagan - jak zwykle, według słów pani Ross - że nie dało się ustalić tego bez cienia wątpliwości. Scott głośno się upierał, że musiał to zrobić tubylec: żaden biały nie byłby zdolny do takiego barbarzyńskiego czynu. Knox nie jest tego taki pewny. Kilka lat temu wezwano Knoxa na farmę nieopodal Coppermine po szczególnie pożałowania godnym incydencie. W niektórych okolicach popularny jest zwyczaj upokarzania pana młodego w noc poślubną. Nosi nazwę „charivari” i służy do łagodnego okazania dezaprobaty, kiedy leciwy mężczyzna bierze za żonę znacznie młodszą od siebie kobietę. Tym razem posuniętego w latach pana młodego wytarzano w smole i pierzu, a następnie powieszono za nogi na drzewie przed jego własnym domem. Okoliczna młodzież maszerowała w maskach, wałąc w garnki i dmąc w gwizdki.

Psikus. Młodzieńczy wygłup.

Ale nie wiedzieć czemu mężczyzna zmarł. Knox wiedział o przynajmniej jednym młodzieńcu, który ponad wszelką wątpliwość był zamieszany w tę sprawę, ale nikt nie chciał nic powiedzieć, chociaż wszyscy bardzo żałowali tego, co się stało. Czyżby żartownisie przesadzili? Scott nie widział wytarzanej w smole i pierzu twarzy mężczyzny; drutów, które poprzecinały skórę na spuchniętych w kostkach nogach. Andrew Knox nie potrafi wykluczyć z kręgu podejrzanych całej rasy ludzi rzekomo niezdolnych do okrucieństwa.

Dotarły do niego jakieś odgłosy zza okna. Za murami jego domu mogą szaleć złe moce. Może ktoś był na tyle przebiegły, że oskalpował swoją ofiarę, by rzucić podejrzenia na ludzi o innym kolorze skóry. Błagam, Panie Boże, niech to nie będzie nikt z Caulfield. Zresztą któż miałby pragnąć śmierci Jammeta? Z całą pewnością nie chodziło o przywłaszczenie sobie nędznego dobytku ofiary. Czyżby Francuz ukrywał jakieś skarby? Czyżby miał wrogów wśród tych, z którymi handlował? Może chodziło o jakiś nieuregulowany dług?

Wzdycha, niezadowolony z siebie. Był taki pewien, że po obejrzeniu chaty trafi na jakiś trop, a może nawet pozna odpowiedź. Tymcza-

sem ma więcej wątpliwości niż przedtem. Cierpi duma własna Knoxa, kiedy mężczyzna musi przyznać, że nie potrafił odczytać znaków, szczególnie w obecności pani Ross, irytującej kobiety, przy której zawsze odczuwa skrepowanie. To sardoniczne spojrzenie nie opuściło jej ani wtedy, kiedy opisywała swoje przerażające odkrycie, ani gdy drugi raz oglądała miejsce zbrodni. Nie jest lubiana w osadzie, bo sprawia wrażenie zarozumiałej, chociaż nie ma żadnych podstaw (a słyszał plotki, od których włosy stają na głowie), by traktować ludzi z góry. Kiedy jednak się na nią patrzy i człowiek przypomni sobie niektóre z tych drastycznych opowieści, aż trudno w nie uwierzyć; zachowuje się wyniośle, ma niewątpliwie urodziwą twarz, chociaż żadna prawdziwa piękność nie jest taka zgryźliwa. Czuł na sobie jej wzrok, gdy podszedł do zwłok, by ocenić, czy są wciąż ciepłe. Ledwo powstrzymał drżenie ręki - miał wrażenie, że trup jest cały wymazany krwią. Nabrał głęboko powietrza w płuca (przez co tylko go zemdlilo) i dotknął palcami przegubu ręki zmarłego.

Skóra była zimna, ale poza tym nie różniła się niczym od skóry innych ludzi czyjego własnej. Starał się nie patrzeć na okropną ranę, ale jego wzrok, jak muchy, coś do niej ciągnęło. Zobaczył utkwione w siebie oczy Jammeta i uświadomił sobie, że stoi tu, gdzie musiał stać zabójca. Francuz nie spał, przynajmniej w chwili śmierci. Knox wiedział, że powinien zamknąć mu powieki, ale nie potrafił się na to zdobyć. Wkrótce potem przyniósł z góry prześcieradło i nakrył nim zwłoki. Krew zaschła i nie poplami tkaniny - powiedział, jakby to miało jakieś znaczenie. Starał się zatuszować swoje zmieszanie inną uwagą, ze wstrętem słuchając własnego głosu. Na szczęście już jutro cała odpowiedzialność nie będzie spoczywała wyłącznie na nim - pojawią się ludzie z Kompanii i prawdopodobnie będą wiedzieli, co należy zrobić. Najpewniej się okaże, że ktoś coś widział, i do wieczora rozwiążą zagadkę.

Łudząc się niczym nieuzasadnioną nadzieją, Knox starannie układa kartki na stos i gasi lampę.

Mineła północ, ale wciąż siedzę przy lampie z książką, której nie jestem w stanie czytać, i czekam na odgłosy kroków, na skrzyknięcie otwieranych drzwi, na falę zimnego powietrza, wypełniającą kuchnię. Uświadamiam sobie, że znów myślę o tamtych biedaczkach. Wszyscy w Dove River i Caulfield znają tę historię, musi jej wysłuchać każdy, kto tu przyjedzie, powtarzana jest też w kółko w zimowe wieczory przed kominkiem. Jak wszystkie najciekawsze opowieści, to tragedia.

Powszechnie szanowana rodzina Setonów mieszkała w St Pierre La Roche. Charles Seton był lekarzem, jego żona Maria niedawno przyjechała tu z ojczyzny Szkocji. Mieli dwie córki, stanowiące, jak to się mówi, ich dumę i radość (ale czy nie wszystkie dzieci są dumą i radością swych rodziców?). Pewnego pogodnego, wrześniego dnia piętnastoletnia Amy i trzynastoletnia Eve wybrały się razem z przyjaciółką, Cathy Sloan, na jagody i piknik nad brzegiem jeziora. Znały drogę, wszystkie trzy dziewczynki wychowywały się na skraju lasu, wiedziały, jakie im może grozić niebezpieczeństwo, i przestrzegały reguł zachowania: nigdy nie zbaczać ze ścieżki, zawsze wracać przed zmrokiem. Cathy była wyjątkowo ładna, słynęła w miasteczku z urody. Szczegół ten nigdy nie jest pomijany, jak gdyby czynił tę historię jeszcze bardziej tragiczną, chociaż ja osobiście nie uważam go za istotny.

Dziewczynki wyruszyły o dziewiątej rano z koszem pełnym prowiantu. Miały wrócić o czwartej, ale o tej godzinie się nie pojawiły. Ich rodzice odczekali jeszcze godzinę, a potem obaj ojcowie wyruszyli

na poszukiwanie córek. Szli ścieżką, cały czas nawołując dziewczynki, dotarli nad jezioro, przeczesałi jego brzeg, nie przestając wołać, ale nie natrafili na ich ślad. Po zapadnięciu zmroku wrócili, łudząc się nadzieją, że może dziewczynki wybrały inną trasę i już są w domu, Ale okazało się, że wciąż ich nie ma.

Zorganizowano poszukiwania na wielką skalę, zgłosili się wszyscy mieszkańcy osady, by pomóc odnaleźć dzieci. Pani Seton zastała. Drugiego dnia pod wieczór w St Pierre pojawiła się Cathy Sloan. Była wyczerpana i brudna. Zgubiła żakiet i jeden trzewik, ale wciąż trzymała koszyk, w którym zabrały prowiant; podobno teraz (groteskowy szczegół, przypuszczalnie nieprawdziwy) był pełen liści. Poszukujący zdwoili wysiłki, ale niczego znaleźli. Ani trzewika, ani strzępka ubrania, nawet żadnych śladów stóp. Zupełnie, jakby rozstała się pod nimi ziemia.

Cathy Sloan położono do łóżka, chociaż nie ma zgodności, czy coś jej dolegało. Powiedziała, że wkrótce po tym, jak wybrały się do lasu, posprzeczała się z Eve i została z tyłu. Po jakimś czasie straciła obie przyjaciółki z oczu. Poszła nad jezioro i nawoływała je, uważając, że to wstętnie z ich strony, iż się przed nią ukryły. Zabłądziła w lesie i nie mogła znaleźć drogi powrotnej. Już nigdy nie zobaczyła siostr Seton.

Mieszkańcy miasta znów udali się na poszukiwania, posłali też ludzi do pobliskich wiosek indiańskich, bo że podejrzenia padły na tubylców to tak oczywiste, jak słońce na niebie. Ale Indianie przysięgli na Pismo Święte, że są niewinni, a poza tym nie znaleziono najmniejszego dowodu, by porwali dziewczynki. Setonowie kontynuowali poszukiwania. Charles Seton najął ludzi do pomocy, między innymi indiańskiego tropiciela, a później, po śmierci pani Seton, do której niewątpliwie przyczyniło się pęknięte serce, jakiegoś zawodowego poszukiwacza ze Stanów. Mężczyzna dotarł do wszystkich Indian w całej Górnej Kanadzie, a nawet dalej, ale niczego nie znalazł.

Mijały kolejne miesiące. Charles Seton zmarł w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, wyczerpany, bez grosza i w rozterce. Cathy Sloan już nigdy nie uchodziła za taką piękność, jak kiedyś; zrobiła się po-

spolita i głupia - a może zawsze taka była? Już nikt tego nie pamiętał. Ta historia stała się szeroko znana, z czasem przemieniła się w legendę, powtarzaną przez uczniów w szkole i przez wykończone matki, zniechęcające w ten sposób swoje dzieci do włączenia się bez celu. Wysuwano coraz bardziej szalone teorie co do losu dziewczynek; przychodziły listy z odległych stron od osób utrzymujących, że je widziały albo że je poślubiły, albo że nimi są, ale nigdy nie udało się tego udowodnić ponad wszelką wątpliwość. I chyba już żadne wyjaśnienie nie wypełni pustki, jaka pozostała po zniknięciu Amy i Eve Seton.

Wszystko to wydarzyło się piętnaście lat temu, a może i dawniej. Państwo Seton już nie żyją; najpierw umarła z rozpaczy matka dziewczynek, a potem ich ojciec, który stracił majątek i zdrowie, prowadząc ustawicznie poszukiwania. Lecz historia biedaczek wciąż żyje, ponieważ siostra pani Seton jest żoną pana Knoxa. I dlatego zamikliśmy zawstydzeni, kiedy tamtego dnia weszła do sklepu. Nie znam jej zbyt dobrze, ale wiem, że nigdy nie wspomina o tamtym wydarzeniu. Przypuszczalnie w zimowe wieczory przed kominkiem snuje opowieści o czymś innym.

Ludzie znikają bez śladu. Staram się nie zakładać najgorszego, ale wszystkie te drastyczne teorie na temat zniknięcia dziewczynek nie dają mi teraz spokoju. Mój mąż położył się do łóżka. Albo się nie przejmuję, albo jest obojętny - już od lat nie potrafię określić, co sobie myśli. Przypuszczam, że to zwykła rzecz w małżeństwie, a może to tylko świadczy o tym, że nie jestem najlepszą żoną. Moja sąsiadka, Ann Pretty, raczej skłaniałaby się ku temu drugiemu; na tysiąc sposobów udowadnia, jak źle wypełniam żonine obowiązki; gdy się nad tym zastanowić, nie lada wyczyn jak na kobietę tak mało wyrefinowaną. Według niej fakt, że nie urodziłam dzieci, świadczy o tym, iż nie spełniłam obywatelskiego obowiązku, czyli nie mogę zapewnić wystarczającej liczby rąk do pracy w gospodarstwie, by nie trzeba było zatrudniać robotników. Dość rozpowszechniony pogląd w tak rozległym i rzadko zaludnionym kraju. Czasami odnoszę wrażenie,

że osadnicy z takim zapamiętaniem płodzą dzieci, bo przeraża ich wielkość i pustka tej krainy, a oni wyobrażają sobie, że ją zaludnią swoimi potomkami. Albo uważają, że tak łatwo można stracić dziecko, iż trzeba ich mieć jak najwięcej. Może mają rację.

Kiedy dziś po południu wróciłam do domu, Angus już był. Powiedziała mi o śmierci Jammeta, a on długo przyglądał się swojej fajce, jak wtedy, kiedy pogrąża się w myślach. Niemal się rozplakałam, chociaż nie znałam dobrze Francuza. Angus znał go lepiej, czasami wybierał się z nim na polowanie. Ale nie potrafiłam odczytać, co się dzieje w jego duszy. Później siedzieliśmy w kuchni na swoich zwykłych miejscach, jedząc w milczeniu. Między nami, po prawej stronie stołu, stało jeszcze jedno nakrycie. Żadne z nas nie skomentowało tego ani słowem.

Wiele lat temu mój mąż wybrał się na wschód. Nie było go przez trzy tygodnie, a potem dostałam od niego telegram, by spodziewać się go w niedzielę. W ciągu czterech lat nie spędziliśmy osobno nawet jednej nocy i z utęsknieniem wypatrywałam jego powrotu. Słyszac turkot kół na drodze, wybiegłam mu na spotkanie, a potem zdumiona stwierdziłam, że na wozie siedzi dwoje ludzi. Kiedy podjechali bliżej, zobaczyłam, że to mniej więcej pięcioletnia dziewczynka. Angus zatrzymał kuca, pobiegłam ku nim, serce podeszło mi do gardła. Dziewczynka spała, długie rzęsy rzucały cienie na jej zapadnięte policzki. Miała czarne włosy. I czarne brwi. Przez skórę na powiekach prześwitywały fioletowe żyłki. Była prześliczna. Nie mogłam mówić ze wzruszenia, tylko się jej przyglądałam.

- Wychowywała się u franciszkanek. Jej rodzice zmarli na dżumę. Usłyszałem o tym i pojechałem do klasztoru. Zobaczyłem tam dużo dzieci. Chciałem wybrać jedno w odpowiednim wieku, ale... - Umilkł. Nasza córeczka zmarła rok wcześniej. - Ale ona była najśliczniejsza. - Wziął głęboki oddech. - Możemy ją nazwać Olivia. Nie wiem, czy tego chcesz, ale...

Zarzuciłam mu ręce na szyję i nagle stwierdziłam, że moja twarz jest mokra. Przytulił mnie mocno i wtedy dziewczynka otworzyła oczy.



- Jestem Frances - powiedziała z wyraźnym, irlandzkim akcentem. Przyglądała mi się bacznie.

- Witaj, Frances - przemówiłam nerwowo, nie wiedząc, czy nas polubi.

- Będiesz moją mamą? - spytała.

Kiedy skinęłam jej głową, poczułam, jak moja twarz robi się gorąca. Dziewczynka umilkła. Zabraliśmy ją do środka, przygotowałam najlepszy obiad, jaki tylko umiałam: rybę z warzywami, herbatę z dużą ilością cukru, ale dziewczynka niezbyt dużo jadła. Gapiła się na rybę, jakby nie wiedziała, co to takiego. Nie powiedziała już ani słowa, tylko spoglądała swoimi ciemnoniebieskimi oczami to na mnie, to na Angusa. Była zmęczona. Wzięłam ją na ręce i zaniósłam na górę. Kiedy poczułam jej gorące, bezwładne ciało, aż przeszedł mnie dreszcz. Wydawało mi się, że ma takie kruche kosteczki. Była brudna i spocona po podróży, ale ponieważ już prawie usnęła, zdjęłam jej tylko sukieneczkę, buciki i skarpetki, po czym opatuliłam ją kołdrą. Patrzyłam, jak wzdryga się przez sen.

Rodzice Frances przybyli na wyspę Belle statkiem pocztowym Sarah. Na pokładzie trzeciej klasy podróżowało wielu Irlandczyków z hrabstwa Mayo, gdzie nadal dawały się we znaki skutki klęski głodu. Jak ludzie, którzy ulegają chwilowej modzie na długo po tym, kiedy wszyscy o niej zapomnieli, podczas rejsu pochorowali się na tyfus, chociaż apogeum epidemii już dawno minęło. Prawie setka mężczyzn, kobiet i dzieci zmarła na statku, który zatonął podczas rejsu powrotnego do Liverpoolu. Kilkanaścioro dzieci zostało sierotami, umieszczono je w żeńskim klasztorze do czasu, aż znajdą się dla nich nowe domy.

Następnego ranka, kiedy zajrzałam do pokoju, Frances wciąż spała, chociaż gdy delikatnie dotknęłam jej ramienia, odniosłam wrażenie, że udaje. Uświadomiłam sobie, że się boi; może słyszała okropne historie o kanadyjskich farmerach i myślała, że będziemy ją traktowali jak niewolnicę. Uśmiechając się do niej, wzięłam ją za rączkę i sprowadziłam na dół, gdzie już przygotowałam cebrzyk z gorącą wodą. Stała ze wzrokiem wbitym w podłogę, kiedy podniosła ręce, bym jej mogła zdjąć długą koszulkę.

Wybiegłam z domu, by odszukać męża, który rąbał drwa za węglem.

- Angus - syknęłam, odczuwając jednocześnie złość i zażenowanie.

Odwrócił się, trzymając siekierę w ręku, i zmarszczył czoło, zaskoczony.

- Coś złego się stało? Czy coś z nią nie w porządku?

Pokręciłam głową w odpowiedzi na pierwsze pytanie. Przemknęło mi przez myśl, że wiedział o tym, ale z miejsca ją odpędziłam. Znowu odwrócił się ku pieńkowi i zamachnął siekierą; zgrabne drwa wpadły do kosza na opał.

- Angusie, przywiozłeś chłopca.

Odłożył siekierę. Nie wiedział o tym. Wróciliśmy do środka, dziecko bezmyślnie bawiło się mydłem w cebrzyku, pozwalając, by wyslizgiwało mu się między palcami. Miało wielkie, nieufne oczy. Nie zdziwiło się, kiedy zobaczyło, że się na nie gapimy.

- Chcecie mnie odesłać? - spytał chłopczyk.

- Nie, skądże znowu. - Przyklęknęłam obok niego i wyjęłam mu mydło z rączek. Łopatki sterczały mu z chudych pleców jak kikuty skrzydeł.

- Pozwól. - Wzięłam mydło i zaczęłam go myć, w nadziei, że dotykiem swoich dłoni wyrażę dobitniej niż słowami, że nie ma to znaczenia. Angus wrócił do rąbania drewna, drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Francis nigdy nie wydawał się zdziwiony, że pojawił się u nas w dziewczęcej sukieneczce. Wiele godzin zastanawialiśmy się nad tym, co skłoniło franciszkanki do takiego kroku - czyżby uważały, że dla dziewczynki łatwiej będzie znaleźć nowy dom niż dla chłopca? Ale przecież wśród sierot byli również chłopcy. Czyżby zwyczajnie tego nie zauważyły, oślepione jego urodziwą buzią, i ubrały go w to, w czym ich zdaniem było mu najlepiej? Sam Francis nie wyjaśnił nam niczego ani nie okazał zawstydzenia tym faktem; lecz nie protestował, kiedy uszyłam dla niego spodnie i koszulę ani kiedy mu obciąłam długie włosy.

Uważa, że nigdy mu tego nie wybaczyliśmy, ale to nieprawda. Chociaż nie mogę ręczyć za swojego męża. Góral do szpiku kości, nie lubi, kiedy robić z niego głupca, i nie wiem, czy kiedykolwiek otrząsnął się z szoku. Wszystko układało się w miarę dobrze, kiedy Francis był mały. Rozbawiał nas do łez, błaznując i przedrzeźniając innych. Ale wszystkim nam przybywa lat, a życie, jak zwykle, zmienia się na gorsze. Wyrósł na młodzieńca odstającego od reszty. Obserwowałam go, jak próbował zachować stoicyzm i być twardy, jak starał się być lekkomyślny i lekceważąco traktować niebezpieczeństwa, od których aż się roi w lasach. Mężczyzna musi być odważny i wytrzymały, nie baczyć na ból ani przeciwności losu. Nigdy nie narzekać. Nigdy nie okazać słabości. Stwierdziłam, że mu się to nie udaje. Powinniśmy byli mieszkać w Toronto albo w Nowym Jorku, wtedy może nie miałyoby to znaczenia. Ale to, co uchodzi za heroizm w bardziej przyjaznym człowiekowi świecie, tutaj jest czymś normalnym. Przestał na siłę upodobniać się do innych; stał się opryskliwy i małomówny, nie reagował na miłość, którą mu okazywałam, nie pozwalał mi się dotknąć.

Teraz ma siedemnaście lat. Prawie stracił swój irlandzki akcent, ale pod pewnymi względami jest tak samo nam obcy, jak dawniej. Wygląda jak podrzutek, którym w gruncie rzeczy jest. Mówią, że w żyłach niektórych Irlandczyków płynie hiszpańska krew. Patrząc na Francisca, łatwo w to uwierzyć - jest równie smagły, jak ja i Angus jesteśmy bladolicy. Ann Pretty zdobyła się kiedyś na niewybredny żart: powiedziała, że zawdzięczamy go zarazie, a on sam stał się zarazą naszego życia. Byłam oburzona (a ona oczywiście śmiała się ze mnie), ale jej słowa zapadły mi głęboko w pamięć i przypominam je sobie za każdym razem, kiedy Francis tłucze się po domu, trzaskając drzwiami i mamrocząc coś pod nosem, jakby nie umiał mówić. Muszę sobie przypominać, jaka byłam w jego wieku, i gryźć się w język. Mój mąż nie jest taki wyrozumiały. Potrafią przez wiele dni nie okazywać sobie ani odrobiny życzliwości.

I dlatego bałam się powiedzieć Angusowi, że od poprzedniego wieczoru nie widziałam Francisca. Ale miałam do niego pretensje,

że nie zapytał. Wkrótce nadejdzie ranek i naszego syna nie będzie w domu od czterdziestu ośmiu godzin. Już wcześniej zdarzało mu się znikać - wybierał się samotnie na dwa, trzy dni na ryby, wracał zazwyczaj z pustymi rękami i nie mówił, co robił przez ten cały czas. Podejrzewam, że nie lubi zabijania; wyprawy na ryby to tylko pretekst, by pobyć w samotności.

Musiałam zasnąć na krześle, bo kiedy się ocknęłam, zeszywniała i zziębnięta, było prawie widno. Francis nie wrócił. Chociaż sobie wmawiam, że to zwykły zbieg okoliczności, że znów wybrał się na ryby, nie daje mi spokoju myśl, że mój syn zniknął w dniu, kiedy popełniono pierwsze morderstwo w dziejach Dove River.

Pierwsze promienie słońca padają na trójkę jeźdźców zdążających z zachodu. Już od wielu godzin są w drodze, witają dzień z ulgą, szczególnie mężczyzna jadący z tyłu. Dla Donalda Moody'ego przedświt jest szczególnie męczący; mężczyzna ma słaby wzrok i bez względu na to, jak wciśnie okulary na nos, w monochromatycznym świecie, pełnym niewyraźnych, ruchomych obiektów, trudno mu oceniać odległość. Poza tym przemarzył do szpiku kości. Choć ma na sobie kilka warstw wełnianej odzieży i kozuch, dawno stracił czucie w odrętwiałych kończynach. Donald wciąga w płuca rzadkie, słodkie powietrze, tak inne niż to w jego rodzinnym Glasgow, o tej porze roku czarne od sadzy i przenikliwe. Tutaj powietrze jest tak przejrzyste, że światło słoneczne, nie napotykając przeszkód, zdaje się docierać dalej; kiedy słońce ledwo wynurza się nad linię horyzontu, tak jak teraz, ich cienie ciągną się za nimi w nieskończoność.

Jego koń, któremu wierzchowiec z przodu tarasuje drogę, potyka się i uderza nosem w zad siwka, ten zaś ostrzegawczo macha ogonem.

- A niech cię, Moody - mówi mężczyzna jadący przed nim. Kiepska szkapa Donalda wiecznie albo zostaje w tyle, albo wpada na zwierzę Mackinleya.

- Przepraszam pana. - Donald ściąga wodze i koń kładzie uszy po sobie. Kupił go od Francuza i chyba zwierzę podziela niechęć Francuzów do Brytyjczyków.

Od całej postaci Mackinleya wprost bije dezaprobata. Jego wierzchowiec jest idealnie ułożony, podobnie jak ten przed nim.

Ale przecież Donaldowi cały czas wszyscy przypominają, jaki z niego żółtodziób - jest w Kanadzie zaledwie od roku i nadal popełnia liczne gafy, nie przestrzegając kompanijnej etykiety. Nikt go o niej nie ostrzega, ponieważ oglądanie Donalda, jak z trudem sobie radzi, wpadając w liczne pułapki i obrażając tubylców, jest niemal jedyną ich rozrywką. Nie, żeby wszyscy byli złośliwi, po prostu już tak tu jest: najmłodszy członek personelu musi się pogodzić z tym, że będzie obiektem wiecznych żartów. Większość pracowników Kompanii to ludzie wykształceni, odważni i żądni przygód; uważają, że ich życie w tym dużym kraju pozbawione jest emocjonujących wydarzeń. Wprawdzie czyhają tu liczne niebezpieczeństwa (czego nie ukrywano), ale raczej grożą im odmrożenia lub ogólne wyziębienie niż spotkania oko w oko z dzikimi zwierzętami czy potyczki z wrogo nastawionymi tubylcami. Ich codzienne życie obfituje w drobne niedogodności - zimno, ciemności, przeraźliwą nudę i kiepski alkohol, którym raczą się bez umiaru. Donald dość wcześnie się zorientował, że zatrudnienie w Kompanii przypomina zsyłkę do obozu pracy, z tą różnicą, że więcej tu roboty papierkowej.

Jadący przodem Mackinley jest faktorem w Fort Edgar. Prowadzi ich miejscowy, Jacob. Upiera się, by wszędzie towarzyszyć Donaldowi, co ten uważa za wielce krępujące. Donald niezbyt się przejmuje Mackinleyem, raz sarkastycznym, raz obcesowym - to jego sposób odparcia krytyki, której się spodziewa ze wszystkich stron. Przypuszcza, że Mackinley jest taki przeczulony na własnym punkcie, ponieważ ma kompleks niższości wobec niektórych swoich podwładnych, łącznie z Donaldem, i stale wypatruje oznak lekceważenia. Donald wie, że gdyby Mackinley mniej się zajmował takimi sprawami, cieszyłby się większym respektem, ale mało prawdopodobne, żeby w tym wieku się zmienił. Donald również wie, że Mackinley i cała reszta uważają go za zniewieściałego pisarczyka, który jest w miarę użyteczny, ale w niczym nie przypomina dawnych poszukiwaczy przygód.

Kiedy zszedł z pokładu statku z Glasgow, nie chciał niczego udawać, pragnął, by inni go zaakceptowali takiego, jaki jest. Ale w rzeczy-

wistości starał się wpaść w ich oczach jak najlepiej. Dlatego zaczął wlewać w siebie coraz więcej alkoholu, co stanowiło główną rozrywkę mieszkańców fortu, chociaż nie wychodziło mu to na zdrowie. Zaraz po przybyciu grzecznie sączył rum, nalewany z olbrzymich beczek, myśląc sobie, że jeszcze nigdy nie pił czegoś równie obrzydliwego. Inni zauważyli jego powściągliwość i przestali zwracać na niego uwagę, oddając się pijaństwu, snując długie, nudne opowieści i śmiejąc się z tych samych dowcipów powtarzanych na okrągło. Donald znosił to dość długo, ale samotność tak mu doskwierała, że w końcu nie mógł tego wytrzymać. Kiedy upił się po raz pierwszy, wszyscy wiwatowali i klepali go w plecy, gdy rzygał na klęczkach. Mimo torsji i przenikliwej wilgoci Donald poczuł miłe ciepłoko: w końcu został przez nich zaakceptowany. Ale chociaż rum nie miał już tak obrzydliwego smaku, jak dawniej, Donald widział, że wszyscy traktują go z pewną pobłażliwością. Nadal był jedynie młodszym księgowym.

Jego kolejnym genialnym pomysłem, by się wykazać, było zorganizowanie meczu rugby. Właściwie zakończyło się to całkowitą klapą, ale pojawił się mały promyczek światła, i teraz na myśl o nim prostuje się w siodle.

Fort Edgar to cywilizowane miejsce w porównaniu z większością faktorii Kompanii. Znajdujące się nad brzegiem Wielkiego Jeziora skupisko drewnianych budynków otoczono palisadą, zasłaniającą oszałamiający widok wysp i zatoki za pasem świerków. Ale Fort Edgar wyjątkowość ma zapewnioną dzięki bliskości osadników, a najbliżsi są w Caulfield nad rzeką Dove. Tamtejsi mieszkańcy cieszą się, że niedaleko od nich jest faktoria, sprzedająca towary sprowadzane z Anglii. Pracownicy Kompanii również są zadowoleni z bliskości Caulfield, gdzie mieszkają białe kobiety mówiące po angielsku, które czasem udaje się nakłonić, by uświetniły swoją obecnością tańce organizowane w faktorii i inne imprezy towarzyskie, na przykład mecze rugby.

Tego ranka, kiedy miał się odbyć mecz, Donald czuł niepokój. Mężczyźni byli ponurzy i mieli przekrwione oczy po wielogodzinym pijaństwie. Donald się spieszył na widok przybywających gości.

Jeszcze bardziej się zmieszał, kiedy go przedstawiono wysokiemu mężczyźnie o surowej minie, przypominającemu kaznodzieję straszącego ogniem piekielnym, i jego dwóm córkom, przejętym obecnością tylu młodych kawalerów.

Siostry Knox oglądały mecz, absolutnie nie rozumiejąc, co się dzieje na boisku. Ojciec próbował im wyjaśnić zasady gry w drodze do Fortu Edgar, ale jego znajomość rugby okazała się słaba i tylko jeszcze bardziej zagmatwał im w głowach. Zawodnicy biegali po łące gromadą, piłka (ciężka, uszyta przez żonę trapera) na ogół pozostawała niewidoczna.

Od początku meczu atmosfera ciągle się pogarszała. Wydawało się, że drużyna Donalda postanowiła nie dopuszczać go do gry i nie zwracała na niego uwagi, kiedy wołał, by podano mu piłkę. Biegał tam i z powrotem, mając nadzieję, że dziewczęta się nie zorientują, iż jest tu zupełnie zbędny. W pewnej chwili piłka potoczyła się w jego stronę, gubiąc kawałki sierści, którą była wypchana. Złapał piłkę i pobiegł przez boisko, pragnąc pokazać, na co go stać, gdy nagle znalazł się na ziemi. Przysadzisty mieszaniec, Jacob, wyrwał mu piłkę i uciekł. Donald zaczął go gonić, za nic nie chcąc stracić takiej okazji. Rzucił się na Jacoba, podcinając mu nogi i blokując, ale jak najbardziej zgodnie z regułami gry. Potężny sternik zgarnął piłkę i zdobył punkt.

Donald, leżąc na ziemi, wrzasnął ochryple z radości. Zobaczył, że ręce, którymi trzyma się za brzuch, są ciemne i ciepłe. Jacob stał nad nim z nożem w dłoni, a na jego twarzy malowało się coraz większe przerażenie.

Widzowie w końcu się zorientowali, że coś jest nie tak, i wbiegli na boisko. Zawodnicy obstąpili Donalda, który w pierwszej chwili poczuł zażenowanie. Zobaczył, jak sędzia pokoju pochyla się nad nim z ojcowską troską.

- ..niegroźne draśnięcie. To wypadek... W ferworze gry. Jacob był zrozpaczony, łyzy płynęły mu po twarzy. Knox spoglądał na ranę.

- Mario, podaj mi swój szal.



Maria, mniej urodziwa z jego córek, zdjęła szal, ale to w twarzy Susannah Donald utkwiał wzrok, kiedy obwiązywano mu bok.

Zaczął odczuwać tępy ból w trzewiach i zauważył, że mu zimno. Mecz poszedł w zapomnienie, zawodnicy stali wokół niego z zakłopotaniem, zapalając fajki. Ale Donald dostrzegł troskę w oczach Susannah i nagle uświadomił sobie, że jest mu całkowicie obojętny wynik meczu oraz to, czy okazał się prawdziwym mężczyzną na boisku, a nawet nie przejmuje się tym, że jego własna krew wsiąka w kurtkę z kapturem, barwiąc ją na brązowo. Zakochał się.

Od tamtej pory, co może się wydawać dość osobliwe, Jacob został dozgonnym przyjacielem Donalda. Nazajutrz po meczu pojawił się przy łóżku rannego cały we łzach, okazując głęboki żal. Dopuszczał się tego czynu przez alkohol, opętał go zły duch; okupi swoją winę, osobiście czuwając nad młodzieńcem tak długo, jak długo ten pozostanie w jego kraju. Wzruszony Donald uśmiechnął się i wyciągnął rękę na zgodę, Jacob odpowiedział mu uśmiechem. Chyba po raz pierwszy zobaczył w tym kraju uśmiech prawdziwego przyjaciela.

Donald zatacza się, kiedy zsiadłszy z konia, próbuje przywrócić krążenie krwi w kończynach. Z niechęcią musi przyznać, że zrobiły na nim wrażenie wielkość i elegancja domu, do którego przyjechali; szczególnie gdy pomyśli o Susannah, jeszcze bardziej nieosiągalnej. Ale Knox uśmiecha się serdecznie na ich widok, a potem ze źle maskowanym niepokojem patrzy na Jacoba.

- Czy to wasz przewodnik? - pyta.

- To Jacob - mówi Donald, czując, jak go palą policzki, ale Jacob nie sprawia wrażenia dotkniętego.

- Wielki przyjaciel Moody'ego - uszczypliwie wtrąca Mackinley.

Sędzia pokoju nie kryje zaskoczenia, bo jest niemal pewien, że kiedy ostatni raz widział tego człowieka, wbijał on nóż w brzuch Donalda. Uznaje, że musiało mu się coś pomylić.

Knox mówi im, co wie, Donald notuje. Spisanie poczynionych do tej pory ustaleń nie trwa długo. W głębi duszy wiedzą, że nie ma się co łudzić, iż zdołają schwytać sprawcę, chyba że ktoś coś widział.

Chociaż z drugiej strony w takich małych skupiskach ludzkich na ogół zawsze ktoś coś widzi; mieszkańcy takich małych osad żyją plotkami. Donald kładzie czystą kartę na sporządzone przez siebie notatki i z wprawą ją wygładza, kiedy mężczyźni wstają, by udać się na miejsce zbrodni. Niezbyt mu się to uśmiecha, ma nadzieję, że się nie skompromituje i nie dostanie mdłości ani - zdręcza się wizją najgorszego rozwoju wypadków - nie wybuchnie płaczem. Jeszcze nigdy w życiu nie widział zwłok, nawet kiedy umarł jego dziadek. Chociaż to mało prawdopodobne, niemal odczuwa przyjemność, wyobrażając sobie, jak by z niego drwili. Nigdy by mu tego nie zapomnieli, musiałby wrócić do Glasgow incognito, prawdopodobnie żyć pod zmienionym nazwiskiem...

Pochłonięty takimi rozważaniami, nawet się nie zorientował, że już są na miejscu.

**W** dzisiejszych czasach wieści szybko się rozchodzą, myśli Thomas Sturrock. Nawet tam, gdzie nie ma dróg ani kolei, nowina albo jej przyrodnia siostra, plotka, niesie się lotem błyskawicy. To osobliwe zjawisko, może powinien się nim zająć ktoś taki jak on, osoba o wyjątkowo analitycznym umyśle. Może krótka monografia? Redakcja „Globe” lub „Star” mogłaby się nią zainteresować, gdyby napisać ją ciekawie.

Podczas paru ostatnich lat pozwolił sobie kilka razy na refleksję, że z wiekiem staje się coraz bardziej ujmujący. Długie, srebrne włosy, zaczesane z wysokiego czoła, wiją mu się lekko nad uszami. Surdut ma staromodny, ale dobrze skrojony, z ciemnoniebieskiej tkaniny o kolorze identycznym jak jego oczy, teraz równie błyszczące jak trzydzieści lat temu. Nosi eleganckie spodnie. Twarz ma urodziwą, jej rysy wyostrzyło częste przebywanie na świeżym powietrzu. Na przeciwległej ścianie wisi zmatowiałe i cętkowane lustro, przypominające mu, że nawet w takiej trudnej sytuacji finansowej jest wyjątkowym mężczyzną. Ta skrywana próżność, którą traktuje jak małą (a co ważniejsze, darmową) przyjemność, sprawia, że uśmiecha się do siebie.

- Jesteś niewątpliwie śmiesznym staruchem - mówi cicho do swojego odbicia, popijając zimną kawę.

Thomas Sturrock oddaje się swojemu zwykłemu zajęciu - czyli przesiadywaniu w dość obskurnych kawiarniach (ta nazywa się Wschodzące Słońce) nad filiżanką kawy przez godzinę, a nawet dwie. Te rozmyślenia o wieściach i plotkach skądś się wzięły, uświadamia sobie, kiedy stwierdza, że nasłuchuje toczącej się za nim rozmowy.

Nie podsłuchuje - nigdy by się nie zniżył do czegoś takiego - ale coś przykuło jego uwagę i teraz próbuje ustalić, cóż to było takiego... Caulfield, tak, ktoś wspomniał o Caulfield. Sturrock, którego umysł, podobnie jak sposób ubierania się, nie zmieniły się od lat, zna kogoś, kto tam mieszka, chociaż już dawno go nie widział.

- Mówią, że nigdy nie widziano czegoś takiego. Wszystko było wymazane krwią... Ściany i w ogóle... To z pewnością sprawka jakichś Indian...

(No właśnie, takiej rozmowie każdy by się przysłuchiwał).

- Zostawili go, żeby zgnił w swojej chacie... Leżał tam wiele dni. Muchy go obsiadły warstwą grubą jak koc. Wyobraź sobie smród.

Słuchacz tych rewelacji przyznał rację swemu towarzyszowi.

- I nie wiadomo, dlaczego. Nic nie zginęło. Zginął we śnie.

- Chryste, wkrótce będzie u nas tak źle, jak w Stanach. Co pięć minut wojna albo rewolucja.

- Może to jeden z dezertków?

- Ludzie sami proszą się o kłopoty, zadając się z wszelkiego rodzaju... cudzoziemcami, o których nic nie wiedzą...

- Do czego to dojdzie...

Sturrocka jeszcze bardziej zaciekawiła ta historia. Nasłuchuje przez kilka minut komentarzy na temat upadku obyczajów, w końcu nie może się powstrzymać i mówi:

- Panowie wybaczą...

Stara się nie zwracać uwagi na spojrzenia dwóch dżentelmenów, do których się zwrócił: komiwojażerów, sądząc po tanim, ale pretensjonalnym ubiorze i zachowaniu, typowym dla przedstawicieli nizin społecznych.

- Najmocniej przepraszam. Wiem, że to bardzo nieładnie wtrącać się do rozmowy nieznanym, ale bardzo mnie zaciekawiło to, o czym panowie właśnie rozprawiają. Robię interesy z handlarzem mieszkającym w pobliżu Caulfield i przypadkiem usłyszałem, jak opisuja panowie - bardzo plastycznie - szczególnie wstrząsające i tragiczne wydarzenie. Naturalnie, musiała mnie zaniepokoić ta historia i mam jedynie nadzieję, że nie dotyczy ona mojego znajomego...

Obaj komiwojażerowie, mężczyźni mało rozgarnięci, są dość zaskoczeni takim popisem elokwencji, nieczęstym we Wschodzącym Słońcu. Pierwszy dochodzi do siebie ten, który dzielił się rewelacjami; spogląda na mankiety obcego. Ten natychmiast rozszyfrowuje spojrzenie, połączone z pochyleniem głowy do przodu; po krótkiej chwili namysłu nieznajomy wbija wzrok w twarz Sturrocka. Właśnie oszacował prawdopodobieństwo zarobienia na sprzedaży posiadanych informacji mężczyźnie; jest niezbyt wielkie, sądząc po stanie mankietów, chociaż można sobie coś obiecywać po akcencie Jankesa ze Wschodniego Wybrzeża. Wzdycha, ale całkiem naturalna słabość do powtarzania złych wiadomości bierze górę.

- W pobliżu Caulfield?

- Tak. Zdaje się, że mieszka na małej farmie w osadzie, która się nazywa River coś tam... Jakiś ptak czy zwierzę.

Sturrock doskonale pamięta nazwę osady, ale chce ją usłyszeć od nich.

- Dove River.

- Zgadza się. Dove River.

Mężczyzna patrzy na swojego towarzysza.

- Czy ten kupiec to Francuz?

Sturrock czuje, jak robi mu się zimno. Obaj mężczyźni to zauważają. Zbędne są dalsze wyjaśnienia.

- Zamordowano francuskiego pośrednika handlowego w Dove River. Nie wiem, czy mieszka ich tam więcej.

- Chyba nie. Czy przypadkiem... Nie obito się panom o uszy jego nazwisko?

- Nie potrafię go sobie przypomnieć ot, tak. Wiem tylko, że to francuskie nazwisko.

- Mój znajomy nazywa się Laurent Jammet.

Mężczyźnie zaświeciły się oczy.

- Cóż, naprawdę bardzo mi przykro, ale zdaje się, że właśnie to nazwisko wymieniono w związku z zabójstwem.

Sturrock milczy. W swoim długim życiu wiele razy miał do czynienia z nieprzyjemnymi zdarzeniami, już zastanawia się, co może

z tego wyniknąć. Dla Jammeta, naturalnie, nie oznacza to nic dobrego. Jemu w najlepszym razie nieco pokrzyżuje szyki. Bo nie sfinalizowali pewnej transakcji, na której bardzo mu zależało, czekał jedynie na pieniądze, by dobić targu. Teraz, kiedy Jammet nie żyje, należy jak najszybciej doprowadzić sprawę do końca, w przeciwnym razie okazja mu przemknie koło nosa.

Chyba rzeczywiście ma bardzo przerażoną minę, bo kiedy spogląda na stolik, widzi na nim filiżankę kawy i kieliszek burbona. Komivojażerowie przyglądają mu się z ogromnym i szczerym zainteresowaniem - wiadomość o czyjejś tragicznej śmierci jest sama w sobie podniecająca, ale czy może być coś lepszego niż spotkanie z osobą, którą ta tragedia osobiście dotyka? Warte to jest kilka kolacji. Sturrock drżącą ręką ujmuje kieliszek.

- Nie najlepší pan wygląda - zauważa jeden z nieznamomych.

Doskonale zdając sobie sprawę z tego, czego od niego oczekują, Sturrock z wahaniem opowiada im smutną historię o prezencie obiecany chorej żonie i nieuregulowanym długi. Wcale nie jest żonaty, ale jakie to ma znaczenie. W pewnej chwili pochyła się nad stołem i śledzi wzrokiem talerz z kotletami zamówionymi przez gości siedzących obok. Dwie minuty później stoi przed nim gorąca pieczeń. Naprawdę, myśli sobie (nie pierwszy raz), minął się z powołaniem - powinien pisać romanse, sądząc po tym, z jaką łatwością wyczarował żonę cierpiącą na suchoty. Kiedy w końcu uznaje, że zrewanżował im się za poczęstunek (nikt nie mógłby mu zarzucić, że nie popuścił wodzy fantazji), ściska im dłonie i wychodzi z kawiarni.

Jest późne popołudnie, dzień ucieka za zachodnim horyzontem. Sturrock wolno wraca do siebie, zastanawiając się, jak zdobyć pieniądze na podróż do Caulfield, bo będzie musiał tam pojechać, jeśli chce, by jego marzenie się ziściło.

Jest chyba tylko jedna osoba w Toronto, której cierpliwości nie wyczerpał. Jeśli odpowiednio ją podejździe, może pożyczyc mu ze dwadzieścia dolarów. Więć zawraca na końcu Water Street i kieruje się ku porządniejszym domom, wzniesionym wzdłuż brzegu jeziora.

**K**iedy nie mogłam się już dłużej oszukiwać, że jest noc - długo po wschodzie słońca - wyczerpana poszłam na górę, żeby się położyć. Teraz zrobiło się już chyba południe, ale nie mam siły wstać. Moje ciało nie słucha poleceń, a raczej mój mózg przestał je wydawać. Gapię się w sufit w głębokim przekonaniu, że wszelkie wysiłki ludzi, a szczególnie moje, są daremne. Francis nie wrócił do domu, czym dodatkowo potwierdził, że jestem całkowicie pozbawiona jakichkolwiek talentów i odwagi, a do tego nie ma ze mnie żadnego pożytku. Niepokoję się o niego, ale nie umiem podjąć żadnej decyzji. Nic dziwnego, że uciekł od takiej matki.

Angus wstał akurat, kiedy szłam na górę. Nie zamieniliśmy ani słowa. Już wcześniej prowadziliśmy trudne rozmowy o Francisie, chociaż nie w takich dramatycznych okolicznościach. Angus powtarza, że chłopak ma siedemnaście lat i potrafi zatroszczyć się o siebie; to normalne, że młodzieńcy w jego wieku na kilka dni znikają z domu. Ale Francis nie jest taki jak inni. Staram się tego nie mówić na głos, ale ostatecznie zawsze to mówię. Niewypowiedziane słowa przytłaczają mnie w małej izdebce: Francis uciekł, Jammet nie żyje. Naturalnie nie może to mieć ze sobą żadnego związku.

Zastanawiam się, czy Angus nie będzie się zbyt gwałtownie gryzł, jeśli Francis nie wróci. Czasami spoglądają na siebie jadowniczo, niczym zaprzysięgli wrogowie. Tydzień temu Francis przyszedł późno i odmówił wykonania jednego ze swoich obowiązków. Powiedział, że zrobi to rano, stąpając po cienkim lodzie, bo Angus właśnie się pokłócił z Jamesem Pretty o płot graniczny. Angus wziął głęboki od-

dech i oświadczył mu, że jest samolubnym niewdzięcznikiem. Jak tylko padło słowo „niewdzięcznik”, wiedziałam, co nastąpi. Francis nie wytrzymał: Angus spodziewał się wdzięczności za to, że dał mu dach nad głową; traktował go jak służącego; nienawidzi go i zawsze go nienawidził... Angus zamknął się w sobie, na jego twarzy malowała się tylko lekka pogarda; ten widok zmroził mnie. Krzyknęłam wtedy na Francisca, głos mi drżał. Nie wiedziałam, w jakim stopniu czuje gniew również do mnie; minęło tyle czasu, odkąd ostatni raz spojrzął mi w oczy.

Czy mogłam temu jakoś zapobiec? Prawdopodobnie Ann ma rację, wysmiewając się ze mnie; nie potrafię wychowywać dzieci, chociaż kiedyś gardziłam kobietami, które uważały, że tylko to się liczy. Nie, żebym miała na swoim koncie jakieś inne ważne osiągnięcia.

Kiedy tak czuwałam, prześladował mnie coś jakby sen na jawie; czytałam gotycką powieść o sztucznym człowieku, który nienawidził ludzi, ponieważ jego wygląd budził przerażenie i wstręt. Na końcu książki ten stwór uciekł na Arktykę, gdzie nikt nie mógł go oglądać. W nocnych majakach widziałam, jak gonią Francisca, niczym potwora, który jest mordercą... W świetle dnia widzę, jakie to niedorzeczne; Francis nie potrafi zabić nawet pstrąga. Ale nie ma go od dwóch dni i nocy.

Coś mnie tknęło, kiedy leżę w pościeli; idę do pokoju Francisca, w którym panuje rozgardiasz. Trudno powiedzieć, co jest, a co zniknęło, więc potrzebuję trochę czasu na odszukanie tego, co chcę znaleźć. Ogarnia mnie jakaś gorączka, wyrzucam przedmioty z szafek, zaglądam pod łóżko, a potem zdesperowana przeszukuję cały dom. Ale na próżno się modłę, żeby ich nie było. Znajduję jego wędkę i trzecią, którą Angus mu zrobił, gdy jeszcze ze sobą rozmawiali. Znajduję koce oraz pudełko na hubkę i krzesiwo. Znajduję to wszystko, co zabrałby ze sobą na ryby. Brakuje jedynie nieco ubrań i noża. Nie zastanawiając się nad tym, co robię, wyciągam jego ulubioną wędkę i łamię ją na dwie części, które ukrywam w stosie drewna opałowego. Potem oddycham ciężko. Czuję wyrzuty sumienia,



jakbym sama oskarżyła Francisa, więc wracam do domu i gotuję wodę do kąpeli. Na szczęście nie wchodzę od razu do wanny, bo do kuchni wkracza Ann Pretty, nawet nie zapukawszy.

- Ach, pani Ross, jakie prowadzi pani przyjemne życie! Kąpiel w środku dnia. Powinna pani uważać z gorącymi kąpielami w tym wieku. Wie pani, że moja bratowa dostała ataku podczas kąpeli?

Wiem, bo mówiła mi o tym przynajmniej dwadzieścia razy. Ann lubi mi przypominać, że jest ode mnie o trzy lata młodsza, jakby to było całe pokolenie. Ja ze swojej strony powstrzymuję się przed uwagami, że wygląda starzej, niż to wynika z metryki, i przypomina beczkę, gdy tymczasem ja zachowałam figurę i uważano mnie, przynajmniej w młodości, za całkiem urodziwą. I tak puściłaby to mimo uszu.

- Słyszała pani o śledztwie? Wezwali pracowników Kompanii. Przybyła cała ekipa. Zadają pytania wszystkim w okolicy.

Obojętnie kiwam głową.

- Horace wrócił od MacLarenów i powiedział, że rozmawiali z każdym. Przypuszczam, że wkrótce pojawią się tutaj. - Rozgląda się jak sęp. - Podobno Francisa nie ma od wczorajszego ranka.

Nie poprawiam jej i nie mówię, że nie ma go dłużej.

- Dozna wstrząsu, kiedy wróci - mówię jedynie.

- Czy nie polował z Jammetem? - Patrzy przebiegle, omiatając izbę wzrokiem niczym jakiś drapieżny ptak; myślał o różowym łebku i szerokim dziobie, szukający padliny.

- Owszem, kilka razy. Będzie mu smutno, kiedy się o tym dowie. Chociaż nie przyjaźnili się zbyt.

- Co za historia. Do czego zmierza świat? Po prawdzie on był cudzoziemcem. Francuzi są porywcy, prawda? Pamiętam, że jak mieszkałam w Sault, stale skakali sobie do gardeł. Przypuszczam, że to zrobił jeden z tych, z którymi ubijał interesy.

Nie oskarżę Francisa w mojej obecności, ale wyobrażam sobie, co mówi za moimi plecami. Jego również zawsze traktowała jak cudzoziemca ze względu na ciemne włosy i śniadą cerę. Uważa się za kobietę światową, bo zjeżdżała wiele miejsc, a z każdego zabrała na pamiątkę jedynie uprzedzenia.

- Kiedy wraca? Nie niepokoi się pani o niego, gdy gdzieś w pobliżu grasuje morderca?

- Wybrał się na ryby. Prawdopodobnie wróci nie wcześniej niż jutro.

Nagle pragnę, żeby sobie poszła. Chyba się zorientowała, bo pyta, czy mogę jej pożyczyć trochę herbaty - niechybny znak, że uznała, iż nic więcej ze mnie nie wydobędzie. Daję jej herbatę chętniej niż zwykle, a oprócz tego trochę ziaren kawy w przypiływie hojności. Dzięki temu mam pewność, że nie pojawi się szybko, ponieważ tujejszy zwyczaj nakazuje, by przy okazji każdej wizyty przynieść prezent równowarty temu, który się otrzymało.

- Cóż... Chyba już sobie pójdę.

Ale wciąż nie wychodzi, przyglądając mi się z taką miną, jakiej chyba jeszcze nigdy u niej nie widziałam. Trochę mnie to wytrąca z równowagi.

Gorąca woda wpływa na mnie zbawiennie. Nikt od nikogo nie wymaga kąpeli w listopadzie, ale traktuję ją jak przyjemniejszą formę hydroterapii od lodowatych pryszniców, które kiedyś aplikowano pensjonariuszom zakładów dla obłąkanych. Tylko dwa razy poddano mnie takiej kuracji, i to dawno temu. Najgorsze okazało się samo czekanie, po zabiegu człowiek jest bardzo spokojny i ma jasną głowę, a nawet odczuwa euforię. Odbywało się to w dość prymitywnych warunkach; pacjenta (w tym przypadku mnie) w cienkiej, bawełnianej koszuli przywiązywano pasami do drewnianego krzesła, a nad jego głowę umieszczano spory cebrzyk z zimną wodą. Obsługa pociągała za dźwignię i na delikwenta chlustała lodowata ciecz. Stosowano taką terapię, zanim Paul - doktor Watson - objął obowiązki kierownika i wprowadził łagodniejsze metody postępowania z wariatami, czyli (przynajmniej w przypadku kobiet) szycie, układanie kwiatów i inne tego rodzaju mało produktywne zajęcia. Tylko dlatego zgodziłam się pójść do szpitala, żeby od tego wszystkiego uciec.

Wspominanie pobytu w zakładzie dla obłąkanych zawsze mnie wprawia w dobry humor - przypuszczam, że to skutek nieszczęśliwej

młodości. Muszę zapamiętać, żeby się podzielić tą perłą mądrości z Francisem, kiedy wróci do domu.

Przedstawia się jako pan Mackinley, faktor z Fortu Edgar. Jest człowiekiem niepozornym, gęste włosy ma krótko podstrzyżone, więc wyglądają zupełnie jak futro. Coś we mnie zaskakuje go - przypuszczam, że mój akcent, bardziej dystygowany niż jego i prawdopodobnie osobliwie brzmiący na takim odludziu. Staje się nieco służalczy, chociaż widzę, że stara się z tym walczyć. Ogólnie rzecz biorąc, nie wygląda na człowieka szczęśliwego. Nie, żebym ja miała powody do zadowolenia z życia.

- Czy mąż jest w domu? - pyta sztywno. Widocznie nie dopuszcza do siebie myśli, że mógłby się czegokolwiek ważnego dowiedzieć od kobiety.

- Wyjechał w interesach. A nasz syn wybrał się na ryby. To ja znalazłam zwłoki.

- Ach, rozumiem.

Stanowi ciekawy przypadek - jest jednym z tych rzadko spotykanych Szkotów, z których oblicza można wyczytać, co myślą. Kiedy przyswaja sobie te wszystkie informacje, wyraz jego twarzy ulega kolejnej zmianie; poza zdumieniem, szacunkiem, kurtuazją i lekką pogardą pojawia się żywe zainteresowanie. Mogłabym mu się przyglądać przez cały dzień, ale każde z nas ma swoje obowiązki.

Wyjmuje kajet. Mówię, że Angus wróci później, ale do wczorajszego popołudnia był w Sault, a Francis wczoraj rano wybrał się na ryby. To nieprawda, ale nikt o tym nie wie. Sprawia wrażenie zainteresowanego Francisem. Wyjaśniam, że udał się nad jezioro Swallow, ale jeśli ryby nie brały, mógł się zapuścić gdzieś dalej.

Nie ukrywam, że się przyjaźnili. Robi notatki.

Długo rozmyślałam nad tym, co powiedzieć o Francisie i Jammecie oraz o ich przyjaźni. Doszłam do wniosku, że Jammet, chociaż znacznie starszy, a do tego Francuz, był chyba jedynym przyjacielem mojego syna. Udało mu się namówić Francisę, by chodził na polowania, co nigdy się nie udało Angusowi. Pamiętam też, jak raz na

początku lata szłam do MacLarenów i minęłam jego chatę. Usłyszałam radosną, porywającą melodię, graną na skrzypcach, zupełnie niepodobną do szkockich utworów na ten instrument. Przypuszczam, że była to jakaś francuska piosenka ludowa. Tak mi się spodobała, że zboczyłam z drogi, by posłuchać. Nagle drzwi się otworzyły i ktoś przez nie wypadł, wymachując rękami, by zaraz znów zniknąć w środku. Muzyka na chwilę umilkła, potem znów się rozległa, a ja poszłam dalej. Minęło kilka chwil, nim sobie uzmysłowiłam, że tym kimś, kto wybiegł przed dom, był Francis. Z trudem go rozpoznałam: może dlatego, że się śmiał.

Ten człowiek nie jest głupi, pomimo otwartej twarzy. Ale może tylko udaje, by zbić swoich rozmówców z tropu. Teraz, o dziwo, ma zupełnie inną minę - spogląda na mnie niemal łagodnie, jakby doszedł do wniosku, że nie stanowią dla niego żadnego zagrożenia. Nie wiem, co zrobiłam, że nabrał takiego przekonania, ale złości mnie to.

Obserwuję przez okno, jak idzie drogą na farmę państwa Pretty, i myślę o Ann. Zastanawiam się, czy to, co dostrzegłam na jej twarzy, to była litość.

Donald szybko poznaje kilka faktów o Caulfield. Po pierwsze, kiedy puka do drzwi, mieszkańcy domu wpadają w panikę - ludzie nie mają zwyczaju pukać do drzwi. Po upewnieniu się, że nikt z ich najbliższej rodziny nie zmarł, nie jest ranny ani nie został aresztowany, wciągają go do środka i raczą herbatą, starając się wydobyć z niego jakieś informacje. Jego notatki roją się od odnośników: pierwsza rodzina, którą odwiedził, nic nie widziała, ale posłała po kuzyna, na którego czekał ponad godzinę, by stwierdzić, że już z nim rozmawiał. Ludzie wchodzą i wychodzą, dzieląc się opiniami, teoriami i złowrogimi przepowiedniami na temat stanu państwa. Próba ogarnięcia tego wszystkiego przypomina obejmowanie rzeki ramionami.

Jest ciemno, kiedy kończy przesłuchiwać wyznaczone mu osoby. Czeką w salonie domu Knoxów i stara się wyciągnąć jakieś wnioski na podstawie tego, co usłyszał. Z jego notatek wynika, że nikt z rozmówców nie zauważył niczego niezwykłego - pomijając nietypowo zachowującą się wiewiórkę, którą tamtego ranka widział George Addamont. Donald ma nadzieję, że nie zbłądzi się, pomijając coś oczywistego. Jest zmęczony, opity herbatą, a także whisky; obiecał, że ponownie złoży wizyty w kilku domach; ale jest prawie pewny, że nie spotkał mordercy.

Zastanawia się, jak zapytać, gdzie jest łazienka, kiedy otwierają się drzwi i zagląda przez nie mniej urodziwa z córek Knoxa. Donald zrywa się na równe nogi, upuszczając kilka kartek papieru, które Maria mu podaje z chytrym uśmieszkiem. Donald się rumieni, ale

dziękuje Bogu, że świadkiem jego niezdarności jest Maria, a nie Susannah.

- A więc ojciec ściągnął pana, by bawił się pan w detektywa?

Donald natychmiast się domyśla, że dziewczyna wyczuła, iż nie jest pewien, czy dobrze się spisał tego popołudnia, i pokpiwa sobie z niego.

- Przecież ktoś musi szukać tego złoczyńcy, prawda?

- Naturalnie, nie chciałam... - Urywa, wyraźnie poirytowana. Zbyt późno Donald uzmysławia sobie, że chciała z nim tylko porozmawiać. Powinien był żartobliwie przyznać jej rację albo rzucić jakąś dowcipną uwagę.

- Czy wie pani, kiedy wróci ojciec?

- Nie. - Przygląda mu się taksująco. - Skąd mogę to wiedzieć? - Uśmiecha się, bynajmniej nie życzliwie. - Czy mam zapytać Susannah? Może ona wie. Pójdę jej poszukać.

Maria zostawia Donalda, który się zastanawia, co takiego zrobił, by zasłużyć sobie na tak niemiłe potraktowanie. Wyobraża sobie, jak obie siostry wyśmiewają się z jego braku ogłady, i nagle ogarnia go fala tęsknoty za księgami rachunkowymi, pozostawionymi w faktorii, wypełnionymi równiutkimi szeregami cyfr, które zawsze udaje mu się, przy odrobinie manipulacji, zbilansować. Szczyci się tym, że potrafi rozliczyć takie drobne pozycje, jak sprzątanie wykonane przez miejscowe kobiety czy prowiant przyniesiony przez myśliwych w rewanżu za „gościnność”, którą okazuje Kompania rodzinom traperów. Gdyby można było tak łatwo manipulować ludźmi.

Grzeczne chrząknięcie informuje go o obecności Susannah na chwilę przed tym, nim dziewczyna otwiera drzwi.

- Pan Moody? Och, widzę, że wszyscy o panu zapomnieli. Czy mam poprosić, by przyniesiono panu herbatę?

Uśmiecha się wdzięcznie, zupełnie inaczej niż jej siostra, ale i tak na jej widok Donald zrywa się na równe nogi, chociaż tym razem nie upuszcza swoich notatek.

- Nie, dziękuję, już... No cóż, może tak, byłoby to bardzo... Dziękuję.

- Stara się nie myśleć o hektolitrach herbaty, które wypił.

Kiedy przyniesiono napój, Susannah siada, by dotrzymać mu towarzystwa.

- Cóż za okropna historia, panno Knox. Żałuję, że nie spotkałimy się w bardziej radosnych okolicznościach.

- Tak, to straszne. Ale ostatnim razem też było strasznie... Został pan... Zaatakowany. Czy już pan całkowicie wydobrzył? Wyglądało to groźnie!

- Owszem, już nic mi nie dolega, dziękuję. - Donald się uśmiecha, zadowolony, że może jej sprawić przyjemność tą dobrą wiadomością, chociaż prawdę mówiąc, rana jeszcze niezupełnie się zagoiła i często mu dokucza.

- Czy ukarano tego człowieka?

Donaldowi nawet nie przeszło przez myśl, by domagać się ukarania Jacoba.

- Nie, okazał skruchę i stał się moim wiernym opiekunem. Uważam, że Indianie w ten sposób naprawiają wyrządzone zło. Lepsze to niż karanie, nie uważa pani?

Oczy Susannah robią się okrągłe ze zdumienia i Donald widzi, że mają szczególnie ładny kolor, są orzechowe w złote plamki.

- Ufa mu pan?

Donald się śmieje.

- Tak! Uważam, że jest szczerzy. Towarzyszy mi tu teraz.

- Wielki Boże! Wyglądał tak przerażająco.

- Przypuszczam, że prawdziwym winowajcą był alkohol. Jacob przysiągł, że już nigdy go nie weźmie do ust. To naprawdę bardzo łagodny człowiek. Ma dwie córeczki, które kocha nad życie. Pomagam mu w nauce czytania. Powiedział, że uważa czytanie i pisanie za równie fascynujące, jak polowanie na jelenia.

- Naprawdę? - Też się śmieje, a potem obydwójce milkną.

- Myśli pan, że znajdziecie zabójcę tego biedaka?

Donald spogląda na swoje notatki, choć te z pewnością mu nie pomogą. Ale Susannah patrzy na niego tak ciepło i ufnie, że Donald pragnie rozwiązać nie tylko zagadkę tego morderstwa, ale też naprawić całe zło na tym świecie.

- Według mnie w takiej osadzie jak ta ktoś musiał zwrócić uwagę na nieznanego. Odniosłem wrażenie, że ludzie na ogół wiedzą, co kto robi.

- Owszem - przyznaje mu rację Susannah, krzywiąc się.

- Taka ohydna zbrodnia... Nie spoczniemy, póki sprawca nie stanie przed sądem. Nie powinna pani żyć w strachu.

- Och, nie boję się. - Susannah buńczucznie przechyliła głowę. Nachyliła się do niego i zniża głos. - Musi pan wiedzieć, że przeżyliśmy już jedną tragedię.

Jest to tak niezwykle wyznanie, że Donald gapi się na nią, zgodnie z oczekiwaniami.

- Och, nie wiedziałem... Okropnie mi przykro...

Susannah jest wyraźnie zadowolona. Jako najmłodsza w rodzinie nieczęsto ma okazję opowiedzieć tę niezwykłą historię - w Caulfield już wszyscy ją znają, a do rzadkości należą sytuacje, kiedy powierza jej się zabawianie gości. Bierze głęboki oddech, rozkoszując się tą chwilą.

- Wydarzyło się to dość dawno temu, byliśmy wtedy jeszcze malutkie, więc tego nie pamiętam. Ale ponieważ dotyczy to siostry mamy...

Drzwi otwierają się tak nagle, że Donald jest pewien, iż Maria podsłuchiwała pod nimi.

- Susannah! Nie możesz o tym mówić! - Ma bladą i ściągniętą twarz, chociaż z jej słów trudno wywnioskować, co ją bardziej wzburzyło: to, że Susannah miała przedstawić tę historię, czy też to, że miał jej wysłuchać Donald. Zwraca się do niego: - Niech lepiej pan zamelduje się mojemu ojcu. Właśnie wrócił.

Knox i Mackinley siedzą w jadalni, na stole piętrzą się stosy kartek. Ku konsternacji Donalda, obaj sporządzili znacznie więcej notatek od niego. Rozgląda się za Metysem.

- Gdzie Jacob? Czy zje z nami obiad?

- Z Jacobem wszystko w porządku. Zajął się... ciałem.

- Co myśli na temat okaleczeń?



Mackinley gapi się na niego z oburzeniem.

- Jestem pewien, że jego opinia nie różni się od naszej.

Sędzia chrząka, zwracając im uwagę, by zajęli się tym, co w tej chwili najważniejsze, ale Donald widzi, że Knox usunął się w cień, dając tym samym do zrozumienia, że Mackinley jest tu teraz najważniejszy i wszystkim kieruje. Kompania przejęła śledztwo.

Po kolei relacjonują, co udało im się ustalić. Okazuje się, że nikt niczego nie widział. Kilka dni temu przejeżdżał tędy pośrednik handlowy, niejaki Gros Andre. A dzień wcześniej bawił w Caulfield znany wszystkim domokrążca, Daniel Swan, po czym udał się do St Pierre. Knox wysłał do tamtejszego sędziego pokoju wiadomość. Mackinley rozmawiał z młodym chłopakiem, który widział, jak Francis Ross pewnego wieczoru wchodził do chaty Jammeta - nie pamięta, kiedy - a teraz Francisa nie ma w domu.

- Matka podobno nie wie, kiedy syn wróci. Rozmawiałem o nim z sąsiadami, sprawia wrażenie dziwaka. Jest wyjątkowo skryty.

- Co nie znaczy, że to zrobił - wtrąca Knox.

- Musimy uwzględnić każdą ewentualność. Nie wiemy, czy któryś z tamtych dwóch złożył wizytę Jammetowi.

- Z pewnością był u niego pośrednik handlowy. Sądząc po imieniu, to Francuz. Wcześniej powiedział pan, że prawdopodobnie przyczyną zabójstwa był jakiś zatarg związany z interesami.

Mackinley przenosi wzrok na Donalda.

- Proponuję udać się za nim i to ustalić.

- Czy mam za nim podążyć?

Knox kręci głową.

- To nie będzie konieczne. Już pchnąłem umyślnego, Swan zostanie zatrzymany w St Pierre. I tak muszę tam jechać, więc przy okazji go przesłucham. Proponuję, żebyście zostali tutaj z Jacobem i wypyтали chłopaka Rossów, kiedy wróci do domu.

Donald w pierwszej chwili jest rozczarowany, ale później, uświadomiwszy sobie, jakie otwiera to przed nim możliwości, nie może uwierzyć we własne szczęście.

Mackinley marszczy czoło.

- Może lepiej wyjść mu naprzeciwko. Jeśli uciekł, nie ma sensu czekać, aż trop zwietrzeje.

- Ale gdzie go szukać? Może wcale się nie wybrał nad jezioro Swallow. Mamy na to tylko słowo jego matki. A to wyrostek. O ile nam wiadomo, nie miał motywu. Wprost przeciwnie; zdaje się, że przyjaźnił się z Jammetem.

- Musimy brać pod uwagę każdą ewentualność. - Mackinley spiorunował go wzrokiem.

- Naturalnie. Ale uważam, że pan Moody tylko straci czas, udając się nad jezioro. - Zwraca się do Donalda: - Niech pan odczeka dzień czy dwa. Jeśli Francis nie wróci do tego czasu, wyruszenie na jego poszukiwanie. Dzień zwłoki nie robi Jacobowi żadnej różnicy. Chłopak nie jest Indianinem i łatwo go będzie wysledzić.

Jacob został ochrzczony, ale nadal czuje się niepewnie na myśl o zmarłym, szczególnie zmasakrowanym w taki sposób. Jemu oraz dwójce opłaconych ochotników - jednym z nich jest akuszerka, doświadczona w ubieraniu nieboszczyków - zlecono dostarczenie zwłok do Caulfield. Tylko kobieta nie zatrzymała się, kiedy owionął ich smród. Jedyne cmoknęła i zabrała się do wycierania zaschniętej krwi. Ciało już zwiotczało, więc położyli nieboszczyka na wznak, zamknęli mu powieki i wsunęli do ust monetę. Akuszerka obwiązała zamordowanemu głowę, by nie opadła mu szczeka i by zasłonić ranę. Potem zawinęli go w prześcieradła i pozostał jedynie smród. Droga do Caulfield była tak wyboista, że Jacob musiał przytrzymać nieboszczyka, by nie zsunął się z wozu.

Teraz leży na stole za pospiesznie zaciągniętymi storami w sklepie Scotta, pomiędzy belami materiału i skrzyniami gwoździ. Cała trójka i stróż zatrudniany przez Scotta postali wokół w milczeniu, rum się rozeszli. Wymienili uwagi na temat pogody i zgodzili się, że dobrze się złożyło, że jest zimno.

Donald podąża za zapachem tytoniu do stajni, gdzie Jacob pali fajkę na stosie siana. W milczeniu siada obok niego. Metys ubija tytoń

w fajce. Uważa, że rozmowa o nieboszczyku oznacza pecha. Ale wie, że Donald właśnie dlatego tu przyszedł.

- Powiedz mi, co myślisz.

Jacob już się przyzwyczaił do osobliwych pytań Donalda, stale nagabującego go, co sądzi o tym czy o owym. Nie dziwi się, kiedy pytają go o pogodę albo jak wypadnie polowanie, albo ile czasu zajmie podróż. Ale Donald woli rozmawiać o sprawach mało konkretnych i nieistotnych, na przykład o historii, którą właśnie przeczytał, czy o uwadze, którą ktoś rzucił dwa dni temu. Jacob próbuje się domyślić, co Donald chce usłyszeć.

- Wiesz, że go oskalpowano. Zrobiono to szybko i z wprawą. Podcięto mu gardło, kiedy leżał, być może spał.

- Czy mógł to zrobić jakiś biały?

Jacob się uśmiecha, jego zęby błyskają w świetle lampy.

- Każdy może to zrobić, jeśli chce.

- Czy domyślasz się, kto to mógł zrobić albo dlaczego? Byłeś tam.

- Kto to zrobił? Nie wiem. Ktoś, kto nic do niego nie czuł. Dlaczego go zabił? Może dawno temu źle postąpił. Może kogoś skrzywdził... - Jacob milknie i spogląda na smugę dymu, unoszącą się ku krokwiom. - Nie. Jeśli ktoś pragnie się z kimś rozprawić, woli, żeby jego ofiara była przytomna, żeby wiedziała, że przegrała.

Donald kiwa głową, zachęcając Jacoba, by dalej mówił.

- Może zginął z powodu tego, co zamierzał zrobić. Może chciano go powstrzymać. Nie wiem. Ale uważam, że ten, kto to zrobił, prawdopodobnie nie pierwszy raz zabił człowieka.

Donald informuje go, że mają zaczekać na chłopaka Rossów, a w razie potrzeby wyruszyć na jego poszukiwania. Mackinley uda się za pośrednikiem handlowym, który jest głównym podejrzany; wtedy jemu przypadnie cała chwała za ujęcie zabójcy.

- Może nie powinien jechać sam, jeśli to taki bezwzględny człowiek. - Jacob się śmieje. - Gotów i jego załatwić.

Przeciąga palcem po szyi. Donald stara się nie uśmiechnąć. Odkąd zaprzyjaźnił się z Jacobem, zorientował się, że Mackinley jest powszechnie nielubiany.

- Nie sądzisz, że to dziwne, że ostatnio nikt nie widział żadnych... Indian? Jeśli oczywiście zabił go jakiś Indianin.

- Jeśli Indianin nie chce, by go ktoś zobaczył, to nikt go nie zobaczy. Tak przynajmniej jest w przypadku naszego ludu. Jeśli chodzi o innych... - Prycha lekceważąco. - Nie wiem. Może Czipewejowie nie są dobrymi tropicielami. - Uśmiecha się, żeby pokazać Donaldowi, że żartuje.

Czasami Donald czuje się jak dziecko przy tym młodym mężczyźnie, niewiele od niego starszym. Kiedy doszedł do siebie po tamtym wypadku, zaczął pomagać Jacobowi w nauce czytania i pisania, ale wcale nie czuje się jak jego mentor. Podejrzewa, że właściwie nie może sobie rościć żadnych praw do książkowych mądrości, którymi dzieli się z Jacobem; tak się tylko złożyło, że mu je przekazano. Natomiast gdy Metys mu o czymś mówi, to tak, jakby w pełni posiadał tę wiedzę, jakby tkwiła ona w nim. Ale może Jacob czuje się tak samo; ostatecznie cały świat wokół niego to tylko szereg znaków, które rozumie tak samo, jak Donald potrafi bez zastanowienia rozszyfrować znaczenie słów na papierze. Donald chciałby wiedzieć, co Jacob o tym sądzi, ale nie wie, jak go o to zapytać.

**M**aria Knox obserwuje zjawisko, którego była świadkiem już wiele razy: wrażenie, jakie jej siostra robi na młodych mężczyznach. Przyzwyczała się do tego, bo odkąd sama skończyła czternaście lat, a jej siostra - dwanaście, chłopcy obstępowali Susannah, inaczej się zachowywali w jej obecności, stawali się szorstcy i nieśmiali albo głośni i zarozumiali, w zależności od usposobienia. Na Marię nie zwracali uwagi; niezbyt ładna i sarkastyczna, była albo towarzyszką zabaw, albo - później - kimś, od kogo przepisywało się pracę domową. Natomiast Susannah miała wyjątkowo miły sposób bycia, a w miarę jak dorastała, okazało się, że jest również wyjątkowo śliczna. Nigdy nie była afektowana; znała większość gier, jeśli zaś zdawała sobie sprawę ze swojej urody (oczywiście, że tak), pozostała skromna, a nawet nie lubiła tego, że swym wyglądem zwraca na siebie uwagę. Tak już jest na tym świecie, że członkowie rodziny (i przypuszczalnie również społeczeństwa) szukają dla siebie odpowiedniej roli albo jest im ona narzucana, potem zaś stają się jej niewolnikami. Zgodnie z tą regułą Susannah została oczkiem w głowie wszystkich: rozpieszczano ją, ale traktowano trochę protekcyjnie, chroniono przed takimi nieprzyjemnymi stronami życia, jak zapchane klozety i podatki. Tymczasem Maria wyrosła na kłótniwą sufrażystkę, w okresie dojrzewania zapamiętała oddawała się lekturze, interesowała się ekspansjonizmem, wojną na Południu i innymi zagadnieniami, powszechnie uważanymi za nieodpowiednie dla panienek z dobrego domu. Od trzech lat prenumerowała kilka kanadyjskich i zagranicznych czasopism. Oficjalnie jest zwolenniczką reform (ale potajemnie

popiera Clear Grits), podziwia Tuppera i spiera się ze swoim ojcem, który woli George'a Browna. A wszystko to w miejscowości, gdzie kobiety czytające gazety uważane są za dziwaczki. Ale Maria wie, że pod względem możliwości umysłowych Susannah niewiele jej ustępuje. Gdyby jej siostra nie była taka ładna, a co za tym idzie - gdyby miała wolny wybór, prawdopodobnie również zostałaby intelektualistką. A Maria jest na tyle uczciwa, by przyznać, że gdyby natura obdarzyła ją hojniej urodą, nie poświęcałaby się z takim zapałem zdobywaniu wiedzy. Naprawdę takie małe różnice determinują bieg naszego życia.

Co jakiś czas Maria porusza kwestię dalszej nauki - ma dwadzieścia lat i zaczyna się obawiać, że jeśli wkrótce nie wyjedzie na studia, jej sytuacja stanie się nie do pozazdroszczenia. Ale jej bliscy twierdzą, że jest niezastąpiona, i aby to udowodnić, angażują ją we wszystko, co się dzieje. Matka omawia z nią wszelkie kwestie związane z prowadzeniem domu, uparczywie powtarzając, że sama nie może sobie dać rady („To jak sobie radziłaś, kiedy byłam dzieckiem?” - pyta retorycznie Maria). Ojciec często dyskutuje z nią o swoich sprawach. Natomiast Susannah zarzuca jej ręce na szyję i jęczy, że nie może bez niej żyć. Oczywiście, niewykluczone, że Marii brak odwagi, by wyjechać z Caulfield. (Może nawet nie ukończyłaby szkoły w mieście). Zastanawia się nad tym, ale kiedy zbyt często nad tym rozmyśla, ogarnia ją przygnębienie; wtedy szybko bierze kolejną gazetę i odpycha od siebie takie myśli. Poza tym, gdyby tej jesieni wyjechała na uczelnię, nie byłoby jej tu, by wspierać bliskich w tej godzinie próby. Matka stara się być dzielna, ale jej oczy zdradzają, jak bardzo się martwi - rzekomo tym, że musi się troszczyć o dwóch obcych mężczyzn, którzy zamieszkali w ich domu, ale w gruncie rzeczy boi się życia na tym pustkowiu.

Maria od dwóch dni próbuje dopaść ojca, gdy będzie sam, by wypytać go o postępy śledztwa, ale aż do tego wieczoru nie udawało jej się to. Jest pewna, że ojciec podzieli się z nią swoimi przemyśleniami, i pragnie przedyskutować z nim własne teorie. Kiedy jednak przedstawiciele Kompanii udają się na spoczynek, jego twarz, zawsze niezbyt czerstwa, jest niemal szara z przemęczenia. Oczy ma

zapadnięte, a nos zdaje się bardziej wydatny, niż zwykle. Maria podchodzi do ojca i obejmuje go.

- Nie martw się, papo, już wkrótce ta sprawa zostanie rozwiązana i będzie tylko wspomnieniem.

- Mam taką nadzieję, Mamie.

W głębi duszy lubi, jak tak ją nazywa - wołał tak na nią, kiedy była dzieckiem. Absolutnie nikomu innemu nie wolno się tak do niej zwracać.

- Jak długo tu zostaną?

- Chyba póki nie przesłuchają wszystkich, których chcą przesłuchać. Zamierzają poczekać na powrót Francisca Rossa.

- Francisca Rossa? Naprawdę? - Francis jest od niej młodszy o trzy lata, dlatego wciąż uważa go za nadąsanego, urodziwego chłopca, na którego widok chichotały starsze uczennice. - Cóż, nie muszą mieszkać akurat u nas. Mogliby się zatrzymać u państwa Scottów. Jestem pewna, że Kompanię na to stać.

- Niewątpliwie. Jak twoja matka i Susannah dają sobie z tym wszystkim radę?

Maria milczy, by się głębiej nad tym zastanowić.

- Mama byłaby szczęśliwsza, gdyby nasi goście wyjechali.

- Hm.

- A Susannah to nie przeszkadza. Uważa to za wspaniałe urozmaicenie naszego zwyczajnego życia. Chociaż dziś prawie opowie działałaby panu Moody'emu o naszych kuzynkach. Mało brakowało, a dałabym się ponieść nerwom. Sama nie wiem, dlaczego. Ale przecież to nie jego sprawa, prawda? - pyta, a po chwili dodaje, chociaż trochę jej wstyd: - Wydaje mi się, że chciała mu zaimponować. A przecież i bez tego wszystkim się podoba.

Jej ojciec się uśmiecha.

- Doskonale ją rozumiem. Nieczęsto jest podziwiana.

Maria śmieje się krótko.

- Co ty mówisz? Według mnie ciągle jest podziwiana.

- Owszem, budzi zachwyty. Ale ludzie nie traktują jej tak, jak ciebie, Mamie, z podziwem, a zarazem lękiem.

Patrzy na nią. Maria się uśmiecha, czując, jak jej policzki oblewa rumieniem. Podoba jej się to, że ludzie mają dla niej respekt.

- Nie chciałem ci pochlebiać.

- Nie martw się, nic a nic mi nie pochlebia, że porównują mnie z wodospadem Niagara czy Równiną Abrahama.

- No cóż, skoro tak...

Maria obserwuje, jak jej ojciec z trudem wchodzi po schodach, co świadczy o tym, że dokuczają mu stawy. To straszne patrzeć, jak rodzice się starzeją, wiedzieć, że cierpienia i choroby będą się kumulowały, aż człowiek całkowicie im ulegnie. Maria wyrobiła sobie już dość cyniczny pogląd na życie. Przypuszczalnie to jeszcze jeden produkt uboczny posiadania ślicznej siostry, która zawsze rzuca urok na mężczyzn. Tym razem jego ofiarą padł pan Moody.

Nie, żeby Maria się nim interesowała. Skądże znowu. Ale od czasu do czasu miło byłoby mieć świadomość, że nie jest zupełnie bez szans.



**S**taje się dla mnie jasne, że będę musiała coś zrobić. Po wyjściu Mackinleya krążę po kuchni do pojawienia się Angusa i nie muszę mu mówić, że Francis do tej pory nie wrócił. Informuję go, że wędki są w domu i że jedną schowałam. Teraz on też się zaniepokoił.

- Musisz go odszukać.
- Nie minęły jeszcze nawet trzy dni. Nie jest dzieckiem.
- Może coś mu się stało. Jest zimno. Nie wziął ze sobą koców.

Angus po chwili zastanowienia obiecuje, że jutro pojedzie nad jezioro Swallow. Doznaję takiej ulgi, że podchodzę do niego i go obejmuję, ale pozostaje sztywny i obojętny. Czeka, aż go puszcze, a potem się odwraca, jak gdyby nigdy nic.

Byliśmy dobrym małżeństwem, póki się nad tym nie zastanawiałam. Teraz widzę, że im bardziej się martwię o innych, tym mniej im się to podoba. Kiedy myślałam wyłącznie o sobie, wystarczyło, że pstryknęłam palcami, a mężczyźni robili to, co chciałam. Potem spróbowałam stać się kimś lepszym i proszę, dokąd mnie to zaprowadziło: własny mąż odwraca się ode mnie i nie chce mi spojrzeć w oczy. A może po prostu tak się dzieje wraz z upływem czasu - w miarę jak kobiecie przybywa lat, traci umiejętność czarowania i siłę przekonywania, i nic nie można na to poradzić.

- Pojadę z tobą.
  - Nie bądź niemądra.
  - Nie mogę znieść tego czekania. A jeśli coś się... stało?
- Angus wzdycha, zgarbił się, jakby mu nagle przybyło lat.

- Rhu... - mówi pieszczotliwie, jak kiedyś, a mnie przebiega dreszcz. - Jestem pewien, że nic mu nie jest. Wkrótce wróci.

Kiwam głową, wzruszona, że zwrócił się do mnie zdrobniale. Prawdę mówiąc uchwyciłam się tego niczym koła ratunkowego, chociaż, myślę sobie później, skoro nadal jestem jego „rhu”, jego ukochaną, dlaczego nie patrzy mi w oczy, mówiąc mi to?

Kiedy się ściemnia, idę na spacer. Przynajmniej tak mówię Angusowi. Nie wiem, czy mi wierzy. O tej porze wszyscy w Dove River zasiadają do posiłku, jakby wiedzeni owczym pędem, więc nikt się nie będzie kręcił tam, gdzie nie powinien. Nikt oprócz mnie.

Rozmyślam nad tym przez większą część dnia i uznaję, że najlepiej wybrać się wieczorem. Wprawdzie mogłabym poczekać do świtu, ale nie chcę tego dłużej odwlekać. Rzeka płynie szybko, poziom wody jest wysoki - na północy spadły deszcze. Ale skała, z której skoczył Doc Wade, jest sucha - tylko podczas wiosennych powodzi zalewają woda.

Mimo mroku widzę jednak na niej ciemny, mokry ślad stopy. Czyżby Knox zlecił komuś pilnowanie chaty Jammeta? Strażnikowi znudziło się stać na warcie i poszedł sobie pobrodzić. Nie wierzę w to ani przez chwilę, więc cicho się skradam wzdłuż ściany chaty, niewidoczna od strony drzwi frontowych. Panuje niczym niezmacona cisza. Może wszystko sobie wyobraziłam - już nie widzę skały. Mocniej, niż trzeba, zaciskam dłoń na nożu w kieszeni. Nie, żebym choć przez moment przypuszczała, że morderca tu wróci - po co miałyby to robić? - ale dalej się skradam, jedną ręką trzymając się ściany chaty. Przystaję dopiero pod oknem i nasłuchuję. Stoję tam tak długo, że mi drętwieje noga, lecz nie słyszę nic, nawet najmniejszego szmeru. Podchodzę do zamkniętych drzwi, wydjmuję obcęgi i przecinam drut, którym zabezpieczono wejście. W środku panuje mrok, ale i tak na wszelki wypadek zamykam drzwi.

Izba wygląda dokładnie tak, jak ją zapamiętałam, tylko łóżko jest teraz puste. Od materaca i koców leżących pod ścianą wciąż bije ok-

ropny smród. Zastanawiam się, kto je upierze - a może po prostu je spalą? Mało prawdopodobne, by przydały się jego starej matce. Zaczynam od góry. Zdaje się, że Jammet rzadko tu zaglądał – pod ścianami stoją pudła i skrzynie, wszystko pokrywa kurz, zdradzając, gdzie wczoraj chodzili mężczyźni: ich buty pozostawiły ciemne ślady tam, gdzie się zatrzymali i czemuś się przyglądali. Stawiam lampę i zaczynam przeszukiwać najbliższe pudło, w którym są odświętne ubrania - niemodny, czarny surdut i spodnie, pewnie za małe na niego. Czy należały do jego ojca czy też sam w nich chodził, kiedy był młodszy? Przeszukuję zawartość innych pudeł: ubrania, jakieś dokumenty z Kompanii Zatoki Hudsona, głównie dotyczące jego przejścia na rentę po „wypadku, który się wydarzył w okresie zatrudnienia”.

Kilka przedmiotów rzuca światło na życie Jammeta sprzed osiedlenia się w Dove River. O niektórych staram się zbyt długo nie rozmyślać: na przykład o jedwabnym kwiatku spłowiełym ze starości - dowód miłości kobiety czy coś, co zamierzał jej podarować, ale tego nie zrobił? Myślę o nieznanym mi kobietach w jego życiu. Natrafiam też na zdjęcie ukazujące młodego Jammeta, szczerzącego zęby w szerokim uśmiechu. Towarzyszy mu kilku mężczyzn, uznaję, że to traperzy; wszyscy mają fulary, kurtki z kapturami i mniej lub bardziej mrużą oczy przed ostrym słońcem. Stoją wokół łodzi i stosu skrzyń, ale tylko Jammet się uśmiecha. Z jakiej okazji zrobiono to zdjęcie? Może właśnie w rekordowo krótkim czasie pokonali jakąś szczególnie trudną trasę? Traperzy szczycą się takimi osiągnięciami.

Przeszukawszy pudła, odsuwam je od ściany. Nie jestem pewna, co spodziewam się tam znaleźć; widzę tam jedynie kurz i mysie bobki oraz zasuszone osy.

Schodzę na dół przygnębiona. Nie wiem nawet, czego konkretnie szukam; jakiegoś potwierdzenia, że Francis nie ma nic wspólnego z tym zabójstwem, bo że nie ma, to przecież oczywiste. Nie wiem, cóż mogłoby to być takiego.

Uświadamiam sobie, że oddycham głośno przez usta, grzebiąc w zapasach żywności. W całej izbie panuje gorszy smród niż wtedy,

kiedy tu jeszcze leżały zwłoki. Dla świętego spokoju, żeby nie zadreżać się nocą i nie musieć powtórnie tu przychodzić, wsadzam rękę do puszek z kaszą oraz mąką i właśnie tam to znajduję. W mące czuję coś pod palcami i gwałtownie odskakuje, wydając zduszony okrzyk. Rozsypuję mąkę wokół. Na skrawku papieru, oderwanym od większej kartki, widzę cyfry i litery: „61HBKW”. Nic więcej. Naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić, na co komu mogłoby się to przydać. Cemu chować kawałek kartki w puszcze z mąką, skoro są na niej tylko pozbawione sensu litery, szczególnie jeśli ktoś nie umie czytać, tak jak Jammet? Wkładam kartkę do kieszeni, nim przychodzi mi na myśl, że mogła przypadkiem znaleźć się w puszcze z mąką. A nawet że mogła dostać się do mąki wszędzie: na przykład w sklepie Scotta. Nawet jeśli ukrył ją Jammet, mało prawdopodobne, bym dzięki niej ustaliła tożsamość jego zabójcy.

Do tej pory szerokim łukiem omijałam część izby w pobliżu łóżka i nie mam ochoty, oględnie mówiąc, czegokolwiek tam dotykać. Powinnam była wziąć ze sobą rękawiczki, ale nie pomyślałam o tym. Zaglądam do pustej komory paleniskowej, zła na siebie, że nie wpadłam na taki pomysł. I właśnie wtedy wydarza się coś, przez co niemal mdleję: rozlega się pukanie do drzwi.

Przez kilka sekund stoję nieruchomo jak słup soli, ale to głupota udawać, że mnie tutaj nie ma, szczególnie że przez półprzejryste okna widać palącą się lampę. Stoję jeszcze przez chwilę, starając się wymyślić powód swojej obecności tutaj, ale nim cokolwiek przychodzi mi do głowy, drzwi się otwierają i staje w nich mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widziałam na oczy.

**W**krótce po tym, jak wynurzył się z jasnej mgły dzieciństwa, Donald musiał przyjąć do wiadomości, że z trudem widzi przedmioty znajdujące się w jakiegokolwiek odległości od niego. Wszystko, co było dalej, niż na wyciągnięcie ręki, stawało się niewyraźne; małe przedmioty w ogóle umykały jego uwagi; ludzie tracili rysy twarzy. Nie poznawał przyjaciół ani nawet członków własnej rodziny, przestał klaniać się ludziom, bo zwyczajnie nie wiedział, z kim ma do czynienia. Przyczepiono mu łatkę „oschłego”. Zwierzył się ze swojego problemu matce i wkrótce otrzymał parę niewygodnych okularów w drucianej oprawce. To był pierwszy cud w jego życiu - dzięki okularom odzyskał świat.

Drugi cud wydarzył się niewiele później. W bezchmurny, listopadowy wieczór wracał ze szkoły do domu. W pewnej chwili podniósł wzrok i ze zdumienia stanął jak wryty. Tuż przed nim wisiał księżyc w pełni, a na drodze za nim ciągnął się długi cień. Najbardziej jednak zdumiał go blask księżycy. Przyjął (nigdy specjalnie się nad tym nie zastanawiając), że dla każdego księżyc jest zamazanym okręgiem. Jak mogło być inaczej, skoro znajdował się tak daleko? Nagle ujrzał go ze wszystkimi szczegółami - pomarszczoną, dziobatą powierzchnię, jasne równiny i ciemne kraterzyki. Dzięki okularom dobrze widział nie tylko to, co znajdowało się po drugiej stronie ulicy, i tablicę z hymnami w kościele, ale również to, co krążyło we wszechświecie w odległości nie wiedzieć ilu mil. Zdjął okulary - księżyc stał się delikatniejszy, większy, jakby bliższy. Wszystko, co go otaczało, przybrało bardziej złowrogi wygląd. Z powrotem założył okulary i znów widział wszystko wyraźnie.

Tamtego wieczoru szedł do domu przepelniony bezbrzeżnym zachwytem. Śmiał się w głos ku zdumieniu przechodniów. Miał ochotę krzyczeć do nich, podzielić się z nimi swoim odkryciem. Wiedział, że dla nich nie miało ono żadnego znaczenia, bo zawsze dobrze wszystko widzieli. Ale było mu ich żal, że nie potrafią docenić, jak ogromnym darem jest wzrok; tyle że trzeba go najpierw stracić, a potem znów odzyskać, by zrozumieć jego wartość.

Ile razy od tamtej pory odczuwał taki wszechogarniający zachwyty? Prawdę powiedziawszy, ani razu.

Donald leży na wąskim, niewygodnym łóżku i patrzy na księżyc nad Caulfield. Zdejmuje okulary i znów je zakłada, ponownie przeżywając tamtą cudowną chwilę objawienia. Pamięta, jaki był przeświadczony, że pozwolono mu spojrzeć na coś wyjątkowego, chociaż nie do końca wie, skąd to wrażenie się wzięło. Teraz wydaje mu się, że nie miało to większego znaczenia. Ale przyzwyczaił się patrzeć na rzeczy z dystansem, żeby właściwie je ocenić. Może dlatego tak go pociągały cyfry, ich niema prostota. Cyfry zawsze pozostają sobą. Jeśli ująć coś w formie liczb, można to uszeregować i zbilansować. Weźmy rodziny tubylców, mieszkające poza palisadą Fortu Edgar, przyczynę wiecznego bólu głowy faktorów. Traperzy płodzili dzieci w zastraszającym tempie, przez co Kompania miała coraz więcej gęb do wyżywienia. Narzekano na wysokie koszty produktów przez nie spożywanych i opieki medycznej, której wymagały, więc Donald postanowił oszacować wartość prac wykonywanych przez kobiety w formie. Uwzględnił pranie i uprawę warzyw, garbowanie skór, wytwarzanie rakiet śnieżnych... Wycenił poszczególne usługi i wykazał czarno na białym, że Kompania odnosi co najmniej takie same korzyści z obecności rodzin traperów, jak rodziny z istnienia Kompanii. Był dumny ze swojego dzieła, szczególnie kiedy poznał żonę Jacoba i ich dzieci - dwie dziewczynki, które przyglądały się błędemu przyjacielowi swojego ojca wielkimi, brązowymi oczami. Te dzieci z ich

ufnym spojrzeniem i niezrozumiałymi imionami porównał do futer, z handlu którymi utrzymuje się Kompania, chociaż szczerze mówiąc, nikt nie ma ani cienia wątpliwości, co jest cenniejsze.

Kiedy Donald pojawił się w Fort Edgar, jeden z pracowników, niejaki Bell, oprowadził go po faktorii. Donald obejrzał biura, przepelnione kwatery, sklep, indiańską wioskę za palisadą (z odpowiedniej odległości), kościół z bali, cementarz... I na koniec olbrzymie, zimne składowe, w których przechowywano futra przed ich wysyłką do Londynu, gdzie zostaną sprzedane za gotówkę. Bell rozejrzał się ukradkiem wokoło, nim rozerwał belę i na posadzkę wysypały się lśniące futra.

- A więc o to w tym wszystkim chodzi - powiedział z edynburskim akcentem. - Ta partia będzie warta w Londynie kilka gwinei. Popatrzmy... - Poglądził futro ręką. - To kuna. Rozumiesz teraz, dlaczego nie chcemy, żeby strzelali do zwierząt. Wnyki nie zostawiają prawie żadnych śladów. Sam zobacz!

Zaczął wymachiwać Donaldowi przed nosem futerkiem zwierzęcia przypominającego łasicę. Zostawiono główkę - mały, spiczasty pyszczek i zaciśnięte oczka, jakby biedactwo nie mogło znieść wspomnienia tego, co je spotkało.

Odłożył futerko i znów zanurzył dłoń w stosie skór, wyciągając je szybko jedną po drugiej, niczym sztukmistrz.

- Te są mniej cenne: bobrowe, wilcze i niedźwiedzie, chociaż też się przydają. Dobrze nimi owijać inne futra. Pomacaj, jakie są szorstkie...

Lśniące futra zdawały się ożywać w jego dłoniach. Donald brał skóry, które mu podawał Bell, i zdumiało go, jakie są delikatne w dotyku. Ten ogromny magazyn śmierci budził w nim obrzydzenie, ale kiedy Donald poczuł pod palcami zimną, jedwabistą sierść, zapragnął unieść miękkie futro do ust. Naturalnie opanował się, ale zrozumiał, dlaczego kobiety tak lubią owijać szyje etolami; wystarczy lekko przechylić głowę, by futro dotknęło policzka.

Bell wciąż mówił, niemal sam do siebie.

- Ale najcenniejsze... Ach, srebrne lisy. Są na wagę złota. - Oczy mu błyszczały w przyćmionym świetle.

Donald wyciągnął rękę, by dotknąć futra, i Bell niemal drgnął. Futro było szaro-biało-czarne; te trzy kolory połyskiwały srebrzyście. Gęste i miękkie, spływało niczym strumień wody. Donald cofnął rękę, bo Bell wyraźnie nie był w stanie wypuścić go z dłoni.

- Cenniejsze od nich są tylko czarne lisy, też z dalekiej północy, ale trafiają się rzadziej niż raz na rok. W Londynie płacą za nie sto gwinei.

Donald ze zdumieniem pokręcił głową. Kiedy Bell zaczął upychać futra w drewnianej skrzyni, ostrożnie umieszczając srebrnego lisa w samym środku, Donalda ogarnęło skrępowanie. Czuł się tak, jakby był świadkiem miłosnego uniesienia, chociaż Bell starał się to ukryć.

Donald z wysiłkiem wraca do chwili obecnej. Chce przeanalizować rozmowę z Jacobem, zestawić fakty i znaleźć genialne rozwiązanie zagadki, ale ma za mało informacji. Zabito człowieka, nikt jednak nie wie, dlaczego, ani tym bardziej, kto to zrobił. Gdyby mogli prześledzić życie Jammeta od końca, gdyby mogli się dowiedzieć o nim wszystkiego, czy poznaliby prawdę? Czuje, że to czcze rozważania; nie wyobraża sobie, by Kompania zleciła swoim pracownikom takie zadanie. Nie poświęcą tyle czasu, by znaleźć zabójcę niezależnego handlarza futrami.

Znów wraca myślą do Susannah. Siedział z nią w salonie kilka minut, chyba uznała go za dość interesującego mężczyznę, chciała mu opowiadać różne historie i wysłuchać tego, co on ma do powiedzenia. Był zbyt zdenerwowany, żeby się cieszyć, ale ogarnęło go coś na kształt szczęścia, rozwijającego się jak pączki kwiatów po kanadyjskiej zimie. Zdejmuje okulary i z braku nocnej szafki odkłada je na podłogę. Ma nadzieję, że nie nadejście na nie rano.



Po początkowym szoku uświadamiam sobie, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Mężczyzna stojący na progu ma przynajmniej sześćdziesiąt lat, sprawia wrażenie mola książkowego, a co ważniejsze - nie jest uzbrojony. Wygląda bardzo dystyngowanie, ma proste, siwe włosy, zaczesane do tyłu, pociągłą twarz i orli nos. Patrzy na mnie uprzejmie. Prawdę mówiąc, jak na swój wiek (sama się dziwię, że właśnie takie określenie przyszło mi do głowy, ale jest jak najbardziej na miejscu) jest piękny.

Nabrałam nagannego zwyczaju, dość tu powszechnego, albowiem sam akcent nie wystarcza do oceny człowieka, zwracania uwagi na kilka rzeczy u nieznajomych. Zawsze, kiedy widzę kogoś po raz pierwszy, spoglądam na mankiety, buty, paznokcie u rąk i temu podobne, by oszacować pozycję materialną i status społeczny danej osoby. Ten mężczyzna ma na sobie ekstrawagancki surdut, dobrze skrojony, ale dość podniszczony, a chociaż jest schludny i gładko ogolony, ma okropnie znoszone buty. Zauważam, że podczas tych kilku chwil, potrzebnych mi do wyciągnięcia powyższych wniosków, nieznajomy w podobny sposób, co ja jemu, przyglądał się mnie, więc przypuszczalnie domyślił się, że jestem żoną w miarę zamożnego farmera. Naprawdę trudno mi powiedzieć, czy wysunął dalej idące wnioski i uznał, że jestem zgorzkniałą dawną pięknoscią.

- Przepraszam... - Ma miły głos, mówi z jankeskim akcentem. Serce przestaje mi walić jak szalone.

- Przestraszył mnie pan - mówię surowo, świadoma tego, że mam mąkę na sukni i prawdopodobnie we włosach. - Czy szuka pan Jammeta?

- Nie. Słyszałem... - Wskazuje łóżko i zakrwawione koce. - Straszna rzecz... Wielka strata. Przepraszam, nie wiem, jak godność pani.

Uśmiecha się poważnie i uświadamiam sobie, że czuję do niego sympatię. Doceniam dobre maniery, szczególnie u kogoś, kto nie pyta, co robię na miejscu zbrodni.

- Nazywam się Ross. Byliśmy sąsiadami. Przyszłam, żeby uporządkować jego rzeczy. - Uśmiecham się smutno, dając w ten sposób do zrozumienia, jakie to nieprzyjemne zadanie. Czy sobie to wyobraziłam, czy też drgnął, kiedy wspomniałam o rzeczach Jammeta?

- Ach, pani Ross, najmocniej przepraszam, że pani przeszkodziłem. Thomas Sturrock, do usług, mieszkam w Toronto. Jestem prawnikiem.

Podaje mi rękę, a ja ją ściskam. Kłania mi się.

- Przyjechał pan, żeby obejrzyć jego majątek? - Z tego, co wiem, prawnicy nie pojawiają się sami z siebie, by myszkować po zmroku, brudzić sobie ręce. Nie mają postrzępionych mankietów ani dziurawych butów.

- Nie, nie przyjechałem tutaj w interesach.

Na dodatek jest szczery, co również nie pasuje do prawnika.

- To sprawa osobista. Nie wiem, do kogo się zwrócić, ale, widzi pani, monsieur Jammet był w posiadaniu przedmiotu, który ma duże znaczenie w związku z prowadzonymi przeze mnie badaniami. Zamierzał mi go przysłać.

Milknie, by ocenić moją reakcję. Jestem wyraźnie speszona. Przeszukałam chatę od góry do dołu i nie przychodzi mi na myśl nic, co mogłoby zainteresować kogokolwiek, a już szczególnie kogoś takiego, jak pan Sturrock. Gdyby Jammet miał coś takiego, przypuszczam, że by to sprzedał.

- To nic wartościowego - dodaje. - Jest interesujące z czysto naukowego punktu widzenia.

Wciąż milczę.

- Chyba muszę się oddać w pani ręce - mówi z nieśmiałym uśmiechem. - Nie może pani w żaden sposób ocenić, czy mówię prawdę, więc opowiem pani wszystko. Monsieur Jammet nabył fragment kości mniej więcej tej wielkości... - Pokazuje swoją dłoń. - Są na niej znaki. Możliwe, że to przedmiot posiadający wartość archeologiczną.

- Powiedział pan, że jest pan prawnikiem...?

- Prawnikiem z zawodu. Archeologiem z zamiłowania.

Szeroko rozkłada ręce. Zaintrygował mnie, lecz wygląda na uczciwego człowieka.

- Muszę przyznać, że nie znałem go zbyt dobrze, ale przykro mi, że nie żyje. O ile wiem... Umarł dość niespodziewanie.

Można to i tak określić.

- Na pewno sprawiam wrażenie osoby pazernej, skoro tak szybko po jego śmierci pojawiłem się tutaj po ten przedmiot, ale wierzę głęboko, że ta rzecz może mieć duże znaczenie. Wygląda niepozornie i byłoby niepowetowaną stratą, gdyby ją wyrzucono przez ignorancję. A więc już pani wie, dlaczego tu jestem.

Patrzy w taki sposób, że rozbraja człowieka - szczerze i dość niepewnie. Nawet jeśli kłamie, nie mam pojęcia, jak miałyby tym wyrządzić jakąś szkodę.

- Cóż, panie Sturrock... - zaczynam. - Nie...

Urywam nagle, bo słyszę chrzęst kamyków na ścieżce za domem. Natychmiast zabieram lampę z pieca.

- Panie Sturrock, pomogę panu, jeśli pan pomoże mnie i zrobi to, co powiem. Proszę wyjść i ukryć się w zaroślach nad rzeką. Niech pan nie zdradzi swojej obecności. Jeśli przystanie pan na moje warunki i nikt pana nie zobaczy, podzielę się z panem tym, co wiem.

Ze zdumieniem otwiera usta, ale porusza się zdumiewająco szybko jak na swój wiek: ledwo kończę mówić, już jest na zewnątrz. Gaszę lampę, zamykam drzwi i zaginam drut, by się nie otworzyły, a potem sama ukrywam się w zarośniętym ogrodzie Jammeta. W duszy dziękuję Francuzowi, że nie przykładął wagi do pielęgnacji obejścia; w tych chaszczach mogłoby się ukryć nawet kilkanaście osób.

Staram się schować głębiej w krzakach i czuję, że jedną nogą wdepnęłam w coś miękkiego i mokrego. Odgłosy kroków przybierają na sile, widzę ciemną postać, trzymającą w ręku zapaloną lampę.

Ku swemu najwyższemu zdumieniu poznaję swojego męża.

Unosi lampę do góry, otwiera drzwi i wchodzi do środka. Czekam dość długo, robi mi się coraz zimniej, but nasiąka wodą, zastanawiam się, kiedy Sturrock powie „dość”, wyjdzie ze swojej kryjówki i porozmawia z nowym przybyszem, a nie z jakąś szaloną kobietą. W końcu Angus wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Prawie się nie rozgląda, szybko oddala się ścieżką, niebawem nie widać nawet światła jego lampy.

Jest teraz całkiem ciemno. Zesztywniałam od długiego bezruchu, kości w stawach mi trzeszczą, kiedy wyciągam nogę z miękkiej brei. Mam mokrą pończochę. Szukam zapalek i z trudem udaje mi się zapalić lampę.

- Panie Sturrock - wołam i kilka chwil później pojawia się w kręgu światła, rzucanego przez lampę, otrzepując liście ze swojego znoszonego surduta.

- Niezła przygoda. - Uśmiecha się do mnie. - Kim był ten dżentelmen, przed którym musieliśmy się ukryć?

- Nie wiem. Było za ciemno. Panie Sturrock, przepraszam za swoje zachowanie. Musi mnie pan uważać za bardzo dziwną osobę. Będę szczerą, tak jak pan był szczerzy wobec mnie, i pewnie pomożemy sobie nawzajem.

Mówiąc to, otwieram drzwi i smród znów uderza we mnie z całą siłą. Jeśli Sturrock coś poczuł, nie dał tego po sobie poznać.

W przeciwieństwie do Angusa, większość mężów nie okazałaby pobłażliwości żonom znikającym o zmierzchu i wracającym po zapadnięciu ciemności z nieznanym mężczyzną. To jeden z powodów, dla których go poślubiłam. Początkowo zachowywał się tak, bo mi ufał; teraz może już przestał wierzyć, że zdołałabym obudzić grzeszne uczucia, a może zwyczajnie jest mu to obojętne. W Dove River rzadko się pojawiają ludzie całkiem obcy; zazwyczaj budzą wielkie

zaciekawienie, lecz Angus tylko spojrzął i obojętnie skinął głową. Może jednak już go widział w chacie.

Sturrock niewiele mówi o sobie, ale podczas posiłku wyrabiam sobie o nim zdanie. Mam do czynienia z mężczyzną, który chodzi w dziurawych butach i lubi palić drogi tytoń. Z mężczyzną, który zajada się wieprzowiną i ziemniakami tak, jakby od tygodnia nie miał w ustach przyzwoitego posiłku. Z mężczyzną wrażliwym i inteligentnym, a do tego być może rozczarowanym życiem. I jeszcze jedno - z mężczyzną ambitnym. Bo bardzo mu zależy na tym małym kawałku kości, cokolwiek to jest.

Mówimy mu o Francisie. Powszechnie wiadomo, że dzieci gubią drogę w lesie. Oczywiście, roztrząsamy przypadek sióstr Seton. Słyszał o nich, jak wszyscy po tej stronie granicy. Sturrock zwraca uwagę na różnice między siostrami Seton a Francisem. Przyznaję, że chłopak to nie to samo, co młoda, bezbronna dziewczyna, ale niezbyt mnie to uspokaja.

Człowiek różnie patrzy na las. Czasami to tylko drzewa, surowiec do budowy domów i ich ogrzewania, do okrywania nagości ziemi. I tyle... Ale kiedy indziej, jak na przykład dziś w nocy, to coś bezkresnego i mrocznego; na dobrą sprawę ma nie tylko długość i szerokość, w której można się zgubić, lecz także niezmierną głębię lub jeszcze coś zupełnie innego.

Czasami człowiek patrzy na własnego męża i myśli: czy to prostolinijny człowiek, którego się dobrze zna - żywiciel rodziny, przyjaciel, ktoś, kto opowiada kiepskie, a jednak śmieszne dowcipy - czy też gdzieś głęboko kryje jakieś tajemnice, o których istnieniu nie mamy pojęcia? Do czego jest zdolny?

Nocą temperatura spada. Kiedy Donald rano zeskrobuje szron z wewnętrznej strony szyby i wygląda przez okno, widzi cienką warstewkę śniegu. Ciekaw jest, czy Jacob spędził noc w stajni. Metys co prawda przyzwyczajony jest do chłódów. Ubiegła zima - pierwsza, jaką Donald spędził w tym kraju - była stosunkowo łagodna, ale dla niego i tak stanowiła szok. Ten łamiący w kościach ranek to dopiero przedsmak tego, co nastąpi.

Knox znalazł miejscowego, który zgodził się towarzyszyć Mackinleyowi, podążającemu śladem Francuza. Kogoś wystarczająco nisko urodzonego, żeby Mackinley nie musiał się z nim dzielić swoją chwałą... Donald odpędza tę myśl, uznając ją za złośliwą. Ostatnio coraz częściej opadają go takie refleksje. Nie tego się spodziewał, kiedy opuszczał Szkocję - rozległy, niezamieszkały kraj zdawał się ziemią obiecaną, gdzie ostry klimat i proste życie wydobywa wszystko, co najlepsze w człowieku, a wymazuje drobne wady charakteru. Tymczasem rzeczywistość okazała się zupełnie inna - a może to on jest pełen wad i nie chce się ich pozbyć? Może zwyczajnie brak mu kręgosłupa moralnego.

Po wyjeździe Mackinleya, do samego końca małomównego i drażliwego, Donald niespiesznie popija kawę w nadziei, że może pojawi się Susannah. Zresztą przyjemnie posiedzieć przy stole nakrytym białym obrusem, patrzeć na obrazy na ścianie, być obsługiwany przez białą kobietę - nawet jeśli to irlandzka prostytutka - i gapić się w zamyśleniu na ogień na kominku, nie czekając w lęku na złośliwe przytyki pod swoim adresem. W końcu jego cierpliwość

zostaje nagrodzona, obie siostry pojawiają się i zajmują swoje stałe miejsca.

- A więc, panie Moody - mówi Maria - teraz pan strzeże naszego bezpieczeństwa, kiedy pozostali udali się w pościg za podejrzanymi.

To niesłychane, jak jednym zdaniem Maria potrafi sprawić, by poczuł się jak tchórz. Stara się, by nie odebrano jego słów jako próby tłumaczenia się.

- Czekamy na Francisa Rossa. Jeśli nie wróci dziś do domu, wyruszymy na jego poszukiwanie.

- Chyba pan nie sądzi, że mógł to zrobić? - Susannah czarująco marszczy brwi.

- Nic o nim nie wiem. A co panie myślała?

- To siedemnastolatek. Dość urodziwy. - Maria spogląda na niego ukradkiem.

- Jest słodki - mówi Susannah ze wzrokiem utkwionym w stół. - Nieśmiały. Nie ma wielu przyjaciół.

Starsza siostra prycha z sarkazmem. Donald przypuszcza, że w obecności złośliwej Marii i ślicznej Susannah każdy młodzieniec, chcąc nie chcąc sprawia wrażenie nieśmiałego lub skępowanego.

- Nie znamy go zbyt dobrze - dodaje Maria. - Nie wiem, czy ktokolwiek go dobrze zna. Ale sprawia wrażenie maminsynka. Nie chodzi na polowania ani nie robi tego, co większość chłopców.

- A co robi większość chłopców? - Donald stara się jak najbardziej zdystansować od czasów, kiedy sam miał siedemnaście lat i nie polował, więc te dwie młode damy niewątpliwie uznałyby go za maminsynka.

- No, wie pan, trzymają się razem, płatają sztubackie figle, upijają się... i temu podobne głupoty.

- Uważa pani, że ktoś, kto tego nie robi, nie jest zdolny do popełnienia morderstwa?

- Nie... - Maria zamyśla się na moment. - Zawsze jest naburmuszony i... i jakby coś ukrywał.

- Pamiętam jedno wydarzenie. To było w szkole - mówi Susannah, twarz jej się rozpromienia. - Miał wtedy chyba czternaście

lat a ten drugi chłopak... Czy to był George Pretty? Nie, nie, Matthew Fox. Albo... - Urywa, marszcząc brwi. Maria rzuca jej dziwne spojrzenie.

- A więc Matthew czy ktoś tam próbował ściągać i wcale się z tym nie krył, zależało mu, żeby koledzy to widzieli... Nagle Francis zorientował się, co się dzieje, i wpadł w szał. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ktoś pobladł ze złości, a on zrobił się biały jak ściana, chociaż normalnie ma jakby złotawą karnację... Zaczął tak okładać Matthew pięściami, jakby chciał go zabić. Słowo daję, że wpadł w amok, pan Clarke i jeszcze jeden chłopiec musieli siłą go odciągnąć. Wyglądało to całkiem groźnie.

Patrzy na Donalda swoimi dużymi, orzechowymi oczami.

- Od dawna o tym nie myślałam. Sądzi pan, że...?

- To nie był atak szału, prawda, panie Moody? - Maria zachowała spokój, natomiast Susannah jest ogromnie przejęta.

- Nie można niczego wykluczyć.

- Pan Mackinley podejrzewa jakiegoś francuskiego pośrednika handlowego, prawda? Dlatego ruszył za nim. A może chce, żeby to był francuski kupiec. Nie lubicie w Kompanii niezależnych kupców, prawda, panie Moody?

- Kompania, co zrozumiałe, stara się chronić swoje interesy, ale na ogół wszyscy na tym zyskują, kiedy traperzy dostają stałą cenę za swoje skóry. Poza tym Kompania troszczy się o los wielu ludzi. Traperzy wiedzą, dokąd się udać, sytuacja jest... stabilna. Tymczasem tam, gdzie jest konkurencja, ceny to rosną, to spadają, niezależni kupcy nie dbają o rodziny traperów. Na tym polega różnica między... ładem a anarchią. - Donald słyszy protekcyjny ton w swoim głosie i krzywi się w duchu.

- Ale jeśli niezależny pośrednik handlowy proponuje wyższą cenę niż Kompania, traper z pewnością może skorzystać z jego oferty? Wtedy sam może się zatroszczyć o swoich bliskich.

- Naturalnie, wolno mu robić, co chce. Ale musi pamiętać, że ów kupiec w przyszłym roku się nie pojawi. Nie może polegać na nim tak, jak na Kompanii.



- Ale czy nie jest prawdą - nie poddaje się Maria - że Kompania nakłania Indian, z którymi handluje, do pijaństwa i stara się być jedynym dostawcą alkoholu, by związać Indian z sobą?

Donald czuje, że robi mu się gorąco.

- Kompania do niczego takiego nie zachęca. Traperzy są ludźmi wolnymi, nikt ich do niczego nie zmusza.

Jest wyraźnie wzburzony.

- To poważne oskarżenie - mówi Susannah do swojej siostry.  
- Zresztą nawet jeśli coś takiego się dzieje, pan Moody nie ponosi za to odpowiedzialności.

Maria wzrusza ramionami, wyraźnie nieprzekonana.

Donald wychodzi, by zimne powietrze owiało mu twarz. Będzie musiał spróbować spotkać się z Susannah sam na sam - nie sposób rozmawiać w obecności jej odpychającej siostry. Zapala fajkę, żeby się uspokoić, i idzie do stajni, gdzie Jacob rozmawia ze swoim koniem wymyślonym przez siebie językiem.

- Dzień dobry, panie Moody.

- Dzień dobry. Dobrze spałeś?

Jacob robi zaskoczoną minę, jak zawsze, kiedy słyszy to pytanie. Spał - cóż więcej można powiedzieć na ten temat? Trochę też rozmyślał o zamordowanym, który w swoim domu, we własnym łóżku poległ śmiercią wojownika. Ale kiwa głową, by sprawić Donaldowi przyjemność.

- Jacobie, lubisz pracować dla Kompanii?

Kolejne dziwne pytanie.

- Tak.

- Nie wolałbyś pracować dla kogoś innego, na przykład dla nie zależnego kupca?

Jacob wzrusza ramionami.

- Teraz, gdy mam rodzinę, nie. Kiedy mnie nie ma w domu, wiem, że moja żona i córki są bezpieczne, nie głodują. Poza tym Kompania tanio sprzedaje swoje towary, znacznie taniej, niż inni.

- A więc cieszysz się, że pracujesz dla Kompanii?

- Chyba tak. A co, chce pan wyjechać?

Donald śmieje się i kręci głową, a potem zadaje sobie pytanie, dlaczego nigdy o tym nie pomyślał. Ponieważ nie ma się dokąd udać? Może Jacob jest w takiej samej sytuacji - syn trapera również pracującego dla Kompanii, podjął pracę w wieku czternastu lat. Jego ojciec młodo umarł. Donald zastanawia się, czy uległ jakiemuś wypadkowi, ale nie zadał tego ani innych pytań dotyczących prywatnego życia Jacoba, bo jakoś nigdy nie nadarzył się właściwy moment.

Donald był taki wzburzony, ponieważ Maria miała rację, twierdząc, że Kompania zazdrośnie strzeże swojej monopolistycznej pozycji i ma powód, by obawiać się konkurencji. Od stuleci cieszy się specjalnymi przywilejami na tych pustkowiach. Niektórzy niezależni handlarze futer - głównie Francuzi i Jankesi - mając tego dość, próbują odebrać Kompanii monopol na handel futrami. W przeszłości już wielokrotnie powstawały konkurencyjne faktorie, ale Kompanii udało się je wszystkie przejąć lub doprowadzić do upadku. Lecz nowa spółka, Kompania Ameryki Północnej, zaniepokoiła bonzów. Dysponuje sporym kapitałem i nie przestrzega reguł (to znaczy reguł ustanowionych przez Kompanię). Kupcy proponują traperom wysokie ceny za futra i domagają się od nich deklaracji, że w przyszłości nie będą prowadzili interesów z Kompanią. Niewykluczone, że posuwają się do gróźb i przekupstwa - a raczej jest to wysoce prawdopodobne, bo Kompania sama ucieka się do takich metod. Cierpi na tym handel, a co za tym idzie - zyski.

Mackinley odbył kilka rozmów z Donaldem na temat przebiegłej natury niezależnych kupców i konieczności wiązania tubylców z Kompanią za pomocą alkoholu, broni i żywności. Właśnie dlatego Donald tak się zaperzył - zarzuty Marii były bardzo celne. Ale na litość boską, przecież Jankesi też tak postępują. Powinien powiedzieć Marii o mieszkańcach indiańskiej wioski, którym Fort Edgar gwarantuje zaopatrzenie w żywność i bezpieczeństwo. Powinien powiedzieć jej o żonie Jacoba i dwóch małych dziewczynkach o ufnym spojrzeniach, ale - jak zwykle - nie pomyślał o tym w odpowiedniej chwili.

Właśnie podczas jednej z rozmów z Mackinleyem Donaldowi przyszła do głowy pewna myśl: może spadek zysków spowodowany jest nie tylko chciwością Jankesów. Od ponad dwustu lat polowano na zwierzęta, więc musiało się to odbić na ich liczebności. Kiedy Kompania zakładała pierwsze faktorie, zwierzęta żyły po sąsiedzku z ludźmi i były ufnie, ale myśliwi, goniąc za zyskiem, zaczęli się zapuszczać coraz dalej, a zwierzęta uciekają przed nimi. Od tamtego dnia, kiedy Bell pokazał mu skład, Donald nie widział futra srebrnego lisa. Ani czarnego lisa. Żadnego nie dostarczono.

Donald spina swojego kuca, by dogonić Jacoba. Jadą przez las, ostatnie liście na drzewach przybrały jeszcze bardziej jaskrawe barwy, te leżące na ziemi osrebrzył szron. Skoro Susannah nie przejmuje się metodami stosowanymi przez Kompanię, to czemu on ma się tym martwić? Ostatecznie nie ulega wątpliwości, że ład jest lepszy od anarchii. Musi o tym pamiętać.

Na brzegu rzeki zostawiają kuce na popas, a sami idą do chaty. Donald odczuwa ulgę na myśl, że nie ma w niej zwłok. Udało mu się nie skompromitować, kiedy zobaczył trupa, ale nie spieszo mu, by znowu przeżyć coś podobnego. Obok zarośli otaczających dom Jacob przystaje i przygląda się ziemi. Nawet Donald widzi niewyraźne ślady stóp.

- Zostawiono je ostatniej nocy. Ktoś się tu ukrywał. - Jacob pokazuje ziemię pod krzakiem.

- Może chłopaki z osady?

Wygląda na to, że ślady stóp należą do kilku osób. Jacob je wskazuje.

- Patrz... Ślad męskiego buta, a tutaj drugi, ale innego kształtu. Czyli byli tu dwaj mężczyźni. Ten o większych stopach pojawił się najpierw. A ten ślad zostawiła ostatnia osoba, która wyszła z chaty - jest jeszcze mniejszy. Może należy do chłopaka... albo kobiety.

- Do kobiety? Jesteś pewien, że nie są to ślady z wczoraj? Że mogła je zostawić akuszerka?

Jacob kręci głową.

Donald triumfuje, kiedy odkrywa obłuzowane deski podłogowe, a pod nimi wolną przestrzeń, ale to Jacob znajduje skrytkę pod kamieniami. Zostaje rozwiązana zagadka zaginionego dobytku Jammeta - w ołowianej skrzyni są trzy amerykańskie strzelby, trochę złota i plik dolarów zawiniętych w impregnowane płótno. Jacob wydaje zdumiony okrzyk na ich widok. Donald rozważa, co zrobić ze skrzynią, i postanawia, że ją zakopią, a potem przyjadą po nią wozem. Maskują skrzynię kamieniami, Jacob rozsypuje trochę suchych liści na udeptanej ziemi, żeby wszystko wyglądało tak, jak przedtem. Donald patrzy na Jacoba wyjmującego fajkę. Przez ułamek sekundy ogarniają go wątpliwości co do uczciwości Metysa, ale zaraz beszta sam siebie, że dopuścił do siebie myśl, iż Jacob uległby pokusie zagarnięcia tego, co schowano w skrzyni; ma to większą wartość niż jego dziesięcioletnie zarobki. Donald wie, że nie potrafi tak czytać z twarzy Jacoba, jak czyta - przynajmniej w swoim mniemaniu - z twarzy białych ludzi. Ma nadzieję, że dla Jacoba jego twarz jest równie nieczytelna i że Metys nie zauważył na niej chwilowego braku zaufania.

**A**nn Pretty jest zdumiona, że mnie widzi tak szybko po tym, jak pożyczyła ode mnie kawę, z miejsca staje się czujna, chociaż tym razem nie przyszedłem się upomnieć o zwrot tego, co ode mnie wzięła. Ida z chmurną miną siedzi koło pieca, nicując pościel. Zwraca w moją stronę swoją bladą, udręczoną twarz. Ma piętnaście lat, lubię ją, może dlatego, że ma tyle lat, ile miałyby teraz Olivia. A także dlatego, że pasuje do pozostałych członków rodziny Pretty jak kwiatek do kozucha - jest chuda, śniada i zamknięta w sobie, podobno też inteligentna. Widać, że przed chwilą płakała.

- Pani Ross! - wydziera się Ann z odległości metra. - Czy ma pani jakieś wieści o swoim chłopaku?

- Angus pojechał go odszukać.

Teraz, kiedy się tu znalazłam, nie jestem pewna, czy zdołam udać niefrasobliwość i obojętność. Ale jeśli Angus nie chce ze mną rozmawiać, to do kogo mam się zwrócić?

- Ach, Krzyż Pański z tymi dziećmi. - RzUCA surowe spojrzenie milczącej Idzie. Dziewczyna siedzi z nisko pochyloną głową, pokrywając prześcieradło drobnym, ścisłym ścięciem.

- Był w takim humorze, kiedy wychodził z domu, że nie zapytałam go, dokąd się wybiera. A po powrocie zdenerwuje się na wieść o śmierci Jammeta. Bo cokolwiek by mówić, poczciwy był z niego człowiek. I dobry dla Francisca.

- Co za czasy. Jeden Bóg wie, ku czemu zmierza ten świat.

Ida wzdycha ledwie zauważalnie. Tak nisko trzyma głowę, że nie widzę jej twarzy, ale wiem, że znów płacze. Ann też wzdycha, ale głośno.

- Moja panno, nie wiem, dlaczego lejesz łzy. Przecież właściwie go nie znałaś.

Ida pociąga nosem i nic nie mówi. Ann zwraca się w moją stronę, kręcąc głową.

- Szkoda mi jego matki. Z tego, co słyszałam, nie ma nikogo poza nim. Wiedziała pani, że zaledwie dwa miesiące temu był w Chicago? Ciekawa jestem, co taki człowiek miał do roboty w Chicago?

- Wolałabym, żeby wyjechali do Chicago i przestali się interesować Francisem. Nie wiem, czego od niego chcą.

Ida znów pociąga nosem, ramiona jej drżą.

- Ida, przestań! Idź na górę, jeśli masz mi tu pochlipywać. Mój Boże...

Dziewczyna wstaje i wychodzi, nie patrząc na nas.

- Doprowadzi mnie do szaleństwa. Powinna się pani cieszyć, że nie ma pani córki... - W tej chwili przypomina sobie Oliwię i odnoszę wrażenie, że zastanawia się, czy mnie nie przeprosić, ale szybko odpędza taką niemądrą myśl. - Chociaż to chłopaczysko też przy sparało pani wiele zgryzot.

Przyznaję jej rację.

- Ale cóż, wychodzi na jaw jego prawdziwa natura, i nic się na to nie poradzi. Nie znała pani jego rodziców, prawda? Może byli złodziejami i włóczęgami? W jego żyłach płynie irlandzka krew. A Irlandczykom nie można ufać. Kiedy mieszkałam w Kitchener, było ich tam zatrzęsienie, kradli na potęgę. Nie, żebym uważała Francisza za złodzieja, ale taką już mają naturę i musi pani o tym pamiętać.

Mogłabym się obrazić za te słowa, ale wiem, że stara się okazać nu współczucie, tylko nie wie, jak to zrobić.

- A co się dzieje z Idą? Nie powinna pani traktować jej zbyt surowo. Chyba nie zapomniała pani, jak to jest, kiedy się ma tyle lat, co ona.

Ann prycha.

- Ja w jej wieku byłam inna. Od dziesiątego roku życia prowadziłam dom i nie miałam czasu, żeby siedzieć i wdychać do księżycy. - Rzuca mi lekko rozbawione spojrzenie, jakie zwykle poprzedza żar-

tobliwą uwagę na mój temat. - Wie pani, co sobie myślę? Że czuje mięte do pani Francisa. Nie przyznaje się do tego, ale ja swoje wiem. Jestem taka zdumiona, że niemal wybucham głośnym śmiechem.

- Ida? - Przecież to jeszcze dziecko. Zresztą moim zdaniem nikt z nich nie zwraca specjalnej uwagi na Francisa. Pamiętam okropny wyjazd na biwak, do którego Angus i Jimmy zmusili chłopców. Francis wybrał się razem z George'em i Emlyn. Wrócili po dwóch dniach, Francis nigdy ani słówkiem nie wspomniał, jak spędzili ten czas. Potem przestałam go namawiać, by poszedł się z nimi pobawić.

- Przyjaźnili się, kiedy razem chodzili do szkoły.

- Proszę mi pozwolić do niej pójść i z nią porozmawiać. Pamiętam, jaka byłam w jej wieku. Kiedy na nią patrzę, zawsze mi się przypomina własna młodość. - Uśmiecham się do sąsiadki. Wiem, że według Ann najgorsze, co mogłoby ją spotkać, to że jej córka wyrośnie na kogoś takiego jak ja.

Kierując się odgłosami pociągania nosem, odnajduję Idę w jej malutkiej izdebce. Wygląda przez okno. A przynajmniej wyglądała przez okno - jestem tego pewna - chociaż kiedy wchodzę do pokoju, siedzi pochylona nad szyciem.

- Matka mówi, że lubisz teraz chodzić do szkoły.

Ida patrzy na mnie zaczerwienionymi oczami, z buntowniczą miną.

- Wcale nie.

- Francis ciągle powtarza, jaka jesteś mądra.

- Naprawdę? - Na moment jej rysy stają się łagodne. Może więc jednak Ann ma rację.

- Mówił, że jesteś dobrą uczennicą. Może chciałabyś pojechać do szkoły w Coppermine? Zastanawiałaś się nad tym?

- Yhm. Nie wiem, czy rodzice by mnie puścili.

- Cóż, mają dość synów do pomocy w gospodarstwie, prawda?

- Chyba tak.

Uśmiecham się do niej i prawie odpowiada mi uśmiechem. Ma mizerną, kościstą buzię i sine cienie pod oczami. Nikt nigdy nie uzna jej za piękność.

- Pani Ross, czy kontynuowała pani naukę?

- Tak. I warto to robić.

To niemal prawda. Z całą pewnością mogłabym się dalej kształcić, gdybym w owym czasie nie przebywała w zakładzie dla obłąkanych. Spogląda na mnie nieśmiało, pełna podziwu. Bardzo chciałabym być taka, jaką sobie mnie wyobraża. Może mogłabym być dla niej kimś w rodzaju mentorki? Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy, ale to przyjemna myśl. Może tak właśnie los wynagradza nam to, że się starzejemy.

- Francis powinien dalej się uczyć. Jest naprawdę bystry. - Zapłoniła się, nieprzyzwyczajona do wygłaszania własnych opinii.

- Być może. Chwilowo nie rozmawia ze mną. Kiedy będziesz matką, sama się przekonasz, że dzieci nie chcą się słuchać rodziców.

- Nigdy nie wyjdę za męża.

Jej buzia znów się zmieniła - chmurna mina powróciła.

- Wiesz, że pamiętam, jak mówiłam to samo? Ale w życiu nie zawsze jest tak, jak to sobie człowiek wyobraża.

Czuję, że zamyka się przede mną. Do oczu napływają jej łzy.

- Ida... Czy Francis przypadkiem rozmawiał z tobą o tym, gdzie się wybiera?

Dziewczyna kręci głową. Kiedy podnosi wzrok, jestem zaskoczona cierpieniem obecnym w jej spojrzeniu. W jej oczach maluje się smutek i jeszcze coś... Czyżby złość? Ma to związek z Francisem.

- Nie.

Wracam do domu, czując się gorzej, niż kiedy z niego wyszłam. Nie spodziewam się, by Angus wrócił z Francisem, więc kiedy długo po zapadnięciu zmroku pojawia się w domu sam, nie dziwię się. Jest bardzo zmęczony.

- Poszedłem nad jezioro Swallow - mówi, nie patrząc na mnie.

- Widziałem ślady więcej niż jednego człowieka. Ale mogę przysiąc, że nikt nie łowił tam ryb. Jeśli te ślady zostawił Francis, to biegł.

A ty zrezygnowałaś, myślę sobie. Odwróciłaś się na pięcie i ruszyłaś do domu. Wstaję. Już podjęłam decyzję.



- W takim razie ja go poszukam.

Uczciwie przyznaję, że nie roześmiał się, jak zareagowałyby większość mężów. Nie wiem, czy w głębi duszy nie chcę, by mnie odwiódł od tego zamiaru, przynajmniej sprzeciwił się i prosił, żebym została, żebym nie robiła czegoś tak głupiego, zuchwałego i niebezpiecznego. Ale on milczy. Myślę o pracownikach Kompanii w Caulfield - z samego rana pojawią się u nas, by się przekonać, czy Francis wrócił. Będą nam się przyglądali podejrzliwie, próbując ocenić, jak bardzo się boimy. Nie mam siły dłużej udawać. Spojrzę im prosto w oczy, żeby zobaczyli, że się boję.

Śmiertelnie się boję.

**D**onald i Jacob wracają do Caulfield przed południem, Donald załatwia wóz, który przywiezie skarby zgromadzone przez Jammeta. Wstydząc się swoich wcześniejszych podejrzeń, wysłała Jacoba samego po skrzynię, dzięki czemu nie tylko czuje się lepiej, ale odnosi dodatkową korzyść - może zjeść obiad z panią Knox i jej córkami. Ledwie jednak przystąpili do spożywania wie-przowiny, kiedy popełnia gafę.

- Zastanawiałem się, czy po powrocie spotkam tu pana Sturrocka - zaczyna swobodnym tonem. - Zdaje się, że to dawny znajomy pani męża.

Pani Knox zaniepokojona patrzy na Donalda.

- Pana Sturrocka...? Thomasa Sturrocka?

Dziewczęta wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie wiem, jak mu na imię, ale... Powiedziano mi, że zna pani męża... Przepraszam, czyżbym powiedział coś...?

Pani Knox wyraźnie zbladła, jej usta tworzą cienką linię.

- Wszystko w porządku, panie Moody. Po prostu zaskoczył mnie pan i tyle. Dawno już nie słyszałam jego nazwiska.

Donald, speszony i zmieszany, utkwiał wzrok w swoim talerzu. Susannah rzuca swojej siostrze gniewne spojrzenie. Maria chrząka.

- Panie Moody, chodzi o to, że miałyśmy dwie kuzynki, Amy i Eve. Pewnego razu wybrały się na spacer do lasu i już nigdy nie wróciły. Wuj Charles zatrudnił kilka osób do ich szukania, jedną z nich był pan Sturrock. Uważano go za niezrównanego poszukiwacza. No

wie pan, odnajdywał dzieci porwane przez Indian. Długo szukał naszych kuzynek, ale na próżno.

- Wuj Charles oddał mu wszystkie pieniądze, jakie miał, a potem umarł, bo mu pękło serce - szybko dodaje Susannah.

- Doznał udaru - wyjaśnia Maria Donaldowi.

Pani Knox cicho cmoka z dezaprobatą.

Donald jest wstrząśnięty. Z miny Susannah wywnioskował, że to odarta z upiększeń historia, którą zaczęła mu opowiadać wczoraj. I że dziewczyna jest zła, że nie pozwolono jej dokończyć opowieści.

- Bardzo mi przykro - mówi, zreflektowawszy się. - Straszna historia.

- To prawda - przyznaje pani Knox. - Ani moja siostra, ani jej mąż nigdy się nie otrząsnęli po stracie córek. Rzeczywiście, tak jak powiedziała Maria, mój szwagier miał udar w wieku zaledwie pięćdziesięciu dwóch lat. Kompletnie się załamał.

Susannah rzuca swojej siostrze triumfujące spojrzenie.

W panującej ciszy słychać jedynie uderzanie widelca Donalda o talerz. Nagle mężczyzna dochodzi do wniosku, że jedząc dalej, może sprawić wrażenie źle wychowanego, i nieruchomieje, trzymając widelec w powietrzu. Wydaje mu się, że bardzo głośno przeżuwa mięso, ale nic nie może na to poradzić.

- Mam nadzieję, że smakuje panu wieprzowina - mówi pani Knox z uśmiechem; nie należy do gospodyń, które byle co wytrąca z równowagi.

- Jest wyśmienita - bąka Donald, w pełni świadom tego, że siedząca po jego lewej ręce Susannah odłożyła widelec.

- To było dawno temu - mówi Maria. - Od tamtej pory minęło siedemnaście, może nawet osiemnaście lat. Ale nie powiedział pan, czy Francis Ross wrócił do domu? Czy też jutro wyrusza pan do lasu?

Donald jest jej niezmiernie wdzięczny za te słowa.

- Obawiam się, że to drugie. Chłopak nie wrócił. Rodzice bardzo się o niego niepokoją.

- Czy przypuszczają, iż spotkało go to samo, co...? - Susannah nie kończy pytania.

- Francis Ross nie pierwszy raz wybrał się do lasu. Zna go jak własną kieszeń.

- Tak czy inaczej, wszystko się wyjaśni, kiedy się odnajdzie. Jacob jest doskonałym tropicielem. Kilka dni opóźnienia nie zrobi mu różnicy.

Już po obiedzie, Donald siedzi w gabinecie, przegląda swoje wczorajsze notatki i uzupełnia je o opis wydarzeń tego ranka. Właśnie postanowił odszukać owego Sturrocka i go przesłuchać, kiedy Susannah wchodzi bez pukania. Donald zrywa się na równe nogi, przy okazji - nie do wiary - przewracając krzesło.

- Do diaska! Przepraszam, nie...

- O, rety...

Susannah zbliża się, by pomóc mu postawić krzesło. Kończy się tym, że stoją bardzo blisko siebie. Śmieją się, ich twarze są w odległości zaledwie kilku centymetrów. Donald się cofa, bojąc się, że dziewczyna usłyszy, jak mu wali serce.

- Przyszłam pana przeprosić - mówi Susannah. - Zachowałyśmy się okropnie, a miałam nadzieję, że kiedy następnym razem pana zobaczę, będzie zupełnie inaczej.

Ma poważną minę, ale policzki leciutko zaróżowione. Donald dochodzi do zdumiewającego wniosku, że ta śliczna dziewczyna lubi go. Czuje się jak po kieliszku mocnej brandy. Ma nadzieję, że nie uśmiecha się głupawo.

- Nie ma pani za co przeproszać, panno Knox.

- Proszę mi mówić po imieniu.

- Susannah.

Po raz pierwszy wypowiedział to imię w jej obecności i uśmiecha się. Dźwięk jej imienia w jego ustach, widok jej twarzy, kiedy dziewczyna patrzy na niego, odcisnęło na jego sercu piętno.

- Susannah, jesteś wyjątkowo urocza, dzięki tobie mogłem choć na chwilę zapomnieć o tej całej... sprawie. Cieszę się, że... że tu przyjechałem. Chciałem powiedzieć, że cieszę się, że Mackinley mnie zabrał ze sobą.

- Ale domyślam się, że jutro pan wyjedzie i już się nie zobaczymy.

- Cóż... Przypuszczam, że Kompania będzie potrzebowała tu kogoś, by pilnował jej interesów, więc... Kto wie, może wrócę tu szybciej, niż sądzisz.

- Och. Rozumiem.

Jest taka przygnębiona, że Donald zdobywa się na odwagę i dodaje:

- Ale byłoby cudownie, gdybyś... Gdybyś napisała do mnie i... i poinformowała mnie, jak stoją sprawy.

- Ma pan na myśli raport?

- Tak, chociaż chciałbym również wiedzieć... Co słyhać u ciebie. Chciałbym z tobą korespondować, jeśli się zgodzisz.

- Chciałby pan ze mną korespondować? - Jest mile zaskoczona.

- Tak, i to bardzo.

Aż im odebrało dech, kiedy do nich dotarło, co przed chwilą powiedzieli, ale Susannah mówi z uśmiechem:

- Ja też.

Donalda rozpiesza radość, tryska energią. Zapomniał, jakie to uczucia. Dziękuje, pospiesznie i cicho, po czym, właściwie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wybiega z domu, bo, o dziwo, chce być sam, by w pełni się cieszyć swoim nowym szczęściem. Idzie do sklepu Scotta, przypuszczając, że właściciel wie o wszystkim, co się dzieje w Caulfield. Wpada do środka, starając się ukryć głupi uśmiech - ostatecznie kilka dni temu zamordowano w okolicy człowieka - i widzi za ladą szczupłą kobietę o okrągłej twarzy. Na dźwięk otwieranych drzwi sprzedawczyni unosi wzrok i w pierwszej chwili na jej twarzy maluje się strach, który szybko przesłania maska obojętności.

Nie ma Johna Scotta, ale jego żona okazuje się niemal równie pomocna. Donald zauważa jej roztargnienie, ale stara się skupić, kiedy kobieta mu mówi, że pan Sturrock zatrzymał się w ich domu i być może jest teraz w swoim pokoju.

- Proszę iść i sprawdzić. Służąca... - Pani Scott urywa, jakby właśnie coś sobie przypomniała. - Nie, lepiej, jak przekażę mu wiadomość, że chciałby pan z nim porozmawiać.

Znika za drzwiami na zaplecze. Donald wygląda przez okno. Patrzy na niebo i przypomina sobie miękkie usta Susannah.

Thomas Sturrock ma w sobie coś takiego, że Donald z miejsca czuje do niego sympatię. Kiedy się dowiedział, że to poszukiwacz, wyobraził sobie go jako starego drwala o szorstkich manierach, lubiącego opowiadać pikantne dowcipy w rodzaju tych, jakich Donald musi wysłuchiwać w Fort Edgar. Jest więc mile zaskoczony, widząc przed sobą dystyngowanego dżentelmena.

- Mógłby mi pan opowiedzieć, jak doszło do tego, że poświęcił się pan temu zajęciu?

Piją gorzką kawę w sklepie, siedząc na dwóch krzesłach, które pani Scott postawiła koło pieca. Sturrock z wyraźnym rozczarowaniem wpatruje się w swoją filizankę, a po chwili mówi:

- Robiłem różne rzeczy w swoim życiu. Między innymi pisałem o życiu Indian. Zawsze się z nimi przyjaźniłem, ktoś o tym usłyszał i poprosił mnie o pomoc w odszukaniu zaginionego chłopca. Udało mi się, więc inni też zaczęli się do mnie zwracać z takimi prośbami. Nigdy nie planowałem, że się tym zajmę, po prostu jakoś samo wyszło. Teraz jestem już na to za stary.

- A ten przedmiot, po który pan przyjechał... Czy ma pan na piśmie, że Jammet chciał, by trafił on w pańskie ręce?

- Nie. Kiedy ostatni raz się z nim widziałem, nie przypuszczał, że zostanie zabity.

- A pan nie zna żadnych jego wrogów?

- Nie. Zawzięcie się targował, ale to nie powód, żeby kogoś zabić.

- Ma pan rację.

- Kiedy pierwszy raz pokazał mi tę kościaną tabliczkę, spytałem go, czy mogę przenieść na papier znaki, które na niej umieszczono. Zorientował się, że interesuje mnie ta kość, więc powiedział, że może mi ją sprzedać.

- Ale nie kupił jej pan wtedy?

- Nie. Widzi pan, chwilowo nie dysponowałem gotówką. Ale zgodził się zatrzymać tabliczkę do czasu, aż będę mógł mu za nią zapłacić. Mam teraz pieniądze, ale... - Bezradnie rozkłada ręce. - Nie wiem, gdzie ona jest.

- Porozmawiam o tym z panem Knoxem. Nie znaleźliśmy testamentu. Sądzę, że pan Knox chętnie ją panu sprzeda. Zakładając, że ją znajdziemy.

Nagle Donaldowi przychodzi do głowy pewna myśl: może Sturrock już próbował znaleźć ten kawałek kości. Przypomina sobie ślady stóp w pobliżu chaty. Ślady stóp trzech osób. Trzech osób, które ostatniej nocy czegoś szukały w chacie.

- To bardzo ładnie z pana strony, panie Moody. Dziękuję panu.

- Co to za przedmiot? Pochodzi z Rzymu czy Egiptu?

- Nie jestem do końca pewien. Nie wygląda na wyrób rzymski ani egipski, ale właśnie dlatego tak mi na nim zależy. Zamierzam go pokazać jakiemuś muzealnikowi, który się zna na takich rzeczach.

Donald kiwa głową, wciąż nie rozumiejąc, dlaczego Sturrocka tak zainteresowała kościana tabliczka. Jednego jest wszak pewien: jeśli komuś tak bardzo na czymś zależy, lepiej zachować maksymalną czujność. Może Sturrock przyjechał tu wcześniej, Jammet odmówił mu sprzedania kości, więc Sturrock go zabił? A może Jammet już sprzedał ją komuś innemu? Tak czy owak, mało prawdopodobne, by stary poszukiwacz był zabójcą. Chociaż z drugiej strony, nie natknęli się na żaden ślad tego przedmiotu, który niewątpliwie był wartościowy. W takim razie w czym jest teraz posiadaniu?

Donald opuszcza sklep, mając zapewnienie Sturrocka, że zostanie w Caulfield jeszcze kilka dni. Zastanawia się, dlaczego nie zagadnął go o siostry Seton. Może dlatego, że trudno mu uwierzyć, by ten dobrze wychowany mężczyzna był pazernym oszustem, jak go przedstawiła rodzina Knoxów. Myśli - nie po raz pierwszy - czy na skutek braku doświadczenia nie jest skłonny do zbyt łagodnego

oceniań bliźnich. Może powinien być bardziej podejrzliwy, jak Mackinley, który z zasady nie ma zaufania do ludzi? Wychodzi bowiem z założenia, że prędzej czy później rozczaruje się nimi - i na ogół tak się dzieje.

Na ulicy widzi Marię niosącą kosz. Uchyła kapelusza, a ona uśmiecha się lekko. Zdecydowanie od tego ranka jest mniej wrogo nastawiona do niego, ale i tak nie odważyłby się porozmawiać z nią, gdyby ona nie przemówiła pierwsza.

- Panie Moody, jak przebiega śledztwo?

- Powoli.

Milczy, jakby czekała, że Donald coś doda, więc mówi jej:

- Właśnie rozmawiałem z panem Sturrockiem.

Nie okazuje zdziwienia, kiwa głową, jakby się tego spodziewała.

- I?

- Uważam, że jest urzekający. Wykształcony, wrażliwy... Wcale nie taki, jak się spodziewałem.

- Przypuszczam, że musi być czarujący, skoro udało mu się wyłudzić od mojego wuja wszystkie pieniądze. O ile się orientuję, była to całkiem pokaźna sumka.

Widocznie Donald zmarszczył brwi, ponieważ Maria ciągnie:

- Wiem, że mój wuj był tak zdesperowany, iż gotów był zrobić wszystko. Ale człowiek honoru powiedziałby mu, że nie ma sensu kontynuowanie poszukiwań jego córek i nie przyjąłby od niego pieniędzy. Byłoby to uczciwsze. Ostatecznie wuj nie odnalazł córek, stracił wszystko, co miał i... Na dobrą sprawę sam doprowadził do własnej zguby. Moja ciotka już wcześniej umarła. Wiem, że to okropne powiedzieć coś takiego, ale... Zawsze podejrzewałam, że pożarły je wilki. Tak mówią ludzie i uważam, że mają rację. Ale wujek i ciocia nigdy nie chcieli się z tym pogodzić.

- To zrozumiałe.

- Czy to o tyle gorsze niż to, co sobie myśleli?

- Przypuszczam, że zawsze lepiej żyć, niż umrzeć, bez względu na cenę, jaką trzeba zapłacić...



Maria przygląda mu się taksująco - jak farmer oceniający wzdętego konia. Nigdy nie znajdzie sobie męża, jeśli na wszystkich mężczyzn będzie tak patrzyła, myśli Donald z irytacją.

- Może wilki uchroniły je przed losem gorszym niż śmierć.
- W jej ustach ten frazes brzmi jak kiepski żart.
- Nie myśli tak pani naprawdę. - Jest zdumiony, że odważył się to powiedzieć.

Maria wzrusza ramionami.

- Kilka lat temu dwoje dzieci utonęło w zatoce. To był straszny wypadek. Ich rodzice naturalnie rozpaczali, ale nadal żyją. I sprawiają wrażenie całkiem szczęśliwych. A przynajmniej nie mniej szczęśliwych od innych.

- Może najgorsza jest niepewność.
- Co pozwala bezwzględny ludziom podsycać w nas nadzieję, póki nas nie puszczą z torbami.

Donald jest znów zaskoczony jej słowami. Niewyraźnie słyszy głos swego ojca, przemawiającego pouczającym tonem: „Dzieci pragną szokować, a wraz z osiągnięciem dojrzałości powinny zatracić tę cechę”. Ale przecież Maria nie wygląda na osobę niedojrzałą. Donald przypomina sobie, że nie musi się już zgadzać ze zdaniem swego ojca; dzieli ich ocean.

- Pan Sturrock nie wygląda na osobę majątną - mówi Donald, jakby chciał go bronić.

Maria patrzy na ulicę, a potem z uśmiechem przenosi wzrok na niego. W przeciwieństwie do Susannah ma niebieskie oczy.

- To, że się kogoś lubi, jeszcze nie znaczy, że można mu ufać.
- Kiwa mu głową na pożegnanie i się oddala.

Donald spędza resztę popołudnia i wieczór, przeglądając dobytek Jammeta, ale tak jak inni przed nim nie znajduje nic, co mogłoby rzucić światło na przyczynę tragicznej śmierci Francuza. Mienie zamordowanego umieszczono w suchej części stajni. Donald wspólnie z Jacobem, który nadzorował opróżnianie chaty, posegregował wszystko i powkładał do pudeł. Jest tego zdumiewająco niewiele.

Donald stara się nie myśleć, jak mało mieliby do uporządkowania jego koledzy, gdyby niespodziewanie opuścił ten ziemski padół. Na przykład nie byłoby tam nic, co świadczyłoby o jego uczuciu do Susannah, dopiero co zrodzonym, ale już ogromnie ważnym. Obiecuje sobie, że napisze do niej, gdy tylko wyjedzie z Caulfield. Na razie jednak wciąż przebywają pod jednym dachem. A ponieważ Donald postanowił poczekać na powrót Mackinleya i Knoxa przed wyruszeniem na coś, co prawdopodobnie okaże się szukaniem wiatru w polu, więc pozostanie tu jeszcze dzień lub dwa.

Poprosi ją o zdjęcie lub coś na pamiątkę. Nie, żeby przewidywał, że ktoś go zabije. Tak na wszelki wypadek.

Gdy byłam dziewczynką, kiedy jeszcze żyli moi rodzice, dokuczalo mi coś, co nazywano „problemami”. Ogarniał mnie paraliżujący strach, nie byłam w stanie się poruszyć, a nawet mówić. Miałam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg, że nie mogę mieć do niej zaufania - przerażające uczucie. Lekarze badali mi puls i patrzyli mi w oczy, a potem oświadczyli, że cokolwiek to jest, prawdopodobnie minie, kiedy dorosnę (przypuszczam, że mieli na myśli małżeństwo). Ale nim ich teoria miała szansę się sprawdzić, w dość niejasnych okolicznościach zmarła moja matka. Uważam, że odebrała sobie życie, chociaż ojciec temu zaprzeczał. Zażywała laudanum, kiedyś - niechcący lub rozmyślnie - wzięła za dużo i umarła. Miałam coraz częstsze napady lęku, aż w końcu mój ojciec nie mógł tego dłużej znieść i umieścił mnie - mówiąc wprost - w zakładzie dla obłąkanych, chociaż noszącym wyszukaną nazwę prywatnego sanatorium dla osób wyczerpanych nerwowo. Potem on też umarł, zostawiając mnie na łasce pozbawionego skrupułów kuratora, i tak trafiłam do państwowego przytułku dla wariatów. Prowadzące go osoby były na tyle uczciwe, że nie mydliły ludziom oczu i im nie wmawiały, że mają do czynienia z czymś innym, niż naprawdę był ten zakład.

W państwowym przytułku dla wariatów laudanum było dostępne bez ograniczeń. Początkowo przepisano mi je na obezwładniające napady paniki, ale wkrótce stało się dla mnie czymś nieodzownym, zajmując miejsce rodziców i przyjaciół. Powszechnie je stosowano do uspokajania pacjentów stwarzających kłopoty. Szybko się zorien-

towałam, że wolę sama decydować, kiedy je zażywać, i musiałam się uciekać do podstępów, by je zdobyć. Z łatwością przychodziło mi nakłanianie męskiej części personelu do robienia tego, o co prosiłam, a kierownika - młodego idealistę nazwiskiem Watson - owinęłam sobie wokół małego palca. Jak człowiek się do czegoś przyzwyczai, zapomina, dlaczego właściwie tak mu kiedyś na tym zależało.

Później, gdy mój mąż doszedł do wniosku, że moje uzależnienie od laudanum uniemożliwia nam osiągnięcie pełnej bliskości, zrezygnowałam z zażywania tego środka. A raczej wyrzucił cały mój zapas laudanum, nie pozostawiając mi wyjścia - musiałam nauczyć się obywać bez niego. Tylko on jeden uznał, że warto spróbować. Przypominało to bycie trzeźwym po długim okresie picia, i to uczucie przez pewien czas było czymś cudownym. Ale kiedy człowiek jest trzeźwy, przypomina sobie to, co zapomniał - na przykład czemu w ogóle odczuwał potrzebę zażywania lekarstwa. Kiedy później przeżywałam ciężkie chwile, dokładnie wiedziałam, czemu się uzależniłam. W ciągu kilku ostatnich dni myślałam o laudanum niemal tak dużo, jak o Francisie. Wiem, że mogę pójść do sklepu i kupić laudanum. Wiem o tym w każdej minucie dnia i przez pół nocy. Powstrzymuje mnie tylko świadomość, że jestem jedyną osobą na świecie, na której pomoc Francis może liczyć. A do tej pory nic nie zrobiłam, by mu pomóc.

Minęło pięć dni od jego zniknięcia, idę ścieżką do chaty Jammeta, kiedy słyszę jakiś hałas. Przebiega mi drogę jakiś pies i szczeka. Jest duży, kudłaty, groźny - nigdy wcześniej go nie widziałam. To z pewnością pies zaprzęgowy. Przystaję: w chacie ktoś jest.

Ukrywam się w zaroślach za domem i czekam. Jakiś niezadowolony owad gryzie mnie w rękę. W końcu z chaty wychodzi mężczyzna i gwizdże. Podbiegają do niego dwa psy, jednym z nich jest ten, który wcześniej był na ścieżce. Wstrzymuję oddech, a kiedy mężczyzna zwraca twarz w stronę zarośli, w których się ukryłam, przebiega mnie zimny dreszcz. Jest wysoki jak na Metysa, silnie zbudowany, ma na sobie niebieską kurtkę z kapturem i skórzane spodnie. Ale na widok jego twarzy przychodzi mi na myśl opowieść o sztucznym

człowieku. Ma niskie, szerokie czoło, wydatne kości policzkowe, nos i usta przypominają dziób drapieżnego ptaka, nadając mu wygląd bezwzględного okrutnika. Po obu stronach jego ust biegną głębokie bruzdy. Włosy ma czarne i zmierzwione. Nigdy w życiu nie widziałam nikogo równie brzydkiego - taką twarz można wyciosać w drewnie tępą siekierą. Gdyby panna Shelley potrzebowała wzorca dla swego budzącego przerażenie potwora, ten człowiek mógłby stanowić idealne źródło natchnienia.

Czekam, nie mając odwagi głębiej odetchnąć, póki nie znika ponownie w chacie, i wychodzę ze swojej kryjówki. Przez chwilę się zastanawiam, co powinnam teraz zrobić - odszukać Angusa i mu wszystko powiedzieć, czy pojechać prosto do Caulfield i powiadomić o tym Knoxa? Wiem jedno: nie odważę się stanąć oko w oko z nieznanym, ponieważ - tłumaczę sobie - jest niewątpliwie niebezpieczny. Trudno mi uwierzyć, że ktoś o takiej twarzy nie ma gwałtownej i okrutnej natury. Ostatecznie odnajduję Angusa. Słucha mnie w milczeniu, potem bierze strzelbę i rusza ścieżką.

Dowiedziałam się później, że poszedł do chaty i od razu wszedł do środka. Zaskoczył nieznanego, który akurat czegoś szukał na górze. Angus go zawołał i poinformował - na pewno bardzo grzecznie - iż będzie go musiał odstawić do Caulfield, ponieważ znalazł się na miejscu zbrodni, gdzie mogą przebywać tylko upoważnione osoby. Mężczyzna się zawahał, ale nie stawiał oporu. Przeszli pięć kilometrów dzielących ich od zatoki. Angus zatrzymał się przed drzwiami od podwórka do domu Knoxów. Kiedy czekali, aż im otworzą, nieznanomy dumnie spoglądał na zatokę, jakby było mu obojętne, co z nim zrobią. Od razu go aresztowano. Angus ulitował się nad psami, których Knox nie chciał wpuścić na swoje podwórze, i przyprowadził je do nas. Zapewnił mnie, że nie sprawią kłopotu. Myślę, że poczuł sympatię do obcego, skoro zadał sobie tyle trudu.

**A**ndrew Knox siedzi naprzeciwko Mackinleya i pali fajkę. Blask ognia nadaje ich twarzom pomarańczowy odcień - nawet ziemista cera Mackinleya nie jest taka blada. Ale Knox nie podziela wyraźnego zadowolenia towarzysza. Przez ponad godzinę przesłuchiwali mężczyznę, a nie dowiedzieli się nic konkretnego poza tym, jak się nazywa - William Parker - i że jest traperem, który już wcześniej robił interesy z Jammetem. Parker utrzymywał, że nie wiedział o śmierci Jammeta. Ponieważ tędy przejeżdżał, wstąpił do niego i stwierdził, że chata jest pusta. Zaczął ją przeszukiwać, by znaleźć jakąś informację, co się stało.

- Mówi pan, że morderca nie wraca na miejsce popełnionej przez siebie zbrodni. - Mackinley przerwał panującą ciszę. - Ale gdyby mu zależało na broni i temu podobnych, a nie znalazł ich za pierwszym razem, mógł zaczekać, aż sprawa przycichnie, i ponownie tu wrócić.

Knox przyznaje, że mogło tak być.

- A może bał się, że coś zostawił, i przyszedł po to.

- Nie znaleźliśmy nic, co nie należało do Jammeta.

- Mogliśmy coś przeoczyć.

Knox zaciska zęby na zagłębieniu w cybuchu fajki, powstałym po latach jej używania; sprawia mu to przyjemność - zęby i cybuch doskonale do siebie pasują. Mackinley zbyt skwapliwie oskarża trapera, naginając fakty, bo pragnie jak najszybciej rozwiązać zagadkę tragicznej śmierci Francuza. Knox chce mu na to zwrócić uwagę, ale tak, by go nie urazić - ostatecznie Mackinley oficjalnie kieruje śledztwem.

- Możliwe, że tak jak utrzymuje, jest traperem, który handlował z nim w przeszłości i nie wiedział o jego śmierci.

- I dlatego myszkował po pustym domu?

- To nie jest przestępstwo. To nawet nic niezwykłego.

- To nie przestępstwo, ale wygląda podejrzanie. Musimy wysnuć najbardziej prawdopodobne wnioski z tego, co mamy.

- Nic nie mamy. Nie jestem pewien, czy w ogóle powinniśmy go zatrzymywać.

Knox utrzymuje, że Metys nie jest więźniem, więc należy go dobrze traktować. Kazał Adamowi zanieść mu jedzenie do magazynu, w którym umieścili mężczyznę, i rozpaść tam w kominku. Bardzo niechętnie poprosił Scotta o jeszcze jedną przysługę, ale nie mógł trzymać nieznajomego w tym samym domu, w którym przebywają jego żona i córki. Nawet gdyby go zamknął w jakimś pokoju na klucz. Chociaż go broni, jest coś takiego w wyglądzie tubylca, co wywołuje mroczne, przerażające myśli. Przypomina mu postaci na sztychach przedstawiających wojny Indian: pomalowane twarze, wykrzywione wściekłością, pogańskie, obce.

Drugi raz przekręcają klucz w zamku drzwi do magazynu i unoszą w górę lampy. Widzą więźnia siedzącego nieruchomo koło kominka. Nie odwrócił głowy, kiedy otwierali drzwi.

- Panie Parker - odzywa się Knox. - Chcielibyśmy jeszcze trochę z panem porozmawiać.

Siadają na krzesłach, przyniesionych wcześniej w tym celu. Parker nie odzywa się ani nie odwraca w ich stronę. Tylko jego oddech, tworzący białe obłoczki wokół jego twarzy, świadczy o tym, że mężczyzna żyje.

- Parker to nie jest typowe nazwisko indiańskie - mówi MacKinley takim tonem, jakby oskarżał mężczyznę, że ich okłamał, nie powiedział im, jak się naprawdę nazywa.

- Mój ojciec był Anglikiem. Nazywał się Samuel Parker. Jego ojciec przyплыł tu z Anglii.

- Czy pański ojciec pracował dla Kompanii?

- Tak, przepracował w niej całe swoje życie.
- W przeciwieństwie do pana.
- Tak.

Mackinley pochyła się do przodu, wzmianka o Kompanii działa na niego jak magnes.

- Kiedyś pracował pan dla Kompanii?
- Odbyłem w niej praktykę. Teraz jestem traperem.
- I handlował pan z Jammetem?
- Tak.
- Od kiedy?
- Od wielu lat.
- Dlaczego zrezygnował pan z pracy dla Kompanii?
- Żeby nikomu niczego nie zawdzięczać.
- Wiedział pan, że Laurent Jammet należał do Kompanii Ameryki Północnej?

Mężczyzna patrzy na niego lekko rozbawiony. Knox rzuca Mackinleyowi zdumione spojrzenie - czyżby Szkot dowiedział się tego od drugiego Francuza?

- Nie robiłem interesów z Kompanią, tylko z Jammetem.
- Czy należy pan do Kompanii Ameryki Północnej?

Parker parska śmiechem.

- Nie należę do żadnej kompanii. Poluję na zwierzęta i sprzedaję ich futra, to wszystko.

- Ale nie ma pan teraz futer.
- Jest jesień.

Knox ostrzegawczo kładzie dłoń na ramieniu Mackinleya. Stara się by jego głos brzmiał przyjaźnie i rozsądnie.

- Rozumie pan, czemu zadajemy te wszystkie pytania. Pan Jammet został bestialsko zamordowany. Musimy dowiedzieć się o nim jak najwięcej, żeby odszukać mordercę i postawić go przed sądem.

- Jammet był moim przyjacielem.

Knox wzdycha. Nim zdołał otworzyć usta, znów odzywa się Mackinley.

- Gdzie pan był czternastego listopada, czyli sześć dni temu?



- Już powiedziałem. Zmierzałem na południe z Sydney House.
  - Czy ktokolwiek pana widział?
  - Wędruję samotnie.
  - Kiedy opuścił pan Sydney House?
- Mężczyzna po raz pierwszy się waha.
- Nie byłem w samym Sydney House, tylko w tamtych stronach.
  - Ale powiedział pan, że wyruszył pan z Sydney House?
  - Powiedziałem tak, żeby wiedzieli panowie, gdzie byłem. Przybyłem tu z tamtych okolic. Prosto z lasu.
  - A co pan tam robił?
  - Polowałem.
  - Przecież powiedział pan, że to nie sezon polowań.
  - Polowałem na zwierzęta dla mięsa.
- Mackinley patrzy na Knoxa, unosząc brwi.
- Czy zwykle o tej porze roku zabija się zwierzęta dla mięsa?
- Parker wzrusza ramionami.
- Robi się to przez okrągły rok.
- Knox chrząka.
- Dziękujemy panu, panie Parker. Cóż... To na razie wszystko.
- Wstydzi się swojego głosu, przypominającego głos starca albo kapryśnej kobiety. Wstają do wyjścia, ale Mackinley znów się odwraca do mężczyzny siedzącego przy kominku. Bierze z tacy kubek z wodą i wylewają na płomień, gasząc ogień.
- Proszę mi dać hubkę i krzesiwo.
- Parker patrzy na Mackinleya, który wytrzymuje jego wzrok. Oczy więźnia są matowe w świetle lampy. Ma taką minę, jakby miał ochotę zabić Mackinleya. Wolno zdejmuje skórzany woreczek, zawieszony na szyi. Wręczając go, pyta:
- Skąd mam wiedzieć, że go otrzymam z powrotem?
- Knox podchodzi bliżej, pragnąc rozładować napiętą atmosferę.
- Dostanie go pan. Osobiście tego przypilnuję.
- Parker puszcza woreczek i biali mężczyźni wychodzą, zabierając ze sobą lampy i pozostawiając więźnia w ciemnym, zimnym pomieszczeniu. Knox ogląda się za siebie przed zamknięciem drzwi

i widzi - czy też tylko sobie to wyobraża? - Metysa jako ciemniejszą plamę w mroku.

- Dlaczego pan to zrobił? - pyta Knox, kiedy idą przez ciche miasteczko.

- Chce pan, żeby podpalił magazyn i uciekł? Znam tych ludzi. Nie mają żadnych skrupułów. Widział pan, jak na mnie spojrział? Jakby chciał mnie oskalpować.

Podnosi woreczek do lampy. Jest wykonany ze skóry, ozdobiony haftem. W środku znajdują się przedmioty, które umożliwiają człowiekowi przeżycie w lesie - krzemień, hubka, tytoń, kilka wysuszonych pasków jakiegoś mięsa o nieapetycznym wyglądzie. Bez tego Indianin prawdopodobnie umarłby na pustkowiu.

Mackinley nie posiada się z radości.

- No i co pan na to? Zmienił swoją opowieść, żebyśmy nie mogli sprawdzić, czy rzeczywiście przebywał tam, gdzie mówi. Na dobrą sprawę mógł być w Dove River tydzień temu, chociaż nikt go nie widział.

Knox nic nie może na to odpowiedzieć. Jego też ogarnęły wątpliwości, kiedy zobaczył, jak Parker się waha. Indianin, do tej pory taki pewny siebie, zupełnie nie wiedział, co powiedzieć.

- To żaden dowód - mówi w końcu.

- To poszlaka. Pan uważa, że zrobił to raczej chłopak?

Knox wzdycha. Jest bardzo zmęczony, ale nie na tyle, by połknąć haczyk.

- Co to za historia z tą Kompanią Ameryki Północnej? Nigdy o niej nie słyszałem.

- Właściwie oficjalnie jeszcze nie istnieje, ale w każdej chwili może powstać. Andre powiedział mi, że Jammet miał z nią coś wspólnego. Podobnie jak on. Francuscy pośrednicy handlowi działający w Kanadzie rozważają utworzenie kompanii konkurującej z naszą. Mają poparcie Stanów, nawet niektórzy Anglicy są tym zainteresowani.

Mackinley napina mięśnie twarzy. Jest lojalnym urzędnikiem Kompanii; sama myśl o tym, że jacyś Kanadyjczycy brytyjskiego po-

chodzenia spiskują przeciwko niej, sprawia mu ból. Ale Knox doskonale ich rozumie. Kompanią zawsze kierowali bogacze z Londynu, przysyłający swoich przedstawicieli (określają ich mianem „urzędników”) do kolonii, by eksploatować jej bogactwa. Dla tych, którzy się tutaj urodzili, to obca władza, pozbawiająca ich kraj wszystkiego, co wartościowe, w zamian rzucająca im jedynie ochłapy.

- A więc Jammet mógł być postrzegany jako wróg Kompanii Zatoki Hudsona? - pyta, starannie dobierając słowa.

- Jeśli sugeruje pan, że ludzie Kompanii mogliby zrobić coś takiego... Zapewniam pana, że to całkowicie wykluczone.

- Niczego nie sugeruję. Ale nie możemy lekceważyć faktów. Jak mocno Jammet był zaangażowany w tę Kompanię Ameryki Północnej?

- Tamten człowiek tego nie wiedział. Pamiętał jedynie, że Jammet kiedyś o niej wspomniał.

- Czy ten Andre na pewno był w Sault, kiedy zamordowano Jammeta?

- Leżał nieprzytomny w kącie baru, jeśli wierzyć słowom właściciela. Nie mógł jednocześnie mordować Jammeta w Dove River.

Knoxa ogarnia fala irytacji na myśl o wydarzeniach tego wieczoru. Złości go służbistość i pewność siebie Mackinleya, niezłomność więźnia, nawet nieszczęsny Jammet i jego tragiczna śmierć. Wprawdzie Caulfield istnieje od niedawna, ale zawsze panował tu spokój, nie zbudowano tu więzienia, bo nie zachodziła taka potrzeba. Od kilku dni gdziekolwiek spojrzy, widzi przemoc i rozgoryczenie.

Wchodzi na górę i stwierdza, że jego żona jeszcze nie śpi. Parker, nawet przebywając pod kluczem, zaprzęta umysły wszystkich. W ich osadzie może się znajdować morderca, odgrodzony od nich jedynie cienką, drewnianą ścianą. Jest coś takiego w tym człowieku, co sprawia, że łatwo uwierzyć w jego winę. Naturalnie człowiek nie wybiera sobie twarzy i nie należy go oceniać na tej podstawie. A cóż on właśnie robi innego?

- Niektórych ludzi trudno polubić - mówi, rozbiegając się.

- Masz na myśli więźnia czy pana Mackinleya?

Knox pozwala sobie na lekki uśmiech. Patrzy na twarz żony i dochodzi do wniosku, że wygląda na zmęczoną.

- Dobrze się czujesz?

Bardzo lubi, kiedy jej rozpuszczone włosy układają się w fale; są tak samo lśniące i brązowe, jak w dniu ich ślubu. Jest z nich dumna i każdego wieczoru szczotkuje je przez pięć minut, aż elektryzują się i przyczepiają do szczotki.

- Zamierzałam cię spytać o to samo.

- Całkiem dobrze. Już się nie mogę doczekać, kiedy to wszystko się skończy. Wolę, kiedy w Caulfield jest spokój i nic się nie dzieje.

Przesuwa się, żeby zrobić miejsce dla męża.

- Słyszałeś drugą nowinę?

Wnioskuję z tonu jej głosu, że to nic dobrego.

- Drugą nowinę? Jaka?

Pani Knox wzdycha.

- Jest tu Sturrock.

- Ten poszukiwacz? W Caulfield?

- Tak. Pan Moody spotkał się z nim. Zdaje się, że znał Jammeta.

- Dobry Boże. - Nigdy nie może wyjść ze zdumienia, jakie plotki znosi jego żona do domu. - Dobry Boże - powtarza cicho. Kładzie się, pełen wątpliwości. Kto by pomyślał, że Jammet znał tyle różnych osób? Jakaś osobliwa siła emanuje z pustej chaty, ściągając do Caulfield różnych niepożądanych gości, szukających tu nie wiadomo czego. Ostatni raz widział Sturrocka dziesięć lat temu, na krótko przed śmiercią Charlesa. Próbował zapomnieć o tym spotkaniu. Ale teraz, chociaż bardzo się stara, nie potrafi sobie wyobrazić, by Sturrock pojawił się tu z całkiem niewinnego powodu.

- Myślisz, że on to zrobił?

- Kto? - W pierwszej chwili nie wie, o kim mówi jego żona.

- Jak to kto? Więzień, oczywiście. Myślisz, że to on zrobił?

- Śpij - mówi Knox i ją całuje.

Dzień przed wyjazdem Donald spędził sporo czasu w sklepie Scotta, szukając jakiegoś prezentu dla Susannah. Rozważał kupno wieczne-

go pióra; wprawdzie byłby to stosowny prezent na pożegnanie, ale może uznałaby go za zbyt obcesowe przypomnienie jej obietnicy, że do niego napisze. Wybór miał ograniczony i ostatecznie zdecydował się na haftowaną chusteczkę, nie dopuszczając do siebie myśli, że mogłoby to oznaczać, iż Donald spodziewa się po dziewczynie wylewania łez tęsknoty - przypuszczalnie nawet nie przyjdzie jej nic takiego do głowy.

Tamtego popołudnia Susannah przesiedziała wiele godzin w bibliotece, czekając, by Donald przypadkiem ją tam znalazł. Zdażyłaby porządnie przeczytać całą książkę, nim w końcu się zorientował, co i jak, ale tego nie zrobiła; powieści z ich księgozbioru były na ogół nudne, wybrał je ojciec za młodu albo Maria, która miała dziwny gust. Donald usłyszał pokasływanie Susannah i nieśmiało otworzył drzwi.

- Jutro wyjeżdżamy. Przed świtem, więc się nie zobaczymy.

Pospiesznie odłożyła traktat o łowieniu ryb i rzuciła Donaldowi powłóczyście spojrzenie, któremu nikt nie potrafił się oprzeć.

- Bez pana będzie tu bardzo nudno.

Donald się uśmiechnął, serce mu szybciej zabiło.

- Mam nadzieję, że nie uznasz tego za bezczelność z mojej strony, ale kupiłem dla ciebie to. Chciałem ci coś podarować przed wyjazdem.

Wyciągnął przed siebie mały pakunek, owinięty w szary papier i przewiązany wstążeczką. Susannah się uśmiechnęła i odpakowała paczuszkę. Rozłożyła chusteczkę.

- Och, jaka śliczna! Jest pan zbyt łaskawy, panie Moody.

- Proszę mi mówić po imieniu.

- Och... Donaldzie. Bardzo dziękuję. Nigdy nie będę się z nią rozstawała.

- To byłby dla mnie największy zaszczyt.

O mały włos powiedziałyby, jak zazdrości chusteczce, ale zabrakło mu odwagi. Może i lepiej. Nie wiedział, że Susannah ma już jedną taką, kupioną w tym samym sklepie i podarowaną jej niespełna rok temu przez zadurzonego w niej młodzieńca z tych stron. Ale te-

raz się zapłoniła; lekko zaróżowione policzki sprawiły, że wyglądała, jakby biło od niej światło.

- Wstyd mi, że nie mam nic, co mogę ci podarować w zamian.

- Nie chcę niczego w zamian. - Znów mało brakowało, by poprosił ją o pocałunek, ale po raz kolejny zabrakło mu śmiałości. - Tylko, byś od czasu do czasu napisała do mnie, jeśli nie będziesz zbyt zajęta.

- Ależ naturalnie, że napiszę do ciebie. A ty, jeśli nie będziesz zbyt zajęty, też mógłbyś czasem do mnie napisać.

- Nawet codziennie! - palnął bez zastanowienia.

- Och, obawiam się, że będziesz zbyt zajęty. Mam nadzieję, że nie grozi ci żadne... niebezpieczeństwo.

Ostatnie kilka minut w bibliotece upłynęły w słodkim oszołomieniu. Donald nie wiedział, co powiedzieć, ale czuł, że piłeczka jest teraz na jego połówce, aż w końcu zebrał się na odwagę i ujął dłoń Susannah. Akurat wtedy jednak rozległ się gong - znak, że kolacja gotowa - i dziewczyna cofnęła rękę. W przeciwnym razie kto wie, do czego by doszło. Aż kręci mu się w głowie na tę myśl.

Dove River można opuścić tylko dwiema drogami: na południe nad zatokę albo na północ, wzdłuż rzeki przez las. Jacob wpada na trop za domem państwa Price. Angus Ross powiedział im, że znalazł ślady, świadczące o tym, że Francis szedł w pobliżu jeziora Swallow, i Jacob zatrzymał się jedynie, by obejrzeć ślady i ocenić, czy mógł jej zostawić chłopak. Ścieżka jest pusta, idą w miarę szybko, wczesnym popołudniem docierają nad jezioro. Jacob klęka, by przyjrzeć się z bliska śladom.

- Minęło kilka dni, ale szła tędy więcej niż jedna osoba.

- W tym samym czasie?

Jacob wzrusza ramionami.

- Mógł to być tamten francuski pośrednik handlowy. Szedł tędy, prawda?

- Więcej niż jedna osoba szła w tym kierunku: widać dwa ślady różnej wielkości.

Przez kilka kilometrów podążają ich tropem. Tam, gdzie rzekę Dove zasilają wody dopływu, ślady skręcają na zachód. Dalej ziemia staje kamienista, więc nic już na niej nie widać. Donald podąża za Jacobem, zakładając, że Indianin wie, co robi, ale odczuwa ulgę, kiedy dostrzega kawałek miękkiej ziemi w pobliżu strumyka oraz liście i mech wdeptane w błoto.

- Sądzę, że od sześciu, siedmiu dni idzie pieszko. Jest zmęczony i głodny. Przyspieszmy kroku. Dogonimy go.

- Ale dokąd zmierza? Dokąd prowadzą te ślady?

Jacob nie wie. Trop wije się przez las wzdłuż rzeki, prowadzi cały czas pod górę, ale nic nie świadczy o tym, by wiódł dokądkolwiek.

Zatrzymują się, kiedy jest jeszcze widno, i Jacob pokazuje Donaldowi, jak naciąć gałęzi na szałas. Chociaż Donald od ponad roku jest w Kanadzie, po raz pierwszy ma okazję posmakować życia tubylców. Wprost nie posiada się z radości. Przestał być wyłącznie pisarczykiem, w końcu został człowiekiem czynu, twardym pionierem, prawdziwym poszukiwaczem przygód. Już się cieszy na myśl o tym, jak będzie opowiadał o swojej wyprawie kolegom w Fort Edgar.

Po zbudowaniu szałasu i rozpaleniu ogniska, kiedy już Jacob przyrządził potrawę z mięsa i kukurydzy, Donald siada przy ognisku i wyciąga pióro oraz papier, by napisać do Susannah. Nie pomyślał, jak jego listy dotrą do niej, ale przypuszczalnie po drodze natkną się na jakąś osadę, skąd będzie można je wysłać. Pisze „Droga Susannah” i urywa. Czy powinien opisać dzisiejszą wędrówkę, ciemnozielony las, płomienne żółcie, fioletowawe skały wśród błyszczących mchów, szałas? Rezygnuje z tego, uznawszy, że może ją to znudzić, i pisze: „Był to najciekawszy...”, ale ciepło bijące od ogniska sprawia, że morzy go sen. Jacob musiał go obudzić i zaciągnąć do szałasu z brzoźowych gałęzi. Donald pada na posłanie z jedliny, kompletnie wyczerpany. Jest zbyt zmęczony, by podziwiać, jak światło księżyca rzuca eteryczne cienie między drzewami; a już z całą pewnością zbyt zmęczony, by zauważyć, że Jacob patrzy na aureolę lodowych kryształków wokół księżyca i marszczy brwi.

**W**ciągu wielu lat skompletowałam całkiem ciekawy, nawet jeśli niespójny księgozbiór; kilka pozycji pożyczyłam ostatnio Idzie. W przeciwieństwie do swej matki jest mi bardzo wdzięczna i sprawia wrażenie szczerze wzruszonej, że powierzyłam jej coś tak cennego. Jeszcze tydzień temu bym się na to nie zdobyła, ale teraz nawet moje najcenniejsze skarby straciły w moich oczach swoją wartość. Pożyczyłam jej między innymi słownik, pieczołowicie przeze mnie przechowywany od dwudziestu lat. Nie rozstawałam się z nim, kiedy przebywałam w zakładach dla obłąkanych, w ten sposób rekompensując sobie brak formalnego wykształcenia, ale Ida szczególnie o niego prosiła, albowiem w domu państwa Pretty nigdy nie było niczego takiego.

Matka dała mi go na krótko przed swoją śmiercią, jakby chciała w ten sposób wynagrodzić to, że niebawem zabraknie jej przy mnie. Można pomyśleć, że to niewielka pociecha, ale zawsze. Nienawidzę, kiedy w książkach natykam się na nieznanne słowa i wytrwale je wyszukuję: „transparentny”, „sekutnica”, „intymny”. Po jej śmierci sprawdziłam słowo „samobójstwo”. Pomyślałam, że łatwiej zrozumiałam, dlaczego to zrobiła. Definicja była zwięzła i rzeczowa, czego nie można powiedzieć o mojej matce. „Akt samouniżenia” kojarzy się z czymś celowym i gwałtownym, a moja matka była łagodną marzycielką, często błądzącą gdzieś myślami. Poprosiłam ojca, by mi to wytłumaczył - założyłam, że znał ją lepiej niż ja. Ze złością odparł, że to bzdury - nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego, nawet myślenie o tym to grzech. I ku memu wielkiemu zażenowaniu, rozpła-



kał się. Objęłam go, próbując go pocieszyć, a on szlochał. Postąpiłam tak minutę czy dwie, chociaż miałam wrażenie, że minęła godzina, po czym wyszłam z pokoju. Chyba nawet tego nie zauważył.

Przypuszczam, że żadne z nas jej nie znało.

Dopiero później zrozumiałam, że wpadł w złość, ponieważ domyślałam się prawdy. Sądzę, że obwinił siebie, i jestem pewna, że odesłał mnie do zakładu dla obłąkanych, bo bał się, że matka wpadła w depresję przez niego, a teraz do takiego samego stanu doprowadzi mnie. Nie był człowiekiem zbyt rozgarniętym, ale chyba słusznie podejrzewał.

Przez całe życie starałam się nie być taka, jak moi rodzice. Teraz, kiedy zbliżam się do wieku, w którym moja matka umarła, nie wiem, na ile mi się to udało: moje jedyne dziecko uciekło z domu w tak strasznych okolicznościach i z pewnością nie mogę całej winy za to zrzucić na jego irlandzkie pochodzenie. Ja też odegrałam swoją rolę w kształtowaniu jego losów. Jeszcze nie wiem, na ile destrukcyjną.

Sprawia mi pewną ulgę rozmowa z Idą, która dziś jest weselsza. Z przejściem powtarza mi plotki o Indianinie, zamkniętym w magazynie w Caulfield. Zabawnie naśladuje Scotta, który wydał policzki z oburzenia, gdy zwrócono się do niego z prośbą, by użyzył swego magazynu na taki cel. I mówi mi w tajemnicy, że jej bracia znaleźli ślady świadczące o tym, że mężczyzna w drodze do Jammeta minął ich farmę. To oznacza, że przyszedł z północy. Więc bardzo możliwe, że widział Francisa. Czyli że - nawet jeśli jest mordercą - muszę do niego pójść i go wypytać. Przed pożegnaniem Ida mówi, że w domu Scotta zatrzymał się Thomas Sturrock. Czy wiem, że to słynny poszukiwacz, któremu nie udało się znaleźć sióstr Seton? Całe miasto o tym mówi. Niewyraźnie skinęłam głową i bąkam, że coś o tym słyszałam. Ciekawa jestem, dlaczego o tym nie wspomniał, kiedy rozmawialiśmy o tej sprawie. Znów dowiem się tego ostatnia.

Oczywiście Knox stwarza trudności, kiedy go informuję, że chciałabym porozmawiać z więźniem. Twierdzi, że niczego z niego nie wyciągnę, że już go przesłuchiwali, że może to zaszkodzić sprawie, że to niesto-

sowne, a na koniec, że może to być niebezpieczne. Zachowuję spokój. Wiem, że jeśli zostaną tu wystarczająco długo i odmówię opuszczenia jego domu, ostatecznie się podda. I rzeczywiście to robi, wzdychając ponuro i kręcąc głową. Zapewniam go, że nie boję się Indianina, chociaż jego wygląd może budzić lęk. Nie będzie ryzykował, bo ma wiele do stracenia (chyba że go skazą, wtedy nie sprawi mu różnicy, za ile morderstw go powieszają, ale nie mówię tego na głos). Tak czy owak, Knox nalega, by towarzyszył mi służący, któremu nakazuje usiąść w pobliżu drzwi do magazynu i mieć na wszystko baczenie.

Adam przekręca klucz w zamku w drzwiach do magazynu, z którego wyniesiono tyle towarów sypkich, by więzień miał dużo wolnej przestrzeni. Wysoko, pod samym dachem, są dwa okna, więc możliwości ucieczki są niewielkie. Zresztą mężczyzna i tak leży na sieniaku i nawet nie drgnął, kiedy otwierały się drzwi. Może śpi. Poruszył się dopiero wtedy, kiedy Adam go zawołał. Wolno siada, owijając się cienkim kocem. Na kominku nie płonie ogień, mam wrażenie, że w środku panuje zimno jeszcze bardziej przenikliwe niż na dworze.

- Chcecie, żeby tu zamarzył na śmierć? - pytam Adama.

Adam coś mamrocze o puszczeniu wszystkiego z dymem. Każę mu przynieść kilka gorących kamieni, byśmy mogli sobie ogrzewać nogi, i kawę. Adam patrzy na mnie zdumiony.

- Nie zostawię pani tu samej.

- Natychmiast przynieś to, o co prosiłam. Nie bądź śmieszny, nie możemy siedzieć i rozmawiać, kiedy taki tu ziąb. Jestem pewna, że nic mi się nie stanie do twojego powrotu. - Patrzę na niego władczo, aż wychodzi, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Więzień siedzi jak posąg. Stawiam krzesło kilka kroków od jego pośłania i siadam. Denerwuję się, ale za wszelką cenę staram się tego nie okazywać. Jeśli chcę, żeby mi pomógł, muszę zachowywać się tak, jakbym mu ufała.

- Panie Parker. - Wcześniej ułożyłam sobie w głowie, co powiem. - Nazywam się Ross. Przyszłam, żeby prosić pana o pomoc. proszę mi wybaczyć, że korzystam z tego, że pana... zatrzymano.

Nie patrzy na mnie ani w żaden sposób nie daje do zrozumienia, że zauważa moją obecność. Przebiega mi przez myśl, czy aby nie jest trochę przygłuchy.

- Panie Parker - mówię nieco głośniej. - O ile wiem, przybył pan z północy, szedł pan w pobliżu jeziora Swallow?

Po długiej chwili odzywa się cicho:

- A co to panią obchodzi?

- Już wyjaśniam. Mam syna, Francisa. Siedem dni temu wyszedł z domu. Przypuszczam, że udał się na północ. Nikogo tam nie zna. Martwię się o niego. Może widział pan jakieś ślady...? Ma zaledwie siedemnaście lat. Ma... ciemne włosy. Jest drobnej budowy.

A więc zrobiłam to. Nie mogłam tego inaczej powiedzieć, zresztą czuję, że mam tak ściśnięte gardło, że chyba nie uda mi się wydusić ani jednego słowa więcej.

Parker jakby się zastanawia, jego twarz nie jest już taka obojętna, utkwiał we mnie swoje czarne oczy.

- Siedem dni temu?

Pluję sobie w brodę. Powinnam powiedzieć osiem. Albo dziewięć. Kiwam głową.

- A martwego Jammeta znaleziono sześć dni temu.

- Mój syn go nie zabił, panie Parker.

- Skąd pani wie?

Jego pytanie wywołuje we mnie falę gniewu. Jak to skąd? Przecież jestem jego matką.

- Przyjaźnili się.

I wtedy Parker robi coś, czego się nie spodziewałam: wybucha śmiechem. Jego śmiech, tak jak i głos, jest cichy i chropawy, ale całkiem przyjemny.

- Ja też się z nim przyjaźniłem. A jednak pan Knox i pan MacKinley uważają, że go zabiłem.

- Cóż... - Zaskakuje mnie taki obrót sprawy. - Przypuszczam, że pana nie znają. Ale sądzę, że niewinny człowiek z pewnością zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by pomóc kobiecie w takim położeniu, jak moje. To by świadczyło, że jest człowiekiem prawym.

Czy sobie to wyobraziłam, czy naprawdę się uśmiecha? Kącki ust lekko mu drżą.

- Więc uważa pani, że jeśli pani pomogę, pan Mackinley mnie wypuści?

Nie wiem, czy powiedział to z sarkazmem.

- To będzie zależało od okoliczności, o których nic mi nie wiadomo, panie Parker, na przykład, czy jest pan winny, czy też nie.

- Jestem niewinny. A pani?

- Ja... - Zupełnie nie wiem, co powiedzieć. - Znalazłam go. Widziałam, co mu zrobiono!

Teraz wygląda na szczerze zaskoczonego. I odnoszę nieodparte wrażenie, że chciałby się dowiedzieć, co zobaczyłam. A skoro tak, rozumiuję, skoro chce to wiedzieć, to można założyć, że tego nie zrobił.

- Widziała go pani? Nie powiedzieli mi, w jaki sposób zginął.

Jeśli kłamie, robi to bardzo przekonująco. Pochyliła się do przodu. Staram się nie cofnąć przed nim, ale jego twarz budzi trwogę. Niemal czuję bijącą od niego złość.

- Proszę mi powiedzieć, co pani zobaczyła, wtedy może zdołam pani pomóc.

- Nie mogę tego zrobić. Nie mogę się z panem układać.

- To w takim razie czemu miałbym pani pomóc?

- A czemu nie?

Nagle wstaje i podchodzi do ściany magazynu. Robi tylko kilka kroków, ale mimo woli się wzdrygam. Wzdycha. Może przywykł do tego, że ludzie się go boją. Zastanawiam się, gdzie jest Adam z kawą - wydaje mi się, że nie ma go już od godziny.

- Jestem Metysem oskarżonym o zamordowanie białego człowieka. Myśli pani, że obchodzi ich to, że był moim przyjacielem? Myśli pani, że wierzą w to, co im mówię?

Parker stoi w wyjątkowo mrocznej części magazynu i nie widzę wyrazu jego twarzy. Potem wraca do swego legowiska.

- Jestem zmęczony. Będę musiał pomyśleć. Proszę spytać mnie jutro.

Kładzie się na posłaniu tyłem do mnie i nakrywa się kocem.

- Panie Parker, błagam, by sobie pan przypomniał. - Wcale nie jestem pewna, czy uda mi się jutro z nim spotkać. - Panie Parker...?

Kiedy Adam wraca, czekam na niego przy drzwiach. Patrzy na mnie zdumiony, w zimnym i wilgotnym powietrzu imbryk z kawą paruje jak miniaturowy wulkan.

- Pan Parker i ja na razie skończyliśmy rozmowę - oznajmiam.  
- Ale możesz zostawić imbryk z kawą.  
Adam nie jest zadowolony, ale spełnia moją prośbę. Stawia imbryk i kubek w bezpiecznej odległości od legowiska. I to tyle.

**A**ndrew Knox czasami żałuje, że jest szanowanym członkiem starszyny. Przeszedł na emeryturę, żeby uciec przed tymi wszystkimi, którzy go błagali, by zaprowadził ład w ich splątanych losach. Przed ludźmi, którzy oszukiwali i kradli, ale nadal uważali, że świat sprzysiągł się przeciwko nim i nawet jeśli dopuścili się jakichś niegodziwości, nie oni ściągnęli sobie kłopoty na głowę. Jakby jeszcze było mało, że w całym mieście aż wrze z uwagi na to, że wśród nich może przebywać potencjalny morderca, dziś rano w jego gabinecie pojawił się John Scott, domagając się dostępu do własnego magazynu albo znacznej rekompensaty za oddanie swojego budynku na potrzeby miasta, jak to ujął, w przeciwnym razie będzie się musiał zwrócić w tej sprawie do władz. Knox życzył mu powodzenia. Mieszkańcy osady zatrzymywali go na ulicy, by zapytać, dlaczego winowajcy nie przeniesiono do prawdziwego aresztu - nikt nawet nie dopuszcza do siebie myśli, że mężczyzna jest niewinny. A Mackinley nie spieszy się z wyjazdem - Knox podejrzewa, że osobiście chce skłonić zatrzymanego do wyznania prawdy, by mógł obnosić się z wyrokiem skazującym jak z trofeum. Knox trafił pomiędzy pragnienia ambitnych ludzi, ale nie chce mieć z nimi nic wspólnego.

Do tego jeszcze ta sprawa ze Sturrockiem, której nie może lekceważyć.

Mary puka do drzwi i mówi, że przyszła zobaczyć się z nim pani Ross. Znowu? Ta kobieta nie da mu spokoju. Knox kiwa głową i z trudem powstrzymuje się od westchnienia. Gdyby się nie zgodził, kobieta na pewno czekałaby w holu, a nawet - nie daj Boże - przed domem.

- Panie Knox... - mówi, jeszcze zanim zamknęły się za nią drzwi.  
- Pani Ross, mam nadzieję, że czegoś się pani dowiedziała o swoim synu?

- Parker nie chciał nic powiedzieć. Ale na pewno coś wie. Kazał mi przyjść jutro.

- Nie mogę na to pozwolić, chyba rozumie pani...

- On tego nie zrobił.

Mówi to z taką pewnością siebie, że Knox gapi się na nią z otwartymi ustami. Dopiero po chwili sobie to uświadomią i zamyka je.

- Skąd ta pewność? Czy to kobieca intuicja?

Pani Ross uśmiecha się z sarkazmem - Knox bardzo tego nie lubi u kobiet.

- Chciał usłyszeć, jak zginął Jammet. Nie wie tego. I mam przecucie, że coś mógłby mi powiedzieć o Francisie. Ale obawia się, że pan Mackinley nie potraktuje uczciwie... Metysa.

Knox podejrzewa, że Parker jemu też nie ufa, ale pani Ross dyplomatycznie to przemilczała.

- Może wiadomo pani również, co robił w chacie Jammeta?

- Zapytam go.

Knox marszczy brwi. Cała ta sprawa wymyka się spod kontroli. Zapomniał, że dopiero co pragnął się uwolnić od ciężącej na nim odpowiedzialności. Ale perspektywa, by przejęła ją od niego żona farmera, wydaje mu się niedorzeczna.

- Przykro mi, ale to absolutnie wykluczone. Zamierzamy jak najszybciej przenieść więźnia do aresztu. Nie mogę pozwalać na rozmowę z nim każdemu, kto ma na to ochotę.

- Panie Knox. - Robi krok w jego stronę, zupełnie jakby (gdyby była mężczyzną) chciała mu zagrozić. - Mój syn wybrał się do lasu, ludzie Kompanii mogą go nie odnaleźć. Może zabłądził. Może coś mu się stało. To jeszcze dziecko. Jeśli będzie mi pan utrudniał zdobyć jakichś informacji o nim, może być pan winien jego śmierci.

Knox całą siłą woli powstrzymuje się, by się nie cofnąć. Jest w pani Ross coś takiego... A może ta wysoka, urodziwa niewiasta

sprawia, że czuje się nieudolny? Pod twardym spojrzeniem jej oczu o osobliwym szarym kolorze i ostrych jak stal zdaje sobie sprawę z niezłomności kobiety.

- Uważam, że kto jak kto, ale pan rozumie, co to znaczy stracić dziecko. Odmówi mi pan pomocy?

Knox wzdycha, oburzony, że pani Ross wykorzystała w taki sposób tragedię siostr Seton. Ale wie, że ustąpi kobiecie. Jeśli chłopak rzeczywiście zabłądził, Knox woli nie myśleć, jak to się może zakończyć. Poza tym Mackinley nie musi o tym wiedzieć. Jeśli Knox zachowa ostrożność, nikt nigdy się o tym nie dowie.

Mówi, by przysłała wczesnym rankiem, podkreślając, że nikt nie powinien jej widzieć, i wzdycha z ulgą, kiedy kobieta wychodzi. Knox przypuszcza, że to naturalne zachowanie u matki pragnącej chronić swoje dziecko; uważa jedynie, że byłoby jeszcze bardziej naturalne (i łatwiej by mu było okazać współczucie), gdyby kobieta się rozplakała albo okazała więcej wrażliwości.

- Panie Knox! - Mackinley wtargnął do jego gabinetu bez pukania. Naprawdę, ten człowiek staje się coraz bardziej nieznośny; kręci się po domu, jakby był u siebie. - Uważam, że wystarczy, jak go przetrzymamy jeszcze jeden dzień, a pan?

Knox patrzy na niego znużonym wzrokiem.

- Na co wystarczy, panie Mackinley?

- Na skłonienie go do przyznania się do winy. Nie ma sensu dłużej tego ciągnąć.

- A jeśli się nie przyzna?

- Och, nie sądzę, byśmy mieli z tym jakiś kłopot. - Mackinley uśmiecha się chytrze. - Wystarczy odebrać tym ludziom wolność, a szybko gotowi są zrobić wszystko, czego się od nich zażąda. Nie potrafią przebywać w zamknięciu, czują się wtedy jak zwierzęta.

Knox patrzy na niego nienawistnie. Mackinley tego nie zauważa.

- Chyba przed kolacją spróbuję jeszcze raz z nim porozmawiać.

- Mam pilną pracę papierkową. Czy nie może to zaczekać?



- Nie widzę potrzeby, by pan się też fatygował, panie Knox. Jestem gotów sam go przesłuchać.

- Uważam, że byłoby... lepiej, gdybyśmy obaj przy tym byli.

- Nie przypuszczam, by groziło mi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. - Odchyła poję surduta, by pokazać rewolwer za pasem.

Knoxa ogarnia gniew.

- Nie miałem na myśli pańskiego bezpieczeństwa, panie Mackinley. Chodziło mi raczej o to, by jeszcze ktoś słyszał tę rozmowę, cokolwiek zostanie w trakcie niej powiedziane.

- W takim razie zabiorę ze sobą Adama. Poproszę o klucz.

Knox chce jeszcze coś powiedzieć, ale się powstrzymuje. Otwiera szufladę, w której leżą dwa klucze do magazynu, powierzone jego pieczy. Zastanawia się, czy nie zmienić planów i jednak mu towarzyszyć. Zaczął traktować Mackinleya jak przestępcę, co naturalnie jest nieprawdą; to tylko szanowany urzędnik Kompanii. Wręcza mu jeden klucz i zmusza się do uśmiechu.

- Adam powinien być w kuchni.

Po wyjściu Mackinleya Knox słyszy uniesione głosy w salonie. Jego córki się kłóć. Przez chwilę rozważa, czy nie wkroczyć, jak to miał w zwyczaju, gdy były młodsze, ale nie może zebrać sił. Poza tym teraz to już dorosłe kobiety. Słucha znajomych odgłosów: płaczliwego głosu Susannah, pouczającego tonu Marii, i się krzywi. Potem rozlega się trzaśnięcie drzwiami i odgłosy szybkich kroków, kiedy jedna z nich biegnie na górę. Tak, to już dorosłe kobiety.

**S**turrock akurat rozmawia z panią Scott. Kobieta patrzy na mnie jak zwykle spłoszona. Prawdopodobnie przypuszczała, że przyszedł jej mąż i zacznie się czepiać. Odnoszę wrażenie, że ich rozmowa była dość poufała: kiedy pojawiaam się w sklepie, lekko się od siebie odsuwają, jakby dawali do zrozumienia, że to koniec zwierzeń. Jestem zdegustowana; myślałam, że mnie uznał za swoją powierniczkę. Zdaje się, że pan Sturrock ma w zwyczaju prowadzić szeptem rozmowy z cudzymi żonami.

Odwraca się w moją stronę z uśmiechem, skłaniając siwą głowę.

- Pani Ross. Znalazła pani najcieplejsze i najprzyjemniejsze miejsce w całym Caulfield w ten zimny dzień.

Nieco sztywno kiwam głową. Nie wiem, czemu spodziewałam się, że nie przyzna się do znajomości ze mną.

- Może filiżankę kawy, pani Ross? Na koszt zakładu? - Pani Scott patrzy na mnie niezwykle śmiało. Chyba z uwagi na obecność Sturrocka odważyła się zadysponować kawą swego męża.

- Dziękuję. Z największą chęcią się napiję.

I tak bym zamówiła kawę, mimo złodziejskiej ceny. Przemarzałam do szpiku kości. To przez to siedzenie w magazynie. I całą tę sprawę morderstwa. Mimo tego, co powiedziałam Knoxowi, nie mam pojęcia, czy Parker jest zabójcą, czy też nie. Straciłam pewność, że nie wiedział, co spotkało Jammeta, gdy tylko Adam zamknął drzwi na klucz.

- Nie powiedział mi pan, że znacie się z panem Knoxem - mówię, by już to mieć z głowy. Jestem zła, że w moim tonie słysząc aż takie rozdrażnienie.

- Chyba nie. Przepraszam.

- Mógł pan iść do niego i zapytać o dobytek Jammeta. Nie musiał pan zakradać się jak złodziej.

Jak ja. Czuję się zdradzona. Wydawał mi się sympatyczniejszy, kiedy zachowywał się równie podejrzanie, jak ja.

- Poznałem Knoxa dawno temu. Nie przypuszczam, że chciałby kontynuować naszą znajomość.

- Czy wie, że jest pan tutaj?

- Chyba trudno byłoby mu o tym nie wiedzieć.

- Nie chcę być wścibska. Po prostu czuję się... postawiona w niekorzystnej sytuacji.

Przez jakiś czas w milczeniu pijemy kawę.

- Pani Ross, proszę mi wierzyć, że tamtego wieczoru nie chciałem wprowadzić pani w błąd. Czasami człowiek jest rozczarowany rolą, jaką odegrał w niektórych sprawach. Zawsze chcemy uchodzić za bohaterów, prawda? Chcemy być bohaterami opowieści albo... nikim.

- Nie wątpię, że zrobił pan, co w pańskiej mocy.

Wzdycha. Jestem skłonna mu uwierzyć, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że ma to większy związek z jego czarem osobistym niż z nieomylnością sądów, z której słynę.

- Jeśli nie można ich było odszukać, to cokolwiek by pan zrobił, i tak na nic by się nie zdało.

Uśmiecha się.

- Ale niektórzy twierdzą, jak zapewne pani słyszała, że zbyt długo szukałem i podsycalem nadzieje, gdy powinienem był je pożebać i rozwiązać.

- Jeśli rodzic chce mieć nadzieję, to nic ani nikt mu w tym nie przeszkodzi.

Wypadło to bardziej szorstko, niż zamierzałam, i Sturrock patrzy na mnie ze współczuciem, jak poprzednio. Myślę sobie cynicz-

nie, ilu zamartwiających się rodziców widziało to spojrzenie i znajdowało w nim pocieszenie.

Naturalnie mnie nie jest potrzebne współczucie, tylko czyny. Coś, co we mnie dojrzewało, nienazwane i przerażające, nagle się krystalizuje. I wiem, że nie mogę dłużej zdawać się na innych. Zawsze na koniec są tylko źródłem rozczarowania.

Knox zastaje Sturrocka w domu państwa Scott. Anonsuje służącej swoje przybycie i Scott wychodzi mu na powitanie. Patrzy na niego zaintrygowany, ale Knox nie mówi, jaki jest powód jego wizyty. Niech sobie plotkują (i tak będą to robili, czy na to pozwoli, czy też nie), nie zamierza się im tłumaczyć. Może uznają, że Sturrock jest kolejnym podejrzanym o popełnienie morderstwa.

Prowadzą go w głąb domu do pokoju, który Scottowie wynajmują komiwojażerom. Służąca puka do drzwi i kiedy Sturrock mówi „proszę”, Knox wchodzi do środka.

Thomas Sturrock postarzał się od czasu, kiedy ostatni raz go widział. I nic dziwnego, minęło chyba dziesięć lat. Pięćdziesięciolatek to jeszcze mężczyzna w sile wieku, natomiast u sześćdziesięciolatka widać już pierwsze objawy starczego zdziecinnienia. Knox jest ciekaw, czy sam też się zmienił. Sturrock trzyma się prosto i jest elegancki jak zawsze, ale wydaje się chudszy, bardziej zasuszony, węższy. Wstaje na widok gościa, ukrywając swoje zaskoczenie czy też to, co czuje, pod niewymuszonym uśmiechem.

- Pan Knox. Chyba nie powinno mnie to dziwić.

- Witam, panie Sturrock. - Podają sobie ręce. - Mam nadzieję, że dobrze się pan ma.

- Wciąż na szczęście jestem człowiekiem aktywnym, chociaż przeszedłem na emeryturę.

- To dobrze. Chyba się pan domyśla, jaki jest powód moich odwiedzin.

Sturrock wzrusza ramionami. Mankiety koszuli ma postrzępione, a spodnie nieco przybrudzone, ale i tak wygląda na fircyka. Szkodzi mu to w oczach innych.

Knox czuje się niezręcznie. Zapomniał, jak Sturrock działa na ludzi, niemal uwierzył, że historia krążąca po Caulfield jest prawdziwa.

- Przykro mi z powodu... Cóż, chyba nie muszę tego mówić. Wiem, co ludzie gadają. Z pewnością nie jest panu miło tego słuchać.

Sturrock się uśmiecha.

- Nie zamierzam ich wyprowadzać z błędu, jeśli to pana nie pokoi.

Knox kiwa głową z wyraźną ulgą.

- Martwię się o moją żonę. Ona i moje córki bardzo by to przeżyły... Jestem pewien, że rozumie mnie pan.

- Ależ naturalnie.

Knox uświadamia sobie, że Sturrock wcale się z nim nie zgadza; nie można mu ufać. Chce odzyskać dobre imię.

- A tak w ogóle, co sprowadza pana do Caulfield? Doszły mnie bardzo dziwne opowieści.

- Przypuszczam, że są prawdziwe - mówi Sturrock z uśmiechem.

Właśnie wtedy Knox słyszy jakieś skrzypnięcie na korytarzu. Wstaje bezszelestnie i otwiera drzwi. John Scott stoi na progu z tacą, starając się przybrać taką minę, jakby dopiero co się tu pojawił.

- Pomyślałem sobie, że może mieliby panowie ochotę na kieli-szeczek czegoś mocniejszego - mówi z udawaną jowialnością.

- Dziękujemy. - Knox z surową miną bierze tacę. - To dowód pańskiej ogromnej troski. Domyślam się, że stara się pan o moją przychylność, licząc, że poprę pańską prośbę o rekompensatę?

Scott posepnieje, ale po chwili, próbując ratować sytuację, szepcze konspiracyjnym tonem „To ciekawy człowiek”, wskazując głową Sturrocka.

W blasku lampy twarz Scotta jest niepokojąco różowa i błyszcząca. Knoxowi przychodzi nagle na myśl świnia w posiadłości jego

rodziców, która kokieteryjnie chrząkała, domagając się smakowitych kąsków, wysuwając ryj przez żywoplot rosnący w głębi ogrodu. Tak go zdumiało to skojarzenie, że tylko kiwa głową i zamyka drzwi nogą. Stawia tacę na stoliku.

- Pan Scott jest nie tylko właścicielem sklepu wielobranżowego, młynarzem i przedsiębiorcą, ale również wydawcą miejscowej gazety. - Nalewa Sturrockowi whisky do szklaneczki. - Czy mogę panu jakoś pomóc podczas pobytu w naszym mieście? Poza zaproponowaniem panu kwatery w swoim domu, co byłoby czymś... nie stosownym.

- Miło z pańskiej strony, że pan zapytał. - Sturrock ma taką minę, jakby się zastanawiał, chociaż doskonale wie, o co poprosić. Mówi Knoxowi, dlaczego tu przyjechał, a ten mu obiecuje, że postara się mu pomóc, chociaż w głębi duszy jest zdumiony prośbą. Pół godziny później i kilka dolarów biedniejszy opuszcza dom i stwierdza, że nogi same go prowadzą do magazynu, dużego, pozbawionego okien budynku, mającego obok oświetlonych domów.

Przystaje koło niego - prawie zapadł zmrok - i nasłuchuje odgłosów ze środka. Nic nie słyszy, więc wyjmuje drugi klucz, upewniwszy się, że Mackinleya już tu nie zastanie.

Jeszcze zanim wzrok przywykł mu do panujących wewnątrz ciemności, czuje, że zaszła jakaś zmiana. Więzień nie odwraca się w jego stronę.

- Panie Parker? To ja, Knox.

Dopiero teraz mężczyzna pokazuje swoją twarz. W pierwszej chwili Knox nie rozumie, co widzą jego oczy - twarz mężczyzny, tak jak poprzednio, przypomina z grubsza ociosaną rzeźbę, ale jakby niedokończoną albo uszkodzoną w wyniku osunięcia się noża. Knoxa aż przechodzi dreszcz na widok opuchlizny i zaschniętej krwi na czole i policzku.

- Dobry Boże, co się stało? - woła odruchowo, nim zdążył się ugryźć w język.

- Czy teraz pańska kolej? - Głos mężczyzny jest szorstki, ale pozbawiony emocji.

- Co on panu zrobił?! - Powinien był towarzyszyć Mackinleyowi. Powinien posłuchać wewnętrznego głosu. Niech to szlag! Wszystko popsuł.

- Uznał, że powinien mnie zachęcić do złożenia zeznań. Ale nie mogę się przyznać do czegoś, czego nie zrobiłem.

Knox, wielce wzburzony, krąży po magazynie. Przypomina sobie zapewnienia pani Ross, że Parker jest niewinny, i skłonny jest się z nią zgodzić. Czuje się jak zongler, którego ogarnia panika, bo nagle się zorientował, że wyrzucił w powietrze zbyt wiele piłeczek, nie uniknie katastrofy i okryje się sromotą.

- Coś... Coś panu na to znajdę.

- Niczego mi nie złamał.

- Proszę o... wybaczenie. To nie powinno mieć miejsca.

- Powiem panu coś, czego nie powiedziałbym komu innemu.

Knox wpatruje się w niego pełen nadziei.

- Laurent miał wrogów. A najgorszych w Kompanii. Kiedy żył, stanowił dla nich zagrożenie. Martwy nikomu nie może zaszkodzić.

- Jakiego rodzaju zagrożenie?

- Był założycielem Kompanii Ameryki Północnej. A co ważniejsze, kiedyś pracował dla nich, tak jak ja. W Kompanii nie lubią tych, którzy się obracają przeciwko nim.

- Kto konkretnie nie lubi?

Zapada długie milczenie.

- Nie wiem.

Knox czuje, jak po mostku ścieka mu pot, chociaż w magazynie jest zimno. Wpadł na głupi i zuchwały pomysł. Nie udaje mu się opędzić od tej myśli. Wie, że za chwilę zrobi coś, co jest absolutnie do niego niepodobne.

Tamtego wieczoru podczas kolacji obserwuje, jak Mackinley się zmienia pod wpływem wina i zainteresowania kobiet. Jest coraz bardziej czerwony na twarzy, mówi coraz głośniejsze o zaletach wielkich ludzi z Kompanii, których zna. Opowiada o faktorze Kompanii,



który zasłynął z tego, że zażegnał konflikt między dwoma indiańskimi plemionami, na czym oba straciły, a później o innym, którego szczególnie podziwia za to, że i zimą przemierzał te pustkowia. Nawet miejscowi przewodnicy z szacunkiem odnosili się do jego umiejętności radzenia sobie w tej głuszy. Świadczy to również o tym, że sztuka przetrwania w tej surowej krainie nie jest czymś wrodzonym tubylcom, nie dowodzi ich wyższości; nie ma niczego, w czym biały człowiek (a szczególnie Szkot) nie przewyższy innych, o ile okoliczności są sprzyjające.

Knox obserwuje perorującego Mackinleya i chociaż nie bierze udziału w rozmowie, udaje mu się ukryć wstęś, który do niego czuje. Później żona spyta go, czy dobrze się czuje, a on się uśmiejnie i powie, że jest zmęczony, ale nie ma powodu do niepokoju.

Już wkrótce zaczną o nim mówić; rozejdą się pogłoski o jego braku kompetencji, o jego niezdatności do pełnienia obowiązków sędziego pokoju. Na szczęście jest już na emeryturze. Jeśli ceną, jaką musi zapłacić za sprawiedliwość, ma być jego dobre imię, gotów na to przystać.

Już kiedyś przemilczał prawdę. Może to zrobić jeszcze raz.

# NIEBIAŃSKIE POLA

**N**ie udało mu się. Już od kilku dni leży w tej cichej izbie, ledwo mając siłę się poruszyć. W lewej nodze od czasu do czasu czuje rwanie, które budzi go w nocy. Z wąskiego łóżka przygląda się bielonym ścianom, malowanym, drewnianym krzesłom, pozbawionemu zasłon oknu, za którym rozciąga się niebo. Jeśli po-deprze się na łokciach, widzi małą iglicę kościoła, pomalowaną na czerwono. Niebo na ogół jest szare lub białe. Albo czarne.

Dreszcze ustąpiły. Wie teraz, że po kąpielii w trzęsawisku dostał gorączki. Przechodził przez spokojny, torfiasty strumień - woda była tak nieruchoma, że tłuste plamy na jej powierzchni mieniły się tęczowo - kiedy na drugim brzegu poślizgnął się i wpadł do grzęzawiska. Przerażony, że tak szybko się pograża, uczeplił się trzcini i starał się położyć płasko, by nie utonąć. Z całą ostrością ujrzał, jak wciąga go bagno, jak błotnista maź wypełnia mu usta i nos, zatyka gardło. Zaczął krzyczeć, chociaż znikąd nie mógł się spodziewać pomocy. Wydawało mu się, że minęły godziny, nim się w końcu wygramolił, a potem doczołgał na brunatny brzeg i padł na kępę krzewinek jagód. Tam, gdzie rosną jagody, jest bezpiecznie, krzaczki zapuszczają korzenie w twardej, kamienistej glebie. Leżał wyczerpany. Było coś nie w porządku z lewą nogą; kiedy spróbował stanąć, ugięła się pod nim, a ból w kolanie przyprawił go o torsje, chociaż nie miał czego wymiotować. Od trzech dni nie jadł jak należy - a może dłużej? Nie pamięta. Nie pamięta też, kto go znalazł i jak tutaj trafił. Obudził się w białej izbie i zaczął się zastanawiać, czy tak wygląda śmierć: pu-

ste, białe pomieszczenie, w którym krążą tam i z powrotem anioły, mówiące swoimi językami.

Potem gorączka mu spadła i uświadomił sobie, że pokój wcale nie jest pusty, a anioły twardo stąpają po ziemi i wyglądają zupełnie zwyczajnie, chociaż nadal nie rozumiał, co mówią.

Opiekują się nim dwie kobiety, karmią go zupą i robią takie rzeczy, że sama myśl o nich przyprawia go o rumieniec. Ale muszą być w wieku jego matki i traktują go jak własne dziecko. Ich ruchy są szybkie i konkretne: myją go gąbką, wygładzają prześcieradła, głaszczą po włosach. Wczoraj - wydaje mu się, że było to wczoraj - przyszedł jakiś mężczyzna, rozmawiał z jedną z kobiet, a potem zbliżył się i przyglądał mu się jakby z bardzo wysoka. Mężczyzna był w wieku jego ojca, miał jasną brodę, jakiej nikt już nie nosi, i wylupiałe oczy jak u kozy.

- Etes-vous Francais? - zapytał z dziwnym akcentem. Francis przeraził się, że mężczyzna zna jego imię, nim rozpoznał francuskie słowa. Zastanawiał się, co odpowiedzieć. Tytu rzeczy nie wie. Potem mężczyzna zwrócił się do kobiety i przez chwilę mówił do niej w ich gardłowym języku.

- Ank-lik?

Francis, wpatrując się w twarz mężczyzny, postanowił, że w ogóle się nie odezwie. Tak przypuszczalnie będzie najlepiej.

Kobieta i mężczyzna spojrzeli na siebie. Mężczyzna wzruszył ramionami, a po chwili splótł dłonie i zaczął mówić. Po jakimś czasie do Francisa dotarło, że mężczyzna się modli. Kobieta też się modliła, ale bezgłośnie. Ich ubrania były bardzo proste, uszyte z szorstkich tkanin w kolorze czarnym, białym i szarym, jak ich niebo.

Dopiero niedawno - może godzinę temu - zaczął sobie przypominać różne rzeczy: jak szedł wzdłuż brzegu rzeki płynącej przez las, jak zapuścił się dalej, niż kiedykolwiek w swoim życiu, podążając za mężczyzną. Nie widział go od tamtej nocy w chacie, musiał w pełni wykorzystać swoje umiejętności tropiciela, by nie zgubić śladu. Ale los mu sprzyjał. Za każdym razem, kiedy myślał, że źle poszedł,

kiedy godzinami maszerował, rozglądając się i na próżno szukając śladów, kiedy był pewien, że przeoczył miejsce, gdzie mężczyzna skręcił, natykał się na kolejny trop: niewyraźny odcisk mokasy na liściach, szron w zagłębieniu ziemi, roztopiony od moczu. Mijał miejsca, gdzie mężczyzna rozpałał ognisko, które potem pospiesznie zasypywał. Nie wiedział, kiedy ten człowiek jadł. Jeszcze nigdy nie zetknął się z kimś, kto tak szybko się poruszał.

Francis tylko raz odważył się rozpałić ogień, lecz nie mógł usnąć, przerażony, że mężczyzna zorientuje się, iż jest śledzony, i go odnajdzie. Ale nic takiego się nie stało. Pilnował się, by za blisko do niego nie podejść, rozglądał się, czy przypadkiem nie zobaczy jakiejś pułapki, zastawionej na siebie. I w końcu ta ostrożność go zgubiła. Czwartego dnia zgubił trop. Mężczyzna opuścił las i skręcił na północny-zachód, gdzie ciągnęło się pozbawione drzew pustkowie; porośnięty krzakami, bagnisty płaskowyż z trzęsawiskami, które spowolniły jego marsz. Północny wiatr przenikał przez jego kurtkę z wilczej skóry. Szedł wolno, bo przywykł do osłony, jaką zapewniały drzewa, denerwował się, że na otwartej przestrzeni zostanie wypatrzony. Po kilku godzinach niemal wpadł do innej, mniejszej rzeki, która wyźłobiła sobie koryto w gliniastej ziemi. Woda była nieprzejrzysta, więc nie widział, gdzie jest bród. Wszedł do niej, by dostać się na drugi brzeg. Wtedy po raz pierwszy naprawdę ogarnął go lęk. Naturalnie cały czas się bał, ale dopiero teraz z całą ostrością uzmysłowił sobie, że ta kraina złapała go w swoje sidła i już go nie puści. Umrze tu i nikt nigdy go nie odnajdzie. Jego kości będą leżały pod gołym niebem, pobielające i odarte z ciała, jak szkielety jeleni, które widział wokół siebie. Szedł w wodzie sięgającej mu do pasa, aż zrobiło się ciemno. Nawet zaczął nawoływać, na wypadek gdyby mężczyzna był w pobliżu - śmierć z jego ręki będzie przynajmniej szybka. Zada mu ją człowiek. Ale jakoś zdołał się wydostać na drugi brzeg. I tam siły całkiem go opuściły.

Ostatecznie zakończyło się tak, jak to było do przewidzenia: zemdlął nad tamtą rzeką, wyczerpany, słaby i przemarznięty. Nie udało mu się.

Przypuszcza, że jest popołudnie: godzinę temu zjadł nieco zupy, a potem przeżył moment niewysłowionego zażenowania, bo musiał skorzystać z basenu w obecności jednej z kobiet, tej ciemnowłosej. Odwrócił wzrok, a ona się roześmiała, jakby naprawdę był niesłychanie zabawny, i wcale nie czuła się skrępowana.

Nigdzie nie widzi swojego ubrania, ale nie wie, czy o nie spytać, a jeśli tak, to jak. Może zwrócić się do mężczyzny, kiedy ten znów przyjedzie. Ale chyba się nie odważy odezwać do niego ani po angielsku, ani po francusku. Kusi go, by zachować milczenie. Jeśli nie będzie mówił, to może nikt nie będzie mu zadawał żadnych pytań. Żałuje, że mu się nie udało, ale oceniając sprawę obiektywnie, zrobił, co mógł. Teraz powody ucieczki z domu wydają mu się bardzo odległe, nie z tego świata. Ze świata, który tylko sprawiał mu ból, więc wcale nie ma ochoty do niego wracać. Teraz bardziej go interesuje to, co się stało z kawałkiem kości.

Kiedy jakiś czas później pojawia się jedna z kobiet - ta o jasnych włosach, która się głośno śmieje - próbuje z nią rozmawiać na migi. Przypomina mu matkę Idy - jest równie praktyczna. Kiedy kręci się koło jego łóżka, opatulając go kocami i przykładając mu rękę do czoła, stara się zwrócić na siebie jej uwagę. Przesuwa dłońmi wzdłuż rąk, a potem je podnosi, jakby wkładał kurtkę. Rozumie go, w odpowiedzi dotyka swojej spódnicy, z jej ust płynie potok kanciastych słów. Uśmiecha się, by zdobyć sobie jej zaufanie. Potem udaje, że coś pisze na dłoni, i rysuje w powietrzu kształt kościanej tabliczki. Kobieta marszczy brwi, lecz po chwili się domyśla, o co mu chodzi. Patrzy na niego z dezaprobatą, ale wychodzi z izby.

Pewnego wieczoru, kilka miesięcy temu, Laurent, podpiszwszy sobie nieco, wyjął ze schowka fragment kości i pokazał go Francisowi. Obaj przyglądali się małym postaciom, nakreślonym kilkoma prostymi kreskami, i kanciastym znakom przypominającym pismo. Laurent myślał, że może Francis będzie wiedział, co to takiego. Ten przypomniał sobie ze szkolnych zajęć egipskie hieroglify i pismo starożytnych Greków, obrazki w książkach matki, ale nie było w nich

nic podobnego do tych symboli. Można było określić, w którą stronę zapisano tekst, tylko na podstawie figurek ludzi, znajdujących się po bokach. Laurent wyjaśnił, że ma tabliczkę od pewnego kupca ze Stanów, a w Toronto poznał dżentelmena, gotowego zapłacić za nią dużo pieniędzy. Śmiali się z kaprysów bogaczy. Później Laurent powiedział, że Francis może sobie ją wziąć. Chłopak podziękował, bo nie chciał mieć kości z napisem, którego nie rozumiał. Kto wie - może to kłątwa? Ale ponieważ Laurent mu zaproponował kościaną tabliczkę, więc kiedy później Francis ją zabrał, właściwie nie była to kradzież. Inne przedmioty musiał wziąć, żeby przeżyć. Wzięłby również strzelbę, gdyby ją znalazł. Jakiś głosik zapytał, powtarzając pytania kolegów, których musiał znosić przez długie lata uczęszczania do wiejskiej szkoły, co by zrobił ze strzelbą, gdyby ją zabrał? Przecież nie potrafi się zdobyć na zabicie nawet królika.

Kiedy znów otwiera oczy, brodacze siedzi obok jego postania. Odkłada książkę - czekał, aż Francis się obudzi. Chłopak widzi tytuł książki, ale słowa zdają się być dziwnym zlepkiem liter. Mężczyzna uśmiecha się do niego. Ma żółte zęby, co jeszcze bardziej rzuca się w oczy przy wyjątkowo czerwonych ustach. Francis wytrzymuje spojrzenie mężczyzny, ale widocznie rysy jego twarzy złagodniały, ponieważ mężczyzna rozpromienia się, zadowolony, i klepie go w ramię. Znów go pyta, czy jest Francuzem czy Anglikiem. Francisowi przyszło do głowy, że może ludzie, którzy go znaleźli, widzieli śledzonego przezeń człowieka. Kto wie, może nawet tu wstąpił? Może nadal nic nie mówić, ale wtedy będzie musiał się również pożegnać z nadzieją. Ku swemu zaskoczeniu stwierdza, że jeszcze nie jest na to gotów.

Oblizuje spierzchnięte usta.

- Anglik - mówi chrapliwie.

- Anglik! Dobrze. - Mężczyzna jest wyraźnie zadowolony. -

Wiesz, jak się nazywasz?

Francis waha się przez ułamek sekundy, a potem oświadcza:

- Laurent.

- Laurent. Aha. Laurent. Ja jestem Per. - Odwraca głowę i woła:  
- Britta! Kom.

Jasnowłosa kobieta wchodzi i uśmiecha się do Francisa. Per wyjaśnia jej coś w ich języku.

- Laurent - mówi kobieta. - Witaj.

- Niezbyt dobrze zna angielski. Ja mówię najlepiej ze wszystkich. Wiesz, gdzie jesteś?

Francis kręci głową.

- W Himmelvanger. To znaczy „niebiańskie pola”. Ładna nazwa, prawda?

Francis kiwa głową. Nigdy nie słyszał o takiej osadzie.

- A rzeka...? - Wciąż jeszcze jest osłabiony i jego głos dziwnie brzmi.

- Jaka rzeka? Ach, ta, na której brzegu cię znaleźliśmy... Nie ma nazwy. Jens wybrał się na polowanie... I cię znalazł. Bardzo się zdziwił! - Per naśladuje zdumienie myśliwego, który szuka zajęcy, a zamiast nich znajduje obdartego młodzieńca.

Francis uśmiecha się na tyle, na ile może. Sprawia mu to trudność.

- Czy mogę porozmawiać z Jensem?

Per jest zaskoczony.

- Naturalnie. Ale jeszcze nie teraz... Jesteś chory. Śpij i jedz. Zdrowiej. Britta i Line dobrze się tobą opiekują, prawda?

Francis kiwa głową. Uśmiecha się do Britty, która nagle zaczyna chichotać.

Per pochyla się i podnosi ubrania Francisa.

- Wszystko czyste, widzisz? A to... - Pokazuje torbę Laurenta i Francis ją bierze.

- Bardzo dziękuję. I dziękuję... Jensowi, że mnie znalazł. Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł z nim porozmawiać.

Mężczyzna i kobieta uśmiechają się i kiwają głowami. Britta coś mówi do Pera, który z zadowoloną miną odsuwa krzesło i wstaje.

- Britta mówi, że będziesz teraz spał. Tak?

Francis kiwa głową.

Myśli o swoich rodzicach, którzy zostali w domu. Przypuszcza, że się o niego niepokoją, ale nie wie, czy aż tak, by wyruszyć na jego poszukiwania. Ludzie z pewnością już znaleźli Laurenta. Co sobie pomyślą? Że to on zrobił?

Na tę myśl niemal się uśmiecha.



**L**ine jest na dworze razem z Torbinem i Anną, kiedy Britta wychodzi, by im powiedzieć, że chłopak przemówił. Line uważa, że to dziwne, by młody Anglik miał na imię Laurent. W swoim poprzednim życiu, kiedy żył Janni, znała Francuza Laurenta. Line mówi po angielsku lepiej od innych, nawet od Pera, więc w głębi duszy się cieszy. Jak tylko Jens pojawił się z chłopakiem przerezuconym przez grzbiet kuca, zaopiekowała się biedakiem i teraz uważa, że może zostać pośredniczką między nim a resztą.

Torbin i Anna biegną do niej, nie zważając na gdakanie kur.

- Możemy go teraz zobaczyć? - pyta Torbin. Buzię ma czerwona z zimna.

- Nie, jeszcze nie. Jest bardzo osłabiony. Zbyt dużo go zmęczyli.

- Będziemy się zachowywali jak myszki. Malutkie myszki. - Anna popiskuje, jak myszka.

- Trochę później - mówi Line. - Kiedy nabierze dość sił, by wstać.

- Jak Łazarz - odpowiada jej Anna, pragnąc znaleźć miejsce dla nieznajomego w swoim małym świecie, ukształtowanym przez Himmelvanger.

- Niezupełnie jak Łazarz. Nie zmartwychwstał.

- Ale był prawie nieżywy! Prawda? - Torbin spragniony jest dramatycznych szczegółów.

- Tak, był prawie nieżywy. Nieprzytomny.

- Wyglądał tak. Mamo, spójrz! - Torbin pada na śnieg i udaje nieprzytomnego, wysunąwszy język, co według niego jest nieodłącz-

ną oznaką utraty świadomości. Line się uśmiecha. Torbin zawsze ją rozśmiesza. Ma niespożytą energię, jest niezniszczalny jak gumowa piłka. Nie przypomina jej tak bardzo Janniego, gdy tymczasem Anna wygląda zupełnie jak on - ma okrągłą buzię o wydatnych kościach policzkowych, brązowe włosy, a oczy ciemnoniebieskie jak wody fiordu. I niezwykle słodki uśmiech, który pojawia się na jej twarzy tylko kilka razy do roku, więc z tego względu jest jeszcze bardziej olśniewający.

Dzieci wychodzą z kojca dla drobiu i idą przez podwórze. Line powinna nakarmić kury, a potem pomóc Britcie szyć kołdrę. Nie ma zbyt dużo czasu dla siebie, ale nie dlatego tutaj przyszła. Lubi przebywać w kurniku, na tyle solidnym, by się oparł zimowym wiatrom, o stromym dachu, by nie gromadził się na nim śnieg. Wszystkie domy w Himmelvanger są mile solidne. Zawsze należy budować porządnie, bo buduje się dla Boga: łączenia na jaskółczy ogon, podwójne ściany, strome dachy, kryte gontem w kształcie serca. Iglica nad małą kaplicą, z wymalowanym krzyżem. Od dziesięciu lat opiera się najgorszym wiatrom i pogodzie panującej zimą w Kanadzie. Bóg ma ich w opiece.

A tutejsi ludzie przyjęli ją życzliwie i serdecznie, chociaż nie szczędzili jej rad. Powinnaś częściej się modlić, Line, powinnaś zaufać Bogu, powinnaś pracować z większą wiarą, wtedy twoje życie nabierze sensu. Powinnaś przestać oplakiwać Janniego, bo jest teraz z Bogiem, więc musi być szczęśliwy. Starła się postępować zgodnie z ich wskazówkami, ponieważ zawdzięcza tym ludziom życie. Kiedy zabrakło Janniego - nadal trudno jej powiedzieć „umarł”, nawet przed samą sobą - została z dwójką malutkich dzieci i bez grosza przy duszy. Wyrzucono ją z domu, w którym wynajmowała mieszkanie, i nie miała gdzie się podziać. Rozważała powrót do Norwegii, ale skąd wziąć pieniądze na statek? Rozważała rzucenie się razem z dziećmi do Rzeki Świętego Wawrzyńca. A potem ktoś jej powiedział o Himmelvanger. Perspektywa zamieszkania we wzorcowej, religijnej wspólnotcie była tak nieprawdopodobna, że aż komiczna. Ale jej członkowie byli Norwegami i potrzebowali ludzi pracowitych. A co bardziej istotne - nie prosili o pieniądze.

Jak na ironię wyruszyła w tym samym kierunku, co Janni, kiedy wybrał się w swoją ostatnią podróż. A nawet jeśli nie ostatnią, to tę, z której nie wrócił. Szukając pracy, poznał pewnego Norwega, który zamierzał się zatrudnić w Kompanii Zatoki Hudsona. Obiecano im wysokie wynagrodzenie za pracę w sezonie, ale daleko stąd, na północnym zachodzie, w Ziemi Ruperta. Przez ponad rok nie będzie widział Line ani dzieci, ale potem, obiecał, wystarczy im pieniędzy na kupno domu. To droga na skróty do takiego życia, o jakim marzyli: we własnym domu, z uprawy kawałka ziemi, należącego do nich. Line nie będzie musiała pracować ani reperować brudnych łachów obcych ludzi, on nie będzie musiał gryźć się w język, pracując dla głupców.

Po jego wyjeździe dostała tylko jeden list. Janni niespecjalnie lubił pisać, więc nie oczekiwała żarliwych listów miłosnych, ale poczuła się trochę dotknięta, kiedy w ciągu sześciu miesięcy przyszła od niego tylko jedna przesyłka. Pisał, że sprawy nie przedstawiają się do końca tak, jak się tego spodziewał - razem ze swoim przyjacielem zostali zakwaterowani z grupą norweskich skazańców sprowadzonych przez Kompanię. Byli to nieokrzesani gwałtownicy, tworzący bandę, której unikali pozostali zatrudnieni. Janni źle się czuł wśród nich, ale podziały między przedstawicielami różnych narodowości okazały się silniejsze. Napisał jednak, że niektórzy z nich są całkiem w porządku, już się nie może doczekać lata, kiedy znów zobaczy Line i dzieci; wybiorą wtedy miejsce na swój dom. Żadnych zapewnień o miłości, żadnych czułych słów; zupełnie jakby pisał do ciotki. A potem cisza.

Kiedy nadeszło lato, czekała niecierpliwie, wypytyując ludzi o wieści. W Toronto było upalnie i parno; meszki dokuczały dzieciom, w ich ciasnej, taniej kwaterze śmierdziało ściekami. Nocami śniła o rozległych pustkowiach, pokrytych zimnym, białym śniegiem, i budziła się spocona, drapiąc miejsca owadzich ugryzień. Wiecznie miała zły humor i była rozdrażniona. Potem w lipcu dostała list, zaadresowany do „rodziny Jana Fjelstada”. Trafił pod zły adres, ktoś go otworzył, na kopercie dziecięcym charakterem pisma wykalfografowano właściwego odbiorcę. List sucho informował, że jej mąż

był jednym z Norwegów, którzy się zbuntowali i w styczniu zbiegli z faktorii, zabierając cenne futra stanowiące własność Kompanii. Wszelki ślad po nich zaginął, niewątpliwie ponieśli śmierć w wyniku szalejących w tamtym miesiącu zamieci śnieżnych. Nie omieszkało jednak napisać, że jeśli jakimś dziwnym zrządzeniem losu przeżyli, są ludźmi ściąganyymi przez wymiar sprawiedliwości.

Początkowo Line zwyczajnie w to nie uwierzyła. Nadal czekała na powrót męża, uznając, że musieli go pomylić z kimś innym. Powtarzała sobie, że norweskie nazwiska są dla Anglików trudne do odróżnienia. Nie wierzyła, by Janni zdolny był do kradzieży. To nie leżało w jego naturze.

Udała się do biura Kompanii w Toronto i zażądała widzenia z kimś kompetentnym; przyjął ją rudawy, młody Anglik, urzędujący w małym gabinecie. Był grzeczny i bardzo jej współczuł, ale oświadczył, że nie ma powodów, by podważać prawdziwość listu. Grupa pracowników zbiegła i chociaż nie znał osobiście tych ludzi, był pewien, że informacje zawarte w liście są ściśle. Line zaczęła krzyczeć na młodzieńca, który się rozszłościł. Chyba nie rozumiał, że mówi o śmierci jej męża i wszystkich nadziei. Wybiegła z biura i dalej czekała na jego powrót.

Ale mijały tygodnie, a on się nie pojawiał. Skończyły się pieniądze. Ostatecznie przestało być ważne, w co wierzy, co jest prawdą, a co nie, i musiała podjąć decyzję. Pewnego wrześnieowego poranka wyruszyła z dziećmi w trzytygodniową podróż do osady o zabawnej nazwie Himmelvanger, docierając niemal tak daleko, jak Janni podczas swojej przedostatniej wyprawy do faktorii o równie śmiesznej nazwie, Moose.

Od tamtego czasu minęły trzy lata i przywykła do swojego nowego życia. Początkowo była pewna, że Janni ją odszuka; przed wyjazdem z Toronto powiedziała wszystkim, dokąd się wybiera. Pewnego dnia zajedzie przed dom na dużym koniu i zawoła ją, a ona przerwie to, czym akurat będzie zajęta, i wybiegnie na podwórze. Najpierw myślała o tym codziennie. Ale z upływem czasu coraz rzadziej oddawała się

tym marzeniom. Stała się apatyczna i przygnębiona, aż Sigi Jordal nakłoniła ją do zwierzeń. Line się rozpląkała - po raz pierwszy i ostatni, odkąd tu przyjechała - i wyznała Sigi, że czasami ma ochotę umrzeć. To był błąd. Członkowie społeczności zaczęli do niej przychodzić jeden po drugim i mówili, że stracić nadzieję to ciężki grzech, prosili, żeby przyjęła Boga do swego serca i nie poddawała się zwątpieniu. Szybko ich zapewniła, że zaakceptowała Boga, który wyprowadził ją z ciemnej doliny rozpacz. I o dziwo to udawane pogodzenie się z Bogiem naprawdę przyniosło jej pocieszenie; czasami nawet się zastanawiała, czy chociaż trochę nie zaczęła w to wierzyć. Szła do kościoła, siedziała w ławce i patrzyła na słońce, wodząc wzrokiem za pojedynczym pyłkiem, aż zaczynały ją boleć oczy. Błądziła myślami gdzieś daleko. Właściwie się nie modliła, ale nie czuła się też samotna.

Mniej więcej w tym czasie Espen Moland zaczął jej poświęcać szczególną uwagę. Był żonaty (przyjmowali do swojej społeczności tylko małżeństwa), jego dzieci bawiły się z Torbinem i Anną, ale jego zainteresowanie Line nie było czysto duchowe. Początkowo traktowała go z rezerwą, wiedząc, że coś takiego jest absolutnie zakazane. Ale w głębi duszy cieszyło ją to. Espen sprawił, że znów poczuła się piękna. Powiedział, że jest najbardziej urodziwą kobietą w Himmelvanger i że doprowadza go do szaleństwa. Line cmokała z niezadowolaniem, ale właściwie się z nim zgadzała. Espen nie był przystojny, przynajmniej nie tak, jak Janni, ale bystry i zabawny, podczas kłótni lub dyskusji ostatnie słowo zawsze należało do niego. Sprawiało jej szczególną przyjemność słuchanie pełnych namiętności słów, głoszonych przez mężczyznę, który wiecznie żartował. Stwierdziła, że nie potrafi się mu oprzeć. W końcu, kilka miesięcy temu, zaczęli grzeszyć. Tak o tym myślała, chociaż nie poczuwała się do winy. Była bardzo ostrożna. Nie mogła sobie pozwolić na kolejną katastrofę.

Line słyszy go teraz, jak idzie, pogwizdując jakąś przez siebie ułożoną melodię. Czy zmierza do kurnika? Tak - drzwi się otwierają.

- Line! Nie widziałem cię przez cały dzień!
- Wiesz, że mam dużo pracy.

- Naturalnie, ale smutno mi, kiedy cię długo nie widzę.
- Akurat.
- Przyszedłem naprawić dziurawy dach.

Ma ze sobą narzędzia - jest cieślą - i Line unosi wzrok, by przyjrzeć się dachowi.

- Nie ma żadnej dziury.
- Ale mogłaby być. Lepiej na zimne dmuchać. Przecież nie chcemy, żeby nasze jajka zamokły, prawda?

Line chichocze. Espen zawsze ją rozśmiesza, nawet kiedy mówi jakieś głupstwa. Objął ją ramieniem w pasie i przyciągnął do siebie. Ogarniają znajome, błogie uczucie, jak zawsze w jego obecności.

- Czeka na mnie Britta.
- I co z tego? Kilka minut nie sprawi różnicy.

Jak trudno postępować należyście, nawet w tak surowej, religijnej społeczności. Całuje ją w szyję, Line czuje na skórze jego gorące usta. Ulegnie mu, jeśli zaraz nie wyjdzie.

- To nie najlepsza pora. - Oswobodziła się z jego objęć, oddycha ciężko.
- Mój Boże, ależ ślicznie dzisiaj wyglądasz. Mógłbym...
- Przystań!

Uwielbia jego błagalne spojrzenie. Miła jest świadomość, że potrafi kogoś tak uszczęśliwić samą swoją obecnością. Ale jeśli natychmiast nie wyjdzie z kurnika, może usłyszeć słowa, na których dźwięk krew napływa jej do głowy, a ona traci rozsądek. Sprośne, nieprzyzwoite wyrazy, które nigdy nie przeszłyby jej przez gardło, mają nad nią jakąś niezwykłą, niemal tajemną moc. Janni nigdy nie zdobyłby się na coś takiego, ale on był milczkiem. Prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie czuła tego, co w obecności Espena; widzi zachodzące w niej zmiany, które czasem ją przerażają, jakby płynęła po wezbranej rzece w lekkiej jak piórko łodzi - utrzymuje się na powierzchni, ale wcale nie jest pewna, czy ma kontrolę nad sytuacją.

Z trudem się cofa, chociaż jakaś wewnętrzna siła pcha ją do Espena, i uśmiecha się w ostatniej chwili, żeby sobie przypadkiem nie pomyślał - nie daj Boże! - że już się jej znudził.

Po wyjściu z kurnika przestaje się uśmiechać i próbuje pomyśleć o czymś innym; o czymś nieprzyjemnym, na przykład o zapachu świń, a nie o Espenie i jego słodkich ustach. Będzie musiała siedzieć z Brittą i szyc, a ostatnio Britta często rzuca jej przenikliwe i pytające spojrzenia. Wykluczone, by cokolwiek wiedziała, ale może jakoś się zdradzili swoim zachowaniem. Line myśli o chorym chłopcu, by spoważnieć, ale, nie wiedzieć czemu, nie daje to pożądanego efektu. Wyobraża sobie, jak unosi prześcieradło i patrzy na jego nagie ciało. Widzi jego gładką, złotą skórę, czuje jej gładkość...

Boże! Espen zupełnie zatruł jej umysł. Może powinna wślizgnąć się do kościoła i pomodlić kilka minut; obudzić w sobie poczucie winy.

Jest lodowato: od pięciu dni podążają śladami chłopca, ale nie było jeszcze tak zimno, jak dzisiaj. Wieje arktyczny wiatr i sypie im w twarz gradem. Donaldowi łzawią oczy, łzy zamarzają mu na policzkach, więc skórę ma spierzchniętą i popękaną. Wilgoć, która bierze się nie wiadomo skąd, zamarza mu również na wąsach, więc owinał dolną część twarzy grubym szalem, a ten wkrótce zamarzał od jego oddechów. Żeby się nie udusić, musiał go oderwać, nie bacząc na ból. Jest przemarznięty i wyczerpany, chociaż Jacob dźwiga lwią część bagażu, bo Donald nie może za nim nadażyć nawet, kiedy niesie tylko swoją część.

Po drugim dniu Donald stwierdził, że każdy ruch wywołuje ból w jego ciele. Jakiś czas temu zaczął się uważać za dość silnego, sprawnego młodego mężczyznę, ale teraz odkrył, że dopiero zaczyna poznawać, co to znaczy być wytrzymałym. Jacob idzie przed nim z ciężkim ładunkiem na ramionach, zbacza z drogi, by wypatrywać śladów, a kiedy późnym popołudniem zatrzymują się na postój, to Indianin zbiera drewno, roznieca ognisko i nacina gałęzi na szałas. Początkowo Donald protestował, upierał się, by wykonywać część obowiązków, ale zmęczony i niezdarny nie był zbyt przydatny. Okazało się, że kiedy Jacob sam wszystko robi, ich obozowisko jest gotowe znacznie szybciej. Grzecznie, ale stanowczo mówi Donaldowi, żeby usiadł i zagotował wodę.

Tego ranka opuścili las i weszli na pusty, lekko pagórkowaty Płaskowyż, gdzie nic nie osłaniało ich przed wiatrem, wiejącym od zamarzniętej Zatoki Hudsona. Chociaż Donald jest okutany, wiatr



jakoś znajduje do niego dostęp i chłosta go bezlitośnie. Bardzo szybko stwierdzili, że płaskowyż to jedno olbrzymie trzęsawisko. Co krok natykają się na sadzawki z czarną wodą, pokryte cienką warstewką lodu. Trzciny i karłowate wierzby zatrzymują nawiewany śnieg w swoich splątanych gałęziach. Nie da się znaleźć więcej niż dwóch pod rząd miejsc, gdzie bezpiecznie można postawić stopę. Jacob zrezygnował z prób przejścia bagniska suchą nogą, tylko brnie przez pagórki i zagłębienia w ziemi, starając się utrzymać stałe tempo. Choć Donald ze wszystkich sił próbuje za nim nadążyć, już trzy razy musiał zawołać, by Indianin zwolnił. Teraz Jacob co rusz przystaje i czeka. Udaje mu się robić to tak, by Donald nie czuł się upokorzony: zatrzymuje się niby dlatego, żeby na bieżąco go informować o śladach, którymi podążają. Wyraźnie widać, że wypatrywanie ich tutaj jest trudniejsze, ale Donald słucha Jacoba z coraz większą obojętnością; wczoraj stwierdził, że jest mu wszystko jedno, czy znajdą chłopaka; dziś uzmysłowił sobie, że może nawet sam nie wrócić z tej wyprawy. Ale też się tym zbytnio nie przejął.

Coraz częściej widzą padłe zwierzęta. Mijają właśnie szkielet jelenia, który leży tu już chyba od jakiegoś czasu, bo przybrał ciemny, żółtawobrazowy kolor. Dostrzegają przed sobą czaszkę zwierzęcia, w pewnym oddaleniu od pozostałych, porozciąganych kości. Spogląda na Donalda pustymi oczodołami, milcząco przypominając mu o daremności ich wysiłków.

Donald stara się myśleć o Susannah, by odseparować swoje uczucia od udręk, których zaznaje jego ciało. Niestety, słyszy głos swego ojca, pouczającego go: „Wyższość ducha nad materią, Donnie. Wyższość ducha nad materią. Bądź ponad to! Wszyscy musimy robić to, na co nie mamy ochoty”. Czuje, jak wydobywa się na powierzchnię dawna irytacja, niczym bąbelki gazu błotnego. Jego ojciec - rachmistrz w Bearsden - nigdy nie musiał iść przez niekończące się trzęsawisko podczas kanadyjskiej zimy.

W kieszeni koszuli, na sercu, trzyma trzy listy do Susannah. Jest rozczarowany swoim brakiem elokwencji, ale pociesza się, że trudno jest pisać dowcipnie, kiedy się próbuje przysunąć blisko do ogniska,

by cokolwiek widzieć, a jednocześnie nie podpalić sobie włosów. Obawia się, że jego listy są dość niechlujne i prawdopodobnie pachną dymem, jeśli nie czymś gorszym. Może, jeśli kiedykolwiek uda im się dotrzeć do jakiegoś cywilizowanego miejsca, przepisze je na czysto, a może zacznie od nowa, lepszym stylem literackim. Tak byłoby najlepiej.

O czwartej po południu Jacob jest wyraźnie zdezorientowany. Każe zaczekać Donaldowi, a sam zatacza kręgi, w końcu daje towarzyszowi znak, by do niego dołączył. Przez jakiś czas wracają po swoich śladach. Donald przeklina w duchu, że na darmo stracili tyle sił, ale jest zbyt wyczerpany, by zadawać pytania. Prószy lekki śnieg i niewiele widać. Powietrze jest wilgotne, a zarazem ostre. Jacob wykonuje powolny wydech; ma taki zwyczaj, kiedy nad czymś usilnie myśli.

- Chyba tutaj się rozdzielili.

Donald wpatruje się w ziemię, ale nie widzi nic, co by świadczyło, że kiedykolwiek ktoś tędy przechodził.

- Obaj w tym samym miejscu opuścili las. Tropy były tam wyraźne, ale zdaje mi się, że ten drugi człowiek zaczął zwalniać. Tutaj jeden z nich skierował się tam, ponieważ w zamrzniętym błocie jest ślad buta, zwrócony w tamtą stronę. Ale to kawałek drogi stąd, a na tych moczarach ciężko podążać czymś śladem. Uważam, że ten drugi człowiek zgubił trop i poszedł tędy... - Wskazuje tam, gdzie ziemia opada, tworząc płytkie zagłębienie. - Ślady mówią, że ktoś tu wpadł do trzęsawiska, ale się wydostał. Powinienem być wcześniej je zauważyć.

Donald się z nim w duchu zgadza.

- Przypuszczasz, że te drugie ślady należą do Rossa?

- Pierwsze zostawił człowiek, który szybko maszeruje, przyzwyczajony do pokonywania znacznych odległości. Wie, dokąd zmierza, nie musi przystawać i się rozglądać. Czyli tym drugim człowiekiem musi być chłopak. Jest zmęczony.

- Ale dokąd, u diaska, idą? Las to jedno, ale to... Mój Boże, tylko spójrz! Przecież nikomu nie udałoby się tu przeżyć!

Tak daleko, jak sięga wzrok, nie widać nic poza zaroślami i tymi diabelskimi sadzawkami. Krajobraz pozbawiony jest tych elementów, które powszechnie uważa się za ciekawe (z czym Donald się zgadza) - żadnych kontrastów, jak góry i doliny, żadnych jezior, żadnego lasu. Gdyby pokusił się o określenie charakteru tej krainy, to uznałby ją za ponurą, obojętną, wrogą.

- Nie znam zbyt dobrze tych stron - mówi Jacob - ale dalej na północ są faktorie.

- Boże. Żal mi tych nieboraków, którzy muszą w nich mieszkać.

Jacob się uśmiecha. Dla wygody Donald przyjął rolę nowicjusza, a Indianin - nauczyciela. Po pierwsze wiadomo, co mówić. Łątwo przewidzieć reakcję drugiej osoby. W ciągu kilku minionych dni przywiązali się do granych przez siebie postaci.

- Ludzie mieszkają wszędzie. Ale nazywają te okolice Krainą Głodu.

Donald klnie.

- Lepiej odszukajmy go jak najszybciej. - Nie musi mówić, co się stanie w przeciwnym razie.

- Może pierwszy z nich kierował się do jednej z tych faktorii. - Jacob wskazuje kierunek, który wygląda równie mało obiecująco, jak wszystkie pozostałe.

- A drugi?

- Nie wiem. Może zabłądził.

Znów podejmują niezwykle wolny pościg, omijając kępy traw i sterczące skały, które nagle pojawiły się pomiędzy bagienną roślinnością. Te skały mają czasami zaskakujące kolory - są ciemnozielone albo fioletowe, albo pomarańczowe. Część sadzawek z czarną wodą zamarzała, ale niekiedy cienki lód załamuje się, a noga wpada do lodowatej wody i błocka. Donald ogarnia lęk na myśl, że znajdą tylko zwłoki, czego prawdopodobieństwo jest coraz większe. Jak długo może tu przeżyć ktoś, kto jest sam i zabłądził? Próbuje się pocieszać, że nie mogą być daleko od niego, ale potem ogarnia go makabryczna myśl, że Jacob też może go niechcący zostawić, i wtedy Donald będzie równie samotny, jak chłopak, którego ścigają. Ile by wytrzymał?

Uparcie podąża za ciemną postacią, mającą przed nim, postanowiwszy, że do tego nie dopuści. Jak na ironię świeżo zagojona rana znów zaczęła się dawać we znaki, przypominając mu, jaki jest wąty - a może chce mu przypomnieć, że Jacob, od którego zależy teraz jego życie, jeszcze nie tak dawno dźgnął go nożem?

W końcu docierają do rzeki, która wije się ledwo widoczna, tocząc czarne jak smoła wody między skutymi lodem brzegami. Jacob go zatrzymuje i pokazuje mu zwały błota, które zamarzły, tworząc pagórki i zagłębienia.

- Byli tutaj ludzie. Jeden na koniu. Chyba do nich dołączył.

Jacob się uśmiecha i Donald stara się okazać zadowolenie. Ale przede wszystkim czuje, że jest u kresu sił. Ogarnia go coraz większa nienawiść do tej krainy, która nie przypomina niczego, z czym zetknął się wcześniej. To nie miejsce dla ludzi. Myśl o mężczyźnie na koniu, który zabrał chłopca, napawa go przerażeniem - Bóg wie, jak długo będą musieli teraz jeszcze iść. Nie rozumie, dlaczego Jacob nie pozwolił, by wzięli konie; zaczyna podejrzewać, że wszystko to jest tylko misterną próbą dokończenia tego, czego nie dokonał nóż.

Jacob oddala się od rzeki, Donald podąża za nim, uparcie wpatrując się w zdradliwą ziemię, starając się nie myśleć, jaką odległość już pokonali.

Nagle Jacob się zatrzymuje i Donald wpada na niego, nie wiedząc, co się dzieje wokół. Jacob ujmuje jego rękę i śmieje mu się prosto w twarz.

- Panie Moody, proszę spojrzeć!

Wskazuje śnieg i zmrok, który niezauważenie zapadł. Ale w tej kłębiącej się szarości Donald widzi punkciki światła. Uśmiecha się szeroko i czuje, że coś ciepłego płynie mu po brodzie - pękła mu skóra na ustach. Ale nic nie może zmącić jego bezgranicznego szczęścia. Tam są domy, ludzie, ciepło... Tam jest ogień, a co więcej - ściany. Ściany, które odgradzą go od żywiołów. W chwili największego uniesienia czuje to samo, co kiedyś na widok tarczy księżyca, czuje niczym niezmaconą radość czternastolatka, ogarnia go takie zado-

wolenie, że wynagradza mu to wszystkie trudy kilku ostatnich dni, a właściwie wszystkie cierpienia minionych osiemnastu miesięcy. Niezgrabnie klepie Jacoba w ramię, przekonany, że to najlepszy, najwspanialszy człowiek, jakiego poznał w swoim życiu.

Czterdzieści minut później wkraczają na obszerny dziedziniec otoczony schludnymi, drewnianymi domami. Są tu zabudowania gospodarcze z żywym inwentarzem; mały kościółek z przysadzistą iglicą, zwieńczoną krzyżem, wymalowanym czerwoną farbą, która zdążyła wypłowieć. Światło w oknach rzuca jasne prostokąty na oblodzone podwórze. Wygląda to wszystko jak ziemia obiecana. Donald powstrzymuje łzy wdzięczności, kiedy kierują się do największego z domów i pukają do jego drzwi.

**K**iedy byłam małą dziewczynką, a nawet później, kiedy przebywałam w zakładzie dla obłąkanych, uważałam, że po ślubie ludziom już nigdy nie doskwiera samotność. Wtedy wątpiłam, czy kiedykolwiek wyjdę za mąż; pogodziłam się z tym, że skazana jestem na los wyrzutka społecznego albo - co gorsza - starej panny. W zakładzie dla obłąkanych miałam przyjaciół, a doktor Watson był nawet kimś wyjątkowym w moim życiu. Ale jako muza psychiatry ani nie czułam się jak ktoś, kto należy do normalnego świata, ani nie miałam poczucia bezpieczeństwa. Mój mąż dał mi coś, czego nigdy wcześniej nie znałam: prawo do własnego zdania. I pewność, że jest ktoś, przed kim nie muszę niczego ukrywać. Nie muszę niczego udawać. Chyba chcę powiedzieć, że go kochałam. Wiem, że on mnie kochał, nie jestem tylko pewna, kiedy przestał.

Jest późno, znów nie mogę spać, myśląc o swoim kolejnym spotkaniu z więźniem; Knox się zgodził, bym do niego poszła, muszę tylko zachować dyskrecję. Wydaje mi się, że poczuł się dotknięty, że wykorzystałam tragedię, jaka spotkała rodzinę jego żony, i dobrze o nim świadczy, że jednak wyraził zgodę. Boi się przedstawiciela Kompanii. Boi się również, by go nie uznano za zbyt łagodnego. Leżę obok swojego śpiącego męża. Nagle Angus się odwraca i kładzie na mnie, czego nie robił od dawna. Nie śmiem się poruszyć, zastanawiając się, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy też nie. Po chwili chrząka i znów odwraca się do mnie plecami. A ja myślę, że nawet w najgorszym okresie swego życia, kiedy po śmierci ojca trafiłam do zakładu dla obłąkanych, nie czułam się taka samotna.

Czy byłoby inaczej, gdyby żyła Olivia? Albo gdyby nie trafił do nas Francis?

Niepotrzebne pytania. Moje ulubione.

Gardzę tą swoją słabością - tymi niekończącymi się rozważaniami, które zastępują działanie, i czasami żałuję (zazwyczaj późną nocą), że nie jestem bardziej podobna do Ann Pretty. Czasami uważam ją za idealny wzór żony pioniera, kobietę twardą, upartą, pozbawioną wyobraźni i skrupułów. Ona nie leży w nocy i nie zastanawia się, co o niej myśli mąż czy ktokolwiek. Jej dziecko nie uciekłoby z domu.

Wstając i żeby się czymś zająć, zaczynam pakować rzeczy na podróż, w którą - jak utrzymuję - się wybieram. Prawdę powiedziawszy, nie mam do niej serca; boję się tych pustkowi, brak mi odwagi. Kto wie, może Moody z tym drugim wrócić tu jutro z Francisem. Nie przejmuję się, czy będą go musieli aresztować, byleby tylko go znaleźli i byle był cały i zdrow. Może wtedy on będzie dygotał w mrocznym pomieszczeniu magazynu w Caulfield, ale przynajmniej będzie bezpieczny. Mówiąc to sobie, wyciągam najcieplejsze ubrania i trochę suchego prowiantu. Zupełnie jakbym przygotowywała się do pikniku zimą; jeśli tak to będę traktowała, nie będzie się to wydawało takie straszne.

Leciutkie pukanie do drzwi nie zaskoczyło mnie za bardzo: ciągle myślę o Francisie, więc nic dziwnego, że w końcu się doczekałam tego, czego pragnęłam. Otwieram drzwi rozradowana, chcąc go zasypać słowami, bliska łez, ale widzę przed sobą tylko ciemności. Rozglądam się, szepcząc jego imię - dziwne, że wymawiam je szepcąc, jakby ogarnęły mnie jakieś złe przecucia.

Stoi w mroku - pewnie dlatego, by złagodzić szok, żebym musiała go wypatrzeć i stopniowo rozpoznać.

Więzień uspokajająco unosi rękę.

- Proszę nie krzyknąć.

Gapię się na niego. Wcale nie zamierzałam krzyknąć. Chlubię się tym, że nie krzyknę nawet wtedy, kiedy życie wystawia mnie na próbę.

- Przepraszam, że panią wystraszyłem. Knox mnie wypuścił. Zamierzam udać się w ślad za pani synem, bo sądzę, że widział zabójcę. Ale potrzebny mi prowiant, skonfiskowano mi też strzelbę. I przypuszczam, że u pani są moje psy.

Gapię się na niego z niedowierzaniem, ledwo rozumiejąc, co do mnie mówi.

- Pani Ross, potrzebna mi pani pomoc, a pani potrzebuje mojej pomocy.

A więc tak to jest: ludzie pomagają sobie nawzajem, kiedy są do tego zmuszeni; nie ma to nic wspólnego z zaufaniem, dobrocią ani innymi sentymentalnymi pojęciami. Nie do końca wierzę w to, co mówi o Knoxie, i w jego wyjaśnienia, dlaczego go potajemnie wypuścił. Ale widzę jego podpuchniętą twarz i wiem, że to sprawka Mackinleya. Parker zgłosił się po swoje psy, chce też dostać strzelbę i prowiant, a ja potrzebuję przewodnika, który zaprowadzi mnie do Francisca. Może przypuszcza też, że chłopak będzie bardziej skłonny do zwierzeń w mojej obecności - bo Francis ma coś, na czym jemu również zależy. Więc kiedy mój mąż śpi na górze, pakujemy się i szykujemy się do wędrówki przez pustkowia w towarzystwie mężczyzny podejrzanego o popełnienie morderstwa. Na dodatek nie został mi należycie przedstawiony. Jestem zbyt zaszokowana, by odczuwać strach, zbyt przejęta, by przywiązywać wagę do niestosowności tego wszystkiego. Uznaję, że kiedy człowiekowi odebrać to, co najważniejsze, wtedy takie drobnostki, jak dobre imię i cześć, sporo tracą na znaczeniu. (Ostatecznie w najgorszym razie wystarczy sobie przypomnieć, iż sprzedałam swoją cześć bardzo tanio. W razie potrzeby zawsze mogę sobie o tym przypomnieć).

Kiedy opuszczamy Dove River, prószy lekki śnieg. Psy cicho biegną obok Parkera. Godzinę drogi od domu państwa Pretty Parker idzie do kryjówki wśród konarów drzew i szybko robi sanie z wierzbowych gałęzi, które tam zostawił - lekkie, smukłe, z czymś w rodzaju siedziska ze sztywnej skóry. Już mam mu okazać wdzięczność za jego troskliwość, kiedy przywiązuje do sań prowiant i koce. Psy są podniecone widokiem śniegu i sani, z ich gardeł wydobywa się



ciche skomlenie. Przez cały ten czas, czyli przez jakieś pół godziny, Parker nie patrzy na mnie ani się nie odzywa. Coś mi się wydaje, że niezbyt jest zainteresowany odebraniem mi czci. Ostatni raz sprawdza uprzęż i rusza na północ, wzdłuż rzeki Dove, kierując się jedynie jej szumem i niewyraźną poświatą, która zdaje się bić od śniegu.

Podążam za nim, potykając się, bo nie jestem przyzwyczajona do chodzenia w mokasynach, do których włożenia mnie nakłonił. Postanawiam, że nie będę się na nic uskarżać, żeby nie wiem co.

Zdarza się to wprawdzie niezwykle rzadko, niemniej jednak czasem w Himmelvanger pojawiają się niezapowiedziani goście; zazwyczaj są to Indianie, którzy chcą się wymienić towarami i nowinami. Per przyjmuje ich z otwartymi ramionami; są sąsiadami, a z sąsiadami należy żyć w zgodzie. Poza tym to też dzieci Boga, nawet jeśli są biedni i żyją w nieświadomości. Czasami przybywają, kiedy ktoś w ich rodzinie zachoruje, a ich lekarstwa okazują się nieskuteczne. Przychoǳą z posępnymi minami, ale pełni nadziei, i patrzą, jak Norwegowie wydzielają małe dawki laudanum, ipekakuany lub kamfory bądź stosują własne, tradycyjne lekarstwa, które zazwyczaj też zawodzą. Per ma nadzieję, że tym razem to niejeden z takich przypadków.

Biały mężczyzna wyciąga przemarzniętą dłoń. Druciana oprawka okularów jest całkowicie oszroniona, więc wędrowiec przypomina sowę.

- Przepraszam za to najście. Jesteśmy z Kompanii Zatoki Hudsona i przybyliśmy tu służbowo.

Per jest jeszcze bardziej zdumiony, zastanawia się, co u licha może od niego chcieć Kompania.

- Zapraszam do środka. Musicie być przemarznięci. Pańska dłoń... - Ręka, którą ściska, jest sina z zimna i zupełnie bezwładna.

Per cofa się od drzwi, by zrobić im przejście do ciepłej izby.

- Czy przyjechali panowie na koniach?

- Nie. Idziemy pieszo.

Per unosi brwi i prowadzi ich do małej izby w pobliżu kuchni.

Woła Sigi i Hildę, każe przynieść gorącą potrawkę, chleb i kawę.

Na widok dwójki nieznanym oczu Sigi robią się okrągłe z ciekawości.

- Wielkie nieba, Per, Pan zsyła nam tej zimy różnych gości!

Per odpowiada jej dość ostro - nie chce, żeby rozeszły się jakieś pogłoski lub plotki, przynajmniej póki nie zorientuje się, co się dzieje. Na szczęście przybysze nie znają norweskiego. Na ich twarzach pojawiają się głupawe uśmiechy ludzi głodnych i zmęczonych, rozcierają ręce i rzucają się najedzenie, mamrocząc wyrazy wdzięczności.

W miarę jak dłonie mu się rozgrzewają, Donald czuje w nich bolesne mrowienie; kiedy przygląda im się w świetle ognia, widzi, że są czerwone i obrzmiałe. Kobieta przynosi miskę śniegu i upiera się, żeby natrzeć mu ręce. Stopniowo wraca w nich czucie. Kobieta uśmiecha się do niego, usługując mu, ale nic nie mówi - Per wyjaśnia, że są Norwegami i nie wszyscy z nich znają angielski.

- A więc co dwóch pracowników Kompanii robi tu w listopadzie?

- Właściwie to nie jest sprawa Kompanii. - Donaldowi trudno przybrać poważną minę, wprost nie może uwierzyć w ich szczęście. Znaleźli osadę, całkiem porządną, do tego zamieszkałą przez tak obytych ludzi, jak Per Olsen.

- Czy dokądś panowie zmierzacie?

Z tonu jego głosu słychać, że mało to prawdopodobne. Donald stara się nie mówić z ustami pełnymi placka migdałowego. (Migdały! Naprawdę im się poszczęściło).

- Przedsięwzięliśmy tę wędrowkę, ponieważ podążamy za kimś. Szliśmy jego tropem od Dove River nad Zatoką do rzeki, przepływającej przez płaskowyż. Jego ślady przyprowadziły nas tutaj. - Patrzy na Jacoba, by potwierdził jego słowa, ale Indianina onieśmiela obecność nieznanym ludzi, więc tylko lekko kiwa głową.

Per słucha ich z poważną miną, a potem na chwilę wychodzi. Donald przypuszcza, że poszedł naradzić się z innymi, bo kiedy wraca, towarzyszy mu drugi mężczyzna. Przedstawia go jako Jensa Andreassena.

- Jens ma wam coś do powiedzenia - oświadcza.

Jens, nieśmiały mężczyzna o powolnych ruchach, opowiada, jak znalazł na brzegu rzeki chłopca bliskiego śmierci. Zabrał go do Himmelvanger, gdzie się nim zaopiekowano. Mówi to po norwesku, a Per wolno tłumaczy, starając się znaleźć właściwe słowa.

Donald wyczuwa u Pera opiekuńczość; Francis jest zagubioną owieczką, którą Bóg powierzył jego trosce.

- O co go podejrzewacie? Co się stało?

Donald nie chce ujawniać wszystkich faktów. Jeśli Per przyjął chłopaka pod swój dach, nie chce Norwega zrazić do siebie.

- No więc napadnięto na pewnego człowieka.

Per unosi wzrok, wybałuszając jasnoniebieskie oczy; kiedy tłumaczy to Jensowi, patrzą na siebie zaszokowani.

- Naturalnie nie ma pewności, że Francis jest winny, ale musieliśmy go odszukać. Poza tym matka chłopca bardzo się o niego niepokoi.

Per marszczy brwi.

- Co to za jeden ten Francis?

- Tak się nazywa chłopak, którego szukamy. Francis Ross.

Per zastanawia się przez chwilę.

- Chłopak, którego znaleźliśmy, twierdzi, że ma na imię Laurent.

Donald i Jacob wymieniają się spojrzeniami. Donalda przebiega zimny dreszcz.

- Może chodzi o kogo innego - mówi Per.

Donald jest tak przejęty, że unosi głos.

- Ślady prowadzą tutaj. Co do tego nie ma wątpliwości. Chłopak ma czarne włosy. Nie wygląda na Anglika, raczej na... Francuza albo Hiszpana. - Tak opisała go Maria.

Per zaciska usta, które są czerwone jak u dziewczyny.

- Wszystko świadczy o tym, że to on.

- Co jeszcze powiedział?

- Tylko to... I że wyruszył w drogę do nowej pracy, ale Indianin, który był jego przewodnikiem, zostawił go. Mówi, że zdążył na północny zachód. - Wzrok Pera na chwilę spoczywa na Jacobie.

Per zwraca się do Jensa i mu tłumaczy swoje słowa. Ten znów coś mówi w odpowiedzi na kilka pytań.

- Według Jensa to dziwne, że chłopiec był sam. Wykluczone, by w taką pogodę udało mu się dotrzeć tu... samemu.

- Dlaczego?

- Chłopiec był zmęczony, kompletnie wyczerpany. Niemożliwe, by odbył taką długą wędrówkę bez niczyjej pomocy albo... nie nakłoniony siłą.

Poczucie winy to potężna siła napędowa do działania, myśli Donald.

- Wydało mi się to dziwne - ciągnie Per. - Powiedział, że zgłosił się do tej pracy, bo potrzebuje pieniędzy, a miał przy sobie całkiem pokaźną sumkę, ponad czterdzieści dolarów. I to. Widać, że bardzo mu zależy na tym przedmiocie.

Per podnosi z podłogi coś, czego Donald nie zauważył wcześniej: skipertogan, skórzany woreczek na tytoń i hubkę, noszony na szyi przez Indian. Wysypuje z niego zwitek banknotów i wąski kawałek kości, wielkości dłoni, pokryty jakimiś figurkami i małymi, ciemnymi znaczkami. Jest bardzo brudny. Donald wpatruje się ze ściśniętym gardłem w kościaną tabliczkę i wyciąga po nią rękę.

- To należało do Laurenta Jammeta.

- Do Laurenta Jammeta?

- Ofiary napaści.

- Powiedział pan „należało”. - Per utkwiał w nim wzrok. - Rozumiem.

W pokoju chorego Donald natychmiast rozpoznaje Francisa jedynie z opisu Marii. Kiedy otworzyli drzwi, smagła, śliczna kobieta wstaje, obrzuca ich podejrzliwym spojrzeniem i wychodzi, jej spódnica szeleści, ocierając się bezczelnie o nogawkę spodni Donalda. Chłopak w milczeniu obserwuje, jak zajmują miejsca, potem Per go przedstawia. Na tle białej pościeli jego skóra jest ziemista, niemal jak u Latynosa. Ma czarne, dość długie włosy i zdumiewająco niebieskie oczy. Maria powiedziała również, że to urodziwy chłopiec. Donald nie ma

pojęcia, czy Francisa można nazwać urodziwym, ale nie ma nic dziecinnego w bijącej od niego wrogości. Wpatruje się w niego swymi niebieskimi oczami, nawet nie drgnęła mu powieka. Donalda ogarnia skrępowanie. Wyjmuje notes, ale kiedy przestawia krzesło, notes zsuwa mu się z kolan na podłogę. Klnie w duchu i go podnosi, starając się nie zwracać uwagi na krew, która napływa mu do twarzy i szyi. Przypomina sobie, kim jest i w jakim celu tu przybył. Znów patrzą na siebie, ale tym razem chłopak odwraca wzrok. Donald chrząka.

- To jest pan Moody z Kompanii Zatoki Hudsona. Przybył do nas z Dove River. Mówi, że twoi rodzice bardzo się o ciebie niepokoją. - Per stara się dodać mu otuchy.

- Witaj, Francisie.

Chłopak lekko kiwa głową, jakby Donald nie zasługiwał na jego uwagę.

- Czy wiesz, dlaczego tu jestem?

Francis patrzy na niego nienawistnie.

- Nazywasz się Francis Ross?

Chłopak spuszcza wzrok, co Donald odbiera jako potwierdzenie.

Patrzy na Pera, który spogląda na chłopca wyraźnie dotknięty.

- Czy... Znałeś w Dove River niejakiego Laurenta Jammeta?

Chłopak głośno przełyka ślinę. Donald zauważa, jak napina mięśnie żuchwy, a potem, ku jego zaskoczeniu, kiwa głową.

- Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

Zalega milczenie i Donald już się zaczął zastanawiać, czy chłopiec w ogóle się odezwie, kiedy ten oświadcza:

- Widziałem go, kiedy już nie żył. I człowieka, który go zabił. Przez cztery dni podążałem za nim na północ, ale potem zgubiłem jego ślad.

Mówi głosem cichym i beznamiętnym. Donald wbija wzrok w chłopca. Jest w równym stopniu przejęty, co nie wierzy we własne szczęście. Musi sobie powtarzać, by zachować ostrożność, posuwać się powoli. Czekać, aż stanie pewnie na jednej nodze, nim zrobi kolejny krok, jakby szedł przez to piekielne grzęzawisko. Poprawia notes, trzymany na kolanach.

- Co... Powiedz mi, co dokładnie widziałeś... I kiedy.

Francis wzdycha.

- To było tamtego wieczoru, kiedy uciekłem z domu. Czyli...  
Wiele dni temu. Nie pamiętam.

- Jesteś tu od pięciu dni - delikatnie podpowiada mu Per. Donald marszczy brwi. Per patrzy na niego niewinnie.

- Może więc... Pięć dni wcześniej? Szedłem do chaty Laurenta Jammeta. Było późno, myślałem, że nie ma go w domu. Potem zobaczyłem, jak wyszedł od niego jakiś mężczyzna. Wszedłem do środka i go zobaczyłem.

- Kogo zobaczyłeś?

- Jammeta.

Znów głośno, z wyraźnym trudem przełyka ślinę. Donald czeka, aż chłopak ponownie zacznie mówić.

- Dopiero co... Umarł. Był jeszcze ciepły, krew nie zakrzepła. Stąd wiem, że zabił go tamten człowiek.

Donald zapisuje słowa Francis'a.

- Czy... Czy znasz tamtego człowieka?

- Nie.

- Możesz go opisać?

- Wiem tylko, że to Indianin, miał długie włosy. Przez moment widziałem jego twarz, ale było zbyt ciemno. Niewiele dostrzegłem.

Donald pisze, zachowując obojętną minę.

- Poznałbyś go, gdybyś go znów zobaczył?

Długa chwila milczenia.

- Może.

- Jak był ubrany?

Francis kręci głową.

- Miał na sobie ciemny strój.

- Był ubrany jak ja czy jak traper? Z pewnością to zauważyłeś.

- Jak traper.

- Dlaczego poszedłeś do chaty Jammeta?

- Przyjaźniliśmy się.

- Która była godzina?

- Nie wiem. Jedenasta. Może północ.

Donald unosi wzrok, próbując jednocześnie obserwować twarz chłopca i zapisywać jego słowa.

- Czy to nie dość późno na składanie wizyt?

Francis wzrusza ramionami.

- Często go odwiedzałeś o takiej porze?

- Nie kładł się wcześniej spać. Nie był farmerem.

- A więc... Zobaczyłeś ciało. Co zrobiłeś potem?

- Poszedłem za tamtym człowiekiem.

- Czy wstąpiłeś do domu, żeby się spakować?

- Nie. Wziąłem kilka rzeczy Jammeta.

- Nie pomyślałeś o tym, żeby powiedzieć o wszystkim swoim rodzicom? Albo zwrócić się o pomoc do kogoś, kto lepiej od ciebie wie, jak należy postąpić w takiej sytuacji?

- Nie było czasu. Nie chciałem zgubić jego śladu.

- Nie chciałeś zgubić jego śladu. A więc co wzięłeś z domu Jammeta?

- Tylko to, co niezbędne. Kurtkę... Jedzenie.

- Coś jeszcze?

- Dlaczego pan pyta? Czy ma to jakieś znaczenie? - Francis unosi wzrok, by znów spojrzeć na Donalda. - Myśli pan, że ja go zabiłem?

Donald wytrzymuje jego spojrzenie.

- A zrobiłeś to?

- Przecież dopiero co powiedziałem, że widziałem zabójcę. Jammet był moim przyjacielem. Czemu miałbym go zabić?

- Tylko próbuję ustalić, co zaszło.

Per ostrzegawczo poprawia się na krześle. Donald się zastanawia, czy mocniej przycisnąć chłopaka, czy od razu oskarżyć go o zabójstwo. Działa po omacku, jak początkujący chirurg, który nie wie, gdzie znaleźć wąpia prawdy.

- Jest bardzo zmęczony. - To mówi Per. Chłopak rzeczywiście kiepsko wygląda, ma napiętą skórę.

- Jeszcze chwilkę, jeśli można. A więc mówisz, że poszedłeś do domu pana Jammeta o północy, zobaczyłeś, że nie żyje i podążyłeś za mężczyzną, którego uznałeś za zabójcę, ale zgubiłeś jego ślad.



- Tak. - Chłpiec zamyka oczy.

- Co to za kość?

Francis, zaskoczony, otwiera oczy.

- Wiesz, o czym mówię, prawda?

- Nie wiem, ile jest warta.

- Wziąłeś ją ze sobą. Musiałeś mieć jakiś powód.

- Dał mija.

- Dał ci ją? Jest bardzo cenna.

- Widział ją pan? Nie przypuszczam, by była zbyt cenna.

- A pieniądze? Też ci je dał?

- Nie. Ale potrzebna mi była pomoc, by znaleźć... Tego człowieka. Może musiałbym... komuś zapłacić.

- Wybacz, ale nie rozumiem. Za co zapłacić?

Francis odwraca głowę.

- Jakie miałeś zamiary?

Per chrząka i patrzy gniewnie na Donalda. Donald z ociąganiem zamyka notes.

Na dworze Per ujmuje Donalda pod ramię.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę mieć na względzie jego zdrowie. Kiedy Jens go tu przywiózł, był bliski śmierci.

- W porządku. - Donald wcale tak nie myśli, ale ostatecznie jest tu gościem. - Mam jednak nadzieję, że rozumie pan, iż w tej sytuacji muszę aresztować chłopaka. Choćby z uwagi na pieniądze, które przy nim znaleziono, i całą resztę.

Per ma zwyczaj lekko się nachylać ku swemu rozmówcy, co - jak się domyśla Donald - musi wynikać z jego krótkowzroczności. Z bliska, z tymi swoimi jasnymi, wyłupiastymi oczami, Per nawet jakby lekko pachnie kozami.

- Naturalnie decyzja w tym względzie należy do pana.

- Tak. Owszem. Dlatego... Chciałbym, żeby przed pokojem chłopaka ktoś stał na straży.

- Po co? Nie zdołałby uciec z Himmelvanger, nawet gdyby mógł chodzić.

- Racja. Ale... - Donaldowi robi się głupio, bo nagle dotarło do niego, że za oknem pada śnieg. - Ale musimy go mieć na oku.

- Nie mamy tu przed nikim żadnych tajemnic - z powagą oświadcza Per, znacząco unosząc wzrok.

**A**ndrew Knox z mieszanymi uczuciami patrzy przez okno na padający śnieg. Z jednej strony zgaduje z przekomarzania się córek, że Susannah interesuje się Donaldem Moodym, więc martwi się niemal jak ojciec o młodego pracownika Kompanii, który przebywa gdzieś w lasach. Zarazem czuje ulgę na myśl o tym, że ślady więźnia nikną pod warstwą białego puchu. To suchy śnieg, prawdziwie zimowy, który, jak już raz spadnie, będzie okrywał ziemię do samej wiosny. Naturalnie ubolewał nad tym, co się stało, razem z Mackinleyem i pozostałymi, pomógł zorganizować ochotników w ekipy poszukiwawcze, by przynajmniej ustalić, w którą stronę udał się zbieg. Kiedy ochotnicy wyruszyli w pościg, Knox wezwał Adama do swojego gabinetu i wygłosił długą mowę o tym, jakiego poważnego niedopatrzenia dopuścił się służący. Adam żarliwie go zapewniał, że dokładnie pamięta, jak zamknął drzwi na klucz i na łańcuch, więc Knox przyznał, że może istnieje jakieś inne wytłumaczenie ucieczki więźnia i dlatego nie odprawi Adama. Na twarzy służącego malowały się niezłomna pewność, że jest niewinny, i wdzięczność, pomieszana z urazą; obaj znali prawdę, ale wiedzieli również, że opłacany sługa nie może zbyt się sprzeciwiać swojemu pracodawcy. Życie jest niesprawiedliwe i nie ma na to rady.

Jakby ta sprawa już i tak nie była wystarczająco zagmatwana, godzinę temu dotarła z Dove River niesłychana wieść o zniknięciu pani Ross. Wkrótce zaczęto plotkować, że porwał ją zbiegły więzień. Knox jest przerażony takim obrotem rzeczy i zastanawia się, jaką sam odegrał w tym rolę. Czy w jakiś sposób przyczynił się do tego,

pozwalając pani Ross porozmawiać z zatrzymanym? Czy też ich jednoczesne zniknięcie jest zwykłym zbiegiem okoliczności? Musi przyznać, że to mało prawdopodobne. Ogólnie rzecz biorąc, ma nadzieję, że kobieta została porwana, bo jeśli wybrała się samotnie, ma znikome szanse przeżycia podczas takiej pogody.

Kiedy poinformował o tym swoją żonę i córki, specjalnie podkreślił, iż jest pewien, że więzień będzie się starał uciec jak najdalej od Caulfield. Zgodnie z przewidywaniami, przyjęły wiadomość o zniknięciu pani Ross z przerażeniem. To coś, czego się boi każda kobieta w tym dzikim kraju, chociaż Knox im przypomina, że jak na razie to tylko plotka. Ale wszyscy są święcie przekonani, że ucieczka więźnia i zniknięcie miejscowej kobiety dobitnie świadczą o winie Parkera.

Mackinley przyjął nowinę ze złośliwą satysfakcją, chociaż przeklinał głupotę Adama i pomstował, że w Caulfield nie ma aresztu z prawdziwego zdarzenia. W tej chwili razem zjedną ekipą poszukiwawczą podążyą wzdłuż zatoki w nadziei znalezienia jakichś śladów. Po rozmowie z Mackinleyem i poinformowaniu go, że magazyn jest pusty, Knox musiał się zamknąć w swoim gabinecie, by wychylić kieliszek brandy, po którym dostał gwałtownego ataku dreszczy. Na szczęście atak minął po kilku chwilach, ale Knox nadal nie może się zdobyć na odwagę, by wyjść i stawić czoło światu.

- Tatku? - Już nie pamięta, kiedy Maria ostatni raz tak się do niego zwracała. - Dobrze się czujesz? - Podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramionach. - To straszne.

- Mogło być gorzej. Zawsze może być gorzej.

Maria wygląda, jakby płakała - myślał, że już wyrosła z tego dziecięcego zwyczaju. Wie, że nie martwi się o siebie, tylko o jego dobre imię.

- Nie zniosę tego, co ludzie powiedzą.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Wszyscy założyliśmy, że wiemy, co się wydarzyło, ale to tylko przypuszczenia. Jeśli chcesz znać moje zdanie... - Zreflektował się. - Większość zbiegłych więźniów zostaje szybko schwytana. Prawdopodobnie za dzień, dwa znów trafi za kratki.

- Nie mogę myśleć o tej biedaczce.  
- Jeszcze nikt nie rozmawiał z jej mężem. Złożę mu wizytę. Może w tych pogłoskach nie ma źdźbła prawdy.

- Mackinley był taki rozgniewany, że myślałam, iż uderzy Adama.

- Doznał zawodu. Miał nadzieję, że odnajdując winnego, zasłuży sobie na awans.

Maria prycha pogardliwie.

- Nie wierzę, że jeszcze kiedyś zdołamy wieść normalne życie.

- Och... Za kilka miesięcy wszyscy o tym zapomnimy.

Wygląda przez okno i zastanawia się, czy ją przekonał. Znowu przeczuwa nieuchronnie zbliżającą się katastrofę. Kiedy się rozgląda (Kilka sekund później? Minutę później? Nie jest pewien), nie widzi Marii. Biel na dworze zahipnotyzowała go. Płatki opadają jak piórka, więżąc warstwę powietrza nad ziemią, każdy śnieżny płatek styka się z sąsiednim jedynie zewnętrznymi krawędziami. Idealny śnieg do zasypania śladów.

Susannah, żeby odreagować stresujące wydarzenia dnia, przymierza suknie w swoim pokoju i odrzuca te, które wyszły z mody. Taki rytuał odbywa się co kilka miesięcy, zawsze kiedy Susannah czuje, że jarzmo życia na prowincji zbyt silnie wpija jej się w ramiona. Maria stoi na progu i przygląda się, jak elegantka ze złością szarpie wstążki przy sukni z zielonej mory. Zalewają ją fala tkliwości do siostry, która w takich chwilach umie się przejmować takimi błahostkami, jak wcięcie w tali i szerokość rękawów.

- Ta suknia idealnie nadaje się do przeróbki, Susannah. Nie niszczyć jej.

Susannah unosi wzrok.

- Z całą pewnością nie mogę jej nosić z tymi głupimi ozdóbkami. Wyglądają śmiesznie. - Wzdycha i rzuca suknię z miną osoby pokonanej. Wstążki, które tak ją irytują, przyszyła osobiście Maria drobnym, mocnym ścięciem.

Starsza siostra podnosi suknię.

- Możemy doszyć nowe rękawy, może z koronki, to odpruć, zmienić wykrój dekoltu. I znów będzie całkiem modna.

- Może. A co zrobimy z tej? - Bierze suknię z perkalu w roślinny wzór, zdecydowanie w stylu Marii Antoniny bawiącej się w do-jarkę.

- Hmm... Ściereczki.

Susannah się śmieje - tak jak to robi tylko w domu, czyli głośno, rechetliwie, a nie chichocze kokieteryjnie, co zdaniem jej matki bardziej przystoi panience.

- Coś okropnego, prawda? Nie wiem, co sobie myślałam.

- O ile dobrze pamiętam, głowę zaprzętał ci Matthew Fox.

Susannah ciska w nią sukienką.

- Dodatkowy powód, by pociąć ją na ściereczki.

Maria siedzi na łóżku pośród wzgardzonych sukien.

- Czy już napisałaś do Donalda Moody'ego?

Susannah unika jej wzroku.

- Po co miałam pisać? Przecież nie ma sposobu, by cokolwiek mu doręczono.

- Wydawało mi się, że obiecałaś do niego napisać.

- Cóż, on mi też obiecał, a nie dostałam od niego listu. A przecież wie, gdzie mieszkam.

- Z pewnością wkrótce otrzymamy jakieś wieści. Przypuszczam, że w jakiś sposób dotrze do nich wiadomość o ucieczce więźnia i uświadomią sobie, że szukają wiatru w polu. - Kładzie się wśród sukni. - Myślałam, że go polubiłaś.

- Jest bardzo miły. - Ku swemu niezadowoleniu Susannah się rumieni.

Maria rozciąga usta w uśmiechu.

- Przestań! Co powinnam zrobić?

- Och, mogłabyś napisać kilka długich, żarliwych listów, przewiązać je różową wstążeczką i nosić na sercu.

Marii sprawia przyjemność widok zapłonionej siostry. Widziała wielu młodzińców, którzy darzyli Susannah płomiennymi uczuciami i wyobrażali sobie, że są one odwzajemniane, tymczasem dziewczyna

po tygodniu o nich zapomniała, poznawszy kogoś bardziej interesującego. Szuflady jej toaletki pełne są dowodów nieodwzajemnionej miłości. W toalecie Marii jest ich znacznie mniej, ale ani trochę nie jest zazdrosna o powodzenie siostry. Widzi, jak zabiegi młodzieńców drażnią Susannah, bo przez nie musi zachowywać się jak przystoi młodej damie. Wszyscy ci młodzi kawalerowie, którzy tak się zachwycają buzią i figurą Susannah, nie dostrzegają najważniejszego - że jej siostra jest osobką niezwykle pragmatyczną, która nad wytworne herbatki przedkłada pływanie i łowienie ryb. Nudzą ją rozmowy na tematy abstrakcyjne, wprawiają w zakłopotanie kwieciste zapewnienia o miłości. Ponieważ Maria o tym wie, nie jest zazdrosna o powodzenie Susannah. Poza tym, kiedy Maria sama poczuła wyjątkową sympatię do młodzieńca, który w zeszłym roku uczył w tutejszej szkole, widziała, jaką Susannah miała ogromną nadzieję, że dzięki temu mężczyźnie jej siostra będzie szczęśliwa. To nie jej wina, że kiedy Robert ją poznał, zwątpił w swoje uczucia do Marii. Ostatecznie, jękając się, wyznał miłość Susannah, po czym odpłynął do Sarnii na pokładzie najbliższego parowca, przerażony jej straszliwą reakcją. Susannah nie powiedziała o tym starszej siostrze, ale i tak zaczęły krążyć plotki, jak to się zwykle działo w Caulfield wcześniej czy później. Maria przez jakiś czas cierpiała w milczeniu, a potem zrobiła z wosku figurkę Roberta Fishera i wolno ją roztopiła w ogniu na kominku w swoim pokoju. Dziwne, ale dzięki temu poczuła się znacznie lepiej.

Od tamtej pory Maria złożyła śluby czystości, ponieważ nie wyobraża sobie, że mogłaby spotkać kogoś, kto dorównałby jej ideałowi prawdziwego mężczyzny - czyli ojcu. Zresztą wcale nie jest pewna, czy małżeństwo i szczęście małżeńskie naprawdę jest czymś takim cudownym, jak mawiają. W Caulfield i Dove River kobiety urabiają sobie ręce do łokci i zatrwająco szybko się starzeją, więc kiedy ich mężowie są, jakby to ująć, w kwiecie wieku, choć nieco sfatygowani, ciągle dopisuje im forma, a za żony zdają się mieć własne matki. Ona inaczej wyobraża sobie swoją przyszłość.

Ale Donald sprawia wrażenie porządnego i inteligentnego młodzieńca. Maria dawno temu nabrała zwyczaju zachowywania się

prowokująco i złośliwie, kiedy widzi kogoś po raz pierwszy. W ten sposób eliminuje tych, którzy są zbyt głupi, by rozszyfrować tę pozę. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że to coś w rodzaju pancerza, a niefortunny koniec znajomości z Robertem jeszcze mocniej ją przekonał o słuszności takiego postępowania. Donald zwycięsko wyszedł z tej próby, nawet jeśli tylko dzięki Susannah, i szanuje go za to. A potem, kiedy spotkali się na ulicy po jego rozmowie ze Sturrockiem, była pod wrażeniem tego, co jej powiedział, i to do tego stopnia, że nawet zaczęła się zastanawiać, czy wszystko to, co jej wcześniej mówiono o poszukiwaczu, to prawda.

- A co powiesz o tej? - Susannah trzyma sukienkę z jasnoniebieskiej wełenki, którą kiedyś bardzo lubiła. - Chciałabym znów ją nosić, gdyby udało nam się coś zrobić z rękawami.

Sprawia wrażenie, jakby wcale nie myślała o Donaldzie. Właściwie z chwilą, kiedy opuścił Caulfield, przestał dla niej istnieć, stał się czymś abstrakcyjnym, nierealnym. Przypomni sobie o nim, kiedy znów go zobaczy, nie wcześniej. Maria przypuszcza, że Susannah prawdopodobnie nie napisze do niego pierwsza, jeśli w ogóle napisze. Zastanawia się, czy pozwoliłaby sobie myśleć o Donaldzie, gdyby nie stracił głowy dla Susannah, co było widoczne od ich pierwszego spotkania. Naturalnie to głupota nawet wyobrażać sobie coś takiego.

Knox jedzie dwukółką do Dove River, by złożyć wizytę Angusowi Rossowi. Nie udało mu się ustalić źródła plotki i gani sam siebie, że tak chętnie w nią uwierzył. Odkąd zaczęła krążyć, dochodziły go coraz bardziej fantastyczne opowieści: że państwo Maclaren zostali zamordowani we własnym łóżku; że zaginęło jakieś dziecko; nawet że więzień związał Knoxa podczas swej ucieczki. Dlatego ma nadzieję, że zastanie panią Ross w domu.

Ross naprawia ogrodzenie za domem. Nie przerwał pracy na widok nadjeżdżającego gościa, wyprostował się i skinął głową dopiero, gdy Knox znalazł się kilka kroków od niego. Znany jest ze swojej małomówności, tak jak jego żona słynie z braku poszanowania dla konwenansów, ale wita go w miarę serdecznie.



- Dzień dobry, Angusie.  
- Witaj, Andrew. Mam nadzieję, że dobrze się miewasz.  
- W miarę. - Należy do nielicznych mieszkańców Dove River, którzy nie krępują się zwracać do Knoxa po imieniu. - Wiem, jaki jest powód twojej wizyty.

Ross ma jasne oczy i włosy, zachowuje się powściągliwie. Przypomina Knoxowi zwietrzały granit: typowy Pikt. Upartością dorównuje żonie. Ona jednak, choć twarda jak krzemień, jest przy tym elegancka i przypomina Angielkę. Granit i krzemień. Trudno sobie wyobrazić takich ludzi w intymnej sytuacji. (Knox stara się o tym nie myśleć, skarciwszy się w duchu). Obydwoje tak się różnią od Francisa, że nikt nigdy nie wziął go za ich rodzzonego syna.

- Tak. Doszły nas dziś jakieś szalone plotki. Wszyscy są zaniepokojeni ucieczką więźnia. Wielka szkoda, że do tego doszło.

- Cóż, rzeczywiście nie ma jej w domu, ale z całą pewnością nikt jej nie porwał.

Knox czeka przez chwilę na więcej informacji, ale Ross nie jest wylewny.

- Wiesz, dokąd się udała?

- Na poszukiwanie Francisa. Zapowiadała, że to zrobi. Bardzo się o niego martwi.

Knox jest zdumiony obojętnością mężczyzny, chociaż się tego po nim spodziewał.

- Przypuszczam, że natknie się na ludzi z Kompanii.

- Wybrała się sama?

Ross nieznacznie wzrusza ramionami.

- Jeśli pytasz, czy zbieg poszedł z nią, nie mogę ci na to odpowiedzieć. Nie widzę powodu, czemu miałby jej pomagać, a ty?

- Nie martwisz się, że twoja żona jest gdzieś tam... O tej porze roku?

Ross bierze siekiere i motykę, po czym kieruje się w stronę domu.

- Wstąp na herbatę.

Knox wie, że nie ma wyboru.

To, co Ross pokazuje Knoxowi w kuchni, świadczy, że rzeczywiście nie musi się martwić o panią Ross. Najwyraźniej zabrała wszystko, co potrzebne. Czyta nawet liścik od niej, który jest zwięzły, ale jasny. Słowa „Nie przywiązuj wagi do tego, co usłyszysz” mogą stanowić aluzję do ucieczki więźnia, ale niekoniecznie. Ross ich nie komentuje. Knox zastanawia się, czy ten odczuwa zazdrość jak mąż, którego żona uciekła z kimś innym, bez względu na osobliwe okoliczności. Ale nie dostrzega w nim nic takiego.

Popijając herbatę - nadspodziewanie delikatną - uzmysławia sobie, że zastanawia się, czy państwo Ross są dobrym małżeństwem. Może po tylu latach nie mogą na siebie patrzeć. Może Ross jest zadowolony z nieobecności żony. I zniknięcia Francisa.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli na razie nic nikomu o tym nie powiesz. Poinformuję, że rozmawiałem z tobą, i że nie ma powodów do niepokoju. Nie chcę jeszcze większej... hysterii.

Wyobraża sobie, jak kolejni mężczyźni wyruszają na północ, i czuje, jak na tę myśl zbiera mu się na śmiech. Reakcja zupełnie nie na miejscu, którą ostatnio obserwuje u siebie coraz częściej. Czyżby to początki demencji starczej? Odpędza tę myśl - sprawa jest poważna. Ale może nie trzeba będzie wysyłać kolejnych ludzi, ponieważ - ma nadzieję - Donald Moody i Jacob już są na miejscu, gdziekolwiek to jest.

Ross kiwa głową.

- Skoro tak mi radzisz.

- Czy... Słusznie się domyślam, że nie zamierzasz wyruszyć za nią?

Większość mężczyzn uznałaby takie pytanie za zniewagę.

- Gdzie miałbym pójść? W taką pogodę nie można ustalić z całą pewnością, jaki kierunek obrała. Jak powiedziałem, najprawdopodobniej natknie się na ludzi z Kompanii.

Czy próbuje się usprawiedliwiać? Knoxa ogarnia lekka antypatia. Zaczyna uważać ten stoicyzm za denerwujący, żeby nie powiedzieć oburzający.

- Cóż... - Sędzia wstaje, szykując się do wyjścia. - Dziękuję, że byłeś ze mną szczerzy. Mam nadzieję, że wkrótce twoja rodzina znów będzie w komplecie.

Ross kiwa głową i dziękuje mu za wizytę, nie okazując ani niepokoju, ani entuzjazmu.

Knox z pewną ulgą żegna się z Angusem Rossem. Podobnie się czasami czuł, załatwiając różne sprawy z Indianami, którzy są bardziej skryci, niż biali. Ciężko się spędza czas z ludźmi uważającymi spontaniczny śmiech za dziecinną słabość.

**S**turrock, ubrany w pożyczoną zimową kurtkę, brnie przez świeży śnieg, wypatrując na ziemi śladów zbiega. Na prawo od niego niejaki Edward Mackay robi dokładnie to samo. Po jego lewej stronie młodzieniec o bardzo wydatnej grdyce sonduje zasypany długim kijem. Sturrock doskonale wie, że ich wysiłki są daremne. Od samego początku zabrano się do tego niewłaściwie. Kiedy się okazało, że magazyn, w którym trzymano więźnia, jest pusty, wiadomość o tym natychmiast dotarła do wszystkich domów w Caulfield. Wszyscy mieszkańcy wylegli na ulicę, by się gapić i snuć teorie, zdeptując wszystkie ślady przed magazynem. W nocy zaczął przysyć sypki śnieg, który prawdopodobnie i tak zasypałby wszystkie ślady, ale w panującym tumulcie zebranie jakichkolwiek informacji na miejscu wydarzenia okazało się całkowicie niemożliwe.

Zanim Sturrock się pojawił, ziemia przed magazynem przemieniła się w błoto i breję, a nikt nie miał pojęcia, gdzie szukać zbiega. Krzepkich ochotników podzielono zatem na drużyny, z których każda udała się w inną stronę. Po dziesięciu mężczyzn szło obok siebie, wypatrując śladów. W taki sposób przeczესali okolice Caulfield, niszcząc wszystko, co mogło stanowić jakąś wskazówkę. Sturrock łagodnie próbował tłumaczyć, że tak to się skończy, ale ponieważ był tu obcy, grzecznie go wysłuchano i nic więcej. Podniesiono kilka fałszywych alarmów, rozlegały się okrzyki, że natrafiono na jakieś ślady, ale zawsze się okazywało, że to tylko naturalne zagłębienie w ziemi, albo trop zwierzęcia, albo ślady pozostawione przez samych poszukujących.

Sturrock wraca myślami do dokumentów, które ukrył pod materacem (sprawdziwszy uprzednio, czy nie ma tam robaków, które mogłyby zjeść je na śniadanie). Jest gotów zostać tu tak długo, jak będzie trzeba, pewien, że Knox nie odmówi mu wsparcia finansowego do czasu pojawienia się syna pani Ross z kościaną tabliczką. Wie, że nikt z mieszkańców Caulfield nie ma pojęcia, czym właściwie jest ów fragment kości. On też nie, ale ktoś o tak wyjątkowym intelekcie jak on, domyśla się, że musi to być coś niezwykłego.

Sturrock po raz pierwszy spotkał Laurenta Jammeta w Toronto rok temu w pochmurny, wietrzny dzień. Jak zwykle dopuścił do tego, że jego zobowiązania przewyższyły zasoby finansowe, i gospodyni, pani Pratt, wygłosiła długie kazanie. Należała do, niestety, pokaznego grona osób, które nie rozumiały, że Sturrock jest stworzony do wyższych celów i że powinna się czuć zaszczycona tym, że Sturrock chce wynajmować u niej nędzną kwaterę. By dojsć do siebie po tym irytującym incydencie i zastanowić się, jak rozwiązać zaistniałą sytuację, udał się do jednej z kawiarni, gdzie miał nadzieję wydusić jeszcze trochę kredytu. Wolniutko pil swoją kawę, kiedy dobiegły go strzępki rozmowy prowadzonej w sąsiednim boksie.

Jeden z mężczyzn, sądząc po akcencie Francuz, powiedział, że handlował z kimś z Zatoki Thunder i dostał od niego dziwny, prawdopodobnie nic nie wart przedmiot, który zauważył dużo później. Była to kościana tabliczka pokryta jakimiś znakami, „jakby egipskimi hieroglifami”.

- To nie egipskie hieroglify, tylko rysunki ptaków i temu podobnych - odparł drugi, sądząc po głosie jeszcze jeden z tych pożyczania godnych Jankesów, którzy wykorzystali długą granicę, by uciec przed wojną. Najwyraźniej mężczyźni przy stoliku podawali sobie ten przedmiot.

- Nie wiem, co to takiego - oświadczył trzeci. - Może to greckie.

- Czyli może być coś warte - zauważył Francuz.

Właśnie wtedy Sturrock wstał, informując mężczyzn w sąsiednim boksie o swojej obecności. Do jego największych umiejętności

należy zdolność bratania się z najróżniejszymi ludźmi, od górników po hrabiów. Jest też jednym z niewielu białych, który zdobył sobie zaufanie i sympatię kilkunastu indiańskich wodzów po obu stronach granicy. Właśnie dlatego był takim dobrym poszukiwaczem. Okazało się, że Jankes słyszał o Sturrocku, co w tym wypadku okazało się wielce przydatne.

Sturrock powiedział, że studiował archeologię, więc może byłby w stanie im pomóc. Jankes poprosił Sturrocka, by się do nich przysiadł, na co ten chętnie przystał. Obracając w dłoniach kościaną tabliczkę, oświadczył, że to nic nadzwyczajnego, ale prawdę mówiąc, nie ma pojęcia, co to takiego. Niezbyt szeroka wiedza o kulturze starożytnej Grecji i Egiptu - wzmianka o studiach była lekką przesadą - pozwalała mu wywnioskować, że przedmiot ten nie był wytworem ani jednej, ani drugiej. Ale intrygowały go malutkie figurki otaczające kanciaste symbole wyglądające jak pismo. Przypominały wyszywane na pasach naiwne postaci z indiańskich opowieści. W końcu oddał kawałek kości Francuzowi nazwiskiem Jammet i stwierdził, że nie wie, co to takiego, ale z całą pewnością nie pochodzi to ani z Egiptu, ani z Grecji, ani z czasów Cesarstwa Rzymskiego, czyli nie stworzył tego żaden przedstawiciel wielkiej cywilizacji.

Jeden z mężczyzn zwrócił się współczująco do Jammeta:

- Może to wyrób starożytnych Indian? Masz pecha.

Mężczyźni roześmieli się głośno. Wkrótce potem rozeszli się każdy w swoją stronę, a Sturrock został jeszcze godzinę, popijając kawę, którą postawił mu Francuz.

Przez parę kolejnych dni Sturrock nie mógł przestać myśleć o tajemniczym przedmiocie. Szedł ulicą (nie stać go było na konia) i nagle ukazywała mu się tabliczka, pokryta dziwnymi symbolami. Naturalnie wszyscy wiedzieli, że Indianie nie mają swojego pisma. I nigdy nie mieli.

A jednak... A jednak...

Sturrock znów poszedł do tamtej kawiarni, spytał o Francuza i spotkał go, niby przypadkiem, przed pensjonatem - w lepszej dzielnicy od tej, w której sam mieszkał, co skrupulatnie odnotował

w pamięci. Zamienili kilka słów i Sturrock mu powiedział, że jego przyjaciel, człowiek, który dużo wie o starożytnych językach, z chęcią obejrzałby tabliczkę. Gdyby ją pożyczył na dzień czy dwa, by mu ją pokazać, może ułatwiłoby to określenie jej wartości. Okazało się wtedy, że Jammet jest bezwzględny kupcem i odmówił rozstania się z tabliczką, chyba że za pokaźną kwotę. Sturrock, pewien, że nie zdradził się, jak bardzo zainteresowała go kościana tabliczka, poczuł się dotknięty takim brakiem zaufania, ale Jammet roześmiał się głośno, klepnął go w ramię i powiedział, że zatrzyma tabliczkę dla niego do czasu, aż Sturrock zgłosi się do niego z pieniędzmi. Ten udał, że wcale mu tak na niej nie zależy, ale potem zaczął prosić Jammeta, by pozwolił mu skopiować symbole. Będzie mógł wtedy ocenić, czy tabliczka warta jest jego uwagi. Jammet, rozbawiony, dał mu kość, a Sturrock przerysował znaczki na skrawek papieru.

Od tamtej pory zdążył pokazać je w muzeach w Toronto i Chicago, profesorom uniwersyteckim i osobom znanym ze swoich osiągnięć naukowych, i nikt nie obalił jego teorii. Nie powiedział nikomu, co według niego może to być, tylko pytał, czy to w jednym z języków indoeuropejskich. Uczeni uważali, że nie. Wykluczili wszystkie języki starożytnego świata. Dobrze by było, gdyby wiedział, skąd pochodzi ta inskrypcja, ale bał się zdradzić kupcowi, jak bardzo zaintrygowała go kościana tabliczka. Z czasem jego zainteresowanie przerodziło się w obsesję.

Został poszukiwaczem, jak powiedział Moody'emu, przypadkiem. Zastąpił jako dziennikarz, wcześniej zajmował się prawem, teatrem i kościołem. Na tym ostatnim polu odniósł największy sukces: skupił wokół siebie kilkuset wiernych, urzeczonych jego inteligencją i elokwencją, doskonale mu się powodziło, póki nie wyszedł na jaw jego romans z żoną jednego z parafian. Wtedy wypędzono go z miasta. Dziennikarstwo lepiej pasowało do jego niekonwencjonalnego stylu życia. Stale był w centrum ciekawych wydarzeń, obracał się wśród ludzi, mógł głosić swoje opinie barwnym językiem. A co więcej, odkrył w sobie prawdziwie bojowego ducha. Pod wpływem romantycz-

nych wyobrażeń o szlachetnych dzikusach zaczął pisać o sprawach Indian. Szybko pozbył się złudzeń, ale kiedy poznał prawdziwy ich los, bardzo się tym przejął. Szczególnie zaprzyjaźnił się z niejakim Josephem Lockiem, osiemdziesięcioletkiem, żyjącym w skrajnej nędzy niedaleko Ottawy. Lock opowiedział mu dzieje plemienia Penakuków i historię ich wypędzenia z należącej do nich ziemi w Massachusetts. Została ich zaledwie garstka, może Lock był ostatnim żyjącym członkiem plemienia. Sturrock opisał porywająco - często mu to powtarzano, a on w to wierzył - ciężki los Josepha i okazało się, że jest chętnie widzianym gościem w modnych salonach Toronto i Ottawy. Poczuł, że znalazł swoje miejsce.

Nic jednak nie trwa wiecznie, jak zresztą zdążył się już przekonać przy okazji wcześniejszych przedsięwzięć. Dzięki rozgłosowi został przedstawiony kolejnym Indianom, młodszym, bardziej gniewnym od Josepha, i jego artykuły już nie opisywały barwnie biedy ani nie ubolewały nad niegodziwościami, których dopuszczano się kiedyś (temat ten dało się przedstawić jedynie na ograniczoną liczbę sposobów), a stały się coraz bardziej polemiczne. Nagle Sturrock stwierdził, że redaktorzy niechętnie publikują jego artykuły. Mętnie się tłumaczyli albo zwalali winę na zmienność zainteresowań czytelników. Upierał się, że ci powinni zdawać sobie sprawę z tego, co czuje rdzenna ludność. Redaktorzy mamrotali, że ważniejsze jest to, co dzieje się w Anglii, i wzruszali ramionami. Wkrótce zamknęły się przed nim drzwi salonów, przestały przychodzić zaproszenia. Poczuł się skrzywdzony, potraktowany równie niesprawiedliwie jak Indianie.

Mniej więcej w tym czasie zgłosiła się do niego rodzina Amerykanów, która straciła syna podczas napadu Indian. Chociaż działo się to na południe od Wielkich Jezior, w Michigan, ojciec chłopca usłyszał o Sturrocku i okazał się na tyle inteligentny i zdesperowany, by uwierzyć, że ten człowiek mu pomoże. Sturrock dobiegał pięćdziesiątki, ale wziął się do tego zadania z wyobraźnią i energią. Może częściowo dzięki temu, że był autsajderem, Indianie chętnie go gościli u siebie, ufali mu. Po kilku miesiącach odnalazł chłopca wśród



Indian z plemienia Huron w Wisconsin. Chłopiec zgodził się wrócić do swoich rodziców.

I znów Thomas Sturrock stał się człowiekiem szanowanym. Po pierwszej sprawie, zakończonej powodzeniem, zajął się jeszcze kilkoma przypadkami porwań dzieci i dwie trzecie z nich doprowadził do pomyślnego końca. Główną trudność nastęrczało nie tyle odszukanie zaginionych dzieci, ile nakłonienie ich do powrotu do poprzedniego życia. Ale miał dar przekonywania.

Po paru latach otrzymał list od Charlesa Setona. Sprawa jego córek różniła się od wszystkich mu znanych. Przede wszystkim upłynęło pięć lat od zniknięcia dziewcząt i żadne dowody nie wskazywały na Indian jako sprawców porwania. Wcześniejsze sukcesy dodały mu jednak pewności siebie i Sturrock nie chciał odrzucić tego, co mogło, jak przypuszczał, stać się ukoronowaniem jego kariery. Jakoś wiązał koniec z końcem, ale nikt się nie wzbogaci, szukając dzieci biednych osadników.

Nie zauważył, kiedy sprawa zaczęła mu się wymykać z rąk. Charles Seton nadal, po pięciu latach, pozostawał nieutulony w żalu. Jego żona zmarła, co jeszcze pogłębiło jego rozpacz. Przestał pracować i wszystkie swoje pieniądze wydawał na poszukiwanie córek. Stało się to jedynym celem jego życia. Sturrock powinien się zorientować, że ma przed sobą człowieka, który nie zadowoli się żadnymi wyjaśnieniami, nic mu nie wynagrodzi jego cierpień. Nadzieje Sturrocka, że uda się odszukać dziewczynki, szybko się rozwiały. Wielu wierzyło, że poniosły śmierć, a ich ciała rozwlekły dzikie zwierzęta. Po roku poszukiwań Sturrock sam zaczął się przychylić do tego zdania, ale Charles Seton nie chciał o tym słyszeć. Nie można było nawet wspomnieć o czymś takim w jego obecności.

W tym czasie, często krążąc między jeziorem Ontario a zatoką Georgian, Sturrock poznał młodego Indianina, Kahon'wesa, wojowniczego dziennikarza, piszącego o położeniu politycznym rdzennej ludności. Kahon'wes chciał się spotkać ze Sturrockiem i nawiązać kontakty z innymi dziennikarzami, a chociaż Sturrock uważał, że nie może mu zbyt pomóc, bo przestał się obracać w tych kręgach, zo-

stali dobrymi przyjaciółmi. Kahon'wes mówił na niego Sakota:tis, czyli Kaznodzieja, a Sturrockowi pochlebiało zainteresowanie młodzieńca i sposób, w jaki go idealizował. Odbywali długie, nocne rozmowy o wojnach na południe od granicy i o politykach w Ottawie. Rozmawiali o kulturze, o tym, że postrzega się Indian jako ludzi z epoki kamiennej, i o wyższości, z jaką kultura pisana traktuje kulturę ustną. Kahon'wes opowiedział mu o wykopaliskach nad rzeką Ohio, gdzie znaleziono olbrzymie wały ziemne i przedmioty z czasów przed narodzeniem Chrystusa. Kiedy na nie natrafiono, biali archeologowie nie chcieli wierzyć, że Indianie mogą być potomkami owych budowniczych i artystów (i dlatego Indianie mogli zostać bezwzględnie wyparci przez białych, tak jak przypuszczalnie sami kiedyś wyparli tamten lud).

Dziesięć lat później Sturrock przypomniał sobie te rozmowy, przemierzając ulice Toronto i zbierając informacje o kościanej tabliczce. Zaczął sobie wyobrażać monografię, którą napisałby na ten temat, i jakim by się to odbiło szerokim echem w Ameryce Północnej. Wydanie takiej monografii mogłoby się okazać nieocenioną pomocą dla sprawy jego indiańskich przyjaciół, a przy okazji sam stałby się sławny. Niestety nie mógł już spytać o zdanie Kahon'wesa, ten bowiem się rozpił i uciekł za granicę. Taki los często spotyka tych, którzy zbaczają z wyznaczonej im drogi.

Dlatego Sturrock, brnąc w śniegu, nie zwraca uwagi na olśniewający, surowy krajobraz ani na nieudolnych poszukiwaczy (sami amatorzy), tylko znów myśli o Kahon'wesie i swoich niezaspokojonych ambicjach. Żeby dokonać w życiu czegoś doniosłego, warto czekać i znosić wszelkie przeciwności losu.

S pędziłam stosunkowo mało czasu sam na sam z mężczyzną (pomijając mojego męża), więc trudno mi ocenić, co jest czymś normalnym, a co nie. Trzeciego dnia po opuszczeniu Dove River idę za Parkerem i saniami, rozmyślając nad tym, że powiedział do mnie zaledwie pięć zdań, i zastanawiam się, czy coś zrobiłam nie tak. Oczywiście wiem, że okoliczności są bardzo nietypowe, a ja należę do osób wyjątkowo powściągliwych, ale i tak stwierdzam, że to milczenie jest denerwujące. Przez dwa dni nie miałam ochoty na zadawanie pytań, bo potrzebowałam wszystkich sił, by dotrzymać kroku Parkerowi podczas tej morderczej wędrówki, ale dziś jest nieco łatwiej; trafiliśmy na odcinek stosunkowo równej drogi, cedry osłaniają nas przed wiatrem. Idziemy w półmroku, stale panującym pod drzewami, ciszę zakłócają jedynie odgłosy naszych kroków i płóz z wierzbowych witek.

Parker bez chwili wahania podąża szlakiem nad rzeką i myślę sobie, że dokładnie wie, dokąd się kieruje. Kiedy się zatrzymujemy na czarną herbatę i chleb kukurydziany, pytam:

- A więc tędy szedł Francis?

Kiwa głową. Oględnie rzecz ujmując, jest człowiekiem niezwykle małomównym.

- A więc... Widział pan tu jego ślady w drodze do Dove River?

- Tak. Szło tędy dwóch mężczyzn mniej więcej w tym samym czasie.

- Dwóch? To znaczy, że Francisowi ktoś towarzyszył?

- Jeden podążał za drugim.

- Skąd pan wie?
  - Ślady jednego zawsze są trochę za śladami drugiego.
- Umilkł, jakby czekał na moje kolejne pytanie. Ale milczę.
- Osobno rozpalali ogniska. Gdyby szli razem, rozpaliliby jedno ognisko.

Trochę mi głupio, że sama tego nie zauważyłam. Od Parkera bije lekkie samozadowolenie. A może sobie tylko to wyobrażam. Stoimy nad swoim malutkim ogniskiem, ogrzewam przemarznięte dłonie w mitenkach, ściskając kubek z gorącym płynem. Sprawia mi to pewien ból. Trzymam kubek tak, by gorąca, wilgotna para owiewała mi twarz. Wiem, że potem ból będzie jeszcze bardziej dotkliwy, ale nie jestem jeszcze taką weteranką wędrowek zimą, by odmówić sobie tej krótkotrwałej przyjemności.

Jeden z psów szczeka. Powiew wiatru przedziera się przez pokryte śniegiem gałęzie i zasłona białych płatków opada na ziemię. Nie wiem, jak będzie mógł podążać śladami, które zasypał śnieg. Jakby czytał w moich myślach, mówi:

- Czterech mężczyzn zostawia wyraźne ślady.
- Czterech?
- Ludzie z Kompanii podążają za pani synem. Łatwo ich śledzić.

Czy sobie to wyobraziłam, czy też widzę cień uśmiechu?

Jednym haustem dopija zawartość swojego kubka i oddala się kawałek za potrzebą. Zdaje się, że posiadał sztukę, którą zauważyłam u innych ludzi dużo przebywających na świeżym powietrzu - potrafi połykać wrzątek, nie parząc się. Chyba ma usta z wygarbowanej skóry. Odwracam się i patrzę na psy, które położyły się w śniegu obok siebie, żeby było im cieplej. Dziwne, ale jeden z nich, mniejszy, rudawo-złota suka, wabi się Lucie, co Parker wymawia z francuska, akcentując ostatnią sylabę. Może dlatego czuję do niej sympatię - sprawia wrażenie przyjaznej i ufnej. Takie właśnie powinny być Psy, a nie jak jej groźnie warczący towarzysz, Sisco, przypominający wilka, o niepokojąco niebieskich oczach. Uderza mnie, że istnieje dziwne podobieństwo pomiędzy parą psów a dwójką ludzi, prze-

mierzających ten szlak. Ciekawa jestem, czy Parker pomyślał sobie to samo. Naturalnie nie powiedziałam mu, jak mi na imię, a mało prawdopodobne, by mnie o to zapytał.

W lodowatym powietrzu herbata tak szybko stygnie, że można ją pić już po pół minucie, i trzeba to zrobić dość szybko. Po kilku chwilach jest już zupełnie zimna.

Wieczorem Parker rozbija obóz i rozpala małe ognisko, żebym mogła przy nim posiedzieć; palą mnie ręce i twarz, a plecy mam lodowate. W tym czasie ucina siekierą naręczne gałęzi sosnowych. (Przypuszczam, że Angus będzie przeklinał jej brak, ale trudno, powinien o tym pomyśleć, nim wyrzekł się swego syna). Największe gałęzie ociosuje i buduje z nich szkielet szałas w miejscu osłoniętym przez duży pień, albo, jeśli akurat w pobliżu jest jakieś przewrócone drzewo, za rozłożystymi korzeniami, wyrwanymi z ziemi. Układa mniejsze gałęzie na ziemi, niczym promienie słońca, wierzchołkami do środka. Kiedy pierwszy raz to widzę, kojarzy mi się to z jakimś miejscem składania ofiar i muszę szybko zdusić tę myśl, nim za bardzo mną owładnie. Potem całość okrywa kawałkiem smołowanego płótna, które zabrałam z piwnicy. Mocuje płótno do ziemi gałęziami i przysypuje śniegiem, zagarnianym kawałkiem kory, aż powstanie wysoki wał, zatrzymujący ciepło w środku. Mniejszy kawałek płótna mocuje do gałęzi pełniącej rolę masztu, w taki sposób, że tworzy zasłonę przedzielającą wewnątrz na pół. To jego jedyne ustępstwo na rzecz konwenansów i jestem mu za to wdzięczna.

Kiedy Parker buduje szałas, ja zagotowuję wodę i przyrządzam papkę z mąki owsianej i pemmikanów, a do niej dodaję kilka suszonych jagód. Zapomniałam zabrać sól, więc ma okropny smak, ale cudownie móc zjeść coś gorącego i czuć, jak parzy przetyk. Potem jeszcze herbata z cukrem, by zabić smak nieapetycznej brei. Wyobrażam sobie ożywioną rozmowę, gdyby ktoś inny był moim przewodnikiem - a może to mój porywacz? Potem, wyczerpani (a przynajmniej ja) wczłógujemy się do szałas, psy za nami, a Parker blokuje wejście kamieniem.

Pierwszej nocy wczółgałam się z bijącym sercem do małego, ciemnego tunelu, zwinęłam w kłębek pod kocami zbyt przerażona, by się poruszyć, i czekałam na los gorszy od śmierci. Wstrzymywałam oddech, nasłuchując, jak Parker przewraca się z boku na bok, wierci i oddycha kilka centymetrów ode mnie. Lucie przecisnęła się - albo została przepchnięta - pod przepierzeniem i położyła się przy mnie, chętnie zrobiłam dla niej miejsce. Potem Parker jakby znieruchomiał, ale stwierdziłam z przerażeniem, że dotyka ciałem płóciennej zasłony, a co za tym idzie - moich pleców. Nie miałam gdzie się odsunąć - tuż przy mojej twarzy było przysypane śniegiem płótno. Czekałam, aż wydarzy się coś okropnego - zresztą i tak bym nie usnęła - a potem poczułam, jak bije od niego przyjemne ciepło. Z szeroko otwartymi oczami nasłuchiwałam najlżejszych odgłosów, ale nic się nie stało. Przypuszczam, że w końcu się zdrzemnęłam. Później zaś - chociaż rumienię się na samą myśl o tym - doceniłam piękno tego rozwiązania, zapewniającego pewną dozę prywatności, a zarazem pozwalającego na wzajemne ogrzewanie się ciepłem naszych ciał.

Kiedy obudziłam się następnego ranka, zobaczyłam słabe światło, przesączające się przez płótno. W moim kokonie panowała duchota, śmierdziało w nim psem. W szałasie było zimno, ale kiedy wyczołgałam się na zewnątrz, wprost nie mogłam uwierzyć, jak było w nim ciepło w porównaniu z temperaturą panującą na dworze. Jestem pewna, że Parker się przyglądał, jak niezgrabnie posuwałam się na czworakach, a potargane włosy opadały mi na twarz. Na szczęście nie uśmiechnął się ani nawet specjalnie się na mnie nie gapił. Z poważną miną podał mi kubek herbaty, a ja wstałam i próbowałam doprowadzić swoje włosy do jakiegoś takiego ładu, żałując, że nie wzięłam ze sobą lusterka. To niesamowite, jacy jesteśmy próżni bez względu na okoliczności. Ale ostatecznie, tłumacząc sobie, próżność to jedna z cech, która odróżnia nas od zwierząt, więc może powinniśmy być z niej dumni.

Dziś wieczorem, po trzech dniach wspólnej wędrówki, postanowiłam wciągnąć swojego milczącego towarzysza podróży do rozmowy. Podczas spożywania posiłku zaczynam mówić. Czuję, że muszę przy-

gotować grunt, że się tak wyrażę, od kilku godzin układałam sobie w głowie, co powiedzieć.

- Panie Parker, chcę, żeby wiedział pan, jaka jestem wdzięczna, że zabrał mnie pan ze sobą. Doceniam też pańskie starania, by zapewnić mi jak największe wygody.

W pomarańczowym świetle płomieni jego twarz wygląda jak nieprzenikniona maska, ale w panującym mroku siniak na policzku jest niewidoczny, a rysy twarzy łagodniejsze.

- Wiem, że okoliczności są dość... niezwykle, ale mam nadzieję, że nie przeszkodzi to, byśmy zostali dobrymi towarzyszami podróży.  
- Uważam, że „towarzysze podróży” to najlepsze określenie: w miarę serdeczne, ale nie sugerujące nadmiernej zażyłości.

Patrzy na mnie, żując jakąś szczególnie twardą chrząstkę. Odnoszę wrażenie, że nadal nie zamierza się odzywać, jakbym nie istniała albo się nie liczyła, niczym gnojak, ale głośno przełyka ślinę i mówi:

- Czy słyszała pani kiedyś, jak gra na skrzypcach?

Mija kilka chwil, nim dociera do mnie, że ma na myśli Laurenta Jammeta.

Nagle znów jestem przed jego chatą nad rzeką, słyszę tę dziwną, słodką melodię, widzę, jak Francis wypada przez drzwi, z twarzą zupełnie odmienioną od śmiechu - i poczucie straty niemal mnie paraliżuje.

Muszę przyznać, że mało płakałam w swoim życiu. Los każdego ciężko doświadcza, ale jestem zdania, że mnie doświadczył szczególnie mocno: przepłynęłam ocean, straciłam rodziców i dziecko. A jednak zawsze uważałam, że nie ma sensu płakać, jakbym od razu zakładała, że ktoś mnie zobaczy i zacznie się nade mną litować, co z kolei prowadzi do konstatacji, że mógłby mi jakoś pomóc - a dość wcześniej się przekonałam, że to niemożliwe. Przez ostatnich kilka dni nie płakałam z powodu zniknięcia Francisca, ponieważ byłam zbyt pochłonięta kłamaniem, kryciem go i rozważaniami nad tym, jak mogłabym mu pomóc, a płacz wydawał mi się tylko niepotrzebną stratą sił. Nie wiem więc, co się teraz zmieniło, że łzy płyną mi po policzkach, zostawiając na skórze ciepłe ślady. Zamykam oczy

i zawstydzona odwracam głowę w nadziei, że Parker niczego nie zauważy. Nie, żeby mógł mi jakoś pomóc, poza oczywiście przeprowadzeniem mnie przez ten las, co właśnie robi. Wstyd mi, bo wygląda to, jakbym apelowała do jego ludzkich uczuć; liczyła na jego łaskawość, której, o ile mi wiadomo, jest pozbawiony.

Ale przez cały ten czas, gdy płaczę, odczuwam zmysłową przyjemność; kiedy łzy płyną mi po twarzy, czuję się tak, jakby ktoś muskał mi policzki ciepłymi palcami, proponując pocieszenie.

Otwieram oczy i widzę, że Parker już zaparzył herbatę. Nie domaga się żadnych wyjaśnień.

- Proszę mi wybaczyć. Mój syn bardzo lubił jego grę.

Podaje mi cynowy kubek. Pociągam łyk i jestem zaskoczona.

Wsypał mi dodatkową porcję cukru, leku na wszelkie zmartwienia. Gdyby wszystkie nasze smutki dawały się tak łatwo osłodzić.

- Grał nam, kiedy razem pracowaliśmy. Szefowie pozwalali mu zabierać skrzypce na wyprawy. Wiedzieli, że opłaci się ten dodatkowy ciężar.

- Pracowaliście razem? Dla Kompanii?

Przypominam sobie zdjęcie Jammeta z grupką traperów i próbuję je odtworzyć w głowie, by sprawdzić, czy był wśród nich Parker. Na pewno zwróciłabym uwagę na taką twarz, ale niczego nie pamiętam.

- Dawno temu.

- Nie wygląda pan na... pracownika Kompanii. - Uśmiecham się szybko na wypadek, gdyby odebrał to jako zniewagę.

- Mój dziadek był Anglikiem. Też się nazywał William Parker. Pochodził z Hereford.

Pali teraz fajkę. Jedną z tych, które należą do mojego męża, bo jego fajkę skonfiskowano.

- Hereford? W Anglii?

- Zna pani tę miejscowość?

- Nie. Ale zdaje mi się, że jest tam bardzo ładna katedra.

Kiwa głową, jakby istnienie katedry w Hereford było czymś oczywistym.



- Znał go pan?

- Nie. Jak większość białych, wyjechał. Poślubił moją babkę, należąca do plemienia Kri, ale potem wrócił do Anglii. Ich syn to mój ojciec. Przez całe swoje życie pracował dla Kompanii.

- A pańska matka?

- Ach... - Wyraźnie się ożywia. - Poślubił kobietę z plemienia Mohawków, mieszkającą we francuskiej misji.

- Aha - mówię, jakby to wszystko wyjaśniało. Bo rzeczywiście wyjaśnia: Irokezi słyną z siły i tego, że są rośli. I przypuszczalnie (choć naturalnie tego nie mówię) ze swojej urody. - Jest pan Irokezem. To dlatego jest pan taki wysoki.

- Mohawkiem, nie Irokezem - poprawia mnie, ale delikatnie, bez złości.

- Myślałam, że to jedno i to samo.

- Wie pani, co znaczy „irokez”?

Kręcę głową.

- Grzechotnik. Tak nazywali ich wrogowie.

- Przepraszam. Nie wiedziałam.

Wykrzywia usta w grymasie, w którym już zaczynam rozpoznawać uśmiech.

- Miała być dobrą katoliczką, ale zawsze przede wszystkim czuła się kobietą z plemienia Mohawków.

W jego głosie słyszeć serdeczność. Uśmiecham się do niego przez strzelające płomienie. Zawsze dobrze wiedzieć, że człowiek podejrzewany o popełnienie morderstwa kocha swoją matkę.

Prawie wypitałam swoją herbatę, jest teraz zupełnie zimna, oczywiście. Chcę zapytać o śmierć Jammeta, ale boję się, że zepsuje to stosunki między nami. Więc wskazuję jego policzek.

- Jak pańska twarz?

Dotyka ją dwoma palcami.

- Już tak bardzo nie boli.

- To dobrze. Opuchlizna zesza. - Myślę o Mackinleyu. Nie wygląda na kogoś, kto się łatwo poddaje. - Przypuszczam, że ktoś spróbuje za nami podążyć.

Parker chrząka.

- Jeśli nawet, to w tym śniegu zgubią trop. I będą szli wolno.

- A panu uda się znaleźć ślad?

Coraz bardziej mnie to niepokoi. Kiedy spadł śnieg - zwodniczo lekki, przyjemny, suchy i sypki - wmówiłam sobie, że Francis schronił się w jakiejś wiosce. Wierzę w to, bo muszę.

- Tak.

Przypominam sobie, że jest traperem, przyzwyczajonym do wyszukiwania śladów lekko stąpających po śniegu stworzeń. Ale jego pewność siebie zda się wynikać z czegoś jeszcze. Znowu odnoszę wrażenie, że już wie, dokąd nas zaprowadzą ślady.

Przez jakiś czas siedzimy w milczeniu, zazdroszczę mu, że może się oddawać rytuałowi palenia fajki. Mężczyzna w takiej chwili sprawia wrażenie, jakby był zajęty i pogrążony w myślach, nawet jeśli nic nie robi ani o niczym nie myśli. A jednak już dawno nie czułam się taka spokojna. Podążamy śladem Francisca. Robię coś, żeby mu pomóc.

Robię coś, żeby dowieść, jak bardzo go kocham, i to jest najważniejsze, bo obawiam się, że o tym zapomniał.

Francis nie od razu zdał sobie sprawę z tego, że został aresztowany. Właściwie nikt mu tego nie powiedział, ale skłania go do tego wniosek sposób, w jaki Per patrzy na niego i na Moodyego. Ten ostatni uważa go za zabójcę Laurenta. Raczej go to irytuje, niż napawa lękiem lub gniewem. Być może na miejscu Moody'ego myślałby tak samo.

- Nie rozumiem - mówi Moody, po raz setny poprawiając okulary na nosie - dlaczego nie poinformowałeś nikogo o tym, co zobaczyłeś. Mogłeś powiedzieć ojcu. Jest szanowanym mieszkańcem waszej osady.

Francis zagryza język, by nie rzucić oczywistej repliki. Teraz, kiedy Moody podsunął mu taką myśl, wydaje mu się to czymś rozsądnym. Ciekawe, czy ten urzędnik poznał jego ojca.

- Bałem się, że zyska zbyt dużą przewagę. Nie rozumowałem logicznie.

To ogłędnie powiedziane. Donald przekrzywia głowę, ma taką minę, jakby próbował zrozumieć, dlaczego Francis nie rozumował logicznie. Chyba mu się to nie udało.

Tym razem obok Moody'ego siedzi milczący, młody Indianin, przedstawiony jako Jacob. Jeszcze ani słowem nie odezwał się w obecności Francisa, który przypuszcza, że to ktoś w rodzaju świadka z Kompanii Zatoki Hudsona. Słyszał - między innymi od Jammeta - że Kompania wysyła swoich ludzi do Ziemi Ruperta w charakterze sędziów. Jeśli ustalą, kto jest zabójcą, urzędnicy Kompanii po cichu go dopadają i zabijają. Zastanawia się, czy Jacob jest wyznaczony na

kata. Na jego kata. Na ogół siedzi ze spuszczoną głową, ale z uwagą przygląda się chłopcu. Może mają nadzieję, że Francis popełni jakiś błąd i czymś się zdemaskuje.

Moody się odwraca i coś szepcze do Jacoba, a ten wstaje i wychodzi z izby. Moody przysuwa krzesło bliżej Francis'a i uśmiecha się do niego lekko, jak chłopak, który pierwszego dnia w szkole chce się zaprzyjaźnić z innymi uczniami.

- Chcę ci coś pokazać.

Wyciąga koszulę ze spodni i Francis widzi szramę - błyszczącą, czerwoną.

- Widzisz? Ostrze weszło na głębokość siedmiu centymetrów. A człowiek, który to zrobił... Siedział tu przed chwilą.

Patrzy Francisowi prosto w twarz. Ten czuje, że oczy robią mu się okrągłe ze zdumienia.

- Nie sądzę jednak, żeby w tym kraju ktoś bardziej od niego troszczył się o mnie.

Francis na tyle się zapomina, że uśmiecha się półgębkiem. Donald pokazuje zęby w uśmiechu, wyraźnie zachęcony.

- Ubawisz się, kiedy ci powiem tę historię. Zablokowałem go podczas meczu rugby. To był klasyczny ślizg, podciąłem mu nogi. A on odruchowo mnie zaatakował. Nigdy przedtem nie grał w rugby. Nawet nie wiedziałem, że ma przy sobie nóż.

Donald się śmieje i Francis czuje do niego iskierkę sympatii. Przez chwilę sprawiają wrażenie przyjaciół. Urzędnik znów wsuwa koszulę w spodnie.

- Chodzi mi o to, że nawet jeśli się z kimś przyjaźnisz, możecie się pokłócić i jeden z was może w chwili gniewu rzucić się na drugiego. Nie mając żadnych złych zamiarów. W chwilę później oddałby życie za to, żeby nigdy się to nie wydarzyło. Czy tak właśnie było? Pokłóciliście się... Może Jammet był pijany... Obaj byliście pijani... Rozzłościł cię czymś i rzuciłeś się na niego, nie myśląc...

Francis wpatruje się w sufit.

- Jeśli tak wam zależy na sprawiedliwości, dlaczego nie podążycie śladami, pozostawionymi przez mordercę? Musieliście je wi-

dzieć. Ja szedłem jego tropem. Nawet jeśli mi nie wierzycie, też musieliście je widzieć.

Zaszła w nim jakaś zmiana, słowa płyną z jego ust, coraz bardziej unosi głos.

- Mogłeś podążać czyimiś śladami, by mieć pewność, że trafisz do jakiegoś bezpiecznego miejsca. - Donald nachyla się do przodu, jakby uznał, że w końcu coś ma.

- Gdybym zamierzał uciekać, nie skierowałbym się tutaj! Udałbym się do Toronto albo wsiadł na statek... - Francis patrzy na sufit i tak dobrze mu już znane szczeliny i rysy na nim. Nieczytelne znaki. - Gdzie mógłbym tu wydać pieniądze? To szaleństwo posądzać mnie, że go zabiłem. Nie widzicie tego? To szaleństwo nawet pomyśleć sobie coś takiego...

- Może dlatego właśnie skierowałeś się tutaj, że to takie nieprawdopodobne... Postanowiłeś tu przeczekać, a kiedy sprawa przycichnie, udać się gdzie indziej. Uważam, że to bardzo zmyślne.

Francis gapi się na niego - jaki ma sens rozmowa z tym głupkiem, który jest święcie przekonany, że wie, co się stało? Jeśli tak, to trudno. Ścisnęło mu się gardło, czuje niesmak w ustach. Ma ochotę krzyczeć. Gdyby poznali prawdę, czy by mu uwierzyli? Gdyby im powiedział, jak było naprawdę?

Otwiera usta i mówi:

- Niech was diabli! Niech was diabli! Niech was wszyscy diabli! - Po czym odwraca się twarzą do ściany.

W tej właśnie chwili Donaldowi coś się przypomina. W końcu uświadamia sobie, co mu nie dawało spokoju przez kilka ostatnich dni. Francis przypomina mu jednego z jego szkolnych kolegów, którego wszyscy unikali. Może to było motywem. Uznaje, że to wielce prawdopodobne.

**D**zieje się coś niezwykłego. Pogoda nadal jest bezwietrzna, idziemy na północ przez las, a ja odkrywam, że bardzo mi się to podoba. Jestem wstrząśnięta, ogarniają mnie wyrzuty sumienia, bo przecież powinnam się martwić o Francisa, ale muszę przyznać, że jeśli akurat nie myślę o tym, że leży gdzieś ranny i przemarznięty, to jestem taka szczęśliwa, jak już dawno mi się to nie zdarzało.

Nigdy bym nie pomyślała, że bez strachu mogłabym się tak daleko zapuścić na te pustkowia. Nigdy nie lubiłam w lasach jedno-stajności, chociaż nikomu się do tego nie przyznałam. Jest tak niewiele gatunków drzew, szczególnie teraz, kiedy przykryte śniegiem przybierają złowieszcze kształty, a w lesie panuje półmrok. Podczas pierwszych lat w Dove River często dręczył mnie jeden sen: jestem w środku lasu, odwracam się, żeby spojrzeć tam, skąd przyszłam, i stwierdzam, że wszystko wkoło wygląda identycznie. Wpadam w panikę. Wiem, że zabłądziłam i nigdy nie znajdę drogi powrotnej.

Może wyjątkowość mojego położenia sprawia, że lęk jest czymś niemożliwym lub zwyczajnie pozbawionym sensu. Nie boję się też swojego małowórnego przewodnika. Skoro do tej pory mnie nie zamordował, chociaż miał tyle sposobności, zaczęłam mu ufać. Zastanawiam się krótko, co by się stało, gdybym nie zgodziła się z nim pójść - czy zmusiłby mnie siłą? Ale szybko przestaję sobie tym przątać głowę. Osiem godzin marszu przez świeży śnieg to dobry sposób na odpędzenie niechcianych myśli.

Przywiązał strzelbę Angusa do sań i jej nie naładował, więc w razie nagłego niebezpieczeństwa nas nie ochroni. Kiedy zwracam Parke-rowi uwagę, że niezbyt to rozsądne, śmieje się. Mówi, że w tej części kraju nie ma niedźwiedzi. A wilki? - pytam. Spogląda na mnie z politowaniem.

- Wilki nie atakują ludzi. Mogą być ciekawe, ale nie zaatakują człowieka.

Opowiadam mu o tych biedaczkach pożartych przez wilki. Słucha, nie przerywając mi, a potem mówi:

- Słyszałem o nich. Nic nie świadczyło o tym, że zaatakowały je wilki.

- Ale nie było też żadnych dowodów, że zostały porwane, a nigdy ich nie odnaleziono.

- Wilki nie zjadłyby wszystkiego. Gdyby zaatakowały je wilki, coś by zostało. Odłamki kości, żołądek i wnętrzności.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Ciekawa jestem, czy wie o tych makabrycznych szczegółach, bo widział je kiedyś na własne oczy.

- Ale - ciągnie - nigdy nie słyszałem, żeby wilki zaatakowały niesprowokowane. Nie zaatakowały nas, chociaż nas obserwują.

- Czy chce mnie pan nastraszyć, panie Parker? - mówię z beztro-skim uśmiechem, chociaż idzie przede mną i nie może tego zobaczyć.

- Nie ma powodu do obaw. Psy reagują na bliskość wilków, szczególnie wieczorem. A nadal żyjemy.

Rzuca to przez ramię, jakby to była zwykła obserwacja, dotycząca pogody, ale oglądam się za siebie, by sprawdzić, czy nic za nami nie podąża, i teraz bardziej staram się trzymać blisko sań.

Po zmroku czuję okrążające mnie cienie. Żałuję, że poruszyłam ten temat. Siadam blisko ogniska, zmęczenie nie zmniejszyło mojej czujności, podskakuję, kiedy słyszę jakiś szelest gałęzi, albo widzę, jak osypuje się z niej biały puch. Zgarniam śnieg leżący tuż obok ogniska, i poświęcam mniej uwagi na przygotowanie kolacji, niż powinnam. Kiedy Parker oddala się po gałęzie, wywężam wzrok, chcąc go wypatrzeć, a gdy psy się ożywiają i zaczynają szczekać, niemal wyskakuję ze skóry.

Później, kiedy leżę jak serdelek w szafasie, coś mnie budzi. Wyczuwam niewyraźną szarość przenikającą przez płótno, czyli albo niebawem nadejdzie świt, albo jest pełnia. Nagle z prawej strony słyszę głos Parkera:

- Pani Ross, nie śpi pani?

- Nie - szepczę, serce podeszło mi do gardła, wyobrażam sobie wszelkie możliwe okropieństwa za ścianami szafasu.

- Jeśli pani może, to niech pani przysunie głowę do wyjścia i wyrzy. Proszę się nie bać. Nie ma powodu do obaw. Może zainteresuje panią ten widok.

Łatwo mi tak się ułożyć, by wyrzeć na zewnątrz, bo po pierwszej nocy zawsze śpię z głową w kierunku wyjścia. Stwierdzam, że Parker zrobił otwór z mojej strony przepierzenia, i wyglądam.

Jeszcze nie nastał świt, ale widać zimne, szarawe światło, może od niewidocznego księżyca. Odbija się od śniegu i umożliwia widzenie, chociaż między drzewami jest ciemno. Tuż przed sobą dostrzegam ciemną plamę, pozostałość po naszym ognisku, zaraz obok stoją oba nasze psy, spięte i czujne, zwrócone ku czemuś, co jest wśród drzew. Jeden z nich skamle; może to mnie zbudziło.

Początkowo nie widzę nic więcej, ale po minucie czy dwóch dostrzegam jakiś ruch w mroku. Aż podskakuję, kiedy uświadamiam sobie, że jest tam jeszcze jeden cień, przypominający psa, nieco ciemniejszy na tle jasnoszarego śniegu. Trzecie zwierzę przygląda się psom, ślepie i nos ma nieco ciemniejsze od futra. Przyglądają się sobie nawzajem, wyraźnie zaciekawione, nie okazując agresji, ale żadne nie ma ochoty odwrócić się tyłem. Znów rozlega się skomlenie, może to wilk. Jest mały, mniejszy od Sisco. I chyba sam. Obserwuję, jak podchodzi kilka kroków bliżej, a potem znów się cofa, jak nieśmiałe dziecko, które chce dołączyć do zabawy, ale nie jest pewne, czy zostanie zaakceptowane.

Może przez dziesięć minut jestem świadkiem tej niemal bezgłośnej rozmowy między psami a wilkiem, i zapominam o strachu. Wiem, że Parker jest tuż obok i też się im przygląda. Chociaż nie odwróciłam głowy w jego stronę, czuję jego zapach. Dociera to do



mnie stopniowo; zwykle powietrze jest tak zimne, że zabija wszelkie wonie. Zawsze uważałam, że to akurat plus. Ale kiedy obserwuję zwierzęta, czuję zapach życia - nie zapach zwierząt ani nawet potu, ale coś jakby listowia, jak ostry, intensywny zapach w wilgotnej cieplarni. Czuję ukłucie jak od pokrzywy i nagle sobie przypominam cieplarnię w państwowym zakładzie dla obłąkanych, gdzie uprawialiśmy pomidory, i taki sam zapach, co teraz, kiedy przytknęłam twarz do koszuli doktora Watsona albo do jego skóry. Nie wiedziałam, że mężczyzna może tak pachnieć; przyzwyczajona byłam raczej do zapachu tytoniu i wody kolońskiej, bijącego od mojego ojca, albo potu i brudnych ubrań, towarzyszącego większości personelu.

Jedynie, co w tym zamarzniętym lesie może pachnieć jak Watson i cieplarnia, to sam Parker.

Mimowolnie zwracam lekko głowę w jego stronę i wciągam powietrze nosem, by wspomnienie stało się wyraźniejsze, bo jest kuszące i całkiem przyjemne. Staram się to robić niepostrzeżenie, ale czuję, że to zauważył, więc podnoszę wzrok i widzę, jak mi się przygląda z odległości kilku centymetrów. Cofam się gwałtownie, a potem uśmiecham, by ukryć zakłopotanie. Znowu patrzę na psy, ale wilk zniknął niczym szary duch i nie mogę powiedzieć, czy uciekł dopiero co, czy już kilka minut temu.

- To był wilk - rzucam odkrywczco.

- A pani się nie boi.

Znowu na niego spoglądam, żeby się przekonać, czy sobie ze mnie pokpiwa, ale wsuwa się do swojej części szałas.

- Dziękuję - mówię, ale po chwili ogarnia mnie złość na siebie samą. Przecież nie zorganizował odwiedzin wilka specjalnie dla mnie, więc dziękowanie mu jest czymś niemądrym. Znowu patrzę na psy. Sisco nadal z uwagą wpatruje się przed siebie, by dostrzec intruza wśród drzew, ale Lucie patrzy na mnie. Ma otwarty pysk, wysunęła język, więc wygląda, jakby się ze mnie śmiała.

**E**kipy poszukiwawcze nie natrafiły na najmniejszy ślad uciekiniera, a stoicyzm pana Rossa uciszył histerię spowodowaną zniknięciem jego żony. Wszyscy zakładają, że spotka się z Moodym i swoim synem. Mackinley jakby nie kojarzył tych dwóch rzeczy i przez większą część dnia rozmyśla w swoim pokoju. Niemal trzy dni po zniknięciu więźnia nadal nawiedza dom państwa Knox niczym szukający zemsty duch. Aż wszystko się w nim gotuje z bezsilności i rozgoryczenia; przypomina człowieka, który już znalazł to, czego szukał, i wypuścił to z rąk.

W domu państwa Knox nie wypowiada się jego nazwiska, jakby udawanie, że nie istnieje, mogło go odegnać. Sędzia proponuje, żeby wrócił do Fort Edgar i zaczekał tam na wiadomości od Moody'ego. Mackinley odmawia. Postanowią zostać. Jednocześnie rozesłano rysopis uciekiniera. Ma obsesję na punkcie swoich obowiązków, a przynajmniej twierdzi, że trzyma go tu poczucie obowiązku; Knox wcale nie jest tego pewien.

Dziś po kolacji Mackinley zaczyna rozmowę o szczęściu. Wraca do jednego ze swoich ulubionych tematów, czyli opowieści o dzielnych pracownikach Kompanii, i raczy Knoxa już mu znaną historią niejakiego Jamesa Stewarta, który zimą wysłał swoich ludzi, by dostarczyli jakieś towary do faktorii; dokonali tego niezwykłego czynu mimo okropnej pogody. Mackinley się upił. W jego oczach błyskają złośliwe iskiereki, co niepokoi sędziego. Jeśli się upił, to nie winem Knoxa; musiał pić w swoim pokoju.

- Ale wie pan, co? - zwraca się Mackinley do gospodarza, chociaż patrzy na miękki, sypki śnieg na dworze, który odbiera jako oso-

bisną zniewagę. Przybrał łagodny ton, stara się nie krzyżeć, stara się nie być człowiekiem maluczkim. Dziwne, że chociaż Knox rozpoznaje w tym afektację, i tak przechodzi go dreszcz.

- Wie pan, jak postąpili wobec takiego wspaniałego człowieka? A wszystko przez to, że miał pecha. Należał do najlepszych. Oddany urzędnik Kompanii, który poświęcił jej wszystko, co miał. Powinien teraz kierować całą firmą, tymczasem przenieśli go do jakiejś zapadłej dziury, zapomnianej przez Boga i ludzi, gdzieś na pustkowiu, gdzie nie ma futer, nie ma nic. A wszystko dlatego, że miał pecha. Tak się przecież nie robi. Nie powinni tak zrobić, prawda?

- Z całą pewnością. - Podobnie, jak nie powinni mu kazać gościć we własnym domu Mackinleya, ale on nie ma komu się poskarżyć. Szkoda, że Mackinley sam nie udał się za chłopakami Rossów, a Moody nie został na miejscu. Susannah też byłaby szczęśliwsza.

- Nie pozwolę, żeby odsunęli mnie na boczny tor. Nie zrobią mi tego.

- Jestem pewien, że do tego nie dojdzie. Przecież to nie pańska wina.

- Ale skąd mam wiedzieć, że tak będą to postrzegali? Odpowiadam za prawo i porządek w forcie i jego okolicach. Gdyby wystosował pan list... Przedstawił wszystkie fakty i tak dalej... - Mackinley utkwiał wzrok w Knoxie, jakby ten pomysł dopiero co przyszedł mu do głowy.

Sędzia mało się nie udławił, tak go zdumiała ta prośba. Rozwagał, czy Mackinley wystąpi z takim żądaniem, ale uznał, że to zbyt bezczelne nawet jak na niego. Milczy kilka chwil, układając w głowie odpowiedź.

- Gdybym miał napisać taki list, panie Mackinley, musiałbym dla uniknięcia nieporozumień przedstawić wszystkie znane mi fakty. - Patrzy na Mackinleya spokojnie, z obojętną miną.

- Cóż, naturalnie... - zaczyna Mackinley i urywa, oczy mało mu nie wyszły z orbit. - Jak to? Co powiedział Adam?

- Adam nic nie powiedział. Na własne oczy widziałem pańskie pojęcie sprawiedliwości.

Mackinley patrzy na niego wściekły, ale milczy. Knox jest zadowolony, że udało mu się go uciszyć.

Kiedy sędzia w końcu wychodzi z domu po zmroku, stwierdza, że za sprawą śniegu i chmur powstało osobliwe światło, dziwny podblask, więc wydaje się, że jest chłodniej, niż w rzeczywistości. Choć dni są krótkie, a słońce wisi nisko na niebie, w powietrzu jest coś takiego - może zapowiedź zorzy polarnej? - że Knox idzie wyjątkowo lekko. Dziwne, skąd taka beztraska, kiedy ryzykuje utratę dobrego imienia.

Thomas Sturrock otwiera drzwi i na korytarz bucha fala intensywnego, przesyconego dymem zaduchu. Najwyraźniej należy do tych, którzy uważają, że miejsce świeżego powietrza jest na dworze.

- Myślę, że nikt nam dziś nie przeszkodzi. Doszło do niesnasek rodzinnych i moi gospodarze są zajęci czymś innym.

Knox nie jest pewien, jak na to zareagować. Nie ma jednak ochoty na spotkanie z pijanym Johnem Scottem. Może lepiej, że wyładowuje swoje frustracje na żonie, a przy obcych gra rolę przykładowego obywatela. Wstydzi się tej myśli, więc odsuwa ją na bok.

- Dostałem pański liścik i jestem ciekaw, co ma mi pan do powiedzenia. - Przypomina sobie, by trzymać się na baczności, nawet w obecności Sturrocka.

- Myślałem o Jammecie, kiedy przeszukiwaliśmy brzeg jeziora. - Sturrock nalewa whisky do dwóch szklaneczek i zakręca bursztynowym płynem w swoim naczyniu. - I myślałem o kimś, kogo znałem, kiedy byłem poszukiwaczem. Nazywa się Kahon'wes.

Knox czeka.

- Nie byłem pewien, czy poruszać tę kwestię... Zadawałem sobie pytanie, czemu ktoś chciałby zabić takiego kupca, jakim był Jammet... Jaki przyświecałby mu cel? I doszedłem do wniosku, chociaż naturalnie nie mam pewności, że może pewną rolę odegrała kościana tabliczka.

- Ta, o której już wcześniej pan wspomniał?

- Tak. Powiedziałem panu, że była mi potrzebna w związku z pracami badawczymi, które w tej chwili prowadzę, i prawdopodobnie sam sobie pan pomyślał, że skoro tak mi na niej zależy, inni też mogli jej pożądać. Niemniej jednak... Och, do diabła, nawet nie wiem, czy moje przypuszczenia są uzasadnione. - Jego twarz w świetle lampy jest stara i pomarszczona.

- To znaczy?

Sturrock wypija zawartość swojej szklaneczki i krzywi się, jakby łyknął lekarstwo.

- Może zabrzmiało to nedorzecznie, ale... No cóż, uważam, że może to być dowód istnienia prastarego języka pisanego Indian.

W pierwszej chwili Knox ma ochotę wybuchnąć śmiechem. Rzeczywiście to nedorzeczne - rodem z powieści przygodowej dla chłopców. Nigdy nie słyszał niczego równie śmiesznego.

- Co pana skłoniło do takiego wniosku? - Nigdy nie uważał Sturrocka za głupca, mimo jego wad. Może źle go ocenił, może właśnie dlatego Sturrock w wieku sześćdziesięciu kilku lat nosi niemodny surdut z postrzępionymi mankietami.

- Widzę, że uważa to pan za nedorzeczne. Ale mam powody tak sądzić. Od ponad roku zajmuję się tą sprawą.

- Przecież wszyscy wiedzą, że nie istnieje nic takiego! - Knox nie może się powstrzymać. - Nie ma żadnego dowodu. Gdyby kiedykolwiek istniało takie pismo, zostałyby jakieś ślady... Jakieś dokumenty albo zapisy, albo niepotwierdzone źródła... A przecież nie ma nic.

Sturrock przygląda mu się z poważną miną. Knox przybiera pojednawczy ton.

- Przepraszam, jeśli zabrzmiało to lekceważąco, ale to... czysta fantazja.

- Być może. Lecz pozostaje faktem, że niektórzy uważają to za całkiem możliwe. Zgadza się pan ze mną?

- Tak. Tak, naturalnie.

- I może nie tylko ja szukam tej kościanej tabliczki.

- To również niewykluczone.

- Pomyślałem sobie: człowiek, o którym wspomniałem, Kahon'wes, był takim jakby dziennikarzem, pisarzem. To Indianin, ale wyjątkowo zdolny. Wykształcony, inteligentny, ładnie się wyraża i tak dalej. Przypuszczam, że w jego żyłach płynie trochę krwi białego, ale nigdy go o to nie zapytałem. Był niezwykle dumnym człowiekiem; miał obsesję na punkcie tego, że Indianie mają swoją własną, wspaniałą kulturę, pod żadnym względem nieustępującą kulturze białych. Był takim fanatykiem, jak niektórzy ludzie w kwestii religii. Uważał, że zgadzam się z nim, i tak było do pewnego stopnia... Ale biedak okazał się człowiekiem nie zrównoważonym - rozpił się, kiedy nie udało mu się zdobyć takiego rozgłosu, o jakim marzył.

- Co pan sugeruje?

- Że on albo ktoś do niego podobny, kto gorąco wierzy w Indian i ich kulturę, zrobiłby niemal wszystko, by zdobyć taki dowód.

- Czy ten człowiek znał Jammeta?

Sturrock robi lekko zdziwioną minę.

- Nie wiem. Ale do ludzi docierają różne wieści, prawda? Niekoniecznie trzeba kogoś znać, by pragnąć jego własności. Ja sam nie znałem Jammeta, póki pewnego razu w kawiarni w Toronto nie usłyszałem, jak rozmawia o tej tabliczce. Nie należał do osób dyskretnych.

Knox wzrusza ramionami. Zastanawia się, czy Sturrock naprawdę wyciągnął go z domu tylko dlatego, żeby mu opowiedzieć tę osobliwą historię.

- A gdzie teraz mieszka ów Kahon'wes?

- Tego nie wiem. Ostatni raz widziałem go wiele lat temu. Spotykałem go, kiedy jeździł po półwyspie i pisał artykuły. Jak już powiedziałem, zaczął pić i zniknął z pola widzenia. Słyszałem jedynie, że udał się za granicę.

- I mówi mi to pan, ponieważ uważa pan, że może być podejrzany? Chyba sam pan przyzna, że podstawy są dość wątpliwe.

Sturrock utkwiał wzrok w pustej szklaneczce. Resztki płynu już pokryty się drobinami kurzu.

- Kahon'wes rozmawiał ze mną kiedyś o prastarym języku pisanym. To znaczy o możliwościach jego istnienia. Nigdy nie słyszałem

o niczym takim. - Sturrock uśmiecha się chłodno, nie unosząc kącików ust. - Naturalnie uznałem, że zwariował. - Wzrusza ramionami w sposób, który Knoxowi wydaje się dziwnie żalony.

- Potem natknąłem się na tę tabliczkę i przypomniałem sobie jego słowa. Może mówiąc to panu, szkodzę sam sobie, ale moim zdaniem powinien pan znać wszystkie fakty. Nie wykluczam, że to nic ważnego. Dzielę się z panem tym, co wiem. Nie chcę, żeby uszło bezkarnie zabójstwo człowieka przez to, że coś zataiłem.

Knox spuszcza wzrok, ogarnia go znajome uczucie absurdalności.

- Szkoda, że nie powiedział pan tego wcześniej, przed ucieczką więźnia. Może mógłby go pan zidentyfikować.

- Naprawdę? Sądzi pan...? No, cóż.

Knox ani przez chwilę nie wierzy, że Sturrock z czegoś zdał sobie sprawę. Prawdę mówiąc, zaczyna wątpić w całą tę historię. Może Sturrock ma jakiś inny powód, by rzucić podejrzenia z powrotem na Metysa. W ten sposób odwraca uwagę od własnej osoby. Właściwie im dłużej się nad tym zastanawia, tym bardziej niedorzeczna wydaje mu się cała ta opowieść. Knox ciekaw jest, czy w ogóle kiedykolwiek istniała kościana tabliczka; nie wspominał o niej nikt poza Sturrockiem.

- Dziękuję, że mi pan to powiedział, panie Sturrock. Może okaże się to... użyteczne. Omówię to z panem Mackinleyem.

Sturrock rozkłada ręce.

- Chcę jedynie pomóc w ujęciu mordercy i jego ukaraniu.

- Naturalnie.

- Jest jeszcze coś...

Aha, w końcu dowie się, o co naprawdę chodzi Sturrockowi, myśli Knox.

- Zastanawiałem się, czy mógłby mnie pan wesprzeć pewną kwotą pieniędzy?

Podczas krótkiego spaceru do domu Knox nagle sobie przypomina z pełną jasnością, co powiedział Mackinleyowi: „Na własne oczy widziałem pańskie pojęcie sprawiedliwości”.

Wcześniej mówił Mackinleyowi (a przynajmniej pozwolił mu dojść do takiego wniosku), że po przesłuchaniu więźnia nie zaglądał do magazynu. Może mieć jedynie nadzieję, że Mackinley był zbyt pijany lub wzburzony, by zwrócić na to uwagę.

Płonne nadzieje, zważywszy okoliczności.



Przy śniadaniu Parker mówi o nocnym gościu. Wilk, którego widzieliśmy, to młoda, mniej więcej dwuletnia samica, jeszcze nie w pełni dojrzała. Uważa, że podążała za nami od paru dni, wiedzona ciekawością, ale nie pokazując się nam. Możliwe, że chciała się parzyć z Sisco, i niewykluczone, że do tego doszło.

- Czy podążałyby za nami, gdybyśmy nie mieli psów? - pytam.

Parker wzrusza ramionami.

- Być może.

- Skąd pan wiedział, że przyjdzie tej nocy?

- Nie wiedziałem. Istniała tylko taka możliwość.

- Cieszę się, że dzięki panu mogłam to zobaczyć.

- Kilka lat temu... - Parker urywa, jakby zaskoczony, że sam z siebie postanowił coś powiedzieć. Czekam.

- Kilka lat temu znalazłem porzuconego wilczka. Przypuszczam, że jego matkę zabito, a może przepędzono z watahy. Próbowałem go odchowić jak psa. Początkowo był bardzo szczęśliwy. Zachowywał się zupełnie jak szczeniak... Przywiązał się do mnie. Lizał mi dłoń, przewracał się na wznak, żeby go pieścić. Ale kiedy dorósł, skończyły się zabawy. Przypomniał sobie, że jest wilkiem, nie psem. Spoglądał gdzieś daleko przed siebie. Pewnego dnia zniknął. Czipewejowie mają na to określenie, które można przetłumaczyć „chory z rozpałmiotywania”. Nie można oswoić dzikiego zwierzęcia, bo nigdy nie zapomni, skąd pochodzi, i będzie pragnęło tam wrócić.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak młody Parker bawi się z wilczkiem, ale bezskutecznie.

Od czterech dni szare niebo wisi nisko, a powietrze jest tak wilgotne, jakbyśmy szli przez gęstą chmurę. Posuwamy się powoli, ale wyraźnie w górę, cały czas idąc przez las, chociaż drzewa są tu inne: niższe, więcej wśród nich sosen i wierzb, mniej cedrów. Ale las rzadnie, drzewa zastępują rzadkie zarośla i aż trudno uwierzyć, że znaleźliśmy się na skraju lasu, który wydawał się nie mieć końca.

Wychodzimy na rozległą równinę akurat w chwili, gdy słońce przedziera się przez chmury i zalewa świat swoim światłem. Stoimy na skraju białego morza, na którym fale śniegu ciągną się aż po horyzont na północ, wschód i zachód. Nie widziałam tyle wolnej przestrzeni od czasów, kiedy stałam na brzegu zatoki Georgian, i aż mi się zakręciło w głowie. Za nami las; przed nami zupełnie inna kraina, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam, połyskująca, biała i przeogromna pod kulą słońca. Nie ma wiatru, ale temperatura spadła o kilka stopni; zupełnie, jakby ktoś położył dłoń na śniegu, nakazując mu spowijać ziemię.

Czuję panikę jak wtedy, kiedy po raz pierwszy ujrzałam dziewiczy las w Dove River: to ogromna, lodowa pustynia, jeśli zapuścimy się na tę równinę, będziemy bezbronni jak mrówki na talerzu. Naprawdę nie ma się tu gdzie ukryć. Staram się stłumić chęć powrotu pod osłonę drzew, kiedy podążam śladami Parkera, oddalając się od znajomego, przyjaznego lasu. Czuję nagle pokrewieństwo z tymi zwierzętami, które zimą zagrzebują się w śniegu, by żyć pod ziemią, w tunelach.

Właściwie równina nie jest płaska, ale pełna kopców i stożków śniegu, pod którymi są krzaki, pagórki i skały. Wszystko to moczary, mówi Parker, i trudno je przebyć, nim nie skuje ich mróz. Wskazuje wgłębienie, gdzie - jak twierdzi - ktoś się zapadł: jeden z tych, śladem których podążamy. Nam będzie łatwiej. Ale i tak ziemia jest tak nierówna, że po dwóch godzinach ledwo mogę zrobić kolejny krok. Zaciskam zęby i skupiam się na tym, by iść przed siebie, lecz zostaję coraz bardziej w tyle. Parker się zatrzymuje i czeka, aż go dogonię.

Jestem zła. To ponad moje siły. Twarz i uszy mam lodowato zimne, ale i tak jestem spocona. Marzę o odpoczynku. Tak mi się chce Pic, że wydaje mi się, że mój język przemienił się w suchą gąbkę.

- Już nie mogę! - krzyczę do Parkera.

Wraca do miejsca, gdzie przystanąłam.

- Nie mogę dalej iść. Muszę odpocząć.

- Za mało przeszliśmy, by odpoczywać. Pogoda może się zmienić.

- Wszystko mi jedno. Nie mogę poruszyć ręką ani nogą. - Na znak protestu padam na kolana. Jest mi tak dobrze, że aż zamykam oczy ze szczęścia.

- W takim razie będzie pani musiała tu zostać.

Twarcz i głos Parkera nie zmieniły się ani trochę. Odwraca się i odchodzi. Chyba nie zamierza mnie tu zostawić, myślę, kiedy znalazł się koło sań i psów, które wiercą się i szarpia w swoich uprzężach. Nawet się nie obejrzał za siebie. Cmoka na psy i zaczynają się oddalać.

Jestem oburzona. Gotów odejść i mnie tu zostawić. Zła, z oczami pełnymi łez, podnoszę się i znów zmuszam swoje nogi do marszu.

Złość dodaje mi sił przez kolejną godzinę, ale jestem już taka zmęczona, że nic nie czuję. W końcu Parker się zatrzymuje. Robi herbatę, inaczej rozmieszcza juki na saniach i daje mi znak, żebym na nich usiadła. Tak ułożył pakunki, że utworzyły prowizoryczne oparcie. Jestem teraz równie wzruszona, jak poprzednio byłam zła.

- Czy psy dadzą radę?

- Damy sobie radę - mówi, ale nie rozumiem, co ma na myśli, póki nie przyczepia do sań jeszcze jednej liny, by pomóc psom. Zakłada na czoło skórzaną opaskę i się pochyla. Zapiera się i pokrzykuje na psy, aż sanie, które przymarzły do śniegu, ruszają. Szarpie linę, aż znajduje właściwy rytm. Wstyd mi, że przeze mnie to, co i tak jest ledwo do zniesienia, staje się jeszcze trudniejsze. Nie skarży się. Ja też starałam się nie narzekać, ale nie mogę powiedzieć, by mi się to do końca udało.

Wczepiona sań, podskakujących na śnieżnych zaspach i wykrota-  
tach, uzmysławiam sobie, jak piękna jest ta równina. Ostre światło  
sprawia, że oczy mi zaszyły łzami, jestem oślepią, nie tylko dosłownie,  
tą ogromną, pustą, niczym nieskażoną krainą. Mijamy krzaki o  
gałęziach spowitych pajęczynami ze śnieżnej przędzy i obwiesz-

nych lodowymi kryształkami, które rozszczepiają światło, tworząc tęczę. Niebo jest jak wypolerowany, błękitny metal; nie ma najmniejszego wiaterku, żaden odgłos nie mąci ciszy, która wprost przytłacza.

W przeciwieństwie do niektórych ludzi, nigdy nie czułam się swobodnie na pustkowiach. Pustka sprawia, że się duszę. Rozpoznaję oznaki ogarniającej mnie hysterii i staram się z nimi walczyć. Zmuszam się do myślenia o ciemnej nocy i o uldze, jaką bym czuła, gdybym się uwolniła od tego oślepiającego światła. Staram się myśleć o tym, że jestem malutka i nieważna, że ledwo mnie widać. Zawsze raczej mnie uspokajały rozważania o tym, że jestem tak mało znacząca, bo skoro jestem nikim, czemu ktokolwiek miałby mnie prześladować?

Znałam kiedyś człowieka, z którym rozmawiał Bóg. Naturalnie jest wielu takich mężczyzn i wiele kobiet w zakładach dla obłąkanych, w których przebywałam - do tego stopnia, że wyobrażałam sobie, iż gdyby przybysz z innego świata znalazł się pod naszymi drzwiami, pomyślałby sobie, że trafił do miejsca, gdzie zebrali się najbardziej świątobliwi ludzie. Matthew Smarta prześladowały rozmowy. Był inżynierem, który doszedł do wniosku, że siła pary jest tak wielka, iż może uwolnić świat od grzechu. Jemu sam Bóg powierzył zadanie skonstruowania takiego silnika. Utopił znaczne kwoty, by zrealizować swój szalony pomysł. Kiedy zabrakło mu pieniędzy, odkryto, co zamierzał zrobić, i umieszczono go w domu wariatów. Gdy zabroniono mu zajmować się silnikiem, strasznie cierpiał, święcie przekonany, że przez jego wymuszoną bezczynność wszyscy trafimy do piekła. Wiedział, jak ważną rolę odgrywa w całym tym boskim planie, dopadał każdego z nas po kolei i błagał, żebyśmy mu pomogli uciec, by kontynuował swoją ważną misję. Wśród tych wszystkich udręczonych dusz, z których prawie każda uważała się na nieznośne katusze, jego usilne błaganie były najbardziej rozdzierające. Raz czy dwa kusił mnie, by wbić mu igłę i uwolnić go od cierpień (ale oczywiście pokusa okazała się za słaba). Takie męki znoszą ludzie przekonani o swojej wyjątkowej roli.

Parker krzyczy na psy i zatrzymujemy się. Nadal jesteśmy nie wiadomo gdzie, tylko teraz las już dawno zniknął i nie mam pewności, czy wciąż potrafię wskazać, gdzie jest. Parker podchodzi do mnie.

- Chyba wiem, dokąd poszli.

Rozglądam się wokół, ale oczywiście nic nie widzę. Gdziekolwiek spojrzeć, ciągnie się równina. Naprawdę jakbyśmy byli na pełnym morzu. Gdyby nie słońce, nie miałabym pojęcia, w którą stronę jedziemy.

- Tam - pokazuje w przeciwnym kierunku do tego, gdzie na lewo od nas zachodzi słońce - jest faktoria Kompanii, Hanover House. Kilka dni drogi stąd. Ślady prowadzą w tę stronę. Po drodze jest osada o nazwie Himmelvanger, coś w rodzaju komuny religijnej. Założyli ją cudzoziemcy. Chyba Szwedzi.

Patrzę na zachód, tam gdzie pokazuje palcem, myśląc o zakładzie dla obłąkanych i jego udręczonych, bogobojnych pensjonariuszach.

- Czyli Francis...? - Ledwo mogę mówić, bo nadzieja sprawiła, że mam ściśnięte gardło.

- Powinniśmy tam dotrzeć przed nocą.

- Och...

Nie mogę powiedzieć nic więcej, bo boję się zapeszyć. W pełnym słońcu widzę nagle, że Parker wcale nie ma czarnych włosów, tylko ciemnobrązowo-kasztanowe, bez śladu siwizny.

Znów wola na psy, jego głos brzmi na tym pustkowiu jak krzyk zwierzęcia. Szarpie uprząż i sanie ruszają. Aż zapiera mi dech, ale nie zwracam na to uwagi.

Dziękuję na swój własny sposób.

**E**spen doszedł do wniosku, że jego żona, Merete, coś podejrzewa. Proponuje, żeby przez jakiś czas się nie spotykali, póki sytuacja się nie uspokoi. Line ze złością wykonuje swoje obowiązki: kopie kury, kiedy wejdą jej pod nogi; wbija igłę w koldrę i zbyt mocno przeciąga nitkę, aż marszczą się szwy. Jedynie opieka nad chłopcem sprawia jej przyjemność. Naturalnie wszyscy wiedzą, że aresztowano go za popełnienie strasznego przestępstwa. Dziś jest błady i apatyczny, kiedy zmienia mu pościel.

- Nie boisz się mnie teraz?

Line wygląda przez okno. Chłopak wie, że kobieta specjalnie zwleka z odpowiedzią. W końcu Line się uśmiecha.

- Nie, skądże znowu. Ani przez chwilę w to nie wierzyłam. Prawdę mówiąc, uważam ich wszystkich za głupców.

Mówi to tak gwałtownie, że chłopak jest zaskoczony.

- Powiedziałam to temu Szkotowi, ale twierdzi, że wykonuje swoje obowiązki. Według niego pieniądze to wystarczający dowód.

- Przypuszczam, że mnie stąd zabiorą i odbędzie się proces. Więc jego zdanie się nie liczy.

Line kończy zmieniać pościel i chłopak znów się kładzie do łóżka. Kobieta widzi jego chude ręce i nogi. Coraz chudsze. Sprawia wrażenie takiego młodego i bezbronnego, że aż gotuje się w niej krew.

- Wyjechałabym stąd, gdybym mogła. Uwierz mi, mieszkać tu to jak dać się pogrzebać za życia.

- Myślałem, że życie sobie tu szczęśliwie, z dala od wszelkich pokus i grzechu.

- Nic podobnego.  
- Wróciłaś do Toronto?  
- Nie mogę. Nie mam pieniędzy. Dlatego tu przyjechałam. Samotnej kobiecie z dwójką dzieci trudno żyć.

- A gdybyś miała pieniądze, wyjechałaśbyś stąd?

Line wzrusza ramionami.

- Nie ma sensu o tym myśleć. Chyba że nagle pojawi się mój mąż z wielką fortuną w złocie. Ale to wykluczone. - Uśmiecha się gorzko.

- Line... - Francis ujmuje jej dłoń, więc kobieta przestaje się uśmiechać. Chłopak ma tak poważną minę, że aż serce gwałtowniej jej zabiło. Kiedy mężczyźni mają taką minę, zazwyczaj oznacza to tylko jedno. - Line, chcę, żebyś wzięła te pieniądze. Ja nic nie mogę z nimi zrobić. Per nie pozwoli im ich zabrać, więc gdybyś je teraz wzięła, mogłabyś je ukryć, a potem, na przykład wiosną, uciec stąd.

Line przygląda mu się zdumiona.

- Nie mówisz tego poważnie. To... Nie, nie mogę tego zrobić.

- Wcale nie żartuję. Weź je. Inaczej się zmarnują. Należały do Laurenta. Wiem, że wolałyby, by przypadły tobie, a nie tym ludziom. Bo wtedy gdzie ostatecznie trafią? Najprawdopodobniej do ich kieszeni.

Serce mocno jej wali. Co za okazja!

- Nie wiesz, co mówisz.

- Doskonale wiem, co mówię. Nie jesteś tutaj szczęśliwa. Wykorzystaj je, by rozpocząć nowe życie. Jesteś młoda i piękna, nie powinnaś tu tkwić wśród tych żonatych mężczyzn... Powinnaś być szczęśliwa. - Francis milknie, nieco zażenowany. Line kładzie drugą dłoń na jego rękę.

- Uważasz, że jestem piękna?

Francis się uśmiecha, lekko zawstydzony.

- Naturalnie. Tak, jak wszyscy.

- Naprawdę?

- Wystarczy zauważyć, jak na ciebie patrzą.

Sprawił jej tym ogromną przyjemność, nachyla się, by dotknąć ustami jego ust. Jego wargi są ciepłe, ale nieruchome, i chociaż Line ma zamknięte oczy, natychmiast rozumie, że popełniła okropny błąd. Chłopak wykrzywia usta jakby z niesmakiem, zupełnie jakby dotknął ich ślimak albo dżdżownica. Line otwiera oczy i nieco się cofa, zmieszana. Odwrócił wzrok, na jego twarzy maluje się obrzydzenie. Kobieta próbuje się tłumaczyć.

- Ja... - Nie rozumie, co złego zrobiła. - Przecież powiedziałaś, że jestem piękna.

- Bo jesteś. Ale nie miałem na myśli... Nie dlatego chcę ci dać pieniądze. Nie o to mi chodziło.

Sprawia wrażenie, jakby próbował odsunąć się od niej jak najdalej.

- Och... Ah Gott. - Line robi się gorąco ze wstydu. Jak mogła tak zaprzepaścić jedyną szansę? Zupełnie, jakby dziś rano wstała i uparła się zrobić coś naprawdę głupiego. Ale zrezygnowała z oświadczenia wszem i wobec podczas porannych modlitw, co czuje do Espena, i z wbicia igły w tłusty tyłek Britty, a zamiast tego postanowiła pocałować młodego chłopaka, aresztowanego za morderstwo. Zaczyna się śmiać, a potem nagle wybucha płaczem.

- Przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło. Nie jestem teraz sobą. Robię głupstwa. - Odwraca się od łóżka.

- Line, proszę, nie płacz. Przepraszam. Naprawdę cię lubię. I naprawdę uważam, że jesteś piękna. Ale ja nie... To moja wina. Nie płacz.

Kobieta ociera oczy i nos rękawem, tak jak to robi Anna. Właśnie coś zroszowała. Jest wciąż odwrócona, ale tylko dlatego, że nie zniosłaby, gdyby nadal patrzył na nią z niesmakiem.

- To bardzo ładnie z twojej strony. Wezmę pieniądze, jeśli naprawdę tego chcesz, bo obawiam się, że nie mogę tu zostać. A właściwie jestem tego pewna.

- Świetnie. Masz.

Line odwraca się i widzi, że Francis siedzi na łóżku, trzymając skórzaną torbę. Bierze zwitek banknotów, który wyciągnął, i siłą



powstrzymuje się przed przeliczeniem pieniędzy, bo świadczyłoby to o niewdzięczności. Ale wygląda na to, że jest tego przynajmniej czterdzieści dolarów (Czterdzieści dolarów! Do tego jankeskich). Wsuwa je pod bluzkę.

Ostatecznie nie ma znaczenia, jeśli chłopak to teraz zobaczy.

Później, kiedy ukradkiem je ser w kuchni, wpada Jens. Jest czerwony z przejęcia.

- Nie zgadniecie! Mamy kolejnych gości!

Jens i Sigi wybiegają na dwór, Line z chmurną miną idzie za nimi; widzi jakieś dwie postaci i sanie z psim zaprzęgiem. Norwedzy obstępują przybyłych, pomagają stanąć na nogi temu, który jest w saniach. Podróżny chwieje się i trzeba go podtrzymywać. Line miga groźna, ciemna twarz, a potem przenosi wzrok na drugą osobę. Stwierdza, że to biała kobieta. Jest czymś tak niesłychanym, by taka wytworna kobieta - co widać mimo wielu warstw odzieży- podróżowała z takim prymitywnym tubylcem, że początkowo nikt nie wie, co powiedzieć czy zrobić. Kobieta słania się z wyczerpania, więc Per zwraca się do Indianina. Line nie dosłyszała pierwszych słów, ale później wyraźnie słyszy, jak Indianin mówi po angielsku:

- Szukamy Francisa Rossa. Ta kobieta jest jego matką.

Pierwszą karygodną myślą Line jest ta, że Francis zażąda teraz zwrotu pieniędzy. Czuje również ukłucie zazdrości. Mimo tego, co zaszło dzisiejszego popołudnia, uważa, że istnieje między nimi szczególna więź; jest jej przyjacielem i sojusznikiem - tylko on jeden w Himmelvanger nie traktuje jej protekcyjnie. Nie chce stracić uczuź chłopca, nawet jeśli to potencjalny zabójca.

Line przyciska dłoń do piersi i czuje zwitek banknotów. Nie opuszcza ręki.

Nikt, przysięga sobie w duchu, teraz już nikt ich jej nie odbierze.

**M**ężczyźni i kobiety o przejętych, podnieconych minach pomagają mi stanąć i podtrzymują mnie, kiedy się potykam. Nie rozumiem, czemu są tacy zadowoleni na nasz widok, ale potem ogarnia mnie znużenie, doświadczam dziwnej drżączki, w uszach mi dzwoni. Ludzie otaczający Parkera kiwają głowami, uśmiechają się i coś mówią w odpowiedzi na jego słowa, ale do mnie dociera jedynie gwar. Oczy, chociaż mnie palą, pozostają suche. Może jestem odwodniona, może jestem chora. Lecz to nieistotne: najważniejsze, że Francis żyje i że go odnaleźliśmy. Tylko to się liczy. Nawet dziękuję Bogu, bo może jeszcze mnie nie skreślił, chociaż już dawno się do niego nie zwracałam w żadnej sprawie.

Wydaje mi się, że zdołałam zapanować nad swoimi uczuciami, kiedy go wreszcie zobaczyłam. Minęły ponad dwa tygodnie, odkąd wyszedł z domu; jest blady, włosy zdają się jeszcze bardziej czarne niż zwykle; i wychudzony, pod prześcieradłem rysuje się chłopięce ciało. Czuję się tak, jakby za chwilę moje serce miało pęknąć i mnie zadławić. Nie mogę mówić, ale pochylam się, by go objąć, i czuję jego kości tuż pod skórą. Zarzuca mi ręce na szyję, owiewa mnie jego zapach. To więcej, niż mogę znieść. Odsuwam się nieco, bo zniknął mi z pola widzenia, a muszę go widzieć. Głaszczę go po głowie, po twarzy. Trzymam jego dłonie w swoich rękach. Nie mogę się powstrzymać, żeby go nie dotykać.

Patrzy na mnie, uprzedzony o moim przyjeździe, jak mi powiedział, ale i tak zdumiony. Przez jego twarz przebiega cień uśmiechu.

- Mamo. Odnalazłaś mnie. Jak tego dokonałaś?
- Francisie, tak się o ciebie martwiliśmy...

Gładzę go po rękach i ramionach, staram się nie rozplakać. Nie chcę go wprawić w zakłopotanie. Zresztą nie muszę już płakać, już nigdy nie będę musiała płakać.

- Przecież nienawidzisz wędrować.

Obydwoje śmiejemy się niepewnie. Pozwalam sobie przez moment pomyśleć, jak wszystko zaczniemy od nowa po powrocie do domu; już nie będzie zamkniętych drzwi ani złowrogiego milczenia. Od tej pory będziemy szczęśliwi.

- Tata też tu jest?

- Och... Nie mógł zostawić gospodarstwa. Pomyśleliśmy, że lepiej będzie, jak tylko jedno z nas wyruszy na poszukiwania.

Francis opuszcza wzrok na pościel. Sama słyszę, jaka to słaba wymówka. Żałuję, że nie wymyśliłam bardziej przekonującego kłamstwa, ale nieobecność Angusa jest bardziej wymowna niż wszelkie tłumaczenia. Francis nie cofnął rąk, lecz jakoś same mu opadają na łóżko. Pomimo wszystko jest rozczarowany.

- Bardzo się ucieszy, kiedy cię zobaczy.

- Będzie zły.

- Nie mów głupstw.

- Jak tutaj dotarłaś?

- Z traperem, panem Parkerem. Uprzejmie się zgodził zabrać mnie ze sobą i...

Naturalnie nie wie, co się wydarzyło w Dove River, odkąd wybrał się w drogę. Ani kim jest Parker.

- Myśla, że zabiłem Laurenta Jammeta. Wiesz o tym, prawda? - Jego głos jest beznamiętny.

- Kochanie, to jakieś nieporozumienie. Widziałam go... Wiem, że tego nie zrobiłeś. Pan Parker znał monsieur Jammeta. Przypuszcza...

- Widziałas go? - Patrzy na mnie oczami wielkimi z przerażenia albo współczucia, trudno mi powiedzieć. Zrozumiałe, że jest zaskoczony. Tysiąc razy dziennie, każdego dnia myślałam o chwili, kiedy stałam na progu chaty Jammeta, aż wspomnienie tego okropnego widoku uległo wygładzeniu. Już mnie nie przeraża.

- Ja go znalazłam.

Francis mruży oczy, jakby nagle zawładnęło nim jakieś uczucie. Przez chwilę myślę, że jest zły, chociaż nie ma po temu powodu.

- To ja go znalazłem.

Akcentuje słowo „ja” lekko, ale wyraźnie. Jakby było to ważne.

- Ja go znalazłem i podążałem za człowiekiem, który to zrobił, ale go zgubiłem. Pan Moody mi nie wierzy.

- Uwierzy ci. Widzieliśmy ślady, którymi podążałeś. Musisz mu powiedzieć wszystko, co widziałeś, a zrozumie cię.

Francis wzdycha głośno, z pogardą, jak to często robi w domu, kiedy zdradzam się ze swoją bezdenną głupotą.

- Powiedziałem mu wszystko.

- Kiedy... Kiedy go znalazłeś, dlaczego nam o tym nie powiedziałaś? Dlaczego sam ruszyłeś za tym człowiekiem? A gdyby cię zaatakował?

Francis wzrusza ramionami.

- Myślałem, że jeśli będę zwlekał, zgubię jego ślad.

Nie mówię tego - bo z pewnością sam myśli to samo - że i tak go zgubił.

- Czy tata myśli, że to zrobiłem?

- Francisie... skądże znowu. Jak możesz mówić takie rzeczy?

Znów się uśmiecha - krzywo, smutno. Jest za młody, żeby się tak uśmiechać, wiem, że to moja wina. Nie zdołałam mu zapewnić szczęśliwego dzieciństwa, a teraz, kiedy jest duży, nie mogę go chronić przed smutkami i trudnościami dorosłego życia. Wyciągam rękę i kładę mu ją na policzku.

- Przepraszam.

Nawet nie pyta, za co go przepraszam.

Nie przestaję mówić o tym, jak porozmawiam z panem Moodym i udowodnię mu, że się myli. O przyszłości i o tym, że nie ma powodów do niepokoju. Ale leży ze wzrokiem utkwionym w sufit, nie słucha mnie i chociaż trzymam go za rękę, wiem, że nie zwraca na mnie uwagi. Uśmiecham się, staram się być radosna, paplę o tym i o owym, bo co innego mogę robić?

Dziś zatoka jest dość spokojna. Wczoraj przez cały dzień podczas burzy śnieżnej ryk wody rozbijającej się o skały głośnym pomrukiem wypełniał osadę. Knox myślał wcześniej, że szczególny kształt skalistego brzegu sprawia, że czasami powstaje ten niski, ciągły pomruk. Tak daleko, jak można coś dostrzec przez wirującą zasłonę śniegu - czyli niezbyt daleko - zatoka miała szarobiały kolor, a powierzchnię wody smagał i rozrywał wiatr. W takich chwilach można zrozumieć, dlaczego pierwsi osadnicy woleli pobudować swoje domy w Dove River, z dala od tego potężnego, nieprzewidywalnego żywiołu.

Zapada zmierzch i widać tylko pojedyncze osoby. Napadało prawie pół metra śniegu, ale jest mokry, osiada pod własnym ciężarem. Na ulicy wydeptują się ścieżki, te najbardziej uczęszczane tworzą głębokie, brudne bruzdy na białym tle. Te, którymi chodzi niewiele osób, przypominają słabe linie. Prowadzą od domu do sklepu, od domu do domu. Widać, kto w Caulfield jest powszechnie lubiany, a kto rzadko wychodzi. Idzie teraz jedną z tych słabiej widocznych, z każdym krokiem ma coraz bardziej mokre i zimne nogi. Cóż, na Boga, nim owładnęło, że nie włożył kaloszy? Próbuje sobie przypomnieć ostatnie minuty przed wyjściem z domu, by stwierdzić, o czym wtedy myślał, ale na próżno. Ma w mózgu czarną dziurę. Ostatnio kilka razy mu się to zdarzyło. Lecz niezbyt się tym przejął.

W domu jest bardzo cicho. Wchodzi do salonu, zastanawiając się, gdzie jest zwykle głośno się zachowująca Susannah, i ze zdumie-

nieniem widzi na kanapie Scotta i Mackinleya. Nigdzie nie ma ani śladu nikogo z jego rodziny. Odnosi wrażenie, że czekają na niego.

- Panowie... Ach, Johnnie, wybacz, ale nie spodziewaliśmy się dziś gości.

Scott spuszcza wzrok, zakłopotany, i sznuruje usta. Głos zabiera Mackinley. Zdążył wytrzeźwieć i ma bardzo poważną minę.

- Nie przyszliśmy tu dziś się gościć.

Knox rozumie i zamyka za sobą drzwi. Przez mgnienie oka zastanawia się, czy wszystkiego się nie wyprzeć, utrzymać, że pijany Mackinley coś sobie ubzdurał, ale od razu odrzuca tę myśl.

- Kilka dni temu - zaczyna Szkot - oświadczył pan, że nie zaglądał do magazynu i że ostatnimi osobami, które widziały więźnia, byłem ja i Adam. Adam został ukarany za to, że nie zamknął drzwi na łańcuch. Ale dziś powiedział mi pan, że widział pan więźnia na własne oczy po mojej rozmowie z nim.

Rozsiada się na swoim miejscu z zadowoloną miną myśliwego, który zastawił bardzo zmyślną pułapkę. Knox patrzy na Scotta, ich spojrzenia na moment się spotykają, nim tamten odwraca wzrok. Knox czuje, jak znów wzbiera w nim ochota na śmiech. Może to jednak prawda, że traci rozum. Zastanawia się, czy jeśli teraz zacznie mówić prawdę, kiedykolwiek będzie mógł przestać.

- Powiedziałem, że na własne oczy widziałem pańskie pojęcie sprawiedliwości.

- Czyli nie zaprzecza pan?

- Widziałem to i napełniło mnie to niesmakiem. Więc przedsięwziąłem kroki, by zapobiec parodii procesu. Bo tym by się to skończyło.

Scott patrzy na niego tak, jakby do tej pory nie wierzył w rewelację Mackinleya, ale teraz ma dość odwagi, by stawić mu czoło.

- Chce pan powiedzieć... że wypuścił pan więźnia? - Nie posiada się z oburzenia.

Knox bierze głęboki oddech.

- Tak. Uznałem, że to najlepsze, co można zrobić.

- Czy zupełnie pan oszalał? Nie miał pan prawa tak postąpić!  
- mówi Scott z taką miną, jakby się najadł zielonych kartofli.

- Wydaje mi się, że nadal jestem tu sędzią pokoju.

Mackinley cicho chrząka.

- Ta sprawa podlega Kompanii. I mnie zlecono się nią zająć. Rozmyślnie udaremnił pan prawidłowe funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości.

- To nie jest sprawa Kompanii. Pan chciał, żeby tym była. Ale jeśli Kompania ma z tym coś wspólnego, to sędziowie powinni być jeszcze bardziej bezstronni. A uniemożliwił to pan z chwilą, kiedy zamknął pan tego człowieka.

- Złożę na pana doniesienie w tej sprawie. - Mackinley poczerwieniał, oddycha głęboko i szybko. Knox, odpowiadając mu, przygląda się swojemu pękniętemu paznokciowi.

- Cóż, powinien pan zrobić to, co uzna za stosowne. Ja nigdzie się nie wybieram. Natomiast pan... Uważam, że najwyższa pora, by znalazł sobie pan jakąś inną kwatere w tym mieście. Jestem pewien, że pan Scott może panu w tym pomóc, jak również w innych sprawach. Żegnam panów.

Wstaje i przytrzymuje otwarte drzwi. Obaj mężczyźni podnoszą się i go mijają, Mackinley ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt na korytarzu, Scott wpatrując się w podłogę.

Knox widzi, jak drzwi frontowe się za nimi zamykają, i nasłuchuje ciszy panującej w domu. Domyśla się, że obaj mężczyźni zatrzymali się przed domem i rozmawiają przyciszonymi głosami. Nie żałuje tego, co zrobił, ani się nie boi. Stojąc w nieoświetlonym holu, Andrew Knox uzmysławia sobie trzy rzeczy: czuje coś na kształt swobody ruchów, jakby nagle rozwiązano postronek, którym całe życie był splewany; pragnie spotkać się z Thomasem Sturrockiem, bo w tej chwili to chyba jedyny człowiek, który go zrozumie; i stwierdza, że po raz pierwszy od wielu tygodni ból w stawach przestał mu dokuczać.

Przez następne dwa dni śnieg sypie bez przerwy i robi się coraz zimniej. Pewnego ranka Jacob i Parker udają się na polowanie i wracają z trzema ptakami i zającem. Jeden Bóg wie, jak udało im się je wypatrzeć w taką pogodę. Niewiele tego, ale zawsze to miły gest, skoro przez nich Norwegowie mają tyle dodatkowych gęb do wykarmienia.

Spędzam czas, siedząc przy Francisie, chociaż dużo śpi albo udaje. Martwię się o niego i o jego stłuczone kolano, które jest spuchnięte i z pewnością go boli. Per, twierdzący, że posiada pewną wiedzę medyczną, mówi, że noga nie jest złamana, tylko skręcona, i z czasem przestanie dokuczać. Cierpliwie zadając pytania - Francis sam z siebie nie mówi nic - jakoś wyciągam z niego coś w rodzaju relacji o jego wędrówce. Jestem zdumiona i poruszona, że udało mu się dotrzeć tak daleko. Zastanawiam się, czy Angus byłby z niego dumny, gdyby o tym wiedział. Przed moim przybyciem Francisem opiekowała się głównie kobieta imieniem Line, ale teraz ja przejęłam jej obowiązki w tym zakresie. Nie sprawiała wrażenia ucieszonej moim widokiem i chyba mnie unika, chociaż widziałam, jak rozmawiała z Parkerem w stodole naprzeciwko. Nie mam pojęcia, co mogli sobie mieć do powiedzenia. Muszę się przyznać, że przyszła mi do głowy złośliwa myśl: ostatecznie to jedyna tu kobieta bez męża, chociaż nie z własnej winy. A niewątpliwie jest dość ładna na swój cudzoziemski sposób. Kiedy nas sobie przedstawiano, obrzuciła mnie wrogim spojrzeniem. Podziękowałam jej, że tak troskliwie zajęła się Francisem, a ona odpowiedziała mi bezbłędą angielszczyzną, ale z ponurą miną,



której przyczyny nie rozumiałam. Potem sobie uświadomiłam, że przez swoje przybycie pozbawiłam ją dotychczasowych zajęć i znów musiała wrócić do zwykłych obowiązków, a ponieważ jest wdową, mężatki prawdopodobnie nią dyrygują. Francis mówi, że Line była dla niego bardzo dobra i że ją lubi.

Moody albo Jacob - ten drugi częściej - siedzą na straży pod drzwiami, jakby czekali, aż zaczną krzyczeć, że Francis mnie zaatakował. Wtedy mogliby wpaść do izby i uratować mi życie. Zmieniłam swoje pierwotne zdanie o panu Moodym. W Dove River wydał mi się sympatyczny i skromny, mimowolny stróż prawa. Teraz dostrzegam w nim rozdrażnienie i niecierpliwość. Przyjął na siebie obowiązki władzy, ale wykonuje je bez wdzięku. Poprosiłam go o rozmowę w cztery oczy. Jak na razie wykręca się od niej, twierdząc, że ma inne pilne obowiązki. Ale po dwóch dniach, kiedy śnieg sypie nieprzerwanie, wszyscy wiedzą, że nie ma nic do roboty poza czekaniem, i dostrzegam to w jego oczach, kiedy stara się wymyślić jakieś nowy wykręt.

- Dobrze, pani Ross. Może pójdziemy do... do mojej izby.

Idę za nim korytarzem, Line, mijając nas, obrzuca Moody'ego niechętnym spojrzeniem.

Jego pokój, tak jak mój, przypomina celę klasztorną, z tym że jego rzeczy zaścielają meble i podłogę, jakby dopiero co się tu włamało. Zabiera ubrania z krzesel i rzuca je na łóżko. Siadając, dostrzegam na biurku kopertę zaadresowaną do panny S. Knox. Ciekawe! Jestem pewna, że nie chciał, bym to zobaczyła; moje przypuszczenia się potwierdzają chwilę później, kiedy zgarnia wszystkie papiery z biurka na bezładny stos. Przez kilka chwil przeprasza za bałagan i myślę sobie, że w innych okolicznościach byłoby mi go żal. Jest tylko kilka lat starszy od Francisa, przyjechał do Kanady niedawno i jest zupełnie sam.

Kilka razy chrząka, a potem mówi:

- Pani Ross, w pełni rozumiem pani troskę o Francisa. To normalne, że jako jego matka martwi się pani o niego.

- Równie naturalne jest to, że powinien pan odszukać sprawcę tej strasznej zbrodni - mówię, we własnym przekonaniu w miarę

spokojnie, ale jego twarz się zmienia, pojawia się na niej irytacja. - Francis też pragnie, żeby odnaleziono człowieka, który jest za to odpowiedzialny, jak sam panu powiedział.

Moody przybiera minę pełną wyrozumiałości i anielskiej cierpliwości w obliczu denerwującej sytuacji.

- Pani Ross, nie mogę pani wyjaśnić, dlaczego uważam pani syna za głównego podejrzanego, ale mam po temu powody. Musi mi pani uwierzyć na słowo.

- Uważam, że ze wszystkich osób właśnie mnie powinien pan ujawnić te powody.

- Pani Ross, najważniejsze, żeby sprawiedliwości stało się zadość. I mam podstawy, by postępować tak, a nie inaczej. Zabójstwo to bardzo poważne przestępstwo.

- A ślady tego drugiego człowieka? - pytam. - O czym świadczą?

Wzdycha.

- To zbieg okoliczności. Pani syn podążał tymi śladami, żeby... dotrzeć do jakiegoś bezpiecznego miejsca.

- Albo są to ślady pozostawione przez mordercę.

- W pełni rozumiem, że chce pani wierzyć w niewinność syna. To całkiem naturalne. Ale Francis uciekł z Dove River po tym, jak popełniono morderstwo, z pieniędzmi zabitego, a potem nas okłamał. Wniosek jest oczywisty. Zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym przymknął oczy na fakty.

Na chwilę wstrzymuję oddech, starając się nie zdradzić swojego zaskoczenia. Francis nic mi nie powiedział o skradzionych pieniądzach.

- Z całą pewnością w takim samym stopniu zaniedbuje pan swoje obowiązki, nie dopuszczając innych możliwości. Ślady mogą należeć do zabójcy... Albo nie. Skąd może pan to wiedzieć, jeśli nie podąży pan nimi?

Moody wciąga powietrze przez nos, a potem masuje miejsce, gdzie powstały dwa czerwone zagłębienia od okularów. Nie ma ochoty zwracać sobie głowy tamtymi śladami.

- W obecnej sytuacji moim obowiązkiem jest odstawić podejrzanego do miejsca, z którego nie ucieknie. Dalsze śledztwo będzie musiało poczekać, aż poprawi się pogoda.

Sprawia wrażenie zadowolonego ze swojej przemowy, w której podkreślił znaczenie wywiązywania się z obowiązków, a nie to, jaki czuje się ważny. Pozwala sobie nawet na lekki uśmiech, jakby żałował, że będzie musiał przekazać tę sprawę komuś innemu. Też się uśmiecham, bo właśnie tak będzie, ale wcale mu nie współczuję, bez względu na to, czy jest samotny, czy też nie.

- Panie Moody, to żadne wy tłumaczenie. Należy podążyć tymi śladami, bo kiedy się poprawi pogoda, jak to pan ujął, śladów już nie będzie, a pana obowiązkiem jest ustalenie prawdy, nic poza tym. Może pan zostawić Francisa pod opieką tutejszych mieszkańców, a jeśli im pan nie ufa, to niech pan zleci swemu towarzyszkowi, by go pilnował. Parker podąży tropem tamtego drugiego człowieka i przekonamy się, dokąd zaprowadzą nas te ślady.

Moody jest zaskoczony i rozgniewany.

- Pani Ross, nie będzie mi pani mówiła, jak mam wykonywać swoje obowiązki.

- W tak ważnej sprawie każdy ma święte prawo zwrócić uwagę na to, że zaniedbuje pan swoje obowiązki.

Gapi się na mnie, zaskoczony, że powiedziałam coś takiego. Przypuszczam, że trafiłam w czuły punkt; może Moody już rozmyślał o śladach drugiego wędrowca i nie dają mu one spokoju. Podejrzewam, że jest człowiekiem skrupulatnym, a te ślady, wiodące gdzieś w nieznaną, pozostają niewyjaśnione.

- Ostatecznie, jeśli ma pan rację... - Trudno mi to przyznać.  
- Jeśli ma pan rację, będzie pan wiedział, że sprawdził każdą ewentualność, i będzie pan miał czyste sumienie. Poza tym, jeśli sprawą zajmie się sąd, te ślady i wynikające z nich wnioski mogą skłonić... No cóż, pańskie zdanie może zostać zakwestionowane, prawda?

Moody patrzy na mnie hardo, a potem wygląda przez okno. Ale nawet tam nie znajduje odpowiedzi.

Kiedy pytam Francisa o pieniądze, zwyczajnie nie chce o nich mówić. Wzdycha, dając do zrozumienia, że odpowiedź jest oczywista, a ja jestem głupia, jeśli jej nie dostrzegam. Czuję, że znów jest zirytowany.

- Staram ci się pomóc. Ale uniemożliwiasz mi to, nie mówiąc, co się stało. Moody jest pewien, że je ukradłeś.

Francis patrzy na sufit, na ściany, wszędzie, byleby tylko nie spojrzeć mi w oczy.

- Ukradłem je.

- Co takiego? Dlaczego?

- Potrzebne mi były pieniądze na drogę. Może musiałbym zwrócić się do kogoś o pomoc w odszukaniu zabójcy. Może musiałbym za to zapłacić.

- Mogłeś się zwrócić o pomoc do nas. Albo poprosić nas o pieniądze. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Już mówiłem, dlaczego nie mogłem wstąpić do domu.

- Przecież... ślady tak szybko nie znikają.

- A więc ty też uważasz, że to ja zrobiłem?

Uśmiecha się rozgoryczony.

- Nie... skądże znowu. Ale... Chciałabym wiedzieć, co tam w ogóle robiłeś w środku nocy.

Francis przestaje się uśmiechać. Przez długą chwilę nic nie mówi. Milczy tak długo, że już sobie myślę, że wstanę i wyjdę.

- Laurent Jammet... - Urywa. - Był jedyną osobą, z którą mogłem porozmawiać. Teraz nie mam nikogo. Obojętne mi, czy wrócę do domu.

Dopiero po kilku chwilach dociera do mnie, że wstrzymałam oddech. Tłumaczę sobie, że mówi bez zastanowienia albo chce mi dokuczyć. Francis zawsze umiał mnie zranić.

- Przykro mi, że straciłeś przyjaciela. I to w taki sposób. Dałabym wszystko, żebyś tego nie zobaczył.

Naskakuje na mnie z dziecięcą złością, bliski płaczu.

- Tylko tyle masz do powiedzenia? Że żałujesz, że to zobaczyłem? Jakie to ma znaczenie? Dlaczego nikt nie myśli o Laurencie? Odebrano mu życie. Dlaczego nie żałujesz, że go zabito?

Opada na poduszki, oczy ma suche, złość minęła mu równie nagle, jak się pojawiła.

- Przepraszam, kochanie. Bardzo mi przykro. Naturalnie, że go żałuję. Nikt nie powinien umrzeć w taki sposób. Był bardzo dobrym człowiekiem. Chyba... Kochał życie.

Przypominam sobie, że ledwo go znałam, ale przypuszczam, że śmiało można to o nim powiedzieć. Lecz jeśli sędzę, że pocieszam Francisa albo mówię to, co chce usłyszeć, jak zwykle się myślę. Jego głos przypomina cichy pomruk.

- Wcale nie był dobrym człowiekiem. Był bezwzględny. Żartował sobie z ludzkich słabości. Powiedziałby wszystko, byleby tylko rozśmieszyć ludzi. Nie przejmował się, że mógłby w ten sposób sprawić komuś ból.

Ten nagły zwrot to dla mnie za wiele. Ogarnia mnie przemożny lęk, że za chwilę Francis coś mi wyzna. Głaszczę go po czole i mówię „ciii”, jakby wciąż był małym dzieckiem, ale nie wiem, co myśleć. Więc plotę bez ładu i składu, byleby tylko nie dopuścić Francisa do głosu, byleby tylko nie powiedział czegoś, czego nie chciałabym usłyszeć.

Parker jest w stodole z Jacobem i jednym z Norwegów. Jakby odcięli się od dramatu rozgrywającego się po drugiej stronie podwórka. Rozprawiają o grzybicy skóry, o ile się mogą zorientować. Czuję się niezręcznie, prosząc Parkera o rozmowę w cztery oczy, kiedy znów znaleźliśmy się wśród ludzi. Dostrzegam spojrzenie Norwega, niewątpliwie zastanawiającego się nad moim małżeństwem i osobliwym towarzyszem podróży, którego sobie znalazłam. W mrocznej stodole przypomina mi się zimny, ciemny magazyn. Wydaje się, że to było tak dawno temu.

- Pan Moody nie zamierza podążyć śladami tego drugiego człowieka. Może będziemy musieli udać się w dalszą drogę sami.

- Będzie to bardzo trudne. Lepiej, jak zostanie pani tutaj, ze swoim synem.

- Ale przecież muszą być... świadkowie.

Wydaje mi się, że powiedziałam to delikatnie, nie oznajmiając otwarcie, że mu nie ufam, ale nie czuje się dotknięty.

- Nie wie pani, czy wrócę.

- Moody musi zobaczyć to... co znajdziemy. Gdybyśmy mogli zabrać ze sobą Francisa...

Parker wzrusza ramionami.

- Gdyby pani syn był mordercą, zależałoby mu na tym, by zważyć winę na kogoś innego. Moody się na to nie zgodzi.

Wiem, że Parker ma rację. Po raz pierwszy ogarnia mnie uczucie beznadziejności, całkowitego znużenia. Staralam się wspiąć na strome i śliskie zbocze, i udało mi się to. Teraz ziemia usuwa mi się spod nóg i nie wiem, co robić. Nie wiem, czy mogę liczyć na pomoc Parkera. Nie widzę powodu, dla którego miałby mi pomóc. Kiedy patrzę mu w oczy, nie dostrzegam w nich ani śladu współczucia - właściwie żadnego znanego mi uczucia. Ale jeśli będzie się kazał błagać o pomoc, jestem gotowa to zrobić. I dużo więcej.

- Musi mnie pan zabrać ze sobą. Muszę znaleźć dowód niewinności Francisa. Wszystkim jest obojętne, kogo aresztują, byleby kogoś aresztowali. Błagam pana.

- A jeśli nic pani nie znajdzie? Pomyślała pani o tym?

Zastanawiałam się nad tym, ale nie mam na to odpowiedzi.

Patrzę na jego obojętną twarz, na oczy, w których źrenice nie różnią się niczym od tęczówki, obie są równie czarne, i przebiega mnie zimny dreszcz.

**W**Niebiańskich Polach nie ma ani kropli alkoholu. Wybrańcy nie potrzebują sztucznych środków odurzających ani nie muszą szukać zapomnienia w kieliszku. Zawsze są szczęśliwi i spokojni. Donald po spotkaniu z panią Ross zastanawia się, ile by dał za szklaneczkę obrzydliwego rumu, którego tyle w siebie leją w Fort Edgar. Zima to pora picia; ułatwia przetrwanie niekończących się nocy, kiedy ciepła pogoda to odległe wspomnienie. Ułatwia wysłuchiwanie beznadziejnych żartów, w kółko powtarzanych przez towarzyszy niedoli. Czyni ich obecność znośną. Donald ma pół flaszki whisky, przysiągł sobie, że ją zostawi na drogę powrotną, ale czuje przemożną pokusę. Poza tym coś mu mówi, że nieprędko opuści to miejsce.

Śnieg przeszedł w deszcz. Temperatura rośnie, płatki śniegu są ciężkie od wody, już się nie unoszą, tylko opadają na ziemię. Pokrywa śnieżna też się zmieniła: nie jest lekka i puszysta jak pierzyna, tylko nasiąknięta wodą i niestabilna. Mokry śnieg nie jest spójny; wielkie jego płaty odrywają się i zsuwają z dachu, widocznego z okna Donalda, by z ciężkim plaśnięciem spaść na ziemię. Dachy stopniowo ukazują swoje przygaszone kolory - rdzawą czerwień, błękit pruski. Sam śnieg już nie jest biały, tylko szary. Woda cały czas ciurka z okapów. Nie można uciec od odgłosów kapania, cichego, lecz natarczywego, jak wyrzuty sumienia.

Widzi, jak wysoki Indianin, Parker, przechodzi przez dziedziniec. Sprawia wrażenie, jakby się szykował do odjazdu. Donald przeczuwa, że wyruszy z Parkerem i kobietą. Żeby się upewnić, że nic nie ma w całej

tej historii z drugimi śladami. Zastanawia się, czy to odwaga; przeraża go sama myśl udania się na tę okropną równinę. Ale z drugiej strony, jeśli odstawi chłopaka jako podejrzanego, a potem się okaże, że się pomylił, zostanie obsztorcowany, będą go wytykali palcami i mówili o nim przyciszonymi głosami w barach. Zaniedbanie obowiązku nie przysłuży się jego przyszłej karierze zawodowej. Kiedy ma do wyboru wędrowkę przez dzikie pola i upokorzenie, wie, co bardziej go przeraża.

Parker powiedział mu, że faktoria jest niespełna sześć dni marszu stąd - przy sprzyjającej pogodzie. Nadarza się okazja poznania tamtejszego faktora - może ułatwi mu on awans. Mówi Jacobowi, żeby został i pilnował chłopca. Na razie więzień będzie tu bezpieczny.

Jacob ma bardzo poważną minę.

- Proszę mi wybaczyć, ale byłoby lepiej, gdybym ja udał się z nimi. To trudna wędrowka. Wiem, czego się spodziewać.

Donald niczego nie pragnie więcej, jak zostać w Himmelvanger i pozwolić Jacobowi brnąć w brei do tego zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca, ale to niemożliwe.

- Dziękuję ci, Jacobie, ale muszę sam się tam udać i zdecydować, co należy zrobić. A ktoś musi zostać tutaj. - Uśmiecha się do Jacoba, który wciąż ma ponurą minę.

- Byłoby lepiej, gdybym panu towarzyszył. Mógłbym... troszczyć się o pana.

Donald się uśmiecha, wzruszony jego lojalnością. A także tym, że Jacob traktuje go, przynajmniej tutaj, jak bezbronne dziecko.

- Nie ma takiej potrzeby. Parker tak czy inaczej musi tu wrócić, by odprowadzić panią Ross. A wizyta w innej faktorii należącej do Kompanii może być ciekawa.

Zmusza się, by sprawiać wrażenie bardziej beztroskiego, niż jest w rzeczywistości. Perspektywa wędrowki przez to dzikie pustkowie napawa go lękiem. Jacob jest zadumany, jakby toczył ze sobą wewnętrzną walkę.

- Ale... miałem sen. Może pan uznać, że to głupota, lecz proszę mnie wysłuchać. W tym śnie był pan sam i groziło panu niebezpieczeństwo. Dlatego uważam, że powinienem panu towarzyszyć.



Donaldowi aż ścisnął się żołądek, ale jeszcze bardziej uniósł głos, by zagłuszyć niepokój Jacoba i własny. Cóż za bzdury - nie przypuszczał, że Jacob wierzy w takie rzeczy.

- Nic dziwnego, że dręczą cię koszmary senne, skoro jemy tu taj tyle tego przeklętego koziego sera. Z pewnością wszyscy doznają tu podobnych majaków!

Jacob nie przyłącza się do jego śmiechu. Wie, że został zbesztany.

- Trzeba mieć oko na chłopaka. Może... powiedziec coś ważne go. Powinieneś spróbować zdobyć jego zaufanie.

Jacob jest pełen wątpliwości, ale kiwa głową.

- Powiesz panu Parkerowi, że będę im towarzyszył?

Kiedy Donald zostaje sam, w pewnej chwili ma ochotę zawołać za Jacobem, by mu gorąco podziękować za jego troskę, nawet jeśli nieco męczącą, i przyjaźń. Młody Metys jest tu jedyną osobą, która się przejmuje tym, co spotka Donalda. Ale powstrzymuje się; ostatecznie jest już dorosły. Nie potrzebuje służącego, żeby o niego dbał, nawet gdyby miał to być Jacob.

Donald zastanawia się nad zmianą w ich wzajemnych stosunkach. Po wyprawie do Dove River i po ich makabrycznym odkryciu zrodziła się między nimi bliskość, którą widocznie cenił więcej, niż zdawał sobie z tego sprawę, bo teraz mu jej żal. Donald dochodzi do wniosku, że stało się tak, ponieważ jest teraz szefem, podczas gdy poprzednio Mackinley obu ich traktował mniej więcej z taką samą łagodną pogardą, a oni (przynajmniej Donald) odwzajemniali tę pogardę, chociaż okazywali to w bardziej subtelny sposób. Teraz widzi Mackinleya w innym świetle, lepiej rozumie, co to znaczy kierować ludźmi. Cóż, ojciec w kółko mu powtarzał, że życie to nie bajka, nie rozpieszcza nas. Jako dziecko uważał tę ideę za niezwykle przekorną, ale teraz zaczyna do niego docierać sens słów ojca. Ludzie dorośli muszą stawiać czoło groźnym wyzwaniom, przedkładać poczucie odpowiedzialności nad przyjaźń. Czasami trzeba zrezygnować z sympatii ludzi, by cieszyć się ich szacunkiem. Uświadamia sobie jeszcze coś, co ma związek z jego uczuciami do Susannah. Tylko mężczyzna

cieszący się szacunkiem może zdobyć miłość kobiety, bo kobiety kochają tych, których podziwiają.

Patrzy na swoje listy: przypuszcza, że to listy miłosne, chociaż nie ma w nich nic sentymentalnego. Jeszcze na to za wcześnie, ale kiedyś, kto wie... Napisał cztery, starannie je złożył i zaadresował, daje Perowi, by wysłał je do Dove River, kiedy tylko pogoda pozwoli. Jest zadowolony z listów, które przepisał w swoim pokoju, ozdabiając zawiłymi dygresjami filozoficznymi; ich ułożenie zajęło mu dwa długie wieczory. Wyobraża sobie, jak Susannah je czyta i trzyma w kieszeni albo w szufladzie, owinięte w pachnącą chusteczkę (może tę, którą jej podarował?).

W przyprawie roztkliwienia próbuje przywołać obraz jej twarzy w chwili, kiedy uśmiechnęła się do niego w bibliotece, ale ku swemu zakłopotaniu odkrywa, że nie potrafi. Niewyraźnie pamięta jej uśmiech, miękkie, jasnobrązowe włosy, jasną, zaróżowioną cerę i orzechowe oczy, ale te elementy nie chcą się ułożyć w całość. Nie wie, dlaczego doskonale pamięta twarz jej siostry, Marii, i jej ojca, natomiast obraz Susannah wymyka mu się.

Siada, żeby skreślić krótki liścik do niej, informujący o czekającej go wyprawie. Jest rozdarty, bo chciałby napisać, jakie to niebezpieczne przedsięwzięcie, wymagające odwagi, a z drugiej strony nie chce niepotrzebnie jej martwić, gdyby otrzymała tę wiadomość przed jego powrotem. Ostatecznie pisze, że prawdopodobnie wróci do Caulfield za trzy tygodnie, że będzie to wspaniała okazja, by reprezentować Kompanię i spotkać się z innym faktorem, a jednocześnie pozbyć się wątpliwości co do winy Francisa. Przesyła jej życzenia wszystkiego najlepszego, a na koniec prosi, by serdecznie pozdrowiła od niego swoją siostrę, czym jest sam lekko zdumiony. Przez chwilę wpatruje się w zapisaną kartkę, zastanawiając się, czy nie wypadło to dziwnie, ale nie ma czasu, by przepisać cały list od nowa, więc wsadza go do koperty, którą zakleja i dokłada do pozostałych.

Jest czwartek, dziesiąta wieczorem, trzy tygodnie po znalezieniu zwłok Laurenta Jammeta. Maria wygląda przez okno gabinetu swego ojca, chociaż nic nie widać. Dostrzega strugi deszczu, padające na rozmiękłą ziemię, gdzie powinien być ich ogród, który w tej chwili przypomina zagrodę dla bydła. A dalej tylko kłębiąca się ciemność, zasłony wody targane to w jedną, to w drugą stronę przez wiatr, i błyski światła nie wiadomo skąd.

W domu jest niewiele lepiej. Po tym, co wydarzyło się po południu, pani Knox położyła się w swojej sypialni, łyknąwszy jakiś syrop, który doktor Gray zaaplikował jej przed godziną. Mniej się zdernowowała, niż się tego obawiała Maria, ale lekarz tak przekonująco mówił o groźbie opóźnionego szoku, że Maria nakłoniła matkę do połknięcia mikstury. Susannah była bardziej zrozpaczona, ale taką już ma naturę - po nagłej burzy bezchmurne niebo. W tej chwili wciąż jest wzburzona, chociaż tu z dołu Maria nic nie słyszy. W domu panuje grobowa cisza.

Po krótkiej dyskusji - a raczej bardzo długiej dyskusji, albowiem starszyczna nie mogła dojść do zgody w tak bezprecedensowej sprawie, jej ojca aresztowano pod zarzutem utrudniania prawidłowego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Ponieważ jest, było nie było, tutejszym sędzią pokoju, a nie jakimś obdartym Metysem nie wiadomo skąd, nie zamknięto go w magazynie, ale postanowiono umieścić w domu Johna Scotta. Oznacza to, że siedzi zamknięty na klucz w pokoju sąsiadującym z pokojem pana Sturrocka, gdzie przynoszą mu posiłki. Pokój jest bardzo podobny do tego, w którym

zatrzymał się pan Sturrock, opłata identyczna, ale ojciec Marii nie musi płacić za przywilej przebywania w nim.

Dziś o wpół do szóstej przyszedli John Scott, pan Mackinley oraz Archie Spence. Otworzyła im Maria i zaprowadziła ich do salonu, a sama udała się po ojca. Przez dwadzieścia minut rozmawiali za zamkniętymi drzwiami, nim ojciec wyszedł, by poinformować, że właściwie został aresztowany. Na jego twarzy błąkał się niewyraźny uśmiech, jakby go to wszystko bardzo bawiło. Pani Knox zaprotestowała, wielce wzburzona, Susannah się rozplakała, a Maria stała jak wryta i nie wiedziała, co powiedzieć. Jej matka wkroczyła do salonu i skrzyczała siedzących w nim mężczyzn. Otworzyli usta, wyraźnie przestraszeni tą połajanką. John Scott głośno oponował przeciw temu, żeby trzymać jej ojca pod kluczem w swoim domu, ale Mackinley twardo przy tym obstawał. Po jego minie widać było, jaką mu to sprawia satysfakcję. Jej ojciec zakończył spór, oświadczając, że zgadza się na to, co postanowią, póki nie przyjedzie sędzia pokoju z St Pierre. Zapytał najzupełniej poważnie, czy wyznaczą kaucję. Najwyraźniej mężczyźni całkiem zapomnieli o czymś takim. John Scott otworzył usta, ale nic nie powiedział. Mackinley chrząknął i oświadczył, że zastanowią się nad tym przez noc i jutro podadzą kwotę. Ale sęk w tym, że musieli zapytać jej ojca, co robić.

Ostatecznie Knox zakończył sprawę, proponując, by wszyscy razem wyszli; powiedział, że jest już pora kolacji i niepotrzebnie każą czekać kucharkom. Naturalnie miał na myśli ich Mary w kuchni, ale zabrzmiało to tak, jakby beształ tych, którzy go aresztowali, za to, że spóźni się na kolację. Mackinley zmarszczył brwi, lecz jej ojciec tego nie zauważył. Maria pomyślała, że jest jakaś niefrasobliwość w jego zachowaniu: zupełnie, jakby się cieszył z tego, że go aresztowano, jakby wpadli w pułapkę, którą sam na nich zastawił. Trzy kobiety patrzyły, jak ich mąż i ojciec wyprowadził pozostałych mężczyzn z domu, zapytawszy ich uprzednio, czy chcą pożyczyć parasole bądź kalosze. Mackinley wraz z pozostałymi podziękowali, chociaż zaczął padać ulewny deszcz, a w domu jest kilka zapasowych parasoli i par kaloszy.

**S**turrock nasłuchuje kroków na schodach. Leży na łóżku, rozmyślając, czy pani Ross udało się dogonić syna, który według niego z całą pewnością zabrał ze sobą kościaną tabliczkę. Wydarzenia kilku ostatnich dni skłaniają go do decyzji o wyjeździe stąd. Teraz, kiedy śnieg się topi, może nadeszła pora, żeby wziąć nogi za pas. Ale dokądkolwiek się uda, znajdzie się dalej od przedmiotu swego pożądanego, a z pewnością wróci tutaj z chłopakiem, jak tylko go odnajdą. Wzdycha; butelka whisky, która przez kilka ostatnich dni dotrzymywała mu towarzystwa, jest prawie pusta. Taki już jego los, być tak blisko, a zarazem tak daleko od osiągnięcia czegokolwiek, co miałyby nieprzemijającą wartość, a do tego zostać bez żadnego mocniejszego trunku.

W tym miejscu swoich rozważań postanawia wstać i sprawdzić, co jest źródłem tych hałasów: może będzie miał sąsiada. Otwiera drzwi i widzi pana Mackinleya z Kompanii, Johna Scotta i jeszcze jednego mężczyznę, którego nie zna. Scott podchodzi do niego, zamknąwszy drzwi do pokoju naprzeciwko.

- Ach, panie Sturrock. Właśnie zamierzałem panu powiedzieć...

- Że będę miał sąsiada? - pyta Sturrock z uśmiechem, perspektywa ciekawej rozmowy to powód do zadowolenia.

- Niezupełnie. - Sturrock widzi pogardliwe spojrzenie, które rzuca Mackinley stojącemu przed nim Scottowi. - Nie, znaleźliśmy się w niezwykle niezręcznej sytuacji, zmuszeni do aresztowania się-

dziego pokoju, pana Knoxa... A ponieważ nie możemy go zamknąć w magazynie, uznaliśmy, że na razie umieścimy go tutaj.

Scott milknie, jego czoło rosą małe kropelki potu. Jest wyraźnie zdenerwowany, twarz ma bardziej różową, niż zwykle.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, panie Sturrock - odzywa się Mackinley.

- Czy to znaczy, że zamknęliście Knoxa w tamtym pokoju? - pyta Sturrock, niemal wesoło. - A cóż takiego zrobił?

Mężczyźni patrzą na siebie, jakby się zastanawiali, czy Sturrock ma prawo się tego dowiedzieć.

- Okazuje się, że ucieczka więźnia to nie był przypadek. Knox wypuścił go, w ten sposób unieruchamiając tryby wymiaru sprawiedliwości.

Sturrock uświadamia sobie, że jego brwi za chwilę połączą się z linią jego włosów.

- Wielki Boże, czyżby oszalał?

Nagle dociera do niego, że Knox chcąc nie chcąc słyszy każde słowo.

- Chciałem powiedzieć, że to niestychane.

- Rzeczywiście, niestychane.

Mackinley się odwraca i Sturrock czuje falę niechęci.

- No, no...

- Właśnie.

- Kolacja będzie gotowa niebawem - mówi Scott swobodnym tonem.

- Ach, dziękuję. Dziękuję.

Na znak Mackinleya mężczyźni schodzą po schodach, zostawiając Sturrocka, wpatrującego się w zamknięte drzwi. Kiedy ucichły odgłosy kroków, woła przyciszonym głosem:

- Panie Knox? Panie Knox?

- Słyszę pana, panie Sturrock.

- Czy to prawda?

- Owszem.

- Hm... Czy wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję. Chyba teraz udam się na spoczynek.  
- Cóż, dobranoc. Proszę zawołać, gdyby... gdyby miał pan ochotę na rozmowę.

Nie usłyszał odpowiedzi. Sturrock się zastanawia, czy to oznacza, że jego źródło dochodów wyszło.

Kiedy wchodzi Maria Knox, Sturrock jest na dole, obok pieca w sklepie Scotta, który po zmierzchu staje się barem. Deszcz padał nieprzerwanie przez kilka godzin; śnieg zniknął, mieszkańcy Caulfield grzęzną w błocie po kostki. Jest późno - nie wie dokładnie, która godzina, ale przypuszczalnie Maria przysła porozmawiać ze swoim ojcem. Tymczasem kieruje się prosto w jego stronę. Sturrock wie, że to Maria Knox, chociaż nigdy ich sobie nie przedstawiono.

- Pan Sturrock? Jestem Maria Knox.

Przez wzgląd na jej położenie z poważną miną kłania jej się. Powagę wzmocniło pięć lub coś koło tego szklaneczek whisky, które wychylił, i wspomnienia, którym się oddawał przez ostatnią godzinę.

- Wiem, że jest późno, ale miałam nadzieję, że uda mi się z panem porozmawiać.

- Porozmawiać ze mną? - Z galanterią przechyla głowę; naprawdę musi być kompletnie pijany. - To dla mnie niezastężony zaszczyt.

- Proszę oszczędzić sobie tych pochlebstw. Chciałam porozmawiać z kimś... No cóż, nie jest pan jednym z nas, a całe miasteczko chyba oszalało.

Mówi cicho, chociaż nie ma nikogo w zasięgu głosu.

- Ma pani na myśli... kłopotliwe położenie swego ojca.

Patrzy na niego jednocześnie zirytowana i z wyrachowaniem.

- Właściwie nie wiem, co tutaj robię. Chyba przysłałam tu, ponieważ pan Moody, pracownik Kompanii, powiedział, że wywarł pan na nim korzystne wrażenie pomimo... wszystko. Bóg raczy wiedzieć, czego się spodziewałam...

Sturrock sobie uświadamia - alkohol sprawił, że wolno koiarzy - że kobieta jest bliska łez i zła na siebie.

- Nie wiem, z kim jeszcze mogłabym porozmawiać. Bardzo się niepokoję, naprawdę. Panie Sturrock, jest pan człowiekiem doświadczonym, co by pan zrobił na moim miejscu?

- W sprawie ojca? Czy może pani zrobić cokolwiek poza czekaniem? O ile wiem, rano albo jak tylko drogi staną się przejezdne, poślą po sędziego pokoju z St Pierre.

- Sądzi pan, że są nieprzejezdne?

- W taką pogodę? Raczej wątpię, by dało się z nich korzystać.

- Zamierzałam udać się do St Pierre dziś wieczorem, by dotrzeć tam przed wszystkimi. Nie wiadomo, jakie niestworzone rzeczy napowiadają o nim.

- Moja droga... chyba nie mówi pani poważnie. Wybrać się w taką podróż dziś wieczorem, w tym deszczu... to byłoby szaleństwo. Pani ojciec by się przeraził. To najgorsze, co mogłaby pani dla niego zrobić.

- Tak pan myśli? Może ma pan rację. W każdym razie jestem zbyt wielkim tchórzem, by samej wybrać się w taką drogę. O, Boże!

- Ukrywa twarz w rękach, ale tylko na sekundę. Nie rozpląkała się. Sturrock czuje do niej podziw, zamawia kolejną whisky dla siebie i jedną dla niej.

- Znał pan monsieur Jammeta, prawda? Jak pan myśli, dlaczego go to spotkało?

- Wcale nie znałem go tak dobrze. Ale był człowiekiem, który miał wiele tajemnic, a tacy ludzie mają prawdopodobnie więcej wrogów od innych.

- Co właściwie chce pan powiedzieć?

- Hm, tylko to, że... Cóż, przyjechałem do Caulfield i nadal tu jestem, ponieważ chciałem kupić coś, co należało do Jammeta. Wiedział o tym. Ale ten przedmiot zniknął.

- Ktoś go ukradł?

- Wszystko na to wskazuje. Może Francis Ross. Więc czekam, aż wróci.

- Czy uważa pan, że Francis go zabił?

- Nie znam go, więc nie mogę powiedzieć.



- Ja go znałam... To jest znam.

- I co pani sądzi?

Maria milczy, wpatrując się w swoją szklaneczkę - ku jej zdumieniu prawie pustą.

- Skąd można widzieć, do czego zdolni są ludzie? Wydawało mi się, że dobrze się znam na ludziach, a okazało się, że bardzo się myliłam.

**T**ego ranka, kiedy mają wyruszyć w drogę bez niego, Jacob wchodzi do izby Francisa i staje koło łóżka. Zwraca się chłopaka, ale patrzy na ścianę.

- Nie przypuszczam, żebyś dokądkolwiek się wybierał, ale jeśli to zrobisz, dopadnę cię i złamię ci drugą nogę. Zrozumiałeś?

Francis kiwa głową, myśląc o szramie od cięcia nożem, którą pokazał mu Donald.

- Czyli nie muszę tu siedzieć cały dzień?

Francis kręci głową.

Dłatego jest zdziwiony, kiedy Jacob wraca. Indianin znalazł w szopie prosty i mocny pieńek młodej brzozy. Ściąga z niego korę, zestruguje wszelkie nierówności, a rozwidlony koniec obrabia w taki sposób, by tworzył zgrabną literę „Y”. Francis nie odrywa wzroku od jego rąk; to zdumiewające, jak szybko kawałek drewna przemienia się w coś, co przypomina laskę. Jacob owija kij pociętym na pasy starym kocem niczym bandażem.

- Powinienem to zrobić ze skóry, bo inaczej zamoknie.

- Znaczy się podczas mojej ucieczki?

Początkowo, kiedy Francis mówił coś bez zastanowienia, nie przejmując się, co Jacob sobie o nim pomyśli, Indianin nie był pewien, czy chłopak sobie stroi żarty czy też nie; spoglądał na niego z wahaniem, z obojętną miną. Ale tym razem się uśmiecha. Francis myśli: jest niewiele starszy ode mnie.

To będzie ulga - przypuszcza, że obopólna - uwolnić się od wiecznie spiętego i niespokojnego Moody'ego. I - chociaż wstyd mu

się do tego przyznać - cieszy się, że uwolni się od obecności matki. Zawsze, kiedy jest w izbie, ciężar niewypowiedzianych słów jest tak przygniatający, że ledwo może oddychać. Będzie trzeba lat, by je wszystkie powiedzieć, by je z siebie wyrzucić.

Tuż przed wyruszeniem w drogę matka wchodzi do jego izby i patrzy na Jacoba, który wstaje i bez słowa opuszcza pomieszczenie. Matka siada koło łóżka i składa ręce.

- Ruszamy w drogę. Podążymy śladem, którym ty podążałeś. Pan Parker wie, dokąd prowadzi. Szkoda, że nie możesz iść z nami, na wypadek gdybyśmy spotkali tego człowieka, ale... Przynajmniej my go sobie obejrzymy.

Francis kiwa głową. Twarz matki jest poważna i zacięta, ale wygląda na zmęczoną, zmarszczki wokół oczu są wyraźniejsze, niż zwykle. Czuje nagły przypływ wdzięczności za to, że chociaż tak się boi pustkowi, zrobi to, co on chciał zrobić.

- Dziękuję. Jesteś bardzo dzielna.

Wzrusza ramionami, jakby ze złością. Ale w rzeczywistości bardzo jej miło. Dotyka dłonią jego policzka, przesuwając palcami wzdłuż jego brody. Był jeszcze ktoś, kto czasami robił coś podobnego. Francis stara się o tym nie myśleć.

- Nie mów głupstw. Będę z Moodym i Parkerem, więc nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Uśmiechają się do siebie nieśmiało. Francis pokonuje niemal nieprzewycięzoną chęć wyznania jej prawdy. Jaka to byłaby ulga powiedzieć to komuś, pozbyć się tego. brzemienia. Ale nawet w tej sekundzie, kiedy pozwala sobie wyobrazić taki luksus, wie, że nic nie powie.

I wtedy matka mówi, ku jego zdumieniu:

- Wiesz, że cię kocham, prawda?

Francis jest zakłopotany. Kiwa głową, ale sam nie wie, czemu nie patrzy jej w oczy.

- Ojciec też cię kocha.

Nieprawda, myśli sobie Francis. Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie nienawidzi. Ale nic nie mówi.

- Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

Francis wzdycha. Jest tyle spraw, o których matka nie wie.

- Pan Moody uważa, że ta kościana tabliczka może mieć duże znaczenie. Jeśli jest cenna, mogłaby być... motywem. Pozwolisz mi ją wziąć?

Francis nie chce się z nią rozstawać, ale nie przychodzi mu do głowy żaden powód, by ją zatrzymać, więc daje matce skórzany woreczek z kościaną tabliczką. Wyjmuje ją i się jej przygląda. Chociaż dużo czyta i dużo wie, wpatruje się w malutkie, kanciaste symbole nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Obchodź się z nią delikatnie - bąka Francis.

Patrzy na niego zdumiona; przecież zawsze ze wszystkim obchodzi się delikatnie.

Ostatniego lata, przed zakończeniem roku szkolnego, którego data wyznaczana jest na tyle wcześnie, by chłopcy mogli pomóc swoim ojcom, narzekającym na brak rąk do pracy, przydarzyło mu się coś niesłychanego. Chociaż nigdy specjalnie o tym nie myślał, Francis, jak każdy chłopak w promieniu piętnastu kilometrów, zakochał się w Susannah Knox.

Chodziła do klasy wyżej i niewątpliwie wyróżniała się urodą: szczupła, tu i tam zaokrąglona, wesoła, o słodkiej, ślicznej buzi. Nocami śnił o Susannah, a w dzień wyobrażał sobie ich razem w różnych romantycznych sytuacjach, na przykład jak wiosłują łódką po zatoce, albo jak jej pokazuje tajemne kryjówki w lesie. Kiedy ją widział, jak przechodzi przez klasę, albo śmieje się z koleżankami na dziedzińcu szkolnym, całym jego ciałem wstrząsał rozkoszny dreszcz; ciarki przebiegały mu po skórze, zapierało mu dech, krew mu pulsowała w skroniach. Odwracał głowę, udając brak zainteresowania, a ponieważ nie miał bliskich przyjaciół, nikt nie wiedział o jego tajemnicy. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie on jeden darzy ją uczuciem, że Susannah może wybierać wśród starszych wielbicieli, bardziej lubianych, ale nie wyróżniała żadnego z nich. Prawdopodobnie nie miałyby znaczenia, gdyby było inaczej; właściwie nie spo-

dziewał się, że do czegokolwiek między nimi dojdzie. Wystarczyło, że mógł o niej marzyć.

Podczas corocznego letniego pikniku, organizowanego pod koniec zajęć szkolnych, cała szkoła udawała się na wąską, piaszczystą plażę nad zatoką. Pod okiem dwójki znudzonych nauczycieli jedli kanapki, pili piwo imbirowe i pływali, piszcząc i chlapiąc się, do zapadnięcia zmroku. Francis, który na ogół nienawidził takich imprez i atmosfery narzuconej wesołości, rozważał, czy zrezygnować z udziału w niej, ale ostatecznie poszedł z uwagi na Susannah. Ponieważ kończyła naukę w szkole, nie wiedział, jak będzie mógł nadal ukradkiem na nią spoglądać, podsycając w ten sposób swoje uczucia do niej.

Znalazł miejsce niedaleko Susannah siedzącej z kilkoma starszymi dziewczętami, ale mniej więcej po minucie dołączyła do niego Ida Pretty. Dwa lata młodsza od Francisca, była jego sąsiadką. Tylko ją jedną lubił z całej jej licznej rodziny; miała cięty język i była zabawna, ale czasami potrafiła dokuczyć. Lubiła Francisca i wiecznie go prześladowała; przyglądała mu się równie wytrwale (ale nie tak skrycie), jak on Susannah.

Teraz usiadła i postawiła swój koszyk, po czym spojrzała na wodę, osłoniwszy oczy.

- Chyba spadnie deszcz. Spójrz na tamtą chmurę. Mogli wybrać lepszy dzień na piknik, nie uważasz?

Powiedziała to tonem pełnym nadziei. Malkontentka i samotniczka tak jak on, podzielała jego strach przed imprezami, które w założeniu miały być doskonałą zabawą dla wszystkich.

- Nie wiem. Chyba tak.

Francis miał nadzieję, że jeśli powstrzyma się od rozmowy z nią, Ida zrozumie aluzję i go zostawi w spokoju. Zastanawiał się, czy lepiej wygląda, gdy siedzi sam z markotną miną, czy z irytującą młodszą uczennicą szkoły; sądząc jednak po prowadzonej szeptem ożywionej rozmowie Susannah z koleżankami, mało prawdopodobne, by w ogóle zwróciła na niego uwagę bez względu na to, co by robił. A wokół krążyło wielu starszych uczniów, rzekomo zajętych własnymi

sprawami, ale w zasięgu wzroku uczennic ostatniej klasy; wyglądali się, krzyczeli i zakładali, który z nich rzuci kamieniem najdalej w wodę.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, młodzież stała się mniej aktywna: kanapki zjedzono, muchy pozabijano, zrzucano wierzchnie okrycia. Koleżanki Susannah podzieliły się na dwójki lub trójki, ona sama udała się na spacer z Marion Mackay. Francis leżał na wznak, z głową na płaskim kamieniu, czapkę nasunawszy na oczy. Słońce przebijało się przez luźno tkany materiał, przyjemnie go oślepiając. Ida milczała, naburmuszona, udając, że czyta „Puddenhead Wilsona”.

Nieznacznie przekręcał głowę na boki, dzięki czemu słońce to raziło go w oczy, to znikało, kiedy Ida powiedziała:

- Co sądzisz o Susannah Knox?
- O kim?

Naturalnie akurat o niej myślał. Speszony, starał się o niej zapomnieć.

- O Susannah Knox. Co o niej sądzisz?
- Chyba jest w porządku.
- Wszyscy w szkole uważają, że to najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widzieli na oczy.

- Naprawdę?
- Tak.

Nie wiedział, czy Ida patrzy na niego, czy nie. Serce mu waliło, ale powiedział obojętnie:

- Jest dość ładna.
- Tak myślisz?
- Chyba.

To się stawało irytujące. Ściągnął czapkę z twarzy i spojrzał na nią spod przymrużonych powiek. Siedziała z podkulonymi nogami, z głową w ramionach. Zmarszczyła twarz, boją raziło słońce, sprawiała wrażenie nieszczęśliwej i rozgniewanej.

- Bo co?
- Czy to ważne?
- Czy co jest ważne? Że jest ładna?

- Tak.
- Nie wiem. To zależy.
- Od czego?
- Od tego, z kim się rozmawia. Przypuszczam, że ma to znaczenie dla niej. Jezu, Ida.

Znów nasunął czapkę na oczy i chwilę później usłyszał, jak Ida wstaje i obrażona odchodzi. Widocznie usnął, bo obudził się, kiedy ponownie siadała, lekko zaniepokojona i zastanawiając się, co robił i dlaczego jest taki rozpalony. Czapka zsunęła mu się z twarzy i nic nie widział, czerwone race strzelały mu tuż przed oczami. Skórę na twarzy miał napiętą i bolącą. Doznał oparzenia słonecznego.

- Czy mogę usiąść tu na chwilę?

To nie był głos Idy. Francis usiadł i ujrzał, jak Susannah Knox uśmiecha się do niego. Przeszedł go dreszcz, jakby ktoś wylał na niego kubel lodowatej wody.

- Tak. Naturalnie.

Rozejrzał się. Plaża wydawała się znacznie bardziej pusta, niż wcześniej, nigdzie nie było widać dziewcząt, z którymi poprzednio siedziała.

- Chyba się zdrzemnąłem.
- Przepraszam, że cię obudziłam.
- Nic nie szkodzi. Dobrze się stało. Chyba za bardzo się spaliłem na słońcu.

Delikatnie dotknął skóry na czole. Susannah nachyliła się i spoglądała na niego z bardzo bliska. Wyraźnie widział każdą podkreconą rzęsę, malutkie, jasne włoski na jej policzku.

- Tak, jest lekko zaczerwieniona. Ale nie wygląda najgorzej. Masz szczęście, natura obdarzyła cię dość śniadą cerą. Ja zaraz do staję piegów i wyglądam jak burak.

Rozciągnęła usta w swoim czarującym uśmiechu. Słońce znajdowało się częściowo za nią i tworzyło aureolę wokół jej głowy, jasnobrązowe włosy przybrały barwę złota i platyny. Francisowi trudno było oddychać. Przynajmniej gdyby się teraz zaczerwienił, nie zauważyłaby tego.

- Dobrze się bawisz? - spytał w końcu, bo nie udało mu się wymyślić nic mądrzejszego.

- Tutaj? Chyba tak. Chociaż niektórzy chłopcy są nie do wytrzymania. Emlyn Pretty wepchnął Matthew w ubraniu do wody i śmiał się z tego przez godzinę. To było podłe z jego strony.

- Naprawdę?

Francis w głębi ducha był zachwycony. Miał na pieńku z Emlynem. Dobrze, że to nie jego wepchnięto do wody.

Chociaż bardzo się starał, zupełnie nie miał pojęcia, co jeszcze powiedzieć. Przez długi czas wpatrywał się w wodę, modląc się o natchnienie. Susannah jakby wcale to nie przeszkadzało; bawiła się swoimi włosami, sprawiając wrażenie głęboko zamyślanej.

- Czy Ida jest twoją dziewczyną?

Było to coś tak niespodziewanego, że Francis aż zatkało. Potem się roześmiał. Cóż za niestłuchany pomysł. Cóż za niestłuchane pytanie.

- Nie! To tylko moja koleżanka. Mieszkamy po sąsiedzku. W górze rzeki. Jest ode mnie o dwa lata młodsza - dodał.

- Och... A więc mieszkasz po sąsiedzku z rodziną Pretty?

Musiała to wiedzieć, bo wszyscy wiedzieli, gdzie kto mieszka. Z jeszcze większą uwagą zajęła się swoimi włosami. Nie potrafił powiedzieć, co takiego z nimi robiła; najwidoczniej coś skomplikowanego, co wymagało niezwykłego skupienia.

- Słuchaj... - W końcu zdecydowanym ruchem odrzuciła kosmyk włosów i odgarnęła włosy z twarzy. - W przyszłą sobotę organizujemy piknik nad zakolem rzeki. Możesz przyjść, jeśli chcesz. Będzie tylko Maria, no wiesz, moja siostra, i Marion, i Emma, może Joe...

W końcu patrzyła na niego, ale z jej oczu nie można było nic wyczytać. Francis widział ją jak czarną sylwetkę, zasłaniającą słońce, jej rysy były zamazane, jak anioła ze szkółki niedzielnej.

- W sobotę? Hm... - Nie mógł uwierzyć, że to się dzieje na prawdę. Ale oto okazało się, że Susannah - jedyna i niepowtarzalna Susannah Knox - zaprasza go na piknik, wyjątkowy piknik, na którym będą tylko jej najbliższe przyjaciółki (i Joe Bell, ale wszyscy



wiedzieli, że chodzi z Emmą Spence). Nagle przyszła mu do głowy myśl, że może to jakiś żart. Może zaprasza go na piknik, którego wcale nie będzie? Kiedy pojawi się tam w najbliższą sobotę, nie zobaczy nikogo, albo - co gorsze - hordę uczniów z ostatniej klasy, zrywających boki ze śmiechu, że ma taki tupet. Ale wcale nie wyglądała, jakby sobie z niego żartowała. Nadal mu się przyglądała, a potem zaśmiała się krótko, nerwowo.

- Jezu! Długo każesz dziewczynie czekać na odpowiedź!

- Przepraszam. Ale... Muszę spytać tatę, może będzie chciał, żebym mu pomógł. Niemniej jednak dziękuję za zaproszenie. To miło z twojej strony.

Serce mu waliło jak oszałałe. Czy naprawdę to powiedział?

- Świetnie. Daj znać, czy będziesz mógł przyjść, dobrze? - Wstała z ociąganiem.

- Jasne. Dzięki.

W tamtej chwili wyglądała jeszcze ładniej niż zwykle, kiedy z poważną miną przyglądała włosy. Posłała mu lekki uśmiech i się odwróciła. Odniosł wrażenie, że była smutna. Znów się położył i nasunął czapkę na oczy, żeby móc ukradkiem obserwować, jak wraca na drugi koniec plaży, by dołączyć do innych uczniów ostatniej klasy. Wprost nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Zaprosiła go na piknik. Ta, która do tej pory nie powiedziała do niego więcej niż dziesięć słów, zaprosiła go na piknik!

Francis patrzył, jak kilku młodszych chłopców bawi się kawałkiem drewna na płyciźnie, rzucając nim niebezpiecznie blisko nóg, uciekając przed bryzgami wody. Ich salwy śmiechu wydawały się dziwnie dalekie. Pomyślał o następnej sobocie. Ojciec już dawno temu przestał go prosić o pomoc w weekendy; z całą pewnością teraz też go nie poprosi. Pomyślał o pikniku nad zakolem rzeki, gdzie promienie słońca przeświecały przez korony dębów i wierzb, tworząc cętki na wodzie barwy herbaty; a dziewczyny w cienkich, letnich sukienkach będą siedziały w kręgach jasnej bawełny.

I wiedział, że nie odważy się pójść.

# TOWARZYSZE ZIMOWEJ WĘDRÓWKI

**D**oktor Watson był rzutkim kierownikiem zakładu dla nerwowo chorych. Chciał zdobyć sławę, pisać monografie, wygłaszać gościnne wykłady, na których otaczałby go wianuszek pełnych podziwu, młodych kobiet. Na razie jednak wszystkie kobiety w jego pobliżu były w mniejszym bądź większym stopniu obłąkane, a spośród nich wybrał mnie. Miałam mu umilać czas, nim stanie się na tyle znany, by stąd wyjechać.

Zanim nastał, przebywałam w państwowym zakładzie dla nerwowo chorych już kilka miesięcy, przez cały ten czas wrzało od plotek o nowym dyrektorze. Pobyt w szpitalu dla wariatów jest właściwie bardzo nudny, każda zmiana to temat zawziętych dyskusji, czy dotyczy ona innych płatków w porannej owsiance, czy przesunięcia godziny robótek z trzeciej na czwartą po południu. Nowy dyrektor to zatem doniosłe wydarzenie, okazja, by przez wiele tygodni powtarzać plotki i snuć domysły. A kiedy już się pojawił, nikogo nie rozczarował. Młody i przystojny, miał pogodną, sympatyczną twarz, mówił przyjemnym barytonem. Wszystkie pensjonariuszki z miejsca się w nim zakochały. Nie mogę powiedzieć, bym pozostała całkowicie obojętna, ale zabawnie było obserwować, jak niektóre kobiety ozdabiały się wstążkami i kwiatami, by zwrócić na siebie jego uwagę. Watson zawsze był czarujący i pełen galanterii, ujmował ich dłonie i prawił

komplementy, aż chichotały i się czerwieńczyły. Tamtego lata nocami z sypialni żeńskiej często dobiegały westchnienia.

Ponieważ nie dołączyłam do grona wielbicielek nowego dyrektora, zdziwiłam się, kiedy zostałam wezwana do gabinetu Watsona. Zastanawiałam się, co takiego przeszkrobałam. Krążył wokół sporych rozmiarów urządzenia stojącego pośrodku pokoju. Natychmiast się domyśliłam, że to coś w rodzaju prysznic, który ma dostarczać chorym takich czy innych nieprzyjemnych doznań, ale nie wiedziałam dokładnie, co to takiego, więc nie kryłam swego zdenerwowania.

- Ach, dzień dobry, panno Hay. - Watson spojrzał na mnie i się uśmiechnął. Sprawiał wrażenie niezwykle z siebie zadowolonego. Mnie natomiast bardzo zaszokowała zmiana, jaka zaszła w gabinecie. Za poprzedniego dyrektora był mroczny i przygnębiający, a poza tym zawsze panował w nim zaduch. Tymczasem było to śliczne pomieszczenie (cały zakład robił wrażenie swoim stylem neoklasycyzm), wysokie, z szerokim oknem wykuszowym, wychodzącym na teren szpitala. Watson kazał zdjąć ciężkie zasłony i teraz pokój pełen był światła. Ściany pomalowano na jasnożółto, na stole stały kwiaty, pod jedną ścianą umieszczono bardzo malowniczą kompozycję z kamieni i paproci.

- Dzień dobry - odpowiedziałam z uśmiechem.

- Podoba się pani mój gabinet?

- Bardzo.

- To dobrze. Ma pani podobny gust do mojego. Uważam, że wokół nas powinno być ładnie. Jeśli wokoło widzimy brzydotę, jak możemy być szczęśliwi?

Uznałam, że nie mówi poważnie, i coś bąknęłam pod nosem. Pomyślałam sobie, że nie każdy ma takie szczęście, by móc zmienić swoje otoczenie zgodnie ze swoimi upodobaniami.

- Oczywiście - ciągnął - ten pokój stał się jeszcze ładniejszy, odkąd pani tu weszła.

Chociaż znałam jego sposób bycia, poczułam, że się rumienię, i próbowałam to ukryć, wyglądając przez okno na pensjonariuszy, spacerujących lub prowadzonych po ogrodzie.

Przez jakiś czas rozmawialiśmy o niczym, przypuszczałam, że doktor Watson próbował się zorientować, na jakie zaburzenia umysłowe cierpię i czy mam skłonności do gwałtownych spazmów. To, co powiedziałam, ucieszyło go, bo zaczął mi tłumaczyć, cóż za machina stoi w gabinecie. Właściwie było to urządzenie do robienia zdjęć, bo chciał - wyjaśnił - robić portrety pensjonariuszy. Uważał, że w ten sposób łatwiej będzie zrozumieć istotę szaleństwa i je leczyć, chociaż nigdy do końca nie zrozumiałam, jak zamierzał to osiągnąć. Zdaje się, że szczególnie chciał robić zdjęcia mnie.

- Ma pani idealną twarz do uwieczniania na fotografii, bardzo wyrazistą, a właśnie dokładnie o to mi chodzi.

Poczułam się mile połączona, że mnie zauważył i - co więcej - szczególnie się mną zainteresował, bo obiecywało to tak pożądane urozmaicenie codziennych zajęć. Jak już wspomniałam, pobyt w zakładzie dla nerwowo chorych, pomijając zdarzające się czasem ataki konwulsji lub próby samobójcze, jest w najwyższym stopniu nużący.

- Rozwahałam - wyjaśnił, utkwivszy wzrok w blacie biurka - wykonanie serii pani zdjęć... w pozach typowych dla niektórych stanów psychicznych. Na przykład... istnieje coś takiego, jak kompleks Ofelii, od imienia nieszczęsnej bohaterki głośnej tragedii...

- Spojrzał na mnie, żeby się przekonać, czy o niej słyszałam.

- Znam tę sztukę - powiedziałam.

- Och, wspaniale. A więc... Wyobrażam sobie coś takiego... kobieta usychająca z miłości, w wianku z kwiatów i tak dalej. Rozumie pani, o co mi chodzi?

- Chyba tak.

- Byłoby to niezwykle pomocne przy monografii, którą właśnie piszę. Zdjęcia ilustrowałyby moją teorię i byłyby szczególnie przydatne dla tych, którzy nigdy nie byli w zakładzie dla nerwowo chorych, więc trudno im sobie wyobrazić, jak tam jest.

Grzecznie skinęłam głową, a kiedy milczał, zapytałam:

- A jak brzmi ta pańska teoria?

Zrobił trochę spłoszoną minę.

- Och. A więc według mojej teorii... każda choroba umysłowa uzewnętrznia się w określony sposób. Pewne stany psychiczne i zachowania są wspólne dla różnych pacjentów i świadczą o ich stanie umysłu. Chociaż więc każdy pacjent stanowi odrębny przypadek, można ich pogrupować na podstawie owych wspólnych cech i reakcji. Co więcej... - urwał, wyraźnie pogrążony w myślach. - Przez wielokrotne, uważne badanie tych reakcji możemy pogłębić naszą wiedzę o tym, jak leczyć tych nieszczęśników.

- Ach - powiedziała radośnie, zastanawiając się, jakie pozy ja, jedna z tych nieszczęśniczek, mam skłonności przybierać. I wyobraziłam sobie kilka wielce nieprzystojnych.

- Poza tym - ciągnął - może zechciałaby pani razem ze mną jeść obiad w te dni, kiedy będzie pani uprzejma poświęcać mi swój czas.

Na tę myśl aż mi ślinka napłynęła do ust. Jedzenie w zakładzie było zdrowe, ale mdłe, zapychające i mało urozmaicone. Zdaje się, że istniała teoria (może nawet udowodniona naukowo), że niektóre potrawy mogą być zbyt pobudzające, na przykład nadmiar mięsa lub dań zbyt wysokokalorycznych bądź pikantnych może zachwiać i tak delikatną równowagę, a nawet doprowadzić do buntu. Bardzo mi się spodobał pomysł zostania modelką, ale również kusiła mnie perspektywa smacznych posiłków.

- Cóż... - Uśmiechnął się i zorientowałam się, że jest bardzo zdenerwowany. - Czy odpowiada pani moja... propozycja?

Intrygował mnie powód jego zdenerwowania - ja? bał się mojej odmowy? - i skinęłam głową. Za nic nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak oglądanie zdjęć kobiet obsypanych kwiatami może doprowadzić do znalezienia lekarstwa na szaleństwo, ale przecież się na tym nie znałam.

Poza tym był przystojnym, sympatycznym, całkiem jeszcze młodym mężczyzną, a ja byłam sierotą w zakładzie dla umysłowo chorych, pozbawioną opieki i szans na opuszczenie tego miejsca. Nawet najbardziej niezwykle rzeczy, które mogły mnie spotkać, raczej nie odmieniłyby mego życia na gorsze.

I tak to się zaczęło. Początkowo chodziłam do jego gabinetu raz, może dwa razy na miesiąc. Watson przygotowywał pewną ilość kostiumów i rekwizytów, niezbędnych do zainscenizowania obrazków rodzajowych. Pierwszy był zatytułowany „Melancholia”, i do pozowania w nim czułam się jak najbardziej uprawniona. Postawił krzesło przy oknie, na którym miałam usiąść w poważnej sukni, trzymać książkę i tęsknie wyglądać, jakbym - jak to ujął - rozmyślała o swojej utraconej miłości. Mogłam mu powiedzieć, że są gorsze zmartwienia w życiu niż wiarołomny zalotnik, ale się powstrzymałam i spoglądałam przez okno, wyobrażając sobie duszoną sarninę w sosie z portwajnu, curry z kurczaka i biszkopt z owocami, bitą śmietaną oraz gałką muszkatową.

Kiedy przyniesiono obiad, okazało się, że w niczym nie ustępuje on temu, o jakim marzyłam. Obawiam się, że jadłam bardzo łapczywie, a Watson przyglądał mi się z uśmiechem, kiedy brałam drugą i trzecią dokładkę tarty gruszkowej z cynamonem. Opychałam się nie dlatego, że morzono mnie głodem, lecz dlatego, że tęskniłam za smakami zarówno pikantnymi, jak i delikatnymi. Rozkoszowałam się przyprawami korzennymi, serem pleśniowym i winem po raz pierwszy od czterech czy pięciu lat (nie licząc świąt Bożego Narodzenia). Zdaje się, że mu to powiedziałam, a on się roześmiał i sprawiał wrażenie niezwykle uszczęśliwionego. Kiedy mnie odprowadził do drzwi swego gabinetu, ujął moją dłoń w obie swoje i podziękował mi, patrząc głęboko w oczy.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, coraz częściej wzywano mnie do jego gabinetu, a w miarę jak się przyzwyczajaliśmy do swojej obecności, pozy stały się bardziej swobodne. Chcę przez to powiedzieć, że miałam coraz bardziej skąpe stroje, aż skończyło się tym, że układałam się na tle paprociami jedynie omotana w przeźroczysty muślin. Przypuszczam, że dość wcześnie Watson zrezygnował z zachowywania pozorów, że sesje te przyczyniają się do rozwoju nauk medycznych. Watson, czy też Paul, jak zaczęłam się do niego zwracać, robił takie eksperymenty, na jakie miał ochotę, czasami z miną winowajcy, mrugając powiekami i unikając mojego wzroku, jakby kępował się prosić mnie o udział w czymś takim.

Był grzeczny i uważający, ciekaw mojego zdania, w przeciwieństwie do wielu mężczyzn, których poznałam wcześniej poza zakładem dla nerwowo chorych. Lubiłam go i ucieszyłam się, kiedy pewnego razu pod koniec posiłku położył na mojej dłoni swoją drżącą rękę. Był słodki, zdesperowany, przerażony tym, że źle postępuje, za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, przeproszał, że mnie wykorzystuje, tłumacząc to swoją nikczemną naturą. Mnie to nie przeszkadzało. Dawał mi fascynującą tajemnicę, chwilę słodkiego zapomnienia, chociaż zawsze był zdenerwowany, kiedy pośpiesznie konsumowaliśmy nasz związek po kolejnym wystawnym obiedzie, za drzwiami zamkniętymi na klucz.

Pachniał cieplarnią, liśćmi pomidorów i wilgotną ziemią, ostro i przyjemnie. Do tej pory, kiedy wspominam ten zapach, od razu przychodzi mi na myśl placki z owocami i bitą śmietaną albo steki w brandy. Nawet tamtej nocy, tyle lat później, w lodowato zimnym szałasie w środku lasu, kiedy poczułam ten zapach od Parkera, napłynęła mi ślinka do ust i przypomniałam sobie tarte z gorzką czekoladą.

Chyba nigdy się nie dowiem, dlaczego Watson popadł w nielaskę. O ile się orientuję, nie przeze mnie, a już z całą pewnością nikt nigdy nie wspomniał o tym ani słówkiem. Pewnego ranka główny pielęgniarz po prostu obwieścił, że doktor Watson musiał nagle wyjechać i za kilka dni nowy dyrektor przybędzie na jego miejsce. Jednego dnia tu był, a następnego - zniknął. Musiał zabrać aparat i zdjęcia, które mi zrobił. Niektóre z nich były śliczne: ciemne, srebrzyste cienie na szkle, które połyskiwały, kiedy nachyliło się płytki w stronę światła. Ciekawa jestem, czy zachowały się do tej pory. Kiedy ogarnia mnie melancholia, co ostatnio zdarza mi się dosyć często, przypominam sobie, jak drżał, kiedy mnie dotykał; przypominam sobie, że kiedyś byłam czyjąś muzą.

Od trzech dni idziemy przez równinę i widok pozostaje taki sam. Deszcz, który przyniósł odwilż, padał przez dwa dni i bardzo utrudnił posuwanie się naprzód. Brodziliśmy po kostki w błocie, co z pozoru może nie brzmi szczególnie uciążliwie, ale upieram się, że ta-

kie jest. Każdą nogę oblepiał kilogram lepkiego szlamu, a spódnica zrobiła się ciężka od wody. Parkerowi i Moody'emu było znacznie łatwiej iść, biegli truchtem obok sań.

Pod koniec drugiego dnia deszcz ustał i właśnie dziękowałam tym bogom, którzy o mnie nie zapomnieli, kiedy zerwał się wiatr, dmący do tej pory. Osuszył ziemię i ułatwił marsz, ale wieje z północnego wschodu i jest tak zimny, że po raz pierwszy doświadczyłam tego, o czym do tej pory tylko słyszałam, a mianowicie - łyż zamarzają mi w kącikach oczu. Po godzinie oczy mam czerwone.

Parker czeka teraz z psami na nas. Stoi na niewielkim wzniesieniu i kiedy w końcu z trudem do niego docieramy, pojmuję, dlaczego się zatrzymał: kilkaset metrów dalej widać jakieś zabudowania - pierwsza rzecz stworzona ręką człowieka odkąd opuściliśmy Himmelvanger.

- Jesteśmy na dobrej drodze - mówi Parker. Ja nie nazwałabym tego drogą.

- Co to za miejsce? - Moody spogląda zza swoich okularów. Ma kłopoty z widzeniem, które jeszcze się pogłębiają przy przyćmionym, szarym świetle, ledwo przebijającym się przez chmury.

- Kiedyś była tu faktoria.

Z miejsca, gdzie jesteśmy, widzę, że coś z nią nie tak, przypomina dom z nocnego koszmaru.

- Powinniśmy tam zajrzeć. Może się w niej zatrzymał.

Kiedy znaleźliśmy się bliżej, rozumiem, co się tu stało. Faktoria spłonęła, został z niej tylko szkielet; krokwie odcinają się od nieba, połamane belki sterczą pod dziwnymi kątami. Zachowane resztki ścian są zwęglone i zapadnięte. Ale ponieważ te zgliszcza niedawno zasypał śnieg, który roztapiał się w dzień, a zamarzał w nocy, tworzyły się kolejne warstwy, więc teraz belki są spuchnięte i połyskujące od lodu. Widok jest niezwykły: czarne, błyszczące, pokryte lodem deski sterczą wokół budynków, jakby je połknęła jakaś bezkształtna istota. Zdaje mi się, że i mnie, i Moody'ego ogarnia groza.

Marzę jedynie o tym, żeby stąd uciec jak najdalej. Parker chodzi między ścianami, przyglądając się ziemi.



- Ktoś zostawił ubrania. - Wskazuje bezkształtne zawiniątko na ziemi w kącie. Nie pytam go, dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego. Mam przeczucie, że wolałabym tego nie wiedzieć.

- To Elbow Ridge. Słyszała pani o nim?

Kręcąc głową, dość pewna, że to kolejna rzecz, o której lepiej, żeby nie wiedziała.

- Zbudowała ją Kompania XY. Kompanii Zatoki Hudsona nie podobało się, że próbowali założyć tutaj faktorię, więc ją spalili.

- Skąd pan o tym wie?

Parker wzrusza ramionami.

- Wszyscy o tym wiedzą. Takie rzeczy się zdarzały. - Zaglądam przez otwór, w którym kiedyś były drzwi, i widzę trzydzieści metrów dalej Moody'ego, grzebiącego w stercie drewna, pozostawej po pianinie.

Patrząc na Parkera, by się przekonać, czy nie chce rzucić jakiejś złośliwej uwagi, ale jego twarz jest obojętna. Rozkłada sztywne ubranie - łód pęka z trzaskiem na znak protestu; okazuje się, że to koszula. Kiedyś prawdopodobnie była niebieska, ale teraz jest tak brudna, że właściwie trudno określić jej kolor. Jest mokra i poplamiona, zostawiono ją tu, żeby zgniła. Nagle, z pewnym opóźnieniem, uzmysławiam sobie, co to może znaczyć.

- Czy to krew?

- Nie wiem. Być może.

Znów zaczął myszkować i wydaje triumfalny okrzyk. Tym razem nawet ja rozumiem, dlaczego - pod ścianą widać ślady ogniska, czarne, okopcone deski.

- Dawno je rozpalono?

- Jakiś tydzień temu. A więc ten, za kim podążamy, przechodził tędy i zatrzymał się tu na noc. Możemy wziąć z niego przykład.

- I zatrzymać się tutaj? Przecież jeszcze wcześniej. Nie powinniśmy przejść jeszcze kawałek?

- Proszę spojrzeć na niebo.

Unoszę wzrok; ciemne chmury, poprzecinane na czworoboki czarnymi belkami, wiszą nisko. To chmury burzowe.

Ale Moody pozostaje optymistą.

- Ile nam zostało do Hanover House? Dwa dni? Uważam, że powinniśmy ruszać dalej.

Parker odpowiada spokojnie:

- Znosi się na burzę. Będziemy się cieszyli, że mamy schronienie.

Widzę, jak umysł Moody'ego pracuje intensywnie. Mężczyzna zastanawia się, czy warto upierać się przy swoim, czy Parker uzna jego zwierzchnictwo. Ale wiatr się wzmacnia i Moody'ego opuszcza pewność siebie; niebo stało się brzydkie i przytłaczające. Choć opuszczona faktoria jest ponura, lepsze to niż nic.

A więc rozbijamy obozowisko w ruinach. Parker kleci dużą przybudówkę, przylegającą do jednej z zachowanych ścian, i wzmacnia ją poczerńniętymi deskami. Niepokoi mnie, że to schronienie jest o tyle solidniejsze od stawianych do tej pory, ale zgodnie z jego poleceniem wyładowuję sanie. W ciągu kilku minionych dni stałam się znacznie bieglejsza w wykonywaniu prac zapewniających wygodę i przetrwanie; umieszczam prowiant w środku (naprawdę myśli, że będziemy tu unieruchomieni przez kilka dni?), a Moody w tym czasie zbiera drewno - przynajmniej tutaj go nie brakuje - i odłupuje lód od ścian, by go rozpuścić. Pracujemy szybko, bo napawają nas lękiem zapadające ciemności i gwałtownie wzmagający się wiatr.

Kiedy kończymy przygotowania, śnieg wiruje w powietrzu, kładąc nasze twarze niczym rój pszczoł. Gramolimy się do schronienia; Parker rozpała ognisko i gotuje wodę. Ja i Moody siedzimy przodem do wejścia, zabezpieczonego wielkimi belkami, które zaczęły trzeszczeć i wyginać się, jakby jacyś desperaci próbowali się dostać do środka. Przez następną godzinę wiatr jeszcze przybiera na sile, aż ledwo słyszemy nawzajem swoje głosy. Dziwnie zawodzi, a wtóruje mu głośny łopot płótna i okropne skrzypienie drewnianych ścian. Zastanawiam się, czy wytrzymają, czy też się zawalą pod naporem wiatru i ciężarem lodu, przygniatając nas. Parker wydaje się spokojny, ale mogę się założyć, że Moody podziela moje obawy; oczy za okularami zrobiły mu się wielkie, podskakuje, kiedy rozlegają się jakieś nowe odgłosy.

- Czy psom nic nie będzie na dworze? - pyta.

- Nie. Położą się obok siebie i będą się nawzajem ogrzewały.

- Ach. Dobry pomysł. - Moody śmieje się krótko, spoglądając na mnie, a potem spuszcza wzrok, kiedy nie wtóruję mu śmiechem.

Moody głośno siorbie swoją herbatę, po czym zdejmuje buty i skarpetki, pokazując stopy pokryte zaschniętą krwią. Przyglądałam się podczas poprzednich wieczorów, jak opatruje sobie nogi, ale tego dnia proponuję, że go w tym wyręczę. Może robię to, myśląc o Francisie, o tym, że różnica wieku między nimi jest niewielka; a może z uwagi na szalejącą na dworze burzę, podczas której dobrze jest mieć jak najwięcej sojuszników. Kładzie się i najpierw wyciąga w moją stronę jedną nogę, a potem drugą, bym je obmyła i zawinęła paskami płótna, bo tylko tym dysponujemy. Nie jestem bynajmniej delikatna, ale ani jęknie, kiedy przemywam rany alkoholem i ściśle je bandażuję. Ma zamknięte powieki. Wydaje mi się, że Parker obserwuje nas kątem oka, chociaż przez dym z ogniska i z jego fajki widoczność w szałasie zmalowała niemal do zera i być może się mylę. Kiedy kończę zakładać opatrunki, Moody wyciąga piersiówkę i mnie częstuje. Widzę ją po raz pierwszy. Przyjmuję poczęstunek z wdzięcznością; to whisky, niespecjalnie dobra, ale mocna, pali gardło, kiedy ją przetykam, aż łzy napływają mi do oczu. Częstuje również Parkera, ale ten kręci głową. Umysławiam sobie, że nigdy nie widziałam, by pił alkohol. Moody wkłada zakrwawione skarpetki i buty - jest za zimno, by siedzieć z bosymi nogami.

- Pani Ross, musi pani być naprawdę twardą pionierką, skoro nie robią się pani pęcherze na nogach.

- Idę w mokasynach - przypominam mu. - Nie ocierają tak stóp. Powinien pan sprawić sobie parę, kiedy dotrzemy do Hanover House.

- Ach. Tak. - Odwraca się do Parkera. - A kiedy to będzie, jak pan myśli, panie Parker? Czy ta burza potrwa tylko tę noc?

Ten wzrusza ramionami.

- Być może. Ale nawet jeśli tak, śnieg utrudni marsz. Droga może nam zająć więcej niż dwa dni.

- Był pan tam już?

- Tak, ale dawno temu.
- Dobrze zna pan drogę.
- Tak.

Zapada wrogie milczenie. Nie wiem, skąd się wzięła ta wrogość, ale jest z całą pewnością.

- Zna pan tamtejszego faktora?
- Nazywa się Stewart.

Nie umknęło mojej uwagi, że właściwie nie odpowiedział na pytanie.

- Stewart. Czy zna pan przypadkiem jego imię?
- James Stewart.

- Ach, ciekaw jestem, czy to ten sam... Słyszałem niedawno opowieść o Jamesie Stewarcie, który zasłynął z tego, że w strasznych warunkach odbył długą podróż zimą. Według mnie to nie lada wyczyn.

Z twarzy Parkera jak zwykle nic nie można wyczytać.

- Nie jestem tego taki pewien.
- No cóż... - Moody sprawia wrażenie niezwykle zadowolonego.

Przypuszczam, że jeśli się nikogo nie zna w jakimś kraju, usłyszeć o kimś, zanim się go spotka, to jak posiadanie starego przyjaciela.

- A więc jednak zna go pan? - pytam Parkera.

Patrzy na mnie.

- Poznałem go, kiedy pracowałem dla Kompanii. Wiele lat temu.

Wnioskuje z tonu jego głosu, że lepiej nie kontynuować tej rozmowy. Moody naturalnie niczego nie zauważa.

- No, no. Czyż to nie wspaniała rzecz... Ponowne spotkanie po latach.

Uśmiecham się. Jest coś rozczulającego w Moodym, który zachowuje się jak słoń w składzie porcelany... Potem przypominam sobie, do czego dąży, i mój uśmiech gaśnie.

Śnieg nie przestaje padać, wiatr nadal wyje. Za milczącą zgodą tym razem nie zrobiono zasłony z płótna, zapewniającej mi nieco prywatności. Kładę się pomiędzy mężczyznami, owinięta w liczne koce,

ciepło, bijące od żaru ogniska, pali mi twarz, ani myślę jednak się odsuwać. Potem Moody wyciąga się obok, a na koniec Parker zasypuje popiół i kładzie się tak blisko, że czuję bijący od niego zapach cieplarni. Jest ciemno choć oko wykol, ale chyba przez całą noc nie zasnę przy tym zawodzeniu wiatru, napierającego na nasz szałas; trzęsie się i ugina jak żywa istota. Boję się, że przysypie nas śnieg albo że zawałą się ściany i nas przygniotą; wyobrażam sobie różne okropne rzeczy, leżąc z bijącym sercem i szeroko otwartymi oczami. Ale musiałam usnąć, bo coś mi się przysniło, a od tygodni nie miałam żadnych snów.

Nagle budzę się i stwierdzam - jak mi się wydaje - że szałas zniknął. Wiatr wyje jak tysiąc potępieńców, śnieg, wirujący w powietrzu, oślepia mnie. Wydaje mi się, że krzyknęłam, ale w tej zawierusze nikt mnie nie usłyszał. Parker i Moody klęczą, próbując zamknąć wejście do szałasów. W końcu udaje im się to, ale do środka nawiało śniegu. Jest na naszych ubraniach i włosach. Moody zapala lampę; jest przerażony. Nawet Parker jest mniej opanowany niż zwykle.

- Cóż. - Moody kręci głową i odgarnia śnieg ze swoich nóg. Wszyscy się rozbudziliśmy i jest nam bardzo zimno. - Nie wiem, jak wy, ale ja muszę się czegoś napić.

Wyjmuje piersiówkę i pije, a potem przekazuje ją mnie. Daję ją Parkerowi, który waha się, ale w końcu przyjmuje poczęstunek. Moody się uśmiecha, jakby odniósł jakieś osobiste zwycięstwo. Parker rozpala ognisko, żeby zaparzyć herbatę, wszyscy z przyjemnością gromadzimy się wokół ognia i ogrzewamy sobie palce. Dygoczę, ale nie wiem, czy z zimna, czy z szoku, dreszcze ustępują dopiero po wypiciu kubka słodkiej herbaty. Z zazdrością patrzę, jak mężczyźni palą swoje fajki; to jeszcze jedna rzecz, która daje ukojenie i ciepło; żałuję, że nie mogę zacisnąć zębów na cybuchu z palisandru, żeby przestały mi dzwonić.

- Na dworze jest głęboki śnieg - oznajmia Moody, kiedy skończyła się whisky.

Parker kiwa głową.

- Im głębszy, tym tutaj będzie cieplej.

- Miła perspektywa - mówię. - Będzie nam ciepło i przyjemnie, ale się udusimy z braku powietrza.

Parker się uśmiecha.

- Możemy z łatwością się wygrzebać.

Odpowiadam Parkerowi uśmiechem, zdumiona, że jest taki robawiony, a potem mi się przypomina, co mi się przyśniło tuż przed przebudzeniem, i spuszcza głowę. Nie pamiętam dokładnie swojego snu, ale nagle ogarnia mnie fala dziwnego ciepła. Odwracam się. Udamę atak kaszlu, żeby mężczyźni nie zauważyli w mroku, jak się czerwienię.

Późnym rankiem burza prawie cichnie. Kiedy znów się budzę, jest widno, więcej śniegu nawiało w kąty i pomiędzy nas. Gramolę się z szałas i widzę, że dzień wciąż jest wietrzny i szary, ale wydaje się cudowny po minionej nocy. Nasz szałas jest do połowy zasypany śniegiem, którego nawiało z metr, wszystko wokoło wygląda zupełnie inaczej pod śnieżnym kobiercem, jakby mniej złowieszczo. Dopiero po kilku minutach dociera do mnie, że mimo zapewnień Parkera w nocy wiatr przewrócił część ściany, chociaż nic nam nie zagraża z jej strony. Staram się nie myśleć, co by się stało, gdybyśmy zrobili szałas kilka metrów dalej na wschód. Najważniejsze, że tego nie zrobiliśmy.

W pierwszej chwili przestraszyłam się, że śnieg na dobre zasypał psy; rozglądam się, ale nigdzie ich nie widzę, a zwykle szczekają głośno, domagając się jedzenia. Potem nie wiadomo skąd pojawia się Parker z długim kawałkiem drąga, którym sonduje zasy, nawołując psy dziwnym, ostrym głosem, jakim zawsze się do nich zwraca. Nagle tuż obok niego śnieg strzela w górę, Sisco wynurza się z głębokiej zasy, a tuż za nim Lucie. Rzucają się na niego, szczekając zawzięcie i energicznie machając ogonami. Parker przez chwilę się z nimi bawi. Musiał doznać ulgi na ich widok; zwykle nie zwraca na nie specjalnej uwagi, a teraz się uśmiecha, jest wyraźnie zadowolony. Nigdy nie widziałam, żeby tak się uśmiechał do mnie. Ani do kogokolwiek innego. Podchodzę do Moody'ego, niezgrabnie zwijającego materiał na namiot.

- Proszę pozwolić mi to zrobić.

- Och, będzie pani taka dobra, pani Ross? Dziękuję. Zawstydzamnie pani. Jak się pani dziś czuje?

- O wiele lepiej niż wczoraj. Dziękuję, że pan zapytał.

- Ja też o wiele lepiej. To była niezwykła noc, prawda?

Uśmiecha się niemal figlarnie. On też dziś rano jest wyraźnie w dobrym humorze. Może wczoraj wieczorem wszyscy baliśmy się bardziej, niż się do tego przyznawaliśmy.

Później, kiedy znów idziemy na północny wschód, nawet brnąc przez półmetrowe zaspy śniegu, trzymamy się blisko siebie. Parker dostosowuje swoje kroki do naszych, wszyscy jakbyśmy znajdowali pociechę we wzajemnym towarzystwie.

**T**on głosu Espena jest naglący. - Line, muszę z tobą porozmawiać. Kobieta stara się opanować gwałtowne szarpnięcie serca, kiedy słyszy, jak Espen wymawia jej imię. Od kilku dni nie zamienili ze sobą ani jednego słowa.

- Jako to? Myślałam, że twoja żona jest zbyt podejrzliwa.

Jego błagalny wzrok sprawia, że niemal ma ochotę rozplakać się ze szczęścia.

- Nie zniosę tego dłużej. Od kilku dni nawet nie spojrzałaś w moją stronę. Czy tak mało ci na mnie zależy? Czy w ogóle o mnie myślałaś?

Kobieta przestaje udawać wyniosłą i się uśmiecha. Obejmuje ją, przyciska mocno do siebie, całuje jej twarz, usta, szyję. Potem ciągnie za sobą, otwiera drzwi prowadzące do spiżarni, i zamyka za nimi.

Line ogarnia dziwne uczucie, kiedy zmaga się z ubraniem w absolutnych ciemnościach, oparta o stopy mydła i chyba o jakąś miotłę. Zupełnie jakby fakt, że robią to po ciemku, oczyszczał ich z winy. Nawet nie potrafi powiedzieć, kto jest tutaj z nią. Chyba to samo czuje on - mogą być kimkolwiek i gdziekolwiek. Na przykład w Toronto. I nagle Line wie, co zrobi.

Odrywa usta od jego skóry na wystarczająco długo, by powiedzieć:

- Nie mogę tutaj zostać. Wyjadę stąd. Jak tylko będę mogła.



Espen się odsuwa. Słyszy jego oddech, ale nie widzi jego twarzy w ciemnościach.

- Nie, Line, nie wytrzymam bez ciebie. Będziemy ostrożni. Nikt się o niczym nie dowie.

Line czuje zwitek banknotów w kieszeni i dodaje jej to sił.

- Mam pieniądze.

- Jak to: masz pieniądze?

Espen nigdy w życiu nie miał pieniędzy, zawsze żył z dnia na dzień, póki nie przyjechał tu, by zbudować Himmelvanger, a później tu zamieszkać. Line uśmiecha się tajemniczo.

- Mam czterdzieści dolarów. Jankeskich dolarów.

- Co?

- Nikt o tym nie wie oprócz ciebie.

- Skąd masz tyle pieniędzy?

- To tajemnica!

Na twarzy Espena pojawia się uśmiech pełen niedowierzania. Line wie o tym, bo czuje, jak mężczyzna drży z przejęcia.

- Możemy wziąć dwa konie. Podróż do Caulfield zajmie nam zaledwie trzy dni. Włożymy na siebie wszystkie ubrania, dzieci po sadzimy z tyłu. Potem popłyniemy parowcem do Toronto... albo do Chicago. Dokądkolwiek. Mam dość pieniędzy, żeby wynająć dom, kiedy będziemy szukali pracy.

Espen jest lekko przerażony.

- Ależ Line, jest środek zimy. Czy nie lepiej poczekać do wiosny? A co z dziećmi?

Kobietę ogarnia zniecierpliwienie.

- Przecież nawet nie pada śnieg. I właściwie jest ciepło! Na co chcesz czekać?

Espen wzdycha.

- Poza tym, mówiąc „dzieci”, miałaś na myśli Torbina i Annę, prawda?

Line czekała na to. Właściwie to wszystko wina Merete. Mogłaby już umrzeć. Do niczego się nie nadaje, nikt jej nie lubi, nawet Per, który powinien lubić wszystkich.

- Wiem, że to trudne, najdroższy, ale nie damy rady zabrać ze sobą i moich, i twoich dzieci. Może później, kiedy będziemy mieli dom, przyjedziesz tu po nie, co?

W głębi duszy uważa, że to mało prawdopodobne. Nie potrafi sobie wyobrazić, by Merete, albo chociażby Per, pozwolili Espenowi wywieźć stąd dzieci, by zamieszkały z jego kochanicą. Lecz Espen ubóstwia trójkę swoich dzieci.

- Wkrótce znów będziemy wszyscy razem. Ale na razie... Muszę stąd wyjechać. Nie mogę tu zostać.

- Po co cały ten pośpiech?

To jej karta atutowa, więc Line ostrożnie nią gra.

- Cóż, jestem niemal pewna... Nie, jestem pewna, że spodziewam się dziecka.

W spiżarni zapada kompletna cisza. Na litość boską, myśli Line, przecież Espen wie, skąd się biorą dzieci.

- Jak to możliwe? Byliśmy tacy ostrożni!

- Cóż... Nie zawsze. - On wcale się tym nie przejmował, myśli sobie Line, już dawno temu zasłaby w ciążę, gdyby nie uważała. - Nie gniewasz się, prawda, Espen?

- Skądże znowu. Kocham cię. Tylko to dość...

- Wiem. I dlatego nie mogę tu zostać do wiosny. Wkrótce mój odmienny stan stanie się widoczny. Dotknij... - Bierze jego dłoń i kładzie ją sobie na brzuchu.

- Och, Line...

- Powinniśmy więc wyjechać, zanim śnieg przykryje ziemię, prawda? W przeciwnym razie...

W przeciwnym razie... Lepiej nie myśleć, co się stanie.

Późnym popołudniem Line udaje się do izby chłopaka. Czeką, póki Jacob nie wyjdzie i nie zniknie w stajni, i wchodzi do środka. Klucz jest w zamku - teraz, po wyjeździe Moody'ego, nikt nie zaprzęta sobie głowy zamykaniem drzwi na klucz.

Francis ze zdumieniem unosi wzrok, kiedy Line wchodzi. Nie przebywali sam na sam w tym pokoju od przyjazdu jego matki; od

dnia, kiedy próbowała go pocałować, a on dał jej pieniądze. Na to wspomnienie wciąż krew napływa jej do policzków. Francis siedzi na krześle pod oknem. W dłoniach trzyma nóż i kawałek drewna. Coś struga. Line jest zaskoczona - myślała, że chłopiec nadal leży w łóżku, osłabiony i blady.

- Och - mówi, nim zdołała się powstrzymać. - Już wstałeś.

- Tak, czuję się znacznie lepiej. A Jacob darzy mnie takim zaufaniem, że dał mi swój nóż. - Macha nim i uśmiecha się do niej. - Nic ci nie grozi.

- Możesz już chodzić?

- Tak, jeśli podpieram się kulą.

- To dobrze.

- A u ciebie wszystko w porządku? Czy w osadzie wszystko w porządku? - W tonie jego głosu słychać troskę.

- Tak... To znaczy właściwie nie. Przyszłam, żeby cię o coś poprosić. Potrzebna mi twoja pomoc. Interesuje mnie twoja wyprawa z Caulfield tutaj... Ale obiecaj, że nikomu nic nie powiesz. Nawet Jacobowi.

Gapi się na nią zdumiony.

- Dobrze.

- Zamierzam stąd wyjechać. Muszę wyjechać teraz, zanim znów spadnie śnieg. Weźmiemy konie i udamy się na południe. Musisz mi wytłumaczyć, jak tam trafić.

Francis nie ukrywa zdumienia.

- Do Caulfield?

Kiwa głową.

- A jeśli spadnie śnieg, kiedy będziesz w drodze?

- Twoja matka dotarła tutaj, gdy leżał śnieg. Poza tym pojedziemy na koniu.

- Masz na myśli siebie i dzieci?

- Tak. - Stoi z podniesioną głową, czując, jak rumieniec zalewa jej szyję i twarz. Francis się odwraca, by odłożyć nóż i kawałek drewna. Znowu wprawiłam cię w zakłopotanie, myśli Line, wyjmując ołówek i papier, który przyniosła ze sobą. Cóż, niektórych rzeczy nie da się uniknąć. Przecież chyba nie jesteś zazdrosny.

Sędzia pokoju z St Pierre siedzi naprzeciwko Knoxa w jego sypialni-areszcie i wzdycha. Jest starszym, przysadzistym mężczyzną, ma co najmniej siedemdziesiąt lat, patrzy na niego mętnymi oczami zza soczewek z kryształu górskiego; okulary wydają się zbyt ciężkie jak na jego delikatny nos.

- Jeśli dobrze pana zrozumiałem... - zagląda do swoich notatek - nie mógł się pan zgodzić z brutalnymi próbami Mackinleya, by siłą wymusić przyznanie się Williama Parkera do winy, więc go pan puścił wolno.

- Nie mieliśmy podstaw, by go przetrzymywać.

- Ale pan Mackinley twierdzi, że Parker nie potrafił dowieść, co robił w czasie, który nas interesuje.

- Wytłumaczył, co robił. Nie ma nikogo, kto by potwierdził jego słowa, ale nie powinno to nikogo dziwić, bo przecież jest tra-perem.

- Co więcej, pan Mackinley utrzymuje, że więzień go zaatakował. Działając w obronie własnej, pan Mackinley być może spowodował jakieś obrażenia u więźnia.

- Mackinley nie miał nawet najmniejszego zadrapania, a gdyby został zaatakowany, wszystkim by o tym powiedział. Widziałem więźnia. Został brutalnie pobity. Wiem, że nie oszukiwał.

- Hm. Znam pewnego Williama Parkera. Czy wie pan, że tenże William Parker ma na swym koncie napaść na urzędników Kompanii Zatoki Hudsona?

„O nie” - myśli sobie Knox.

- Wydarzyło się to jakiś czas temu, ale był podejrzany o dość poważną napaść. Gdyby nie działał pan tak pochopnie, wszystko to wyszłoby na światło dzienne.

- Nadal nie wierzę, że to morderca, którego szukamy. Nawet jeśli człowiek jakiś czas temu zrobił coś niewłaściwego, to nie znaczy, że znów musiał tak postąpić.

- To prawda. Ale jeśli człowiek z natury jest gwałtowny, bardzo możliwe, że ta skłonność co jakiś czas będzie się ujawniała. Nie wierzę, żeby człowiek czasem zachowywał się agresywnie, a kiedy indziej potrafił panować nad sobą.

- Obawiam się, że nie mogę się z panem zgodzić. Szczególnie jeśli chodzi o kogoś, kto dopuścił się czynów gwałtownych w młodości.

- No cóż. Jest jeszcze jeden podejrzany, którego nadal nie złapano, prawda?

- Nie wiem, czy tak bym to ujął. Posłałem dwóch ludzi za miejscowym chłopakiem, który mniej więcej w tym czasie zniknął z domu. Jeszcze nie wrócili.

I właściwie gdzie oni się podziewają, do diaska? - pyta sam siebie. Minęły prawie dwa tygodnie, odkąd opuścili Caulfield.

- O ile mi wiadomo, matki chłopaka też nie ma w domu?

- Udała się na poszukiwania syna.

- Ach tak. - Zdejmuje okulary, które zostawiły błyszczące, czerwone zagłębienia na grzbiecie nosa. Pociera to miejsce palcami. Jego spojrzenie wyraźnie mówi: „Knox, cóż za potworna anarchia panuje w tej osadzie!”.

- Co zamierza pan zrobić ze mną?

Sędzia pokoju z St Pierre kręci głową.

- To wbrew wszelkim przepisom. - Nadal kręci głową, jakby nie potrafił przestać, skoro już raz zaczął. - Wbrew wszelkim przepisom. Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć, panie Knox. Ale przypuszczam, że na razie możemy pozwolić panu wrócić do domu. O ile - ha, ha - nie zamierza pan opuścić kraju!

- Ha, ha. Nie. Nie noszę się z takim zamiarem. - Knox wstaje, ale nie odwzajemnia wymuszonego uśmiechu mężczyzny. Stwierdza, że jest wyższy od sędziego pokoju z St Pierre co najmniej o głowę.

Mogąc udać się do domu, Knox odkrywa, że nie ma ochoty natychmiast do niego wrócić. Przystaje na półpiętrze i pod wpływem impulsu puka do drzwi pokoju Sturrocka. Po sekundzie drzwi się otwierają.

- Pan Knox! Cieszę się, że widzę pana znów na wolności. Tak przynajmniej zakładam. A może uciekł pan?

- Nie. Jestem wolny, przynajmniej chwilowo. Czuję się jak nowo narodzony.

Chociaż się uśmiecha i sili na żartobliwy ton, nie jest pewien, czy Sturrock wie, że to żarty. Nigdy mu się to zbyt nie udawało, nawet kiedy był młody - przypuszcza, że ma to związek z jego surowym obliczem. Jako młody prawnik uświadomił sobie, że najczęściej budzi w ludziach niepokój i coś w rodzaju poczucia winy. Chociaż musi przyznać, że ma to swoje dobre strony.

- Proszę wejść. - Sturrock zaprasza go do środka tak, jakby niczego na świecie nie pragnął bardziej, niż porozmawiać z Knoxem. Sędzia skwapliwie korzysta z zaproszenia i nie oponuje przeciwko szklaneczce whisky.

- Cóż, slainthe!

- Slainthe! Przepraszam, że to nie whisky słodowa, ale... Proszę mi powiedzieć, jakie są pańskie wrażenia po spędzeniu nocy pod kluczem?

- No cóż...

- Chciałbym móc powiedzieć, że nigdy nie miałem takiej przyjemności, ale niestety, dawno temu, w Illinois, spędziłem noc za kratkami. Jednak ponieważ prawie wszyscy są tam przestępcami, znalazłem się w doborowym towarzystwie...

Rozmawiają jakiś czas o błahostkach. W miarę jak za oknem zapada zmrok, z butelki ubywa trunku. Knox patrzy na niebo nad dachami i widzi, że jest ciemne i ciężkie, co zapowiada brzydką pogodę. W dole widać małą postać, idącą pospiesznie do sklepu. Nie rozpoznaje, kto to taki. Wydaje mu się, że znów spadnie śnieg.

- A więc czeka pan na powrót chłopaka?

- Chyba tak.

Następuje długa cisza; skończyła się whisky. Obaj myślą o tym samym.

- Wiąże pan wielkie nadzieje z tą... kością.

Sturrock patrzy na niego z ukosa, taksująco.

- Chyba tak.

**W**ieczorem, szóstego dnia, po raz pierwszy widzą cel swojej podróży. Donald został z tyłu - nawet pani Ross idzie szybciej od niego. Młodzieniec ma poobcierane nogi, ale nie może nie wkładać swoich okropnych butów. Mimo że całe stopy ma zabandażowane, każdy krok sprawia mu nieznośny ból. Na dodatek - chociaż utrzymuje to w tajemnicy przed innymi - zaczęła mu dokuczać dawna rana. Wczoraj był pewien, że znów się otworzyła. Pod pretekstem, że musi iść na stronę, rozpiął koszulę, by obejrzeć bok. Szrama była lekko spuchnięta, sączył się z niej jakiś przezroczysty płyn. Zaniepokojony pomacał ranę, żeby sprawdzić, skąd ten wyciek. Przypuszczalnie spowodowało go skrajne przemęczenie trudami wędrówki; jak dotrą na miejsce, odzyska formę.

Widok faktorii - w której istnienie wątpił w chwilach przemęczenia - stanowi więc powód do radości. W tym momencie Donald nie potrafi sobie wyobrazić nic wspanialszego od możliwości długiego wylegiwania się w łóżku. Widocznie tajemnica szczęścia, myśli sobie radośnie, polega na tym, by po jakimś czasie przestać walić głową w mur.

Hanover House znajduje się na wzniesieniu z trzech stron otoczonym rzeką. Za nim widać kępę drzew. To pierwsze drzewa, jakie widzą po wielu dniach. Wprawdzie to tylko pochylone, karłowate brzozy i modrzewie, niewiele wyższe od człowieka, ale zawsze drzewa. Rzeka wolno toczy swoje wody po płaskim terenie, ale nie zamarza - nie jest jeszcze wystarczająco zimno. Przypomina czarną wstęgę pomiędzy ośnieżonymi brzegami. Kiedy podchodzą już całkiem blisko, a nadal nic nie świadczy o tym, by ktokolwiek ich zobaczył, Donalda ogarnia lęk, że faktoria jest opuszczona.



Placówkę wzniesiono według takiego samego planu, co Fort Edgar, ale widać, że jest znacznie starsza. Palisada się pochyliła; same zabudowania poszarzały z wiekiem. Ogólnie faktoria prezentuje się marnie; wprawdzie widać, że próbowano ją odremontować, ale sprawia wrażenie zaniedbanej. Donald się domyśla, co jest tego przyczyną. Są już daleko na południe od Zatoki Hudsona. Kiedyś tereny te stanowiły bogate źródło futer dla Kompanii, ale to było dawno temu. Hanover House to pozostałość po dawnej świetności, smętne po niej wspomnienie. Poza ogrodzeniem umieszczono jednak kilka małych dział z lufami skierowanymi na równinę, ktoś zadał sobie trud, by odśnieżyć je po ostatnich zamieciach. Przysadziste, czarne działa, ostro odcinające się od śniegu, to jedyny dowód obecności ludzi.

Brama w palisadzie jest uchylona, gdzieś widać ślady butów. I chociaż trójka wędrowców i sanie ciągnięte przez psy były widoczne na tle śniegu od co najmniej godziny, nikt nie wychodzi im na powitanie.

- Wygląda na opuszczoną - zaczyna Donald, patrząc na Parkera. Ten nic nie mówi, tylko pcha bramę, naniesiony śnieg sprawia, że udaje mu się ją tylko trochę uchylić. Dziedziniec wewnętrzny jest nieodśnieżony - w Fort Edgar uważane jest to za poważne zaniedbanie obowiązków.

- Czy to na pewno Hanover House? - pyta Donald, a po chwili stwierdza, że nie może się powstrzymać, by nie klapnąć na ziemi i nie zdjąć najpierw jednego buta, a potem drugiego. Ani chwili dłużej nie zniesie bólu.

- Tak - mówi Parker.

- Może wszyscy gdzieś wyjechali. - Donald rozgląda się po pustym dziedzińcu.

- Nie. - Parker patrzy na cienką smużkę dymu, unoszącą się za niskim magazynem. Dym jest tego samego koloru, co niebo. Donald zdobywa się na nadludzki wysiłek i wstaje, po czym chwiejnym krokiem pokonuje kilka metrów.

Nagle zza węgła budynku wyłania się jakiś mężczyzna i staje jak wryty: jest wysoki, śniady, barczysty, ma długie, zmierzwiöne

włosy. Mimo lodowatego wiatru ma na sobie jedynie luźną, flanelową koszulę, rozpiętą do pasa. Gapi się na nich z rozdziawionymi ustami, z ponurą miną, nic nie rozumiejąc. Jest przygarbiony i wyraźnie sztywny z zimna. Pani Ross patrzy na niego, jakby zobaczyła ducha. Parker zaczyna mówić, że przybyli z daleka, że Donald jest urzędnikiem Kompanii, ale nie kończy, bo mężczyzna się odwraca i idzie tam, skąd przyszedł. Parker urywa w połowie zdania, patrzy na panią Ross i wzrusza ramionami. Donald słyszy, jak kobieta szepcze do niego: „Wydaje mi się, że ten człowiek jest pijany” i uśmiecha się ponuro sam do siebie. Najwyraźniej pani Ross się nie orientuje, co zimą stanowi jedyną rozrywkę w faktoriach.

- Czy mamy za nim pójść? - pyta pani Ross. Jak zwykle zwraca się do Parkera, ale Donald podchodzi do nich, kuśtykając. Stopy ma lodowate, na szczęście jednak go nie bołą. Ponieważ to placówka Kompanii, uważa, że teraz on powinien przejąć dowodzenie.

- Jestem pewien, że za chwilę ktoś wyjdzie. Widzi pani, pani Ross, zimą w faktorii, szczególnie na takim odludziu, ludzie szukają różnych sposobów, by szybciej płynął im czas.

Psy, pozostawione za ogrodzeniem, szczekają i zaczynają się szarpać. Wydaje się, że nie potrafią stać spokojnie, zaraz się na siebie rzucają. Na przykład teraz zachowują się tak, jakby próbowały się zagryźć. Parker podchodzi do nich i krzyczy, okładając zwierzęta kijem; może nieprzyjemnie na to patrzeć, ale to jedyny skuteczny sposób, by je przywołać do porządku. Po paru minutach słychać kroki na śniegu i zza węgła wyłania się jakiś inny człowiek. Donald z ulgą stwierdza, że to biały. Jest niewiele starszy od Donalda, ma bladą, niespokojną twarz i zmierzwione, rude włosy. Wygląda na udęczonego, ale jest trzeźwy.

- Wielkie nieba - mówi z wyraźną irytacją. - A więc to prawda...

- Dobry wieczór! - Donald jest jeszcze bardziej uradowany, słysząc szkocki akcent.

- Witam. - Mężczyzna się nieco reflektuje. - Proszę mi wybaczyć, ale od dawna nie mieliśmy żadnych gości, a zimą to wprost... niespotykane. Zupełnie zapomniałem o dobrych manierach...

- Donald Moody, rachmistrz Kompanii z Fort Edgar. - Donald wyciąga rękę, chwając się na nogach.

- Ach, pan Moody. Eeee, Nesbit. Frank Nesbit, zastępca faktora.

Donald przez chwilę jest zbity z tropu, bo pierwszy raz słyszy, żeby ktoś był „zastępcą faktora”, ale teatralnym gestem wskazuje panią Ross.

- To pani Ross, a to... - Parker akurat pojawia się w bramie, wygląda groźnie, trzymając duży kij. - Eee, Parker, który nas tu przyprowadził.

Nesbit ścisza im dłonie, a potem z przerażeniem patrzy na nogi Donalda.

- Mój Boże, pańskie stopy... Nie ma pan butów?

- Mam, lecz tak mnie uwierały, że je zdjąłem... Ale to nic poważnego, naprawdę. Zwykle otarcia...

Donald czuje, że mu się kręci w głowie. Zastanawia się, czy się przewróci. Nesbit jakby wcale nie zamierzał zaprosić ich do środka, chociaż jest prawie ciemno i robi się coraz zimniej. Sprawia wrażenie zdenerwowanego i niezdecydowanego. Rozważa na głos, czy ich zaprowadzić do bardzo zaniedbanych kwater gościnnych, czy też udostępnić im własny pokój... Donald odnosi wrażenie, że minęły godziny, odkąd tu dotarli, zupełnie stracił czucie w nogach. W końcu Nesbit zabiera ich do środka, prowadzi nieoświetlonym korytarzem i otwiera drzwi do dużego, nieogrzewanego pomieszczenia.

- Bądźcie tak dobrzy i zaczekajcie tutaj chwilę. Zaraz kogoś za wołam, żeby rozпалиł ogień i przyniósł wam coś gorącego. Proszę wybaczyć...

Nesbit wychodzi, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Donald kuśtyka do zimnego kominka i opada na pobliskie krzesło.

Parker zostawia ich pod pretekstem, że musi się zająć psami. Donald myśli o Fort Edgar, gdzie goście są traktowani po królewsku, a ich przybycie zawsze stanowi wielkie święto. Może połowa tutejszych pracowników uciekła; zauważa, że kominek jest bardzo brudny, a po chwili poddaje się zmęczeniu, które tylko czekało, by zamknąć mu powieki aksamitną dłonią.

- Panie Moody!

Głos kobiety jest ostry, więc Donald znów otwiera oczy.

- Mhm? Tak, pani Ross?

- Nie mówmy, dlaczego tu jesteśmy, przynajmniej dziś wieczorem. Najpierw zorientujmy się, jak tu stoją sprawy. Lepiej, żeby nie mieli się na baczności.

- Jak sobie pani życzy. - Znów zamyka oczy. Chyba nie da rady powiedzieć nic sensownego, o ile się trochę nie prześpi. Już samo to, że nie jest skazany na przebywanie na przenikliwym zimnie, zdaje mu się błogosławieństwem.

Ma wrażenie, że zamknął oczy tylko na moment, ale kiedy znów je otwiera, ogień na kominku płonie, nigdzie zaś nie widać pani Ross. Za oknem jest czarno, nie ma pojęcia, która godzina. Ale to taki luksus siedzieć w tym ciepłe, że nie może się zmobilizować, by się podnieść. Ruszyłby się z miejsca chyba tylko wobec perspektywy wyciągnięcia się na łóżku. Potem, mimo ogromnego zmęczenia, uświadamia sobie, że poza nim jest w pomieszczeniu jeszcze ktoś. Odwraca się i widzi Metyskę, która przyniosła miskę z wodą i trochę bandaży. Skinęła mu głową i siada na podłodze obok niego, po czym zaczyna odwijać sztywne od krwi płótno.

- Och, dziękuję. - Donald czuje się dziwnie skrępowany tym, że kobieta zajęła się jego nogami, i odrażającym wyglądem bandaży. Próbuje stłumić szerokie ziewnięcie, co mu się nie udaje.

- Jestem... Donald Moody, pracuję w Kompanii jako rachmistrz w Fort Edgar. A tobie jak na imię?

- Nazywam się Elizabeth Bird.

Prawie na niego nie patrzy, tylko przystępuje do czyszczenia ran na jego nogach. Donald pozwala, by głowa znów opadła mu na oparcie krzesła, szczęśliwy, że nie musi mówić ani nawet myśleć. Obowiązki mogą zaczekać do jutra. A do tego czasu może spać, spać, spać, poddać się powolnemu rytmowi ruchów rąk Indianki, wycierającej jego nogi.

**N**a dziedzińcu panują kompletne ciemności, dziwi mnie, że nie słyszę psów. Zwykle, kiedy gdzieś przybywamy, zaczyna się głośnie szczekanie i ujadanie, ale kiedy tu dotarliśmy, panowała cisza. Nawołuję Parkera. Wiatr smaga mi twarz, skóra szczypie mnie od kilku płatków śniegu. Nikt mi nie odpowiada i czuję, jak ogarnia mnie strach; może teraz, kiedy jesteśmy na miejscu, zajął się swoimi sprawami. Oczy szczypią mnie od łez. Nagle ktoś otwiera drzwi na lewo ode mnie i na śniegu pojawia się prostokąt światła. Słyszę odgłosy zaciętej kłótni, rozpoznaję głos Nesbita.

- Lepiej nie wspominać o nim ani słówkiem, jeśli nie chcesz poczuć mojej ręki. Właściwie najlepiej będzie, jakbyś w ogóle trzymała się z daleka!

Drugi głos jest niewyraźny, ale z pewnością należy do kobiety, która sprzeciwia się mężczyźnie. Nie zastanawiając się, czemu to robię, ukryłam się głębiej w cieniu wystającego okapu. Ale słyszę tylko, jak Nesbit kończy awanturę - jeśli to awantura - płaczliwym: „Och, na litość boską, w takim razie rób, jak chcesz. Tylko zaczekaj na jego powrót!”.

Drzwi zatrząskują się i Nesbit rusza przez podwórze, jedną ręką przygładzając włosy, co na niewiele się zdaje. Otwieram drzwi i je zamykam, po czym wychodzę na dziedziniec, jakbym dopiero co znalazła się na dworze, i kieruję się w jego stronę.

- Och, pan Nesbit. Tu pan jest.  
- Ach, pani... - Urywa, macając ręką przed sobą.  
- Ross.  
- Pani Ross, naturalnie. Proszę mi wybaczyć. Właśnie... - Śmieje się krótko. - Przepraszam, że zostawiłem państwa samych. Czy nikt nie rozpałił ognia? Musicie nam wybaczyć. Ale cierpimy na brak rąk do pracy, a o tej porze roku...

- Nie ma pan za co przepraszać. Pojawiliśmy się tutaj dość niespodziewanie.

- Ależ skądże znowu. Skądże znowu. Kompania szczyci się swoją gościnnością i w ogóle... Zapewniam panią, że jesteście mile widzianymi gośćmi. - Uśmiecha się do mnie, chociaż jakby z pewnym przymusem. - Musi pani zjeść ze mną kolację... Pan Moody i pan Parker też, naturalnie.

- Pan Moody spał, kiedy wychodziłam. Obawiam się, że bardzo cierpi z powodu otartych nóg.

- A pani nie? Muszę przyznać, że to coś niebywałego. Wspomniała pani, że skąd pochodzi?

- Może wejdziemy do środka? Jest tak zimno...

Nie wiem, jak z nim rozmawiać. Chciałam najpierw naradzić się z Parkerem, ale nigdzie go nie widać. Nesbit prowadzi mnie innym korytarzem - mijamy sporo drzwi - do małego, ciepłego pomieszczenia, gdzie ogień płonie na kominku. Pośrodku stoi składany stół i dwa krzesła. Na ścianach wiszą wycięte z czasopism kolorowe obrazki koni wyścigowych i zawodowych bokserów.

- Proszę usiąść. Bardzo proszę. Trochę tu cieplej, co? Nie ma to, jak porządny ogień w tej dziurze, zapomnianej przez Boga i ludzi...

Nagle, bez słowa wyjaśnienia wychodzi z izby, a ja się zastanawiam, co się stało. Nawet nie zdążyłam otworzyć ust.

Wśród obrazków bokserów i koni jest parę dobrych rycin, widzę, że meble też są porządne; importowane, nie wyprodukowane na miejscu. Mahoniowy stół lśni po latach użytkowania; Krzesła z wysokimi oparciami wykonano z drewna owocowego, przypuszczalnie są

włoskie. Nad kominkiem wisi mały obraz w bogato złotocnej ramie, przedstawiający scenę z polowania. Od ciemnego tła ostro odcinają się czerwone kubraki myśliwych. Na stole stoją kieliszki z grubego, rżniętego szkła ołowiowego. Mieszka tu człowiek o wyrafinowanym smaku. Przypuszczam, że to nie Nesbit.

Ten wpada do izby, niosąc jeszcze jedno krzesło.

- Dla pani wiadomości, zwykle jest tu... - mówi, jakby w ogóle nie opuszczał pokoju - nas tylko dwóch, znaczy się urzędników, więc niewiele się dzieje. Poprosiłem o coś na kolację, więc... Ach, naturalnie! - Znow się zrywa, dopiero co usiadłszy. - Przypuszczam, że chętnie napije się pani brandy. Mamy całkiem dobrą. Sam ją przywiozłem z Kingston zeszłego lata.

- Tylko mały kieliszeczek. Obawiam się, że jak wypiję więcej, od razu usnę. - To prawda. Ciepło po raz pierwszy od wielu dni przenika wszystkie moje członki, powieki zrobiły mi się ciężkie.

Nalewa alkohol do dwóch kieliszków, starając się, by oba były wypełnione jednakowo, i wręcza mi jeden.

- No to slainthe. A co sprowadza tutaj panią i pani przyjaciół? Nie spodziewaliśmy się wizyty, ale miło nam państwa gościć.

Ostrożnie odstawiam kieliszek. Jestem zła, że nie mieliśmy czasu się naradzić; a raczej nie tyle zabrakło nam czasu, bo mieliśmy sześć dni, ile jakoś nigdy pora nie wydawała się właściwa, by poruszyć ten temat. Jeszcze raz powtarzam sobie w duchu zmyśloną przez siebie historyjkę, sprawdzając, czy nie ma w niej żadnych słabych punktów. Mam nadzieję, że Moody jeszcze długo się nie obudzi.

- Przybywamy z Himmelvanger. Zna pan tę osadę?

Nesbit wpatruje się we mnie swoimi ciemnobrązowymi oczami.

- Obawiam się, że nie.

- Mieszka w niej grupka luteran. Przybyli z Norwegii. Starają się wieść uczciwe życie, kierując się boskimi przykazaniami.

- Godne podziwu.

Palcami prawej ręki cały czas bawi się ogryzkiem ołówka, machając nim tam i z powrotem, obracając, lekko stukając w blat stołu; nagle doznając olśnienia. Laudanum, a może strychnina. Jeden Bóg wie, jak ten człowiek trafił na to odludzie, daleko od aptekarzy i doktorów.

- Zdecydowaliśmy się na tę podróż, ponieważ... - Urywam i ciężko wzdycham. - Trudno mi o tym mówić... Mój syn uciekł z domu. Ostatni raz widziano go w Himmelvanger, stamtąd ślady prowadziły w tym kierunku.

Nesbit nieco się odpręża, już nie wpatruje się we mnie tak uważnie, że aż człowiekowi cierpień skóra. Może spodziewał się usłyszeć coś innego.

- Do samej faktorii?

- Tak nam się wydaje, chociaż po burzy śnieżnej nie mamy pewności.

- No tak. - W zamyśleniu kiwa głową.

- Ale pan Parker uznał, że to najbardziej prawdopodobne miejsce. O ile wiem, w tej części kraju nie ma zbyt wielu osad, a prawdę mówiąc, jest ich całkiem niewiele.

- Rzeczywiście, żyjemy tu dość odizolowani od świata. Czy... Czy pani syn jest bardzo młody?

- Ma siedemnaście lat. - Spuszczam wzrok. - Chyba rozumie pan, jak bardzo się o niego niepokoję.

- Tak, naturalnie. A pan Moody...?

- Pan Moody był tak uprzejmy i zaproponował, że będzie nam towarzyszył, skoro zamierzaliśmy się udać do faktorii Kompanii. Chyba bardzo chciałby poznać tutejszego faktora.

- Ach, tak. Nie wątpię... Cóż, pan Stewart udał się na krótką wyprawę, ale lada dzień powinien wrócić.

- Z wizytą do sąsiadów?

- Nie, na polowanie. Bardzo to lubi.

Nesbit zdążył już opróżnić swój kieliszek i ponownie go napełnić. Ja wolno sącę alkohol.

- A więc... Nie widział pan nikogo obcego ani nie słyszał o nim kim obcym?



- Niestety nie. Ale może pani syn natknął się na grupę Indian albo jakichś traperów... Kręcą się tu różni ludzie. Zdziwiłaby się pani, ile osób tędy wędruje, nawet zimą.

Znów wzdycham i udaję przygnębienie, co mi przychodzi całym łatwo. Ponownie napełnia mój kieliszek.

Otwierają się drzwi i z tacą wchodzi niska, przysadzista Indianka w nieokreślonym wieku.

- Ten drugi dżentelmen chce spać - mówi, patrząc nienawistnie na Nesbita.

- W porządku, Norah. Postaw tacę... Dziękuję. Może uda ci się odnaleźć naszego trzeciego gościa?

W jego głosie słychać odrobinę sarkazmu. Kobieta głośno stawia tacę na stole.

Nesbit niezgrabnie zdejmuje pokrywkę i podsuwa mi talerz z kotletem z łosia i odsmażaną kukurydzą. Sam talerz jest porządny, angielski, ale stare i żyłaste mięso niewiele przewyższa to, które jedliśmy w podróży. Muszę się starać ze wszystkich sił, by nie zamknąć oczu i zachować trzeźwość umysłu. Nesbit je mało, ale zdrowo pociąga, więc na szczęście jego zmysły nie są wyostrome. Czuję gwałtowną potrzebę, by skłonić go do mówienia teraz, zaraz, kiedy nie ma powodów, by cokolwiek podejrzewać.

- A więc kto tu mieszka? Jest tu was spora grupka?

- Na Boga, nie! Zaledwie garstka. Nie znajdujemy się w samym środku krainy, gdzie poluje się na zwierzęta futerkowe. Już nie. - Uśmiecha się gorzko, ale według mnie nie z powodu niespełnionych osobistych ambicji. - Jest tu pan Stewart, faktor, jeden z najwspanialszych ludzi, jakich będzie miała pani przyjemność poznać. No i pani pokorny sługa, chłopak na posyłki! - Kłania się ironicznie. - Oraz jeszcze kilku Metysów i indiańskich rodzin w pobliżu.

- A więc kobieta, która przyniosła nam jedzenie, Norah, jest żoną jednego z waszych ludzi?

- Zgadza się. - Nesbit pociąga łyk brandy.

- A co traperzy robią zimą? - Myślę o niekompletnie ubranym mężczyźnie, którego widzieliśmy na dziedzińcu. Ledwo się trzymał na nogach. Nesbit jakby czytał w moich myślach.

- No cóż, kiedy nie ma zbyt dużo do roboty, jak teraz, niestety... Ulegają nałogom. Zimy są bardzo długie.

Już ledwo widzi na oczy, które stały się szkliste i przekrwione, chociaż nie wiem, czy od alkoholu, czy z innego powodu.

- Przecież ludzie wędrują nawet zimą...

- O, tak, mężczyźni wybierają się na polowania i temu podobne, na przykład pan Stewart... Ale ja za tym nie przepadam. - Krzywi się z niesmakiem. - Naturalnie zastawiamy pułapki na zwierzynę. Zadowolamy się wszystkim.

- A czy ktoś stąd ostatnio wrócił z południowego zachodu? Zastanawiam się, czy śladów, które widzieliśmy, nie zostawił jeden z waszych ludzi, a nie mój syn. Wtedy będziemy wiedzieli, że... musimy szukać go gdzie indziej. - Staram się przybrać w miarę obojętny ton głosu, ale lekko zabarwiony smutkiem.

- Jeden z naszych...? - Jest wyraźnie roztargniony, ale niemal komicznie zmarszczył brwi. Cóż, upił się. - Nie sędzę... Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Mogę zapytać...

Uśmiecha się do mnie szczerze. Przypuszczam, że kłamie, ale jestem taka zmęczona, że nie mam pewności. Nagle z taką mocą za władnęło mną pragnienie, żeby się położyć i usnąć, że niemal czuję fizyczny ból. Nie mogę już dłużej z nim walczyć.

- Bardzo mi przykro, panie Nesbit, ale... Muszę się udać na spoczynek.

Wstaje i ujmuje mnie za ramię, jakby się bał, że zaraz upadnę albo ucieknę. Nie orzeźwia mnie nawet chłód panujący na korytarzu.

Coś mnie budzi. Jest prawie ciemno, ciszę zakłóca jedynie wiatr. W pierwszej chwili myślę, że w izbie jest jeszcze ktoś, i siadam z okrzykiem, którego nie udało mi się zdusić. Kiedy wzrok oswaja się z półmrokiem, stwierdzam, że nie ma nikogo. Jeszcze nie świta. Lecz coś mnie obudziło i jestem czujna, serce mi wali, słuch jest wyczulony na

najlżejszy szmer. Zsuwam się z łóżka i wkładam to, co zdjęłam przed zaśnięciem. Biorę lampę, ale sama nie wiem czemu, nie zapalam jej. Podchodzę na paluszkach do drzwi. Na zewnątrz też nie ma nikogo.

Belki stropowe skrzypią i jęczą, wiatr gwizdże, wdzierając się pod gonty. I ten dziwny trzask, bardzo cichy i niewyraźny. Przez długą chwilę nasłuchuję pod każdymi drzwiami, nim przekręcę gałkę, by zajrzeć do środka. Jeden pokój jest zamknięty na klucz; większość pomieszczeń jest pusta, ale przez okno któregoś z nich widzę zieloną poświatę na dworze, migoczącą, świetlistą zasłonę, rozjaśniającą ciemności na północy.

Otwieram kolejne drzwi i widzę Moody'ego. Bez okularów wygląda młodo i bezbronne. Szybko się wycofuję. Muszę odszukać Parkera. Muszę z nim porozmawiać nim popełnię jakieś głupstwo, którego się nie da naprawić. W kilku kolejnych pomieszczeniach nie znajduję nikogo. Po otwarciu jednych drzwi doznaję wstrząsu. Nes-bit leży, pogrążony w głębokim śnie, albo zamroczony alkoholem, a obok niego Indianka, która przyniosła nam kolację. Jedną pulchną rękę położyła mu na piersiach, jej ciemna skóra ostro kontrastuje z jego mlecznobiałą. Oddychają głośno. Odniosłam wrażenie, że kobieta go nienawidzi, a oto śpią tu razem. Jest coś niewinnego w ich wyglądzie, co mnie dziwnie wzrusza. Przyglądam im się dłużej, niż zamierzałam, a potem szczególnie ostrożnie zamykam drzwi, chociaż nie ma obawy, że nagle się obudzą.

W końcu znajduję Parkera tam, gdzie się tego na poły spodziewałam: w stajni, obok psów. Owinął się kocem i położył twarzą do wejścia. Nagle zagubiona, zapalam lampę i siadam, żeby zaczekać, aż się obudzi. Chociaż spaliśmy przez kilka nocy pod jednym kawałkiem płótna, wydaje mi się czymś niewłaściwym kucanie na sianie i obserwowanie go, jak śpi pod dachem. Czuję się jak złodziej.

Po kilku chwilach budzi go światło lampy.

- Panie Parker, to ja, pani Ross.

Szybko przytomnieje, nie musi walczyć z nieprzeniknioną mgłą, która spowija mnie, kiedy się budzę. Jak zwykle nic nie można wy-

czytać z jego twarzy; ale chyba ani nie jest zły, ani zdziwiony moim widokiem.

- Czy coś się stało?

Kręcę głową.

- Coś mnie obudziło, ale nie wiem, co. Gdzie pan się podział wieczorem?

- Musiałem się zająć psami.

Czekam na dalsze wyjaśnienia, ale na próżno.

- Zjadłam kolację z Nesbitem. Pytał, co tu robimy. Powiedziałam, że szukamy mojego syna, który uciekł z domu, i ostatnio widziano go w Himmelvanger. Zapytałam go, czy ostatnio ktoś z tujejszych mieszkańców wrócił z jakiejś wyprawy, odparł, że nie wie. Ale chyba nie był ze mną całkiem szczerzy.

Parker opiera się o ścianę stajni i patrzy na mnie w zamyśleniu.

- Rozmawiałem z jednym mężczyzną i jego żoną. Powiedzieli, że ostatnio nikt nie wyjeżdżał, ale byli nieszczęśliwi. Mówiąc, patrzyli gdzieś w dal albo nad moim ramieniem.

Nie wiem, co o tym sądzić. Potem słyszę coś słabo, ale wyraźnie, jakby gdzieś z daleka, i aż zimne ciarki przechodzą mi po plecach. Nieziemskie wycie, żałosne, a zarazem obojętne. Cała symfonia ujadania. Psy się budzą, z kąta stajni dobiega ciche warknięcie. Patrzę na Parkera, w jego czarne oczy.

- Wilki?

- Daleko stąd.

Wiem, że otacza nas solidne ogrodzenie, przed którym stoją działa, ale i tak te odgłosy mrożą mi krew w żyłach. Nagle ogarnia mnie tęsknota za ciasnym szałasem. Czułam się w nim bezpieczniej. Niewykluczone nawet, że przeszedł mnie dreszcz, i przysuwam się bliżej do Parkera.

- Brakuje im tu wszystkiego. Trudno cokolwiek upolować. Nie mają co jeść.

- Jak to możliwe? Przecież to placówka Kompanii.

Kiwa głową.

- Niektóre z nich są źle zarządzane.

Myślę o Nesbicie w szponach narkomanii. Jeśli to on odpowiada za administrację i zaopatrzenie factorii, nic dziwnego, że tak źle się tu dzieje.

- Nesbit jest uzależniony od opium albo czegoś w tym rodzaju.  
I... - Utkwiłam wzrok w sianie. - I... Ma romans z jedną z Indianek.

Jestem pewna, że starałam się pohamować, ale patrzę Parkerowi w oczy przez sekundę, która przedłuża się do minuty. Żadne z nas nic nie mówi; zupełnie jakbyśmy byli zahipnotyzowani. Nagle uświadamiam sobie, że bardzo głośno oddycham, niewątpliwie słychać, jak mi bije serce. Nawet wilki umilkły i nasłuchują. W końcu odwracam wzrok. W głowie mi się kręci.

- Lepiej wrócę do siebie. Pomyślałam, że powinnam pana odszukać, żeby... żeby się naradzić, co powinniśmy zrobić rano. Uznałam, że rozsądnie będzie przemilczeć prawdziwy powód naszej obecności tutaj. Powiedziałam to panu Moody'emu, chociaż nie wiem, jak ze chce postąpić jutro.

- Nie sądzę, żebyśmy dowiedzieli się czegoś więcej do czasu powrotu Stewarta.

- Co pan o nim wie?

Po krótkim milczeniu Parker kręci głową.

- Nie mogę powiedzieć, póki go nie zobaczę.

Czekam jeszcze chwilę, ale już nie mam powodu, żeby tu zostać. Kiedy wstaję, niechcący dotykam ramieniem jego nogi, którą zagrzebał w sianie. Przysięgam, że nie wiedziałam, że tam jest, ani czyją specjalnie przesunął, by nią dotknąć mnie. Odskakuję jak oparzona i biorę lampę. Cienie tańczą i nie mogę powiedzieć, co maluje się na jego twarzy.

- Cóż, w takim razie dobranoc.

Szybko wychodzę na dziedziniec, urażona, że mi nie odpowiedział. Zimne powietrze natychmiast mnie orzeźwia, ale w głowie nadal kłębią mi się różne myśli; głównie odczuwam nieprzeparowane pragnienie, by wrócić do stajni i położyć się na sianie obok Parkera. Zatonąć w jego zapachu i ciepłe. Co się ze mną dzieje - czyżby

ogarnął mnie strach i poczucie bezradności? Ten dotyk to był błąd. Wielki błąd. Zginął człowiek; Francis potrzebuje mojej pomocy; tylko i wyłącznie dlatego tu jestem.

Zorza świeci na północy niczym piękny sen, wiatr ucichł. Bezhmurne niebo jest zawrotnie wysoko, znów zrobiło się zimno; to przejmujący chłód, który mówi, że nie ma nic pomiędzy mną a bezmiarem kosmosu. Długo wpatruję się w niebo, aż dostaję zawrotów głowy. Zdaję sobie sprawę z tego, że kroczę niebezpieczną ścieżką, ze wszystkich stron otaczają mnie niepewność i grozi mi katastrofa. Nad niczym nie mam kontroli. Niebo ziejże nade mną niczym otchłań, nie ma nic, co powstrzymałoby mnie przed upadkiem, nic poza absurdalnym labiryntem gwiazd.

Kiedy Donald się budzi, za oknem jest już widno. W pierwszej chwili nie pamięta, gdzie się znajduje; dopiero po jakimś czasie sobie przypomina: tu kończą się ślady. Można wytchnąć po tej piekielnej wędrówce. Boli go każdy mięsień, jakby ktoś go obił kijem.

Boże... Czy naprawdę wczoraj wieczorem padł bez zmysłów, jak podcięty? Ta kobieta, która opatrywała mu nogi... Wystawia stopę spod kołdry i widzi świeży opatrunek. Czyli istnieje naprawdę, nie przyśniła mu się. Czy również ona go rozebrała? Nic nie pamięta, ale ogarnia go lekkie zawstydzenie. Nie ulega wątpliwości, że jest zupełnie nagi. Kobieta nawet mu posmarowała maścią i zabandażowała szramę na boku. Maca ręką wokół łóżka, aż znajduje okulary. Kiedy je ma na nosie, czuje się pewniej. Rozgląda się po małej izbie, skromnie umeblowanej, tak jak pokoje gościnne w Fort Edgar. Na dworze jest smętnie, w tej chwili nie pada śnieg, ale wkrótce zacznie sypać. A gdzieś w tych zabudowaniach pani Ross i Parker wypytują ludzi pod jego nieobecność. Jeden Bóg wie, co powiedzą panu Stewartowi, pozostawieni sami sobie. Wygrzebuje się z pościeli i bierze odzienie, starannie poskładane na krześle. Ubiera się, poruszając się sztywno jak starzec. Dziwne (choć właściwie dobrze się złożyło), że teraz, kiedy w końcu są u celu swej podróży, jest taki osłabiony.

Wychodzi na korytarz i przemierza dwa boki wewnętrznego dziedzińca, nie napotykając żywej duszy. Jeszcze nie widział takiej dziwnej faktorii; nie ma tu krzątany, do jakiej przywykł w Fort Ed-

gar. Ciekaw jest, gdzie się podziewa Stewart, dlaczego nie pilnuje porządku. Zegarek mu stanął, więc nie wie, która godzina, czy jest wcześniej, czy później. W końcu otwierają się drzwi w głębi korytarza i wyłania się Nesbit. Zatrzaszkuje drzwi za sobą. Twarz ma zarośniętą, oczy zapadnięte, ale jest ubrany.

- Ach, pan Moody! Mam nadzieję, że pan wypoczął. Jak tam pańskie nogi?

- Znacznie lepiej. Elizabeth była tak dobra i mi je opatrzyła. Obawiam się, że nie wystarczyło mi sił, by jej podziękować.

- Zapraszam na śniadanie. Już powinni rozpalić ogień i coś przygotować. Bóg mi świadkiem, jak trudno zimą nakłonić tych diabłów do roboty. Czy w waszej faktorii też macie takie problemy?

- W Fort Edgar?

- Tak. Gdzie to jest?

Donald jest zdumiony, że Nesbit tego nie wie.

- Nad zatoką Georgian.

- Ach, cywilizacja. Marzę o tym, by mnie przeniesiono gdzieś, gdzie... Gdzieś, gdzie żyją ludzie. Musimy bardzo błado wypadać w pańskich oczach w porównaniu z innymi.

Nesbit prowadzi Donalda do izby, w której byli wczoraj, ale teraz na kominku płonie ogień, wniesiono stół i krzesła; Donald widzi na zakurzonej podłodze, którą je ciągnięto. Najwyraźniej nie przywiązuje się tu dużej wagi do utrzymania porządku. Nie jest pewien, o co tutaj przede wszystkim dbają.

- Czy pani Ross i pan Parker są gdzieś w pobliżu?

Kiedy Nesbit kieruje się ku drzwiom, wchodzi pani Ross. Udało jej się coś zrobić ze swoim ubraniem, bo wygląda całkiem przyzwoicie, ma starannie uczesane włosy. Zdaje się, że lekka odwilż po burzy śnieżnej się skończyła.

- Pan Moody.

- Świetnie, że pani tu jest... A pan Parker?

- Nie wiem. - Spuszcza wzrok, Nesbit wychodzi, nawołując Indiankę. Pani Ross pospiesznie podchodzi do Donalda, twarz ma spiętą.



- Musimy porozmawiać, zanim wróci Nesbit. Wczoraj wieczorem powiedziałam mu, że przybyliśmy tutaj, szukając mojego syna, który uciekł z domu, a nie mordercy. Lepiej trzymać ich w nieświadomości.

Donaldowi ze zdumienia aż odbiera mowę.

- Moja droga pani, żałuję, że nie skonsultowała się pani ze mną, nim wymyśliła pani tę kłamliwą...

- Nie było czasu. Proszę trzymać się tej wersji, inaczej zaczniesz coś podejrzewać. Najlepiej dla nas, gdyby niczego się nie domyślali, chyba się pan ze mną zgadza? - Zaciśnęła usta, oczy ma twarde jak kamienie.

- A jeśli...? - urywa, bo wraca Nesbit, a za nim wchodzi Norah z tacą. Obydwoje uśmiechają się do niego i Donald czuje, że od razu się zorientowali, że potajemnie coś szeptali z panią Ross. Przy odrobinie szczęścia Nesbit uzna, że ich tajemnica ma charakter romantyczny... Na samą myśl się zapłonił. Może ma gorączkę. Siadając za stołem, całą siłą woli przypomina sobie o Susannah. Dziwne, że przez jakiś czas nie myślał o niej.

Pojawia się Parker, a kiedy wszyscy jedzą mięso z rusztu i chleb kukurydziany - Donald tak łapczywie, jakby od wielu dni nic nie miał w ustach - Nesbit wyjaśnia, że Stewart udał się na polowanie z jednym z ludzi, i przeprosza za skromne przyjęcie. Jest jednak dumny z jednego: ostro strofuje Norah za kawę, którą przyniosła. Kobieta w milczeniu ją zabiera i wraca z dzbankiem całkiem innego naparu. Zanim weszła do izby, poprzedził ją aromat prawdziwej kawy, jakiej żadne z nich nie piło od tygodni. Po pierwszym łyku Donald uświadamia sobie, że chyba nigdy do tej pory nie pił równie doskonałej kawy. Nesbit rozsiada się wygodnie na krześle i uśmiecha się szeroko.

- Kawa z Ameryki Południowej. Kupiłem ją w Nowym Jorku. Podaję ją tylko na specjalne okazje.

- Od jak dawna pan tu przebywa, panie Nesbit? - pyta pani Ross.

- Od czterech lat i pięciu miesięcy. Pani jest z Edynburga, prawda?

- Stamtąd pochodzę. - Mówi to takim tonem, że słowa zabrzmiały jak nagana.

- A pan jest z Perth, o ile się nie mylę? - Donald uśmiecha się do niego, chcąc załagodzić sytuację. Potem gromi panią Ross wzrokiem; jeśli nie chce wzbudzać podejrzeń, powinna się zachowywać uprzejmie.

- Z Kincardine.

Zapada milczenie. Pani Ross chłodno patrzy na Donalda.

- Przykro mi, że nie możemy pomóc w sprawie syna pani Ross, który uciekł z domu. Musi się pani bardzo o niego niepokoić.

- Ach, tak. - Donald kiwa głową, skrępowany; aktorstwo nie jest jego mocną stroną. I jest zły na panią Ross, że przejęła inicjatywę, bo przecież to on powinien decydować w sprawach dotyczących Kompanii. Zupełnie nie wie, co teraz zrobić.

- A więc sądzi pan... - zaczyna Donald, ale właśnie wtedy rozlega się gwałtowne tupanie na korytarzu i jakiś krzyk na zewnątrz. Nesbit nagle staje się czujny jak zwierzę, wyteża zmysły i zrywa się ze swojego miejsca. Odwraca się do nich z półuśmiechem, który bardziej przypomina grymas.

- Moi drodzy, myślę... myślę, że wrócił pan Stewart.

Niemal wybiega z izby. Donald i pozostali patrzą po sobie. Donald czuje się urażony - dlaczego Nesbit nie poprosił ich, a przynajmniej jego, by mu towarzyszyli? Uważa, że zachowano się wobec niego niewłaściwie, potraktowano lekceważąco. Po chwili milczenia Donald coś mamrocze pod nosem i z wahaniem wychodzi za Nesbitem na dziedziniec.

Cztery, może pięć osób, mężczyzn i kobiet, otacza mężczyznę i sanie zaprzęgnięte w psy. Z różnych stron przybywają kolejni, niektórzy trzymają się blisko zabudowań, inni podchodzą prosto do przybysza. Donald ma czas na zadanie sobie pytania, skąd się oni wszyscy tu wzięli; większości wcześniej nie widział, rozpoznaje jedynie wysoką kobietę, która wczoraj opatrzyła mu nogi. Przybysz, okutany w futra, z twarzą ukrytą pod futrzanym kapturem, coś mówi do otaczających

go ludzi, a potem zapada cisza. Tylko Donald idzie w ich stronę, parę osób odwraca się w jego kierunku i gapi się na niego jak na cudaka. Zatrzymuje się, zmieszany, a potem z ust wysokiej kobiety, która cały czas była w pierwszej grupie, wydobywa się przeciągłe, piskliwe zawodzenie. Osuwa się na zaspę, wciąż ni to krzycząc, ni szlochając nieludzko. Nikt nie próbuje jej pocieszać.

Jeden z mężczyzn coś mówi do Stewarta, który tylko wzrusza ramionami i kieruje się ku zabudowaniom. Nesbit ostro strofuje mężczyznę i podąża za swoim zwierzchnikiem. Widząc Donalda, obrzuca go gniewnym spojrzeniem, ale opamiętuje się i daje mu znak, by wszedł do środka. Jego twarz ma taki sam kolor, jak brudny śnieg.

- Co się dzieje? - pyta cicho Donald, kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu ludzi na dziedzińcu.

Nesbit zacisnął usta.

- Niestety, Nepapanees uległ wypadkowi. Śmiertelnemu. Tam ta kobieta to jego żona.

Sprawia wrażenie bardzo rozgniewanego. Jakby się zastanawiał, co teraz.

- Ma pan na myśli tę kobietę na śniegu... Elizabeth? Jej mąż zginął?

Nesbit kiwa głową.

- Czasami wydaje mi się, że ciąży na nas jakaś klątwa.

Mówi to cicho, jakby sam do siebie. Potem gwałtownie się odwraca, właściwie blokując drogę Donaldowi. Próbuje jednak się uśmiechnąć.

- To godne ubolewania, ale... Może wróci pan do izby? Dokończmy śniadanie... Muszę pilnie porozmawiać z panem Stewartem. Dołączymy do państwa później.

Donald rozumie, że musi na to przystać, nie ma innego wyjścia. Patrzy, jak Nesbit znika za zakrętem. Jakiś czas kręci się po korytarzu, zaintrygowany i zaniepokojony. Było coś niemal nieprzyzwoitego w sposobie, w jaki Nesbit i sam Stewart potraktowali rozpacz pozostałych, jakby nie chcieli mieć z tym nic wspólnego.

Zamiast wrócić do izby, znów udaje się na dziedziniec. Prosi śnieg, jakby chciał pokazać, że koniec żartów, zaczęła się zima. Płatki są drobniutkie, zdają się wirować w powietrzu, ograniczając widoczność do kilku metrów. Na dworze została tylko pogrążona w smutku kobieta. Siedzi, kiwając się. Pozostali gdzieś zniknęli. Donald jest na nich zły, że zostawili kobietę samą. Na litość boską, przecież biedaczka nawet nie włożyła nic ciepłego; jest w samej sukni z rękawami do łokci. Podchodzi do niej.

Siedzi na piętach, kiwając się, już przestała łąć, oczy ma szeroko otwarte, ale nic nie widzi, rwie sobie włosy z głowy. Nie patrzy na niego. Jest przerażony, widząc nad mokasynem gołą skórę, przyprószoną śniegiem.

- Proszę mi wybaczyć... Pani Bird. - Czuję się niezręcznie, ale nie wie, jak inaczej się do niej zwrócić. - Zamarnie pani tutaj. Proszę wejść do środka.

Nic nie świadczy o tym, że go usłyszała.

- Elizabeth, wczoraj wieczorem była pani dla mnie taka dobra... Proszę wejść do środka. Wiem, że jest pani pogrążona w rozpacz. Proszę pozwolić, że pani pomogę.

Wyciąga rękę, mając nadzieję, że się jej chwyci, ale na próżno. Płatki śniegu padają na jej rzęsy i włosy, rozpuszczają się na jej ramionach. Nie strzepuje ich. Donald, patrząc na nią, jest zaskoczony, że kobieta ma taką pociągłą twarz, delikatne, niemal europejskie rysy. Ale niektórzy Metysi bardziej przypominają białych niż Indian.

- Proszę... - Kładzie dłoń na jej ramieniu i nagle znów rozlega się rozdzierające zawodzenie. Cofa się zaniepokojony; te odgłosy bardziej przypominają wycie zwierzęcia. Traci odwagę. Ostatecznie, co wie o niej i o jej zmarłym mężu? Co może powiedzieć, żeby ukoić jej ból?

Donald rozgląda się, szukając pomocy albo świadków. W padającym śniegu nie widać nikogo, ale w oknie naprzeciwko widzi niewyraźnie czyjąś postać, która ich obserwuje.

Prostuje się i postanawia kogoś poszukać. Może przyjaciółka kobiety nakłoni ją do wejścia do środka; nie czuje się upoważniony

do zaciągania jej siłą ani wniesienia na rękach. Jest pewien, że Jacob wiedziałby, co zrobić, ale nigdzie go nie ma. Otrzepuje śnieg ze spodni i odchodzi od wdowy, chociaż nie może się powstrzymać, by się nie obejrzeć za siebie. Kobieta jest częściowo zasłonięta przez zaspę, niczym jakaś obłąkana na japońskim sztychu. Wpada na pomysł, żeby przynieść jej trochę kawy - przynajmniej tyle może zrobić. Kobieta na pewno jej nie wypije, ale może ucieszy się, że Donald ją poczęstował.

**L**ine leży w ubraniu i patrzy na okno bez zasłon. Torbin i Anna śpią obok niej. Nic im nie powiedziała, bojąc się, że nie zachowają tego w tajemnicy. Wkrótce obudzi dzieci i je ubierze. Będzie to wyglądało jak przygoda. Nie znają jej planów. Powie im dopiero, kiedy znajdą się daleko od Himmelvanger. Żałuje, że nie umówiła się wcześniej - od ponad godziny wszyscy śpią. Stracili godzinę. Jaki szmat drogi mogliby przebyć w tym czasie. Jest jej gorąco, bo włożyła kilka halek pod dwie spódnice, i wszystkie koszule, jedną na drugą, aż jej ręce przypominają serdelki. Espen robi to samo. Dobrze, że jest zima. Znów patrzy na zegar i przestawia wskazówki tak, jak jej to pasuje. Nie może dłużej czekać. Nachyla się i budzi dzieci.

- Słuchajcie, wybierzemy się na wakacje. Ale musicie być bardzo cicho. Zrozumiałyście?

Anna mruga powiekami, naburmuszona.

- Chce mi się spać.

- Będiesz mogła później sobie pospać. Teraz czeka nas przygoda. Proszę włożcie to jak najszybciej.

- Dokąd się udajemy? - Torbin okazuje więcej entuzjazmu. - Na dworze jest ciemno.

- Już prawie świta, spójrz, jest piąta godzina. Długo spaliście. Musimy wcześniej wyruszyć, jeśli chcemy dotrzeć do celu jeszcze dziś.

Wkłada Annie sukienkę przez główkę.

- Chcę zostać.

- Och, Anno. - Ma zaledwie pięć lat; dlaczego jest taka uparta?  
- Włóż tę sukienkę na tę, którą już masz na sobie. Będzie zimno. A dzięki temu będziemy mieli mniej do dźwigania.

- Dokąd pojedziemy?

- Na południe. Gdzie jest cieplej.

- Czy Elke może pojechać z nami? - Elke, córka Britty, jest najlepszą przyjaciółką Torbina.

- Może później. Może dołączą do nas również inni.

- Jestem głodna. - Anna jest niezadowolona i chce, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Line daje jej i Torbinowi po ciasteczku, skradzionym specjalnie na tę okazję, by kupić sobie milczenie dzieci.

Za dziesięć nakazuje im, by się nie odzywały, i nasłuchuje na korytarzu przez całą minutę, nim pociągnie je za sobą. Zamyka drzwi do pokoju, który przez ostatnie trzy lata był ich domem. Panuje cisza. Ciężka torba z jedzeniem i kilkoma przedmiotami osobistymi, z którymi nie potrafi się rozstać, obija się o jej plecy. Przechodzą przez dziedziniec do stajni. Nie ma księżycy i w panujących ciemnościach Line się potyka. Klunie. Torbinowi aż odejmuje mowę, kiedy słyszy, jakie słowa padają z ust matki, ale Line nie ma teraz czasu, żeby się tym przejmować. Czuje tysiąc par oczu na swoich plecach, ze strachu zbyt mocno ściska rączki dzieci, aż Anna zaczyna popłakiwać.

- Przepraszam, skarbie. Już jesteśmy na miejscu. Spójrz. - Otwiera drzwi do stajni. Tu panuje jeszcze większy mrok, ale jest cieplej, słychać, jak konie przestępują z nogi na nogę w swoich boksach. Line przystaje i nasłuchuje.

- Espen?

Jeszcze go nie ma, przysłała z dziećmi kilka minut wcześniej. Ma nadzieję, że Espen się nie spóźni. Mogli jechać już od godziny, z każdym krokiem coraz bardziej oddalając się od Himmelvanger. Line sadza dzieci w pustym boksie.

Jeszcze kilka minut i pojawi się Espen.

Nie ma zegarka, ale po zdrtwieniu palców mniej więcej się orientuje, ile minęło czasu. Ręce ma lodowate. Dzieci przez jakiś czas

marudziły, ale teraz Anna śpi, zwinięta w kłębek, a Torbin opiera się o nią i drzemie. Upłynęła przynajmniej godzina, odkąd tu przyszli, ale Espen nie pojawił się w stajni. Początkowo tłumaczyła sobie, że on zawsze się spóźnia. Nic nie można na to poradzić. Potem zaczęła snuć rozważania: może pomyślał, że jest dopiero druga, może coś mu się poplątało. Potem, kiedy minęła kolejna godzina i nadal się nie pojawił, wyobraziła sobie, że Merete nie mogła usnąć, albo dziecko, choroba lub coś innego uniemożliwiło mu wymknięcie się z domu. Może leży, przeklinając i martwiąc się o nią.

A może w ogóle nie zamierzał przyjść.

Rozważa tę ponurą ewentualność. Nie. Nie zawiódłby jej tak. Nie zawiedzie jej tak.

Da mu jeszcze jedną szansę - albo skompromituje go w obecności wszystkich. Budzi dzieci gwałtowniej, niż to potrzebne.

- Słuchajcie. Nastąpiła zmiana planów. Okazuje się, że dziś nie możemy wyjechać. Musimy to przełożyć na najbliższą noc. Przykro mi... - Ucina ich narzekania. - Przykro mi, ale czasami tak bywa i już.

Przypomina sobie, jak używała tego zwrotu, mówiąc im, że ich ojciec już nigdy nie wróci, więc muszą zamieszkać na pustkowiu. „Nie ma co narzekać. Tak czasami bywa i już”.

Nakazuje im, by zachowały wszystko w tajemnicy - jeśli komukolwiek o tym powiedzą, w ogóle nie będą mogli wyjechać na wakacje, a odmalowała im obraz ciepłego południa, który obojgu się spodobał. Może któregoś dnia będą mogli się tam udać.

Kiedy wstaje, by zaprowadzić dzieci z powrotem do ich pokoju - Przynajmniej wciąż jest ciemno - dostrzega jakiś ruch koło drzwi. Nieruchomieje, a dzieci razem z nią, udzielił się im jej strach. Potem rozlega się czyjś głos.

- Jest tu ktoś?

Przez chwilę - przez ułamek sekundy - wydaje jej się, że to Espen, i serce mocniej jej zabiło. Potem uzmysławia sobie, że to nie głos Espena. Wszystko się wydało.



Mężczyzna podchodzi do nich. Line wrosła w ziemię. Co może powiedzieć? Minęła kolejna sekunda, nim dotarło do niej, że mężczyzna odezwał się po angielsku, a nie po norwesku. To Metys, Jacob. A więc jeszcze nie wszystko stracone. Mężczyzna zapala lampę i unosi ją do góry.

- Och, pani... - Potem uzmysławia sobie, że nie zna albo nie potrafi wymówić jej nazwiska. - Cześć, Torbin. Jak się masz, Anno.

- Przepraszam, jeśli zakłóciliśmy panu spokój - mówi sztywno Line. Co on tu robi? Czy śpi w stajni?

- Nic nie szkodzi.

- Cóż, w takim razie dobranoc. - Uśmiecha się i mija go, a kiedy dzieci idą przed nią przez dziedziniec, odwraca się.

- Proszę nikomu o tym nie mówić. To bardzo ważne. Nikomu. Błagam pana... W przeciwnym razie nie mam po co dłużej żyć. Czy mogę panu zaufać?

Jacob zgasił lampę, jakby zrozumiał konieczność zachowania tego w tajemnicy.

- Tak - mówi tylko. Nawet nie wydaje się zaintrygowany. - Może mi pani zaufać.

Line pomaga się dzieciom rozebrać i obserwuje je, jak zasypiają. Sama jest zbyt rozemocjonowana, by usnąć. Wsuwa torbę za krzesło. Nie ma siły jej rozpakować, wyglądałoby to jak przyznanie się do porażki. Rano będzie musiała porzucić ubrania, by ją ukryć; ma nadzieję, że w ten sposób zwiedzie każdego, kto przypadkiem zajrzy do środka. Och, wyjechać gdzieś, gdzie miałyby swój własny dom, z drzwiami, zamykanymi na klucz. Nienawidzi panującego tu braku prywatności, uwiera ją jak kaganiec.

Podczas śniadania ma się na baczności, udaje wesołą i obojętną. Dopiero w połowie posiłku spojrzała na Espena, ale akurat miał spuszczoną głowę. Nie patrzy w jej stronę. Próbuje ocenić, czy on lub Merete wyglądają na szczególnie zmęczonych, ale trudno powiedzieć. Niemowlę płacze, może dokucza mu kolka. Będzie musiała zaczekać na właściwy moment.

Dopiero po południu nadarza się okazja. Espen przychodzi, kiedy Line karmi kury. Dopiero po minucie zdaje sobie sprawę z jego obecności. Czeka, aż się pierwszy odezwie.

- Line, wybac mi. Bardzo cię przepraszam. Nie wiem, co powiedzieć... Merete nie mogła usnąć, nie wiedziałem, co robić. - Jest niespokojny, patrzy wszędzie, tylko nie na nią. Line wzdycha.

- Cóż, w porządku. Wymyśliłam historyjkę dla dzieci. Wyjedziemy dziś w nocy. O pierwszej.

Przez chwilę milczy.

- Czyżbyś się rozmyślił?

Espen wzdycha. Line czuje, że drży.

- Jeśli tak, wiedz, że nie wyjadę bez ciebie. Zostanę i powiem, że noszę twoje dziecko. Zrobię ci wstyd przed wszystkimi. Przed twoją żoną i dziećmi. Obojętne mi, czy Per mnie wypędzi. Możemy zamarznąć na śmierć. Umrze twoje dziecko i ja. A ty będziesz za to ponosił odpowiedzialność. Jesteś na to gotów?

Espen pobladł.

- Line, nawet nie mów takich rzeczy! To coś strasznego... Nie powiedziałem, że nie wyjadę z tobą. Po prostu jest mi trudno. Muszę tu tyle zostawić... Ty niczego tu nie zostawisz.

- Kochasz ją?

- Kogo? Merete? Wiesz, że nie. Kocham ciebie.

- W takim razie dziś o pierwszej w nocy. Jeśli Merete nie będzie mogła spać, będziesz musiał wymyślić jakąś wymówkę.

Espen ma zrezygnowaną minę. Wszystko będzie dobrze. Po prostu jest jednym z wielu mężczyzn, których trzeba prowadzić za rękę.

Ale Line i tak nie wie, jak dotrwa do wieczora. Nie może usiedzieć spokojnie. Britta widząc, jak się wierci, kiedy szyją kołdry, mówi:

- Co się z tobą dzieje? Masz robaki?

Line jedynie się uśmiecha.

Ale w końcu jest pierwsza w nocy i znów idą do stajni. Jak tylko zamknęła drzwi za nimi, czuje, że Espen już jest. W ciemnościach wymawia szeptem jej imię.

- To my - odpowiada.

Mężczyzna zapala lampę i uśmiecha się do dzieci, które przyglądają mu się nieśmiało, zawstydzone.

- Cieszy się na wakacje?

- Dlaczego musimy wyjeżdżać w środku nocy? Czy uciekamy?

- To pyta bystry Torbin.

- Skądże znowu. Musimy wyruszyć wcześniej, żeby przejechać spory kawałek drogi, nim znów zrobi się ciemno. Tak ludzie podróżują zimą.

- Pospieszcie się, dość tego gadania. Zobaczycie, jak dotrzemy na miejsce. - Line się denerwuje, mówi ostrym głosem.

Espen mocuje torby do siodła - już wcześniej przygotował konie do drogi. Line ogarnia fala czułości na widok tych mocnych, wolnych zwierząt; robią to, o co je poprosić, nie sprzeciwiając się, nawet o pierwszej w nocy. Wyprowadzają konie na dziedziniec, gdzie jest takie błoto, że kopyta zwierząt nie robią hałasu. W całym Himmelvanger nie pali się nigdzie światło, ale prowadzą konie do skupiska brzoź, niewidocznych z okien, i dopiero tam Espen pomaga Line i dzieciom dosiąść koni, a potem sam wskakuje na siodło za Torbinem. Line trzyma w dłoni skradziony kompas.

- Najpierw musimy się skierować na południowy wschód. - Spogląda na niebo. - Patrzcie, są gwiazdy. Ułatwią nam zadanie. Udamy się w stronę tej tam, widzicie?

- Nie poprosisz Pana Boga o błogosławieństwo przed podróżą?  
- Torbin się odwraca, żeby spojrzeć na matkę. Czasami bywa niezwykle pedantyczny, zawsze chce postępować, jak należy, a od trzech lat mieszka w Himmelvanger, gdzie wszyscy się modlą, zanim cokolwiek zrobią.

- Naturalnie. Właśnie miałam taki zamiar.

Espen ściąga wodze swojemu wierzchowcowi i spuszcza głowę. Mamrocze szybko, jakby Per potrafił dosłyszeć modlitwę, odmawianą w promieniu kilku kilometrów.

- Niech Pan Bóg, król wszystkiego w niebie i na ziemi, który wszystko widzi i wszystko chroni, miał nas w swej opiece podczas

tej podróży, prowadził nas z dala od niebezpieczeństw i dbał o to, byśmy nie zboczyli z właściwej drogi. Amen.

Line wbija pięty w boki konia. Ciemne zabudowania Himmelvanger stają się coraz mniejsze. Przy bezchmurnym niebie jest zimno. Znacznie zimniej, niż poprzedniej nocy. Wyruszyli w samą porę.

Odkąd ojciec wrócił do domu z aresztu, sprawia wrażenie innego człowieka. Siedzi samotnie w swoim gabinecie, nie czyta, nie pisze listów ani nie zajmuje się niczym innym, tylko wygląda przez okno. Maria to wie, ponieważ zajrzała przez dziurkę od klucza, bo zabroniono jej przeszkadzać ojcu. To do niego niepodobne tak się od niej odciąć, więc się niepokoi.

Susannah też się niepokoi, ale z innych powodów. Naturalnie, że martwi się o ojca, który zachowuje się tak osobliwie, chociaż nadal spożywa wszystkie posiłki z rodziną i jest w miarę pogodny. Ale przecież, tłumaczy swojej siostrze, w tej chwili nie może pełnić obowiązków sędziego pokoju, więc czym ma się zająć? Nie, Susannah całym sercem przejmuje się losem Donalda. Razem z Jacobem wyruszył z Caulfield trzy tygodnie temu, czyli właściwie niezbyt dawno. Ale spodziewali się, że szybciej wrócą. Maria i Susannah rozważały, z jakiego powodu przedłużyła się ich nieobecność. Najbardziej oczywista odpowiedź brzmi tak, że nie znaleźli Francisa Rossa. Gdyby nie żył, już by wrócili. Albo gdyby znaleźli go gdzieś w pobliżu.

- A jeśli odnaleźli Francisa i on ich zabił, by uciec przed sprawiedliwością? - pyta Susannah. Czy ma okrągłe, jest bliska łez.

Maria patrzy na nią z politowaniem.

- Naprawdę wyobrażasz sobie, że Francis Ross mógłby zabić pana Moody'ego i Jacoba? Przecież obaj są uzbrojeni. Poza tym jest od nich słabszy. I nie wyższy od ciebie. Przysięgam, że to największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałam.

- Mario... - upominają matka, zajęta robotką.

Susannah wzrusza ramionami, poirytowana.

- Uważam tylko, że do tej pory powinniśmy już dostać od nich jakąś wiadomość.

- Może nie mają przez kogo wysłać wiadomości.

- Och, przecież nie są pośrodku... Mongolii Zewnętrznej.

- Prawdę mówiąc, Mongolia jest znacznie gęściej zaludniona od Kanady - Maria nie może się powstrzymać od komentarza.

- Jeśli w ten sposób chciałaś mnie uspokoić, to... To ci się nie udało! - Susannah wstaje i wychodzi z salonu, zatrząskując za sobą drzwiami.

- Mogłabyś być dla niej miłsza - łagodnie strofuje ją pani Knox.

- Niepokoi się.

Maria milczy. Ona też się martwi, ale jak zwykle wszyscy bardziej się przejmują stanem emocjonalnym Susannah niż jej.

- To naprawdę niepokojące. Można byłoby się spodziewać jakiejś wiadomości do tego czasu. Właściwie dziwię się, że Kompania nie wysłała kogoś na ich poszukiwanie.

- Cóż, z doświadczenia wiem - pani Knox odgryza nitkę - że złe wiadomości najszybciej się rozchodzą.

Atmosfera w domu jest duszna, ojciec siedzi w swoim gabinecie niczym sfinks, Susannah zalewa się łzami, a matka jest dziwnie opamnowana. Maria dochodzi do wniosku, że musi uciec od nich wszystkich. Bo prawda jest taka, że lekko ją zaniepokoiła własna reakcja na rozmowę o panu Moodym. Ona też się zastanawia, co się z nimi dzieje, i ma nadzieję, że nie stało się nic złego. Tak samo niepokoiłaby się o każdego znajomego, od którego przez jakiś czas nie miałyby żadnych wiadomości. To jeszcze nic nie znaczy. Ale wyobraziła sobie jego twarz i zdumiała ją, że zapamiętała ją tak dokładnie: piegi na policzkach, okulary zjeżdżające z nosa, ironiczny uśmiezek, gdy zada mu się jakieś pytanie, jakby wątpił, czy uda mu się na nie odpowiedzieć, ale i tak gotów jest zaryzykować.

Kiedy dociera do sklepu, na butach i spódnicy ma kilka centymetrów śniegowej brei. Za ladą stoi pani Scott i tylko nieznacznie unosi głowę

na wejście klienta. Gdy ją wita, Maria dostrzega żółtawego siniaka na lewym policzku, który jest lekko spuchnięty, przez co jej twarz straciła swoją idealną symetrię. Pani Scott - a raczej Rachel Spence, bo tak się kiedyś nazywała - grała Matkę Boską w szkolnej szopce. Starsi mieszkańcy osady wciąż jej o tym przypominają, ale już dawno przestali pytać o nieszczęśliwe wypadki, którym ostatnio często ulega.

Pan Sturrock jest w swoim pokoju. Maria czeka obok pieca na dole, nie mając pewności, czy się z nią spotka, ale minutę później schodzi na dół.

- Panna Knox! Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Obawiam się, że nudzie, panie Sturrock.

Wzrusza ramionami, odbierając to w takim duchu, jaki był zamierzony.

- Cieszę się, że przywiodła panią tutaj.

Jest w nim coś takiego, co sprawia, że Marię ogarnia skrepowanie. Gdyby był młodszy, podejrzewałaby, że umizguje się do niej. Może to robi. Maria myśli, że to zrozumiałe, iż wzbudza zainteresowanie jedynie u mężczyzny starszego od jej ojca.

Sturrock prosi o kawę, a potem mówi:

- Czy uznałaby pani za coś wysoce niewłaściwego, gdybym zaprosił panią do swojego pokoju? Mam tam coś, co bardzo chciałbym pani pokazać.

- Nie, nie uznałabym tego za coś wysoce niewłaściwego. - I o dziwo, mimo swoich wcześniejszych podejrzeń, naprawdę tak uważa.

W pokoju unosi się zapach stęchlizny, ale panuje w nim porządek. Sturrock zabiera ze stołu pod oknem plik papierów i przysuwa do niego dwa krzesła. Maria siada, rozkoszując się jego atencją. W młodości musiał być wyjątkowo przystojnym mężczyzną, właściwie nadal nim jest z tymi gęstymi, siwymi włosami i przejrzystymi, niebieskimi oczami. Śmieje się w duchu ze swojej głupoty.

Za oknem widać fragment ulicy przed sklepem; idealne miejsce do obserwowania pieszych. Każdy mieszkaniec Caulfield wcześniej czy później przychodzi do sklepu. W oddali widać nawet częściowo jej dom, a za nim - przestwór szarych wód pod niskimi chmurami.

- Nie można powiedzieć, że mam tu luksusowe warunki, ale jest całkiem znośnie.

- Pracuje pan tutaj?

- Można tak powiedzieć. - Siada i podsuwa jej kartkę papieru. -

Co pani o tym myśli?

Maria bierze zmiętą kartkę, wydartą z notesu. Są na niej jakieś znaczki, zrobione ołówkiem, ale w pierwszej chwili trudno jej się zorientować, gdzie jest góra, a gdzie - dół. Małe, kanciaste symbole składające się głównie z kreseczek, biegnących pod różnym kątem: ukośnie, równoległe i tak dalej. Wokół tych znaczków widnieje kilka figurek, ale nie wiadomo, czy tworzą jakiś wzór. Uważnie się im przygląda.

- Przykro mi, że pana rozczaruję, ale nic z tego nie rozumiem. Czy to stanowi całość?

- Tak, o ile mi wiadomo. Skopiowałem wszystko, lecz nie można wykluczyć, że istnieją inne, podobne.

- Z czego to pan skopiował? To nie jest dokument babiloński, chociaż pod pewnymi względami przypomina pismo klinowe.

- Ja też miałem takie skojarzenie. Ale to ani pismo babilońskie, ani hieroglify, ani pismo linearne. Nie jest to też napisane w sanskrycie, w języku hebrajskim, aramejskim czy arabskim.

Maria się uśmiecha; dał jej do rozwiązania zagadkę, a ona lubi zagadki.

- Cóż, to nie pismo chińskie ani japońskie. Pierwszy raz widzę coś takiego. Czy te znaczki to... to zapis jakiegoś języka afrykańskiego?

Sturrock kręci głową.

- Byłbym pod wrażeniem, gdyby udało się pani to rozszyfrować. Pokazywałem to w muzeach i na uniwersytetach, konsultowałem się z wieloma lingwistami, ale żaden z nich nie miał pojęcia, co to takiego.

- A co skłania pana do przypuszczenia, że to coś więcej, niż... niż abstrakcyjny wzór? Te figurki wyglądają, jakby je narysowało dziecko.



- Obawiam się, że to raczej mój brak umiejętności wiernego ich skopiowania. Te oryginalne były znacznie bardziej finezyjne. Jak pani powiedziała, to tylko część całości. I owszem, uważam, że to coś więcej, niż jakieś tam sobie karby.

- Karby?

- Te symbole są wyryte w kawałku kości i zabarwione jakimś czarnym pigmentem, prawdopodobnie sadzą. Są bardzo starannie wykonane. Figurki biegają wokoło, jedna za drugą. Według mnie te znaczki stanowią zapis jakiegoś wydarzenia, a figurki - jego ilustrację.

- Naprawdę? Sam pan doszedł do takich wniosków? A gdzie znajduje się oryginał?

- Chciałbym to wiedzieć. Mężczyzna, który był jego właścicielem, obiecał, że mi go sprzeda, ale... - Wzrusza ramionami. Maria uważnie mu się przygląda.

- Czy tym mężczyzną był... Jammet?

- Zgadła pani.

Aż przeszedł ją dreszcz zadowolenia.

- W takim razie kość powinna się znajdować wśród jego rzeczy, prawda?

- Zniknęła.

- Zniknęła? Chce pan powiedzieć, że ją skradziono?

- Tego nie wiem. Albo ją skradziono, albo Jammet komuś ją sprzedał bądź podarował. Ale według mnie te dwie ostatnie ewentualności są mało prawdopodobne, bo obiecał, że zatrzyma ją dla mnie.

- A więc... Czeka pan, żeby się przekonać, czy pan Moody przywiezie ją ze sobą?

- Może to płonna nadzieja, ale owszem.

Maria znów patrzy na kartkę.

- Wie pan, coś mi to przypomina... Znaczy się te figurki. Ale nie jestem pewna, co. Nie mogę sobie przypomnieć.

- Byłbym wdzięczny, gdyby spróbowała pani sobie przypomnieć.

- Panie Sturrock, proszę skrócić moje cierpienia. Co to takiego?  
- Żałuję, że nie mogę spełnić pani prośby. Nie wiem, co to takiego.

- Ale ma pan jakąś teorię.

- Tak. Może się to wydać czymś nieprawdopodobnym, ale... ale mam... Cóż, „nadzieja” to chyba najlepsze słowo. Mam nadzieję, że to pismo Indian.

- Ma pan na myśli Indian amerykańskich? Przecież wszyscy wiedzą, że nie istnieje nic takiego jak pismo Indian.

- Może kiedyś istniało.

Maria zastanawia się nad jego słowami. Jest zupełnie poważna.

- Ile lat liczy sobie oryginał?

- Cóż... Musiałbym go mieć, żeby to określić.

- Wie pan, skąd pochodzi?

- Nie, i teraz będzie to trudno ustalić.

- Czyli... - Starannie dobiera słowa, nie chcąc go urazić. - Naturalnie brał pan pod uwagę, że może to być podróbka?

- Tak. Ale na ogół ludzie wykonują podróbki, jeśli coś mogą na tym zyskać. Kiedy istnieje rynek zbytu na takie rzeczy. Dlaczego ktoś miałby sobie zadać tyle trudu, by zrobić coś, co nie ma żadnej wartości?

- Ale dlatego jest pan w Caulfield, prawda? Czyli musi pan w to wierzyć.

- Nie jestem bogaty. - Uśmiecha się autoironicznie. - Ale zawsze istnieje prawdopodobieństwo, chociażby niewielkie, że to autentyk.

Maria znów się uśmiecha, nie wiedząc, co myśleć. Jej wrodzony sceptycyzm stanowi barierę chroniącą ją przed ośmieszeniem. Przyzwyczała się występować w roli adwokata diabła. Ale obawia się, że pan Sturrock podąża fałszywym tropem.

- Te figurki... Przypominają mi rysunki Indian. Widziałam podobne na kalendarzach i temu podobnych.

- Widzę, że pani nie przekonałem.

- Sama nie wiem. Może gdybym zobaczyła oryginał...

- Naturalnie, to absolutnie konieczne. I ma pani rację, właśnie dlatego tu jestem. Interesuję się historią Indian i ich sprawami. Kiedyś pisałem artykuły na ten temat. Byłem nawet z nich znany. I jestem przekonany... - Urywa i wygląda przez okno. - I jestem przekonany, że gdyby Indianie posiadali własne pismo, zupełnie inaczej byśmy ich traktowali.

- Może ma pan rację.

- Miałem przyjaciela, Indianina, który nie wykluczał takiej ewentualności. Widzi pani, to nie jest zupełnie niewyobrażalne.

Jeśli czuje rozczarowanie jej odpowiedzią, nie daje tego po sobie poznać. Maria, myśląc, że może była zbyt surowa, sięga po kartkę.

- Czy mogę to skopiować? Jeśli pan pozwoli... Mogłabym to zabrać i... i spróbować coś z tym fantem zrobić.

- Na przykład co?

- Pismo to swego rodzaju szyfr, prawda? A każdy szyfr można złamać. - Wzrusza ramionami, by sobie nie pomyślał, że się na tym zna. Sturrock się uśmiecha i przysuwa kartkę do niej.

- Naturalnie, bardzo proszę. Sam próbowałem, ale bez powodzenia.

Maria wątpi, czy na coś się przyda, ale przynajmniej dzięki temu przestanie się zamartwiać tym, co ją otacza ze wszystkich stron.

Jest w średnim wieku, średniego wzrostu, ma uderzająco niebieskie oczy i ogorzałą twarz, mocno szpakowate, krótko obcięte włosy. Gdyby nie oczy, wyglądałby zupełnie nijako, chociaż sprawia ogólne wrażenie człowieka skromnego, uroczego, godnego zaufania. Wyobrażam go sobie jako prawnika albo doktora, jakiegoś urzędnika państwowego, który poświęcił swoją inteligencję dobru ogółu - gdyby nie te oczy, przeszywające, przenikliwe, bystre, a zarazem rozmarzone. Oczy proroka. Jestem zaskoczona, nawet oczarowana. Nie wiem, czemu spodziewałam się potwora.

- Pani Ross, jestem zachwycony, że mogę panią poznać. - Stewart ujmuje moją rękę i lekko się kłania. Kiwam głową. - A pan to niewątpliwie Moody. Bardzo się cieszę ze spotkania z panem. Frank powiedział mi, że pracuje pan nad zatoką Georgian. Śliczne okolice.

- Tak, rzeczywiście - mówi Moody z uśmiechem, ściskając mu dłoń. - Ja też bardzo się cieszę, że mam okazję pana poznać. Dużo o panu słyszałem.

- No, cóż... - Stewart z uśmiechem kręci głową, jakby był zakłopotany. - Panie Parker, chyba powinienem panu podziękować, że był pan przewodnikiem podczas takiej trudnej wyprawy.

Parker waha się przez ułamek sekundy, nim ściska wyciągniętą rękę Stewarta. Na twarzy tego ostatniego nie widzę nic, co by świadczyło, iż rozpoznał Parkera.

- Panie Stewart, cieszę się, że znów pana widzę.

- Znów? - Stewart jest lekko zdziwiony. - Przepraszam, ale nie przypominam sobie...

- William Parker. Clear Lake. Piętnaście lat temu.

- Clear Lake? Musi mi pan wybaczyć, panie Parker, nie mam już takiej pamięci, jak kiedyś. - Uśmiecha się rozbrajająco. Parker pozostaje poważny.

- Może będzie panu łatwiej, jeśli podwinie pan lewy rękaw.

Twarz Stewarta ulega zmianie, przez chwilę nie potrafię nic z niej wyczytać. Potem wybucha on śmiechem i klepie Parkera po ramieniu.

- Mój Boże! Jak mogłem zapomnieć? William! Ależ naturalnie. No cóż, minęło dużo czasu, jak sam powiedziałeś. - Poważniej. - Proszę mi wybaczyć, że nie mogłem się z państwem przywitać zaraz po przyjeździe. Ale wydarzył się tragiczny wypadek, jak z pewnością słyszeliście.

Kiwamy głowami, jak uczniowie nauczycielowi.

- Nepapanees był jednym z moich najlepszych ludzi. Polowaliśmy nad rzeką niedaleko stąd. - Urywa i wydaje mi się, że widzę łzy w jego oczach. - Tropiliśmy zwierzynę i... Nadal nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Nepapanees był bardzo doświadczonym tropicielem i dobrym myśliwym. Nikt nie znał lasu lepiej od niego. Ale kiedy podążał śladami, biegnącymi wzdłuż rzeki, wszedł na cienki lód, który się pod nim załamał.

Urywa, utkwivszy wzrok w jakimś odległym punkcie. Widzę, że jego twarz, która w pierwszej chwili wzbudza takie zaufanie, jest pokryta zmarszczkami i zmęczona. Mógłby mieć czterdzieści lat. Albo piętnaście więcej. Trudno powiedzieć.

- W jednej chwili był ze mną, w następnej przepadł. Wpadł do wody i chociaż podczołgałem się najdalej, jak mogłem, nigdzie go nie widziałem. Nawet zanurzyłem głowę pod wodą, ale na próżno. Wciąż zadaję sobie pytanie, czy mogłem zrobić coś więcej.

Kręci głową.

- Można coś zrobić tysiąc razy i nie zastanawiać się nad tym, Weźmy chodzenie po lodzie. Człowiek wie, jaką grubość ma pokrywa, czy prąd jest silny, czy słaby. Ale kiedy następnym razem stawia na nim nogę po tych wszystkich razach, kiedy wiedział, że nic mu nie grozi, popełnia błąd i lód nie wytrzymuje jego ciężaru.

Moody ze współczuciem kiwa głową. Parker uważnie obserwuje Stewarta z taką samą miną, jaką u niego widziałam, kiedy przyglądał się ziemi, szukając tropów. Nie wiem, cóż takiego zagadkowego widzi; Stewart okazuje jedynie smutek i przygnębienie.

- Ta kobieta to jego żona? - pytam.

- Biedna Elizabeth. Tak. Mają czwórkę dzieci; czworo dzieci bez ojca. Straszna rzecz. Widziałem, że poszedł pan do niej - zwraca się do Moody'ego. - Może uznał pan, że jesteśmy bezduszni, zostawiając ją samą. Ale ci ludzie już tacy są. Uważają, że w takiej chwili nikt nie może nic powiedzieć. Opłakują zmarłych na swój sposób.

- Lec chyba mogli jej powiedzieć, że nie jest sama? Do tego ta pogoda...

- Ale przecież jest zupełnie sama w swoim żalu, prawda? On miał tylko jedną żonę, a ona tylko jednego męża. - Zwraca swoje zdumiewająco niebieskie oczy w moją stronę i nie mogę się z nim nie zgodzić. - Jest jej szczególnie ciężko, bo nie przywozłem jego zwłok. Dla Indian utonięcie to pech. Wierzą, że dusza topielca nie może się uwolnić od ciała. Elizabeth jest przynajmniej ochrzczona, więc może znajdzie jakąś pociechę w Bogu. Dzieci też. Dobrze się złożyło.

Chociaż wszyscy są w szoku, Stewart nalega, by nam pokazać faktorię. Orowadzanie gości uważane jest za dowód kurtuazji, ale tym razem wydaje się koturnowe i nierealne, jakbyśmy odgrywali role, pomrukując z aprobatą.

Najpierw zwiedzamy główny budynek, wzniesiony po trzech bokach kwadratowego dziedzińca. Przez całą długość parterowego drewnianego domu biegnie korytarz, po którego obu stronach znajdują się pokoje. Coraz wyraźniej dostrzegamy różnice między dawnym a obecnym Hanover. Jedno całe skrzydło przeznaczone było dla gości; mogło ich pomieścić kilkanaścioro. Okna pokoiów, które nam przydzielono, wychodzą na rzekę i równinę. Teraz wszystko jest białe i szare, kolory niedostrzegalnie zlewają się ze sobą, przecinane jedynie brązowymi palami ogrodzenia. Ale latem musi tu być pięknie. W budynku znajduje się również jadalnia, która bez długiego stołu wygląda

żałośnie. Kiedyś, mówi nam Stewart, kiedy Hanover leżało w samym środku krainy obfitującej w zwierzęta futerkowe, faktoria mogła pomieścić stu ludzi z rodzinami. Osiągała pokaźne zyski, więc organizowano uczyty trwające całą noc. Ale wszystko to było dawno, na długo przed nastaniem Stewarta. Przez ostatnie dwadzieścia lat jakoś sobie radził, dysponując garstką ludzi. Kompania chce zaznaczyć tu swoją obecność bardziej z uwagi na przeszłość niż ze względów ekonomicznych. Długa, środkowa część budynku jest prawie pusta; kiedyś mieszkali tu urzędnicy, teraz to królestwo pajaków i myszy. Zamiast kilkunastu pracowników Kompanii są tu teraz jedynie Stewart i Nesbit. Poza nimi w tej części budynku mieszka tylko główny tłumacz, Olivier, chłopak niewiele starszy od Francisa. Stewart woła go, by się z nami przywitał. Jeśli jest pogrążony w żalu, dobrze to ukrywa. To bystry chłopak, który bardzo chce się przypodobać. Stewart z dumą mówi, że Olivier biegle zna cztery języki, do czego niewątpliwie przyczyniło się to, że jedno z jego rodziców mówiło po angielsku, drugie - po francusku, a do tego pochodzili z różnych plemion indiańskich.

- Olivier wysoko zajdzie w Kompanii - mówi Stewart i Indianin rozpromienia się, wyraźnie szczęśliwy. Zastanawiam się, czy to prawda; jaką pozycję może zdobyć czerwonoskóry w firmie należącej do obcokrajowców? Ale może jego sytuacja nie jest najgorsza. Ma pracę, jest zdolny, a Stewart przyjął rolę jego mentora.

Z drugiego skrzydła, w którym znajdują się biura, Stewart zabiera nas do magazynu, gdzie przechowywany jest towar. Wyjaśnia, że większość futer wysłali latem, więc teraz zapasy są małe. Zimą traperzy polują i dopiero wiosną przywożą skóry do faktorii, żeby je sprzedać. Donald pyta o koszty i zyski, Stewart udziela mu odpowiedzi, chwalać jego znajomość rzeczy. Patrę na Parkera, żeby ocenić jego reakcję, ale nie zaszczyca mnie spojrzeniem. Czuję się zlekceważona. Ponieważ nikt nie zwraca na mnie uwagi, rozglądam się i coś przykuwa mój wzrok. Pochyliłam się i podnoszę kawałek kartki. Są na niej wypisane jakieś litery i cyfry: 66HBPH, a dalej - nazwy

zwierząt. Przypominam sobie, że wciąż mam świstek papieru, który Jammet tak starannie ukrył w swojej chacie.

- Co to takiego? - podaję kartkę Stewartowi.

- To oznaczenie partii towaru. - Mówi tylko do mnie, bo tylko ja jedna nie znam procedur obowiązujących w Kompanii. - Kiedy pakujemy futra, na wierzchu umieszczamy specyfikację, żebyśmy wiedzieli, czy coś się po drodze nie zapodziało. Kod na początku oznacza sezon, liczony od czerwca do końca maja, w tym wypadku chodzi o zeszły rok, następnie mamy oczywiście kompanię, litera P to okręg, czyli Missinaibi, i faktoria - Hanover, H. Dzięki temu wiadomo, skąd pochodzi każda partia towaru i kiedy została wysłana.

Kiwam głową. Nie pamiętam liter na kartce Jammeta, wiem tylko, że pochodziły sprzed kilku lat; może z czasów, kiedy tu pracował. Jako dowód pozostawia wiele do życzenia.

Za magazynami są stajnie, prawie puste, nie licząc psów i dwóch małych kucy. A dalej siedem czy osiem drewnianych chat, w których mieszkają traperzy z rodzinami, i kaplica.

- Zwykle przedstawiłbym państwu wszystkich, ale dziś... Tworzymy zżyłą społeczność, szczególnie teraz, kiedy została nas tu taka garstka. Wszyscy są pogrążeni w żalu. Proszę się nie krepować...

- Odwraca się i znów bardziej mówi to do mnie, niż do reszty - I zachodzić do kaplicy, kiedy tylko macie ochotę. Jest zawsze otwarta.

- Panie Stewart, wiem, że w tej chwili ma pan wiele spraw na głowie, ale orientuje się pan, że przybyliśmy tu w pewnym celu?

- Obojętne mi, czy to właściwy moment, by o tym mówić, nie chcę, żeby Moody pierwszy o tym napomknął.

- Naturalnie. Frank coś wspomniał... Szukacie kogoś, tak?

- Mojego syna. Podążaliśmy jego śladami. Przywiodły nas tutaj... Albo przynajmniej gdzieś w pobliże. Nie widział pan ostatnio w okolicy żadnych obcych? Mój syn ma siedemnaście lat, czarne włosy...

- Nie, przykro mi. Przed wami nie mieliśmy żadnych gości. Obawiam się, że przez to wszystko zupełnie wyleciało mi to z głowy, ale zapytam innych. Chociaż nic mi nie wiadomo, by ktokolwiek nas odwiedził.



A więc na razie tyle. Moody jest bardzo ze mnie niezadowolony, lecz to najmniejsze z moich zmartwień.

Stewart zostawia nas, by zająć się jakimiś sprawami Kompanii, a ja zwracam się do Parkera i Moody'ego. Jesteśmy w salonie, gdzie dzięki ogniowi na kominku jest całkiem znośnie. Nad kominkiem wisi obraz olejny przedstawiający anioły.

- Wczoraj wieczorem, zaraz po naszym przyjeździe, słyszałam, jak Nesbit groził jakiejś kobiecie. Powiedział, że poczuje jego rękę, jeśli choćby słówkiem wspomni o „nim”. Właśnie tak powiedział: „o nim”. Była innego zdania, pokłócili się. A potem Nesbit jej powiedział, że może ją spotkać coś złego, kiedy „on” wróci. Chyba chodziło o Stewarta.

- Co to za kobieta? - pyta Moody.

- Nie wiem. Nie widziałam jej, a mówiła ciszej od niego.

Waham się, czy powiedzieć Moodyemu o Nesbicie i Norah. Mam dziwne przeczucie, że to ją słyszałam; wygląda na kłótnicę. Ale wtedy drzwi się otwierają i wchodzi Olivier, młody tłumacz. Można pomyśleć, że przysłano go, by nas zabawiał. Ale ja odnoszę wrażenie, że ktoś chce mieć nas na oku.

Słyszała kiedyś o kobiecie doprowadzonej do ostateczności, bo mąż jej zagroził, że ją zabije. Udała się do najbliższej faktorii Kompanii, stanęła przed bramą i położyła na ziemi przed sobą cały swój dobytek. Najpierw podpaliła swoje rzeczy. Potem przytknęła zapalnik do woreczka, który miała na szyi. Był w nim proch strzelniczy. Straciła wzrok, miała poparzoną twarz i piersi. Ale przeżyła. Więc wzięła sznur i postanowiła się powiesić na gałęzi drzewa. Lecz i ta próba się nie powiodła. Potem wzięła długą igłę i wbiła ją sobie w prawe ucho. Ale wciąż żyła, nawet z igłą w głowie. Jeszcze nie nadszedł jej czas i dusza nie chciała opuścić ciała. Więc się pogodziła z losem i wyjechała, by gdzieś indziej zacząć nowe życie. I udało jej się. Nazywała się „Ptak, który lata w słońcu”.

Dziwne, że z takimi szczegółami zapamiętała tę historię. Imię kobiety, to, że wbiła sobie igłę w prawe ucho. Imię może dlatego, że trochę przypomina jej nazwisko. Nie wie o tej kobiecie nic poza tym, że ona również wiedziała, co to znaczy pragnąć śmierci. Gdyby nie dzieci, myśli sobie, też próbowałyby się powiesić. Alec jakoś by sobie poradził; ma trzynaście lat, jest mądry, już pracuje, terminuje u Oliviera jako tłumacz. Josiah i William są młodszy, ale mają mniej wyobraźni, więc się tak nie boją. Lecz Amy jest jeszcze malutka, a dziewczynki wymagają więcej troski na tym świecie, więc będzie musiała na nim pozostać jeszcze przez kilka lat, aż nadejdzie jej czas. Ale bez męża u swego boku zawsze będzie się czuła tak, jakby była zima.

Nie zdając sobie sprawy z tego, że wygląda przez okno, widzi gości, którzy przyszedli i stoją kilka metrów od domu, patrząc w jej stronę.

Domyśla się, że rozmawiają o niej; Stewart z pewnością opowiada im, jak zginął jej mąż. Już mu nie ufa; zmusza swoich rozmówców do zachowywania w tajemnicy tego, co im powiedział. Zabronił jej mężowi mówić o tym, co mu zdradził w sekrecie. Nepapanees źle się z tym czuł, starał się o tym nie pamiętać, kiedy wracał z polowania.

Tamtego ranka (spodziewała się jego powrotu, jak tylko się obudziła, Amy zapytała, czy tata dziś wróci, a ona powiedziała: tak) poszła do zachodniej bramy, słysząc, jak w oddali szczekają psy, i uśmiechała się do siebie. Miała tak doskonały słuch, że była pewna, iż słyszy, jak płozy suną po śniegu. Chociaż od tylu lat byli małżeństwem, nadal się uśmiechała, kiedy wracał do domu. Usłyszała psy i weszła na małe wzniesienie, z którego można było zobaczyć, co jest za ogrodzeniem. Ale ujrziała tylko jednego człowieka z saniami. Stała i go obserwowała, aż dotarł do palisady, a potem udała się na dziedziniec, by wysłuchać, co ma do powiedzenia, chociaż już wiedziała. Inni, William i George, Kenowas i Mary, też zobaczyli, że wrócił sam, i przyszli się dowiedzieć, co się stało. Ale on przemówił bezpośrednio do niej. Spoglądał na nią tymi swoimi niebieskimi oczami tak, że ją zahipnotyzował, więc nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Nie pamięta, co się później działo. Wie, że po jakimś czasie pojawił się ten przyjezdny, mooniyas\* ze szramą po ranie zadanej nożem i otartymi nogami. Próbował z nią rozmawiać, ale jego głos przypominał brzęczenie pszczoł i nie rozumiała, co mówi. Potem przyniósł jej kubek kawy i postawił na śniegu obok niej. Nie pamięta, by o nią prosiła, chociaż może to zrobiła. Kawa pachniała o wiele ładniej od tej, którą piła do tej pory. Patrzyła, jak drobniutkie płatki śniegu padają na czarny płyn i się roztopiają. Opadały i roztopiały się, znikwały na zawsze. Potem widziała jedynie twarz swojego męża; próbował jej coś powiedzieć, ale go nie słyszała, ponieważ był uwięziony pod grubą taflą lodu na rzece i tonął.

Wzięła kubek z kawą i wylała ją sobie na wewnętrzną stronę przedramienia. Kawa była gorąca, ale nie wrząca. Skóra jedynie

\* W języku Indian Kri nowicjusz, biały, Europejczyk (przyp. tłum.).

zrobiła się różowa i pojawiła się para, jak nad mięsem w zimnym powietrzu.

Odprowadzili ją do domu, Mary została z nią, rozpałała ogień i przyniosła coś do jedzenia dla dzieci. Nadal tu jest, jakby się bała, że Elizabeth rzuci się w ogień, jeśli zostanie sama. Przyszedł Alec, objął ją ramieniem i powiedział, żeby nie płakała, chociaż wcale nie płakała. Oczy ma zupełnie suche. Amy też nie płacze, ale dlatego, że jest za mała, by zrozumieć, co się stało. Chłopcy płakali, póki wyczerpani nie usnęli. Mary siedzi obok niej i nic nie mówi; wie, co robi. Przyszedł George i powiedział, że będzie się modlił za duszę jej męża: George jest bardzo pobożnym chrześcijaninem. Mary go przegoniła; ona i Elizabeth też są chrześcijankami, w przeciwieństwie do Nepapaneesa, który był Czipewejem, w jego żyłach nie płynęła ani kropla krwi białych. Kilka razy poszedł do kościoła i słuchał pastora, ale oświadczył, że to nie dla niego. Elizabeth skinęła głową George'owi; wiedziała, że chciał jej pomóc. I może przyniesie jej to ukojenie; któż odważy się twierdzić, że nie leży w mocy Naszego Ojca Niebieskiego wpłynięcie na los jej męża? Może to umowa dwustronna.

- Mary - odzywa się Elizabeth, jej głos skrzypi jak klucz w zardzewiałym zamku. - Powiedz, czy pada śnieg.

Mary unosi wzrok. Trzyma Amy na kolanach i przez chwilę Elizabeth wyobraża sobie, że Mary jest matką, a Amy jakimś cudzym dzieckiem.

- Nie, przestał padać godzinę temu. Ale robi się ciemno. Trzeba z tym poczekać do jutra.

Elizabeth kiwa głową. Śnieg przestał padać tylko z jednego powodu. Ona wie, co robi rano. Zrobiłaby to wcześniej, gdyby nie śnieg, który padał, żeby się wstrzymali i mogli się chwilę zastanowić. Żeby postępowali rozważnie. Rano pójda nad rzekę, znajdą go i tu przyniosą.

Amy budzi się i patrzy na swoją matkę. Jest bardzo do niej podobna ze swoimi szarobrazowymi oczami i jasną skórą. Chcieli mieć jeszcze jedną córkę. Nepapanees żartował, że chce mieć dziewczynkę, podobną do niego, a nie do niej.

Nie będą mieli następnej córki. Jej dusza, jeśli jest tak, jak wierzył Nepapanees, będzie musiała zaczekać, by się urodzić w innym miejscu, w innym czasie.

Kłopot w tym, że Elizabeth już w nic nie wierzy.

Po kolacji Donald idzie do siebie, żeby napisać do Susannah. Kiedy jedli, napadało więcej śniegu; jeśli Stewart ma rację, zamieć może trwać kilka dni, wykluczone, by mogli wyruszyć w drogę powrotną, nim ustanie. Ale Donald ma kilka powodów, by się z tego cieszyć. Niepokoi go, że jest taki osłabiony. Nogi, nawet jeśli chodzi w mokasynach, bolą jak diabli, rana na brzuchu jest czerwona i się sączy. Czekał na odpowiednią chwilę, by wziąć Stewarta na stronę, i cicho go poinformował, że może będzie potrzebował pomocy lekarskiej. Faktor skinął głową i obiecał, że kogoś do niego przyśle. A potem, nie wiedząc czemu, puścił oko.

Na szczęście teraz Donald nie czuje się najgorzej, siedząc przy kiwającym się stole o którego wniesienie poprosił, mając przed sobą blok listowy i trochę rozmrożonego atramentu. Zanim zacznie pisać, próbuje sobie wyobrazić owalną twarz Susannah, ale znów sprawia mu to trudności. Tak jak poprzednio, wyraźnie widzi twarz Marii i myśli sobie, że chętnie by do niej napisał, jak się skomplikowały sprawy. Jest pewien, że to nie zainteresowałoby jej siostry. Nie wspominając już o nieprzyjemnej historii z wdową. Ciekaw jest, co Maria miałaby do powiedzenia na ten temat. Jutro albo pojutrze, bo to nic pilnego, będzie musiał dokładnie o wszystko zapytać. Ale na razie może zapomnieć o swoich obowiązkach.

„Droga Susannah” - pisze zamasyżycie. Przerzywa, pełen wątpliwości. Dlaczego nie napisać do obu sióstr? Ostatecznie zna je obie. Kilka razy stuka piórem w stół, a potem bierze nowy arkusz papieru i pisze „Droga Mario”.

Mniej więcej godzinę później rozlega się ciche pukanie do drzwi.

- Proszę - mówi, nie przestając pisać.

Drzwi się otwierają i młoda Indianka wsuwa się bezszelestnie do izby. Już wcześniej mu ją przedstawiono; nazywa się Nancy Eagles, jest żoną najmłodszego trapera. Ma nie więcej niż dwadzieścia lat, jest zachwycająco piękna, a mówi tak cicho, że Donald musi wyęźać słuch.

- Och, jesteś Nancy, prawda? Dziękuję... - Jest mile zaskoczony.

- Pan Stewart mówi, że coś panu dolega. - Mówi cicho i jednostajnie, jakby sama do siebie. Trzyma miskę z wodą i pasy płótna - najwyraźniej przyszła zmienić mu opatrunki. Pokazuje mu, że ma zdjąć koszulę, i stawia miskę na podłodze. Donald zakrywa list bibułą i rozpina koszulę. Nagle z całą siłą uświadamia sobie, jaki jest wąty i blady.

- To nic poważnego, ale... Widzisz, tutaj, dwa... trzy miesiące temu zadano mi ranę, która nie zagoiła się jak należy. - Ściąga opatrunek, przesiąknięty różowym płynem.

Nancy wyciąga rękę i lekko go popycha, by usiadł na łóżku.

- Rana od noża - mówi obojętnym tonem.

- Tak. Ale zadano mi ją przypadkowo... - Donald się śmieje i zaczyna opowiadać długą historię meczu rugby.

Nancy kłęczy przed nim, wcale jej nie interesuje, skąd się wzięła rana. Kiedy mu ją obmywa, Donald nabiera powietrza w płuca i milknie, nie wytłumaczywszy jej, jak zablokował piłkę. Nancy się nachyla i wacha ranę. Donald czuje, jak policzki robią mu się gorące. Wstrzymuje dech, bo głowa kobiety znalazła się niemal na jego kolanach. Ma czarnoniebieskie włosy, cienkie i jedwabiste, a nie szorstkie, jak przypuszczał. Jej skóra też jest jedwabista, ma bardzo jasny, kremowobrazowy kolor; gładka dziewczyna, gibka i szczerza. Ciekaw jest, czy świadoma jest swojej urody. Wyobraża sobie, jak jej mąż Peter - wysoki, mocno zbudowany traper - wchodzi akurat teraz do izby, i na samą myśl o tym blednie. Nancy pozostaje niepo-

ruszona. Robi czysty opatrunek, smaruje ranę jakąś ziołową maścią o silnym zapachu, każe mu podnieść ręce do góry i tak mocno go bandażuje, że Donald się boi, że się udusi w nocy.

- Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony... - Zastanawia się, czy mógłby jej coś podarować, w myślach robi przegląd drobiazgów, które zabrał ze sobą. Nic nie wydaje mu się odpowiednie.

Nancy lekko się do niego uśmiecha, pierwszy raz patrząc swoimi czarnymi oczami w jego oczy. Donald zauważa, że łuki jej brwi przypominają skrzydła mewy. Nagle, ku jego całkowitemu zaskoczeniu, ujmuje jego dłoń i przyciskają do swojej piersi. Nim zdołał cokolwiek powiedzieć albo zabrać rękę, przywiera ustami do jego ust, a drugą dłoń kładzie mu na przyrodzeniu. Donald coś mówi - sam nie wie co - i po chwili, podczas której jego zmysły są tak mocno atakowane, że nie ma pojęcia, co się dzieje, mocno ją odpycha od siebie. (Bądź szczery, Moody, ile trwała ta chwila? Wystarczająco długo).

- Nie! Proszę mi wybaczyć. Tylko nie to.

Serce mu wali, pulsująca krew uderza niczym fale w bębni uszne. Nancy patrzy na niego, rozchyliwszy usta. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że Indianki mogą być równie urodziwe, jak białe kobiety, ale nie potrafi sobie wyobrazić piękniejszej dziewczyny od tej, którą ma przed sobą. Donald zamyka oczy, żeby jej nie widzieć. Jej palce wciąż dotykają jego wyciągniętych rąk, jakby byli tancerzami, którzy zatrzymali się w pół kroku.

- Nie mogę. Jesteś śliczna, ale... Nie, nie mogę.

Spogląda na wybrzuszenie w jego spodniach, przeczące jego słowom.

- Twój mąż...

Indianka wzrusza ramionami.

- To nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma. Wybacz.

Udaje mu się odwrócić, na poły spodziewając się, że dziewczyna na przypości kolejny atak. Lecz nie robi tego. Kiedy znów rzuca jej spojrzenie, widzi, że Indianka bierze miskę z brudną wodą, płótno i zużyte opatrunki.



- Dziękuję, Nancy. Proszę nie czuj się... dotknięta moim zachowaniem.

Nancy rzuca mu szybkie spojrzenie, ale nic nie mówi. Donald wzdycha, a Indianka wychodzi równie cicho, jak się pojawiła. Młody patrzy na zamknięte drzwi, przeklinając w duchu. Przeklina siebie, ją oraz całe to okropne, zapomniane przez Boga i ludzi miejsce. List na stole jest jak wyrzut sumienia. Suche, poprawne zdania; zabawne dygresje... Właściwie czemu pisze do Marii? Bierze kartkę, zgniatają i natychmiast tego żałuje. Potem łapie zapasową koszulę i rzuca ją na podłogę, żeby wyładować swoją wściekłość (ale ciska tym, co się nie stłucze). Podłoga jest brudna. Dlaczego jest taki zły, skoro słusznie postąpił? (Bo żałuje? Dlatego, że jest zwyczajnym tchórzem, który nie ma odwagi wziąć tego, na co ma ochotę, kiedy mu to podsuwają pod nos?)

Psiakrew, psiakrew, psiakrew.

**W**krótce po tym, jak Moody ich przeprosza i odchodzi od stołu, Parker też się podnosi i oświadcza, że musi odpocząć. Po jego wyjściu zastanawiam się, czy przypadkiem obaj nie zamierzają czegoś zrobić, chociaż Moody wygląda na tak wyczerpanego, że chyba naprawdę położył się spać. Co do Parkera, nie jestem tego taka pewna. Mam nadzieję, że oddaje się dedukcjom i niebawem dojdzie do jakichś cudownych wniosków, na razie nie mam pojęcia jakich. Stewart proponuje, żeby Nesbit przeszedł ze mną do salonu na szklaneczkę czegoś mocniejszego. Mówi, że dołączy do nas za kilka minut, ale robi to w taki sposób, że natychmiast zaczynam się zastanawiać, co knuje. Podejrzliwość to użyteczna cecha, ale nie mogę powiedzieć, bym dzięki niej odkryła coś istotnego.

Nesbit nalewa whisky słodowej do dwóch szklaneczek, jedną wręcza mnie. Stukamy się naczyniami. Dziś wieczorem był spięty i zirytowany; oczy mu błyszczą, ręce cały czas wykręca albo bębni palcami w stół. Prawie nic nie zjadł. Nim podano kawę, przeprosił nas i wyszedł. Stewart zachował się w powszechnie przyjęty sposób, ale spojrzał na niego twardo. Wie, pomyślałam. Usługiwała nam Norah, ale chociaż uważnie ją obserwowałam, nie dostrzegłam u niej żadnych oznak napięcia. Teraz, kiedy jest Stewart, Indianka jest znacznie potulniejsza i nie ma takiej ponurej miny, jak pierwszego wieczoru. Kiedy dziesięć, piętnaście minut później Nesbit znów się pojawia, jego zachowanie jest całkowicie inne; rusza się powoli, wzrok ma senny. Parker i Moody nie dali po sobie poznać, że cokolwiek zauważyli.

Podchodzę do okna i rozsuwam zasłony. Nie pada, ale śnieg pokrywa ziemię kilkucentymetrową warstwą.

- Panie Nesbit, sądzi pan, że czekają nas jeszcze opady śniegu?

- Nie twierdzę, że znam się na tutejszej pogodzie, ale wydaje się to prawdopodobne, nie myśli pani?

- Zastanawiam się, kiedy będziemy mogli znów wyruszyć w drogę. Jeśli mamy dalej szukać...

- Ach, naturalnie. To nie najlepsza pora roku na poszukiwania. - Wydaje się nie przejęty losem mojego siedemnastoletniego syna, który jest sam gdzieś na tym pustkowiu. A może jest bystrzejszy, niż przypuszczam.

- Okropne miejsce. Zawsze uważałem, że idealne dla przestępców. Po co wysyłać ich na Tasmanię, gdzie, o ile mi wiadomo, jest całkiem przyjemnie. Mniej więcej tak, jak w Krainie Jezior.

- Ale tu nie są tak odizolowani. Ani tak daleko od domu.

- Według mnie byliby tu wystarczająco odizolowani. Wie pani, że kilka lat temu grupa pracowników, zdaje się że cudzoziemców, próbowała zbiec z factorii Moose? W styczniu! Naturalnie żadnego z nich już nigdy nie widziano. Zamarzli na śmierć gdzieś na odludziu, cholerne sukinkoty. - Śmieje się cicho, gorzko. - Proszę mi wybaczyć mój język, pani Ross. Już tak dawno nie przebywałem w towarzystwie dam, że zapomniałem, co to dobre maniery.

Bąkam, że słyszałam już gorsze przekleństwa.

Patrzy na mnie podejrzliwie, co wcale mi się nie podoba. Nie jest dziś pijany, ale źrenice ma bardzo małe, nawet w przyćmionym świetle. Ręce już mu się nie trzęsą, przestał nimi nerwowo ruszać. Znam twoją tajemnicę, myślę. Wiem, jakie to uczucie.

- Zniknęli, mówi pan? To okropne!

- Tak. Proszę się tak nie przejmować. Jak wspominałem, byli to cudzoziemcy. Szkopy czy coś w tym rodzaju.

- Nie lubi pan cudzoziemców?

- Nieszczęśliwie. Wolę Szkotów.

- Na przykład pana Stewarta?

- Właśnie. Na przykład pana Stewarta.

Opróżniam swoją szklaneczkę. Pijacka odwaga, ale lepsze to niż nic.

Kiedy wchodzi Stewart, twarz mam zaczerwienioną od whisky, ale mój umysł pozostał jasny. Nesbit nalewa faktorowi alkoholu i przez kilka minut rozmawiamy o błahostkach. W pewnej chwili Stewart zwraca się do mnie.

- Myślałem o panu Parkerze. Muszę się przyznać, że wprost nie mogę uwierzyć, iż natychmiast nie skojarzyłem jego nazwiska, ale ostatecznie upłynęło dużo czasu. Proszę mi powiedzieć, jak się poznaliście?

- Znamy się od niedawna. Był w Caulfield i kiedy szukaliśmy przewodnika, ktoś nam go polecił.

- Czyli nie zna go pani dobrze?

- Nieszczególnie dobrze. A czemu pan pyta?

Stewart uśmiecha się tak, jak ktoś, kto może się podzielić ciekawą wiadomością.

- Och... Jest, a przynajmniej był dość barwną postacią. W Clear Lake doszło do kilku incydentów... Powiedzmy, że niektórzy nasi traperzy są dość gwałtowni, a... on był jednym z nich.

- Ciekawe! Proszę mówić dalej. - Uśmiecham się, traktując to jak zwykłą plotkę.

- Nie zgodziłbym się z panią. Niektóre z tych incydentów były dość nieprzyjemne. William w młodości od razu rwał się do bitki. Kiedyś udaliśmy się razem w podróż - zaznaczam, że było to ponad piętnaście lat temu. Zimą. Oczywiście towarzyszyli nam również inni, ale... Wyprawa była niełatwa i często wybuchały kłótnie. O to, czy iść dalej, czy wracać i temu podobne. Kończył się nam prowiant. Tak czy owak, pobiliśmy się.

- Pobiliście się! Wielkie nieba! - Pochyliam się w swoim krześle, uśmiechając się do niego zachęcająco.

- Może pamięta pani, co powiedział Parker. Rzeczywiście zostawił mi pamiątkę. - Stewart podciąga lewy rękaw. Wzdłuż przedramienia biegnie długa, biała szrama, szeroka na pół centymetra.

Mój szok nie jest nic a nic udawany.

- Czasami, kiedy tym Metysom dać pół butelki rumu, wstępuje w nich diabeł. Pokłóciliśmy się i rzucił się na mnie z nożem. Na pustkowiu. Mogę panią zapewnić, że nie były to żarty.

Opuszcza rękaw. Nie wiem, co powiedzieć.

- Proszę mi wybaczyć, może nie powinienem był pani tego pokazywać. Niektóre panie przygnębia widok szram.

- Och, nie... - Potrząsam głową. Nesbit ponownie napełnia moją szklaneczkę. Nie tyle poruszył mnie widok szramy, co wspomnienie chwili, kiedy ostatni raz widziałam Jammeta. Nigdy tego nie zapomnę. I mojego pierwszego spotkania z Parkerem: monstrum, przeskakującym jego chatę: dzikim, obcym, przerażającym.

- Nie tyle chodzi o widok pańskiej szramy - wtrąca beztrzesko Nesbit - ile o to, że przewodnik pani Ross tak dobrze umie się posługiwać nożem!

- Przez tych kilka ostatnich tygodni nie wyglądał na tego typu człowieka. Jest wzorowym przewodnikiem. Może, jak pan powiedział, staje się gwałtowny pod wpływem rumu. Teraz nie pije.

Mówię sobie, że Stewart może kłamać. Patrzę mu w oczy, starając się coś z nich wyczytać. Ale sprawia wrażenie sympatycznego, szczerego, może trochę melancholijnego, kiedy wspomina dawne czasy.

- Dobrze wiedzieć, że niektórzy uczą się na własnych błędach, co, Frank?

- Rzeczywiście - rzucam pod nose. - Gdyby więcej ludzi opanoowało tę sztukę.

Wracam do swojego pokoju, ale nie rozbieram się i siedzę na krześle, żeby nie usnąć. Niczego nie pragnę bardziej, niż się położyć i zapaść w nicość. Ale nie wolno mi tego zrobić, zresztą wcale nie jestem pewna, czy nicość by mnie chciała. Muszę przyznać, że się niepokoję. Chcę zapytać Parkera o Stewarta, o ich przeszłość, lecz wcale się nie palę do tego, by iść do niego i znów go obudzić. Nie palę się albo zwyczajnie ogarnął mnie strach. Nie daje mi spokoju scena, którą sobie przypomniałam. Już zapomniałam, jak na widok Parkera ciarki przeszły mi po plecach,

jaki wydał mi się brutalny i obcy. Naturalnie wiem, jak wygląda, ale zapomniałam, jakie wrażenie wywarł na mnie jego widok. Dziwne, jak można zapomnieć o pierwszym wrażeniu, kiedy kogoś się lepiej pozna.

Chociaż właściwie wcale go nie znam. Nie próbował ukryć faktu, że już się wcześniej spotkali, ale może jedynie uprzedzał to, co nieuniknione; podwójny blef.

Mój wzrok już dawno przywykł do ciemności, od śniegu bije niewyraźne, rozproszone światło; wystarczająco jasne, bym widziała drogę, kiedy znów wychodzę na korytarz. Bardzo cicho pukam do jego drzwi i wchodzę do środka. Wydaje mi się, że zachowuję się bardzo cicho, ale z cichym okrzykiem siada na łóżku.

- Mój Boże... Nie! Proszę odejść! - Sprawia wrażenie przerażonego i rozgniewanego.

- Panie Moody, to ja, pani Ross.

- Co? Co, u diaska? - Szuka po omacku zapatek i zapala świecę, stojącą przy łóżku. Kiedy jego twarz wyłania się z mroku, ma już na nosie okulary, oczy tak wybałuszył, że mało mu nie wyszły z orbit.

- Przepraszam, nie chciałam pana przestraszyć.

- Co pani sobie wyobraża, u diaska, nachodząc mnie w środku nocy?

Spodziewałam się, że będzie zaskoczony i poirytowany, ale nie aż tak wściekły.

- Muszę z kimś porozmawiać... Proszę. To nie potrwa długo.

- Myślałam, że rozmawiała pani z Parkerem.

Jest coś w tonie jego głosu, ale nie jestem pewna, co. Siadam na jedynym krześle, na którym leży jego ubranie.

- Nie wiem, co myśleć. Musimy to omówić.

- Nie może to poczekać do rana?

- Nie chcą nas zostawiać samych. Nie zauważył pan tego?

- Nie.

- No cóż... Mówiłam panu, jak podsłuchałam rozmowę Nesbita, a potem przyszedł Olivier i już nie mogliśmy dalej swobodnie rozmawiać.

- I co z tego? - Nadal ma gniewny głos, ale nie jest już tak przerażony jak wtedy, kiedy wsunęłam się do jego izby. Jakby się bał, że przyjdzie ktoś inny.

- Czy to nie świadczy o tym, że dzieją się tutaj rzeczy, o których mamy się nie dowiedzieć? A ponieważ podążamy za mordercą, może to mieć z tym jakiś związek.

Patrzy na mnie zdegustowany. Ale nie każe mi wyjść z pokoju.

- Stewart powiedział, że ostatnio do fortu nie zawitał nikt obcy.

- Może to nie był nikt obcy.

- Sugeruje pani, że mógł to być ktoś, kto tu mieszka? - Jest zaszokowany, że podaję w wątpliwość uczciwość pracownika Kompanii.

- To całkiem możliwe. Nesbit zna tego kogoś. Może Stewart nic o tym nie wie.

Moody utkwiał wzrok w kącie pokoju nad moim lewym uchem.

- Uważam, że lepiej byłoby otwarcie porozmawiać o całej tej sprawie. Powiedzieć im prawdę, dlaczego tu jesteśmy, a nie tę pani absurdalną historyjkę.

- Ale ktoś już i tak nas podejrzewa. Samo to, iż wspomnieliśmy, że podążamy czyimiś śladami, sprawiło, że stali się czujni. Nesbit groził kobiecie - zdaje mi się, że Norah - by o kimś nie mówiła. Dlaczego to zrobił?

- Z różnych powodów. Myślałem, że nie ma pani pojęcia, komu groził.

- Rzeczywiście jej nie widziałam, ale Norah... Norah i Nesbit mają... romans.

- Co? Nesbit i służąca? - Moody jest zaskoczony. Ale bardziej dlatego, że chodzi o przysadzistą, brzydką Norah, a nie dlatego, że Nesbit zachowuje się niestosownie. Wielu białych ma indiańskie kochanki. Donald zaciska usta; być może zastanawia się, czy wspomnieć o tym w swoim sprawozdaniu. - Skąd pani wie?

- Widziałam ich. - Nie chcę się przyznać, że widziałam ich, kiedy nocą myszkowałam po forcie, ale na szczęście Moody mnie o to nie pyta.

- Cóż... Jest wdową.  
- Naprawdę?  
- Po jednym z tutejszych traperów. To smutna historia.  
- Nie wiedziałam. - Dochodzę do wniosku, że praca w Kompanii to niebezpieczne zajęcie. - Chciałam powiedzieć, że będziemy musieli wypytać ludzi tak... żeby oni o tym nie wiedzieli.

Nawet kiedy to mówię, zastanawiam się, jak, u diaska, mamy tego dokonać. Moody jest sceptyczny. Muszę przyznać, że to nie najlepszy plan, ale tylko na taki pomysł wpadłam.

- No, jeśli to wszystko... - Rzuca znaczące spojrzenie na drzwi. Zastanawiam się, czy powiedzieć Moody'emu o ręce Stewarta, ale i tak nie ufa Parkerowi i może zacząć się dopytywać, skąd Indianin się wziął w Dove River. A w tej chwili nie mam ochoty odpowiadać na takie pytania. - Naprawdę muszę się trochę przespać. Jeśli pani pozwoli.

- Naturalnie. Dziękuję. - Wstaję. Wydaje się jakiś mniejszy, kiedy leży skulony w pościeli. Młodszy i bardziej bezbronny. - Wygląda pan na wyczerpanego. Czy ktoś obejrzał pańskie otarcia? Jestem pewna, że mają tu kogoś, kto się na tym zna...

Moody chwyta kołdrę i nakrywa się nią po samą brodę, jakbym chciała się na niego rzucić z siekierą.

- Tak. Proszę sobie już iść! Jedyne, czego mi trzeba, to odrobina snu. Na litość boską...

Nazajutrz się okazało, że nie uda nam się porozmawiać z pracownikami, ponieważ nim wstaliśmy, większość z nich opuściła faktorię. George Cummings, Peter Eagles, William Blackfeather i Kenowas - innymi słowy wszyscy dorośli Indianie i Metysi, pracujący i mieszkający w Hanover House, z wyjątkiem Oliviera - wyprawili się na poszukiwanie zwłok Nepapaneesa. Wyruszyli przed świtem, cicho, pieczo. Nawet mężczyzna, którego widzieliśmy pierwszego popołudnia, pijany jak bela Arnaud (który, jak się okazało, jest stróżem), nawet on wytrzeźwiał, zdjęty żalem, i dołączył do ekipy poszukiwawczej. Wdowa i trzynastoletni syn poszli z nimi.



Tydzień po tym, jak Francis nie skorzystał z zaproszenia Susannah, ojciec wysłał go po coś do Jammeta. Chłopak nadal myślał o pięknej koleżance, ale szkołę zamknięto na lato i dzień na plaży wydawał się mglistym, niewyraźnym wspomnieniem. Nie poszedł na piknik ani nie wysłał wiadomości. Nie wiedział, co napisać. Jeśli dziwił się sam sobie, że odtrącił to, o czym od tak dawna marzył, to niezbyt często. Nie czynił też sobie wymówek. Po prostu Susannah tak długo była dla niego nieosiągalnym ideałem, że nie potrafił sobie jej wyobrazić w innej roli.

Tamtego dnia - było późne popołudnie i Laurent akurat parzył herbatę - Francis zagwizdał, by poinformować o swoim przyjściu.

- Salut, Francois - powitał go Jammet i Francis pchnął drzwi. - Napijesz się herbaty?

Skinął głową. Lubił chatę Francuza. Panował w niej bałagan i zupełnie nie przypominała domu jego rodziców. Wszystko było powiązane sznurkiem i pozbijane gwoździami; imbryk nie miał pokrywki, ale Jammet go nie wyrzucił, tylko przechowywał w nim herbatę; ubrania trzymał w skrzyniach do transportu herbaty. Kiedy Francis go spytał, dlaczego nie zrobił sobie komody, odparł, że żadna różnica, czy trzyma rzeczy w skrzyni, czy w komodzie.

Usiedli na krzesłach na progu, Laurent zaklinował drzwi. Francis poczuł od Francuza alkohol. Czasami Jammet pił w ciągu dnia, ale Francis nigdy go nie widział wstawionego. Drzwi chaty wychodziły na zachód, nisko wiszące słońce świeciło im prosto w twarz,

więc chłopak zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu. Kiedy po jakimś czasie spojrzął na Laurenta, zobaczył, że mężczyzna mu się przygląda, w jego oczach migoczą złote iskierki.

- Quel visage - mruknął, jakby do siebie. Francis nie zapytał, co to znaczy, bo uznał, że nie ma to związku z nim.

Powietrze było cudownie nieruchome; rozbrzmiewało w nim granie świerszczy. Laurent wyciągnął butelkę alkoholu i bez pytania wlał odrobinę płynu do herbaty Francisa. Chłopak pociągnął łyk, nie przejmując się tym, że rodzice by go skrzyczeli, gdyby się o tym dowiedzieli. Powiedział to Jammetowi.

- No cóż, nie możemy przez całe życie zadowalać naszych rodziców.

- Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek ich zadowalał.

- Dorastasz. Wkrótce się od nich wyprowadzisz, prawda? Ożenisz się, będziesz miał własny dom i wszystko, co się z tym wiąże.

- Nie wiem. - Wydawało się to mało prawdopodobne, a przynajmniej bardzo odległe.

- Masz dziewczynę? Czy ta mała czarnulka jest twoją dziewczyną?

- Ida? Nie, to tylko koleżanka. Czasami razem wracamy ze szkoły do domu. - Boże! Czy wszyscy w okolicy myśleli, że Ida to jego dziewczyna? - Nie, ja...

Z jakiegoś powodu stwierdził, że chce porozmawiać o tym z Laurentem.

- Podoba mi się jedna dziewczyna. Właściwie wszystkim się podoba, jest naprawdę ładna, a do tego bardzo miła... Pod koniec roku szkolnego zaprosiła mnie na piknik. Nigdy wcześniej ze mną nie rozmawiała... Czułem się mile połączony. Ale nie poszedłem.

Zapadła długa cisza. Francisa ogarnęło skrepowanie i zaczął żałować, że o tym wspomniał.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje! - Próbował obrócić to w żart, co niezupełnie mu się udało. Laurent wyciągnął rękę i poklepał go po nodze.

- Nic się z tobą nie dzieje, mon ami. Mój Boże, nic a nic.

Francis spojrział na Laurenta. Francuz był bardzo poważny, niemal smutny. Czy to przez niego? Czy tak wpływa na ludzi? Może tak. Ostatnio Ida zawsze jest smutna w jego towarzystwie. Jeśli chodzi o rodziców, cóż... Nie do wiary, jacy byli posepni. Chłopak próbował się uśmiechnąć, żeby rozweselić Jammeta. A potem wszystko się zmieniło. Czy stało się to nagle czy też nie? Francis uzmysłowił sobie, że Laurent wciąż trzyma rękę na jego nodze, ale już go nie klepie, tylko uciska jego udo mocno, rytmicznie. Nie mógł oderwać wzroku od jego złotobrazowych oczu. Do tego jeszcze ten zapach alkoholu, tytoniu i potu... Miał wrażenie, że przykleił się do krzesła, ręce i nogi zrobiły mu się ciężkie, jakby wypełniał je ciepły, kleisty płyn. Na dodatek coś go ciągnęło do Laurenta i żadna siła na ziemi by go nie powstrzymała.

W pewnej chwili mężczyzna wstał, podszedł do otwartych drzwi, by je zamknąć, a potem zwrócił się do chłopaka:

- Jeśli chcesz, możesz wyjść.

Francis gapił się na niego. Z trudem oddychał, nagle ogarnęło go przerażenie. Nie był w stanie nic powiedzieć, więc tylko pokręcił głową i Laurent kopnięciem zatrzasnął drzwi.

Potem Francis uświadomił sobie, że nadejdzie chwila, kiedy będzie musiał wrócić do domu. Pamiętał nawet, po co tu przyszedł, chociaż wydawało mu się, że było to niewyobrażalnie dawno temu. Bał się wyjść, żeby znów wszystko nie wróciło do poprzedniego stanu. Co będzie, jeśli następnym razem, kiedy spotka Laurenta, ten zachowa się tak, jakby nic się nie wydarzyło? Wydawał się teraz całkowicie odprężony, wkładał koszulę, w zębach ścisnął fajkę, głowę otaczały mu kłęby dymu. Zachowywał się tak, jakby to, do czego między nimi doszło, było czymś najnormalniejszym pod słońcem, jakby oś obrotu ziemi nie uległa zmianie. Francis bał się wrócić do domu, spojrzeć w oczy swoim rodzicom, zastanawiać się, czy się czegoś domyślają. Stał w drzwiach z narzędziem do garbowania skór, nie wiedząc, jak się pożegnać. Laurent podszedł do niego i uśmiechnął się ironicznie.

- Cz... Cz... Czy... - wyjąkał Francis. Nigdy w życiu się nie za cinał. - Czy mam przyjść... jutro?

Laurent dotknął dłońmi twarzy Francis. Były zarazem szorstkie i delikatne. Przesunął palcami po jego policzkach. Patrzyli sobie prosto w oczy. Pocałował go. W tamtej chwili ten pocałunek wydał się Francisowi czymś najważniejszym w życiu.

- Jeśli chcesz.

Francis wracał do domu rozradowany i pełen najgorszych obaw. Nie mógł się nadziwić, że ścieżka, drzewa, świerszcze, ciemniejące niebo, wschodzący księżyc wyglądają tak samo, jak przedtem. Jakby o niczym nie wiedziały, jakby nie miało to znaczenia. Idąc, myślał: „Och, Boże, a więc jestem kimś takim?”

Szczęśliwy i przerażony. „Jestem kimś takim?”

Zapomniał o Susannah. Szkoła i uczniowskie kłopoty stały się odległym wspomnieniem. Tamtego lata przez kilka tygodni wprost nie posiadał się ze szczęścia. Śmiało szedł przez las, silny mężczyzna, który ukrywa tajemnicę. Chodził z Laurentem na polowania i na ryby, chociaż ani nie polował, ani nie łowił ryb. Kiedy kogoś spotykali, Francis tylko kiwał głową i coś bąkał pod nosem ze wzrokiem utkwionym w koniec wędki, albo spoglądał na drzewa, czy coś się w nich nie poruszy, a Laurent mówił, że wyrósł na świetnego myśliwego, bezwzględne, o orlim wzroku. Ale najbardziej lubił, kiedy pod koniec dnia zostawali sami w lesie albo w chacie i Laurent poważniał. Zwykle był nieco pijany, obejmował twarz Francis i wpa-trywał się w nią, jakby się nie mógł napatrzyć.

Kiedy się teraz nad tym zastanowić, nie było dużo takich chwil - Laurent nalegał, żeby Francis nie zostawał w jego chacie zbyt często, bo ludzie mogą zacząć coś podejrzewać. Musiał więc spędzać sporo czasu w domu ze swoimi rodzicami. Przychodziło mu to z trudem - od tamtego pierwszego wieczoru, kiedy wrócił akurat wtedy, gdy siadali do kolacji. Wyciągnął narzędzia.

- Musiałem zaczekać na Jammeta.

Ojciec krótko skinął głową. Matka się odwróciła.

- Długo cię nie było. Ojciec chciał uwinąć się z robotą przed kolacją. Dlaczego ci to zajęło tyle czasu?

- Już powiedziałem, musiałem zaczekać. - Położył narzędzia na stole i poszedł na górę, nie zwracając uwagi na nawoływanie matki. że już podała kolację.

Ponieważ nawet w najlepszych czasach nie był zbyt zżyty ze swoimi rodzicami, nawet nie zauważyli, jeśli stał się bardziej milczący albo rozkojarzony. Czas między wizytami u Laurenta spędzał, spacerując, leżąc na łóżku, wykonując swoje obowiązki ze zniecierpliwieniem i na odczepnego. Czekając. A potem był kolejny wieczór w chacie, albo wyprawa nad jezioro na ryby, kiedy mógł być naprawdę sobą. Kradzione chwile, intensywnie przeżywane, o wyrazistym smaku, kiedy czas się dłuży jak w niedzielne popołudnie lub mknie wartko jak potok. Gdyby policzył wieczory, spędzone w chacie Laurenta, ile by ich było?

Dwadzieścia. Może dwadzieścia pięć.

Bardzo mało.

Francis otrząsa się z zamyślenia, kiedy Jacob wchodzi do izby. Nawet się z tego ucieszył. Indianin jest wyraźnie czymś poruszony. Francis przeciera oczy, jakby dopiero się obudził. Ma nadzieję, że Jacob nie zauważy łez.

- Co się stało?

Jacob otwiera usta, ale dopiero po chwili mówi:

- Dziwna rzecz. W nocy wyjechali ta kobieta Line z dziećmi i cieślą. Żona cieśli grozi, że się zabije.

Francis aż rozdziawia buzię ze zdumienia. Jego pielęgniarka uciekła z cieślą, którego nigdy nie widział na oczy. (To dlaczego go pocałowała?)

Jacob chodzi po izbie.

- Wkrótce spadnie śnieg. To niedobra pora na podróż, szczególnie z dziećmi. Wczorajszej nocy widziałem ją w stajni. Prosiła, żebym nikomu o tym nie wspominał. Więc nic nie powiedziałem.

Francis bierze głęboki oddech.

- Są dorośli. Mogą robić, co chcą.
  - Ale jeśli nie znają dobrze tych stron... Nie wiedzą, jak podróżować zimą...
  - Kiedy spadnie śnieg?
  - Słucham?
  - Kiedy spadnie śnieg? Jutro? Za tydzień?
  - Jutro albo pojutrze. Wkrótce. Czemu pytasz?
  - Chyba wiem, dokąd się udali. Rozmawiała ze mną; wypytywała o Caulfield.
- Jacob się zamyślił.
- Cóż, może im się uda. Jeśli dopisze im szczęście.

Godzinę temu dotarli do pierwszych drzew, karłowatych i nie-licznych, ale z całą pewnością drzew. Line jest szczęśliwa. Wierzy, że się im uda. Są w lesie, który ciągnie się do samego jeziora. Czuje się tak, jakby już tam byli. Na kawałku kartki ma zapisane, że mają się kierować na południowy wschód, aż dotrą nad mały strumyk, a potem iść wzdłuż niego. Torbin siedzi na siodle przed nią, Line mówi mu o psie, którego miała w Norwegii. W jej opowieści pies ma oczy jak spodki i jest podobny do psa z bajki o żołnierzu.

- Też będziesz mógł mieć psa, kiedy znajdziemy nowy dom. Co ty na to? - Wyrwało się jej to, nim zdołała się ugryźć w język.

- Kiedy znajdziemy nowy dom? - powtarza za nią Torbin. - Przecież powiedziałaś, że jedziemy na wakacje. Okłamałaś nas, prawda?

Line wzdycha.

- Zamieszkamy gdzieś indziej, gdzieś, gdzie jest ładniej, gdzie jest cieplej.

Torbin odwraca się w siodle, żeby spojrzeć jej w oczy, na jego buzi maluje się pretensja.

- Dlaczego skłamałaś?

- Kochanie, właściwie to nie kłamstwo. To bardzo skomplikowane, nie mogliśmy wam tego powiedzieć, przynajmniej póki byliśmy w Himmelvanger. Nikt w osadzie nie mógł się niczego domyślić, bo wtedy nie pozwolono by nam wyjechać.

- Okłamałaś nas. - Patrzy na nią twardo, ale jest zagubiony. Pod wpływem Pera i godzin spędzonych w kościele z czerwonym dachem, stał się bardzo zasadniczy. - Kłamstwo to grzech.

- W tym wypadku to nie grzech. Nie sprzeczasz się ze mną, Torbinie. Są rzeczy, których nie rozumiesz, bo jesteś jeszcze za mały. Przykro mi, że musieliśmy to zrobić w taki sposób, ale nie było innego wyjścia.

- Wcale nie jestem za mały! - Rozzłościł się, policzki ma czerwone od zimna i z przejęcia. Wierci się w siodle.

- Siedź spokojnie albo dostaniesz klapsa. Nie pora teraz na dyskusje!

Ale wierząc się, trącił Line mocno łokciem w brzuch. Aż odebrało jej dech. Ogarnął ją gniew.

- Dosyć tego! - Puszczą wodze i uderza go w nogę.

- Jesteś kłamczucha! Wcale bym z tobą nie wyjechał! - krzyczy Torbin. Jakoś udaje mu się uwolnić z jej uścisku i zsuwa się na ziemię. W pierwszej chwili nogi się pod nim uginają, ale szybko wstaje i biegiem rusza w stronę, z której przybyli.

- Torbin! Torbin! Espen! - woła Line przenikliwym głosem. Szarpie wodze, próbując zawrócić konia, który jakby nie rozumiał, o co jej chodzi. Zatrzymał się i stoi nieporuszenie, jak pociąg, który przybył na stację. Espen, jadący przodem z Anną, zawraca wierzchowca i widzi Torbina biegnącego między drzewami.

- Torbin! - Zeskakuje na ziemię i podaje Annę Line, która też zsiadła z konia.

- Zostań tu, ja go dogonię! Nigdzie się stąd nie ruszaj!

Biegnie za Torbinem, lawirując wśród drzew i potykając się o połamane gałęzie. Przerażająco szybko znikają im z oczu. Anna patrzy na Line swoimi poważnymi, niebieskimi oczami i zaczyna płakać.

- Wszystko w porządku, skarbie. Twój braciszek zachowuje się nie mądrze. Za chwilę wróca. - Wiedziona impulsem pochyla się, obejmując córeczkę i zamyka oczy. Czuje na twarzy jej zimne, tłuste włoski.

Prawdopodobnie po zaledwie kilku minutach znów pojawiają się między drzewami. Espen z zaciętą miną ciągnie opierającego się



Torbina. I wtedy Line uświadamia sobie, że stało się coś znacznie gorszego.

Szukają razem z Anną, początkowo pewne, że szybko znajdą zgubę; okrągły, metalowy przedmiot, jakim jest kompas, nie pasuje do tego miejsca, więc powinien być widoczny z daleka. Line przekonuje Annę, że to zabawa, znalazca dostanie nagrodę. Ale dziewczynka szybko się zniechęca: ziemia tutaj jest wyjątkowo zdradliwa, sterczą w niej kamienie, roi się od wgłębień, w których można skrócić nogę w kostce, króliczych nor i splątanych korzeni oraz suchych, butwiejących gałęzi. Line nie pamięta, czy upuściła kompas, kiedy Torbin ją uderzył w brzuch, czy później. A może stało się to wtedy, kiedy próbowała ciągnąć za sobą konia. Na stratowanej ziemi trudno cokolwiek wypatrzeć.

Line mówi Espenowi, że nie może znaleźć kompasu. Torbin widzi strach na ich twarzach i milknie. Wie, że to jego wina. Cała czwórka zaczyna szukać, zataczając koła wokół obojętnych koni, odgarniając mchy i zbutwiałe liście, wsuwając ręce do ciemnych, oślizgłych dołów. Ale gdziekolwiek spojrzeć, wszystko wygląda tak samo: wszędzie widać karłowate sosny, jedne są zielone, inne uschły, przewróciły się i padły sobie nawzajem w ramiona, tworząc wokół nich płataninę suchych gałęzi.

Pierwsza zauważyła to Anna.

- Mamusiu, pada śnieg.

Line się prostuje, bolą ją plecy. Śnieg. Wokół niej wirują milczące, suche płatki. Espen widzi jej minę.

- Będziemy szukać jeszcze przez pół godziny, a potem pojedzie my dalej. Bez trudu znajdziemy właściwy kierunek. Najważniejsze, że dotarliśmy do lasu. Teraz będzie już łatwo.

Raz Torbin wydaje okrzyk i rzuca się na coś, ale okazuje się, że to tylko szary, okrągły kamyk. Line w głębi duszy odczuwa ulgę, kiedy Espen ogłasza koniec poszukiwań. Kocha go za to, że przejął inicjatywę, zebrał ich wokół siebie i pokazał, w którą stronę pojadą. Wyjaśnienia, że od strony północnej pnie drzew porastają mchy. Muszą więc zwracać uwagę, gdzie jest więcej porostów. Line odnosi wrażenie,

że mech równomiernie pokrywa całą powierzchnię pni, ale odpycha tę myśl od siebie, zatrząskuje przed nią drzwi i zamyka je na klucz. Espen wie lepiej; są pod jego opieką. Ona jest tylko kobietą.

Espen sadza Torbina na swojego konia i w milczeniu ruszają. Śnieg tłumi wszystkie odgłosy, nawet pobrząkiwanie uzd.

Idę do stajni, żeby porozmawiać z kobietami, ale prawdę mówiąc, boję się ich. Sprawiają wrażenie dumnych, nieprzystępnych i pełnych pogardy. Jakie mam prawo zadawać im pytania, skoro do tej pory ani nie odnosiłam się do nich specjalnie życzliwie, ani nawet niezbyt się interesowałam życiem rdzennych mieszkańców? Przynajmniej psy ucieszyły się na mój widok. Bardzo się nudzą, przebywając w zamknięciu. Lucie podbiega do mnie, merdając ogonem, wyszczerzyła zęby w psim uśmiechu. Ogarnia mnie absurdałna fala miłości do niej, kiedy czuję jej szorstki łeb, gorący język. Po chwili dostrzegam Parkera. Ciekawa jestem, czy mnie obserwował.

Po raz pierwszy to on odszukał mnie. To znaczy po raz pierwszy, odkąd w środku nocy zastukał do drzwi mojego domu i dobiłmy targu. Wczoraj by mnie to ucieszyło; dziś zachowuję się bardziej powściągliwie. Odzywam się ostrzejszym tonem, niż Parker sobie na to zasłużył.

- Ma pan to, czego pan chciał?

- Nie rozumiem.

- To, po co pan się tu wybrał. Nie miało to nic wspólnego z Francisem ani Jammetem. Chciał pan znów się zobaczyć ze Stewartem. Z powodu tego, co się wydarzyło piętnaście lat temu. Z powodu jakiejś głupiej bójki.

Parker mówi, nie patrząc na mnie. Ostrożnie dobiera słowa.

- Myli się pani. Jammet był moim przyjacielem. A pani syn... Cóż, kochał Jammeta. Zdaje się, że z wzajemnością.

- Naprawdę? - Z moich ust wydobywa się zduszony śmiech.  
- Dziwnie pan to ujął. Zupełnie, jakby...

Parker milczy. Lucie wciąż liże moją dłoń, którą zapomniałam cofnąć.

- Naprawdę... - Parker położył mi dłoń na ramieniu i chociaż pragnę ją strząsnąć, nie robię tego. - Naprawdę nie...

Nie mogę uwierzyć, że o tym nie wiedziałam.

- Co pan mówi? - Mój głos jest suchy jak martwe liście.

- Jammet był... Był żonaty, ale przyjaźnił się też z... młodymi, urodziwymi chłopcami, takimi jak pani syn.

Nie wiem, jak udało mu się odciągnąć mnie od drzwi. Siadam w ciemnym kącie na beli siana.

- Kiedy tej wiosny ostatni raz widziałem go żywego, wspomniał o kimś, mieszkającym w pobliżu. Wiedział, że go nie osądzam. Zresztą nie przejmował się ludzkim gadaniem.

Na jego twarzy pojawił się półśmiech. Niespiesznie zapala fajkę.

- Bardzo go kochał.

Przyglądam włosy. Kilka kosmyków wysunęło się z koka, widzę w wąskiej smudze światła, wpadającej przez drzwi, że kilka włosów jest siwych. Muszę spojrzeć prawdzie w oczy. Starzeję się, w głowie aż kłębi mi się od nieznośnych myśli. Nie mogę sobie wybaczyć, że nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się dzieje. Nie mogę się pogodzić z tym, że to był powód odrazy Angusa do Francisa, bo teraz sobie uświadamiam, że wiedział o tym. Wprost nie wyobrażam sobie rozpaczy Francisa, która była - jest - bezdenna, bolesna, skrywana. I nie mogę sobie darować, że kiedy go zobaczyłam, nie pocieszyłam go tak, jak powinnam.

- Och, mój Boże. Powinnam była zostać z nim.

- Jest pani dzielną kobietą.

Niemal mnie rozśmieszył.

- Jestem głupia.

- Zdecydowała się pani dla niego na taką długą wyprawę. Choć nienawidzi pani tego. Wie o tym.

- I na nic się to nie zdało. Nie znaleźliśmy człowieka, który zostawił te ślady.

Parker nie zaprzecza. Przez minutę w milczeniu pali fajkę.

- Stewart pokazał pani bliznę?

Kiwam głową.

- Mówi, że zadał mu pan ranę podczas bójki, do której doszło podczas wspólnej wędrówki.

- Nie podczas wędrówki, tylko u jej celu. Powiem pani o kilku faktach, których prawdopodobnie nie usłyszała pani od niego, a potem niech pani sama nas oceni. Stewart był bardzo obiecującym urzędnikiem. Wszyscy mówili, że wysoko zajdzie. Tacy jak on robią kariery. Pewnej zimy w Clear Lake zmusił grupę traperów, by udała się do drugiej faktorii, odległej o pięćset kilometrów. Na ziemi leżała metrowej grubości warstwa śniegu. Pogoda była okropna. Nie wędruje się w środku zimy, jeśli nie ma takiej potrzeby. Zrobił to, żeby udowodnić, że stać go na coś takiego.

- Czy to ta słynna wyprawa, o której mówił pan Moody?

- Była słynna, ale nie z takich powodów, jakie podał. Na początku było nas pięciu. Stewart, jeszcze jeden urzędnik Kompanii, niejaki Rae, i jego siedemnastoletni siostrzeniec. Chłopak nie był pracownikiem Kompanii, przyjechał w odwiedziny. Oprócz nich byłem jeszcze ja i drugi przewodnik, Laurent Jammet.

Pyknął dymem z fajki.

- Jak powiedziałem, warunki były trudne, napadało dużo śniegu. Potem pogoda jeszcze się pogorszyła. Zaskoczyła nas zamieć, jakimś cudem setki kilometrów od najbliższej osady natknęliśmy się na jakąś chatę. Śnieżycy nie mijała. Czekaliśmy, aż się skończy, ale była to jedna z tych styczniowych zadymek, które trwają tygodniami. Zaczęło nam brakować jedzenia. Jedyne, czego mieliśmy w bród, to alkohol. Razem z Jammetem postanowiliśmy sprowadzić pomoc. Wydawało się, że to rozsądne wyjście. Powiedzieliśmy pozostałej trójce, że wrócimy jak najszybciej, zostawiliśmy im cały prowiant i wyruszyliśmy w drogę. Poszczęściło nam się. Po dwóch dniach dotarliśmy do indiańskiej wioski. Ale pogoda znów się pogorszyła i przez trzy dni byliśmy unieruchomieni.

Parker wypuścił kłęb dymu z fajki.

- Kiedy w końcu wróciliśmy do chaty na pustkowiu, okazało się, że podczas naszej nieobecności doszło do tragedii. Zastaliśmy Stewarta i Raego kompletnie pijanych. Chłopak nie żył, udławił się własnymi wymiocinami. Nie potrafili wyjaśnić, co się stało, ale domyślałam się, jak to musiało wyglądać. Stewart często wspominał o „odejściu w blasku sławy”. Pokpiwał sobie z tego. Przypuszczam, że kiedy nasza nieobecność się przedłużała, uznał, że nie mają co liczyć na ratunek. Doszedł do wniosku, że powinni się zapisać na śmierć. Panu Rae i jemu się to nie udało, ale chłopak zmarł.

- Skąd pan wie, że to był pomysł Stewarta? - Aż się wzdrygnęłam wewnątrz. Chłopak był w wieku Francisa.

- To do niego podobne. - Jego głos przepełniał odrazą.

- I co potem? Nie wyrzucili go?

- Nie mogli mu niczego udowodnić. Uznano to za nieszczęśliwy wypadek. Rae wrócił do Szkocji, Stewart został w Kompanii, chłopak spoczywa w grobie. Ja odszedłem z Kompanii. Od tamtej pory nie widziałem Stewarta.

- A szrama?

- Usłyszałem, jak z lekceważeniem wyrażał się o chłopaku. Mówił, że się bał, chciał umrzeć. Wtedy dużo piłem. - Wzruszył ramionami.

Nastąpiła długa chwila milczenia, lecz wiem, że jeszcze nie dokończył swojej opowieści.

- To nie wszystko, prawda?

- Tak. Pięć, sześć lat temu Kompania cierpiała na brak ludzi, więc zatrudniono Norwegów. Skazańców. Stewart szefował w faktorii Moose, gdzie skierowano grupę owych skazańców. Dołączyli do nich Norwegowie mieszkający w Kanadzie. Pamięta pani wdowę w Himmelvanger, która się opiekowała pani synem? Jednym z nich był jej mąż.

Myślę o wdowie - młodej, ładnej, niecierplivej, trawionej tęsknotą za czymś. Może to wszystko wyjaśnia.

- Nie byłem tam, więc powtarzam to, co słyszałem. Część Norwegów się zbuntowała i uciekła. Udało im się zabrać ze sobą wiele cennych futer. Wyruszyli przez pustkowie, przyszły zamiecie, wszelki

ślad po nich zaginał. Stewart zaczął mieć kłopoty, zarówno z powodu buntu, jak i utraty cennego towaru. Ktoś w magazynie musiał być wtajemniczony w spisek.

- Stewart?

- Nie wiem. Naturalnie ludzie przesadzają, mówiąc, że człowiek, który znalazłby te futra, stałby się bogaczem, bo skradziono dziesiątki skór srebrnych i czarnych lisów.

- Nie wydaje mi się, by skórka warta była wyprawki.

- Wie pani, ile jest w Londynie warte futro srebrnego lisa?

Kręcę głową.

- Więcej złota niż waży.

Zadziwia mnie. I żal mi zwierząt. Może nie ma ze mnie wielkiego pożytku, ale jestem więcej warta żywa niż martwa.

- Stewarta przeniesiono tutaj. Nie ma tu teraz zwierząt futerkowych. Zostały tylko zające, które są nic nie warte. Nie wiem, dlaczego utrzymują tę placówkę. Dla człowieka ambitnego to był policzek. Kiedy się tkwi w takim miejscu, nie ma co liczyć na awans. To kara za to, co być może zrobił.

- A co to ma wspólnego z Jammetem? - Mam już dość tej opowieści.

- W zeszłym roku... - Urywa, by ubić tytoń w fajce. Odnoszę wrażenie, że robi to specjalnie. - Ostatniej zimy... znalazłem te futra.

- Srebrnych i czarnych lisów?

- Tak. - Słysząc pewne rozbawienie w jego głosie, a może to pozycja obronna.

- Rzeczywiście okazały się warte majątek? - Czuję (w duchu przepraszam za to Francisa) dreszczyk emocji. Skarby zdobywa się w różny sposób, czasem makabryczny, ale serca ludzi o płytkich umysłach, takich jak ja, zawsze wtedy szybciej biją.

Parker się krzywi.

- Może nie tyle, ile mówili ludzie, ale... wystarczająco dużo.

- A... co z Norwegami?

- Nie natrafiłem na ich ślad. Ale wszelkie ślady już dawno uległy zatarciu na tym pustkowiu.

- Myśli pan, że pożarli ich wilki? - Nie mogę się powstrzymać od zadawania pytań.

- Może.

- Zdawało mi się, że mówił pan, że... nie wszystko zjadają.

- W ciągu tych wszystkich lat ściągnęły tam najróżniejsze zwierzęta: ptaki, lisy... Może ludzie udali się dalej. Mówię jedynie, że nie natrafiłem na ich ślady. Futra były ukryte, jakby zamierzali po nie wrócić. Ale nigdy nie wrócili.

Parker się zamyślił na krótko.

- Powiedziałem o tym Laurentowi. Miał znaleźć kupców w Stanach. Ale kiedy sobie popił, nie potrafił utrzymać języka za zębami. Zaczął się przechwalać. Rozeszła się wieść o znalezieniu futer i dotarła do Stewarta. I dlatego Jammet zginął.

- Czemu podejrzewa pan Stewarta?

- On bardziej niż ktokolwiek pragnął odzyskać te futra. Bo to jemu je ukradziono. Gdyby je odnalazł, obwołano by go bohaterem. Kompania wszystko by mu wybaczyła.

- Albo zostałby człowiekiem bardzo bogatym.

Parker kręci głową.

- Nie sądzę, żeby pieniądze miały dla Stewarta taką wartość. Dla niego najważniejsza jest duma.

- Mógł to być ktoś inny... Ktokolwiek, kto usłyszał przechwałki Jammeta i postanowił się wzbogacić.

Spogląda na mnie.

- Ale ślady prowadziły tutaj.

Przez chwilę zastanawiam się nad jego słowami. Racja. Ale to za mało.

- Doprowadziły nas tutaj i na tym się skończyło. A póki nie odnajdziemy człowieka...

Nagle coś mi przyszło do głowy i aż zrobiło mi się gorąco z przejęcia.

- Znalazłam to w chacie Jammeta... - Wyciągam z kieszeni skrawek papieru i wręczam go Parkerowi. Przygląda mu się, nachyliwszy w stronę drzwi, ale i tak niewiele widzi.



- Sześćdziesiąt jeden to rok, prawda?

- Tak. Pani to znalazła?

- W puszcze z mąką.

Parker się uśmiecha. Aż krasnieję z dumy, ale po sekundzie mija mi zadowolenie z siebie. To niczego nie dowodzi poza tym, że Jammet interesował się futrami. Na nic się nam to nie zda.

- Dałem mu to razem ze skórą srebrnego lisa. Rozbawiło go to, więc sobie zatrzymał. Skórę naturalnie sprzedał.

- Proszę to zachować - mówię. - Może zdoła pan to do czegoś wykorzystać. - Nawet nie próbuję dociekać, o co mi chodzi. Parker też nie pyta, ale chowa karteczkę. Wciąż nie wiem, co robić. Naturalnie trzeba przekonać Moody'ego.

- Czy powie mu pan o tym? Może wtedy wszystko zrozumie.

- To żaden dowód, jak sama pani powiedziała. Moody lubi Stewarta, Stewart zawsze potrafił sobie zjednywać sympatię ludzi. Poza tym to nie Stewart udał się do Dove River. Zrobił to ktoś inny.

- Dlaczego ktoś miałby wyręczyć kogoś w zabiciu człowieka?

- Z wielu powodów. Dla pieniędzy. Ze strachu. Kiedy się dowiemy, kto to zrobił, będziemy wiedzieli, dlaczego.

- Może to jeden z tutejszych ludzi. Może to Nepapanees, który potem... zagroził, że wszystko powie, więc Stewart go zabił.

- Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek znajdą jego zwłoki.

- Czemu?

- Udali się na miejsce, o którym powiedział im Stewart. Śnieg przysypał ślady. Mają tylko jego relację o tym, co się wydarzyło.

Głębokiej ciszy nie zakłóca nawet skamlenie psów.

Pod wieczór dotarli do miejsca wskazanego przez Stewarta. Słabe światło sączy się z nieba, wszystko przybrało różne odcienie szarości: chmury są perłowszare, śnieg - jasnoszary. Wyraźnie widać, którędy płynie rzeka, bo skuwający ją lód pokrywa równiutką warstwą śniegu; powstała szeroka droga, wijąca się przez równinę, zagłębiona w niej na półtora, dwa metry. Rzeka zdążyła wyźłobić sobie koryto.

Ślady wskazują, że niedawno ktoś tu był; już zdążył je przysypać świeży śnieg. Ziemia jest w tym miejscu udeptana, bo łagodnie opada ku rzece. Kiedy się patrzy z brzegu, warstwa lodu na rzece wydaje się równa i jednostajnie biała. Tylko w jednym miejscu, kawałek dalej, ma nieco ciemniejszy odcień, co świadczy o tym, że tam lód pękł i powstała nowa jego warstwa, cieńsza i tylko lekko przyprószona śniegiem. To z pewnością tam.

Alec szedł obok matki, od czasu do czasu trzymając ją za rękę. Jest mu ciężko; Elizabeth się zastanawiała, czy w ogóle pozwolić mu pójść, ale dostrzegła w jego spojrzeniu coś takiego, co przypomina jej Nepapaneesa. Jest poważny i uparty. Zaledwie wczoraj był chłopcem, miał ojca, na którym mógł się wzorować. Teraz musi być mężczyzną.

Poszukiwacze zostawiają sanie na brzegu i schodzą nad rzekę. Elizabeth bierze Aleca za rękę. Nie pozwoli mu wyciągnąć zwłok ojca z wody. Mężczyźni idą ostrożnie, stukając w lód długimi tykami, by sprawdzić jego wytrzymałość. Kiedy pęka w miejscu, gdzie jest ciem-

niejszy, ukazuje się czarna woda. Jeden z mężczyzn wydaje okrzyk - wcale nie jest tu tak głęboko, jak przypuszczali. Badają nurt, zastanawiają się, jak postąpić. Elizabeth patrzy z wysokiego brzegu w dół, na białą, krętą drogę. Gdzieś tam czeka Nepapanees.

- Zostań tutaj - mówi do Aleca, wiedząc, że jej posłucha. Idzie w dół rzeki, nie oglądając się za siebie. Mężczyźni przyglądają się jej nerwowo.

Zobaczyła, że w jednym miejscu biała gładź jest przerwana, bo gałęzie napotkały łachę i spiętrzyły się, tworząc tamę. Wszystko, co porwie nurt, zatrzyma się tu i pozostanie przez całą zimę, do wiosennych powodzi.

Elizabeth zsuwa się do rzeki powyżej naturalnej zapory. Zastanawia się, czemu Stewart nie pomyślał, żeby przeszukać to miejsce. Warstwa śniegu jest tu dziewicza. Elizabeth czuje pod nogami mocny lód. Klęka i zaczyna odgarniać śnieg dłońmi w rękawiczkach. Po chwili ukazuje się lód, gładki i przezroczysty jak szkło. Pod nim widać ciemną wodę, brązowoczną, pełną zbutwiałych roślin. Wali w lodową taflę rękami, odłamując jej kawałki tam, gdzie sterczą gałęzie, uderza w nią i ją kruszy, aż...

Widzi coś... Głęboko w podwodnym gąszczu coś utknęło, coś dużego, jasnego, a zarazem ciemnego, coś, czego nie powinno tutaj być.

Rozlegają się krzyki, kilku mężczyzn biegnie w jej stronę, ale Elizabeth nie zdaje sobie z tego sprawy, podobnie jak ze swojego świszczącego oddechu, ani z tego, że jej dłonie, teraz gołe, krwawią i są sine z zimna. Dalej się zмага z wyszczerbioną krawędzią lodu. Mężczyźni pojawiają się obok niej z tyczkami i siekierami, rozbijają lód na duże kawały. Czyjeś ręce próbują ją odciągnąć od przerębła. Nikt się nie spodziewa, że wskoczy do wody, głową do przodu, wyciągając ręce, by uchwycić ciało męża i je wydobyć. Woda jest lodowata i chociaż kobieta ma otwarte oczy, nie widzi nic poza czernią głębi i zielonoszarym światłem w górze; w końcu to coś się uwalnia ze swoich pęt i wpada w jej rozpostarte ramiona niczym kochanek z koszmaru nocnego.

Płynie ku niej zewłok jelenia, ma puste oczodoły, wyszczerzone zęby, przez nasiąknięte, rozdarte futro kokieteryjnie połyskuje białą czaszka. Skóra unosi się w wodzie niczym porwany całun.

Wyciągają ją z wody i przez chwilę myślą, że nie żyje. Oczy ma zamknięte, z ust leci jej woda. Peter Eagles naciska jej klatkę piersiową i kobieta krztusi się, wymiotując wodą. Otwiera oczy. Już ją niosą na brzeg, ściągają z niej mokre ubranie, rozcierają ciało. Ktoś rozpalil ognisko. Ktoś inny przyniósł koc. Alec płacze. Nie jest go-tów na stratę drugiego rodzica.

Elizabeth czuje w ustach trupi smak zimnej, rzecznej wody.

- Nie ma go tam - mówi, kiedy przestaje dzwonić zębami.

George Cummings rozciera jej dłonie kawałkiem koca.

- Trzeba sprawdzić długi odcinek rzeki. Będziemy szukać, aż go znajdziemy.

Kręci głową, wciąż widząc śmiertelnie blady pysk jelenia, wykrzywiony w triumfalnym uśmiechu.

- Nie ma go tam.

Później siedzą wokół ogniska, żując pemmikan i pijąc herbatę. Normalnie jedliby rybę, ale nikt nie ma ochoty łowić ryb w tej rzece; nikt nawet tego nie zaproponował. Alec siedzi obok Elizabeth, czuje bijące od ognia ciepło.

Urządzili obozowisko w miejscu, skąd nie widać porąbanego przez nich lodu na rzece, wysokie brzegi osłaniają ich przed wiatrem. Ale jest zdumiewająco bezwietrznie, dym z ogniska unosi się prosto w górę i niknie.

William Blackfeather mówi coś cicho, jakby do siebie.

- Jutro o pierwszym brzasku będziemy szukać zarówno w dole rzeki, jak i w górze. Razem uda nam się sprawdzić długi odcinek.

Kiwają głowami.

- Rzeka jest w tym miejscu bardzo płytka, a nurt niezbyt wartki - odzywa się po chwili Peter. - Aż trudno uwierzyć, że woda zdołała porwać człowieka.

George rzuca mu znaczące spojrzenie. Lecz Elizabeth jakby ich nie słyszała.

- Tam, gdzie lód się załamał, powstała nowa jego warstwa - mówi ścisłym głosem Kenowas. - Ale już przedtem lód w tym miejscu nie był gruby, o połowę cieńszy od obecnego.

Zapada milczenie, wszyscy pogrążają się w zadumie. Kenowas na głos wypowiada to, co mu przyszło do głowy.

- Nie wszedłbym na taki lód bez względu na to, za jakim zwierzęciem bym podążał.

- Co ty wygadujesz? - Arnaud zachowuje się agresywnie nawet, gdy jest trzeźwy. Kenowas odwraca się w jego stronę. Obaj mężczyźni od dawna nie darzą się sympatią.

- Nie wyobrażam sobie, by Nepapanees wszedł na taki lód. Nawet ktoś tak głupi, jak ty, dwa razy by się najpierw zastanowił.

Nikt się nie śmieje, chociaż miał to być żart. To prawda, a Nepapanees był najlepszym i najbardziej doświadczonym tropicielem spośród nich.

Nikt nie mówi tego na głos, ale większość z nich przypomina sobie, że duchem opiekuńczym Nepapaneesa był jelen. Ponieważ Indianin nie został ochrzczony, więc nie opiekowało się nim Dzieciątko, tylko duch jelenia. Silny, szybki, dzielny duch, który zna lasy i równiny. Nepapanees mówił, że woli takiego opiekuna od Dzieciątka. Skąd Dzieciątko, które przyszło na świat dawno temu, w gorącym, pustynnym kraju, może wiedzieć, jak przeżyć na tych zimnych pustkowiach? Czego mogłoby go nauczyć? Elizabeth, w której żyłach płynie trochę krwi białych, ochrzczona i chroniona przez świętą patronkę, kręciła wtedy głową i cmokała, jeśli była w złym humorze, albo przekomarzała się z nim i ciągnęła go za włosy, jeśli miała dobry nastrój. Kiedy się nawróciła już jako osoba dorosła, lubiła rozmyślać o świętym Franciszku, poczciwinie, który potrafił rozmawiać z ptakami i innymi stworzeniami. Pod tym względem przypominał Czipewęja i dlatego cieszył się taką popularnością wśród Indian - tylko w ich wiosce czworo dzieci i dwoje dorosłych wybrało sobie go na patrona, przystępując do bierzmowania.

Teraz święty Franciszek wydaje się odległy i nieważny, obcy, który najpewniej nie zrozumiałby tej śmierci i rozpaczki kobiety. Elizabeth nie może zapomnieć widoku jeleniego łba. Kiedy znalazła się w wodzie, wyraźnie czuła, że nie ma tam jej męża, że nie ma go nigdzie w pobliżu. Ale może się myli. Może to jej mąż wierzył w to, co należy, i zobaczyła pod wodą jego ducha, który wrócił, żeby z niej zadrwić za jej niewiarę.

Wydaje jej się, że jest gdzieś daleko stąd, przemarznięta nie tylko z powodu panującego zimna, daleko od tych mężczyzn, strawy i ogniska. Nawet od śniegu, ciszy i pustego nieba bez dna. Jedyne, co ją łączy z tym światem, to ciepło, bijące od syna; wąła nić, która łatwo może ulec zerwaniu.

Temperatura nadal spada. W taki mróz ma się wrażenie, że coś ścisza powietrze w imadle. Człowiekowi zapiera dech, wysuszona skóra piecze. Na dziedzińcu panuje głęboka, niemal namacalna cisza, skrzywienie śniegu pod butami wydaje się bardzo głośne. Właśnie to budzi Donalda: skrzywienie świeżo spadłego śniegu. Cały dzień spędził w łóżku, tłumacząc się lekką gorączką, spał do późnego popołudnia, zablokowawszy krzesłem klamkę u drzwi. Milo mu się drzemało w zapadającym zmroku. Nie ma niczego niezwykłego w odgłosie stąpania - w faktorii nadal zostało sporo ludzi - tyle że kroki są jakieś osobliwe, niemiarowe, co wyrywa go z przyjemnej drzemki. Niechętnie nasłuchuje, jak ktoś idzie, zatrzymuje się, znów robi kilka kroków. Ponownie przystaje. Donald czeka - do diaska! - na kolejne odgłosy. W końcu czuje się zmuszony podeprzeć się na łokciu i wyjść na dziedziniec w zapadającym mroku. Na śniegu widać parę prostokątów światła, padających z okien innych pomieszczeń; może są tam biura. W pierwszej chwili nikogo nie widzi, ale dlatego, że ów ktoś stara się trzymać w cieniu; prawdopodobnie sądzi, że w pokoju nikogo nie ma, bo nie pali się w nim światło. Dopiero później Donald dostrzega mężczyznę w futrze, z długimi, ciemnymi włosami. Zastanawia się, czy wróciła ekipa poszukiwawcza. Nie rozpoznaje mężczyzny i po jakimś czasie dociera do niego, że nie jest on członkiem tej ekipy. Zachowuje się podejrzanie, rozgląda się z przesadną ostrożnością i idzie chyłkiem. Jest kompletnie pijany. Donald z rosnącym rozbawieniem przygląda się, jak mężczyzna potyka się o coś

w ciemnościach i klnie. Po chwili, kiedy nikt nie zareagował na hałas, kieruje się do magazynów i ginie Donaldowi z oczu. Ktoś, kto jest zbyt pijany, by była z niego jakaś pociecha podczas poszukiwań. Donald wraca do swojego kokonu, naciągając koce pod samą brodę.

W Fort Edgar też są ludzie, którzy przez kilka miesięcy pod rząd znajdują się w stanie upojenia alkoholowego, z których przez całą zimę nie ma żadnego pożytku. To smutne. Skoro doprowadzają się do takiego stanu, ich kariera zawodowa będzie krótka. Pijaństwo to postępująca choroba. Donalda początkowo dziwiło, że przełożeni w Kompanii nie robią nic, by temu przeciwdziałać, nie ograniczają traperom dostępu do kiepskiego alkoholu. Kiedy delikatnie poruszył ten temat w rozmowie z Jacobem, ten zwiesił głowę; to przez alkohol dźgnął go nożem w brzuch. Od tamtej pory Jacob nie wypił ani kropli. Donald tylko raz zagadnął na ten temat Mackinleya, który spojrział na niego swoimi wyblakłymi oczami z rozbawieniem, jeśli nie z politowaniem. „Tak już jest urządzony ten świat” - oświadczył. Wszyscy kupcy kuszą traperów i pracowników alkoholem; gdyby Kompania nie zapewniała alkoholu, straciłaby swoją pozycję na rzecz konkurentów, którzy mają mniej skrupułów i nie dbają o dobro pracowników. Naiwnością byłoby postępować inaczej. Donald czuł, że czegoś brakuje tej argumentacji, ale nie śmiał tego powiedzieć.

Po jakimś czasie zaczyna rozmyślać nad tym, co ostatniego wieczoru usłyszał od pani Ross. Nesbit to jego rówieśnik, całkiem niedawno przyjechał tu ze Szkocji. Jest człowiekiem wykształconym i dobrze wychowanym. Pracuje jako młodszy referent, ale jest wystarczająco inteligentny, by awansować w Kompanii. Podobieństwa te zaniepokoiły Donalda; a raczej, kiedy przeanalizował podobieństwa, zaczynają go niepokoić różnice. Nerwowe tiki Nesbita, jego gorzki śmiech, wyraźne rozczarowanie własnym życiem. Przebywa w Kanadzie ponad dwa razy dłużej od Donalda i chociaż jest bardzo nieszczęśliwy, jakby pogodził się z tym, że nigdy stąd nie wyjedzie. Donalda przebiega lekki dreszcz na wspomnienie Norah, jej płaskiej, podejrzliwej twarzy i beczelnych odzywek. W jej szerokich ramio-



nach Nesbit najwyraźniej znalazł pocieszenie. Już dawniej słyszał o takich związkach - nawet w Fort Edgar nie są niczym wyjątkowym - ale Donald uważa, że on nigdy nie zniży się do czegoś takiego. Czuje, że się ożeni (choć nie wie, kiedy i gdzie) z ładną dziewczyną, mówiącą po angielsku - prawdę mówiąc z kimś podobnym do Susannah, tylko nigdy nawet nie śmiał marzyć o tak urodziwej pannie. Podczas pierwszych osiemnastu miesięcy pobytu w Fort Edgar taka perspektywa zaczęła się wydawać coraz bardziej odległa. Lecz patrząc na Indianki, których nie brakuje w faktorii, nadal się wzdragał na myśl o związku z jedną z nich, nawet kiedy mężczyźni żartowali sobie, że ta czy inna dziewczyna chichocze na jego widok. Nigdy jednak jeszcze nie widział tak pięknej Indianki jak Nancy Eagles. Wciąż czuje ciepło bijące od jej miękkiego ciała, przechodzi go dreszcz na myśl o tym, jak śmiało sobie poczyniała - to znaczy przechodziłby, gdyby Donald pozwalał sobie na takie rozważania. A nie pozwala. Jakoś trudno mu sobie wyobrazić, by Norah tak samo działała na Nesbita. A jednak...

Na biurku leży list do Marii. Zeszłego wieczoru, po tym wybuchu gniewu, podniósł z podłogi zmiętą kartkę, wygładził ją, a potem przygniół blokiem listowym, na którym dodatkowo postawił buty. Obawia się jednak, że to nie wystarczy. Może nierozsądnie postąpił, w ogóle do niej pisząc. Może zmięcie listu w kulkę będzie błogosławione w skutkach. Powinien myśleć o Susannah i robi to, próbuje przywołać jej ulotny obraz, usłyszeć jej lekki, srebrny głos.

Kiedy niebo zupełnie ciemnieje, Donald się ubiera. Jest głodny, co bierze za dobry znak. Wychodzi na pusty korytarz. Zastaje Nesbita w jego biurze - to z tego pokoju pada światło, które widział na dziedzińcu. Nie ma śladu Stewarta, pani Ross ani nikogo innego.

Nesbit z grymasem prostuje się nad biurkiem, bołą go plecy od garbienia się nad papierami. Ziewa szeroko, pokazując czarne zęby trzonowe.

- Cholerne rachunki. Zmora mojego życia. A przynajmniej jedna z nich. Kiedyś mieliśmy tu księgowego, niejakiego Archiego Murraya. Zabawny był z niego gość - bał się własnego cienia. Ale odkąd

wyjechał, jego obowiązki spadły na mnie, a muszę się przyznać, że nie jestem najmocniejszy w rachunkach. Wprost przeciwnie.

Donald się zastanawia, czy zaproponować mu pomoc, ale dochodzi do wniosku, że nie czuje się na tyle zdrów.

- Nie, żebyśmy mieli wielkie obroty. Więcej wydatków niż przychodów, jeśli domyśla się pan, o co mi chodzi. A jak to wygląda u was?

- Chyba całkiem dobrze. Ale raczej jesteśmy miejscem przeładunku niż punktem skupu. Przypuszczam, że kiedyś, wiele lat temu, gdy nie mieszkało tu tak dużo ludzi, w całym kraju aż roiło się od zwierząt futerkowych.

- Obawiam się, że tutaj nigdy niczego nie było. - Nesbit ma ponurą minę. - Wie pan, jak miejscowi nazywają te okolice? Kraina głodu. Nawet cholerne lisy nie mogą znaleźć tu nic do jedzenia. Naturalnie są tu same rude lisy. Pora, żeby się czegoś napić.

Nesbit wstaje od biurka, mija Donalda i zza jakichś ksiąg rachunkowych wyciąga butelkę słodowej whisky.

- Zapraszam.

Donald idzie za Nesbitem do jego salonu - sąsiadującego z gabinetem małego pokoju, w którym są tylko dwa wyścielane fotele i jakiś obraz wątpliwej jakości.

- Gdzie jest pan Stewart? - pyta Donald, biorąc dużą szklanekę whisky. Na szczęście jest lepsza od rumu w Fort Edgar. Przez chwilę się zastanawia, jak to możliwe, że na takim pustkowiu, gdzie trudno o porządne jedzenie, mieszkańcy Hanover House piją jak królowie.

- Och, kręci się gdzieś tu - mówi Nesbit mało precyzyjnie. - Musi pan wiedzieć... - Pochyliła się w swoim fotelu i tak badawczo przygląda się Donaldowi, że ten aż czuje zmieszanie. - Ten człowiek... ten człowiek to święty. Prawdziwy święty.

- Mhm - bąka ostrożnie Donald.

- Proszę mi wierzyć, że kierowanie tą faktorią to niewdzięczne zadanie, ale nigdy się nie skarży. Nigdy nie słyszałem, by narzekał, w przeciwieństwie do mnie. A ten człowiek mógłby robić wszystko, zająć się sprawami największego kalibru.

- Tak, sprawia wrażenie zdolnego - mówi Donald trochę sztywno.

Nesbit spogląda na niego taksująco.

- Pewnie pan sobie myśli, że każdy, kto trafia do takiej dziury, musi być niewiele wart. Może to prawda w odniesieniu do mnie, ale w jego wypadku absolutnie nie.

Donald najpierw kiwa głową, a potem lekko nią kręci, mając nadzieję, że jego gesty zostaną właściwie zrozumiane.

- Indianie go kochają. O mnie nie mają najlepszego mniemania, podobnie jak ja o nich, ale jego... jego traktują jak boga. Rozmawia teraz z nimi. Przez chwilę, kiedy wrócił z wiadomością o Nepapanesie, myślałem, że będą kłopoty, ale poszedł do nich i znów jedzą mu z ręki.

- Tak. Hm. Godne podziwu - mruży Donald, zastanawiając się, czy Jacob kiedykolwiek będzie jadł z czyjejs ręki. Wydaje się to mało prawdopodobne. Widzi też - bardzo wyraźnie - wdowę, zostawioną na dziedzińcu, kiedy Stewart i Nesbit weszli do środka. Ale o dziwo, chociaż Donald szczyci się tym, że ma na tyle niezależny umysł, by traktować takie peany ze szczyptą rezerwy, wierzy, że Stewart potrafi zjednywać sobie serca ludzi. Stwierdza, że w takim samym stopniu coś go ciągnie do Stewarta i odpycha od Nesbita.

- Wiem, że jestem niewiele wart. Może mało wiem, ale tego jestem pewien. - Nesbit wpatruje się w bursztynowe refleksy w swojej szklaneczce. Donald się zastanawia, czy Nesbit nie jest trochę szurnięty; przez chwilę boi się, że ten zaraz się rozpłaczę. Ale mężczyzna się uśmiecha gorzko, cynicznie, jak ma w zwyczaju.

- A pan, Moody, na czym stoi?

- Obawiam się, że nie zrozumiałem pańskiego pytania.

- Czy jest pan człowiekiem pośledniego gatunku? Czy też pierwszego?

Donald śmieje się skrzepowany.

- A może jeszcze pan tego nie wie.

- Eee... Nie wiem, czy zgadzam się z panem, że to przydatne rozróżnienie.

- Wcale nie twierdzę, że jest przydatne. Ale to sprawa oczywista. Tylko trzeba mieć odwagę, by to zobaczyć.

- Ja tak nie uważam. Może pan twierdzić, że pogodzenie się z oceną samego siebie jest dowodem odwagi, ale według mnie to uchylanie się od odpowiedzialności. Taki cynizm pozwala panu poddać się i zrezygnować z wszelkich wysiłków. Z góry usprawiedliwia pan wszystkie niepowodzenia.

Nesbit uśmiecha się nieprzyjemnie. Donald lubi tego rodzaju dyskusje, prowadzone pół żartem, pół serio, najczęściej pod koniec długich, zimowych wieczorów, ale znów zaczęła mu dokuczać rana.

- Uważa mnie pan za nieudacznika?

Donald widzi nagle Nesbita w objęciach ciemnoskórej Norah i wstyd mu, że zna tę tajemnicę swojego rozmówcy. Niemal w tej samej chwili ostro i wyraźnie ujrzał oczami duszy twarz Susannah; po tak długim czasie, kiedy spowijała ją mgła, nagle wszystkie elementy trafiają na swoje miejsce i oto mają przed oczami w całej krasie. Jednocześnie uzmysławia sobie z konsternacją, że jego uczucia do niej wygasły, że został głównie podziw i onieśmienie. Nagle ogarnia go silne pragnienie powrotu do pokoju i dokończenia listu do Marii. Subtelnej, nieprzewidywalnej Marii. Dziwne. Dziwne, a zarazem przyjemne. Cudowne! Powstrzymuje się od uśmiechu.

- A więc myśli pan tak?

Donald musi się skupić, żeby sobie przypomnieć pytanie.

- Nie, skądże znowu. Ale wyobrażam sobie, jak frustrujący musi być pobyt w takim miejscu. Jestem pewien, że czułbym się tak samo. Człowiek potrzebuje towarzystwa i urozmaicenia. Wiem, jak bardzo potrafią się dłużyć zimy, a do tej pory doświadczyłem tu tylko jednej. Jeden towarzysz to za mało, choćby nie wiem, jak wspaniały.

- Brawo. Słyszał pan to? - Nesbit opróżnia swoją szklaneczkę i nieruchomieje, napełniając ją ponownie, przechyliwszy głowę na bok. Donald nasłuchuje, przypuszczając, że chodzi o czyjeś kroki na korytarzu, ale jak zwykle nie ma tam nikogo. Nesbit kręci głową i dolewa whisky do szklaneczki Donalda, chociaż jeszcze nie jest pu-  
sta.

- Świetny z pana kompan, Moody. Żałuję, że nie jest pan z nami. Może nawet udałoby się panu doprowadzić do porządku księgi rachunkowe, które w ciągu ostatnich dwóch lat przemieniłem w węzeł gordyjski. - Nesbit uśmiecha się szeroko, jego zgorzknienie gdzieś zniknęło.

- Jakiś czas temu widziałem na dziedzińcu jednego z waszych ludzi - mówi Donald ni stąd, ni zowąd. - Widocznie nie udał się na poszukiwania ciała. Chociaż z drugiej strony był tak pijany, że śmiem twierdzić, iż bardziej by przeszkadzał, niż pomagał.

- Ach. - Nesbit zamyśla się na chwilę. - Tak. Mamy zimą z tym problem, o czym z pewnością doskonale pan wie.

- Czy to traper? - Donald ma ochotę zapytać wprost, kto to, ale uznaje, że byłoby to zbyt obcesowe.

- Nie mam pojęcia, o kim pan mówi, mój drogi. O ile mi wiadomo, wszyscy mężczyźni poza Olivierem udali się nad rzekę. Może to jego pan widział.

- Nie, to był z pewnością ktoś starszy od niego. Potężniej zbudowany. I miał długie włosy.

- W tym półmroku można się pomylić. Kiedyś wyjrzałem przez okno - było to zeszłej zimy, siedziałem przy swoim biurku w sąsiednim pokoju - i omal nie dostałem ataku serca. Na dziedzińcu stał łoś, miał przynajmniej dwa metry wysokości, i gapił się na mnie. Krzyknąłem przerażony i rzuciłem się do drzwi, ale kiedy znalazłem się na dziedzińcu, nie było ani śladu łośia. Naturalnie niemożliwe, by przeskoczył przez palisadę, ale przysięgłbym na Biblię, że go widziałem!

Prawdopodobnie byłeś pijany, myśli cierpko Donald. Doskonale wie, że ten człowiek na dziedzińcu to nie był Olivier, i jest coraz bardziej pewny - naprawdę, zupełnie jakby jego umysł po paru dniach nagle się obudził - że powinni się zainteresować owym tajemniczym mężczyzną.

Do tego stopnia, że pod jakimś pretekstem żegna się z Nesbitem i wychodzi, by obejrzeć śnieg pod swoim oknem. I nagle stwierdza, że z jakiegoś powodu znacznie wzrosła troska o porządek w forcie i zamieciono śnieg na dziedzińcu.

Sault St Marie bardzo się różni od Caulfield. Leży nad dwoma jeziorami, wody jednego wpadają do drugiego, pokonując skalne progi; schodzą się tutaj drogi z północnego zachodu i wschodu; przebiega też tędy granica państwowa. Tu przybijają statki z północy, ze wschodu i z głębi Stanów Zjednoczonych, z Chicago i Milwaukee, miast bardziej obcych i zdeprawowanych niż najodleglejsze faktorie. Ale rzekomym powodem przyjazdu tutaj jest Grand Western Opera House, gdzie państwo Knox poszli wczoraj wieczorem, by obejrzeć przedstawienie *Wesela Figara*, o którym dużo się mówi. Największą atrakcją jest to, że partię Cherubina śpiewa Delilah Hammer; sam pomysł, by obsadzić w operze Mozarta kobietę z plemienia Mohawków, przez kilka miesięcy stanowił główny temat felietonów w niektórych gazetach. Koniecznie trzeba było to zobaczyć. Więc pani Knox kupiła bilety na parowiec i stawili czoło zimowym sztormom, by się tam udać.

Zdaniem Marii, która nie jest zbyt muzykalna, śpiewaczka wyglądała uroczo i dość niezwykle, szczególnie przebrana za chłopca, z włosami schowanymi pod luźnym okryciem głowy. Ma chłopięcą twarz, wielkie, ciemne oczy dodatkowo podkreślone makijażem, duże usta i olśniewająco białe zęby. Prezentowała się znacznie lepiej od pozostałych śpiewaczek, mających skłonności do tycia. Maria zastanawiała się, czy panna Hammer nie wolałaby zaśpiewać jednej z partii kobiecych. Publiczność, składająca się z miłośników opery, którzy elegancko się wystroili na tę okazję, oraz samotnych mężczyzn, spragnionych rozrywki, głośnymi okrzykami dawała wyraz

swemu zadowoleniu, co w takim miejscu prawdopodobnie nie przychodziło im zbyt trudno. Ojciec gderał, że śpiewaczka niezbyt się nadaje do tej roli (mając na myśli raczej jej głos niż kolor skóry), posprzeczał się z matką na temat dyrygenta. Przez chwilę znów był taki, jak kiedyś.

Pani Knox niepokoi się o swojego męża. Niedobrze, że popadł w niełaskę lub został zmuszony do przejścia na emeryturę, bo nikt nie jest do końca pewien, co się właściwie stało. Ale jeszcze gorzej, że całymi godzinami siedzi w swoim gabinecie zupełnie beczynie. Jeśli umysł nie pracuje, zamula się albo wędnie. Kiedy się kłócili, przestała być taka spięta. Ogólnie rzecz biorąc, warto było wybrać się w tę podróż.

Ale rano ojciec znów milczy, zamknąwszy się w sobie. A Maria znowu myśli o kodzie.

Po spotkaniu ze Sturrockiem Maria zamknęła się w swoim pokoju z kopią tajemniczych znaczków i udało jej się zapomnieć o całym świecie, kiedy łamała sobie głowę nad znaczeniem symboli. Najpierw próbowała podzielić je na grupy - chociaż to wymagało przyjęcia założenia, że Sturrock dokładnie je skopiował. Na podstawie artykułu w „Edinburgh Release” i opierając się na własnym zdrowym rozsądku, od samego początku dopuszczała myśl, że poszczególne symbole lub ich grupy mogą wcale nie być odpowiednikami łacińskich liter, tylko oznaczać wyraz lub dźwięk. Dzieliła znaczki na różne sposoby, zastępowała je rozmaitymi dźwiękami i literami, ale otrzymała tylko pozbawiony sensu bełkot (da-ja-no-dzi-te! ba-lo-re-ja-no?). Zniechęcona zaprzestała dalszych prób. Założenie, że Marii Knox uda się rozwiązać zagadkę, nie miało żadnych podstaw. Była tylko zwykłą dziewczyną z prowincji, która prenumerowała kilka magazynów i przeczytała jeden artykuł o odczytaniu kamienia z Rosetty. Ale małe, kanciaste symbole nie dawały jej spokoju na jawie ani we śnie, drwiąc sobie z niej. Ogarnęło ją niezdrowe pragnienie obejrzenia oryginalnej tabliczki i jej myśli skierowały się na północ, gdzie Francis - prawdopodobnie - oraz pan Moody trzymali klucz do zagadki.

Rozgrzebuje na talerzu resztki śniadania. Ścięte jajko i sok ze steku tworzą koszmarny wzór na biało-niebieskiej porcelanie.

- Jeśli można... - Wstaje, głośno odsuwając krzesło. - Chciałabym się przejść.

Pani Knox marszczy czoło, patrząc na starszą córkę.

- Dobrze. Tylko bądź ostrożna.

- Będę, matko. - Maria jest już koło drzwi. Śmieszy ją, że pani Knox uważa wszystkie miejsca poza Caulfield za jaskinie zła, pełne białych handlarzy niewolników. Będzie musiała zmienić zdanie, jeśli Maria zgodnie z powziętym postanowieniem wyjedzie latem do Toronto.

Po wyjściu z hotelu Maria skręca w prawo, ku nabrzeżu. Wzdłuż jeziora ciągną się bezładnie keje i magazyny, miejsce przeznaczenia towarów z całej północy. Podniecają panujący tu rejwach. Jest tu brudno, głośno i zupełnie inaczej, niż w Caulfield i w sklepie Johna Scotta. Ostrzegano ją, by nie zapuszczała się do tej części miasta, więc tym bardziej ją tam ciągnie. Mijają ją mężczyźni spieszący do portu na przybycie parowców i spotkania z robotnikami. Chowana pod kloszem dziewczyna z prowincji czuje się tu, jakby się znalazła w samym sercu wszystkiego.

W tej części miasta też jest kilka hoteli i pensjonatów; mniej okazałych niż Victoria and Albert, bardziej oddalonych od gmachu opery. Widzi jakiegoś mężczyznę i kobietę, wychodzących z jednego z nich. Przez chwilę przygląda się im bezmyślnie, nim uzmysławia sobie ze zdumieniem, że mężczyzna to Angus Ross, farmer z Dove River. Ojciec Francisa. Kiedy odwraca głowę, wyraźnie widzi jego twarz: łagodny profil, rudawozłote włosy. Doznała wstrząsu, ponieważ towarzyszka mu kobieta to nie jego żona. Pani Ross nie widziała od wielu tygodni. Maria czuje, jak czerwieni się ze wstydu. Wydaje jej się, że coś jest nie w porządku, chociaż pan Ross i ta kobieta tylko idą ulicą. Pan Ross nie widzi Marii, która odruchowo kuli się i odwraca w stronę okna wystawowego najbliższego sklepu. Za szybą umieszczono jedynie spis rzeczy. Ma taki mętlik w głowie, że nie dostrzega między nimi żadnego związku.



Czeka, aż pan Ross i kobieta się oddalą. Nigdy wcześniej nie widziała niewłaściwego zachowania, ale jest pewna, że teraz zetknęła się z czymś takim. A tak w ogóle, gdzie jest pani Ross? Wiedzą tylko od jej męża, że wyruszyła na poszukiwania syna. Nagle Marii, która poza budującymi powieściami czytała również kilka sensacyjnych, przychodzi do głowy myśl, że może pan Ross zamordował swoją żonę. A co z Francisem? Pan Moody razem ze swoim przyjacielem ruszyli jego tropem, ale być może go nie odnaleźli. I dlatego dotąd nie wrócili. Może pan Ross zabił również pana Jammeta...

Maria ściąga wodze swojej wyobraźni, postanawiając nie dawać wiary w takie historie. Ale i tak jest poruszona. Może jednak powinna dokończyć śniadanie. Może - rozgląda się wokoło, by sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje - może w związku z tak niezwykłymi okolicznościami wstąpi gdzieś, żeby się czegoś napić.

Podniesiona na duchu własną śmiałością, Maria decyduje się na spokojny bar w pewnej odległości od nabrzeża i wchodzi do środka. Bierze głęboki oddech, ale w barze nie ma nikogo poza barmanem i jakimś mężczyzną, posilającym się tyłem do drzwi przy jednym ze stolików.

Maria zamawia kieliszek sherry i kawałek placka z jeżynami, po czym zajmuje miejsce przy stoliku w głębi sali, na wypadek gdyby ktoś znajomy niespodziewanie znalazł się w pobliżu. Na przykład pan Ross. Na tę myśl serce szybciej jej zabiło. Nigdy do tej pory nie miała powodu, by darzyć panią Ross szczególną sympatią czy antypatią - kobieta jest dość wyniosła - ale teraz Marii jest jej żal. Myśli sobie, że ze wszystkich ludzi na świecie ona i pani Ross mogą mieć coś wspólnego ze sobą.

Maria dostaje swoje zamówienie. Żeby czymś się zająć, wyciąga kartkę i próbuje złamać kod. Zdaje sobie sprawę z tego, że drugi gość zauważył ją, boi się, że może spróbuje się do niej przysiąc. Widzi to, czego nie zauważyła wcześniej: to Indianin o raczej niechlujnym wyglądzie. Postanawia nie patrzeć w jego stronę. Wyciąga ołówek i zaczyna zapisywać efekt swoich wysiłków, czyli długi szereg wyrazów

i sylab, pozbawionych sensu. Tak ją pochłonięto to zajęcie, że stojącego obok barmana zauważa dopiero, gdy ten chrząka.

- Proszę mi wybaczyć. Czy ma pani ochotę na jeszcze jeden kiełiszeczek? - Trzyma w ręku butelkę z sherry.

- Och. Tak, chętnie. Placek był wyborny. - Nic a nic nie przesadziła.

- Dziękuję. Czy rozwiązuje pani łamigłówkę?

- Można tak powiedzieć. - Barman ma ładne oczy i bardzo długie, zwisające, brązowe wąsy. Sprawia wrażenie człowieka inteligentnego. - Próbuję złamać szyfr. Ale to chyba beznadziejna sprawa, ponieważ nie wiem, w jakim języku zapisano tekst.

- Czy po włosku czy po francusku?

- No właśnie... Chociaż według mnie to jakiś indiański język, a jest ich tak dużo.

- Ach. W takim razie potrzebna pani pomoc.

- Tak. Kogoś, kto biegle zna je wszystkie. - Wzrusza ramionami i się uśmiecha, bo to mało prawdopodobne.

- Czy mogę pani coś zaproponować? Widzi pani tego dżentelmena, który tam siedzi? Zna wiele indiańskich języków. Jeśli pani chce, mogę go pani przedstawić.

Widzi, z jakim powątpiewaniem Maria patrzy na zgarbionego Indianina o tłustych włosach.

- Jest bardzo... miły. - Barman się uśmiecha, jakby to nie było właściwe słowo, ale uznaje, że musi wystarczyć. Maria czuje, że za chwilę się zaczerwieni. Oto, co grozi kobiecie, kiedy wejdzie do podejznanego baru; sama sobie jest winna. Patrzy na zapisaną kartkę i czuje się, jak głupia pensjonarka.

- Domyślam się, że nie ma pani na to ochoty. Proszę zapomnieć o mojej propozycji. To była bezczelność z mojej strony.

Maria siada prosto. Jeśli ma być uczoną, myślicielką, nie może zrezygnować z okazji dowiedzenia się czegoś nowego tylko z powodu czyjegoś tłustego kołnierzyka.

- Nie, bardzo byłoby mi... miło. Dziękuję. O ile, oczywiście, ów dżentelmen nie będzie miał nic przeciwko temu.

Barman podchodzi do drugiego stolika i rozmawia z mężczyzną. Maria widzi jego przekrwione oczy i ogarniają ją wątpliwości, czy słusznie postąpiła. Ale mężczyzna wstaje i podchodzi do niej, trzymając swój kieliszek. Uśmiecha się do niego krótko, mając nadzieję, że zachowuje się jak młody naukowiec.

- Dzień dobry. Panna Knox. Mam przyjemność z panem...?

Mężczyzna siada.

- Jestem Joe.

- Ach. Tak. Dziękuję, że...

- Fredo mówi, że potrzebny pani ktoś, kto zna indiańskie języki.

- Tak, mam tutaj fragment szyfru. Mój... znajomy uważa, że tekst zapisano w jakimś indiańskim języku. Próbowалам go odczytać, ale ponieważ nie wiem, o jaki język chodzi...

Uśmiecha się i lekko wzrusza ramionami, jeszcze bardziej wystraszona, kiedy się znaleźli twarzą w twarz. Mężczyzna jest starszy, niż początkowo przypuszczała, w jego włosach widać siwe pasma. Ma worki pod oczami i obwisłe policzki. Białka jego oczu pokrywa czerwona siateczka. Załatuje od niego rumem.

Ale to bystra twarz, albo przynajmniej kiedyś taka była.

- Żadni Indianie nie stworzyli pisma, skąd więc zrodził się taki pomysł w głowie pani znajomego?

- Wiem, ale, cóż... Zaintrygowało go to. A te małe symbole... Proszę spojrzeć... Wprawdzie to tylko kopia, ale... Bardzo przypominają indiańskie rysunki, które widziałam.

Z jakiegoś powodu podsuwa mu kartkę, chociaż jest taki odrażający. Chce, żeby przynajmniej potraktował ją poważnie.

Długo przygląda się symbolom, ale milczy. Maria bardzo pragnie znów znaleźć się w hotelu.

- Z czego zostało to odrysowane?

- Z kościanej tabliczki.

Bierze pozostałe kartki, na których są jej nieśmiałe próby rozszyfrowania kodu.

- Co to za imiona?

- Och, to nie imiona. Otrzymałam to, próbując podstawiać pewne litery i dźwięki na miejsce tych znaczków...

Uważnie studiuj zapiski, unosząc kartki do światła, by lepiej widzieć. Wodzi palcem po papierze.

- Deganawida. Ochinaway. Według pani tak tu jest napisane?

Mężczyzna staje się agresywny. Maria wyzywająco zadziera brodę. Nic nie można zarzucić jej metodzie odczytywania szyfru. Nauczyła się tego z „Edinburgh Review”.

- Cóż, to moje przypuszczenia. Trzeba przyjąć pewne założenia, jakie dźwięki oznaczają poszczególne symbole, i podstawić je. Próbowałam różnych kombinacji. Jedna dała takie wyniki...

Mężczyzna rozsiada się wygodnie i uśmiecha się do niej szyderczo, wrogo.

- Moja panno, czy to jakiś żart? Kto pani powiedział, że można mnie tu spotkać?

- To nie żart, skądże znowu. Nie miałam pojęcia... Nie wiem, kim pan jest! - Rozgląda się nerwowo wokół za Fredo, ale ten obsługuje jakichś nowych gości.

- Kto to był? Ten tłuścioch McGee? Co? Czy Andy Jensen? Czy to Andy?

- Nie wiem, o kim pan mówi. Nie wiem, co mi pan imputuje, to niczym nieusprawiedliwione!

Fredo usłyszał ton jej głosu; patrzy w jej stronę... Podchodzi do nich. W końcu!

- Jak się nazywa pani znajomy? – Nie poddaje się Joe.

- Najmocniej panią przepraszam. Joe, proszę wyjdź.

- Chcę tylko poznać jego nazwisko.

- Pan... Joe uważa, że chcę mu spłatać jakiegoś figła.

- Joe, przepróż panią. Chodź ze mną.

Joe zamyka oczy i spuszcza głowę; dziwne zachowanie, które sprawia, że ta zniszczona przez czas i alkohol twarz odzyskuje dawną delikatność.

- Przepraszam. Chciałbym tylko poznać nazwisko pani znajomego, który ma ten... Jakkolwiek to pani nazwała.

Maria robi się odważniejsza, kiedy Fredo stoi przy niej. I coś w twarzy mężczyzny, kiedy zamknął oczy, jakieś bezmierne cierpienie i ból, jakiś smutek, sprawiły, że chce odpowiedzieć na jego pytanie.

- Cóż, skoro chce pan wiedzieć, ów człowiek nazywa się Sturrock. I to nie jest żaden żart. Nie mam zwyczaju z nikogo żartować w taki sposób.

- Sturrock? - Joe poważnieje. Wygląda teraz zupełnie inaczej, jakby ściągnięto sznurki, które łączą poszczególne części ciała. - Tom Sturrock? Ten poszukiwacz?

- Tak. Zna go pan?

- Kiedyś znałem. Cóż, życzę pani powodzenia. Proszę powiedzieć swojemu znajomemu, że pozdrawia go Kahon'wes.

Maria marszczy czoło, starając się zapamiętać.

- Ga-hoo-ways?

Mężczyzna, jakkolwiek brzmi jego imię, wstaje i wychodzi z baru. Maria patrzy na Fredo, oczekując wyjaśnień. Ale barman jest nie mniej zaskoczony od niej.

- Najmocniej panią przepraszam. Nie wiedziałem, że tak zareaguje. Zwykle jest bardzo spokojny, przychodzi, żeby się napić, ale zachowuje się poprawnie. Przyniosę pani jeszcze kieliszeczek sherry albo kawałek...

- Nie, dziękuję. Naprawdę muszę już iść. Czeka na mnie ojciec. Ile jestem...?

- Nie, nie, nie mogę wziąć od pani pieniędzy.

Po kilku minutach certowania się Maria stawia na swoim, uważając, że nie powinna mieć żadnych zobowiązań wobec nieznanego. Wychodzi, szeleszcząc kartkami, dziękując. Szybkim krokiem oddala się od nabrzeża, patrzy prosto przed siebie.

Nie spodziewała się, że tego ranka czeka ją taka przygoda, nie przypuszczała, że droga do wiedzy jest taka wyboista i niebezpieczna. Ale przynajmniej będzie miała co opowiedzieć panu Sturrockowi. Może ta historia wyrwie z letargu również jej ojca. Czując ulgę, że zostawiła doki za sobą, Maria zwalnia kroku, by

ułożyć sobie w myślach opowieść. Kiedy przemienia swoją przygodę w relację obfitującą w sceny pełne napięcia z udziałem nieustraszonej bohaterki, w końcu niemal sama wierzy, że wcale się nie bała.

Pod drzewami panuje półmrok, szybko zapadają ciemności, więc się zatrzymują, ponieważ dzieci bardzo marudzą. Espen stara się nie okazywać niepokoju, ale nie ma pojęcia, jak zbudować szałas ani rozpalić ognisko, kiedy leży taki głęboki śnieg. Odgarnia go i po jakimś czasie udaje mu się rozpalić ogień, ale nim zagotowała się woda, odgarnięty śnieg topi się i gasi płomień. Dzieci patrzą na to oczami pełnymi łez, rozczarowane i przemarznięte. Line nie przestaje mówić, starając się dodać im otuchy, w gardle jej zaschło z pragnienia, usta jej popękały z zimna. Nigdy w życiu tyle nie mówiła; jest zdecydowana nie poddać się, nie okazywać strachu, nie płakać. Kiedy Torbin i Anna w końcu usnęli, mówi:

- Jutro powinniśmy dotrzeć nad rzekę. Śnieg spowolnił nasz marsz, ale uda nam się.

Espen przez jakiś czas milczy. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby był tak nieszczęśliwy.

- A więc nie widziałas tego, prawda?

- Czego? O czym ty mówisz? - Wyobraźnia podsuwa jej obrazy lasu pełnego niedźwiedzi, Indian wymachujących toporkami, wilków o oczach jak latarnie. Espen patrzy na nią cierpko.

- Naszych śladów. Dziś rano natknęliśmy się na nasze własne ślady. Zobaczyłem je i zawróciłem. Kręciliśmy się w kółko.

Kobieta gapi się na niego, przez chwilę zastanawiając się nad znaczeniem jego słów.

- Line, kręcimy się w kółko. Nie wiem, w którą stronę iść. Bez kompasu i bez słońca nie potrafię ustalić kierunków świata.

- Zaczekaj. Poszliśmy nie tam, gdzie należy. - Musi sprawić, żeby wziął się w garść, uspokoił się. Niech wie, że ona nadal panuje nad sytuacją. - Raz się pomyliliśmy. Prawdopodobnie to nie było duże kółko. Nie kręcimy się w jednym miejscu. Las się zmienił. Drzewa są wyższe, czyli posuwamy się na południe. Wyraźnie to zauważyłam. Musimy jedynie dalej iść. Jestem pewna, że jutro dotrzemy do rzeki.

Nie wygląda na kogoś, kto uwierzył jej słowom. Spuścił wzrok, jak krnąbrne dziecko, które nie chce się poddać, ale nie ma innego wyjścia. Ujmuje jego twarz w dłonie w rękawiczkach - jest za zimno, by je zdjąć.

- Espen... Najdroższy. Nie rezygnuj teraz. Jesteśmy już tak blisko celu. Kiedy znajdziemy się w Caulfield i wynajmiemy jakiś pokój, usiądziemy przed kominkiem, w którym będzie płonął ogień, i będziemy się z tego śmiać. Co za przygoda na początku naszego wspólnego życia!

- A jeśli nie dotrzemy do Caulfield? Mój koń jest chory. Obu brakuje jedzenia i picia. Ogryzają korę, a jestem pewien, że im to szkodzi.

- Dotrzemy do Caulfield. Albo gdzie indziej. Na przebycie lasu potrzeba tylko trzech dni. Może już jutro znajdziemy się nad jeziorem! Dopiero ci będzie głupio.

Całuje go. Udało jej się wywołać uśmiech na jego twarzy.

- Jesteś vargamor. Nie do wiary. Nic dziwnego, że zawsze osiągasz to, czego chcesz.

- Ha. - Line się uśmiecha, ale zabolaty ją jego słowa. Czy chciała, żeby Janni zabłądził gdzieś na pustkowiu? Czy chciała zamieszkać w Himmelvanger? Ale przynajmniej Espen ma lepszy humor, a to najważniejsze. Jeśli zdoła go nakłonić do dalszej drogi, jeśli zdoła nakłonić do tego dzieci, wszystko będzie dobrze.

Kiedy leżą razem w swoim żalonym szałasie, wzięwszy dzieci między siebie, zmęczoną Line dobiegają różne odgłosy: strzały niczym z pistoletu, kiedy zamarzają soki drzew, głuche pacnięcia, kiedy śnieg osuwa się z gałęzi. A raz, gdzieś w oddali, zdaje jej się,



że słyszy wilki wyjące do księżyca, i chociaż jest zimno, jej skórę pokrywają kropelki potu.

Rano koń Espena nie chce iść. Aż żal na niego patrzeć. Jadł korę drzew i dostał rozwolnienia, na jego zadzie i śniegu widać ślady luźnego stolca. Espen próbuje nakarmić konia mąką owsianą, wymieszaną z ciepłą wodą, ale zwierzę odwraca łeb. W końcu wyruszają w drogę, Espen prowadzi swojego wierzchowca, dzieci siedzą razem z Line na drugim. Okazuje się, że prowadzenie - a raczej ciągnięcie - konia wcale nie jest takie łatwe, i po godzinie Espen woła do Line.

- To szaleństwo. Już lepiej byłoby go zostawić. Ale to straszne. Może już jesteśmy blisko rzeki?

- Spróbujmy przejść jeszcze kawałek. Może koń poczuje się lepiej. Przestało padać i trochę się ociepliło.

To prawda: śnieg rzeczywiście przestał sypać i można powiedzieć, że przynajmniej miejscami nie jest taki głęboki.

- Coraz mocniej się opiera. Chce tylko stać. Obawiam się, że wkrótce się położy. Już nie mam siły go ciągnąć.

- Chcesz, żebym ja go trochę poprowadziła? Ty zajmij moje miejsce za Torbinem i Anną i trochę odpocznij.

- Nie mów głupstw. Nie dasz rady. To... Nie dasz rady.

Koń - Bengi, chociaż Line stara się zapomnieć, jak mu na imię - kładzie uszy po sobie. Wydaje się, że boki ma dziś bardziej zapadnięte niż wczoraj, patrzy mętnym wzrokiem.

- A gdybyśmy go zostawili? Zawsze możemy później po niego wrócić.

- Lepiej nie.

Line wzdycha. Wyobrażała sobie różne przeszkody, ale nie że będzie miała kłopoty przez chorego zwierzaka. Kilka metrów dalej dzieci zsiadają z konia i posłuszne poleceniu, by się ruszały, żeby nie zmarznąć, bawią się w coś, nie okazując zbytniego zapału.

- Biedny Bengi. - Line klepie go po szyi. Koń rzuca jej ostrzegawcze spojrzenie. Line podejmuje decyzję. - Zostawimy go. Skoro nie może iść, musimy go zostawić. Powiemy dzieciom, że wrócimy po niego.

Espen ciężko kiwa głową. W innych okolicznościach Line rozplakałaby się z powodu konia pozostawionego swojemu losowi. Ale nie pora teraz na łzy.

Idą do dzieci. Line otwiera usta, ale akurat wtedy między drzewami rozlega się głośny huk. Jest tak donośny, że Anna drgnęła i o mało się nie przewróciła. Gapią się na siebie.

- Myśliwy! - krzyczy przejęty Espen.

- Jesteś pewien, że to nie trzask drzewa pękającego na mrozie? - pyta Line, bo ktoś musi zadać to pytanie.

- Był zbyt głośny i inaczej brzmiał. To odgłos strzelby. Ktoś poluje gdzieś w pobliżu.

Jest taki tego pewny, dzieci krzyczą z takim zachwytem i ulgą, że Line daje się im przekonać. Są tu ludzie. Nagle cywilizacja znajduje się w zasięgu ręki.

- Zobaczą, czy uda mi się go odszukać... Żeby się przekonać, czy dobrze idziemy - dodaje pośpiesznie Espen.

- Jak do nas wrócisz? - pyta ostrym tonem Line.

- Rozpal ognisko. To nie potrwa długo. Musi być bardzo blisko.

- Espen zaczyna krzyczeć po angielsku. - Hop, hop! Jest tam kto! Hop, hop!

Nie czekając na odpowiedź, zwraca się do nich:

- Wydaje mi się, że jest tam. Niebawem wrócę. Jeśli go nie znajdę, obiecuję, że zaraz przyjdę.

Espen uśmiecha się do nich szeroko i rusza między drzewa. Wkrótce cichną odgłosy jego kroków. Drugi koń, Jutta, wzdycha przeciągle.

Ciekawie się obserwuje zachowanie personelu faktorii. Powstawanie podziałów. Na podstawie własnych spostrzeżeń wiem, że Olivier nie cieszy się sympatią pozostałych zatrudnionych. Trzyma się blisko Stewarta, załatwia dla niego różne sprawy, nawet naśladuje jego sposób bycia. Jeśli chodzi o pozostałych, wyczuwa się pewien dystans między białymi a kolorowymi, Olivier zaś jest zdrajcą, który przeszedł na stronę wroga. Początkowo myślałam, że szanują Stewarta, a nawet go lubią. Teraz nie jestem już tego taka pewna. Okazują szacunek, ale pomieszany z lękiem, takim jakim się darzy potencjalnie niebezpieczne zwierzę. Norah go nienawidzi i chociaż przypuszczalnie coś czuje do Nesbita, wobec obu jest równie obcesowa. Tak bezczelnie traktuje Stewarta, że zastanawiam się, czy ma jakąś władzę nad nimi - w przeciwnym razie nie wyobrażam sobie, by puszczali jej to płazem. Kilka razy widziałam na korytarzu tę ładniutką Nancy. Ponieważ nie sprząta ani nie służy innym, ciekawa jestem, co robi. Może gotuje.

Czekam, że coś się wydarzy. Minęły dwie godziny od powrotu ekipy poszukiwaczy. Krążę między swoim pokojem, kuchnią i jadalnią - ciągle znajduję drobiazgi, którymi należy się zająć, a to brak pod pałki (boją wyrzuciłam), a to rozlaną kawę. W efekcie Norah wyraźnie mnie nie lubi, ale tuż po szóstej doczekałam się nagrody - słyszę jakieś krzyki w gabinecie Stewarta. Uniesiony głos należy do Nesbita; przebija przez niego histeria.

- Na litość boską, przecież mówię, że nie wiem! Ale z całą pewnością nie ma.

Stewart coś cicho mamrocze.

- Chryste, nie obchodzi mnie to. Obiecałeś mi! Musisz mi pomóc!

Znowu mamrotanie - coś o „braku ostrożności”. Jestem na korytarzu, podchodzę bliżej na paluszkach, modląc się do bóstwa od skrzypiących podłóg.

- To za pewnością jeden z nich. Któż inny mógłby to zrobić? I jeszcze coś... Musisz lepiej pilnować Pólcłowieka.

Mamrotanie staje się jeszcze cichsze. Z jakiegoś powodu przebiega mnie zimny dreszcz. Nie mam odwagi podejść bliżej. Kogo Nesbit ma na myśli? Czy obraża Stewarta? Czy kogoś innego?

Słyszę za drzwiami ciężkie kroki. Odchodzę pospiesznie i udało mi się dotrzeć do jadalni, nim ktokolwiek pojawił się na korytarzu. Kiedy wchodzę do środka, Moody, siedzący przy kominku, unosi wzrok.

- Pani Ross, chciałbym o czymś z panią porozmawiać...

- Chwileczkę... - Odstawiam dzbanek z kawą. Na korytarzu jest cicho. - Przepraszam pana, panie Moody, ale zdaje się, że czegoś zapomniałam. Zaraz wracam.

Widzę, jak głowa znów mu opada na piersi, kiedy zamykam drzwi.

Idę pustym korytarzem. Drzwi do gabinetu Stewarta są zamknięte. Pukam.

- Czego? - To Nesbit. Jest wyraźnie rozgniewany.

- Och, to ja, pani Ross. Mogę wejść?

- Jestem teraz zajęty.

I tak otwieram drzwi. Nesbit unosi wzrok znad biurka - odnoszę wrażenie, że przed chwilą leżał na nim; twarz ma spoconą i bladą, włosy w większym nieładzie niż zwykle. Ogarnia mnie fala współczucia. Dobrze pamiętam, jak to jest.

- Powiedziałem...

- Wiem. Przepraszam. Ale czuję się okropnie. Stłukłam dzbanek na mleko. Bardzo mi przykro.

Nesbit patrzy na mnie, zmarszczywszy czoło. Niezupełnie rozumiem, co mówię, i jest poirytowany.

- Na litość boską, to nic takiego. Jeśli pani pozwoli...

Robię jeszcze jeden krok i zamykam za sobą drzwi. Nesbit się wzdyga. Patrzy na mnie groźnie. Przypomina osaczone zwierzę.

- Czy coś pan zgubił? Wiem, jakie to może być irytujące. Może mogłabym panu jakoś pomóc?

- Pani? O czym pani mówi?

Ale w chwili, gdy zamknęłam drzwi, coś mu zaświtało w głowie. Skupił na mnie całą uwagę.

- Dlaczego pani przypuszcza, że coś zgubiłem?

- On to przechowuje dla pana, prawda? Każe panu o to błagać.

Zupełnie, jakbym zdarła mu maskę; jego twarz staje się tak biała, że niemal sina. Zacisnął dłonie w pięści; ma ochotę mnie uderzyć, ale brak mu odwagi.

- Gdzie to jest? Co pani z tym zrobiła? Proszę mi to oddać.

- Oddam to panu, jeśli coś mi pan powie.

Marszczy brwi, ale budzi się w nim iskierka nadziei. Wstaje i robi krok w moją stronę, lecz nie podchodzi zbyt blisko.

- Proszę mi powiedzieć, kogo trzeba pilnować. O kim nie wolno mówić?

- Słucham?

- Pierwszego wieczoru słyszałam, jak zabraniał pan jakiejś kobiecie rozmowy o nim. O kogo chodziło? Teraz powiedział pan Stewartowi, żeby go lepiej pilnował. Nazwał go pan półczłowiekiem. Kto to taki? Proszę mi powiedzieć, a oddam panu to, co panu zginęło.

Traci pewność siebie. Kręci głową. Na jego twarzy pojawia się półuśmiech. Wyraźnie mu ulżyło.

- Och, nie chcieliśmy, żeby Moody się o tym dowiedział. Gdyby wiadomość o tym dotarła do Kompanii... Jeden z naszych ludzi zwa-riował. Chodzi o Nepapaneesa. Stewart stara się go chronić z uwagi na jego rodzinę...

- Nepapanees? To znaczy, że on żyje?

Nesbit kręci głową.

- Żyje samotnie, jak dzikus. Jeszcze kilka tygodni temu było z nim wszystko w porządku, ale teraz zupełnie oszalał. Może być nie bezpieczny. Dla jego rodziny oznaczałoby to okropny wstyd. Stewart uznał, iż lepiej będzie, jak uwierzą, że nie żyje. - Kręci głową. - To wszystko. Ha...! Chciałem powiedzieć, to straszne.

- Ostatnio nie było go w faktorii... Prawda?
- Pojawia się i znika.
- Trzy tygodnie temu...
- Nie wiem, co porabia. Wrócił jakieś dziesięć dni temu.

Nie wiem, co powiedzieć. Ani o co zapytać. Patrzy na mnie ukradkiem.

- Czy może mi to pani oddać?

Przez chwilę rozważam, czy nie rozbić buteleczki o podłogę, ponieważ coś mi się nie podoba w wyjaśnieniach Nesbita, chociaż nie bardzo wiem co.

- Proszę. - Robi jeszcze jeden krok w moją stronę.

Wyjmuję z kieszeni buteleczkę i wyciągam rękę w jego stronę. Znalazłam buteleczkę wczoraj pod jego materacem, kiedy Nesbit był z Moodym. Chwytając, sprawdza, czy nic z niej nie ubyło - robi to bezwiednie, odruchowo - po czym odwraca się i pije prosto z niej. Zostało mu jeszcze tyle wstydu, by nie robić tego, stojąc twarzą do mnie. Potrzeba trochę czasu, żeby lekarstwo zaczęło działać, kiedy się je zażywa w taki sposób, ale może Nesbit nie ma możliwości wstrzykiwać go sobie. Stoi bez ruchu, wpatrując się w zasłony.

- A gdzie jest teraz?
- Nie wiem. Mam nadzieję, że daleko stąd.
- Nie okłamuje mnie pan?
- Nie.

Widzę buteleczkę w jego dłoni. Co ja bym dała, by ją wziąć od niego i też się napić?

Nie patrzy na mnie. Mówi cicho, odzyskał panowanie nad sobą. Otrząsam się. Wychodzę, zostawiając go stojącego koło biurka, tyłem do mnie, ale wyprostowanego, aroganckiego.

Wracam do jadalni. Nepapanees zwariował. Czy to on w przyływie szału zabił Jammeta? Podobno chciałam się dowiedzieć, kim jest zabójca. Ale nie odczuwam triumfu. Ani satysfakcji. Nie wiem, co myśleć, lecz nie mogę odpędzić od siebie obrazu Elizabeth Bird, siedzącej na śniegu i w przyływie rozpaczki specjalnie polewającej sobie rękę gorącą kawą.

Po ich powrocie Stewart udaje się do jej domu. Sprawia wrażenie zatroskanego, niczym ojciec krnąbrnego dziecka, gotów okazać pobłażliwość, ale tylko do pewnego stopnia.

- Elizabeth, bardzo mi przykro.

Kiwa głową. Przychodzi jej to łatwiej niż słowa.

- Zastanawiałem się, co się mogło stać. Znaleźliście to miejsce? Znów kiwa głową.

- Jestem pewien, że gdziekolwiek jest twój mąż, jego duch spoczywa w pokoju.

Tym razem nie kiwa głową. Dusze ofiar zabójców nie spoczywają w pokoju.

- Jeśli się martwisz, co dalej... Naturalnie, możesz tu zostać. Nie musisz się bać o swoją przyszłość. Zawsze, jak długo będziesz chciała, tu jest twój dom.

Nie musi patrzeć na niego, by widzieć jego okropne, niebieskie oczy, przypominające połyskujące muchy karmiące się padliną. Obserwuje ją pilnie, próbując osłabić jej siły, próbując nagiąć ją zgodnie ze swoją wolą. Cóż, nie spojrzysz na niego, nie ułatwi mu zadania. Kręci głową w nadziei, że on odejdzie.

- Pójdę już. Gdybyś cokolwiek chciała, wystarczy, jak się zgłosisz i poprosisz.

Trzeci raz kiwa głową.

Myśli sobie: pędzej szczęną.

Dobiega ją z zewnątrz angielska mowa.

- Na pańskim miejscu zostawiłbym ją w spokoju - mówi Stewart do mooniyas. - Nadal jest w szoku.

Głosy cichną w oddali. Elizabeth z czystej przekory wstaje i wybiega na dwór.

- Panie Moody... Zapraszam, jeśli ma pan ochotę.

Obaj mężczyźni odwracają się, zaskoczeni. Moody patrzy na nią pytająco. Elizabeth robi się głupio, bo sama nie wie, dlaczego ni stąd, ni zowąd wybiegła z chaty.

Moody się upiera, żeby usiąść na podłodze, tak jak ona, chociaż jego ruchy są dość sztywne.

- Wszystko w porządku? Lepiej się pan czuje? - Spogląda na jego brzuch. Cztery noce temu opatrzyła mu bok. Całą wieczność temu, kiedy jeszcze była mężatką. - To paskudna rana. Czy ktoś próbował pana zabić?

- Nie. - Śmieje się. - Raczej była to chwila zapomnienia, której ten człowiek potem gorzko żałował. To długa historia. Przyszedłem, żeby zobaczyć, jak się pani czuje. Gdybym mógł jakoś pani pomóc...

- Dziękuję. Przedwczoraj był pan dla mnie bardzo dobry.

- Nie...

Elizabeth nalewa herbaty do emaliowanych kubków. Znów czuje smak rzecznej wody, gorzkiej od zdrady. Może jeleń to był znak od jej męża: zabili mnie. I musisz mnie odnaleźć.

Gdyby tylko umiała się pomodlić o pomoc, ale nie może się zdobyć na pójście do drewnianego kościoła. Coś ją od niego odpycha, bo to kościół Stewarta. Przedtem nigdy zbytnio się nie zastanawiała nad swoją wiarą. Przyjęła, że to coś tak naturalnego jak oddychanie, nie wymaga świadomego wysiłku. Może zbytnio ją zaniedbała. Teraz, kiedy jest w potrzebie, zupełnie ją straciła.

- Czy modli się pan?

Moody patrzy na nią zdumiony. Zastanawia się nad odpowiedzią. Nie mówi tego, co jego zdaniem należy powiedzieć, tylko naprawdę zastanawia się nad odpowiedzią. Podoba jej się to, podobnie jak to, że nie stara się wypełnić każdej chwili ciszy.



- Owszem. Chociaż nie tak często, jak powinienem. Bynajmniej. Akurat wtedy gramoli się przez drzwi jej mała córeczka. Dopiero co nauczyła się chodzić.

- Amy, wracaj do Mary. Mamusia rozmawia.

Dziewczynka patrzy na Donalda, a potem drepcze z powrotem na dwór.

- Przypuszczam, że tylko wtedy... - Urywa. - Chciałem powiedzieć, że zwracamy się do Boga tylko wtedy, kiedy mamy kłopoty, a nigdy nie miałem zbytnich kłopotów w życiu. Przynajmniej do tej pory, Bogu niech będą dzięki.

Moody się uśmiecha. Ma teraz zatroskaną minę, a jednocześnie zaintrygowaną. Mówi wolniej, jakby miał trudności z układaniem słów w zdania. Coś się wydarzyło.

- Ja nie potrafię.

Patrzy na nią pytająco.

- Modlić się.

- Czy jest pani chrześcijanką od urodzenia?

Elizabeth się uśmiecha.

- Zostałam ochrzczona przez misjonarzy, kiedy miałam dwadzieścia lat.

- A więc znała pani... innych bogów. Modli się pani do nich?

- Nie wiem. Przedtem nigdy się właściwie nie modliłam. Ma pan rację. Nie odczuwałam takiej potrzeby.

Moody odstawia kubek z herbatą i kładzie swoje długie ręce na kolanach.

- Kiedy byłem małym chłopcem, zabłądziłem na wzgórzach w pobliżu swojego domu. Błąkałem się cały dzień i całą noc. Bałem się, że będę się snuł po tych wzgórzach, aż umrę z głodu. Zacząłem się żarliwie modlić o to, żeby Bóg wskazał mi drogę do domu.

- I?

- Znalazł mnie ojciec.

- Czyli pańskie modły zostały wysłuchane.

- Tak. Ale przypuszczam, że niektóre modlitwy zawsze pozostają niewysłuchane.

- Nie modliłabym się o zmartwychwstanie mojego męża, tylko o sprawiedliwość.

- O sprawiedliwość? - Oczy robią mu się duże, utkwili je w niej, jakby miała brudną twarz. Sprawia wrażenie zafascynowanego, jakby powiedziała coś niezwykle ciekawego.

Elizabeth odstawia swój kubek. Przez długą minutę obydwójce milczą, wpatrując się w strzelający i trzaskający ogień.

- Amy. Śliczne imię.

- Nie rozumie, dlaczego nie ma jej taty.

Moody wzdycha głęboko, a potem się uśmiecha.

- Przepraszam. Z pewnością uzna mnie pani za impertynenta, ale właśnie przysłała mi do głowy dziwna myśl. Proszę mi powiedzieć, jeśli nie mam racji, lecz muszę panią o to zapytać. - Śmieje się zmieszany, nie odrywając od niej wzroku. - Wiem, że to nieodpowiednia chwila, ale nie daję mi spokoju... Imię pani córki. I pani... Nie wiem, jak to ująć... Czy kiedyś... Czy kiedyś nazywała się pani Seton?

Elizabeth patrzy w płomienie i głośnie dzwonięcie w jej uszach zagłusza jego następne słowa. Fala osobliwego śmiechu niemal ją dławi.

Mężczyzna porusza ustami; przeprasza, myśli sobie Elizabeth. Sądziła, że już dawno wymazała ich z pamięci, a oto widzi ich zupełnie wyraźne. Ojca. Siostrę. Matkę. Chociaż siostrę nie. Nigdy jej nie zapomniła.

Powoli odzyskuje słuch i znów słyszy głos mężczyzny.

- Czy nazywa się pani Amy Seton? - Moody się nachyla. Aż do stał rumieńców z przejęcia, czuje, że za chwilę dokona doniosłego odkrycia. - Nikomu o tym nie powiem, jeśli pani nie chce. Przysięgam na honor, że zachowam to w tajemnicy. Ma pani tu swoje życie, dzieci... Chciałbym tylko wiedzieć.

Nie sprawi mu tej przyjemności. Nie zasłużył sobie na nią. Nie jest łupem, który się znajduje i przywłaszcza.

- Panie Moody, nie wiem, o co panu chodzi. Nazywam się Elizabeth Bird. Mój mąż został z premedytacją zamordowany. Co mam zrobić? Co pan zamierza zrobić?

- Z premedytacją? Dlaczego tak pani uważa?

Elizabeth widzi, jak Moody z trudem porzuca jeden pasjonujący temat, by żywo zainteresować się drugą sprawą. Niezbyt mu to wychodzi; widać, że coś takiego nie mieści mu się w głowę. Elizabeth odnosi wrażenie, jakby go obserwowwała z daleka. Mężczyzna łapie się za brzuch i krzywi z bólu. Robi się czerwony na twarzy. Nie powinien zadawać takiego osobistego pytania. W końcu dochodzi do siebie. Dyszy jak pies.

- Twierdzi pani, że... Stewart zabił pani męża?

- Tak.

- Czemu miałyby to zrobić?

- Nie wiem.

Wpatruje się w niego. Mężczyzna wyraźnie coś wie, Elizabeth widzi, jak coś sobie rozważa, a potem otwiera usta.

- Proszę mi wybaczyć to pytanie... Czy pani mąż zwariował?

Elizabeth patrzy na niego; czuje się bardzo mała i słaba. Kuli się, niknie.

- Czy on tak powiedział? - Łzy płyną jej po twarzy, nie wie, czy to łzy gniewu czy żalu, ale całą twarz ma mokrą. - Mój mąż nie zwariował. To kłamstwo. Może pan każdego o to zapytać. Jedyńm szaleńcem jest tu Pólczłowiek.

- Pólczłowiek? Cóż to za jeden?

- Stewart nie chce, żebyśmy o nim mówili! - Elizabeth wstaje. Za dużo tego na jeden raz. Krąży wokół ognia. - Skoro jest pan taki bystry, skoro tak dużo pan widzi, dlaczego nie otworzy pan oczu?

- Jeśli pogoda pozwoli, jutro opuszczę faktorię.

Gapię się na Parkera z otwartą buzią. Czuję mocny ucisk w klatce piersiowej, jak wtedy, kiedy się choruje na krup; człowiek ma wrażenie, że się dusi. Mam trudności z oddychaniem, odkąd zapukał do drzwi mojego pokoju i pozwoliłam mu wejść, ciekawa, czego chce.

- Nie może pan tego zrobić! Przecież jeszcze nie załatwiliśmy tego, co mieliśmy tu załatwić.

Przez chwilę spogląda na mnie hardo, ale wcale nie jest zaskoczony. Widocznie już zdążył mnie dobrze poznać.

- Uważam, że to jedyny sposób, by zamknąć tę sprawę.

Niezbyt wiedziałam, o co mi chodzi, kiedy zabrałam głos, ale teraz już wiem. Odkąd ujrzałam Parkera po raz pierwszy w Dove River, aż do tej pory traktowałam go jak swojego przewodnika. Zresztą nie tylko ja, Moody też, chociaż niezbyt jest z tego zadowolony.

- Jak zamierza pan ją zamknąć?

Parker nie odpowiada od razu. Odnoszę wrażenie, że się zmienił na twarzy: nie jest tak opanowany, jak zwykle, jego rysy jakby nieco złagodniały. Ale może to tylko złudzenie w słabym świetle lampy.

- Rano pokażę Stewartowi kartkę z oznakowaniem partii towaru, tę, którą dostałem od pani. Wtedy będzie wiedział, jeśli już tego nie wie, że prowadziłem interesy z Jammetem. Powiem mu, że wyjeżdżam, i jeśli mam rację... - Znów urywa. - Jeśli jest takim człowiekiem, za jakiego go mam, nie oprze się pokusie i uda się za mną w nadziei, że zaprowadzę go do futer.

- Ale jeśli kazał zabić Jammeta... Może zabić również pana.

- Będę na to przygotowany.

- To zbyt niebezpieczne. Nie może pan wyruszyć sam. Stewart nie będzie sam. Będzie mu towarzyszył ten... Półczłowiek.

Parker wzrusza ramionami.

- Uważa pani, że powinienem zabrać ze sobą Moody'ego? - Uśmiecha się, takie wydaje mu się to niedorzeczne. - Moody musi zostać tu

taj. Kiedy zobaczy, że Stewart wyruszył za mną, wszystko zrozumie.

- Ale jeśli coś się panu...

Próbuję zebrać myśli. Dowód... Co jeszcze może posłużyć za dowód poza przyznaniem się Stewarta do winy?

- Nie może pan wybrać się sam. Ja będę panu towarzyszyła. Posłużę jako druga para oczu. Mogę... Potrzebuje pan świadka. Świadka, który potwierdzi pańskie słowa. Nie wolno panu wyruszyć samotnie!

Twarz mnie pali. Parker znów się uśmiecha, ale łagodnie. Wyciąga rękę, niemal dotyka mojego policzka, ale się powstrzymuje.

Czuję w oczach łzy. Istnieje niebezpieczeństwo, że stracę opanowanie, godność, wszystko, co mam.

- Powinna pani tu zostać. Potrzebna jest pani Moody'emu. Jest zagubiony.

„A co ze mną?” - myślę. Nie jestem pewna, czy nie powiedziałam tego na głos, ale Parker nie daje po sobie poznać, że cokolwiek usłyszał. Staram się opanować drżenie głosu.

- Nie wiem, jakiego dowodu według pana dostarczy Stewart poza zamordowaniem pana. To prawdopodobnie rozwieje wszelkie wątpliwości. A... A jeśli wyśle kogoś innego, by pana zabił? Jak wtedy powiążemy to z jego osobą? Jeśli odjedzie pan sam i nie wróci, nie sądzę, żeby to wystarczyło panu Moody'emu. To nie będzie żaden dowód.

- Cóż... - Parker spuszcza wzrok, w jego głosie słychać lekkie zniecierpliwienie. - Przekonamy się jutro rano. Może Stewart wszystko nam powie. Dobranoc, pani Ross.

Zagryzam usta, zła i zraniona. Może Parker o tym nie wie, ale w tym pokoju jest dwoje ludzi, którzy się nie poddadzą, póki nie załatwią sprawy do końca.

- Dobranoc, panie Parker.

Wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi. Przez kilka chwil stoję bez ruchu, jakbym wrosła w ziemię, zastanawiając się między innymi, czy Parker wie, jak mi na imię.

Tamtej nocy mam sen.

Śni mi się Angus. Kręcę głową na boki, chcąc się odwrócić od swojego męża. Nie czyni mi wyrzutów. Nie może.

Budzę się w środku nocy, cisza jest tak ciężka, że gdybym spróbowała wstać z łóżka, chyba nie dałabym rady. Na twarzy czuję łzy, są zimne, swędzi mnie od nich skóra.

Tak długo się zastanawiałam, czemu tak się ode mnie oddalił. Zakładałam, że to przeze mnie. A potem, kiedy Parker opowiedział mi o Jammecie, pomyślałam, że to z powodu Francisca, bo wiedział o wszystkim i czuł do niego wstręt.

Jednak tak naprawdę zaczęło się to znacznie wcześniej.

Wtulam twarz w poduszkę, pachnącą stęchlizną i wilgocią. Ba-wełniana powłoczka jest zimna jak marmur. Tylko tutaj, leżąc sama w ciemnościach, mogę dopuścić do siebie takie myśli. Myśli, które biorą się nie wiadomo skąd, ze snów, czyniąc mnie swoją zakładniczką. Chcę znów usnąć, bo tylko we śnie mogę zerwać pęta i nie przejmować się tym, co wypada i jest słuszne.

Ale dochodzę tylko do wniosku, jak już wiele razy w swoim życiu, że to, czego człowiek naprawdę pragnie, wiecznie mu się wymyka.

Donald przyciska rękę do szyby. Szron, który pokrył ją nocą od wewnętrznej strony, topnieje, zostawiając wyraźny ślad. Robi się coraz chłodniej. Muszą wkrótce opuścić faktorię, w przeciwnym razie śnieg zasypie ich w Hanover House.

Wczoraj skończył pisać list do Marii. Tego ranka czyta go; uważa, że udało mu się go utrzymać we właściwym tonie. Nie jest zanedo serdeczny, ale ujawniwszy swoje uczucia - na przykład ulgę, że może się podzielić swoimi przemyśleniami - wyraża cichą nadzieję, że wkrótce się zobaczą i będą mogli kontynuować tę rozmowę. Wkłada list do koperty, ale jej nie adresuje. Przeraza go myśl, że ktoś niepowołany mógł czytać jego listy. Jest pewien, że wścibska pani Ross podczas jednej ze swoich wizyt w jego pokoju zauważyła jego poprzedni list do Susannah.

Susannah. Cóż... Donald jeszcze nigdy nie znalazł się w takim położeniu, więc nie jest pewien, jak powinien postąpić. Przypuszcza, że nie złamie Susannah serca. Ostatecznie, tłumaczy sobie, właściwie niczego sobie nie obiecywali. Ale i tak nie czuje się z tym dobrze, ponieważ osoba postronna mogłaby uznać takie postępowanie za naganne, a Donald bardzo chce zasłużyć sobie na podziw. Lecz z dala od Caulfield wszystko widzi lepiej i wie, że Susannah jest silna. I tak jednak wyrzuca sobie, że pociesza się w taki sposób. Może nie pozwoli, by dostarczono jej jego listy. Może powinien przepisać je ponownie, by usunąć z nich wszelkie zbędne słowa tęsknoty.

I kiedy tak siedzi przy stole, zasłanym jego listami do sióstr Knox, rozlega się pukanie do drzwi. To Parker.

Stewart jest w swoim gabinecie, na jego biurku stoi dzbanek z kawą, w kominku płonie ogień, ale przegrywa bitwę z zimnem, ciągnącym od okna, drzwi, a nawet od ścian.

Donald, uznawszy siebie za właściwą osobę do załatwienia tej sprawy, czego nie omieszkął zakomunikować Parkerowi i pani Ross, dość wojowniczo chrząka.

- Panie Stewart, proszę wybaczyć, że zjawiamy się o tak wczesnej porze. Musimy z panem porozmawiać.

Stewart słyszy poważny ton jego głosu, ale i tak z uśmiechem zaprasza ich do środka. Prosi o przyniesienie filiżanek - tym razem na dźwięk dzwonka pojawia się Nancy i idzie po nie. Donald siedzi ze wzrokiem utkwionym w podłogę, kiedy dziewczyna jest w pokoju. Ma nadzieję, że nie widać, jak poczerwieniał na twarzy. Zresztą i tak nikt na niego nie patrzy.

- Uważam, że powinien pan wiedzieć, jaka jest prawdziwa przyczyna naszej wizyty tutaj - mówi Donald. Udaje, że nie widzi spojrzenia pani Ross. Nie wie, jaką minę ma Parker. Siedzi obok Stewarta tyłem do okna, więc jego twarz pozostaje w cieniu. - Wyruszyliśmy z Dove River na północ, podążając czyimiś śladami. Mieliśmy powody przypuszczać, że prowadzą tutaj.

- Czyli nie zostawił ich syn pani Ross?

- Nie. Przynajmniej nie dotarł tak daleko. A przebywają tutaj osoby, których obecność jest przed nami ukrywana.

Stewart kiwa głową. Ma poważną minę, spuścił wzrok.

- Obawiam się, że usłyszeli państwo coś, co wprowadziło państwa w błąd. Przepraszam za to. Proszę mi pozwolić powiedzieć, co wiem. Może wtedy wszystko stanie się jasne. Nie kłamałem, mówiąc, że Nepapanees był jednym z moich najlepszych ludzi. Był sumiennym pracownikiem, doświadczonego sternikiem, świetnym tropicielem. Ale rok temu stało się z nim coś dziwnego. Zwykle przyczyną tego jest alkohol, jak z pewnością wszyscy sami widzieliście... - Patrzy na Donalda, ale zwraca się do całej trójki. - Lecz w jego przypadku tak nie było. Przynajmniej na początku. Nie wiem, co było tego powodem, ale coś mu się stało z głową. Nie poznawał żony. Nie



poznawał własnych dzieci. Wiosną opuścił fort i zamieszkał gdzieś na pustkowiu. Czasami się pojawiał, ale lepiej było, jak trzymał się daleko stąd. Kilka tygodni temu nie było go dłuższy czas. Podejrzywałem, że coś zrobił. Wasz przyjazd tylko mnie utwierdził w tym przekonaniu. Ale wtedy...

Wzrusza ramionami i się garbi.

- Nie chciałem narażać na jeszcze większy wstyd jego żony i dzieci. Chciałem im tego oszczędzić. Razem z Nesbitem postanowiliśmy to... zatuszować. Ogłosić, że Nepapanees nie żyje. Wiem, że było to głupie. - Unosi wzrok, oczy mu błyszczą, jakby od łez. - Właściwie wolałbym, żeby tak się stało. Ten biedak przysporzył wielu zgrzyot tym, którzy go kochają.

- Ale jak mógł pan powiedzieć jego żonie, że jej mąż nie żyje? Jak mógł ją pan narazić na takie cierpienie? - Pani Ross się pochyła, przewierca Stewarta wzrokiem, twarz ma bladą i zaciętą, bije od niej chyba gniew.

- Proszę mi wierzyć, pani Ross, że dużo o tym myślałem. Uznałem, że wiadomość o jego śmierci sprawi jej i dzieciom mniej bólu, niż świadomość, że nadal żyje.

- Jak pan sobie wyobrażał, że utrzyma przed nią w tajemnicy jego obecność? Przecież widziano go tu dwa dni temu!

Stewart przez chwilę milczy, a potem unosi wzrok. Jest wyraźnie zakłopotany.

- To była lekkomyślność z mojej strony. Pozwoliłem sobie na... Od kilku lat, czasami, szczególnie zimą, czuję, że źle oceniam sytuację. Ale gdybyście go widzieli z jego dziećmi... Patrzy na nie, kiedy do niego biegną, wykrzykuje najgorsze obelgi, przepełniony nienawiścią i strachem... Bóg jeden wie, za jakie demony je bierze. Aż przykro patrzeć na ich buzie.

Stewart ma taką minę, jakby właśnie teraz znów to zobaczył. Donalda ogarnia fala współczucia. Bóg mu świadkiem, że rozumie, co to znaczy spędzać tu kolejne niekończące się zimy.

Pani Ross patrzy na Parkera, a potem znów na Stewarta. Zupełnie, jakby nie było tu Donalda.

- Kim jest Półczłowiek?

Stewart uśmiecha się ze zbolałą miną.

- Ach. Widzi pani... - Patrzy tym razem prosto na panią Ross.  
- Półczłowiek to kolejny nieszczęśnik. Nałogowy alkoholik. Jest mężem Norah, więc od czasu do czasu dostaje coś do jedzenia. To tra-per, ale nie ma z niego zbyt wielkiego pożytku.

Jest coś takiego w wyrazie jego twarzy, że Donalda ogarnia skrępowanie. Jakie mają prawo zmuszać tego człowieka do ujawniania swoich trosk?

- Jeszcze raz muszę państwa przeprosić za kłamstwo. Człowiek się stara, szczególnie w takiej Kompanii, jak ta... - Znów patrzy na Donalda, który z zakłopotaniem spuszcza wzrok. - Człowiek się stara, by go uważano za dobrego przywódcę, niemal ojca tych, za których ponosi odpowiedzialność. Nie byłem dla tych ludzi dobrym ojcem. To trudne zadanie, ale to żadne usprawiedliwienie.

Pani Ross odchyła się na oparcie krzesła, na jej twarzy maluje się zmieszanie. Twarz Parkera pozostaje niewidoczna w cieniu.

- To się zdarza wszędzie - odzywa się Donald. - Pijaństwo i obłąd. Nie powinien pan winić za to siebie.

Stewart spuszcza głowę.

- Bardzo miło mi tego słuchać, ale niestety, nie mogę się z tym zgodzić. No, ale państwa interesuje człowiek, którego śledziliście... Domyślam się, że z powodu tego, co zrobił. Czy dopuścił się jakiegoś... przestępstwa?

Donald kiwa głową.

- Musimy go odnaleźć i przesłuchać bez względu na to, w jakim jest stanie.

- Nie wiem dokładnie, gdzie jest, ale prawdopodobnie mogliśmy go znaleźć. Lecz jeśli szukacie przestępcy, nie znajdziecie go tu. On nie wie, co robi.

Słuchając Stewarta, Parker wyciąga z kieszeni fajkę i woreczek z tytoniem. Kiedy to robi, kawałek kartki upada na podłogę pomiędzy krzesłem jego a Stewarta. Parker tego nie widzi, pochłonięty ubijaniem tytoniu w fajce. Stewart się pochyła, żeby podnieść kartkę.

Na moment nieruchomieje, ale po chwili podaje Parkerowi świstek papieru, nie patrząc mężczyźnie w twarz.

- Polecę kilku ludziom, żeby go odszukali. Powinni dotrzeć do niego po jego śladach.

Parker wkłada kartkę do kieszeni, nie przestając nabijać fajki. Wszystko to trwało może trzy sekundy. Obaj mężczyźni przez całą rozmowę siedzą obok siebie, ale ani razu na siebie nie patrzą.

**P**rzy końcu korytarza Parker odwraca się do mnie.

- Muszę się przygotować do podróży.

- A więc jednak opuszcza nas pan? Uznałam, że uzyskał odpowiedzi na swoje pytania. Ale jestem głupia; przecież nie uwierzył w nic, co usłyszał od Stewarta.

- Nie powiedział, że nie wysłał Nepapaneesa do Dove River.

Jego pewność siebie irytuje mnie, więc nic nie mówię. Patrzy na mnie tym swoim dziwnym, intensywnym wzrokiem, który dowodzi silnego skupienia, ale nie zdradza, czego to skupienie dotyczy. Jedynie układ zmarszczek na jego twarzy sprawia, że człowiek widzi na niej złość i gwałtowność; już wiem, że ich tam nie ma. A może uśpiłam własną czujność.

- Ma pani jeszcze tę koszulę z Elbow Ridge?

- Naturalnie. Leży zwinięta na dnie torby, pod pelisą.

- Proszę ją przynieść.

Kiedy jesteśmy na samym środku pustego placu za magazynami, słońce przebija się przez dziurę w chmurach. Snop światła pada na równinę za palisadą, na kępę karłowatych wierzb, przysypanych śniegiem, obwieszonych błyszczącymi soplami. Jego jasność aż kłuje, od jaskrawej bieli bołą oczy. I nagle, jak za sprawą uśmiechu na twarzy, dzięki słońcu ukazuje się piękno tej ponurej równiny. Nikną wszystkie niedoskonałości, oddalone o więcej niż sto metrów. Za palisadą rozciąga się idealny krajobraz, przypominający rzeźbę

wyciosaną w kryształowej i czystej bryle soli. Ale my brniemy przez breję i błoto, przez ziemię stratowaną przez psy i upstrzoną ich odchodami.

Wdowa jest w chacie z jednym ze swoich synów, ośmioletnim chłopczykiem o poważnej buzi. Gotuje mięso, kucając obok ognia. Odnoszę wrażenie, że jest chudsza i bardziej mizerna niż wtedy, kiedy widziałam ją ostatni raz. I jakby bardziej przypomina Indiankę, chociaż jej delikatne rysy dobitniej niż u wszystkich pozostałych tubylców świadczą, że jest Metyską.

Obojętnie patrzy na Parkera, który wszedł bez pukania i powiedział coś, czego nie dosłyszałam. Odpowiada w innym języku. Aż mi odebrało dech, kiedy sobie uświadomiłam swoją reakcję na to - nagłą i gwałtowną zazdrość.

- Proszę usiąść - mówi bez entuzjazmu.

Zajmujemy miejsca na kocach wokół ognia. Chłopczyk nie odrywa ode mnie wzroku - nie jest łatwo usiąść na podłodze, kiedy się ma na sobie grube spódnice, ale staram się najlepiej, jak mogę. Parker zaczyna od pytania o dzieci i złożenia kondolencji, do których się przyłączam. W końcu przechodzi do rzeczy.

- Czy pani mąż mówił kiedyś o futrach Norwegów?

Elizabeth patrzy najpierw na niego, a potem na mnie z taką miną, jakby nie wiedziała, o co mu chodzi.

- Nie. Nie mówił mi wszystkiego.

- A jaki był cel jego ostatniej wyprawy?

- Stewart chciał zapolować. Zwykle zabierał ze sobą mojego męża, najlepszego tropiciela. - Słysząc dumę w jej głosie.

- Pani Bird, przepraszam, że o to pytam, ale czy pani mąż był chory?

- Chory? - Patrzy ostro. - Mój mąż nigdy nie chorował. Był silny jak koń. Kto tak powiedział? Stewart, prawda? Czy dlatego miał być wejść na lód, na którym nigdy by nie postawił nogi?

- Stewart twierdzi, że pani mąż był chory i nie poznawał własnych dzieci. - Parker mówi cicho, nie chcąc, żeby usłyszał go chłopczyk. Twarz Elizabeth dosłownie wykrzywia obrzydzenie, pogarda,

wściekłość, a może wszystkie te uczucia. Pochyla się, twarz ma pomarańczową od ognia.

- To niecne kłamstwo! Zawsze był najlepszym ojcem. - Coś w niej budzi respekt: moc i nieprzejednanie, ale również prawdomówność.

- Kiedy ostatni raz widziała pani swojego męża?
- Dziewięć dni temu, przed wyprawą ze Stewartem.
- A poprzednio kiedy opuszczał faktorię?
- Latem. Ostatni raz był w Cedar Lake pod koniec sezonu.
- Był tutaj w październiku i na początku listopada?
- Tak. Cały czas. Dlaczego pan o to pyta?

Patrzę na Parkera. Została jeszcze jedna rzecz do wyjaśnienia.

- Pani Bird, przepraszam, że o to pytam, ale czy ma pani jedną z koszul męża? Chcielibyśmy na nią rzucić okiem.

Patrzy na Parkera gniewnie, jakby była to niesłychana bezczelność. Ale wstaje i niknie za zasłoną w głębi chaty.

Wraca, trzymając w ręku niebieską, złożoną koszulę. Parker bierze ją i rozpościera na podłodze. Wyjmuję brudny tłumoczek, owinięty w kreton. Rozkładam sztywną i brudną koszulę, ciemne plamy wydzielają obrzydliwy zapach. Chłopiec przygląda się nam z poważną miną. Elizabeth stoi ze skrzyżowanymi rękami, patrząc na nas gniewnie, bezlitośnie.

Od razu wiem, że czysta koszula jest mniejsza. Nie ulega wątpliwości, że nie mogą należeć do jednej osoby.

- Dziękuję, pani Bird. - Parker oddaje jej koszulę męża.

- Nic mi po niej. Nie ma teraz komu jej nosić. - Wciąż stoi ze skrzyżowanymi rękami. - Może ją pan zatrzymać, jeśli pan chce.

Wykrzywia usta w nieprzyjemnym grymasie. Parker jest zakłopotany. To dla mnie nowe i krępujące doświadczenie - widzieć go, kiedy nie wie, co zrobić.

Odzywam się po raz pierwszy, odkąd przyszliśmy.

- Dziękuję, pani Bird. Proszę nam wybaczyć te wszystkie pytania, ale ogromnie nam pani pomogła. Dowiodła pani, że Stewart kłamie.

- Jest mi to obojętne. Nie zależy mi na tym, by wam pomóc!  
Czy to zwróci mi męża?

Wstaję i podnoszę brudną koszulę. Parker wciąż trzyma tę należącą do jej męża.

- Bardzo mi przykro. - Stoję tylko dwa kroki od niej. Patrę w jej szarobrazowe oczy, osadzone w masce wściekłości i rozpacz. - Naprawdę bardzo mi przykro. Chcemy...

Czekam, żeby Parker się wtrącił i wyjaśnił, co zamierzamy zrobić. Może to zrobić w każdej chwili. Też się podniósł, ale pozwala mi dalej mówić.

- Chcemy, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

- Sprawiedliwość! - Śmieje się, chociaż bardziej przypomina to warknięcie. - A co z moim mężem, którego zabił Stewart? Czy on może liczyć na sprawiedliwość?

- Tak. - Wycofuję się w stronę drzwi, bardziej pragnę stąd wyjść niż zostać i dowiedzieć się, dlaczego jest taka pewna winy Stewarta.

Elizabeth Bird się krzywi, na jej twarzy pojawia się grymas przypominający uśmiech. Jeszcze wyraźniej rysują się kości policzkowe, obciągnięte skórą. Kobieta przywodzi na myśl kostuchę: bladą, emanującą nienawiścią.

Kiedy wracamy do głównego budynku, Parker daje mi czystą koszulę, jakby się bał, że pozostawi piętno na jego rękach. Czuje się winny, że zdenerwował kobietę.

- Pokażemy to Moody'emu - mówię. - Wtedy sam się przekona. Parker nieznacznie kręci głową.

- To za mało. Ta koszula mogła tam leżeć kilka miesięcy.

- Sam pan w to nie wierzy! I uwierzył pan też tej kobiecie, że jej mąż nie żyje, prawda?

Parker rzuca mi krótkie spojrzenie.

- Nie wiem.

- A więc wyjeżdża pan.

Parker skinął głową. Znow czuję, jak znajomy ciężar przygniata mi pierś, mam trudności z oddychaniem, chociaż przeszliśmy zaledwie kilkanaście metrów.

- Jeśli Stewart zabił swojego przewodnika, byłby pan szalony, gdyby sam wyruszył pan w drogę. Pożyczę strzelbę. Jeśli nie zabierze mnie pan ze sobą, podążę pańskim śladem i tyle.

Parker przez chwilę nic nie mówi, a potem znow na mnie patrzy. Wydaje mi się, że z lekką ironią.

- Nie boi się pani, co zaczną gadać ludzie, kiedy zobaczą, jak razem opuszczamy faktorię?

Nagle ciężar, który mnie przygniatał, jakby dostał skrzydeł. Znow mogę swobodnie oddychać. Nawet dziedziniec wydaje mi się śliczny, słońce pomalowało na niebiesko-biało brudne zasy obok ogrodzenia. I jestem pewna, że bez względu na niebezpieczeństwo, jakie nam grozi, musimy zwyciężyć, ponieważ racja jest po naszej stronie.

Uczucie to trwa niemal do chwili, kiedy docieram do drzwi swojego pokoju.



Laurent często wyjeżdżał w interesach. Francis wiedział tyle samo, co wszyscy, czyli bardzo niewiele o jego tajemniczych nieobecnościach. Latem w pobliskich lasach nie było wilków, więc wtedy Laurent handlował. Tamtego lata wydawał się szczególnie zajęty - a może Francis po prostu pierwszy raz przywiązywał wagę do tego, czy Francuz jest na miejscu, czy też go nie ma. Jeździł do Toronto i Sault. Zapytany o podróże, Laurent zbywał chłopaka lub mówił mało konkretnie. Żartował, że leży pijany w barach albo odwiedza prostytutki. A może wcale nie były to żarty. Kiedy Laurent pierwszy raz wspomniał o burdelu, Francis patrzył na niego oniemiały z przerażenia, czując nieznośny ból w sercu. Laurent ujął go za ramiona i śmiał się, tak długo potrząsając Francisem, aż chłopak stracił panowanie nad sobą i zaczął wykrzykiwać różne rzeczy, by sprawić mu ból. Później nie mógł sobie przypomnieć tych słów wypowiedzianych w gniewie. Laurent śmiał się z niego, a potem nagle też stracił panowanie nad sobą. Obrzucali się nawzajem obelgami. W pewnej chwili obaj umilkli i spojrzeli na siebie jak zahipnotyzowani, chwiejąc się na nogach. Francis czuł się zraniony i pragnął dokuczyć przyjacielowi; Laurent upokarzał go w okrutny sposób, ale kiedy później go przeproszał, był taki poważny, słodki i skruszony. Wtedy pierwszy raz padł na kolana, aż Francis się roześmiał i mu przebaczył. Poczł się wówczas stary - starszy nawet od Laurenta. Poza tym Laurenta odwiedzali również różni ludzie w jego domu. Czasami, kiedy Francis szedł do niego i gwizdał przed chatą, Laurent mu nie odpowiadał. To znaczyło, że jest z kimś. Jego goście często zostawali na noc i

dopiero rano zarzucali na plecy swoje pakunki i wolno odchodzili, z psami przy nodze. Francis odkrył w sobie głębokie pokłady zazdrości. Nieraz przychodził ponownie wczesnym rankiem i ukrywał się w krzakach za chatą, czekając, aż goście odjadą. Uważnie przyglądał się ich twarzom, ale niczego podejrzanego na nich nie dostrzegał. Na ogół Laurenta odwiedzali Francuzi i Indianie; przybywali z daleka, wyglądali podejrzanie, bardziej byli przyzwyczajeni do spania pod gołym niebem niż pod dachem. Przywozili Lamentowi futra, tytoń i amunicję, po czym wracali tam, skąd przybyli. Czasami sprawiali wrażenie, jakby niczego z sobą nie wzięli i niczego nie zabierali. Raz, kiedy Francis zrobił histeryczną scenę, Laurent mu powiedział, że ludzie ci przyjeżdżają do niego, ponieważ zamierzają założyć kompanię kupiecką. Muszą to jednak utrzymywać w tajemnicy, bo gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, ściągnęliby na siebie gniew Kompanii Zatoki Hudsona, a lepiej tego unikać. Francis doznał takiej ulgi, że wpadł w doskonały humor. Laurent wziął swoje skrzypce i zaczął na nich grać, goniąc za nim po izbie, aż Francis wypadł przez drzwi frontowe, zanosząc się śmiechem. Na ścieżce, dość daleko, majaczyła czyjaś postać, więc zaraz schronił się z powrotem w chacie. Widział postać tylko przez chwilę, ale wydawało mu się, że to jego matka. Potem przez wiele dni żył w niepewności, mocno przeżarty, ale w domu nic się nie zmieniło. Nawet jeśli matka coś zobaczyła, widocznie nie przywiązała do tego wagi.

Nadeszła jesień, a wraz z nią szkolne obowiązki. Francis nie mógł tak często widywać się z Laurentem, ale czasami, kiedy jego rodzice już byli w łóżku, wymykał się na ścieżkę i gwizdał. Bywało, że odpowiadało mu gwizdnięcie, a kiedy indziej - nie. W miarę upływu czasu wydawało mu się, że Laurent coraz rzadziej odpowiadał na jego gwizdanie.

Na wiosnę Laurent znów wyjechał nie wiadomo dokąd, a po powrocie zaczął napomykać, że szykuje się coś wielkiego. Że bardzo się wzbogaci. Francis był zdezorientowany i zaniepokojony tymi mało konkretnymi uwagami, czynionymi zwykle pod wpływem alkoholu.

Czy Laurent zamierzał opuścić Dove River? Co się stanie z nim, Francisem? Kiedy próbował go nakłonić (wydawało mu się, że sprytnie) do sprecyzowania planów, dotyczących przyszłości, Laurent droczył się z nim, a potrafił przy tym być okrutny. Często czynił aluzje do przyszłej żony i dzieci Francisa, albo zadawania się z dziwkami, albo zamieszkania na południe od granicy.

Pewnego razu na początku lata obaj się upili. Wieczory stały się na tyle ciepłe, że można było siedzieć przed domem. Pierwsze pszczoły wyfrunęły ze swoich zimowych kryjówek i krążyły, brzęcząc, wokół kwitnącej jabłoni. Było to zaledwie siedem miesięcy temu.

Naturalnie, wtedy Laurent znów czynił aluzje do swojego przyszłego bogactwa, nie wdając się w szczegóły - „ty będziesz już żonaty, będziesz gospodarował na jakiejś małej farmie, będziesz miał stadko pociech i już w ogóle o mnie zapomnisz”.

- Mam nadzieję. - Francis nauczył się brać udział w tej grze. Kiedy zaprzeczał, Laurent zaczynał go podpuszczać.

- Podejrzewam, że po ukończeniu szkoły nie zostaniesz tutaj, co? Nic tu dla ciebie nie ma, prawda?

- Prawda... Chyba wyjadę do Toronto. Może od czasu do czasu będę przyjeżdżał i cię odwiedzał, jak będziesz siedział w swoim wózku inwalidzkim.

Laurent chrząknął i opróżnił swoją szklaneczkę. Francis pomyślał, że jego przyjaciel pije więcej niż dawniej. Po chwili Francuz westchnął.

- Mówię poważnie, p'tit ami. Nie powinieneś tutaj zostać. Niczego tu nie ma. Powinieneś stąd wyjechać jak najprędzej. Ja jestem tylko starym głupcem ze wsi.

- Ty? Zapomniałeś, że będziesz bogaty? Wyjedziesz, dokądkolwiek zechcesz. Możesz się przeprowadzić do Toronto...

- Och, zamknij się! To nie miejsce dla ciebie! A już z całą pewnością nie powinieneś siedzieć tu ze mną. Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie. Jestem do niczego.

- Co ty mówisz? - Francis starał się, żeby głos mu nie drżał. - Nie bądź śmieszny. Upiłeś się i tyle.

Laurent odwrócił się do niego i powiedział zupełnie wyraźnie:

- Jestem pieprzonym głupcem. I ty jesteś pieprzonym głupcem. Powinieneś spieprzać z powrotem do mamusi i tatusia. - Na jego twarzy malowała się złość, oczy zrobiły mu się małe od alkoholu. - No już! Na co czekasz? Wynocha!

Francis wstał. Czuł nieznośny ból, ale nie chciał, żeby Laurent go zobaczył płaczącego. Nie mógł też jednak tak po prostu wyjść.

- Nie mówisz tego poważnie - powiedział, siłąc się na spokój. - Wiem to. Nie mówisz również poważnie, kiedy opowiadasz o burdelach, o tym, że wszędzie masz dzieciaki i... o innych rzeczach. Widzę, jak na mnie patrzysz...

- Ach, mon Dieu! Któż by na ciebie tak nie patrzył? Nigdy w życiu nie widziałem nikogo piękniejszego od ciebie. Ale jesteś cholernie głupim gówniarzem. Znudziłeś mi się. Zresztą mam żonę.

Francis stał oniemiały, nie wierząc własnym uszom. Nie wiedział, jak na to zareagować.

- Kłamiesz - powiedział w końcu. Laurent spojrział na niego ze znużeniem, jakby to wyznanie sprawiło mu ulgę.

- Nie, to prawda, mon ami.

Francis czuł się tak, jakby coś rozrywało mu piersi. Zastanawiał się, dlaczego nie upadł ani nie zemdlał, bo ból był nie do zniesienia. Odwrócił się i wyszedł z chaty. Przeszedł przez jedno z pól należących do jego ojca i znalazł się w lesie. Biegł, nierówny oddech mąskował szloch, wydobywający się z jego ust. Po jakimś czasie stanął i padł na kolana przed wielką sosną, po czym zaczął walić głową w jej pień. Nie wiedział, jak długo tam był; może usnął, ciesząc się, że ból, który czuł, zagłuszył inne, straszniejsze katusze.

Laurent odnalazł go tuż przed zmrokiem. Wyśledził go jak jednego z nieszczęsnych wilków, podążając jego śladami przez zarośla. Pochylił się i tulił go w ramionach. Poczul pod palcami ranę na czole Francis'a. Łzy błyszczały na jego policzkach, szeptał, że go przeprasza.

Po tamtej nocy Francis przez krótki czas myślał, że wygrał. Co z tego, że Laurent jest żonaty, co z tego, że ma syna? To wszystko

przeszłość, teraz nie ma to dla nich znaczenia. Ale Laurent nadal opierał się, kiedy Francis próbował wydobyć z niego prawdę. Bo w gruncie rzeczy Laurent nie chciał żadnych zmian w swoim życiu, traktował Francis'a jedynie jak chwilową zabawkę. Chłopak łamiącym się głosem oskarżył przyjaciela, że mu na nim nie zależy. Francuz przyznał mu rację.

I tak to trwało. Ta sama rozmowa, powtarzana z niewielkimi, nieistotnymi różnicami podczas wielu letnich wieczorów. Francis ciekaw był, jak długo jeszcze da radę znosić te tortury, ale nie mógł przestać się im poddawać. Starał się być w obecności Laurenta obojętny i beztroski, ale brakowało mu wprawy. W głębi serca wiedział, że wcześniej czy później tamten całkiem go odtrąci. Ale jak ćma, która ciągnie do płomienia świecy, nie mógł się powstrzymać, by nie przychodzić do jego chaty, chociaż Francuz coraz częściej był nieobecny w domu. Nie rozumiał, jak uczucia Laurenta mogły się aż tak zmienić, skoro jego przybrały na sile.

Potem, nie wiadomo jak, ojciec odkrył jego tajemnicę.

Nie nastąpiło to nagle. Po prostu ojciec układał elementy łamigłówek, cierpliwie obserwując i gromadząc kolejne informacje, aż w końcu uzyskał wyraźny obraz. Zdarzało się, że Francis wracał rano, kiedy jego rodzice już wstali, i bąkał coś pod nosem o spacerach bladym świtem. Raz ojciec zaszedł do chaty Laurenta, kiedy był tam Francis; chłopak udał, że bierze lekcje snycerstwa. Może wtedy się domyślił, ale niczego nie dał po sobie poznać. A może stało się to innym razem, kiedy Francis bez zastanowienia oświadczył, że spędził noc u Idy. Ojciec nieznacznie uniósł brew, ale nic nie powiedział. Potem chłopak, ogarnięty paniką, musiał znaleźć jakiś pretekst, by pójść do domu państwa Pretty i odszukać Idę. Nie był pewien, co jej powiedzieć, więc wymyślił historyjkę, że upił się w Caulfield i nie mógł się pokazać na oczy rodzicom. Miała kamienną twarz i chociaż skinęła głową, zgadzając się poświadczyć jego słowa, patrzyła na niego wzrokiem zranionej łani i Francisowi zrobiło się wstyd.

Bez względu na to, jak do tego doszło, ojciec, który już od jakiegoś czasu miał trudności z porozumieniem się z Francisem - a nigdy nie byli ze sobą zbyt blisko - stał się wprost nie do zniesienia. Nigdy nie wygarnął mu tego prosto w twarz, ale nie patrzył mu w oczy w czasie rozmowy, a odzywał się do niego tylko wtedy, gdy trzeba było coś zrobić w domu albo by zwrócić mu uwagę na niewłaściwe zachowanie. Wydawało się, że traktował swojego syna z zimną pogardą, że ledwo może wytrzymać z nim pod jednym dachem. Czasami Francis, siedząc przy stole między ojcem a matką, czuł, jak ogarniają go mdłości. Raz, kiedy rozmawiał o czymś z matką, przyłapał ojca na tym, jak na niego patrzy; w jego spojrzeniu była jedynie zimna, nieprzejednana wrogość.

Jedno, co go zaskoczyło, to że ojciec najwyraźniej nie powiedział o tym matce. Czują, że stosunki między ojcem a synem się ochłodziły, i to ją martwiło, ale nie traktowała go inaczej niż dawniej. To znaczy wciąż była tą samą niecierpliwą, nieszczęśliwą kobietą, jaką pamiętał zawsze.

Był koniec października. Francis wiele razy obiecywał sobie, że nie pójdzie do Laurenta, ale nie potrafił dotrzymać tej przysięgi. Tamtego wieczoru zastał go w domu, po pewnym czasie znów zaczęli się kłócić, powtarzając w kółko to samo, co mówili sobie już wcześniej. W takich chwilach Francis czuł nienawiść do samego siebie, ale nie potrafił niczego zmienić w swoim życiu. Czasami, kiedy był sam, wyobrażał sobie, jak odchodzi z godnością, z wysoko uniesioną głową, ale gdy stał w kuchni Laurenta i widział go przed sobą - niechlujnego, nieogolonego, prostackiego - ogarniało go szalone pragnienie, by rzucić mu się do stóp, błagać go ze łzami w oczach; odebrać sobie życie; zrobić cokolwiek, by położyć kres tym męczarniom. Zabić Laurenta.

- Zapomniałeś, że to nie ja przyszedłem do ciebie? - krzyczał Francis ochryple, jak wiele razy wcześniej. - Nie prosiłem o to! Stałem się taki przez ciebie... Przez ciebie!

- A ja żałuję, że kiedykolwiek cię zobaczyłem. Chryste, niedobrze mi się robi na twój widok! - odrzekł Laurent, a potem dodał:

- Zresztą nie ma to znaczenia. Wyjeżdżam. Na długo. Nie wiem, kiedy wrócę.

Francis gapił się na niego, początkowo z niedowierzaniem.

- Świetnie. Możesz mówić, co chcesz.

- Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu.

Na twarzy Laurenta nie było już gniewu i Francis zrozumiał, że tamten nie blefuje. Aż zrobiło mu się zimno. Francuz się odwrócił i zajął się czymś.

- Może wtedy o tym zapomnisz, co? Znajdziesz sobie jakąś miłą dziewczynę.

Francis poczuł, że zbiera mu się na łzy. Zrobiło mu się słabo, jakby dostał gorączki. Laurent wyjeżdżał. To już koniec. Nie rozumiał, jak można czuć taki ból i dalej żyć.

- Ej, nie jest tak źle. Dobry z ciebie dzieciak. - Laurent zobaczył jego minę i starał się być miły. To było gorsze od wyzwisk albo złośliwych uwag.

- Proszę... - Francis nie wiedział, co powiedzieć. - Proszę nie mów takich rzeczy. Wyjedź, ale nie mów takich rzeczy. Spotykajmy się nadal, póki...

Może Laurent też miał dosyć ich kłótni i dlatego wzruszył ramionami z uśmiechem. Francis podszedł do niego i objął go rękoma. Laurent poklepał go po plecach, bardziej jak ojciec niż kochanek. Chłopak przywarł do niego z całych sił. Chciałby umieć odejść, a jeszcze bardziej by chciał, żeby czas się cofnął do zeszłego lata.

„Mój ukochany ma mnie serdecznie dość”.

Został u Laurenta na noc, ale nie spał, tylko nasłuchiwał jego oddechu. Udało mu się wstać i ubrać, nie budząc go, ale zanim wyszedł, pochylił się i pocałował go lekko w policzek. Laurent się nie obudził albo udawał, że śpi.

Dwa tygodnie później Francis stał w ciemnej chacie, patrząc na jeszcze ciepłe zwłoki leżące na łóżku.

I Bóg mu świadkiem, że przez chwilę pomyślał: „Och, najdroższy, teraz już mnie nie opuścisz”.

## MEKI DŁUGICH ROZMYŚLAŃ

**W**iele lat temu, w okresie, kiedy poszukiwał Amy i Eve Seton, pewnego razu Sturrock siedział w barze bardzo podobnym do tego i pił poncz z whisky z młodym mężczyzną, którego dopiero co mu przedstawiono. Już wcześniej słyszał o Kahon'wesie i pochlebiało mu, że młody Indianin pragnął go poznać. Okazał się wysokim, niezwykle przystojnym Mohawkim, próbującym zrobić karierę dziennikarską. Chociaż elokwentny i inteligentny, znalazł się pomiędzy dwoma światami i nie za bardzo wiedział, gdzie jego miejsce. Świadczył o tym chociażby jego strój - wyglądał jak modny młodzieniec w żakiecie, cylindrze, butach zapinanych na guziki. Nawet trochę przypominał dandysa. Ale podczas późniejszych spotkań miał na sobie spodnie z kozłej skóry albo ubierał się dość ekscentrycznie, łącząc elementy obu stylów. Mówił też albo płynną angielszczyzną - jak podczas pierwszego spotkania - albo bardziej sztywno, co według niego lepiej pasowało do Indianina. Wszystko zależało od tego, z kim przebywał. Sturrock z chęcią rozmawiał z nim o dziennikarstwie, ale miał również nadzieję, że ta znajomość przyda mu się podczas jego poszukiwań. Kahon'wes miał szerokie kontakty, bo wiecznie podróżował, rozmawiał z ludźmi i ogólnie był mąciwodą, by się posłużyć określeniem gubernatorów z Toronto. Ponieważ Sturrock też był mąciwodą, idealnie do siebie pasowali.



Sturrock powiedział mu o swoich poszukiwaniach dziewczynek. Zajmował się tym już od ponad pół roku i prawie stracił nadzieję, że jego wysiłki zakończą się sukcesem. Kahon'wes, jak większość mieszkańców Górnej Kanady, słyszał o tej historii.

- Ach... Dwie dziewczynki, porwane przez złych Indian.

- Albo pożarte przez wilki, w co zaczynam wierzyć. Ale ojciec poruszy niebo i ziemię, by je odnaleźć.

Powiedział Kahon'wesowi, że odwiedził wioski po obu stronach granicy, zwrócił się do swoich znajomych i ludzi wpływowych, którzy już wcześniej mu pomagali. Ale nie dowiedział się od nich niczego przydatnego.

Kahon'wes po chwili milczenia obiecał, że popyta wśród Indian: jak Sturrock doskonale się orientuje, czasami odpowiedź (jak jego własny sposób mówienia i ubierania się) zależy od tego, kto siedzi po drugiej stronie stołu.

Kilka miesięcy później Sturrock dostał wiadomość od dziennikarza. Przejeżdżał przez Forest Lake i dowiedział się, że Kahon'wes jest zaledwie kilka kilometrów stamtąd. Tym razem miał na sobie indiański strój, inaczej też się wyrażał. Był rozczarowany nieudanymi próbami opublikowania swoich artykułów w prasie należącej do białych. Sturrock odniósł wrażenie, że Indianin znalazł się na rozstaju dróg, bez odpowiedniej zachęty może się pogubić. Zaproponował, że przeczyta kilka jego artykułów i udzieli mu paru rad, ale Kahon'wes jakby już nie był zainteresowany jego pomocą.

Właśnie wtedy obaj mężczyźni rozmawiali o dawnej, indiańskiej cywilizacji, wspanialszej i bardziej wyrafinowanej od tej, która pojawiła się później. Kahon'wes mówił o tym z pasją i chociaż Sturrock ani przez chwilę w to nie wierzył, wbrew sobie samemu uległ czarowi wizji, jaką roztoczył przed nim Indianin. Potem widział Kahon'wesa już tylko raz, kilka miesięcy później, w pobliżu Kingston. Nie rozmawiali ze sobą długo, ale Sturrock odniósł wrażenie, że jego przyjaciel dużo pije. I właśnie podczas tego ostatniego spotkania Kahon'wes przekazał mu pewną wiadomość. Rozmawiał z wodzem Czipewejów, mieszkającym w pobliżu Burk's Falls, a ten mu powiedział o białej

kobiecie przebywającej w indiańskiej wiosce. To wszystko, co wiedział, ale nie był to gorszy ślad od innych, którymi podążał Sturrock podczas swoich poszukiwań.

Kilka tygodni później razem z Setonem udał się do małej wioski, skąd po długich negocjacjach zabrano ich do indiańskiego obozowiska, gdzie mieli się spotkać z białą kobietą. Od zniknięcia dziewczynek minęło ponad sześć lat, a trzy, odkąd pani Seton zmarła na tajemniczą dolegliwość, powszechnie nazywaną „pęknięciem serca”. Sturrockowi zawsze było żal Charlesa Setona, jego rozpacz przypominała ledwo zabliznioną ranę. Ale tym razem wyobrażanie sobie spotkania z kobietą okazało się czymś nie do zniesienia. Odkąd wyruszyli z wioski, Seton prawie się nie odzywał, twarz miał białą jak papier. Wyglądał, jakby był chory. Wydawało się, że najbardziej cierpi z powodu tego, że nie wie, którą ze swoich córek ujrzy: Eve miałaby teraz siedemnaście lat, a Amy - dziewiętnaście. Ale nikt nie wiedział, w jakim wieku jest kobieta, z którą mieli się spotkać. Nie wiadomo też było, jak się nazywa; zresztą najprawdopodobniej i tak przybrała jakieś indiańskie imię.

Sturrock starał się wciągać Setona do rozmowy, przypominał mu, że dziewczyna, jeśli naprawdę jest jego córką, będzie zupełnie odmieniona. Seton upierał się, że bez względu na wszystko rozpozna ją.

- Do końca swych dni z najdrobniejszymi detalami będę pamiętał, jak wyglądały - powiedział, patrząc prosto przed siebie.

Sturrock upierał się przy swoim.

- Wprost trudno uwierzyć, jak czasami się zmieniają. Widziałem rodziców, którzy nie poznawali własnych dzieci, przebywających wśród Indian nawet stosunkowo krótko. Nie chodzi tylko o twarz... Zmienia się wszystko. Sposób mówienia, ruchy, to, kim są.

- I tak je poznam - powtórzył Seton.

Zsiedli z koni przed kilkoma tipi i przywiązali swoje wierzchowce, żeby mogły skubać trawę. Ich przewodnik poszedł porozmawiać do największego tipi. Pojawił się siwowłosy starzec i wysłuchał In-

dianina, mówiącego w języku Czipewejów. Przewodnik przetłumażył jego słowa.

- Mówi, że dziewczyna została z nimi z własnej woli. Teraz jest jedną z nich. Chce wiedzieć, czy przyszliście ją zabrać?

Przemówił Sturrock, nie dopuszczając do głosu Setona.

- Nie zamierzamy do niczego jej zmuszać, ale jeśli jest córką tego mężczyzny, on chce z nią porozmawiać. Szuka jej od wielu lat.

Starzec skinął głową i zaprowadził ich do innego tipi. Po chwili dał znak Sturrockowi i Setonowi, by weszli z nim do środka.

W pierwszej chwili, kiedy zajmowali miejsca, prawie nic nie wdzieli. W środku małego namiotu było ciemno, unosił się w nim dym. Dopiero po jakimś czasie zorientowali się, że naprzeciwko nich siedzą dwie postacie: Czipewej i kobieta. Charles Seton wydał stłumiony okrzyk, przypominający miauknięcie, i wpatrywał się w kobietę, która była jeszcze niemal dziewczyną.

Była śniada, miała ciemne oczy i długie, czarne włosy, błyszczące od tłuszczu. Nosiła skózaną tunikę, a do tego owinęła się pasiastym kocem, chociaż dzień był ciepły. Wzrok wbiła w ziemię. Na pierwszy rzut oka Sturrock wziąłby ją za dziewczynę z plemienia Czipewejów. Przypuszczał, że młody mężczyzna u jej boku to jej mąż, chociaż ich im nie przedstawiono. Po tym pierwszym okrzyku z ust Setona nie wydobył się już żaden dźwięk. Zupełnie jakby dławił się słowami, otwierał usta, ale miał ściśnięte gardło.

- Dziękujemy, że zgodziliście się z nami spotkać - zaczął Sturrock. Uważał, że jeszcze nigdy w życiu nie widział czegoś tak rozdzierającego serce, jak ból malujący się w tamtej chwili na twarzy Setona. - Czy mogłabyś unieść wzrok, żeby pan Seton dobrze zobaczył twoją twarz?

Uśmiechnął się zachęcająco do młodej pary siedzącej naprzeciwko. Mężczyzna obojętnie spoglądał na nich, a potem klepnął dziewczynę w rękę. Uniosła głowę, ale wzrok nadal miała utkwiony w ziemi. W małym namiocie oddech Setona wydawał się bardzo głośny. Sturrock patrzył to na dziewczynę, to na niego, czekając, aż się rozpoznają. Może to wszystko było szukaniem wiatru w polu. Mi-

nęła jedna minuta, druga. To było nie do zniesienia. W końcu Seton wziął głęboki oddech.

- To moja córka, ale nie wiem, która... Gdybym mógł zobaczyć jej oczy...

Sturrock był zaskoczony. Spojrzał na dziewczynę, nieruchomą jak posąg i zwrócił się do niej, posługując się jej indiańskim imieniem.

- Wah'tanakee, jakiego koloru masz oczy?

W końcu spojrzała na Setona. Zobaczył jej oczy, brązowe, o ile Sturrock dobrze widział w panującym półmroku.

Seton jeszcze raz z trudem nabrał powietrza w płuca.

- Eve - powiedział łamiącym się głosem, po jego policzku potoczyła się łza. Ale nie miał wątpliwości. Po sześciu latach poszukiwań odnalazł jedną ze swoich córek.

Dziewczyna przyglądała mu się przez chwilę, a potem znów spuściła wzrok. Mogło to być przytaknięcie.

- Eve...

Sturrock czuł, że Seton chce się nachylić, porwać ją w ramiona. Ale dziewczyna była taka nieruchoma i nieprzystępna, że zabrakło mu odwagi. Powtórzył jedynie jej imię jeszcze raz czy dwa razy, a potem starał się zapanować nad sobą.

- Co... Nie wiem, jak... Jesteś zdrowa?

Skinęła głową. Wtedy znów przemówił starzec, a tłumacz, który też wcisnął się do tipi za nimi, przełożył jego słowa.

- Ten mężczyzna jest jej mężem. Starzec to jego wuj. Wychowywała się w jego rodzinie, odkąd ją znaleźli.

- Znaleźli ją? Gdzie? Kiedy? Amy też? Gdzie jest Amy? Też tutaj?

Starzec coś powiedział. Sturrock rozpoznał przekleństwo. Potem zaczęła mówić Eve, cały czas ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

- Od tamtej pory upłynęło pięć, sześć lat. Nie pamiętam dokładnie. Wydaje mi się, że było to bardzo dawno temu. W innych czasach. Poszliśmy na spacer i zabłądziłyśmy. Tamta trzecia dziewczyna za wróciła pierwsza. Zostawiła nas. My poszliśmy dalej. W końcu tak się zmęczyliśmy, że położyliśmy się, by się przespać. Kiedy się obu-

dziłam, byłam sama. Nie wiedziałam, gdzie jestem, gdzie są wszyscy. Bardzo się bałam i myślałam, że umrę. A potem pojawił się wuj i zabrał mnie ze sobą, dał mi jeść i udzielił schronienia.

- A Amy? Co się stało z Amy?

Eve nie spojrzała na niego.

- Nie wiem. Myślałam, że mnie zostawiła. Myślałam, że obraziła się na mnie i poszła do domu beze mnie.

Seton pokręcił głową.

- Nie. Nie wiedzieliśmy, co się z wami stało. Cathy Sloan wróciła, ale nie natrafiliśmy na najmniejszy ślad twój ani Amy. Szukaliśmy wszędzie. Uwierz mi, że od tamtego dnia nie przestałem was szukać.

- To prawda - odezwał się Sturrock w panującej ciszy. - Twój ojciec poświęcił każdą chwilę i wszystko, co miał, na szukanie ciebie i twojej siostry.

Seton głośno przełknął ślinę.

- Przykro mi, ale muszę ci powiedzieć, że w kwietniu minęły trzy lata od śmierci twojej matki. Nigdy nie doszła do siebie po naszym zniknięciu. Nie mogła się z tym pogodzić.

Dziewczyna uniosła wzrok i Sturrockowi wydało się, że po raz pierwszy - i ostatni - dostrzegł na jej twarzy ból.

- Mama nie żyje. - Przetrawiła tę informację i spojrzała na swojego męża, chociaż Sturrock nie miał pojęcia, co oznacza to spojrzenie. Może to zabrzmieć okrutnie, ale źle się stało, że poinformowano ją o śmierci matki - świadomość tego, że pani Seton wciąż żyje, nawet jeśli przebywa gdzieś daleko stąd, mogłaby sprawić, że wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Seton otarł łzę z twarzy. Sturrock pomyślał, że lepiej byłoby zacząć rozmowę na błahe tematy, żeby rozładować olbrzymie napięcie, a potem przejść do rzeczy. Zastanawiał się, jak długo ciągnąć tę rozmowę, by nikt z obecnych nie stracił cierpliwości. Ale to, co nastąpiło później, położyło kres wszelkim staraniom.

Głos Setona zabrzmiał ostro i zbyt głośno w ciasnym namiocie.

- Obojętne mi, co się wydarzyło, ale muszę wiedzieć, co się stało z Amy. Muszę wiedzieć! Proszę, powiedzcie mi.

- Już powiedziałam, że nie wiem. Nigdy więcej nie widziałam jej żywej.

Te słowa zabrzmiały jakoś dziwnie, nawet zdaniem Sturrocka.

- Czy to znaczy, że... Że widziałas ją martwą? - Głos Setona był spięty, ale mężczyzna zachował nad nim kontrolę.

- Nie! Już nigdy jej nie widziałam. To chciałam powiedzieć. - Dziewczyna była przygnębiona, przybrała postawę obronną. Sturrock wolałby, żeby Seton przestał wypytywać o Amy; nic mu nie przyjdzie z wypytywania o nią drugiej córki.

- Wrócisz ze mną. Musisz. Musimy dalej szukać. - Oczy Setona były jakieś odległe, szklane. Sturrock nachylił się do niego i położył mu dłoń na ramieniu, by mężczyzna zapanował nad swoimi emocjami. Ale Seton chyba nawet tego nie zauważył.

- Proszę... Myślę, że powinniśmy... Proszę mi wybaczyć... - Zwracał się teraz do wszystkich. - Przeżył wstrząs. Nawet sobie nie wyobrażacie, jak mu było ciężko przez te wszystkie lata. Nie wie, co mówi...

- Wielki Boże, człowieku, doskonale wiem, co mówię! - Seton gwałtownie strząsnął jego dłoń. - Ona musi wrócić ze mną. Jest moją córką. Nie ma innego rozwiązania...

Wyciągnął rękę do dziewczyny, ale ona się cofnęła. Przy okazji wyszło na jaw, co skrywał pasiasty koc - Eve była w zaawansowanej ciąży. Młody mężczyzna zerwał się na nogi i zagroził drogę Setonowi.

- Proszę stąd wyjść. - Mówił nienaganną angielszczyzną, ale zaraz przeszedł na własny język, zwracając się do tłumacza.

Seton zaczął krzyczeć. Był wstrząśnięty, ale zdecydowany.

- Eve! To nie ma znaczenia. Wybaczam ci! Tylko jedź ze mną. Wróc ze mną! Moja najdroższa! Musisz...

Sturrock i tłumacz siłą wyciągnęli Setona z tipi i zaprowadzili go do koni. Jakoś udało im się wsadzić go na siodło. Chociaż Sturrock niezbyt dobrze pamięta, jak im się to udało, nakłonili go do odjazdu. Seton ani na chwilę nie przestawał wołać swojej córki.

Rok później, w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, zmarł na zawał. Już nigdy więcej nie zobaczył Eve i mimo dalszych poszukiwań nie natrafili na najmniejszy ślad Amy. Czasami Sturrock wątpił, czy dziewczyna w ogóle kiedykolwiek istniała. Wstydził się swojego udziału w tych poszukiwaniach: chciał je przerwać, ponieważ obsesja Setona stała się oczywista; uświadomił sobie to dzięki spotkaniu z Eve. A jednak nie mógł się zmusić do porzucenia tej sprawy - mężczyzna już zbyt wiele wycierpiał. Więc Sturrock niechętnie kontynuował poszukiwania, co na niewiele się zdało. Myślał później, że powinien zlecić poszukiwania komuś innemu. Ale tamto popołudnie w Burk's Falls w jakiś sposób związało mężczyzn, zmuszając ich do milczenia, bo najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że Seton nie przyjął do wiadomości, iż odnaleźli Eve. Oświadczył, że był to jeszcze jeden fałszywy trop, który zaprowadził ich do nieznanym dziewczyny. Namówił Sturrocka, żeby też zachował milczenie, i ten niechętnie na to przystał. Tylko Andrew Knoxa dopuszczono do tajemnicy, i to niechęć.

Raz czy dwa Seton wspomniał, że musi wrócić do Burk's Falls i spróbować nakłonić Eve do wyjazdu z nim, ale mówił to bez przekonania. Sturrock podejrzewał, że Seton nie przeżyłby tego. Tydzień później Sturrock w tajemnicy przed Setonem pojechał do wioski, żeby porozmawiać z dziewczyną. Ale nigdzie nie mógł odnaleźć obozowiska Indian. Wątpił, czy cokolwiek by to dało, nawet gdyby je odszukał.

O kazało się, że wszyscy chcą wyruszyć na północ wzdłuż rzeki. Krążą plotki, że coraz więcej mężczyzn szukuje się do wymarszu. Powstają kolejne grupy poszukiwaczy. Naturalnie jej nie będzie wśród nich. Ale to nie znaczy, że jest jej to obojętne. Właśnie dlatego się na to zdecydowała. Ostry wiatr smaga twarz Marii, kiedy jedzie ścieżką wzdłuż brzegu. Drzewa są ogołoczone z liści, które leżą wdeptane w rozmięktą ziemię, śnieg jest stratowany. Przed sobą widzi gładkie wybrzuszenie Horsehead Bluff. Poniżej woda tworzy wir w niecce, którą sama sobie wydrążyła. Latem razem z Susannah przychodziły tu pływać, ale zrezygnowały z tego wiele lat temu. Maria już nigdy nie pływała od tamtego dnia, kiedy zobaczyła w wodzie topielca.

Nie ona go znalazła, tylko grupka młodszych chłopców, którzy wybrali się na ryby. Ich okrzyki zwróciły uwagę Marii i jej najlepszego w owym czasie przyjaciela, Davida Bella. David był jedynym uczniem w szkole, który o nią zabiegał. Nie byli parą, tylko wyrzutkami zjednoczonymi przeciwko reszcie świata. Włóczyli się po lesie, paląc papierosy i rozmawiając o polityce, książkach i wadach swoich rówieśników. Maria nie przepadała za papierosami, ale pociągało ją to, co zakazane, więc zmuszała się do ich palenia.

Kiedy usłyszeli głośne nawoływania, pobiegli nad rzekę i ujrzeni chłopców, gapiących się na wodę. Śmiali się, co kłóciło się z ich pełnymi przerażenia okrzykami sprzed chwili. Jeden z chłopców odwrócił się i powiedział do Davida:



- Jeszcze nigdy nie widziałeś czegoś takiego!

Stanęli nad samą rzeką, na ich twarzach już pojawiły się uśmiechy. I wtedy zobaczyli, co jest w wodzie.

Maria, wstrząśnięta, uniosła dłonie do twarzy.

Widok był niesamowity. Ponad brunatną wodą sterczały wyprostowane ręce, obracając się wolno. Były białe i lekko spuchnięte. Potem ujrzała głowę, to zwróconą w ich stronę, to w przeciwną. Widzi tę twarz teraz równie wyraźnie jak wtedy, a jednak nie umiałaby jej opisać, nawet gdyby spróbowała - czy oczy były otwarte, czy zamknięte, albo jak wyglądały usta. Było coś osobliwie przerażającego w leniwych ruchach zwłok, obracanych przez wir; dziwnym zrządzeniem losu znajdowały się w pozycji pionowej, z rękami nad głową, jakby tańczyły reela. Nie mogła oderwać od nich wzroku, podobnie jak pozostali. Wiedziała, że ma przed sobą topielca, ale nie rozpoznała go. Później, kiedy jej powiedziano, że to doktor Wade, też nie mogła znaleźć podobieństwa między twarzą zmarłego a zapamiętaną twarzą starszego Szkota.

Nawet teraz, po tylu latach, trudno jej spoglądać w głębiny ciemnego zakola rzeki. Żeby się upewnić, że nic tam nie ma.

Kiedy odeszli nad rzeki, David przez całą drogę do domu trzymał ją za rękę. Milczał, co było u niego czymś niezwykłym, i zanim wyszli z lasu, pociągnął ją za pień drzewa i pocałował. Dostrzegła w jego oczach desperację, która ją przeraziła; nie wiedziała, co to może oznaczać. Skamieniała, niezdolna do żadnej reakcji, ale czując do niego odrazę, wyrwała mu się i poszła do domu przodem. Potem już nigdy nie czuli się tak swobodnie w swojej obecności jak dawniej, a następnego lata jego rodzina wyprowadziła się z powrotem na wschód. Był jedynym chłopakiem, który chciał ją pocałować, nim poznała Roberta Fishera.

Po blisko godzinie dociera do chaty Jammeta i zsiada z konia. Ziemię przed drzwiami frontowymi pokrywa brudny śnieg. Wciąż leży też na dachu nieogrzewanej chaty, a sam domek sprawia wrażenie małego i opuszczonego. Może fakt, że zamordowano tu Jammeta,

zniechęci ewentualnych nabywców, chociaż śmierć w nurtach rzeki poprzedniego właściciela nie odstręczyła Francuza.

Wokoło widać różne ślady, większość z nich zostawiły bawiące się tu dzieci. Ale przed samymi drzwiami ziemia jest równa - ostatnio nikt nie wchodził do środka. Maria śmiało maszeruje przed siebie. Drzwi są zabezpieczone drutem. Odgina go, zdzierając sobie skórę na palcu. Nigdy nie była w środku chaty; Jammet nie stanowił odpowiedniego towarzystwa dla dziewczyny z dobrej rodziny. Cicho przeprasza ducha zmarłego za wtargnięcie. Tłumaczy sobie, że chce tylko sprawdzić, czy nie przeoczono kościanej tabliczki, porzuconej gdzieś w kącie. Łatwo nie zauważyć takiego małego przedmiotu, jak kościana tabliczka. Boi się, chociaż właściwie nie wie, dlaczego. Ale przewycięża lęk.

Koźła skóra w oknach przepuszcza niewiele światła, tworząc dziwne wrażenie, że wszystko spowija całun. Panuje tu całkowita cisza. Pomieszczenie jest puste, jeśli nie liczyć dwóch skrzyń po herbacie i pieca, czekającego, by czyjeś ręce znów mu przywróciły życie. Podłogę pokrywa kurz niczym cienka warstwa płatków śniegu. Zostawia na nim ślady.

Okazuje się jednak, że kiedy zacznie się szperać, nawet w pustym domu można znaleźć dużo ciekawych rzeczy: stare przybory kuchenne, kawałki gazety, garść gwoździ, zwitek ciemnych włosów (wzdraga się), sznurowadło... Wszystko to, czego ludzie nie zabierają, bo nie ma to żadnej wartości; bo nikt tego nie chciał, nawet mieszkaniac tego domu.

Tak niewiele zostawiamy po sobie.

Nie ma teraz jak się dowiedzieć, jaki był Laurent Jammet. Przy najmniej dla niej to niewykonalne. Na górze, gdzie w końcu idzie, jest parę do połowy opróżnionych drewnianych skrzynek. W żadnej z nich nie ma nic, co przypominałoby kościaną tabliczkę, ale znajduje coś innego, coś, co wsunięto w szczelinę pomiędzy framugą drzwi a ścianą (dlaczego właściwie tam zajrzała?).

Na kawałku brązowego papieru, takiego, w jaki zawijają zakupy w sklepie Scotta, ktoś narysował ołówkiem Laurenta Jammeta.

Marię pałą policzki: na rysunku Jammet śpi nago na łóżku. Musiało być lato, bo prześcieradło jest skotłowane w nogach, jakby skopał je w nocy. Artysta był amatorem, ale widać, że coś go łączyło z modelem. Maria nie tylko czuje zakłopotanie, patrząc na rysunek nagiego mężczyzny, ale również wstyd, jakby wtargnęła do najbardziej skrywanych zakamarków czyjegoś umysłu. Bo jest pewna, że autor szkicu, kimkolwiek był, kochał Francuza. Potem widzi coś jakby podpis, nagryzmołony na papierze. Coś jakby Francois. Jest pewna, że nie ma „e”. Nie Françoise.

I natychmiast przychodzi jej do głowy Francis Ross.

Stoi, trzymając kawałek kartki, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, że prawie zapadł zmierzch. Ku swemu przerażeniu widzi na kartce smugę krwi. To jej krew. W pierwszej chwili ma ochotę spalić rysunek, nim ktokolwiek go zobaczy i dojdzie do takiego samego wniosku, jak ona. Potem uświadamia sobie - serce aż ścisnęło jej się w poczuciu winy - że będzie musiała dać ten rysunek Francisowi, bo gdyby należał do niej (policzki wciąż ją pałą), chciałyby go odzyskać. Czuje się tym dziwnie poruszona. Starannie składa kartkę rysunkiem do środka, a potem wsuwają do kieszeni. Po chwili wyciąga ją stamtąd, nie wiedzieć czemu wyobrażając sobie, że jej siostra szpera po jej kieszeniach i znajduje rysunek. Chowa kartkę pod gorsetem, gdzie nikt niczego nie będzie szukał. Tam, na sercu, parzy ją jak rozżarzony węgielek, powodując, że ciepły rumieniec zalewa jej szyję. Ostatecznie pospiesznie wsuwa rysunek za cholewkę buta, ale nawet stamtąd wysyła fale gorąca wzdłuż jej nogi, kiedy w zapadających ciemnościach jedzie z powrotem do Caulfield.

Line zajęła się rozpalaniem ogniska. Po tamtym pojedynczym wystrzale z broni nie rozległy się następne. Czekają, początkowo rozmawiając, przejęci, rozradowani, potem milkną, przysuwają się do ognia. Zmierzch szybko zapada; ciemności wyłaniają się ze swoich kryjówek w wykrotach i spróchniałych pniach. Line gotuje wodę, dodaje do niej cukier i zmusza dzieci do wypicia jej, póki jest gorąca, więc parzą sobie buzie. Przyrządza posiłek z mąki owsianej, jagód i suszonej wieprzowiny. Spożywają go w milczeniu, nasłuchując odgłosów kroków i szelestu zarośli, przez które ktoś się przedziera. Porcja dla Espena zdążyła wystygnąć w garnku, a jego wciąż nie ma.

Line zbywa pytania dzieci i każe im nazbierać więcej chrustu, by podtrzymać ogień, żeby płomienie widać było z daleka. Potem skleca dla nich szałas. W końcu dzieci przestają zadawać pytania.

Ale kiedy Anna zasypia, zwinięta w kłębek obok Line, Torbin, leżący z drugiej strony, odzywa się szeptem. Przez ostatnie dwa dni, odkąd zgubili kompas, milczał, chociaż to do niego niepodobne.

- Przepraszam, mamó - słychać jego drżący głosik. Line głaszcząc go po włoskach dłonią w rękawiczce.

- Ciiii... Staraj się usnąć.

- Przepraszam, że chciałem uciec. Gdybym tego nie zrobił, nie zabłądzilibyśmy, prawda? I Espen nie zostawiłby nas. Teraz sam też zabłądził... - Chlipie cichutko. - To wszystko moja wina.

- Nie gadaj głupstw - mówi Line, nie patrząc na niego. - Trudno, stało się. Śpij.

Ale zaciska usta, które tworzą cienką linię; bo prawdę powiedziawszy, to przez niego zgubili kompas. To przez niego zabłądzili w tym lesie; i przez niego znów straciła mężczyznę. Głaszcze go machinalnie i nawet nie zauważyła, że Torbin zeszywniał; nie zauważyła, że sprawia mu ból, a Torbin nie ma odwagi jej poprosić, żeby przestała.

Nie może spać, więc siedzi u wylotu szałas, a dzieci leżą zwinięte w kłębek u jej stóp. Wpatruje się w ogień. Stara się o niczym nie myśleć. Przychodzi jej to łatwo, kiedy Anna i Torbin nie śpią i musi ich uspokajać, ale teraz, kiedy ma do towarzystwa tylko swoje lęki, biorą nad nią górę. Zabłądzili gdzieś w lesie, jest zimno, wokół są zasy i Bóg jeden wie, co jeszcze, ale najbardziej się boi, że Espen ją zostawił. Kiedy siedziała w stajni w Himmelvanger, wiedziała, że może go nakłonić do zrobienia tego, na czym jej zależy, nawet jeśli Espen przystanie na to niechętnie. Teraz myśli, że skorzystał z okazji, usłyszawszy pojedynczy strzał z broni palnej; że uciekł i nie zamierza wrócić; ale tym razem nie wie, gdzie go szukać.

Oba konie stoją w pobliżu, spuściwszy łby. W pewnej chwili jeden z nich drgnął, bo się przestraszył czegoś pomiędzy drzewami. Położył uszy po sobie, kręci łbem na boki, jakby wyczuwał zagrożenie, ale nie wiedział dokładnie, z której strony nadciąga. Drugi koń - ten chory - prawie się nie porusza. Line, kiedy się otrząsnęła z początkowego szoku, wyteża wzrok, próbując coś dostrzec w ciemnościach. Ma nadzieję, że usłyszy Espena, ale wie, że Jutta nie zareagowałaby tak, gdyby to chodziło o Espena. Panuje jednak kompletna cisza. W końcu Line nie może dłużej czekać ani czuć, więc zwija się w kłębek obok swoich dzieci, twarz zasłania sobie szalem.

Niemal natychmiast zaczyna śnić o Jannim. Janni ma kłopoty i jakby ją wołał. Znajduje się gdzieś daleko, gdzie jest ciemno i zimno. Przeprasza za to, że był taki głupi i myślał, iż przyłączając się do buntowników i kradnąc futra, wzbogaci się. Zapłacił za ten błędny życiem. Line widzi go gdzieś bardzo daleko, leży na śniegu, przypomina malutką, ciemną kropkę na rozległym, białym polu,

nie porusza się. Line pragnie całym swoim jestestwem pójść do niego, ale nie może. Potem wszystko się zmienia, Janni jest tak blisko niej, że czuje ciepło jego ciała, jego wilgotny oddech na swojej twarzy. Śni jej się, że zamyka oczy i się uśmiecha. Janni ma nieświeży oddech, ale najważniejsze, że jest ciepły i należy do niego. Nie przyśnił się jej Espen.

Budzi się przed świtem. Ogień zgasł, osmalone gałęzie są mokre. Powietrze jest wilgotne, czuć nadciągającą odwilż. Line rozgląda się wokoło. Nie widzi koni; widocznie są za szafasem, szukając czegoś do jedzenia. Nie ma ani śladu Espena. Ale właściwie nie spodziewała się go. Podpiera się na łokciach, jej wzrok stopniowo przyzwyczaja się do szarości. I widzi zaledwie dwadzieścia metrów od siebie brudny, stratowany śnieg.

W pierwszej chwili nie dopuszcza do siebie myśli, że ciemnoczerwone plamy to posoka, ale potem dostrzega kolejne szczegóły: tam strugę krwi na śniegu; tu czerwoną smugę i odcisnięte podkowy w głębokiej zaspie. Nie wydaje z siebie najmniejszego dźwięku. Dzieci nie mogą tego zobaczyć, bo wpadną w panikę... Potem przesuwa wzrok bliżej szafasu.

Pomiędzy jej łokciami, odcisnięty na jedynym fragmencie niekniętego śniegu, jaki się tu zachował, widzi odcisk łapy. Tylko jednej. Ma przynajmniej dziesięć centymetrów średnicy, z przodu widać odcisnięte pazury. Dwa zagłębienia są czerwone.

Wzdraga się i przypomina sobie, jak ją nazwał Espen: vargamor, kobieta, która zadaje się z wilkami. Czuje w ustach gorycz, wspomina ciepły, nieświeży oddech ze swojego snu i jak się nim rozkoszowała. Wilk musiał stać tuż nad nią, zaglądając do szafasu, dysząc w twarz śpiącej Line.

Kobieta wstaje najciszej, jak umie. Zасыpuje ślady krwi śniegiem. Widzi, którędy Bengi próbował uciekać przed wilkami - musiało ich być więcej niż jeden. Na szczęście ślady prowadzą tam, skąd przyszli; nie będą musieli oglądać tego, co znajduje się w miejscu, gdzie się urywają.

Dostrzega jeszcze inny ślad i nie może od niego oderwać wzroku; w pobliżu pnia cedru widać wyraźnie odcisk buta. Dopiero po długiej chwili uświadamia sobie, że to ślad buta Espena, zostawiony wczoraj. Skierował się niemal prosto na zachód, podczas gdy ich ścieżka biegnie na południe. Odkąd się rozstali, nie padał śnieg, więc nie zasypał jego śladów. Mógł wrócić do nich po swoich śladach, ale z jakiegoś powodu nie zrobił tego.

Line aż podskakuje, serce wali jej jak oszalałe, kiedy widzi, jak Jutta wolno idzie między drzewami w jej stronę. Wzdycha z ulgą, kiedy koń wsuwa nos pod jej ramię. Zdaje się, że Jutta też czuje ulgę.

- Wszystko w porządku - mówi Line z mocą do konia. - Wszystko w porządku. Wszystko w porządku.

Uczepiła się końskiej grzywy i jej nie puszcza, aż ustaje dygot. Potem idzie obudzić dzieci, powiedzieć im, że muszą ruszać w dalszą drogę.

Donald się przygląda, jak Parker i pani Ross opuszczają placówkę. Wychodzą przez bramę i kierują się na północny zachód. Nawet się nie obejrzel. Nesbit i Stewart życzą im szczęśliwej drogi, po czym wracają do swoich biur. Nesbit rzuca Donaldowi znaczące spojrzenie, ubliżające zarówno pani Ross, jak i Parkerowi, a także w jakiś sposób jemu. Donald mężnie to znosi, ale jest wściekły. Uznał Parkera za głupca, kiedy ten przedstawił mu swój plan, a pomyślał sobie o nim jeszcze gorzej, kiedy się dowiedział, że pani Ross udaje się z nim, chociaż najwyraźniej ona sama nie miała nic przeciwko temu. Odciągnął ją na stronę i powiedział, jakie jest jego zdanie na ten temat. Czy sobie to tylko wyobraził, czy też dostrzegł rozbawienie na jej twarzy? Zarówno Parker, jak i pani Ross podkreślili, że on powinien pilnie obserwować poczynania Stewarta. Chociaż uważa, że nie ma to specjalnego sensu, chyba będzie miał na niego baczenie.

Przygląda się, jak Stewart idzie do wioski, by się dowiedzieć o samopoczucie Elizabeth. Interesuje się jej losem, mimo że ona odnosi się do niego wrogo. Donald też nie może się powstrzymać przed złożeniem jej wizyty. Ogarnęła go nieprzewyciężona ciekawość, odkąd zrodziło się w jego głowie podejrzenie, że to jedna z sióstr Seton. A pomyślał sobie tak tylko z uwagi na imię córeczki. Chociaż nie, nie tylko. Elizabeth ma niewątpliwie rysy białej kobiety i Donald odnosi wrażenie, że jest odrobinę podobna do pani Knox. Pojawił się przed jej chatą, kiedy Stewart wrócił do siebie, i czeka na znak, by wejść do środka.



Ogień kłuje go w oczy. Oddycha przez usta, by przyzwyczać się do dymu i zapachu niemytych ciał. Elizabeth kuca obok paleniska, wycierając buzię zapłakanej córeczce. Rzuca Donaldowi krótkie, lekceważące spojrzenie, a potem bierze na ręce wrzeszczącą dziewczynkę i podaje mu ją.

- Proszę ją wziąć. Już nie mogę z nią wytrzymać.

Elizabeth idzie za przepierzenie, oddzielając część mieszkalną od sypialnej, zostawiając Donalda z dziewczynką, która stara mu się wyrwać. Nerwowo potrząsa nią, dziewczynka patrzy na niego, głęboko dotknięta.

- Nie płacz, Amy. No już dobrze, dobrze.

Gdyby nie odrobina doświadczenia dzięki dzieciom Jacoba, po raz pierwszy w życiu trzymałby na ręku dziecko. Traktuje ją tak, jakby była nieprzewidywalnym zwierzątkiem o ostrych ząbkach. Dziewczynka, nie wiedząc czemu, przestaje płakać.

Kiedy Elizabeth wraca, stwierdza, że Amy odkryła krawat Donalda i bawi się nim, oczarowana nieznanym sobie przedmiotem. Kobieta przygląda się temu przez chwilę.

- Skąd przyszedł panu do głowy Setonowie? - pyta niespodziewanie. - Czy tylko z powodu imienia?

Donald, zaskoczony, unosi wzrok. Zamierzał zapytać ją o Stewarta.

- Chyba tak. Ale pomyślałem o tym, ponieważ niedawno opowiedział mi tę historię ktoś, kogo ta sprawa bardzo blisko dotyczyła.

- Och. - Jeśli było to coś więcej niż przelotne zainteresowanie, dobrze to ukryła.

- Ostatnio poznałem członków rodziny Andrew Knoxa. Jego żona była, a właściwie jest... - Obserwuje Elizabeth, dziewczynka mocno szarpie jego krawat, niemal go dusząc. - Jest siostrą pani Seton, matki dziewcząt.

- Och - znów mówi Elizabeth.

- To przeurocza kobieta. Widać, że nawet po tylu latach wspomnienie o zniknięciu dziewczynek bardzo ją przygnębia.

W chacie zalega długa cisza, podkreślana jeszcze trzaskającym ogniem.

- Co powiedziała na ten temat?

- Że... że ta historia złamała serce ich rodziców. Że nigdy się nie otrząsnęli.

Donald próbuje czytać z twarzy Elizabeth, ale widzi na niej głównie złość.

- Oboje państwo Seton już nie żyją.

Elizabeth krótko kiwa głową. Donald uświadamia sobie, że wstrzymał oddech, i wypuszcza powietrze z płuc.

- Proszę mi opowiedzieć o cioci Alice - mówi kobieta bardzo cicho, jakby z lekkim westchnieniem. Serce Donalda przyspiesza. Stara się niczego po sobie nie pokazać ani nie przyglądać się jej zbyt natarczywie. Kobieta patrzy na swoją córeczkę, unikając jego wzroku.

- Cóż, mieszkają w Caulfield nad zatoką Georgian. Pan Knox jest tam sędzią pokoju. To niezwykły człowiek. Mają dwie córki, Susannah i Marię. - W przypiływie odwagi pyta: - Pamięta je pani?

- Naturalnie. Miałam wtedy jedenaście lat, nie byłam małym dzieckiem.

Donald stara się nie okazać swojego przejęcia i mimo woli mocniej ściska dziecko. W odwecie dziewczynka wpycha piąstki w jego okulary.

- Susannah... Nie pamiętam, która była która. Kiedy ostatni raz je widziałyśmy, jedna była jeszcze niemowlęciem. Druga miała najwyżej dwa, trzy latka.

- Maria musiała mieć jakieś dwa latka - mówi Donald, ogarnia go miłe ciepło, kiedy wymawia jej imię.

Elizabeth wpatruje się w cienie, Donald nie ma pojęcia, o czym myśli kobieta. Odsuwa zdumiewająco silne paluszki dziewczynki od swoich ust.

- Wszyscy dobrze się mają i... są uroczą rodziną. Wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Chciałbym, żeby się pani z nimi spotkała. Bardzo by się ucieszyli... Nawet nie wyobraża sobie pani, jak bardzo!

Elizabeth uśmiecha się dziwnie.

- Przypuszczam, że powie im pan o mnie.

- Tylko, jeśli sobie pani tego zażyczy.

Elizabeth odwraca twarz, ale ton jej głosu nie uległ zmianie.

- Muszę myśleć o swoich dzieciach.

- Naturalnie. Ale wiem, że nie zmuszą pani do niczego, na co nie będzie pani miała ochoty.

- Muszę myśleć o swoich dzieciach - powtarza Elizabeth. - Teraz, bez ojca...

Donaldowi z trudem udaje się wyciągnąć chusteczkę. Ale kiedy Elizabeth się odwraca, jej oczy są suche.

- Powiedzieli panu, że ojciec mnie odnalazł?

- Słucham? Ludzie mówią, że nigdy was nie odnaleziono!

Jej twarz wykrzywia coś... Ból? Niedowierzenie?

- On tak twierdził?

Donald nie wie, co odpowiedzieć.

- Nie zgodziłam się z nim wrócić. Od niedawna byłam mężatką. Ciągłe pytał o Amy. Jakby miał do mnie pretensję, że jej nie ma ze mną.

Donald nie może ukryć miny pełnej zdumienia.

- Nie rozumie pan tego? Oni stracili tylko swoje córki, a ja straciłam wszystko! Rodzinę, dom, przeszłość... Musiałam od nowa nauczyć się mówić! Nie mogłam znowu uciec od wszystkiego, co miałam...

- Ale... - Donald nie wie, co powiedzieć.

- Kiedy mnie zobaczył, na jego twarzy malowało się przerażenie. Potem już nigdy się nie pojawił. A mógł. Miał nadzieję, że zobaczy Amy. Zawsze była jego ulubienicą.

Donald patrzy na obojętne dziecko; dzięki temu nie zalewa go fala współczucia.

- Był w szoku... Nie może go pani winić za to, że się dopytywał o Amy. Szukał jej do samej śmierci.

Kobieta kręci głową i patrzy na niego twardo: „widzi pan?”.

- Byłyście... - Szuka odpowiednich słów. - Wielką zagadką naszych czasów! Byłyście sławne, wszyscy o was słyszeli. Ludzie pisali z całej Ameryki Północnej, podając się za was... Albo utrzymując, że was widzieli. Przyszedł list nawet z Nowej Zelandii.

- Och.

- Chyba nie pamięta pani, co się stało.

- Czy ma to teraz znaczenie?

- Czyż nie zawsze ważne jest odkrycie prawdy? - Myśli o Laurencie Jammecie, o tym, że oni też poszukują prawdy... O wszystkich tych wydarzeniach, przypominających potracone kostki domina... Przez zasypane śniegiem równiny przywiodły go do tej małej chatki. Elizabeth wzdraga się, jakby poczuła przeciąg.

- Pamiętam... Nie wiem, co pan słyszał, ale wybrałyśmy się na spacer. Zdaje się, że na jagody. Posprzeczałyśmy się, gdzie się zatrzymać; ta trzecia dziewczynka, jak jej było na imię... Cathy? Nie chciała zbyt się oddalać od domu. Bała się, że spali sobie twarz, bo było bardzo gorąco. Ale w rzeczywistości bała się lasu.

Utkwiła wzrok w jakiś punkt nad ramieniem Donalda, który nie ma odwagi się poruszyć, żeby nie przeszkodzić kobiecie snuć opowieści.

- Ja też się bałam. Bałam się Indian. - Uśmiecha się lekko. - Potem pokłóciłam się z Amy. Postanowiła iść dalej, a ja bałam się nie posłuchać rodziców. Ale szłam z nią, bo nie chciałam zostać sama. Zrobiło się ciemno i nie mogłyśmy znaleźć ścieżki. Amy mi powtarzała, żebym nie była niemądra. Potem poddałyśmy się i usnęłyśmy. W końcu, wydaje mi się... A później...

Zapada długa chwila ciszy, chatę wypełniają duchy. Donald odnosi nieodparte wrażenie, że Elizabeth widzi jednego z nich. Wstrzymał oddech.

- Gdzieś zniknęła.

Patrzy mu prosto w oczy.

- Myślałam, że odnalazła drogę do domu i zostawiła mnie w lesie, bo była na mnie zła. Nikt po mnie nie przyszedł... Aż znalazł mnie wuj... Mój indiański wuj. Uznałam, że zostawili mnie tam, że bym umarła.

- Byli pani rodzicami. Kochali panią. Nigdy nie przestali was szukać.

Elizabeth wzrusza ramionami.

- Nie wiedziałam o tym. Tak długo czekałam, ale nikt nie przy-szedł. Potem, kiedy znów zobaczyłam swojego ojca, pomyślałam: po-jawiłeś się teraz, kiedy jestem szczęśliwa, kiedy jest za późno. A on cały czas wypytywał o Amy. - Jej głos, cienki i chropawy, brzmi, jakby za chwilę miał się załamać.

- Więc Amy... zniknęła w lesie?

- Myślałam, że wróciła do domu. Myślałam, że mnie zostawiła.  
- Elizabeth (mimo wszystko nie potrafi o niej myśleć jako o Eve) patrzy na niego i jedna łza spływa po jej policzku. - Nie wiem, co się z nią stało. Byłam... Wyczerpana. Usnęłam. Wydawało mi się, że słyszę wilki, ale może mi się to tylko przyśniło. Za bardzo się bałam, żeby otworzyć oczy. Zapamiętałabym, gdybym usłyszała krzyki albo nawoływania, ale nie słyszałam nic. Nic nie wiem.

Jej głos cichnie.

- Dziękuję, że mi to pani powiedziała.

- Ja też ją straciłam.

Spuściła głowę, jej twarz kryje się w cieniu. Donaldowi zrobiło się wstyd. Wszyscy współczuli jej rodzicom, wszyscy byli wstrząś-nięci ich stratą. Ale zaginieni też cierpią.

- Może gdzieś żyje. To, że nie mamy o niej żadnych wiadomo-ści, nie oznacza, że umarła.

Elizabeth nic nie mówi ani nie unosi głowy.

Donald ma tylko jednego starszego brata, którego właściwie ni-gdy nie lubił; nawet go dość pociąga perspektywa, że jego brat mógł-łby na zawsze zniknąć w lesie. Uświadamia sobie, że zdrętwiała mu prawa noga, i porusza nią. Czuje w niej ból. Stara się nadać swojemu głosowi jowialny ton.

- Atu jest Amy... - Dziewczynka, która mu siedzi na kolanach, bezmyślnie zdejmuje sobie pończoszki. - Przepraszam. Proszę mi wybaczyć, że nakłoniłem panią do zwierzeń.

Elizabeth bierze córeczkę i kręci głową. Przez kilka chwil cho-dzi po chacie.

- Chcę, żeby im pan powiedział o mnie. - Całuje Amy, przyci-skając jej buzię do szyi.

Przed chatą dwie kobiety rozprawiają o czymś zawzięcie. Jedną z nich jest Norah. Donald zwraca się do Elizabeth.

- Proszę panią o jeszcze jedną przysługę. Czy może mi pani powiedzieć, o czym one rozmawiają?

Elizabeth uśmiecha się do niego ironicznie.

- Norah niepokoi się o Pólczłowieka. Udaje się dokądś ze Stewartem. Norah nakłaniała go, żeby odmówił, ale nie zrobi tego.

Donald spogląda w kierunku głównego budynku, serce podeszło mu nagle do gardła. A więc jednak...

- Czy wie, gdzie się wybierają albo dlaczego? To ważne.

Elizabeth kręci głową.

- Na wyprawę. Może na polowanie... Chociaż zwykle jest zbyt pijany, by trafić do celu.

- Stewart powiedział, że zamierza odszukać pani męża.

Kobieta nic na to nie odpowiada. Donald myśli gorączkowo.

- Udam się za nimi. Muszę się przekonać, dokąd pójdą. Jeśli nie wrócę, będzie pani wiedziała, że to, co pani mówiła, to prawda.

Elizabeth robi zdumioną minę - Donald pierwszy raz widzi na jej twarzy zdumienie.

- To niebezpieczne. Nie może pan iść.

Donald stara się nie zwracać uwagi na rozbawienie w jej głosie.

- Muszę. Potrzebny mi dowód. Kompanii potrzebny jest do wód.

Akurat wtedy, Alec, najstarszy syn, wychodzi z sąsiedniej chaty z jakimś innym chłopcem i obie kobiety odchodzą, Norah wraca do głównego budynku. Elizabeth woła chłopca, a ten kieruje się w jej stronę. Coś mówi do niego w ich języku.

- Alec pójdzie z panem. W przeciwnym razie zabłądzi pan.

Donald aż otwiera usta ze zdumienia. Chłopak ledwo sięga mu do ramienia.

- Nie, nie mogę go zabrać ze sobą... Jestem pewien, że nic mi się nie stanie. Łatwo będzie podążać ich śladem...

- Pójdzie z panem - Elizabeth oświadcza zwyczajnie, stanowczo. - On też tego chce.

- Ale ja nie mogę... - Donald nie wie, co powiedzieć; nie wie, jak się kimś opiekować w takim klimacie, nie wie nawet, jak się troszczyć o samego siebie, a co dopiero o dziecko. Zniża głos. - Nie mogę wziąć odpowiedzialności również za niego. A jeśli coś się stanie? Nie mogę się zgodzić, żeby poszedł ze mną. - Zrobiło mu się gorąco ze wstydu, że jest taki nieprzydatny.

Elizabeth mówi zwyczajnie:

- Jest już mężczyzną.

Donald patrzy na chłopca, który unosi wzrok i kiwa głową. Donald nie widzi u niego podobieństwa do Elizabeth; chłopak ma ciemną skórę, płaską twarz, oczy jak migdały i ciężkie powieki. Musi być podobny do ojca.

Jakiś czas później, kiedy idzie do swojego pokoju, żeby się spakować, Donald się odwraca i widzi Elizabeth na progu domu. Kobieta mu się przygląda.

- Pani ojciec chciał tylko poznać odpowiedź. Wie pani o tym, prawda? To nieprawda, że pani nie kochał. To ludzkie szukać odpowiedzi.

Patrzy na niego, zmrużyła oczy, bo zachodzące słońce lśni na niebie niczym wypolerowana stal. Patrzy na niego, ale nic nie mówi.

Cóś dziwnego stało się z pogodą. Jest prawie Boże Narodzenie, a chociaż idziemy po zamarzniętym śniegu, niebo jest jasne jak w słoneczny, lipcowy dzień. Twarz obwiązałam szalikiem, ale i tak oczy pieką mnie od światła. Psy są zachwycone, że znów wyszły na otwarty teren, i właściwie je rozumiem. Poza obrębem palisady nie ma zdrad ani zamętu. Jest tylko przestrzeń i światło; przebyte kilometry i kilometry do przebycia. Wszystko wydaje się proste.

A jednak wcale nie jest; tylko odrętwienie skłania mnie do takich myśli.

Po zachodzie słońca widzę, do czego doprowadziła moja głupota. Najpierw przewracam się o jednego z psów, przy okazji rozdzierając sobie spódnicę i wywołując kakofonię ujadania. Potem, odstawivszy na bok rondelk z wodą z rozpuszczonego śniegu, nie mogę go znaleźć. Opanowując lęk, wołam Parkera, który ogląda moje oczy. Nie musi mi mówić, że są czerwone i łzawią. Migają mi przed nimi czerwone i fioletowe plamy. Czuję pulsujący ból w czaszce. Wiem, że wczoraj, kiedy odjeżdżaliśmy, powinnam je była zasłonić, ale nie pomyślałam o tym; tak się cieszyłam, że wyprawiam się z nim, i tak przyjemnie było patrzeć na szeroką, białą równinę po brudnym Hannover.

Parker robi kompres z liści herbaty - zawija je w perkal, chłodzi w śniegu i każe mi go przyłożyć do oczu. Czuję pewną ulgę, ale nie taką, jak po kilku kroplach środka przeciwbólowego Perry Davis's. Może to i dobrze, że ich nie mamy. Myślę o Nesbicie, osaczonym i zdesperowanym; kiedyś też taka byłam.



- Jak daleko jesteśmy od tamtego... miejsca?

Odruchowo zdejmuję okład; niegrzecznie jest nie patrzeć na swojego rozmówcę.

- Proszę nałożyć kompres - mówi. I dopiero kiedy mam go z powrotem na powiekach, odpowiada: - Dotrzemy tam pojutrze.

- A co tam jest?

- Jezioro i chata.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem, czy ma jakąś nazwę.

- Dlaczego właśnie tam?

Parker waha się długą chwilę, więc spoglądam na niego spod kompresu. Patrzy gdzieś w dal i nie widzi, że znów zsunęłam okład.

- Bo tam są futra.

- Futra? Ma pan na myśli futra Norwegów?

- Tak.

Zdejmuję kompres i patrzę na niego zdziwiona.

- Dlaczego chce go pan do nich zaprowadzić? Przecież właśnie tego pragnie!

- I dlatego to robimy. Proszę nałożyć okład.

- Nie możemy... udąć, że są gdzie indziej?

- Uważam, że już wie, gdzie są. Gdybyśmy skierowali się w inną stronę, obawiam się, że nie podążyłby za nami. Już tam był... Z Nepapaneesem.

Zastanawiam się, jakie to ma znaczenie: Nepapanees nie wrócił, czyli nadal musi tam być. Ogarnia mnie strach, przenika mnie do szpiku kości i tak zostaje. Łatwo mi ukryć własną reakcję pod kompresem; ale nie tak łatwo udawać, że jestem wystarczająco odważna, by towarzyszyć Parkerowi.

- Dzięki temu, kiedy się pojawi, zyskamy pewność.

„A potem co?” - myślę, ale nie mam odwagi powiedzieć tego na głos. Inny głosik w mojej głowie - denerwujący - mówi: „Mogłaś zostać w faktorii. Jak sobie posłałaś, tak się wyśpisz”.

Po kolejnej chwili milczenia Parker mówi:

- Proszę otworzyć usta.

- Słucham? - Czyżby czytał w moich myślach? Ogarnia mnie wstyd, który niemal zagłusza lęk.

- Proszę otworzyć usta. - Jego głos jest teraz pogodniejszy, jakby czymś rozbawiony. Rozchyłam lekko usta, czując się jak dziecko. Przyciska mi do nich coś kanciastego i twardego, więc szerzej je otwieram, a potem czuję na języku jakby kawałek lodu - jest płaski i rozpływa się. Kciukiem lub palcem wskazującym przesuwam po moich wargach, szorstkich jak papier ścierny. A może to rękawiczka.

Zamykam usta, a kiedy to coś się rozpuszcza, czuję w ustach intensywną słodycz, co powoduje wzmożoną produkcję śliny. Uśmiecham się: cukier klonowy. Nie mam pojęcia, skąd go wziął.

- Dobre? - pyta i domyślam się z tonu jego głosu, że też się uśmiecha. Przechyliłam głowę na bok, jakbym się zastanawiała nad odpowiedzią.

- Hm - mówię lekko, wciąż czując się bezpiecznie za kompresem. - Czy dzięki temu poprawi się stan mojego wzroku? - pytam zalotnie.

- Nie. To ma tylko dobrze smakować.

Nabieram głęboko powietrza w płuca - pachnie jesiennym dymem i słodyczą, wyczuwam w nim gorycz węgla.

- Boję się.

- Wiem.

Czekam pod swoją maską na kojące słowa Parkera, że wszystko będzie dobrze. Jakby zastanawiał się nad odpowiedzią, starannie szukając słów.

Ale żadne nie padają.

Do ekipy poszukiwaczy zgłosiło się pięciu ochotników: Mackinley, przewodnik - Indianin Sammy, miejscowy młodzieniec Matthew Fox, pragnący dowieść swych umiejętności, pan Ross, którego syn i żona zaginęli, oraz Thomas Sturrock, były poszukiwacz. Sturrock wie, że ledwie go tolerują. Wszystkim musi się wydawać bardzo stary, poza tym nikt nie wie, co właściwie porabia w Caulfield. Tylko dzięki wyjątkowemu urokowi osobistemu wywalczył sobie miejsce w ekipie poszukiwawczej; urokowi oraz kadzeniu przez cały wieczór Mackinleyowi o lisiej twarzy i przypominaniu mu o swoich dawnych zasługach. Nawet się przechwalał, że jest świetnym tropicielem, ale na szczęście Sammy nie potrzebuje pomocy. Patrząc na nieskazitelnie biały, świeży śnieg, Sturrock nie ma pojęcia, czy podążają wcześniejszymi śladami, czy też nie. Ale najważniejsze, że tu jest i z każdym krokiem zbliża się do Francisca Rossa i przedmiotu, który stanowi cel jego podróży.

Odkąd Maria Knox wróciła z Sault i zdała mu relację ze swojego niezwyklego spotkania z Kahon'wesem, ogarnęło go niezwykle podniecenie. Myślał, że już nigdy nic go tak nie poruszy. Wielokrotnie nad tym rozmyślał - czy Kahon'wes wiedział, kto się za tym kryje? Czy imiona, które wymienił, to tylko czysty zbieg okoliczności? Niemożliwe. Doszedł do wniosku, że tabliczka zapisana jest w języku Irokezów i mówi o lidze pięciu plemion. Kto wie, może nawet pochodzi z tamtych czasów. Tak czy inaczej, nie umknęło jego uwagi, jakie to ma znaczenie: jak wpłynie takie odkrycie na postępowanie

Indian; w jakie zakłopotanie wprawi rządy po obu stronach granicy; jaką wagę nada to żądaniom Indian, którzy domagają się przyznania autonomii. Czyż nie każdy pragnąłby uczynić coś dobrego, a przy okazji odnieść osobistą korzyść?

Tak sobie rozmyślał przez parę pierwszych godzin. Potem zaczął się zastanawiać - ponieważ jest człowiekiem niezwykle praktycznym - co będzie, jeśli Maria ma rację i tabliczka to tylko dobry falsyfikat. W najgłębszych zakamarkach swego umysłu wie, że niczego to nie zmieni. Nakłoni Kahon'wesa, by go poparł; nie powinno to być trudne. Jeśli przedstawi wszystko odpowiednio przekonująco i sprytnie (z tym nie powinien mieć kłopotu), początkowy rozgłos zapewni mu sławę, a wszelkie późniejsze kontrowersje będą tylko dobrą reklamą. Co się tyczy tego, że nie wie, gdzie jest tabliczka, woli na razie się tym nie przejmować. Jest pewien, że zabrał ją Francis Ross, i jak tylko do niego dotrą, nakłoni go, by mu ją dał. Wiele razy powtarzał sobie tekst, którym się posłuży...

Potyka się o jakąś nierówność, zaczepia o nią rakieta i pada na kolana. Idzie jako ostatni, więc przez chwilę kłęczy, podpierając się jedną dłonią w rękawicze, i stara się odzyskać dech. Stawy go bolą od zimna. Już od wielu lat tak nie wędrował; zdążył zapomnieć o wszelkich związanych z tym niedogodnościach. Ma nadzieję, że to ostatnia taka wyprawa. Ross, który idzie przed nim, zauważa, że Sturrock został z tyłu, i zatrzymuje się, żeby na niego zaczekać. Dzięki Bogu nie zwraca i nie oferuje mu pomocy; to byłoby zbyt upokarzające.

Maria powiedziała mu, że w Sault widziała Rossa z jakąś kobietą, co skłoniło ją do rozważań, czy zniknięcie jego żony jest tak niewinne, jak się powszechnie sądzi. Rozbawiło to Sturrocka, ponieważ Maria wydawała mu się ostatnią osobą skłoną do roztrząsania takich spraw. Ale dziewczyna przypomniała mu, że wszyscy uważają, iż pani Ross uciekła ze zbiegłym więźniem (a jej mąż nawet nie kiwnął palcem, by jej szukać). Sturrock stwierdził, że pan Ross jest ciekawym człowiekiem. Niczego nie daje poznać po sobie; jeśli martwi się o los swojej żony i syna, nie okazuje tego. Nie zjednuje mu to sympatii pozostałych członków ekipy. Sturrockowi do tej pory nie

udało się wciągnąć Rossa do rozmowy, ale go to nie zraziło. Przyspiesza kroku, by do niego dołączyć.

- Odnoszę wrażenie, że dobrze zna pan te strony, panie Ross - mówi, starając się odzyskać dech. - Gotów jestem się założyć, że sporo pan wędrował po okolicach.

- Właściwie nie - bąknął Ross, a potem, słysząc świszczący oddech starszego pana, dodał: - Wyprawiałem się jedynie na polowania. Nie to, co pan.

- Och... - Sturrock uśmiecha się skromnie, ale zadowolony jest z pochlebstwa. - Musi się pan martwić o swoją rodzinę.

Ross przez jakiś czas idzie w milczeniu, z oczami utkwionymi w ziemię.

- Według niektórych za mało się martwię.

- Nie trzeba się afiszować ze swoim niepokojem.

- Racja. - Zabrzmiało to sarkastycznie, ale Sturrock jest tak pochłonięty stawianiem rakiet śnieżnych na śladach pozostawionych przez młodszych poprzedników, że nie patrzy na twarz swojego towarzysza.

Po chwili Ross mówi:

- Przedwczoraj byłem w Sault. Udałem się do przyjaciółki mojej żony, żeby zapytać, czy nie ma od niej żadnej wiadomości. Widziałem tam starszą córkę Knoxów. Ona też mnie zobaczyła i bardzo się zdziwiła. Przypuszczam, że już po całym mieście się rozeszło, że mam kochankę.

Sturrock się uśmiecha zawstydzony, ale z wyraźną ulgą. Cieszy się, że pani Ross ma kogoś, kto się o nią troszczy. Ross rzuca mu ironiczne spojrzenie.

- No właśnie, tak myślałem.

Drugiego dnia po opuszczeniu Dove River Sammy się zatrzymuje i ręką daje znak, by wszyscy umilkli. Nieruchomieją. Przewodnik naradza się z Mackinleyem, idącym z przodu, po czym ten zwraca się do pozostałych. Już ma im coś powiedzieć, kiedy z drzew na lewo od nich dobiega krzyk, a potem trzask łamanych gałęzi. Mężczyźni

odwracają się, wyraźnie przestraszeni; Mackinley i Sammy unoszą strzelby na wypadek, gdyby się okazało, że to niedźwiedź. Sturrock słyszy piskliwy krzyk i uświadamia sobie, że to głos kobiety.

On i Angus Ross są najbliżzej, więc ruszają przed siebie, zapadając się w głębokich zaspach śniegu. Zarośla i ukryte przeszkody utrudniają im posuwanie się. Tak ciężko im się idzie, że mija kilka chwil, nim dostrzegają, kto ich woła. Coś miga między drzewami: Sturrockowi się wydaje, że widzi więcej niż jedną postać - ale kobieta? Kilka kobiet... W takim miejscu w środku zimy?

Potem widzi ją wyraźnie: chudą, ciemnowłosą kobietę, brnącą w ich kierunku, ciągnie za sobą szal, usta ma otwarte, krzycząc z ulgą pomieszaną z lękiem, że wszyscy ci mężczyźni mogą być jedynie wytworem jej wyobraźni. Przedziera się przez zarośla ku Sturrockowi i pada na ziemię kilka metrów od niego. Ross chwytą dziecko. Jeszcze jakaś postać biegnie między drzewami. Sturrock podchodzi do kobiety i przykłęka, jak w dziwacznej parodii romansu. Rakiety śnieżne mu wyraźnie zawadzają. Skrajne zmęczenie i strach wyostrzyły rysy kobiety, oczy ma rozbiegane, jakby się go bała.

- No, no, już dobrze. Jest pani bezpieczna. Ciii...

Nie jest pewien, czy kobieta go rozumie. Jakiś mały chłopczyk staje za nią i opiekuńczo kładzie dłoń na jej ramieniu, wpatrując się w Sturrocka ciemnymi, podejrzliwymi oczami. Sturrock nigdy nie wie, co powiedzieć dzieciom, a ten malec nie sprawia wrażenia przyjaźnie nastawionego.

- Dzień dobry. Skąd idziecie?

Chłopiec coś mamrocze pod nosem, ale Sturrock go nie rozumie, kobieta odpowiada mu w tym samym dziwnym języku - nie po francusku, który zna, nie po niemiecku.

- Znacie angielski? Rozumiecie mnie?

Dołączyli do nich pozostali i tłoczą się, gapiąc się ze zdumieniem. Mają przed sobą kobietę, chłopca, siedmio- lub ośmioletniego i jeszcze młodszą dziewczynkę. U wszystkich widać pierwsze objawy ogólnego wyziębienia. Poszukiwacze nie rozumieją, co mówi napotkana trójka.

Postanowiono, że rozbiją obóz, chociaż jest dopiero druga godzina. Sammy i Matthew wnoszą szałas za wyrwanym z korzeniami drzewem i zbierają chrust na wielkie ognisko, w tym czasie Angus Ross przygotowuje gorącą herbatę i jedzenie. Mackinley idzie do lasu w kierunku pokazywanym przez kobietę. Po jakimś czasie wraca, prowadząc niedożywioną klacz, okrytą kocami. Teraz koń je owies. Kobieta i dzieci kulą się przy ognisku. Po krótkiej rozmowie kobieta wstaje i podchodzi do Sturrocka. Daje mu znak, że chce z nim porozmawiać na osobności, więc odchodzą kawałek od obozowiska.

- Gdzie jesteście? - pyta bez żadnego wstępu. Sturrock zauważa, że kobieta mówi po angielsku niemal bez akcentu.

- Półtora dnia drogi od Dove River. Skąd idziecie?

Patrzy na niego, a potem na pozostałych.

- Kim jesteście?

- Nazywam się Thomas Sturrock, jestem z Toronto. Pozostali są z Dove River, z wyjątkiem przewodnika i mężczyzny z krótkimi, brązowymi włosami. To Mackinley, urzędnik Kompanii Zatoki Hudsona.

- Co tutaj robicie? Dokąd idziecie? - Jeśli te pytania świadczą o braku jej wdzięczności, kobieta nie daje po sobie poznać, by zdawała sobie z tego sprawę.

- Podążamy na północ. Zabłądziło kilka osób. - Nie ma możliwości, by w kilku słowach wyjaśnić całą tę zawiłą historię, więc Sturrock nawet nie próbuje tego robić.

- A dokąd prowadzą ślady?

Sturrock się uśmiecha.

- Nie będziemy tego wiedzieli, póki nie dojdziemy tam, gdzie się kończą.

Kobieta oddycha głęboko, jakby trochę się uspokoiła i pozbyła części swoich podejrzeń.

- Zmierzałyśmy do Dove River. Zgubiliśmy kompas i straciliśmy drugiego konia. Był z nami jeszcze ktoś. Udał się do... - Na jej twarzy pojawia się nadzieja. - Czy ktoś z was w ciągu kilku ostatnich dni strzelał z broni palnej?

- Nie.

Znów się zgarbiła.

- Rozdzieliliśmy się. Nie wiemy, gdzie teraz jest.

Marszczy czoło.

- Natknęliśmy się na wilki. Zabiły jednego z naszych koni. Mogły nas zjeść. Może...

Wstrząsa nią szloch, ale z jej oczu nie płyną łzy. Sturrock klepie ją po ramieniu.

- Proszę się uspokoić. Już nic wam nie grozi. To musiało być straszne, ale już po wszystkim. Nie musicie się już niczego obawiać.

Kobieta unosi wzrok i Sturrock widzi, jak ma śliczne oczy: jasnobrązowe w gładkiej, owalnej twarzy.

- Dziękuję. Nie wiem, co byśmy zrobili... Zawdzięczamy wam życie.

Sturrock osobiście zajął się odmrożonymi dłońmi kobiety. Mackinley zwołuje naradę i postanawia, że razem z Sammym udadzą się na poszukiwania zaginionego mężczyzny - zachowały się jego wyraźne ślady - a reszta zostanie w obozowisku. Jeśli nie odnajdą go do jutrzejszego wieczoru, Matthew i Sturrock odprowadzą kobietę i jej dzieci do Dove River. Sturrock nie jest zbyt zadowolony z tej decyzji, ale rozumie, że lepiej pozwolić trójce wytrawnych wędrowców iść, nie opóźniając ich marszu. Poza tym czuje się mile polectany tym, że kobieta go wyróżnia; nie rozmawiała na osobności z nikim innym i trzyma się blisko niego, od czasu do czasu obdarza go nawet wyjątkowo słodkim uśmiechem. („A więc jest pan z Toronto...?”) Tłumaczy sobie, że z uwagi na jego wiek kobieta nie czuje zagrożenia z jego strony, ale wie, że to nie jedyny powód.

Mackinley i Sammy wyruszają, kiedy jest jeszcze widno. Z nieskładnej relacji kobiety wywnioskowali, że jej mąż może być ranny. Pochłania ich półmrok, panujący wśród drzew. Ross nalewa każdemu po naparstku brandy. Kobiecie wyraźnie poprawia się nastrój.

- A więc czym śladem podążacie? - pyta, kiedy dzieci zapada ją w głęboki sen.



Ross wzdycha i nic nie mówi. Matthew patrzy to na Rossa, to na Sturrocka, który odbiera to jako znak.

- To dość dziwna historia, niełatwo ją opowiedzieć. Może pan Ross... Nie? Cóż, kilka tygodni temu doszło do nieszczęśliwego wypadku, w którym zginął człowiek. W tym samym czasie zniknął syn pana Rossa z Dove River. Możliwe, że podążył czyimś śladem. Potem dwoje pracowników Kompanii Zatoki Hudsona udało się na jego poszukiwania w ramach prowadzonego śledztwa. Nie ma ich już jakiś czas i nikt nie ma o nich żadnej wiadomości.

- Ale... - Matthew pochyla się, zainteresowanie kobiety dodało mu odwagi. - To jeszcze nie wszystko. Był jeszcze jeden człowiek, aresztowany za zabójstwo... Metys o groźnym wyglądzie. Uciekł, a właściwie ktoś go wypuścił z aresztu. Zniknął razem z matką Francisca... I od tamtej pory nikt ich nie widział!

Matthew urywa. Czerwieni się mocno, zbyt późno uświadomiwszy sobie, co powiedział, i rzuca Rossowi spłoszone spojrzenie.

- Nie wiadomo, czy poszli razem ani czy którekolwiek z nich szło właśnie tędy - przypomina mu Sturrock, rzucając nieufne spojrzenie Rossowi, który sprawia wrażenie nieporuszonego. - A więc dlatego, mówiąc w wielkim skrócie, tutaj jesteśmy. Żeby ich odnaleźć, przekonać się, czy są... bezpieczni.

Kobieta nachyla się nad ogniskiem, oczy ma wielkie i błyszczące, już nic a nic nie przypomina tamtej przerażonej istoty sprzed kilku godzin. Bierze oddech i przechyla głowę.

- Byliście dla nas tacy dobrzy. Zawdzięczamy wam życie. Dlatego czuję się w obowiązku powiedzieć panu, panie Ross, że widziałam pańskiego syna i pańską żonę. Obydwoje mają się dobrze. Całkiem dobrze.

Ross po raz pierwszy odwraca się w jej stronę i wpatruje się w nią. Sturrock nigdy by nie uwierzył, gdyby tego nie zobaczył na własne oczy, jak może się zmienić taka granitowa twarz.

**F**rancis budzi się i po raz pierwszy od wielu tygodni widzi za oknem słońce. Wokoło panuje osobliwa cisza - z korytarza ani z dziedzińca nie dobiegają odgłosy codziennej krzątaniny. Ubiera się i podchodzi do drzwi. Są otwarte; od wyjazdu Moody'ego wszyscy stali się bardziej pobłażliwi. Ciekaw jest, co by się stało, gdyby wyszedł na dziedziniec; może ktoś wpadłby w panikę i strzelił do niego. Mało prawdopodobne, albowiem Wybrańcy są ludem Bożym i nie mają w zwyczaju nosić przy sobie broni. Zresztą i tak nie miałyby dokąd pójść, no i zostawiłyby na śniegu charakterystyczne ślady osoby utykającej. Wychodzi na korytarz, podpierając się laską. Nikt nie biegnie i prawdę mówiąc, słyhać niewiele odgłosów życia. Francis myśli gorączkowo - czy dziś niedziela? Nie, niedziela była zaledwie kilka dni temu (trudno tu zachować rachubę czasu). Wyobraża sobie, że wszyscy wyjechali. Spogląda w głąb korytarza. Nie ma pojęcia, dokąd prowadzą poszczególne drzwi, ponieważ nie opuszczał swojego pokoju, odkąd go w nim umieszczono. Ani śladu jego strażnika, Jacoba. W końcu znajduje drzwi prowadzące na dwór i wychodzi.

Świeże powietrze wydaje mu się ostre, a zarazem słodkie. Słońce jest oślepiające, twarz szczypie go od zimna, ale oddycha głęboko, mroźne powietrze sprawia mu rozkoszny ból. Jak mógł wytrzymać tak długo w swojej izbie? Czuje odrazę do samego siebie. Przez jakiś czas kuśtyka tam i z powrotem pod drzwiami, by przyzwyczaić się do laski. W pewnej chwili słyszy krzyk. Kieruje się za stajnię, skąd dobiegi okrzyk, i widzi sto metrów przed sobą gromadkę ludzi.

W pierwszym odruchu chce się cofnąć, ale ponieważ nie zwracają na niego uwagi, podchodzi bliżej. Wśród zebranych jest Jacob; widzi Francisca i idzie w jego stronę.

- Co się dzieje? Dlaczego wszyscy się tu zebrali?

Jacob spogląda za siebie.

- Mówiłem ci, że Line i stolarz wyjechali? No więc... Mężczyzna wrócił.

Francis wolno kuśtyka do grupki Norwegów: kilka kobiet płacze; Per intonuje coś, co brzmi jak modlitwa. W samym środku widzi mężczyznę, o którym mówił Jacob - ma zapadnięte oczy, jest nieogolony, nos i policzki ma czerwone od odmrożeń, a brodę i wąsy białe od szronu. A więc to jest ten nieznanemu stolarz, z którym uciekła Line. Ktoś zadaje mu pytania, ale mężczyzna sprawia wrażenie oszołomionego. Francis gani sam siebie, że tak wolno dociera do niego sens słów Norwega, a potem kuśtyka bliżej, czując narastający w sobie gniew.

- Co z nią zrobiłeś? - krzyczy, nie wiedząc, czy mężczyzna w ogóle mówi po angielsku. - Gdzie jest Line? Zostawiłeś ją tam? I dzieci?

Stolarz odwraca się w jego stronę zdumiony - to zrozumiałe, bo nigdy wcześniej go nie widział.

- Gdzie ona jest? - dopytuje się Francis, zły i pełen najgorszych obaw.

- Ona... Nie wiem - mówi mężczyzna łamiącym się głosem. - Pewnego wieczoru... Dotarliśmy do osady. Nie mogłem tego znieść. Wiedziałem, że źle robię. Chciałem wrócić. Więc zostawiłem ją... W tamtej osadzie.

Obok niego stoi kobieta o ostrych rysach. Obejmuje go, zalewając się łzami. Francis się domyśla, że to porzucona żona.

- Co to za osada? Jak daleko stąd?

Mężczyzna mruga powiekami.

- Nie wiem, jak się nazywa. Leży nad rzeką... Nad małą rzeczką.

- Ile dni drogi stąd?

- Hm... Trzy.

- Kłamiesz. Nie ma żadnej osady trzy dni drogi stąd, jeśli udacie się na południe.

Mężczyzna robi się jeszcze bledszy.

- Zgubiliśmy kompas...

- Gdzie ją zostawiłeś?

Stolarz zaczyna płakać. W końcu trochę po norwesku, trochę po angielsku, wyjaśnia.

- To było straszne... Zabłądziliśmy. Usłyszałem strzał, pomyślałem, że odnajdę myśliwego, a on wskaże nam drogę. Ale nie udało mi się go odszukać... W lesie były wilki. Kiedy wróciłem, znalazłem krew, a ich... ich nie było.

Placze żałośnie. Chuda kobieta odsuwa się od niego, jakby z obrzydzeniem. Pozostali gapią się na Francisa, otworzywszy usta ze zdumienia. Połowa z nich nie widziała go, odkąd przywieziono go do wioski na pół martwego. Francis czuje, że do oczu cisną mu się łzy, gardło ma ściśnięte, niemal się dusi.

Per unosi rękę, dając znak, że chce coś powiedzieć.

- Lepiej wejdźmy do środka. Espena trzeba opatrzyć i nakarmić. Potem go wy pytamy, co się stało, i wyślemy ludzi na poszukiwania.

Mówi w ich ojczystym języku. Stopniowo wszyscy się odwracają i kierują z powrotem do zabudowań.

Jacob idzie obok Francisa. Odzywa się dopiero, kiedy prawie są w środku.

- Posłuchaj. Nie wiem, ale... To dziwne, żeby wilki napadły na trzy osoby i je pożarły. Może nic takiego się nie wydarzyło.

Francis patrzy na niego. Wyciera nos rękawem.

Gdy są przed drzwiami do pokoju, Per woła za nimi:

- Jacob... Francis... Nie musicie tam wracać. Chodźcie razem z nami do jadalni.

Zaskoczony i poruszony, Francis podąża za Jacobem do refektarza.

Jedzą chleb z serem i piją kawę. Słyszą szmer rozmów, prowadzonych niemal szeptem, bo wszyscy są wstrząśnięci. Francis przypomina sobie, jaka dobra była dla niego Line, jak pragnęła stąd wy-

jechać. Ale jest też silna. Może nie stało się jej nic złego. Nie chce o tym myśleć, przynajmniej na razie.

Nikt w izbie nie patrzy na niego podejrzliwie. Udałby się z nimi na poszukiwania Line, gdyby mógł, ale czuje ból w kolanie i jest słaby jak niemowlę. Wiele tygodni leżał w białej izbie, mięśnie odzwyczaiły się od pracy, skóra zrobiła mu się blada jak pergamin. Minęło wiele tygodni od...

Ze zdumieniem stwierdza, że nie myślał o Laurencie przynajmniej od godziny, odkąd zobaczył tłum ludzi na ośnieżonym dziedzińcu; a właściwie, szczerze mówiąc, odkąd otworzył drzwi, prowadzące na dwór, i poczuł słodkie, zimne powietrze. Nie myślał o Laurencie tak długo i czuje się, jakby go zdradził.

Ze wzniesienia za chatą tamtej nocy, dawno temu, Francis zobaczył światło przez pergamin w oknie. Ruszył na dół cicho, na wypadek gdyby Laurent miał gości. Często ich przyjmuje... przyjmował i wtedy Francis trzymał się z daleka. Nie chciał się narażać na kolejną burę od Laurenta, który miał cięty język. Usłyszał, jak drzwi się otwierają, i zobaczył, że na podwórko wychodzi mężczyzna o długich, czarnych włosach. Coś trzymał w jednym ręku, Francis nie widział, co. Wsadzził to ostrożnie do swojego woreczka, rozglądając się, a raczej nasłuchując, tak jak to robią wytrawni tropiciele. Francis stał bez ruchu. Była północ, ale wiedział, że mężczyzna nie jest z Dove River - wie, jak wszyscy chodzą, poruszają się, oddychają. Ten człowiek zachowywał się inaczej. Mężczyzna splunął na ziemię, zwracając się ku otwartym drzwiom, i Francis dostrzegł ciemną, błyszczącą skórę, tłuste, lekko kręcone włosy, opadające na ramiona, kamienną twarz. Nie była młoda. Wszedł z powrotem do chaty i zniknął mu z oczu. Potem światło w chacie zgasło. Mężczyzna wyszedł, mrucząc sobie coś pod nosem, i skierował się ku rzece, na północ. Szedł bezgłośnie. Francis odetchnął z ulgą - gdyby traper tu został, on nie mógłby zajrzeć do chaty. Ale ten człowiek nie zamierzał tu zabawić dłużej.

Francis zakradł się wzdłuż brzegu i okrążył chatę. Ze środka nie dobiegały żadne odgłosy. Przystanął pod drzwiami, nim je otworzył.

- Laurent? - szepnął i zawstydził się tego szeptu. - Laurent?

Istniało duże prawdopodobieństwo, że przyjaciel będzie zły na niego - minęło zaledwie półtora dnia od ich ostatniej sprzeczki. A może - na samą myśl zrobiło mu się zimno - może już wyruszył w swoją tajemniczą, ostatnią podróż, uciekł przed nim? Może postanowił wyjechać wcześniej, niż mu powiedział, żeby uniknąć sceny. To do niego podobne.

Francis pchnął drzwi. W środku panowała cisza i ciemności, ale również biło ciepło od pieca. Po omacku dotarł tam, gdzie zwykle stała lampa, i ją odszukał. Otworzył drzwiczki pieca, zapalił kawałek sitowia i przytknął go do knota lampy. Zamrugał powiekami, kiedy zrobiło się widno. Nikt nie zareagował na jego pojawienie się w chacie, Laurent dokądś pojechał, ale na jak długo? Może wybrał się na polowanie? Nie mógł wyjechać na dobre, bo chyba nie zostawiłby ognia w piecu? Może...

Zostały tylko sekundy dawnego życia Francis'a i zmarnował je bezmyślnie, bawiąc się knotem lampy. Gdyby się odwrócił, zobaczyłby Laurenta leżącego na łóżku. Natychmiast dostrzegłby dziwną, czerwoną plamę na jego włosach; podszedłby szybko, by spojrzeć na jego twarz, szyję, śmiertelną ranę.

Zobaczyłby, że jego oczy są wciąż wilgotne.

Poczułby, że jest nadal ciepły.

Francis mruga powiekami, żeby powstrzymać łzy. Jacob coś mówi: oświadcza, że wychodzi na dwór - nie lubi długo siedzieć w zamkniętych pomieszczeniach. Jacob kładzie mu dłoń na ramieniu - wszyscy są dziś dla niego tacy mili; trudno mu to znieść - czy Francis może tu zostać na chwilę? Już nie musi mu grozić, co się stanie, jeśli spróbuje uciec... Ha!

Francis zgadza się, jego wyraz twarzy odbierany jest jako żal nad losem Line.

Kiedy zobaczył zwłoki Laurenta, stał nad nimi w szoku Bóg wie jak długo, a potem doszedł do wniosku, że musi podążyć za zabójcą. Nie

mógł myśleć o niczym innym. Nie mógł wrócić do domu, wiedząc to, co wiedział. Nie chciał zostać w Dove River ani chwili dłużej bez Laurenta, dzięki któremu było to znośne. Znalazł torbę kochanka, włożył do niej koc, prowiant, nóż myśliwski - większy i ostrzejszy od jego własnego. Rozejrzał się po chacie, szukając jakiegoś znaku, ostatniej wiadomości od Laurenta dla niego. Nigdzie nie było strzelby Laurenta - czyżby mężczyzna ją zabrał? Próbował go sobie wyobrazić; nagle uświadomił sobie, co mężczyzna tak starannie wkładał do woreczka i ogarnęły go mdłości.

Nie patrząc na łóżko, Francis podważył luźną deskę podłogową i wymacał trzos Laurenta. Nie było w nim dużo pieniędzy, jedynie mały zwitek banknotów i zabawna kość, pokryta jakimiś znaczkami. Laurent uważał, że jest cenna, więc Francis wziął ją również. Ostatecznie Laurent chciał mu ją podarować kilka miesięcy temu, kiedy był w dobrym humorze.

Na koniec Francis włożył kurtkę Laurenta z wilczej skóry, tę z futrem do środka. Przyda mu się w nocy.

W myślach powiedział „do widzenia”. I ruszył w tym samym kierunku, co nieznajomy, nie wiedząc, co zrobi, jeśli kiedykolwiek go odnajdzie.

Pamiętam, jak wybrałam się w długą podróż. Przypuszczam, że tak bardzo utkuło mi to w pamięci, ponieważ okazało się końcem jednego etapu mojego życia, a początkiem drugiego. Na pewno to samo może powiedzieć wiele osób w Nowym Świecie, ale nie mam na myśli rejsu przez Atlantycką, chociaż to coś nie do opisanego. Chodzi mi o podróż od bram publicznego zakładu dla nerwowo chorych w Edynburgu do wielkiego, sypiącego się domu w Western Highlands. Towarzyszył mi mężczyzna, który miał zostać moim mężem, ale naturalnie wtedy o tym nie wiedziałam. I nie wiedziałam, jak ważna jest ta podróż, ale kiedy ją rozpoczęłam, całe moje życie odmieniło się całkowicie i na zawsze. Nigdy bym nie przypuszczała, że już nie wrócę do Edynburga, ale gdy jechałam długim, krętym podjazdem, zostawiając zakład dla nerwowo chorych w tyle, uległy zerwaniu pewne więzy - z przeszłością, z moimi rodzicami, z moim stosunkowo szczęśliwym dzieciństwem, nawet z moją klasą społeczną - i to ostatecznie.

Lubiłam później myśleć o tej podróży i wyobrażać sobie, jak działa ręka losu, przecinając nici, kiedy siedziałam oszołomiona w telepiącym się pudle, zastanawiając się, czy oszalałam (że się tak wyrażę), opuszczając zakład, gdzie wiodłam w miarę wygodne życie. I zastanawiałam się, jak często zdajemy sobie sprawę z działania nieodwracalnych sił wtedy właśnie, gdy one działają? Naturalnie ja nie miałam wtedy o tym pojęcia. I na odwrót, pewnie często wyobrażamy sobie, że coś ma ogromne znaczenie, a rozplywa się to jak poranna mgła, nie zostawiając po sobie śladu.



Bez względu na to, co sobie myślałam, przybyliśmy w końcu na miejsce. Dotarliśmy do kresu tej podróży, tak z pozoru ważnej. Ale to wrażenie może wypływać tylko z obawy przed wydarzenia które się tu rozegrają.

Okolice tutaj są mniej monotonne; widać wzniesienia i fałdy, jak na dywaniku, który należy wyrównać. Przed nami widzę przez czerwone błyski małe jezioro. Jest długie i zagięte, jak kiwający na nas palec, owinięte wokół dużej skały, wznoszącej się na wysokość minimum trzydziestu metrów, mniej więcej w połowie swojej długości. Na drugim brzegu rosną drzewa, ale raczej tworzą zagajnik niż las. Większość jeziora zamarza, lód jest gładki i biały jak na ślizgawce. Lecz w jednym miejscu, tam gdzie wpada do niego rzeka, pokonując niski, skalisty próg, nad czarną wodą unosi się para, wiry nie pozwalają wodzie zamarznąć.

Idziemy przez skute lodem jezioro. Słońce świeci zimnym światłem na zachodzie; niebo ma barwę idealnie błękitną, drzewa przypominają szkice węglem na tle białego śniegu. Próbuje sobie mówić, że jesteśmy tu z innego powodu, miłego powodu, ale prawdę mówiąc, nie ma innego usprawiedliwienia faktu, że przyszłam tu z Parkerem. Nic nas nie łączy poza śmiercią, która nas zjednoczyła, i pragnieniem, by sprawiedliwości stało się zadość. Kiedy to nastąpi - cokolwiek to będzie - ulegną zerwaniu wszelkie więzy między nami. O tym nie mogę myśleć.

Dlatego zmuszam się do patrzenia, chociaż oczy mnie pieką. Muszę to zobaczyć. Muszę to zapamiętać.

Pod drzewami utworzyła się cieńsza warstwa śniegu. Opuszczona chata jest tak nędzna, że nie widać jej, jeśli się nie stanie tuż przed nią. Drzwi są uchylone, wiszą krzywo na przegniłych zawiasach, nawiany śnieg utworzył zaspę. Parker pokonuje tę przeszkodę, a ja idę za nim, zdjawszy szalik z twarzy. Jedyne okno zabito okiennicą, więc w środku panuje mrok. Nic w izbie nie potwierdza, że kiedyś dom mógł być zamieszkały, znajdujemy tylko stos tobołków przysypanych śniegiem.

- Co to za miejsce?

- To chata trapera. Może mieć nawet sto lat.

Pochylona i rozpadająca się, o balach srebrnych ze starości, prawdę może sobie tyle liczyć. Ta myśl mnie fascynuje. Najstarszy budynek w Dove River ma dokładnie trzysta lat.

Potykam się o coś na podłodze.

- Czy to futra? - Wskazuję tłumoki. Parker kiwa głową, podchodzi do jednego i przecina płótno. Wyciąga ciemne, szarawe futro.

- Czy kiedykolwiek widziała pani coś takiego?

Biorę futro - lejące się, zimne i niewiarygodnie miękkie. Widziałam raz takie, chyba w Toronto, spowijało szyję bogatej, starszej pani. Srebrne lisy. Ludzie szeptali, że kosztuje sto gwinei albo podobnie niebotyczną kwotę. Futro jest srebrzyste, ciężkie, śliskie i gładkie jak jedwab. Ale czy warto jest aż tyle pieniędzy?

Parker mnie rozczarował. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale ostatecznie z niechęcią muszę zaakceptować to, że przeszedł taki kawał drogi powodowany tym samym, co Stewart.

W ciszy przygotowujemy się do spędzenia nocy w chacie. Parker pracuje bez słowa, ale to inne milczenie, nie zwykłe całkowite oddanie się zajęciu. Czuję, że coś jeszcze zaprzęta jego myśli.

- Jak pan sądzi, ile może to potrwać?

- Niezbyt długo.

Żadne z nas nie mówi dokładnie, o co mu chodzi, ale obydwoje wiemy, że z całą pewnością nie o to, co teraz robimy. Co i rusz wyglądam przez drzwi chaty. Wychodzą na południe, więc nie widać przez nie drogi, którą tu przyszliśmy. Światło na dworze jest oślepiające, każde spojrzenie wywołuje kłujący ból w czaszce. Ale nie mogę zostać w chacie; muszę pobyć sama.

Trzymając się drzew rosnących wzdłuż zachodniego brzegu, kieruję się ku czarnym, niezamarzniętym wodom jeziora w pobliżu skalnego progu. Są osobiwie ciche. Bez entuzjazmu zbieram suche gałęzie na ognisko. Czyje w ogóle rozpalimy, skoro czekamy na Stewarta? Czuję w ustach dobrze znajomy kwaśny, metaliczny smak. Smak własnego tchórzostwa.

Do końca jeziora jest tylko sto metrów, więc można by pomyśleć, że nie da rady tu zabłądzić. Ale mnie się to udało. Trzymam się brzegu

jeziora, lecz nigdzie nie widzę chaty. Jeszcze nie wpadam w panikę. Wracam po swoich śladach nad wodospad, gdzie woda jest ciemna, otoczona przez lód. Tak jak osobę spacerującą nad urwiskiem coś ciągnie na sam jego skraj, tak mnie ogarnia chęć, by wejść na lód, z białego przechodzący w szary, by się przekonać, jaki jest mocny. Iść jak najdalej, a potem jeszcze odrobinę.

Odwracam się, żeby mieć zachodzące słońce po prawej ręce, i znów wchodzę pomiędzy drzewa. Pnie przemieniają światło słoneczne w pulsujące fale, które przesuwają się przed moimi oczami, powodując zawroty głowy. Zaciskam powieki, ale kiedy znów je otwieram, w ogóle nic nie widzę - czuję jedynie pieczenie, które sprawia, że zaczynam płakać. Nagle ogarnia mnie strach, że już nigdy nie będę widziała. Rzadko się zdarza, żeby ślepotą śnieżną nie minęła, ale znane są takie przypadki. A potem myślę sobie: czy to by było takie złe? Oznaczałoby, że ostatnim człowiekiem, którego widziałam w życiu, był Parker.

Potykam się o pryzmę śniegu. Rękami macam ziemię: może to nora jakiegoś zwierzęcia. Ziemia pod śniegiem jest ciemna i nieubita. Znów ogarnia mnie niepokój: to musiało być bardzo duże zwierzę, skoro wykopało taką jamę, i do tego tak niedawno - sypka i świeża ziemia łatwo ustępuje moim rękom. Staram się wstać i trafiam dłonią na coś tuż pod wierzchnią warstwą. Cofam się i krzyczę mimowolnie. To coś miękkiego i zimnego, jakby tkanina lub... lub...

- Pani Ross?

Jest obok mnie, chociaż nie słyszałam, jak podchodził. Widzę niewyraźnie jego ciemną sylwetkę, ale oczy plątają mi figle; czerwone i fioletowe kształty rozmazują się wśród gałęzi i placków białego śniegu. Bierze mnie pod ramię i mówi:

- Ciiii... Nikogo tu nie ma.

- Tam... Coś zakopano w ziemi. Dotknęłam tego.

Ogarnia mnie fala mdłości, która po chwili mija. Już nie widzę kopca ziemi, ale Parker rozgląda się i go odnajduje. Stoję tu, gdzie stałam, ocierając łzy, które lecą mi ciurkiem z oczu (nie wiem czemu

, bo nie płacze). Jeśli nie osuszę ich natychmiast, zamrzną na policzkach, tworząc perełki.

- To jeden z nich, prawda? Jeden z Norwegów? - Nie mogę zapomnieć, jak dotknęłam tego gołą ręką. Nie wiem, co się stało z moją rękawiczką.

Parker kuca, po czym odgarnia ziemię i śnieg.

- To nie jest jeden z Norwegów.

Oddycham z ulgą. A więc to jednak zwierzę. Biorę garście śniegu, by pozbyć się tego okropnego wrażenia z rąk.

- To Nepapanees.

Robię kilka niepewnych kroków w jego stronę, bo prawdę mówiąc, nie mogę polegać na swoim wzroku. Kucający Parker migocze przed moimi oczami jak płonąca kukła piątego listopada.

- Proszę nie podchodzić.

I tak niezbyt dużo widzę, nogi niosą mnie bez udziału mojej woli. Parker prostuje się i bierze mnie za ramiona, zagradzając mi drogę do czegoś, co leży na ziemi.

- Co go spotkało?

- Został zastrzelony.

- Proszę mi pozwolić go zobaczyć.

Po chwili odsuwa się, ale trzyma dłoń na moim ramieniu, kiedy klękam obok płytkiego grobu. Przez lekko rozchylone powieki widzę, co leży na ziemi. Parker odgarnął dość śniegu i ziemi, by odkopać głowę i tułów mężczyzny. Zwłoki spoczywają twarzą do dołu, włosy, zaplecione w warkocze, są uwalane ziemią, ale zawiązana na nich czerwono-żółta opaska zachowała jaskrawe kolory.

Nie muszę przewracać zwłok na wznak. Nepapanees nie utonął, nie załamał się pod nim lód. Na plecach Indianina widzę dziurę wielkości mojej pięści.

Dopiero, kiedy wróciliśmy do chaty, uzmysławiam sobie, jakie kolejne głupstwo popełniłam. Gdzieś wśród drzew musiałam zgubić rękawiczki, skóra na zdrętwiałych palcach jest biała. Dwa ciężkie grzechy w ciągu dwóch dni; zasługuję na to, żeby mnie zastrzelić.

- Bardzo mi przykro, zachowałam się bardzo nierozważnie... -  
Znów przepraszam. Jestem bezużyteczna, głupia, stanowią tylko  
zawadę.

- Nie jest tak źle.

Słońce zaszło, niebo przybrało niebieskawozielony kolor. W cha-  
cie płonie ogień, Parker zrobił posłanie z futer wartych majątek.

Drugi raz przytrafiło mi się coś takiego; poprzednim razem było  
to podczas mojej pierwszej zimy tutaj, dostałam wtedy nauczkę.  
Zdaje się, że w ciągu kilku ostatnich tygodni wiele zapomniałam. Na  
przykład jak się zabezpieczać przed różnymi zagrożeniami.

Parker naciera mi ręce śniegiem. Odzyskuję czucie w palcach.  
Zaczynają mnie palić.

- A więc Stewart tu był i wie o futrach.

Parker kiwa głową.

- Obawiam się, że nie będę się mogła posłużyć bronią.

Parker chrząka.

- Może nie okaże się to konieczne.

- Chyba będzie najlepiej, jak weźmie pan obie strzelby. Mogę  
tylko...

Miałam być drugą parą oczu. Czuwać nad nim. Chronić go. Te-  
raz nie mogę robić nawet tego.

- Przykro mi. Na nic się nie przydam. - Tłumię gorzki śmiech.  
Wydaje się nie na miejscu.

- Cieszę się, że pani tu jest.

Nie widzę jego miny - jeśli patrzę prosto przed siebie, widzę tylko  
jaskrawe błyski; mogę na niego spoglądać jedynie kątem oczu. Cie-  
szy się, że tu jestem.

- Znalazła pani Nepapaneesa.

Zabieram ręce.

- Dziękuję. Mogę to już sama robić.

- Nie, proszę zaczekać. - Parker rozpina swoją niebieską koszu-  
lę. Znów ujmuje moją lewą dłoń i wsuwają tam, gdzie jego prawa ręka  
dotyka boku. Czuję jego ciepłe ciało. Wsuwam prawą rękę pod jego  
lewą pachę. Siedzimy twarzą w twarz, na odległość ramienia. Kładę

głowę na jego piersiach, bo nie chcę, żeby widział moją twarz, moje czerwone, załzawione oczy. I płonące policzki. I mój uśmiech.

Dotykając uchem jego gołej skóry, słyszę bicie serca Parkera. Czy przyspiesza? Nie wiem, czy bije normalnie. Wiem, że moje bije szybko. Dłonie mnie palą, wracają do życia dzięki ciepłej skórze, której nigdy nie widziałam. Parker wsuwa mi pod głowę zwinięte, srebrne futro; poduszka za sto gwinei jest miękka i chłodna. Czuję na swoich plecach ciężką rękę mężczyzny. Kiedy jakiś czas później ruszam się lekko, stwierdzam, że trzyma kosmyk włosów, który mi się wysunął; skręcił go w palcach niczym linę. Gładzi go bezwiednie, jak głąskał jednego ze swoich psów. Być może. A może nie. Obydwoje milczymy. Nie mamy nic do powiedzenia. Panującą ciszę zakłócają jedynie nasze oddechy i syk ognia. I nierówne bicie jego serca.

Jeśli mam być szczerą, gdybym mogła mieć jedno życzenie, poprosiłabym, żeby ta noc nigdy się nie skończyła. Wiem, że jestem egoistką. Wcale tego nie ukrywam. I bardzo prawdopodobne, że jestem niedobra. Nie przejmuję się losem ludzi, którzy stracili życie, może jedynie o tyle, że teraz dzięki nim mogę leżeć tu z ustami blisko trójkąta ciepłej skóry, by Parker czuł moje oddechy.

Nie zasługuję na to, by spełniały się moje życzenia, ale nie ma to znaczenia.

Gdzieś tam zdąża ku nam Stewart.

**B**udzi mnie delikatny dotyk w ramię. Parker kuca obok mnie, w rękę trzyma strzelbę. Natychmiast się domyślłam, że nie jesteśmy sami. Wręcza mi swój nóż myśliwski.

- Proszę to trzymać. Ja wezmę obie strzelby. Proszę zostać w chacie i nasłuchiwać.

- Są tutaj?

Nie musi odpowiadać na to pytanie.

Z zewnątrz nie dobiegają żadne odgłosy. Nie ma wiatru. Utrzymuje się bezchmurna, mroźna pogoda, gwiazdy i księżyc rzucają białą poświatę na śnieg. Nie śpiewają ptaki. Nie słychać zwierząt ani ludzi.

Ale są tutaj.

Parker zajmuje miejsce za prowizorycznymi drzwiami i wygląda przez szpary w nich. Ja przesuwam się pod ścianę za drzwiami, ścisnąc w dłoni nóż. Nie wyobrażam sobie, jak miałabym się nim posłużyć.

- Prawie świta. Wiedzą, że tu jesteśmy.

Zawsze nienawidziłam czekania. Nie mam daru, który posiadają wszyscy myśliwi: nie umiem czekać, nie denerwując się. Wyteżam słuch, by wyłapać najlżejszy szmer, i już myślę, że może Parker się myli, kiedy na zewnątrz rozlega się lekkie szuranie. Wydaje mi się, że tuż za ścianą chaty. Mam wrażenie, że krew przestała mi płynąć w żyłach, bezwiednie poruszam się - przysięgam, że nie mogłam nad tym zapanować - i uderzam ostrzem noża w ścianę. Ktokolwiek jest po drugiej stronie, też musiał to usłyszeć. Po chwili absolutnej ciszy rozlegają się odgłosy cichutkich kroków. Ktoś się wycofuje.

Nie mam ochoty znów przeproszać, więc nic nie mówię. Potem słyhać kolejne kroki, jakby ktoś, ktokolwiek to był, uznał, że nie warto zachowywać się cicho.

- Co pan widzi?

Mówię tak cicho, że moje słowa są cichsze niż tchnienie. Parker kręci głową: nic. A może daje mi znak, żebym się zamknęła. W zasadzie przyznałabym mu rację.

Po kolejnej niekończącej się chwili - minucie? kwadransie? - słyszymy głos.

- William? Wiem, że tam jesteś.

Naturalnie głos należy do Stewarta. Stoi przed chatą. Mija moment, nim dociera do mnie, że zwraca się do Parkera.

- Wiem, że chciałbyś mieć te futra, Williamie. Ale stanowią własność Kompanii i będę je musiał zwrócić prawowitym właścicielom. Wiesz o tym.

Parker rzuca mi szybkie spojrzenie.

- Mam tu swoich ludzi. - Jest pewny siebie, spokojny. Znudzony.

- Co spotkało Nepapaneesa? Dowiedział się o Laurencie?

Cisza. Żałuję, że Parker to powiedział. Teraz, kiedy Stewart wie, że znaleźliśmy grób, nie pozwoli nam stąd odejść żywym. Potem znów się rozlega jego głos.

- Był chciwy. Chciał futra dla siebie. Zamierzał mnie zabić.

- Strzeliłeś mu w plecy.

Przysięgam, że słyszę westchnienie, jakby Stewartowi zaczynało brakować cierpliwości.

- Wypadki się zdarzają. Wiesz o tym, Williamie... Szczególnie ty. To nie było... Zamierzone. Muszę cię prosić, żebyś wyszedł.

Znów długa chwila ciszy. Widzę, że Parker mocniej zaciska palce na strzelbie. Oczy nadal mnie pieką, ale widzę. Muszę widzieć. Drugą strzelbę przewiesił sobie przez plecy. Niebo pojaśniało. Nadchodzi świt.

„Williamie Parkerze, kocham cię”.

Uderza mnie to jak zbiegły koń. Łzy napływają mi do oczu na myśl, że wychodzi przez te drzwi.



- Możemy ubić interes. Możesz wziąć sobie trochę skór i odejść.

- Dlaczego nie wejdiesz, żeby porozmawiać? - mówi Parker.

- Lepiej ty wyjdź. W środku jest ciemno.

- Niech pan nie wychodzi! Nie wiadomo, ilu ludzi mu towarzyszy - mówię przez zaciśnięte zęby. Modłę się ostatkiem wiary, żeby ocalał.

- Proszę...!

- W porządku. - Mówi to bardzo łagodnie. Patrzy na mnie. Jest wystarczająco widno, bym dostrzegła jego twarz. Widzę ją z najdrobniejszymi szczegółami, widzę każdą zmarszczkę, która kiedyś wydawała mi się dzika i okrutna, każdą bruzdę, nieopisanie mi drogą.

- Najpierw wyjdź, żeby zobaczyć, czy nie jesteś uzbrojony.

- Nie!

To ja mówię, ale bezgłośnie. Z zewnątrz dobiega jakiś hałas, potem Parker otwiera prowizoryczne drzwi i wychodzi na szary świt. Zamyka za sobą drzwi. Zaciskam powieki, czekając na odgłos strzału.

Na próżno. Zajmuję miejsce za drzwiami, żeby wyglądać przez szpary. Widzę czyjąś postać, to musi być Stewart, ale nie widzę Parkera. Może jest zbyt blisko chaty.

- Nie chcę przelewu krwi. Chcę jedynie zabrać futra tam, gdzie ich miejsce.

- Nie musiałeś zabijać Laurenta. Nawet nie wiedział, gdzie one są. - Głos Parkera rozległ się gdzieś na prawo ode mnie.

- Przyznaję, że popełniłem błąd. Nie chciałem, żeby tak się stało.

- Dwa błędy? - To znów głos Parkera, ale trochę dalej.

Stąd, gdzie jestem, nie widzę miny Stewarta, ale słyszę gniew w jego głosie, jakby coś twardego i sztywnego groziło, że za chwilę pęknie.

- Czego chcesz, Williamie?

Po zadaniu tego pytania Stewart poruszył się gwałtownie i zniknął mi z pola widzenia. Rozlega się strzał, widzę błysk wśród drzew za nim, coś uderza w ścianę chaty na prawo ode mnie. Znów zalega cisza. Nie wiem, gdzie jest Parker. Błysk wystrzału wywołał taki ból

oczu, jakby ktoś mi wetknął w mózg rozpaloną do białości igłę. Odycham głośno i urywanie, nie potrafię się opanować. Chcę zawołać Parkera. Duszę się. Nie widzę nikogo. Jakiś odgłos rozlega się z lewej strony, a potem słyszę, jak Stewart klnie.

Klnie, bo Parker uciekł?

Słyszę kroki na dworze, bardzo blisko. Z całych sił ściskam w zdrewniałych palcach rękojeść noża. Stoję za drzwiami, gotowa...

Łatwo zgadnąć, co następuje, kiedy kopnięciem otwiera drzwi. Drzwi uderzają mnie w głowę, przewracam się, upuszczając nóż.

Przez chwilę nic się nie dzieje; może dlatego, że jego wzrok musi się przyzwyczaić do panujących ciemności. Potem widzi mnie na podłodze u swoich stóp. Szukam po omacku noża; jakimś cudem znalazł się pode mną, chwytam go za ostrze i wsuwam do kieszeni, nim Stewart chwyta mnie za drugą rękę, szarpnięciem stawiając na nogi. Wychodzi z chaty, popychając mnie przed sobą.

**K**iedy Donald słyszy strzał, zaczyna biec. Wie, że może to nie najmądrzejsze, ale być może z powodu wysokiego wzrostu informacja do jego nóg nie dociera na czas. Wie, że Alec coś za nim syczy, lecz nie rozumie, co.

Znajduje się niedaleko miejsca, gdzie kończy się jezioro; strzał rozległ się pomiędzy drzewami na drugim brzegu. Myśli sobie: mieli rację. Mieli rację i teraz Pótczłowiek do nich strzela. Wie, że jest wyraźnie widoczny na tle lodu, kiedy tak biegnie, ale wie również, że Stewart go nie zabije. Mogą znaleźć jakieś proste rozwiązanie, mogą porozmawiać jak dwóch rozsądnych ludzi, zatrudnionych w tej samej wielkiej Kompanii. Stewart jest człowiekiem rozsądnym.

- Stewart! - krzyczy, biegnąc. - Stewart! Zaczekaj!

Nie wie, co mu powie. Myśli o pani Ross - może właśnie wykrwawia się na śmierć. A on jej nie uratował.

Niemal dociera do drzew u stóp wielkiego wzniesienia, kiedy widzi przed sobą jakiś ruch. Pierwszy znak życia, jaki dostrzegł.

- Proszę nie strzelać. To ja, Moody... Proszę nie strzelać...

- Trzyma swoją strzelbę ze lufę, wymachując nią, by okazać, że ma pokojowe zamiary.

Widzi błysk światła wśród drzew i coś z ogromną siłą uderza go w brzuch. Przewraca się na wznak. Jak na złość gałąź, czy cokolwiek innego, na co wpadł, trafiła go tuż powyżej dawnej rany.

Stracił dech, ale próbuje się podnieść. Nie udaje mu się to, więc leży kilka chwil, walcząc o oddech. Spadły mu okulary; ich noszenie w Kanadzie jest bardzo uciążliwe, zawsze pokrywają się szronem albo

zaparowują w niewłaściwym momencie, a teraz... Maca wokół siebie, szukając ich, ale wszędzie czuje tylko zimny śnieg. Z pewnością ktoś mógłby wymyślić coś praktyczniejszego.

W końcu odnajduje strzelbę i ją podnosi. Jest śliska i ciepła. Domyśla się, że od krwi. Z wielkim trudem unosi głowę i widzi krew na swojej kurtce. Jest zły; a nawet wściekły. Cóż za skończony głupiec z niego, sam ściągnął sobie na głowę kłopoty. Teraz Alecowi też grozi niebezpieczeństwo, a wszystko przez niego. Zastanawia się, czy nie zawołać chłopca, ale coś go powstrzymuje. Skupia się na tym, by prawidłowo ująć strzelbę; może przynajmniej oddać z niej strzał, a nie umrzeć tak bez szemrania. Nie będzie całkowicie nieużyteczny; co by powiedział jego ojciec?

Ale panuje cisza, jakby znów był tu jedynym człowiekiem w promieniu wielu kilometrów. Będzie musiał zaczekać, aż coś zobaczy. Cóż, ten, co strzelał, ktokolwiek to jest, widocznie uznał, że nie musi podejść, by dokończyć dzieło. Głupiec.

Jakiś czas później unosi wzrok i widzi nad sobą czyjąś twarz. To twarz, którą niewyraźnie pamięta z Hanover House; twarz pijaka, obojętna i bezmyślna, i jakby niedostępna, niczym nora zablokowana kamieniem. Mężczyzna nie jest teraz pijany, ale na jego twarzy nie maluje się ciekawość ani strach, ani nawet triumf. Donald uświadamia sobie, że to twarz zabójcy Laurenta Jammeta. Człowieka, którego ślady na śniegu przywiodły ich wszystkich tutaj. Po to tu przybył - żeby go odszukać i poznać. I oto ma go przed sobą. Ale już za późno. Typowe dla mnie, myśli Donald, tak wolno kojarzyć. Ojciec zawsze mu to wypominał. Zalewa go fala gorąca i myśli sobie: Och, usłyszeć akurat teraz głos ojca, jak mi udziela reprimendy.

Donald uważa, że dobrze by było wycelować w twarz tego człowieka, ale nim formułuje tę myśl, tamten znika, a razem z nim jego strzelba. Czuje ogromne zmęczenie. I chłód. Może położyć głowę na miękkim śniegu i chwilkę odpocznie.

Przed chatą nie widzę nikogo. Stewart wykręcił mi lewą rękę i tak mocno mnie za nią trzyma, że mogę tylko płytko oddychać. Boję się,

że ramię wyskoczy mi ze stawu. Przynajmniej ani śladu Parkera, ranego albo leżącego nieruchomo na śniegu. Ani śladu Półczłowieka, jeśli to on strzelał. Stewart wywija przede mną swoją strzelbą. Jestem jego tarczą. Słyszę szmer, zza chaty dobiegają jakieś odgłosy. Stewart kieruje się do węgła. Widać stamtąd, że słońce zaczyna się wynurzać zza horyzontu. Naturalnie nie mam szalika, żeby zasłonić oczy. I mam gołe ręce.

- Lekkomysłność - mówi, jakby czytał w moich myślach. - Nie powinien był pani tu ciągnąć ze sobą. - Słyszę w jego głosie lekkie rozczarowanie.

- Nie ciągnął mnie tu ze sobą - mówię przez zaciśnięte zęby. - To pan, zabijając Jammeta, zmusił mnie do przyjscia tutaj.

- Naprawdę? No cóż, nie miałem pojęcia. Myślałem, że pani i Parker...

Mówienie sprawia mi ból, ale ogarnięta gniewem słyszę, jak słowa same padają z moich ust.

- Nie ma pan pojęcia, ile osób pan skrzywdził. Nie tylko tych, których pan zabił, ale...

- Niech się pani zamknie - mówi spokojnie. Nasłuchuje. Wśród drzew rozlega się jakiś trzask. A gdzieś z dala, na lewo od nas dobiega ogłuszający huk wystrzału ze strzelby. Brzmi jakoś inaczej niż poprzednio.

- Parker!

Nie mogłam się powstrzymać. Ułamek sekundy później żałuję, że nie ugryzłam się w język; nie chcę, żeby sobie pomyślał, że to wołanie o pomoc, i nadbiegł.

- Nic mi nie jest! - krzyczę. - Proszę nie strzelać. Dogadajmy się. Pójdziemy stąd. Tylko proszę pozwolić nam odejść...

- Milcz!

Stewart zasłania mi usta ręką, tak mocno zaciska palce, że chyba złamie mi szczękę. Poruszamy się jak jakieś niezgrabne, czworonożne stworzenie, do rogu chaty, ale tam też nikogo nie widać.

Kolejny wystrzał rozrywa ciszę - z naszej lewej strony, za chatą. A potem rozlega się jęk człowieka.

Wstrzymuję oddech.

Stewart coś krzyczy w nieznanym mi języku. Polecenie? Pytanie? Jeśli Pólczłowiek go słyszy, nie odpowiada mu. Stewart znów krzyczy, głos ma spięty, kręci głową to w jedną, to w drugą stronę, zdeorientowany. Teraz muszę działać, mówię sobie; teraz, kiedy jest niepewny. Już nie trzyma mnie za twarz, żeby móc jedną dłonią unieść strzelbę. Chwytam nóż, który mam w kieszeni, obracam nim, aż rękojeść znalazła się w mojej dłoni. Zaczynam go wyciągać, centymetr po centymetrze.

A potem gdzieś spośród drzew rozlega się głos, ale z pewnością nie jest to głos Pólczłowieka. Czyjś młody głos odpowiada w tym samym języku. Stewart jest zaniepokojony; nie zna tego głosu. Jego plan tego nie przewidywał. Z całych sił wbijam mu nóż w bok. Chociaż w ostatniej chwili zdołał się zorientować, co się dzieje, i odsunął się, ostrze nie napotyka oporu i Stewart wyje z bólu. Widzę jego twarz, nasze spojrzenia się spotykają - dostrzegam wyrzut w jego oczach, bardziej błękitnych niż niebo, i półuśmiech na twarzy, kiedy kieruje strzelbę w moją stronę.

Biegnę. Ogłusza mnie kolejny strzał, oddany gdzieś z bliska, ale nic nie czuję.

**A**lec patrzy, jak Donald, mimo jego okrzyków, biegnie przez zamrożone jezioro. Na koniec klnie. Woła do niego, żeby się zatrzymał, ale tamten go nie słucha. Chłopiec czuje, jak ogarnia go strach, boi się, że dostanie torsji, więc się odwraca. Potem mówi sobie, żeby przestał się zachowywać jak małe dziecko; musi zrobić to, co zrobiłby jego ojciec, więc rusza za Donaldem.

Dzieli go od niego sto metrów, kiedy widzi błysk - będzie później przysięgał, że niczego nie słyszał - i Donald pada. Alec chowa się za kępą trzcin, wystających nad lodem. Trzyma przed sobą odbezpieczoną strzelbę George'a, zgrzyta zębami ze złości i ze strachu. Nie powinni byli strzelać do Donalda. On był dobry dla jego matki. Powiedział mu o jego ślicznych, mądrych ciociach, mieszkających nad jeziorem ogromnym jak morze. Nikomu nie zrobił krzywdy.

Jego oddech jest świszający, zbyt głośny. Patrzy na drzewa - stanowią dobrą osłonę - potem zrywa się i biegnie zgięty w pół, niemal płacząc. Pada płasko na śnieg i czołga się na szczyt pagórka, by się rozejrzeć. Dociera do pierwszych drzew, możliwe, że go nie zauważyli. Przed sobą słyszy kolejny strzał, po którym zalega cisza. Nie widział błysku. Nie celowano w niego. Biegnie od jednego pnia drzewa do drugiego, przystaje, rozgląda się. Jego oddechy przypominają szloch, są tak głośne, że z pewnością go zdradzają. Myśli o pozostałych - o białej kobiecie i wysokim mężczyźnie - by dodać sobie odwagi.

Strzelba jest cięższa od tej, do której się przyzwyczał, ma dłuższą lufę. To dobra broń, ale jemu brak doświadczenia. Wie, że będzie musiał podejść się bliżej, by mieć szansę. Kieruje się do miejsca,

z którego rozległ się strzał. Z prawej strony wysoka skała hamuje swobodny przepływ wód jeziora. Przed sobą, wśród drzew, dostrzega jakiś dom. Kiedy podchodzi trochę bliżej, widzi przed nim dwie postaci - człowiek, który zabił jego ojca, chowa się za białą kobietą.

- Nie wiedzą, że tu jestem - mówi, żeby dodać sobie odwagi.

Stewart krzyczy w języku kri:

- Pólczłowieku! Co to było?

Cisza.

- Pólczłowieku! Odpowiedz mi, jeśli możesz.

Żadnej odpowiedzi. Alec biegnie od drzewa do drzewa, aż dociera piętnaście metrów od nich, osłania go pień świerka. Unosi strzelbę i celuje. Żałuje, że nie jest bliżej, ale nie ma odwagi się poruszyć. Stewart nawołuje, zniecierpliwiony, ale Pólczłowiek milczy. Więc odpowiada mu Alec ze swojej kryjówki w języku swojego ojca.

- Twój człowiek nie żyje, ty morderco.

Stewart odwraca się, wypatrując go, i wtedy kobieta rzuca się na niego. Po chwili Stewart osuwa się na ziemię. Z jego ust wydobywa się lisi skowyt, celuje broń w jedyną osobę, którą widzi - w kobietę. Alec wstrzymuje oddech; ma okazję, żeby ją uratować, jest bardzo blisko nich. Pociąga za spust; czuje mocne szarpnięcie, lufę otacza chmura dymu.

Jeden strzał. Tylko jeden strzał.

Wychodzi ostrożnie, na wypadek gdyby Pólczłowiek ukrywał się gdzieś i czekał. Kiedy dym się rozwiewa, na polance przed domem nie widać nikogo. Ponownie ładuje broń i czeka, a potem biegnie do najbliższej kryjówki.

Stewart leży z rozrzuconymi rękami i nogami, jedną rękę ma wyciągniętą nad głowę, jakby chciał po coś sięgnąć. Nie ma części twarzy. Alec pada na kolana i dostaje torsji. I tak go zastają Parker i kobieta.

Czuję taką ulgę na widok Parkera, że zarzucam mu ręce na szyję, nie myśląc o tym, co robię, ani nie przejmując się, jak to może wyglądać. Czuję przez ułamek sekundy, jak mnie przyciska. Chociaż jego twarz się nie zmieniła, głos ma zachrypnięty.



- Nic pani nie jest?

Kiwam głową.

- Stewart...

Oglądam się za siebie. Parker skrada się do węgła chaty i wygląda zza niego. Po chwili wychodzi; nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Podążam za nim i widzę zwłoki na samym środku polanki. To Stewart - poznaję jego brązową kurtkę, bo nie można niczego innego rozpoznać. Kilka metrów dalej młody chłopak kłęczy na śniegu jak posąg. Przypuszczam, że mam halucynacje, ale po chwili rozpoznaję najstarszego syna Elizabeth Bird.

Patrzy na nas i mówi jedno słowo:

- Donald.

Odnajdujemy Moody'ego; żyje, ale gaśnie w oczach. Postrzelono go w brzuch, stracił za dużo krwi. Odrywam pasy materiału ze spodnicy, by obwiązać ranę, robię mu poduszkę pod głowę, ale niewiele możemy dla niego zrobić, bo kula nadal tkwi w ciele. Klękam obok niego i rozcieram mu dłonie, które są lodowato zimne.

- Wyjdzie pan z tego, panie Moody. Mamy ich. Znamy prawdę. Stewart strzelił Nepapaneesowi w plecy i zakopał go w lesie.

- Pani Ross...

- Ciii... Proszę się nie martwić. Zaopiekujemy się panem.

- Tak się cieszę, że... że nic pani nie jest.

Uśmiecha się słabo, starając się nawet w takiej chwili zachowywać uprzejmie.

- Donaldzie... Nic panu nie będzie. - Próbuję się uśmiechnąć, ale nie daje mi spokoju jedna myśl: jest zaledwie kilka lat starszy od Francisa, a nigdy nie byłam dla niego zbyt miła. - Parker zaparzy panu herbaty i... Zabierzemy pana z powrotem do factorii. Zaopiekujemy się panem. Ja się panem zaopiekuję...

- Zmieniła się pani - mówi oskarżycielskim tonem, czemu nie można się dziwić, bo włosy mam w nieładzie, oczy mi łzawią cały czas, na moim czole wyrósł wielki guz.

Nagle z niezwykłą siłą ściska moją rękę.

- Chcę, żeby coś pani dla mnie zrobiła...

- Słucham?
- Odkryłem... Coś niezwykłego.

Jego oddechy są urywane. Oczy bez okularów są szare i odległe, błądzi gdzieś wzrokiem. Dostrzegani okulary na ziemi koło swojej nogi i podnoszę je.

- Proszę... - Próbuję mu je włożyć na nos, ale lekko odkręca głowę i je odsuwa.

- Lepiej... Bez nich.
- W porządku. Co pan odkrył?
- Coś niezwykłego. - Uśmiecha się lekko, szczęśliwy.
- Co? Ma pan na myśli Stewarta i futra?

Marszczy czoło, zdziwiony. Jego głos jest coraz słabszy.

- Coś, czego wcale się nie spodziewałem... Kocham.

Nachylam się coraz niżej, aż moje ucho znalazło się parę centymetrów od jego ust.

Słowa stopniowo cichną. Pani Ross, pochylająca się nad nim, kołysze się jak trzcina na wietrze. Donald nie może się nadziwić, jak bardzo się zmieniła - jej twarz, nawet częściowo ukryta za włosami, jest łagodniejsza, miłsza; a jej oczy błyszczą, mają barwę jasnej wody, jakby źrenice zupełnie się zmniejszyły.

Powstrzymuje się przed wypowiedzeniem imienia „Maria”. Może lepiej, myśli sobie, jeśli się nie dowie. Nie pozna tego uczucia straty i żalu, nie będą jej prześladowały myśli, jak mogłoby być.

Przed Donaldem otwiera się niezwykle długi tunel. Zupełnie, jakby spoglądał ze złej strony przez teleskop, kiedy wszystko wydaje się bardzo małe, ale jest bardzo wyraźne.

Tunel lat.

Patrzy ze zdumieniem: na końcu tunelu widzi życie, jakie wiódłby u boku Marii: ich ślub, dzieci, kłótnie, drobne sprzeczki. Awantury o jego karierę. Przeprowadzkę do miasta. Jej miękką skórę.

Wygląda palcem małą zmarszczkę na jej czole. Ona przywołuje go do porządku. Uśmiecha się.

Odpowiada jej uśmiechem, przypomniawszy sobie, jak zdjęła z ramion swój szal, by owinąć jego ranę podczas meczu rugby w dniu, kiedy ujrzeli się po raz pierwszy, tyle lat temu. Jego krew na jej szalu związała ich na zawsze.

Życie przesuwa się mu przed oczami jak talia kart w rękach rozdającego, każdy obraz jest wyraźny i zawiera najdrobniejsze szczegóły. Widzi siebie starego i Marię, też starą, ale nadal pełną werwy.

Jak się klóci, pisze, czyta między wierszami, jak zawsze do niej musi należeć ostatnie słowo.

Niczego nie żałuje.

To nie jest złe życie.

Maria Knox nigdy się nie dowie, jakie czekałoby ją życie n jego boku, ale Donald to wie. Wie i jest zadowolony.

Pani Ross patrzy na niego, jej błyszczącą, mokrą i piękną twarz przesłania mgła. Jest bardzo blisko, a zarazem bardzo daleko. Donald ma wrażenie, że o coś go pyta, ale nie wie, czemu nie słyszy jej głosu.

Ale wszystko wyraźnie widzi.

Donald nie mówi imienia Marii ani w ogóle nic.

**N**ajgorsze było pokazanie Alecowi zwłok jego ojca. Nalegał, żebyśmy zabrali je ze sobą do Hanover House, tak jak ciało Donalda, i tam go pogrzebali. Stewarta postanowiliśmy pochować w płytkim grobie, który sam wykopał. Uważamy, że to wystarczy.

Parker poważnie ranił Półczłowieka, ale kiedy wróciliśmy do chaty, nie zastaliśmy go tam. Jego ślady prowadziły na północ. Parker jakiś czas podążał nimi, a potem wrócił. Półczłowiek został postrzelony w szyję i przypuszczalnie wkrótce umrze. Na północ od jeziora nie ma nic, tylko śnieg i lód.

- Niech zajmą się nim wilki - powiedział.

Owinęliśmy Donalda i Nepapaneesa w futra - Alec znalazł skórę jelenia dla swojego ojca. Sprawiał wrażenie, jakby było to dla niego ważne. Donalda owinęliśmy w lisy i kuny, miękkie i ciepłe. Parker związał w toból najbardziej wartościowe futra i załadował na sanie. Jammet miał syna: trafią do niego oraz do Elizabeth i jej dzieci. Przypuszczam, że Parker kiedyś wróci po pozostałe. Nie pytam. A on nic nie mówi.

Uwinęliśmy się z tym wszystkim do południa.

Zmierzamy do Hanover House. Psy ciągną sanie z ciałami zabitych. Alec idzie obok nich. Parker kieruje zaprzęgiem, a ja podążam za nim. Wracamy tą samą drogą. Ślady tych, którzy podążali za nami, odcisnięte są głęboko w śniegu. Stwierdzam, że niepostrzeżenie nauczyłam się czytać ślady. Często widzę odciski swoich butów i spe-

cialnie stawiam tam kroki, by je zatrzeć. W tej krainie jest mnóstwo śladów zdradzających ludzkie pragnienia. Ale te odcisnięte zimą są ulotne. Kiedy śnieg znów spadnie albo wiosną się roztopi, wszystkie dowody naszej bytności tutaj znikną.

Ale i tak ślady trzech mężczyzn okazały się trwalsze niż oni sami.

Postanowiłam rzucić okiem na kościaną tabliczkę, i stwierdzam, że gdzieś ją zgubiłam. Kiedy opuszczałam Hanover House, miałam ją w kieszeni. Teraz jej tam nie ma. Informuję o tym Parkera, ale on tylko wzrusza ramionami. Mówi, że jeśli jest ważna, ktoś ją odnajdzie. I właściwie - chociaż żal mi biednego pana Sturrocka, który tak o niej marzył - cieszę się, że nie mam tego, czego inni ludzie tak bardzo pożądamy. Z tego nigdy nic dobrego nie wynika.

Naturalnie myślałam i śniłam o Parkerze. I wiem jedno: on myśli o mnie. Ale jesteśmy zagadką, na którą nie ma odpowiedzi. Po przeżyciu tylu okropności nie możemy dalej być razem - szczerze mówiąc, to nigdy nie byłoby możliwe.

A jednak kiedykolwiek się zatrzymujemy, nie mogę oderwać wzroku od jego twarzy. Perspektywę rozstania z nim odczuwam jak perspektywę utraty wzroku. Myślę, kim dla mnie był: nieznajomym, uciekinierem, przewodnikiem.

Miłością. Gwiazdą przewodnią. Moją prawdziwą północą. Zawsze się ku niemu zwracam.

Zabierze mnie z powrotem do Himmelvanger, a potem uda się swoją drogą - tam skąd przybył. Nie wiem, czy jest żonaty. Przypuszczam, że tak. Nigdy go o to nie zapytałam i już się tego nie dowiem. Nie wiem o nim prawie nic. A on... On nawet nie zna mojego imienia.

Niektóre rzeczy mogą człowieka rozśmieszyć, jeśli ma nastrój do śmiechu. W chwili, kiedy o tym myślę, Parker odwraca się do mnie. Alec idzie kilka kroków przed nami.

- Pani Ross?

Uśmiecham się do niego. Jak powiedziałam, nie mogę się powstrzymać. Odpowiada mi uśmiechem. Jest nożem w moim sercu. którego za żadne skarby świata nie wyciągnę.

- Nigdy mi pani nie powiedziała, jak pani na imię.

Dobrze, że wiatr jest taki zimny, łązy zamarzają, nim się potoczą po policzkach. Kręcę głową i mówię:

- Dość często je pan wymawiał.

Patrzy na mnie tak przenikliwie, że pierwsza spuszczam wzrok. Ale w jego oczach jest blask.

Zmuszam się do myślenia o Francisie i o Dove River. O Angusie. O skorupach, które będę musiała z powrotem posklejać.

Zmuszam się, by poczuć męki długiego rozmyślania.

A potem Parker znów się odwraca w stronę psów i sani. Idzie, a ja idę zanim.

Bo cóż innego możemy zrobić?